

AARON ALLSTON
ESKADRA WIDM
CYKL: STAR WARS TOM 109
SERIA: X-WINGI TOM 5
PRZEKLAD ANDRZEJ PYRZYCKI

AARON ALLSTON
ESKADRA WIDM
CYKL: STAR WARS TOM 109
SERIA: X-WINGI TOM 5
PRZEKLAD ANDRZEJ PYRZYCKI

Wojskowi Nowej Republiki

General Edor Crespina

Kapitan Choday Hrakness

Porucznik Atril Tabanne

Dorsert Konnair

Tetengo Noor

(mężczyzna z Corulaga)

(mężczyzna z Agamara)

(kobieta z Coruscant)

(kobieta z Coruscant)

(mężczyzna z Churby)

Wojskowi w służbie zsinju

Lord Zsinj (mężczyzna z Fondora)

Admirał Apwar Trigit (mężczyzna z Coruscant)

Kapitan Zurel Darillian (mężczyzna z Coruscant)

Porucznik Gara Petothel (kobieta z Coruscant)

ROZDZIAŁ 1

Dwanaście tęponosych myśliwców typu X-wing zanurkowało z rykiem silników ku powierzchni.

Cały obszar widocznej w dole Coruscant, byłej planety tronowej Imperium, zajmowały ciągnące się od bieguna do bieguna najróżniejsze zabudowania. Bezkresne miasto spowijały jednak szare chmury, przecinane od czasu do czasu białymi i żółtymi zygzakami błyskawic. Dowódca eskadry, pilotujący czarny myśliwiec z dziobem polakierowanym w niestosownie radosną zielono-żółtą szachownicę, spojrział na ponury krajobraz zurbanizowanej planety i pokręcił głową. Spędził na Coruscant sporo czasu, a nawet odegrał kluczową rolę w zdobyciu jej dla Nowej Republiki, jednak wciąż jeszcze nie mógł przywyknąć do panującej tu arogancji. Planeta mogła tylko dźwigać brzemień władzy albo zginąć. Dostarczała Nowej Republice żołnierzy, oficerów i urzędników. Nie zdołałaby zapewnić wyżywienia innym mieszkańcom, gdyby nie import ogromnych ilości żywności ze wszystkich zakątków galaktyki.

Dowódca eskadry spojrział na myśliwce lecących obok niego i za nim pilotów.

- „Łotr Trzy”, dołącz - rozkazał. - Musimy się pokazać z jak najlepszej strony.

Pilot zielonego X-winga dołączył do szyku.

- Rozkaz, panie komandorze - powiedział, ale jego zniekształcony przez aparaturę komunikacyjną głos brzmiał raczej beztrzesko niż służbiście.

- Dopóki nie wrócimy do pełnienia obowiązków, możesz mówić do mnie „dobrze, Wedge” - odparł komandor, uśmiechając się do siebie. - Mógłbyś także zwracać się do mnie „dobrze, o Najwyższy”, „tak jest, o zazdrości Korelii” albo...

Przerwał, kiedy z głośnika komunikatora wydobył się chór pełnych udręki jęków.

Sekundę później rozległ się głos Nawary Ven, twiMekańskiej oficer operacyjnej eskadry.

- Przestańcie zrzędzić - nakazała. - Zasłużył, żeby chociaż na krótko oderwać się od rzeczywistości.

Po następnej chwili z głośnika dobiegł oschły i służbisty głos zastępcy Wedge’a, Tycha Celchu.

- Czujniki wskazują, że na spotkanie z wami startuje eskadra gwiazdnych myśliwców - zameldował. - Sądząc po prędkości, to maszyny typu X-wing albo lepsze, cechy charakterystyczne sygnałów sugerują jednak, że to X-wingi.

- Utrzymywać szyk - polecił Wedge i przełączył komunikator z częstotliwości używanej przez pilotów jego eskadry na kanał wykorzystywany przez wojskowych Nowej Republiki. - Eskadra Łotrów do nadlatujących X-wingów - powiedział powoli. - Przedstawcie się, proszę.

- Błędna informacja, panie komandorze - usłyszał w odpowiedzi rzeczowy, rozbawiony i znajomy głos młodszego stopniem oficera. To my jesteśmy Eskadrą Łotrów, a wy najwyżej eskadrą łotrzyków. Mimo to wyświadczymy wam przysługę. Pragnąc uniknąć pomyłek, w ciągu następnych kilku minut będziemy się nazywali Eskadrą Czerwonych. Jesteśmy waszą eskortą.

- Hobbie? - zapytał Wedge. - Czy to pan, poruczniku Klivan?

- Kapitanie Klivan - poprawił go oficer. - Ale tylko w ciągu najbliższych kilku minut.

Wznosząc się coraz wyżej, nadlatujący piloci osiągnęli w końcu pułap eskadry Wedge'a. Komandor ze zdumieniem zauważył, że dwanaście zbliżających się ku niemu tęponosych myśliwców polakierowano w tradycyjnie używane przez Eskadrę Łotrów czerwone pasy i dwunastorożne symbole.

- Hobbie, wyjaśnij mi, co to znaczy - zażądał, coraz bardziej zdumiony.

- Nie ma na to czasu, panie komandorze - odparł Klivan. - Mamy dla pana zmianę kursu. Naczelne Dowództwo postanowiło transmitować przebieg uroczystości w HoloNecie...

- O, nie!

- ...proszę więc obrać nowy kurs na dziewięćdziesiąt trzy i obniżyć pułap lotu w tempie, jakie narzuca piloci mojej eskadry, żebyśmy mogli dostarczyć pana na miejsce w jednym kawałku. Potem będziecie zdani na własne siły.

Po kilku następnych minutach stało się jasne, dokąd podążają: na plac Imperialny, niezabudowany krąg ferrobetonu o tak wielkiej średnicy, że mimo otaczających drapaczy chmur można go było dostrzec z powietrza nie tylko wówczas, kiedy przelatywało się bezpośrednio nad nim. Plac wypełniały tłumy widzów; nawet z tak dużej wysokości Wedge widział sztandary, proporce i delikatną, drżącą mgiełkę. Wyglądało to jak plewy albo sieczka, ale musiało być czymś w rodzaju ceremonialnego konfetti.

Zachodnią stronę ogromnego placu zajmowała okazała trybuna dla mówców. Od północy i południa przylegały do niej ogrodzone barierami puste place. Wedge domyślił się, że to na nich mieli wylądować piloci obu eskadr.

Kierując się w stronę miejsca lądowania, przełączył komunikator z powrotem na częstotliwość używaną przez pilotów swojej eskadry.

- Raz wokół placu, zwrot przez bakburtę, powrót przez sterburtę, wysokość pięćset - rozkazał. - Przybyli tu, żeby nas podziwiać, więc dajmy im okazję.

Po chwili usłyszał w tym samym kanale głos Hobbiego:

- To samo, Czerwoni, ale przez sterburtę, a powrót przez bakburtę. Wysokość sześćset metrów. Piloci najbardziej niemrawego klucza stawiają kolejkę wszystkim pozostałym.

Obie eskadry rozdzieliły się i zaczęły okrążyć w przeciwnych kierunkach skraj wielkiego placu. Końce skrzydeł myśliwców mijały niekiedy w odległości zaledwie kilku metrów głowy zachwyconych widzów stłoczonych w oknach pobliskich gmachów. Eskadry przeleciały jedna nad drugą po drugiej stronie placu, dokładnie naprzeciwko wzniesionej trybuny, i skierowały się każda nad swoje lądowisko.

Piloci Eskadry Łotrów obrali kurs nad północne, a Czerwoni nad południowe. Kiedy znaleźli się na wysokości trzystu metrów, Wedge zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

- Łapy lądownicze i repulsory, moi drodzy - rozkazał swoim pilotom.

Dzięki antygravitacyjnym silnikom myśliwce obu eskadr zaczęły opadać pionowo.

Wedge się uśmiechnął.

- Twoja Eskadra Czerwonych prezentuje się całkiem nieźle, Hobbie - powiedział tonem przyjacielskiej pogawędki. - Jaka szkoda, że nie miałeś dość czasu, aby nauczyć swoich pilotów precyzyjnych akrobacji.

- Co takiego?

- Eskadra Łotrów, szyk paradny Trzy Romby - polecił komandor. Wykonać.

Po chwili wahania - mimo wszystko upłynęło sporo czasu, odkąd jego piloci ćwiczyli

skomplikowane manewry paradne - Łotry rozdzieliły się na trzy grupy. Każda utworzyła szyk w kształcie rombu z jedną maszyną na czele, dwiema po bokach i trochę z tyłu i ostatnią pośrodku i na końcu. Dowodzona przez Wedge'a grupa opadała teraz z przodu, a dwie pozostałe po bokach i za nim. Wszystkie tworzyły trójkąt zwrócony szpicem na wschód.

Nawet mimo pomruku repulsorów komandor słyszał napływające z dołu okrzyki i wiwaty zgromadzonych widzów.

Niemal natychmiast z głośnika komunikatora rozległ się głos Klivana.

- Eskadra Czerwonych, taki sam manewr, ale o jeden-osiemdziesiąt względem Łotrów.

Dowódca sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż rozgniewanego. Po chwili piloci jego eskadry utworzyli podobny szyk w kształcie trzech rombów, ale dzioby X-wingów skierowały się ku zachodowi.

Z dołu napłynęły kolejne wiwaty. Tłum widzów z zachwytem obserwował napowietrzne akrobacje.

- Trochę koślawo, Hobbie - odezwał się Wedge.

- Dawno nie lataliśmy razem, ale nadal znamy parę sztuczek - odparł Klivan. - I pamiętaj, ty zacząłeś. Trzeci klucz Czerwonych, odciąć dostęp pierwszemu kluczowi Łotrów.

Od tylnego sterburtowego skrzydła jego formacji odłączyły się trzy myśliwce. Piloci Czerwonych zatoczyli stuosiemdziesięciostopniowy łuk i obrócili maszyny w locie. Nie łamiąc trójkątnego szyku, zajęli miejsca zaledwie dziesięć metrów pod myśliwcami Eskadry Łotrów i zaczęli opadać na północne lądowisko.

- Nieźle, nieźle, Hobbie - odezwał się Wedge. - Drugi klucz Łotrów, odciąć dostęp pierwszemu kluczowi Czerwonych.

Pilotujący zielonego X-winga z czarno-białym wzorem na kadłubie Corran Horn i jego dwaj skrzydłowi wykonali podobny manewr i zajęli pozycje pod trójką myśliwców Eskadry Kiwana.

- Ach, ty mynocku - rzucił Hobbie. - Drugi klucz Czerwonych, odciąć dostęp trzeciemu kluczowi Łotrów.

- Pierwszy klucz Łotrów, odciąć dostęp drugiemu kluczowi Czerwonych - rozkazał Wedge.

Maszyny obu eskadr zaczęły przelatywać jedne nad drugimi na coraz mniejszej wysokości, coraz bliżej platformy dla mówców. Ten zapierający dech w piersi pokaz precyzyjnego pilotowania zakończył się zaledwie dziesięć metrów nad powierzchnią gruntu. Łotry unosili się obecnie nad południowym lądowiskiem, a Czerwoni nad północnym. Myśliwce obu eskadr osiadły na lądowiskach w odstępnie kilku sekund.

Piloci wyskoczyli z kabin i natychmiast trafili w prawdziwy młyn. Dyplomaci Nowej Republiki i przyjaciele ściskali ich ręce, klepali po plecach i prowadzili wszystkich na trybunę. Z okien otaczających plac gmachów sypały się chmury konfetti, a tysiące zgromadzonych widzów nie przestawały wydawać ryków zachwyty i podziwu. Zanim Wedge dołączył do szeregu pilotów obu eskadr i wymienił szczere uściski dłoni z Hobbie i z jego zastępcą, Wesem Jansonem. Widzowie wiwatowali zbyt głośno, żeby mógł słyszeć czyjekolwiek słowa.

Na skraju platformy, za pulpitem dla mówców, stała ukochana przez wszystkich przedstawicielka Rady Tymczasowej Nowej Republiki, księżniczka Leia Organa z Alderaana. W odróżnieniu od większości pozostałych przedstawicieli Nowej Republiki była ubrana bardzo skromnie, w przewiązaną w pasie białą senatorską szatę. Pochwyciła spojrzenie Wedge'a i obdarzyła go

szerokim uśmiechem, ale potem pokręciła lekko głową na znak, że i ona nie przepada za podobnymi widowiskami. Zaraz odwróciła się znów do tłumu i pomachała ręką, a gdy zdołała nakłonić widzów do spokoju, jej wzmocniony przez elektroniczną aparaturę głos poniósł się po ogromnym placu.

- Obywatele Nowej Republiki! - zaczęła. - Przedstawiam wam pilotów Eskadry Łotrów!

Z gardeł tysięcy widzów wydarł się kolejny ryk zachwytu. Leia zaczekała, aż tłum się uspokoi.

- Zanim jednak oddam głos komandorowi Antillesowi - ciągnęła - chyba powinnam przedstawić krótko ostatnie osiągnięcia pilotów jego eskadry. To dzięki nim możemy znów, jak kiedyś, liczyć na ciągłe dostawy płynu bacta. Zapasy wystarczą, żeby przewyciężyć ostatnie skutki zarazy z Krytosa. To dzięki ich staraniom...

Wedge przestał wsłuchiwać się w jej słowa. Nie mówiła niczego nowego. Kilka tygodni wcześniej, lecąc na czele pilotów Eskadry Łotrów - prawdziwych pilotów, mężczyzn i kobiet ubranych obecnie w cywilne stroje - wyruszył na wyprawę, której nie mogli oficjalnie poprzeć wojskowi Nowej Republiki. Rezygnując ze stopni wojskowych, piloci Eskadry Łotrów i przedstawiciele miejscowych powstańców wzięli udział w akcji wymierzonej przeciwko nowemu rządowi planety Thyferra, na której wytwarzano cudowny lek, zwany bactą, używany w całej galaktyce. Na czele rządu, który mógł się przerodzić w załążek zjednoczonego Imperium, stała była przywódczyni imperialnych szpiegów, Ysanna Isard.

Obecnie jednak Isard nie żyła, a dziwnym zbiegiem okoliczności podania pilotów Eskadry Łotrów z prośbami o zwolnienie ze służby gdzieś się zawieruszyły. Oznaczało to, że nikt nie przyjął tego do wiadomości. Łotry nie byli cywilami, a skoro ich wyprawa na Thyferę zakończyła się sukcesem, wojskowi Nowej Republiki mogli oficjalnie ogłosić, że to oni ją zorganizowali.

Nie tłumaczyło to jednak, dlaczego w kabinach myśliwców polakierowanych w tradycyjne barwy Eskadry Łotrów pojawili się piloci drugiej takiej eskadry. Wedge zamienił się miejscami ze swoim zastępcą, Tychem Celchu, żeby stanąć obok Hobbiego Klivana.

- Powiedz mi coś więcej o fałszywej Eskadrze Łotrów - zażądał półgłosem.

Pilot o posępnej jak zwykle twarzy pokręcił głową.

- Nie jest fałszywa - powiedział. - Po prostu... dodatkowa. Kiedy ty bawiłeś się w pirata, Sojusz musiał częściej pokazywać pilotów Eskadry Łotrów. Wiesz, chodziło o podniesienie morale. Wojskowi rozkazali więc mnie i Wesowi, żebyśmy przerwali szkolenie pilotów i utworzyli tymczasową Eskadrę Łotrów.

- Tymczasową? Hobbie kiwnął głową.

- Powołaliśmy do niej weteranów dawnej Eskadry Łotrów: Riemanna, Scotiana, Carithleego i paru innych, a także kilku nowych pilotów z Rękawicy i Korsarzy. Teraz, kiedy jesteście znów na Coruscant, wszyscy wrócą na poprzednie miejsca. Z wyjątkiem...

Nie dokończył zdania.

- Z wyjątkiem kogo? - przynaglił go Antilles.

- Mnie i Wesa - dokończył Hobbie Klivan. - My zostajemy. Naturalnie pod warunkiem, że wyrazisz na to zgodę. To nagroda, którą nieoficjalnie obiecało nam Naczelne Dowództwo.

- No cóż, jeszcze się nad tym zastanowię - oznajmił Wedge, a na widok zdumionej miny Hobbiego lekko się uśmiechnął. - Żartowałem. Witajcie w domu. Czy ci z Rękawicy już biorą udział w prawdziwych akcjach? Sądziłem, że wciąż jeszcze są w powijakach.

- Masz nieaktualne informacje - zachnął się Klivan. - Najwcześniej wzięli udział w akcji Korsarze, po nich Rękawice, a trzecia eskadra, Szpony, dopiero niedawno została wcielona do

czynnej służby.

- Kto nią dowodzi? - zainteresował się Antilles.

- Porucznik Myn Donos - odparł Hobbie. - To dobry pilot. Bystry... Stojący po drugiej stronie Klivana porucznik Wes Janson - mężczyzna o twarzy dziecka pomimo wielu lat służby dla Sojuszu i Nowej Republiki - pochylił się w stronę Wedge'a i wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- ...bystry, egocentryczny, arogancki, samolubny i nieznośny - dokończył. - Sam wiesz, typowy Korelianin.

- Jako sprawiedliwy i wyrozumiały oficer zignoruję tę uwagę odparł Antilles. - Ale jako Korelianin naturalnie pomyślę, jak się na tobie zemścić. - Wedge odwrócił się znów do Hobbiego. - Zanim rozpuścisz swoich Łotrów, chciałbym jednak zapoznać się z ich osobistymi aktami.

- Proszę bardzo - powiedział Klivan. - Ale dlaczego, jeżeli mogę zapytać?

- Możesz - zgodził się Antilles. - Od pewnego czasu noszę się z zamiarem powołania do życia jeszcze jednej eskadry X-wingów... Chciałbym wykorzystać doświadczenie zdobyte podczas odbijania Coruscant i Thyferry.

- Zamierzasz utworzyć nową eskadrę? - zachnął się Hobbie. Wedge kiwnął głową.

- Tak po prostu? - ciągnął Klivan. - Machniesz ręką, a ona się zmaterializuje?

- No cóż, zamierzałem poinformować o tym Naczelne Dowództwo, żeby wiedzieli, co majami dostarczyć.

Hobbie pokręcił głową i odwrócił się do zastępcy.

- Miałeś rację, Wes - stwierdził. - Wszyscy Korelianie są do siebie podobni jak krople wody. Och, Wedge... Księżniczka...

Komandor Antilles uświadomił sobie poniewczasie, że Leia wypowiedziała jego nazwisko. Spojrzał na nią i zauważył, że macha na niego. Przywołał na twarz uśmiech, jakim zawsze witał tłumy, podszedł do księżniczki, stanął kilka kroków od pulpitu i ujął jej wyciągniętą rękę.

Leia obdarzyła go najbardziej czarującym ze swoich osobistych uśmiechów, jakich nigdy nie demonstrowała w obecności tłumów ani dyplomatów. Odezwała się cicho, żeby jej słów nie pochwyciła aparatura wzmacniająca:

- Wyglądało, jakbyście ćwiczyli te manewry całymi tygodniami.

- Ćwiczyliśmy - przyznał z kamienną twarzą Antilles. - Wyzwalanie Thyferry nie zajęło nam aż tak dużo czasu.

- Jesteś znakomitym kłamcą - przyznała księżniczka. - A teraz przemów do tych ludzi, żebyśmy w końcu mogli rozejść się do domów.

Dwanaście tęponosych X-wingów zanurkowało z rykiem silników ku powierzchni.

Planeta była posępnym światem o atmosferze zanieczyszczonej dymami i gazami, jakie wydobywały się z kraterów setek wulkanów. Mniej więcej cztery kilometry przed dziobami X-wingów majaczył niewyraźnie myśliwiec przechwytyjący typu T1E, najszybsza maszyna, jaką dysponowały wojska Imperium. Imperialny pilot utrzymywał tę samą odległość od ścigających go X-wingów, w ogóle się od nich nie oddalał, co stanowiło wystarczający dowód, że jego maszyna ma uszkodzone jednostki napędowe. Potwierdzały to wydobywające się z dysz wylotowych bliźniaczych silników jonowych snopy iskier i kłęby dymu. Myśliwiec przechwytyjący T1E znajdował się wprawdzie zbyt daleko, żeby można je było dostrzec gołym okiem, ale piloci tęponosych maszyn widzieli to wyraźnie na ekranach pokładowych monitorów. Gdyby silniki imperialnego myśliwca odmówiły posłuszeństwa, powinni doścignąć go bez trudu.

Myn Donos, dowódca eskadry X-wingów, pstryknął przełącznikiem pokładowego komunikatora.

- Dowódca Szponów do „Ósemki” - powiedział. - Zaszły jakieś zmiany?

W odpowiedzi usłyszał głos specjalisty od systemów łączności:

- Nie, panie poruczniku. Nie wysyła żadnych sygnałów. O ile mogę się zorientować, nie kieruje się także na źródło sygnału namiarowego. Na ekranach monitorów nie wykrywam ani jednego źródła promieniowania z wyjątkiem tych, jakie emitują silniki naszych maszyn.

- Bardzo dobrze - podziękował Donos.

Nagle pilot nieprzyjacielskiego myśliwca przechwytyjącego raptownie zwolnił, a jego maszyna zakołysała się z boku na bok, jakby szarpnęły ją turbulencje. Imperialny pilot obniżył pułap lotu, skręcił na sterburtę i skierował się w stronę przełęczy między dwoma ogromnymi wulkanami. Myn Donos zobaczył jakrawopomarańczowe strumienie lawy zsuwającej się po bliższym zboczu jednego ze zwieńczonych ognistym pióropuszem czarnych stożków.

- Dowódca Szponów do eskadry. Chyba traci moc i stara się lecieć jak najniżej nad powierzchnią gruntu, żeby nas zgubić - powiedział. - Uniemożliwić mu to. Zbliżyć się i zestrzelić go albo zmusić pilota do roztrzaskania się o skały.

Zatoczył leniwie łuk i skierował maszynę do tej samej przełęczy. Obserwował cyferki wskazujące odległość od ściganego celu. Trzy kilometry, dwa i pół, dwa... Kiedy piloci jego eskadry zaczęli nurkować w głąb rozpadliny, myśliwiec przechwytyjący T1E wylatywał z jej odległego końca.

Nagle z głośnika wydobył się nerwowy i piskliwy głos „Szpona Osiem”:

- Panie poruczniku, na ekranie monitora pojawiły się punkciki włączanych silników! Prosto na kursie! Naliczyłem cztery... siedem... trzynaście!

- Rozłożyć płaty do pozycji bojowej! - rozkazał Donos. - Złamać szyk i...

Błyszczyc, jego astromechaniczny robot typu R2, alarmująco zapiszczał. Z pulpitu konsoli rozległy się kolejne piski, a wskaźniki zasygnalizowały, że ktoś, kto znajdował się prosto na kursie, właśnie namierzył jego tęponosy myśliwiec. Chwilę później pojawił się sygnał drugiego namierzenia, a niemal równocześnie z nim trzeciego.

Donos skręcił raptownie na bakburtę, prosto w kierunku krateru najbliższego wulkanu i wydobywającego się z niego słupa szaroczarnego dymu. Kiedy się w nim skrył, szarpnął drążek sterowniczy do siebie i zadarł dziób X-winga ku niewidocznemu niebu. Piski sygnałów namierzenia ucichły jak ucięte nożem.

Zamiast nich Donos usłyszał odgłosy kilku eksplozji - niektóre napływały z bliska, inne z daleka - a po nich podniecone głosy pilotów jego eskadry. Postanowił przyłączyć się do rozmowy.

- „Szpon Dwa”, skorzystaj z zasłony dymnej i kieruj się świecą w niebo! - rozkazał. - Spróbujemy zaatakować ich od góry.

Nie było odpowiedzi. Zamiast niej słyszał tylko podniecone okrzyki podwładnych.

- „Piątka”, „Piątka”, masz go na ognie!

- Nie mogę go zgubić! Sprzątnij go stamtąd, „Szóstka”!

- Nie dam rady, bo mam... bo mam...

- „Dziewiątka” roztrzaskała się o zbocze wulkanu! Pilot nie zdołał się katapultować!

Chwilę później napłynął huk kolejnej eksplozji.

Po kilku sekundach, kiedy pilotowany przez Donosa X-wing osiągnął wysokość dwóch tysięcy metrów, porucznik skręcił na sterburtę i wyłonił się z chmury dymu nad rozpadliną między dwoma

wulkanami.

Obejrzał się i stwierdził, że nikt go nie ściga. Sprawdził wskazania sensorów... i nie uwierzył w to, co pokazywały. Przetarł oczy, żeby się upewnić.

Jedynymi myśliwcami Nowej Republiki, jakie pozostawały jeszcze na ekranie monitora, była jego maszyna i „Szpon Dwunasty”. Donos naliczył także dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć świetlistych punkcików oznaczających imperialne maszyny typu T1E. Tuzin kierował się ku „Dwunastce”, a pozostali ku niemu.

W ciągu zaledwie kilkunastu sekund przestała istnieć prawie cała Eskadra Szponów! Nierówną powierzchnię planety zaścielały błyszczące szczątki tęponosych myśliwców. Gdyby w ciągu następnych kilku sekund imperialni piloci zdołali zestrzelić jego i „Dwunastkę”, dzieło zniszczenia dobiegłoby końca.

Z trudem przyszedł do siebie po przeżytym wstrząsie.

- „Szpon Dwunasty”, nurkuj ku powierzchni gruntu! - rozkazał. Obrona „Przelot Wąwozem”. Sygnał Omega. Potwierdź.

- Sygnał Omega. Zrozumiałam. Nurkuję - usłyszał w odpowiedzi.

Sensory dowodziły, że „Dwunastka” zaczęła obniżać pułap lotu. Donos postanowił pójść w jej ślady. Skierował dziób X-winga w dół i zanurkował ku powierzchni planety.

Ani razu nie wystrzelił do nieprzyjaciół. Śmierć poniosło dziesięcioro pilotów jego eskadry, a on wciąż miał komplet protonowych torped i pełne energii zasobniki baterii laserów. Pomyślał, że najwyższy czas to zmienić.

Sensory pokazywały złowieszczą chmurę myśliwców T1E - gał, jak żartobliwie nazywali je piloci Sojuszu. Ich piloci zawzięcie ścigali „Dwunastkę”, żeby nie mogła ukryć się przed ich wzrokiem. Gdyby zdołała dolecieć do upstrzonej kraterami i poprzecinanej wzdłuż i wszerz wąwozami powierzchni gruntu, może udałaby się jej ta sztuka. Pragnąc ocalić życie, musiałyby jednak liczyć raczej na umiejętność pilotowania niż na szybkość maszyny. Każdy pilot, który zechciałby lecieć za nią na większej wysokości, bardzo szybko straciłby ją z widoku. Właśnie na tym polegała klasyczna obrona „Przelot Wąwozem”, wykorzystana podczas walki z pierwszą Gwiazdą Śmierci. Na razie, jeszcze kilka śmiertelnie długich sekund, „Dwunastka” miała pozostawać w zasięgu systemów uzbrojenia nieprzyjaciół.

Chwilę później Donos zerknął na wskazania sensorów i stwierdził, że i on znalazł się w zasięgu ognia wznoszącej się ku niemu chmury myśliwców T1E. Przełączył lasery na podwójny ogień, żeby dać systemom broni więcej czasu na przeładowanie, i przekazał pozostałą część rezerwowej energii do dziobowych pól siłowych. Zaczął strzelać tak szybko, jak tylko celowniczy komputer nadażał ze zmianami barwy ramki na ekranie monitora i sygnalizowaniem pojawiania się kolejno namierzanych celów. Wprowadził swój myśliwiec w korkociąg, co skomplikowało mierzenie, ale zarazem utrudniło nieprzyjaciółom trafienie jego maszyny.

Większość jego strzałów wbijała się jednak w powierzchnię planety. W końcu któryś przeleciał obok zamierzonego celu i rozpylił na atomy myśliwiec jego skrzydłowego. Do celu dotarły jednak dwie kolejne błyskawice: pierwsza oderwała panel z ogniwoami i zmusiła wirującą w locie imperialną maszynę do roztrzaskania się o zbocze pobliskiego wulkanu, za to druga, chociaż też celna, nie odniosła zauważalnego skutku. Niemniej, pilot nieprzyjacielskiego myśliwca przestał wykonywać uniki, a tor lotu jego maszyny przemienił się w krzywą balistyczną. Łatwo było przewidzieć, gdzie się zakończy. Kiedy Donos zrozumiał, co się stało, prawie się uśmiechnął. Po

prostu jego celny strzał przeniknął przez transpastalową osłonę kulistej kabiny i nie wyrządzając żadnej szkody samemu myśliwcowi, uśmiercił wrogiego pilota.

Zaskakujący atak Donosa wywarł zamierzony skutek. Nadlatująca ku niemu chmura myśliwców T1E zaczęła się rozpraszać, a w szyku imperialnych maszyn powstał prześwit, przez który mógł łatwo strzelać do nieprzyjaciół ścigających jego podwładną. Wprawdzie imperialni piloci od razu zawrócili niczym rozwścieczone owady i rzucili się w pościg, ale te kilka sekund wystarczyło, żeby Donos zobaczył w dole, nad nierówną powierzchnią gruntu, chmurę ścigających „Dwunastkę” gał. Nie przerywając ognia, rozpylił jeden z lecących za nią myśliwiec na atomy, zanim jeszcze pozostali piloci Imperium zorientowali się, że ich atakuje. Zdumiony rozbłyskiem niespodziewanej eksplozji skrzydłowy zestrzelonego myśliwca T1E odruchowo zбочzył z kursu w prawo i zaczepił panelem z ogniwoami o ścianę rozpadliny. Jego myśliwiec eksplodował i prześwit między skalnymi urwiskami wypełnił się płomieniami i odłamkami.

Donos zanurkował w głąb rozpadliny i wyrównał lot na ułamek sekundy, zanim spód jego X-winga otarł się o powierzchnię gruntu. Po obu stronach maszyny widział czarne, pionowe skalne ściany. Leciał tak szybko, że nie potrafił rozróżnić żadnych szczegółów.

- Dowódca do „Dwunastki”, melduj swój stan - rozkazał.

- Niewielkie uszkodzenia dolnego bakburtowego płata nośnego poinformowała pilotka „Dwunastki”. - Wywołują nieznaczne wibracje, które powinny zaniknąć, jeżeli zdołam wydostać się z atmosfery. Kilka gwiazdzistych pęknięć owiewki kabiny. Prześladowcy trzymają się w przyzwoitej odległości... Chwileczkę, właśnie jeden się zbliża! Usiłuje mnie namierzyć!

Donos przyspieszył, ryzykując, że nie zdoła się zmieścić w widocznym na kursie ostrym zakręcie. Pokonał go jednak i o mało nie wbił dzioba maszyny w bliźniacze silniki jonowe wlokącego się powoli nieprzyjacielskiego myśliwca. Odruchowo przycisnął guzik spustowy i zobaczył, że laserowe błyskawice pograżają się w sterburtowym silniku imperialnej maszyny.

Myśliwiec T1E od razu przemienił się w żółtopomarańczową kulę płomieni i szczątków. Przelatując przez nią, pilotowany przez Donosa X-wing zakołysał się z burty na burtę, a kadłub i hełm pilota stłumiły huk eksplozji tylko na tyle, żeby dowódca Szponów nie ogłuchł. Ułamek sekundy później wyleciał z ognistej kuli.

Pokonał następny zakręt, tak ostry, że skrzydła jego myśliwca niemal otarły się o skalną ścianę, i ponownie zobaczył przed dziobem „Dwunastkę”... „Dwunastkę” i ścigającą ją zawzięcie imperialną maszynę - ten sam myśliwiec przechwytyjący T1E, którego pilot powiódł ich na początku walki w sprytnie zastawioną pułapkę. Donos uświadomił sobie, że widzi go dopiero pierwszy raz. Na płaszczyznach skrzydeł imperialnego myśliwca zauważył naniesione poziomo nieregularne czerwone pasy. Po chwili dotarło do niego coś jeszcze: z silników myśliwca przechwytyjącego T1E nie wydobywały się obecnie iskry ani kłęby dymu. Podstęp się udał, więc wszystkie rzekome oznaki uszkodzenia mogły zostać usunięte.

Nieprzyjacielski pilot zmniejszył odległość dzielącą go od ogona „Dwunastki” do zaledwie kilkunastu metrów i zręcznie powtarzał każdy manewr tęponosego myśliwca Nowej Republiki. Nie dość, że demonstrował znakomite opanowanie sztuki pilotażu, to jeszcze okazywał pogardę bezbronnej przeciwniczce. Nie ulegało wątpliwości, że lada chwila otworzy do niej ogień.

Nie czekając, aż celowniczy komputer namierzy maszynę wroga, Donos rozpaczliwie wystrzelił... w tym samym ułamku sekundy, kiedy śmiertelny cios postanowił zadać pilot myśliwca

przechwytyjącego T1E.

Dowódca Szponów widział, jak błyskawice jego laserowych strzałów docierają do celu, rozlewają się po kadłubie nieprzyjacielskiego myśliwca, przecinają silniki i przepalają osłonę kulistej kabiny.

Niestety, do celu doszły także wystrzelone przez imperialnego pilota laserowe smugi. Pomimo rozpaczliwych uników pilotki, trafiły w rufowe pola jej X-winga... i zdołały je przeniknąć. Z dysz wylotowych obu sterburtowych silników tęponosego myśliwca strzeliły jęzory ognia, a zmiękczone przez żar laserowych strzałów sterburtowe płyty nośne zaczęły się odkształcać pod wpływem tarcia o cząsteczki atmosfery.

Myśliwiec przechwytyjący T1E wyraźnie zwolnił, a z jego silników jonowych strzeliły - tym razem prawdziwe - snopy iskier i płomienie. Nieprzyjacielski pilot poderwał maszynę, wynurzył się z rozpadliny i w mgnieniu oka zniknął Donosowi z oczu.

X-wing zboczył na sterburtę i zaczął się obracać wokół osi.

- Wynos się stamtąd! - krzyknął Donos. - „Dwunastka”, natychmiast się katapultuj!

- Wykonuję - usłyszał w odpowiedzi. - Dowódco, ty też nie marudź!

Donos przyglądał się bezradnie, jak w kabine tęponosego myśliwca pojawiają się rozbłyski eksplozji ładunków wystrzeliwujących fotel pilota. Niestety, owiewka kabiny się nie otworzyła i katapulta roztrzaskała o nią głowę jego podwładnej. Transpastałowa konstrukcja nie pozwoliła owiewce pęknąć na kawałki, a X-wing wciąż zbaczał na bakburtę. Poddawana wpływowi coraz większego ciśnienia katapulty kabina w końcu oderwała się od kadłuba X-winga, a siedząca bezwładnie na fotelu pilotka „Szpona Dwanaście” z ogromną siłą zderzyła się ze skalną ścianą. W ułamku sekundy zniknęła z oczu Donosowi, a jej myśliwiec, lecąc po krzywej balistycznej, roztrzaskał się o kamienne dno rozpadliny.

Donos z wysiłkiem obrócił głowę i popatrzył w inną stronę. Postanowił skupić uwagę na czekających go manewrach.

Musiał lecieć nisko nad powierzchnią gruntu jeszcze tylko kilka minut, a potem wystrzelić świecą w niebo i wzbić się ponad warstwy atmosfery. W obecnej chwili jednak perspektywa przeżycia nie wydawała mu się bardzo pociągająca.

Nagle usłyszał dobiegający zza pleców skrzek robota typu R2. Ocknął się z zadumy i rozejrzał. Zobaczył, że podczas kiedy rozmyślał, doścignęli go dwaj piloci myśliwców T1E.

Mógł podjąć z nimi walkę i dać się zabić albo uciec i złożyć przełożonym raport o porażce... ze wszystkimi okrutnymi i poniżającymi szczegółami.

Wolałby zginąć, ale rodziny jedenaściorga mężczyzn i kobiet zasługiwały, żeby się dowiedzieć, jaki los spotkał ich najbliższych i ukochanych. Jęknął w udręce, zwiększył dopływ energii do silników i pokonał następny ostry zakręt rozpadliny.

ROZDZIAŁ 2

Strażnik Nowej Republiki o twarzy mniej więcej równie wyrazistej jak ferrobetonowy bunkier zgodził się w końcu wpuścić Wedge'a do gabinetu. Jego ściany pomalowano na łagodny błękitny kolor, a gładkie meble barwy morskiej wody miały zaokrąglone kształty; chłodne powietrze było irytująco wilgotne. Wedge miał jednak na sobie mundur Nowej Republiki i już to sprawiało, że czuł się swobodniej, niż mogłoby to wynikać z warunków, jakie zapewniał klimatyzator gabinetu.

Siedzący za biurkiem admirał Ackbar, głównodowodzący operacji wojskowych Nowej Republiki, odpowiedział na salut Antillesa takim samym gestem. Podobnie jak inni Kalamarianie - istoty o wielkich głowach i gumowatej, bezwłosej skórze - dla wielu ludzi wyglądał jak inteligentna dwunożna ryba. Wedge wiedział jednak, że admirał wykazuje o wiele więcej cech ludzkich i jest odważniejszy niż większość z tych, którzy walczyli w siłach zbrojnych Republiki.

Ackbar gestem wskazał mu jedno z krzeseł dla gości.

- Witam, komandorze Antilles - powiedział. - Usiądź, proszę. Czy powietrze nie jest dla ciebie zbyt wilgotne? Mogę to zaraz zmienić.

- Wcale nie, panie admirale - odparł Wedge, siadając na wskazanym krześle. - Dziękuję, że mimo tylu zajęć od razu znalazł pan czas, aby ze mną porozmawiać.

- W niczym mi nie przeszkadzasz. - Ackbar pochylił się nad blatem biurka i skierował na niego dwoje szeroko rozstawionych oczu, z których każde mogło się obracać niezależnie od drugiego. - Nie dostrzegam u ciebie śladów kaca, komandorze - dodał po chwili. - Czy powinienem dojść do wniosku, że nie świętowałeś odniesionego zwycięstwa?

Wedge się uśmiechnął.

- Ależ świętowałem - zapewnił gorliwie. - Spotykałem się ze starymi i nowymi przyjaciółmi, a także starymi i nowymi Łotrami. Opowiadaliśmy sobie różne historie, dopóki potrafiliśmy ubierać myśli w słowa, ale pijaństwo pozostawiliśmy młodszemu pilotom.

- Bardzo rozsądnie - przyznał Ackbar. - Młodszym pilotom? Stwierdziłem, że jeszcze nie znam wszystkich nazwisk.

- Wielu pilotów Eskadry Łotrów się wykruszyło, panie admirale wyjaśnił Antilles. - Pod koniec wyprawy na Thyferę straciłem kilkoro podwładnych, ale od tamtej pory zdołaliśmy uzupełnić straty. Wciąż jeszcze brakuje nam jednej osoby, ale przy okazji wczorajszego świętowania ponownie przyłączył się do nas Arii Nunb. Na jakiś czas.

- Jestem pewien, że szukając kogoś naprawdę niezwykłego, wykażesz się swoim zwykłym sprytem - odezwał się Kalamarianin. - No cóż, zechciej wybaczyć moją niecierpliwość. Co cię do mnie sprowadza? Zrozumiałem, że chodzi ci o powołanie do życia nowej formacji bojowej, „szczególnie przystosowanej do prowadzenia poszukiwań lorda Zsinja”.

- To prawda - przyznał Wedge. Lord Zsinj, niegdysiejszy imperialny admirał, wciąż jeszcze dysponujący gwiazdowym superniszczycielem, ośmiokilometrowej długości okrętem, zdolnym do rozbicia w puch powierzchni niejednej planety, był obecnie najważniejszym celem wojskowych

Nowej Republiki. Jego partyzanckie wypady na republikańskie bazy stawały się za każdym razem bardziej niszczycielskie i skuteczne. Istniało realne niebezpieczeństwo, że Zsinj zastąpi Ysannę Isard i odegra rolę osoby, wokół której odrodzi się Imperium. - Chciałbym utworzyć nową eskadrę myśliwców X-wing, panie admirale.

Ackbar wygiął usta w grymasie zbliżonym do uśmiechu. Z pewnością musiał się tego nauczyć. Kalamarianie nie objawiali rozbawienia w taki sposób, ale Ackbar przyswoił sobie język gestów i ruchów ludzkiego ciała.

- Eskadra Łotrów już ci nie wystarczy? - zapytał.

- Eskadra Łotrów zawsze mi wystarczała, panie admirale - odparł Antilles. - W ciągu kilku ostatnich lat wielokrotnie jednak spotykałem się z wyraźną słabością naszych sił zbrojnych. Staralem się zlikwidować to zjawisko wcześniej i usiłuję zrobić to teraz.

- Zechciej wyjaśnić, o co chodzi.

Wedge rozsiadł się na krześle i przygotował na długą rozmowę.

- Z pewnością pan pamięta, że przed kilku laty zreorganizowałem Eskadrę Łotrów - zaczął. - Ściągnąłem do niej najlepszych pilotów, jakich mogłem zwerbować... w oficjalny albo niezupełnie oficjalny sposób. Kiedy jednak przychodziło mi wybierać między pilotami o takich samych umiejętnościach pilotażu, zawsze decydowałem się na tych, którzy wykazywali się lepszą umiejętnością radzenia sobie na powierzchni gruntu.

- Pamiętam - przyznał Kalamarianin. - Staraleś się zdobyć pilotów, którzy umieli działać także jako komandos.

- I zdołałem tego dokonać - podjął Antilles. - Spisali się znakomicie jako komandos, zwłaszcza podczas wyzwania Coruscant spod panowania Imperium, a później Thyferry spod władzy Ysanny Isard.

Ackbar znów się uśmiechnął.

- Udowodniłeś, że nie na próżno pokładaliśmy wiarę w twoim eksperymencie - powiedział. - Piloci Eskadry Łotrów spisali się na medal.

- Dziękuję, panie admirale - odparł Wedge. - Przemawiając w imieniu podwładnych, muszę się z tym zgodzić, z początku jednak uważałem, że piloci Eskadry Łotrów zostaną wysłani tam, gdzie będą mogli lepiej wykorzystać swoje zalety. Przypuszczałem, że szturm ujawni słabości naziemnej bazy, a my będziemy mieli wystarczające wyszkolenie i zaopatrzenie, żeby wylądować i wykonać niezbędne zadania na powierzchni gruntu. Okazało się, że wielokrotnie musieliśmy działać jako komandos. Doszedłem więc do przekonania, że powinniśmy mieć jeszcze jedną eskadrę gwiazdnych myśliwców, X-wingów, za których sterami siedzieliby piloci-komandos. Dobierzemy osoby dysponujące umiejętnościami z zakresu przenikania na teren przeciwnika, a szczególnie szpiegowania i dywersji. Eskadra Łotrów miała być przede wszystkim jednostką pilotów, dopiero później komandosów; tym razem chcę, żeby było na odwrót.

O ile Wedge mógł się zorientować, na twarzy admirała malowały się wątpliwości.

- Z doświadczenia wiem, że zawsze mieliśmy problemy z koordynacją poczynań komandosów na powierzchni gruntu i udzielających im powietrznego wsparcia pilotów gwiazdnych myśliwców - powiedział w końcu Ackbar.

- Nie zgadzam się z panem. - Wedge pokręcił głową. - Komandos mogą przekazywać informacje o miejscach ostrzału osłaniającym ich pilotom, ale piloci nie będą znali tych miejsc równie dobrze, jak żołnierze na powierzchni planety. Komandos, którym coś pokrzyżuje plany, mogliby porwać

nieprzyjacielski okręt, żeby nim uciec, na razie jednak nie mogą liczyć na pilotów, którzy pomogą im w tej ucieczce. W przeciwieństwie do nich piloci wyszkoleni na komandosów poradzą sobie z takim problemem bez trudu. Normalni piloci słuchają rozkazów i zachowują się zgodnie ze standardowymi regułami postępowania na polu bitwy. I bardzo dobrze. Tak być powinno! Pilotujący X-wingi komandosi mogliby jednak opracować nieznane wcześniej taktyki walki, na przykład nietypowe sposoby przeprowadzania zwykłych ataków i pościgów, a także metody wypatrywania zasadzek i postępowania w przypadku szturmu.

Ackbar raptownie się wyprostował i przymknął oczy. Wedge pomyślał, że dowódca skupia się albo o czymś rozmyśla.

- Co sprawiło, że wpadłeś na taki pomysł? - zapytał w końcu.

- Zastanawiałem się nad tym podczas długiego lotu powrotnego, ale i jeszcze wcześniej, kiedy przebywaliśmy w garnizonie Thyferry odparł Antilles. - I chociaż pobyt w tamtejszej bazie trwał krócej niż planowane poprzednio dwa miesiące, nadal wystarczyło mi czasu na rozmyślenia.

- Nie słyszałeś najnowszych wiadomości? - zainteresował się Kalamarianin.

- Nie, panie admirale - przyznał Wedge. - Co się stało? Ackbar pokręcił głową.

- Proszę, mów dalej - powiedział.

- No cóż, właściwie wszystko już powiedziałem. Mogę tylko nadać temu postać formalnego raportu, uważam jednak za najważniejsze, że potrafię zorganizować taką formację właściwie za darmo.

Ackbar prychnął, co zabrzmiało, jakby z jego ust wydobyła się seria odgłosów pękających bąbli.

- Możesz? - zapytał. - Naprawdę? W tej chwili?

- Tak, panie admirale - zapewnił Antilles. - Zaczniemy od tego, że tymczasowa Eskadra Łotrów zostaje rozwiązana. Słyszałem, że jej piloci i myśliwce X-wingi wracają do poprzednich formacji. Czy to prawda?

- Prawda.

- A zatem zamierza pan nam dostarczyć tuzin nowych X-wingów, tak? - ciągnął Wedge. - Nam, to znaczy pilotom pierwotnej Eskadry Łotrów?

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zdziwił się Kalamarianin. - Wasze X-wingi są jeszcze w niezłym stanie. A może się mylę?

- No cóż, ale nie są już własnością Nowej Republiki - przypomniał Antilles. - Na początku naszej wyprawy na Thyferrę zostały sprzedane mojemu zastępcy, Tychowi Celchu. Są teraz jego osobistą własnością, powierzona nam do czasu, kiedy Celchu postanowi obsadzić je swoimi pilotami.

- Jakie to nieuprzejme z twojej strony - obruszył się admirał. - A nie mógłbyś sprawić, żeby nadal korzystała z nich Nowa Republika? O ile wiem i tak jeden z twoich pilotów cały czas lata prywatnym X-wingiem.

- To prawda, panie admirale - przyznał Wedge. - Porucznik Horn. Wiem, że Tycho z wielką przyjemnością wypożyczy tęponose myśliwce Nowej Republice, żeby mogli latać na nich piloci Eskadry Łotrów, jeżeli...

Antilles zawiesił głos i nie dokończył zdania.

-... jeżeli następny tuzin myśliwców typu X-wing trafi prosto z fabryki do rąk pilotów twojej nowej eskadry, prawda? - domyślił się Ackbar.

- Tak jest, panie admirale - przyznał z ulgą Wedge.

- To szantaż - zachnął się Kalamarianin. - To niesłychane!

- Najbardziej niekonwencjonalne taktyki bywają zawsze niesłychane, dopóki nie zakończą się sukcesem, panie admirale - zauważył Wedge. - Chciałbym zwrócić pańską uwagę na Thyferę...

- Wystarczy - uciął Kalamarianin. - Pozostaje jeszcze problem pilotów. Jeżeli ściągniesz ich prosto z Akademii, wyszkolenie każdego będzie kosztowało setki tysięcy kredytów. Trudno powiedzieć, żeby to było „za darmo”.

- Nie, panie admirale. - Antilles pokręcił głową. - Nie będę potrzebował nowych pilotów. Postaram się o doświadczonych.

- To będzie oznaczało jeszcze większy koszt - obstawał przy swoim Ackbar.

- Wcale nie, panie admirale. Nie w przypadku takich pilotów, jakich zamierzam zwerbować do nowej eskadry - odparł Wedge. - Poszukuję pilotów, których nikt inny nie chce przyjąć do swojej formacji. Pechowców. Osoby, które czeka sąd wojenny. Istoty skłócone z otoczeniem i takie, którym nie powiodło się podczas dotychczasowej służby.

Ackbar wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, jakby nie mógł uwierzyć własnym membranom bębennym.

- Na miłość Mocy, komandorze, dlaczego? - zapytał w końcu.

- No cóż, z pewnością niektórzy spośród nich i mnie się nie przydadzą - odparł Korelianin. - Nawet ja nie przyjmę ich do nowej eskadry.

Zapewne jednak większość to porządne istoty, tyle że pomyliły się o jeden raz za dużo i przez to nie mogą teraz liczyć na awans ani nawet na udział w poważnej akcji. To właśnie tacy z ochotą zgodzą się na wszystko, kiedy zaproponuję im jeszcze jedną szansę...

- O wiele bardziej prawdopodobne, że skończysz z protonową torpedą w silniku, niż że stworzysz z nich wartościową jednostkę bojową - przerwał bezceremonialnie admirał. - Torpeda może zostać wystrzelona przypadkowo, ale nie będzie to stanowiło wielkiej pociechy dla wdowy.

Wedge rozłożył ręce i szeroko się uśmiechnął.

- Ten problem mamy z głowy, panie admirale - powiedział. - Nie jestem żonaty.

- Wiem, że nie jesteś, ale z pewnością rozumiesz, o co mi chodzi burknął Kalamarianin.

- Tak jest, panie admirale.

- A co z Eskadrą Łotrów? - zainteresował się Ackbar.

- Ucieszyłbym się, gdybym mógł pozostać jej oficjalnym dowódcą, ale jeżeli chodzi o bieżące działania, kapitan Celchu ma aż nazbyt wystarczające kwalifikacje, żeby dowodzić nią podczas lotów... tym bardziej że teraz, kiedy oczyszczono go z formalnego zarzutu zabójstwa Corrana Horna i nieformalnego oskarżenia, że poddając się praniu mózgu, został podwójnym szpiegiem, nikt odpowiedzialny nie powinien się sprzeciwiać jego powrotowi do czynnej służby. Mógłby pan przenieść porucznika Hobbiego Klivana z powrotem do Eskadry Łotrów jako jego zastępcę, a moim zastępcą mianować porucznika Wesa Jansona. Naturalnie, po utworzeniu nowej jednostki liczę na to, że znów będę mógł pełnić obowiązki bezpośredniego dowódcy Eskadry Łotrów.

- Bardzo dokładnie to przemyślałeś i znasz odpowiedzi na wszystkie pytania, prawda? - zapytał Ackbar.

- To prawda, panie admirale - przyznał Antilles. Zaczął się zastanawiać, co jeszcze powiedzieć.

- Od czasu bitwy o Endor rzecznicy sił zbrojnych przedstawiają Eskadrę Łotrów jako coś w rodzaju świetlnego miecza Nowej Republiki... świetlistą, potężną broń, zdolną do unicestwienia każdej mrocznej imperialnej bazy, jakie wciąż jeszcze stawiają nam opór. Uważam jednak, panie admirale, że nie wszystkie bitwy wymagają używania świetlnych mieczy. Niektóre toczy się w ciemnych

zaułkach przy użyciu wibrostrzy. Nowa Republika także potrzebuje takich wibrostrzy, a w tej chwili ich nie ma.

- Rozumiem. - Ackbar z namysłem pokiwał głową. - Nie wyrażam zgody na twoją prośbę.

Ośłupiały Wedge nie miał pojęcia, co powiedzieć. Czuł się, jakby ktoś wyparł z jego płuc resztkę powietrza. Wydawało mu się, że tak niewiele brakuje do przekonania admirała.

- Chyba że... - podjął niespodziewanie Kalamarianin. Równie niespodziewanie Antilles odzyskał zdolność mowy.

- Chyba że? - powtórzył.

- Założysz się ze mną, komandorze - podjął admirał. - Dam ci szansę utworzenia nowej eskadry. Jeżeli po trzech miesiącach od wejścia do czynnej służby udowodni, że jest coś warta... w mojej i tylko w mojej opinii... będziesz mógł zrobić, co zechcesz. Sam wybierzesz, czy zostaniesz jej stałym dowódcą, czy ponownie obejmiesz dowództwo Eskadry Łotrów.

- A jeżeli przegram ten zakład? - zainteresował się Wedge.

- Przyjmiesz awans do stopnia generała i zostaniesz jednym z moich doradców wojskowych - dokończył admirał.

Wedge zaczął się zastanawiać. Starał się, żeby na jego twarzy nie odmalowała się konsternacja.

- Wygląda na to, że tak czy owak wygram ten zakład, panie admirale - odezwał się w końcu.

- Przestań - uciął Kalamarianin. - I tak nikogo nie oszukasz. Gdybym pozwolił ci postawić na swoim, nadal pilotowałbyś tęponose maszyny i dowodził eskadrami gwiazdnych myśliwców, pewnie aż do ukończenia stu lat. Ile awansów wcześniej odrzuciłeś? Dwa? Trzy?

- Dwa.

- No cóż, jeżeli przegrasz ten zakład, zostaniesz generałem. Wedge westchnął i znów pogrążył się w zadumie. Musiał latać. Nie wyobrażał sobie innego życia, wiedział jednak, że Nowa Republika potrzebuje nowych taktyk walki, a także wielu różnych sposobów prowadzenia wojny. W przeciwnym razie mogłaby się stać pod względem taktycznym równie skamieniała jak Imperium.

- Przyjmuję propozycję, panie admirale - odparł w końcu. Ackbar roześmiał się chrapliwie.

- W pewnym sensie już przegrałeś zakład, komandorze Antilles powiedział. - Poświęciłeś karierę dla dobra Nowej Republiki. Zajmujesz się wymyślaniem nowych sposobów prowadzenia walki na użytek Nowej Republiki, a nie tylko pilotów swojej eskadry. Już jesteś generałem... po prostu jeszcze tego nie wiesz.

- Chyba potraktuję tę uwagę w duchu, w jakim została wypowiedziana, panie admirale - odparł Antilles.

- Mam do ciebie jeszcze jedną sprawę - oznajmił Ackbar. - Wieści. Złe wieści. Musisz przekazać je swoim podwładnym. Są tak niepomyślne, że nie zazdroszczę ci tego zadania.

Wedge spotkał się z pozostałymi pilotami w jednym z hangarów gwiazdnego krążownika „Fregata Sztabowa”, gdzie należące do Eskadry Łotrów X-wingi poddawano naprawom i przemalowywano. Z odrobiną tęsknoty obserwował, jak widoczna na kadłubie jego tęponosej maszyny czerń i zielono-złota szachownica - barwy, w które jego ojciec zamierzał pomalować rodzinną stację paliw, ale nie dożył wcielenia zamiaru w życie - jest zastępowana przez szarość i dumne, ale krzykliwe czerwone pasy Eskadry Łotrów.

Tycho zmarszczył brwi, lecz nie z powodu zmiany barwy myśliwców.

- Więc jak to sobie wyobrażasz? - zapytał.

- Będę dowodził obiema formacjami, Łotrami i nową eskadrą zaczął Antilles. - Zostanę jej

bezpośrednim dowódcą. Do mojego powrotu będziesz latał z Łotrami jako ich dowódca, a Hobbie będzie pełnił obowiązki twojego zastępcy. Nawaro, będziesz nadal pełniła obowiązki oficera operacyjnego eskadry. Wes, będziesz moim zastępcą. Łotry otrzymają zadanie polowania na Zsinja, a nowa eskadra zacznie być formowana w bazie Folor...

Tycho się skrzywił.

- Coś takiego! W ośrodku rozrywki i księżycowego piękna Nowej Republiki - zdziwił się cierpko.

- Kiedy powstanie nowa eskadra myśliwców typu X-wing, także przyłączy się, chociaż potajemnie, do polowania na lorda Zsinja... naturalnie, jeżeli wcześniej nikt go nie złapie. Jeżeli okaże się możliwe i konieczne, obie eskadry będą mogły prowadzić wspólne działania.

Wes odwrócił się do Hobbiego i wyciągnął rękę.

- Przykro mi, że zostaniesz z tymi latającymi skamielinami, podczas gdy komandor Wedge i ja zajmujemy się tworzeniem supernowoczesnej... - zaczął.

Hobbie odtrącił jego rękę.

- Och, zamknij się - burknął. Wedge odchrząknął.

- Jest jeszcze jedna sprawa - oznajmił niepewnie. - Tycho, Nawaro, nie zechcielibyście zostawić nas samych?

Oboje Łotrowie odeszli na bok, a Wedge pozostał tylko z Klivanem i Jansonem. - Mam dla was niepomyślną wiadomość - zaczął. - Nie spodoba się wam to, co usłyszycie. Eskadra Szponów nie istnieje.

Hobbie zmarszczył brwi.

- Co to znaczy, nie istnieje? - zapytał.

- Została unicestwiona - wyjaśnił Antilles. - Zasadzka. Zginęli wszyscy oprócz porucznika Donosa.

Janson oparł się o pobliską ścianę, a Hobbie wyglądał na tak wstrząśniętego, jakby dotknął odizolowanego zacisku potężnego generatora.

- Jakim cudem? - zapytał.

- Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów - odparł Wedge. Wiemy tylko, że ścigali coś dziwnego... chyba zwyczajny myśliwiec przechwytyjący T1E, którego pilot znalazł się daleko od zdolnego do latania w nadprzestrzeni gwiazdowego okrętu albo statku. Do tragedii doszło w niezamieszkanym systemie, oznaczonym jako niedawno zabezpieczony przez Wywiad Nowej Republiki. Dopiero później się okazało, że oznaczenie było fałszywe. Wpisano je do naszej bazy danych po włamaniu do komputera. Nie wiemy, kto to zrobił ani kiedy, ale staramy się ustalić. Pilot imperialnej maszyny przechwytyjącej powiódł Eskadrę Szponów prosto pod lufy działek przynajmniej dwóch eskadr myśliwców typu T1E. W zasadzce poniosło śmierć jedenaścioro pilotów naszej eskadry. Porucznik Donos jest w tej chwili poddawany przesłuchaniu. Kiedy skończy udzielać wyjaśnień, zamierzam go zabrać do bazy na Folorze. Nawet jeżeli zostanie uznany za niewinnego, wielu dowódców innych eskadr nie zechce nawet z nim rozmawiać, a ja muszę sprawdzić, czy nie byłby odpowiednim kandydatem do nowej eskadry.

- Jedenastu wyszkolonych przez nas pilotów zginęło w zwyczajnej zasadzce - odezwał się chrapliwie Janson. - To nie najlepiej świadczy o naszych kompetencjach i dalekowzroczności jako nauczycieli, prawda?

Wedge pokręcił głową.

- To nie była zwyczajna zasadzka - powiedział. - Wkrótce dowiemy się czegoś więcej, ale dopóki nie poznamy szczegółów, przestańcie się obwiniać. Każdemu z nas mogłoby się przydarzyć coś podobnego... okazuje się, że wystarczy podejmować decyzje na podstawie raportów naszego Wywiadu, któremu dotąd ufaliśmy bez zastrzeżeń. Czy rozumiecie, o co mi chodzi?

Obaj mężczyźni kiwnęli głowami.

Antilles wyciągnął komputerowy notatnik z kieszeni lotniczego kombinezonu i wręczył go Jansenowi.

- Znajdziesz w nim dwa pliki dotyczące tej sprawy - ciągnął. - Jeden zawiera zestaw kryteriów, zgodnie z którymi zamierzam dokonywać wyboru załóg do nowej eskadry. Drugi to zgoda na przeszukiwanie baz danych Sił Zbrojnych Nowej Republiki i wynajdywanie pilotów spełniających nasze wymagania. Chcę mieć na jutro listę istot, które mogą zostać pilotami. Skontaktujesz się z nimi i dowiesz, ilu zgodzi się przenieść do nowej eskadry, mając świadomość, że to może być na stałe. Idę o zakład, że zgodzą się prawie wszyscy. Tych, którzy będą skłonni wyrazić zgodę, wyślesz na Folor... nie informując, po co i na jak długo. Dopiero tam spotkamy się z nimi i dokonamy ostatecznego wyboru.

Odwrócił, się do Hobbiego.

- Kiedy tylko będziesz miał okazję, porozmawiaj z Donosem powiedział. - Poproś go o wszystkie szczegóły akcji, w której doszło do zagłady Eskadry Szponów. Na ich podstawie zaprogramujesz symulator. Wykorzystamy go później podczas pierwszych ćwiczeń, jakim poddamy kandydatów do nowej eskadry. A potem skorzystamy z doświadczeń pilotów Eskadry Łotrów. Nie dopuszczę, żeby podobna tragedia przydarzyła się komukolwiek w przyszłości.

- Rozumiem. - Hobbie kiwnął głową.

- Po stosownym namyśle i zapoznaniu się ze wszystkimi szczegółami nadal uważam, że to poroniony pomysł - oznajmił generał Crespin.

Działo się to kilka tygodni później. Wedge Antilles stał przed biurkiem innego dowódcy w innym gabinecie i przygotowywał się do przedłożenia mu swojej prośby. Czuł, że wzbiera w nim irytacja. Crespin był może jego przełożonym, ale nie znał tak dobrze jak on zasad wykorzystywania niewielkich formacji gwiazdnych myśliwców i taktyk napowietrznej walki. Niewielu oficerów było w tym równie dobrych jak komandor Antilles, mimo to Wedge postanowił powściągnąć emocje. Podczas rozmowy z Crespinem musiał odpowiadać argumentami na jego argumenty i faktami odierać stawiane mu zarzuty. Gdyby zawałdnęły nim emocje, przegrałby ten słowny pojedynek.

Generał Crespin, nowy dowódca ćwiczebnej bazy na księżycu Folor i bezpośredni dowódca dwóch szkoleniowych eskadr gwiazdnych myśliwców typu A-wing, przechadzał się za biurkiem i tylko od czasu do czasu spoglądał na wyprężonego na baczność podwładnego. Był wysokim i szczupłym mężczyzną, którego twarz przybierała wyraz albo kamienny, albo tylko surowy. Odkąd Wedge ostatnio go widział, podczas odprawy poprzedzającej szturm na drugą Gwiazdę Śmierci, Crespin awansował ze stopnia pułkownika do generała, zaczął utykać i pozwolił, żeby w miejsce lewego oka wstawiono mu błyszczącą czarną protezę. Zazwyczaj przesłaniał ją lustrzaną opaską wyglądającą o wiele mniej złowieszczo niż nieludzka czarna gałka oczna, ale Wedge podejrzewał, że Crespin i tak widzi dobrze pomimo tej opaski. Dowiedział się, że generał odniósł tę ranę podczas napaści na wojskową bazę Nowej Republiki, graniczącą z rejonem przestworzy opanowanym przez Zsinja. Bazę zbombardowała „Żelazna Pięść”, dowodzony przez samego lorda gwiazdny niszczyciel klasy Super.

- Nie chcemy i nie dopuścimy, żeby Nową Republikę reprezentowały osoby niezdolne dostosować się do wymagań - ciągnął generał. Potrzebujemy bohaterów, mężczyzn i kobiet o odpowiednich charakterach i nieskazitelnych życiorysach. Hologenicznych pilotów, którzy będą się prezentowali jak najlepiej w holotransmisjach i archiwach.

- Z całym szacunkiem, panie generale, ale to oznacza obieranie kursu na Ciemną Stronę Mocy - sprzeciwił się Antilles.

Crespin obrócił głowę i spiorunował go gniewnym spojrzeniem.

- Jest pan zuchwały - warknął. - Co ma znaczyć ta uwaga? Wedge nabrał głęboko powietrza w płuca. Powściągnij gniew, rozkazał sobie. Przemień go w sprzymierzeńca, nie wroga.

- Po pierwsze, od początku powstania Sojuszu prowadzimy politykę przyjmowania w nasze szeregi imperialnych dezertersów... - zaczął.

- Wiem o tym - przerwał oschle dowódca. - Sam jestem jednym z nich. - Uniósł dumnie głowę, jakby zachęcał Wedge'a do podania w wątpliwość jego lojalności.

- To prawda, panie generale - odparł Antilles. - Więc sam pan wie, że czasami takie osoby po prostu tylko czekały na szansę opowiedzenia się po naszej stronie. Podobnie jak pan. Niekiedy przechodziły na naszą stronę, kiedy dysponowaliśmy większymi siłami niż Imperium, kiedy indziej przyłączały się do nas z pobudek osobistych albo egoistycznych. Nigdy jednak nie pytaliśmy, z jakich, pod warunkiem że wywiązywały się z powierzanych obowiązków, służyły Nowej Republice i dochowywały wierności jej ideałom.

- I co z tego?

- To, że wszyscy ci dezertersi mają za sobą bogatą przeszłość, panie generale - odparł Wedge. - Wielu to osoby ze skazami na życiorysie, a czasami z czymś gorszym. Oto przykład. Kiedy na Kessel natknęliśmy się na przestępców z Czarnego Słońca, zabraliśmy ich na Coruscant i darzyliśmy zaufaniem, dopóki i oni nam ufali. Z tego, co pan powiedział, wynika jednak, że ich wkład powinno się ignorować albo trzymać w tajemnicy... że należy ujawniać osiągnięcia tylko tych, którzy mają nieskazitelną przeszłość, nienagannie odprasowane mundury i hologeniczne twarze.

- To śmieszne - prychnął Crespin.

- Po drugie - ciągnął Wedge - pomyśl, że jednym z kryteriów wyboru nowych pilotów powinna być ich powierzchowność, żeby dobrze wyglądali na hologramach i podczas transmisji... - Zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał. - Panie generale, rozumiem pańskie poglądy i w zupełności się z nimi zgadzam - skłamał i o mało się przy tym nie zakrztusił, ale szybko przyszedł do siebie. - Ale to naraża. Nową Republikę, Tymczasową Radę i Prezydium na niebezpieczeństwo, o którym pan chyba nie pomyślał.

- A mianowicie?

- Jeżeli wszyscy nasi piloci będą wyglądali podobnie, spełniając albo nawet przewyższając arbitralnie ustalone kryteria urody, staniemy się dokładnie tym samym, co Imperium, które gnębiło istoty setek inteligentnych ras tylko dlatego, że nie były ludźmi... dlatego, że nie spełniały określonych przez ludzi standardów wyglądu.

- To niedorzeczne! - obruszył się Crespin, ale wyglądał na wstrząśniętego ostatnim oskarżeniem Antillesa.

- Oczywiście, że tak, panie generale - przyznał Korelianin. - To coś więcej niż niedorzeczność. To idiotyzm, zwłaszcza w świetle faktu, że w Eskadrze Łotrów i w innych formacjach wojskowych służy tyle istot z innych ras. Ale taki argument w rękach służących obecnie Nowej Republice

imperialnych powstańców czy dezertów spowoduje sprzeciw i pretensje inteligentnych istot wszystkich ras, które przyłączyły się do Nowej Republiki, że ich przedstawiciele nie latają w kabinach jakiejś eskadry myśliwców typu X-wing albo A-wing.

Crespin skrzywił się i nie odpowiedział.

- Po trzecie, wygląd pilotów nowej eskadry przyczyni się do poprawy, a nie do pogorszenia sposobu, w jaki będzie nas postrzegała opinia publiczna - podjął Antilles. - Każdy pilot, który się do niej dostanie, będzie uważany za uosobienie sukcesu... za istotę, której się powiodło mimo wcześniejszych niepowodzeń. Historię tego sukcesu uwiecznią seriale i holodramaty. Najważniejsze jednak, że wszyscy uświadomią sobie, iż taki los stał się udziałem osób niewyróżniających się niczym szczególnym. Nie każdy może się identyfikować z Corranem Hornem z koreliańskiej służby bezpieczeństwa czy z Brorem Jacem, milionerem i księciem z produkującego bactę monopolu Thyferry. Każdy jednak pilot-ofierma, który przyłączy się do Sojuszu, choć przedtem popełnił jakiś błąd i zniweczył szansę na awans, będzie miał potem okazję ją odzyskać, zmaże plamę na honorze i...

- Tak, tak. - Crespin uciszył go niecierpliwym machnięciem ręki. Bardzo dobrze, komandorze. Pański zapal jest dla mnie oczywisty, a powody wydają mi się przekonująco uzasadnione. Niech pan robi, co uważa za słuszne, ale proszę pamiętać, że, moim zdaniem, ten eksperyment jest skazany na niepowodzenie... I że nie omieszkać po nim posprzątać, kiedy zakończy się katastrofą.

- Tak jest, panie generale.

- Musi pan także pamiętać o kilku zmianach, jakie wprowadziliśmy, odkąd ostatnio pan tu stacjonował - ciągnął Crespin. - Może pan zauważył podczas lądowania, że ograniczyliśmy do niezbędnego minimum wysyłanie wszelkich sygnałów. Nadajniki wizualnych sygnałów namiarowych włączamy tylko wtedy, kiedy potrzebują ich piloci lądujących jednostek.

- Zauważyłem to, panie generale - przyznał Antilles.

- Musimy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. Ataki Zsinja stają się coraz częstsze i bardziej bezczelnie. Od czasu do czasu zdarzają się także błędy, jak wówczas, kiedy zdrajczynią okazała się pańska pilotka, Erisi Dlarit...

Wedge powściągnął wzbierającą w nim kolejną falę gniewu.

- Powinienem przypomnieć, że została przyjęta do Eskadry Łotrów z powodów politycznych, panie - generale - powiedział. - To nie ja ją zwerbowałem. A poza tym, jak się przekonaliśmy, jej mocodawcy zachowywali dla siebie wszystkie informacje na temat bazy Folor, jakie im przekazywała. Nie dzielili się nimi z odszczepieńcami pokroju Zsinja. A dziś nie żyją.

- Nieważne - burknął Crespin. - Musimy zachowywać wszelkie możliwe środki ostrożności. Dopóki się znajdujemy blisko granicy, będziemy narażeni na napaści w rodzaju tych, w jakich lubuje się Zsinj. Żaden z pańskich pilotów nie powinien wiedzieć, gdzie przebywa. Podobną procedurę należy zastosować także względem pańskich pechowców.

- Rozumiem, panie generale.

- To dobrze. - Na twarzy Crespina odmalowało się nagle ogromne zmęczenie. Wedge zastanawiał się, ilu oficerów ośmiela się obstawać przy swoim albo regularnie przedstawia generałowi swoje argumenty... choćby nawet tak spokojnie i uprzejmie, jak on. - Może pan odejść.

ROZDZIAŁ 3

- Wyglądasz, jakbyś stoczył kilkurundowy pojedynek z rankorem.

- Dzięki, Wes - odparł Antilles. - Generalowi Crespinowi na pewno spodobałoby się to porównanie.

Podszedł do biurka, ciężko westchnął, usiadł na krześle i oparł o blat obcasów butów. Gabinet mieścił się w kiepsko oświetlonym magazynie, w którym nawet nie zawieszono holoeckranu, żeby wyświetlać kojące wizerunki odległych krajobrazów. Rolę krzesła pełnił zamontowany na grubej sprężynie i metalowej ramie wysłużony fotel katapultowy, a za biurko służył fragment metalowej przegrody spoczywający na dwóch niskich szafkach na dokumenty. Mniej więcej tak samo wyglądała większość pomieszczeń niedoinwestowanej bazy Folor. Janson siedział na podobnym fotelu pod ścianą pomieszczenia, a trzeci fotel katapultowy stał po drugiej stronie biurka, naprzeciwko Wedge'a.

- Mamy na dzisiaj jakichś kandydatów? - zainteresował się Antilles.

- Mamy - odparł Wes. - Prawdopodobnie ostatnią grupę, jeżeli zdążyli przylecieć wszyscy spóźnialscy.

- No to do roboty. Kto pierwszy? - zapytał Wedge.

Od pierwszego dnia kwalifikacyjnych rozmów przyjął prostą i skuteczną zasadę. Przed rozmową z poszczególnymi kandydatami nie pozwalał, żeby Janson przedstawił mu ich życiorysy, przebieg dotychczasowej służby czy rejestr ewentualnych przewinień, dzięki czemu nie nabierał żadnych uprzedzeń. Dawało mu to możliwość wsłuchiwania się w podszepty przecucia.

Janson zerknął na ekran komputerowego notatnika.

- Nazywa się Kettch i jest Ewokiem - powiedział. Wedge się wyprostował.

- Nie.

- Tak - odparł Janson. - Zdecydowanym walczyć do ostatniej kropli krwi Ewokiem. Powinieneś posłuchać, jak mówi „zyg, zyg”. Uważa to za coś w rodzaju okrzyku bojowego.

- Posłuchaj, Wes - odezwał się udręczonym tonem Antilles. - Nawet jeżeli zdołamy go wyszkolić, żeby spełniał wymagania stawiane pilotom gwiazdnych maszyn Sojuszu, Ewok jest po prostu za mały. Nie da rady osiągnąć urzędzeń kontrolnych X-winga.

- Obiecał, że pragnąc zwiększyć zasięg kończyn, podczas lotu będzie zakładał na ręce i nogi specjalne protezy - wyjaśnił Janson. Podobno wykonał je dla niego litościwy android medyczny. Kettch bardzo chciałby zostać pilotem, komandorze.

Wedge zgarbił się i zakrył dłonią oczy.

- Proszę, powiedz, Wes, że żartujesz - odezwał się błagalnym tonem.

- Oczywiście, że tak - przyznał beztrąsko Janson. - Pierwszą kandydatką jest kobieta z Tatooine. Nazywa się Falynn Sandskimmer.

- Jeszcze kiedyś cię dopadnę, Janson.

- Zyg, zyg, komandorze!

- Poproś ją do środka.

Znacznie później tego samego dnia Wedge zrobił przerwę, żeby jeszcze raz przejrzeć listę kandydatów, z którymi rozmawiał do tej pory.

Pilotka z Tatooine miała znakomite wyniki i tytuł asa pilotażu, ale jej kariera wojskowa legła w gruzach z powodu czegoś, co określano jako „chroniczną arogancję”. Chodziło o to, że nie umiała się powstrzymać od mówienia ironicznym tonem, ilekroć zwracała się do wyższych stopniem oficerów, których nie uważała za godnych jej szacunku. Dochodziła do tego nieumiejętność przestrzegania wojskowej dyscypliny. Wedge był ciekaw, w jakim stopniu mogłoby to wpłynąć na jej karierę kilka lat wcześniej, kiedy Nowa Republika nazywała się jeszcze Sojuszem Rebeliantów, a wojsko było mniej sformalizowaną organizacją, w której szorstki indywidualizm stanowił raczej normę niż wyjątek.

Zastanawiał się także, czy do dwóch degradacji, jakie przekreśliły otrzymane nieco wcześniej dwa awanse, nie przyczynił się stosunek Falynn Sandskimmer do pewnego bohatera Nowej Republiki. Zapytana o Luke’a Skywalkera kobieta wzruszyła ramionami.

- Czy może pan to sobie wyobrazić? - zapytała. - Porównywano mnie do niego całe dorosłe życie tylko dlatego, że oboje jesteśmy pilotami z Tatooine. Nie, nigdy nie spotkałam Luke’a Skywalkera. Prawdę mówiąc, żałuję, że w ogóle o nim usłyszałam.

Taka postawa z pewnością nie zjednywała jej serc przyjaciół Luke’a, ale Wedge, który i siebie zaliczał do grona jego przyjaciół, po prostu wzruszył ramionami. Kobieta była dla niego wartościowym nabytkiem ze względu na umiejętności, a nie na brak szacunku dla dobrego przyjaciela.

Drugi kandydat, mężczyzna z Etti Cztery, miał stanąć przed sądem wojennym za kradzież. W rozmowie z Antillesem wyraził jednak przekonanie, że zostanie uniewinniony, i poprosił o szansę wykazania się swoimi umiejętnościami. Minutę po jego wyjściu Wedge zauważył, że z blatu biurka zniknął oprawiony w ramki hologram jego dawno zmarłych rodziców. Wysłał Jansona w pogoń za nałogowym złodziejaskiem i skreślił jego nazwisko z listy potencjalnych pilotów.

Trzecim kandydatem był Talz, porośnięty białą sierścią człekokształtny mieszkaniec Alzoca Trzy. Jeszcze jako imperialny niewolnik nauczył się pilotować frachtowce dla Sojuszu Rebeliantów, a kiedy rok przed śmiercią Imperatora zaczęło brakować dobrych pilotów, postanowił spróbować sił za sterami gwiazdowego myśliwca. Z jego akt wynikało jednak, że w ciągu ostatnich kilku lat cierpiał na psychosomatyczną dolegliwość, która zwiększała prawdopodobieństwo załamania nerwowego. Ocena stanu jego umysłu sugerowała, że problemy te wynikają z konfliktu między wrodzonym łagodnym usposobieniem a zadaniami pilotów gwiazdnych maszyn, polegającymi na niszczeniu nieprzyjacielskich celów.

Wedge i Janson poddali kandydata testowi na symulatorze, na którym odtworzono sytuację i działania floty podczas bitwy o Endor. Talz znalazł się w środowisku pełnym potencjalnych celów. Wiedział, że najlepszymi pilotami są osoby o największej liczbie zestrzeleń. Z początku radził sobie nawet całkiem nieźle, ale Antilles i jego zastępca obserwowali z narastającym niepokojem, jak odczyty wskaźników parametrów jego organizmu zbliżają się do czerwonych kresek, a potem nawet je przekraczają. Życzyli rozczarowanemu kandydatowi pomyślnego lotu do domu i zalecili powrót do pilotowania gwiazdnych frachtowców.

- Dzisiejszy numer cztery to porucznik Myn Donos - oznajmił Janson, kiedy zawiedziony Talz wyszedł z gabinetu.

Wedge obrzucił zastępcę współczującym spojrzeniem.

- Miałeś okazję z nim porozmawiać? - zapytał.

- Nie. Dopiero przyleciał z bazy - odparł Wes. - Wywiad wojskowy Nowej Republiki oczyścił go z wszelkich zarzutów.

- To dobrze. Wezwij go.

Janson powiedział coś do mikrofonu komunikatora i chwilę później do pomieszczenia wszedł szczupły mężczyzna w standardowym pomarańczowym kombinezonie lotniczym Nowej Republiki. Był trochę więcej niż przeciętnego wzrostu, miał okrągłą twarz, a na głowie szopę dość długich czarnych włosów. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Zasalutował i opuścił rękę dopiero, kiedy Wedge odpowiedział na wojskowe pozdrowienie.

- Poruczniku Donos, proszę usiąść - powiedział.

- Dziękuję, panie komandorze - odparł mężczyzna. Usiadł sztywno, jakby kij połknął.

- Słyszałem, że dowództwo zapoznało się ze wszystkim, co wydarzyło się na Gravano Siedem, i wyraziło zgodę na pańską dalszą służbę w eskadrze gwiazdnych myśliwców - zaczął. - Moje gratulacje.

- Dziękuję, panie komandorze - powtórzył Donos, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

Wedge zerknął na coraz bardziej zaintrygowanego Jansona, który nie odrywał spojrzenia od pilota.

- Zapewne pan słyszał, że tworzymy nową eskadrę myśliwców typu X-wing? - zapytał.

- Tak jest, panie komandorze.

- Jest pan zainteresowany przeniesieniem do niej?

- Tak jest, panie komandorze.

W głosie pilota nie było ani entuzjazmu, ani bólu, który z pewnością odczuwał po zagładzie swojej eskadry. Wedge ponownie zerknął na zastępcę. Janson rozsiadł się wygodniej na fotelu. Nadal patrzył na Donosa, ale wyglądał na coraz bardziej zdziwionego.

- Wes powiedział mi, że zanim przyłączył się pan do Sojuszu, należał pan do koreliańskich sił zbrojnych - ciągnął. - Był pan strzelcem wyborowym elitarniej jednostki, której zadaniem miało być tłumienie ewentualnych powstań.

- To prawda, panie komandorze.

- Czy nadal jest pan równie dobrym strzelcem, jak kiedyś?

- Nie, panie komandorze - Donos pokręcił lekko głową. - W ciągu ostatnich trzech lat nie miałem wielu okazji szlifowania umiejętności.

- Czy gdyby pan poćwiczył, zdołałby pan osiągnąć poprzednią sprawność?

- Tak, proszę pana - odparł pilot, a w jego głosie nadal nie słyszało się dumy ani entuzjazmu.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia co do roli, jaką odgrywają strzelcy wyborowi podczas operacji wojskowych?

- Nie, panie komandorze. Bez względu na to, jaką powierzy mi się rolę, moje zadanie ma polegać na eliminowaniu nieprzyjaciół.

- Racja - przyznał Antilles. - Słyszałem także, że jeszcze na Korelii odznaczono pana za wybitną odwagę, co upoważnia pana do noszenia koreliańskich czerwonych lampasów. Widzę jednak, że pan ich nie nosi. Wolno spytać, dlaczego?

Donos nie od razu odpowiedział.

- Wydawało mi się to trochę śmieszne, panie komandorze - odezwał się w końcu. - Równie dobrze mógłbym nosić plaketkę głoszącą: „Jestem wspaniałą osobą i nie skąpię jałmużny wszystkim,

którzy jej potrzebują”. Nie widzę w tym większego sensu.

- Rozumiem - odparł Antilles. Starał się dostrzec choćby odrobinę irytacji, dumy, bólu... czegokolwiek w zachowaniu albo wyrazie twarzy kandydata, ale nadaremnie. - No cóż, witamy w eskadrze.

Potrząsnął dłonią Donosa. Wymienili saluty i porucznik wyszedł.

- Kiedyś nosił te czerwone lampasy - oznajmił Janson. - Nie zauważyłem, że ich nie ma, dopóki nie zwróciłeś na to uwagi. To nie ten sam Donos, którego szkoliłem.

- To ciekawe... - Wedge zaczął się zastanawiać. - Ile dni upłynęło, odkąd Eskadra Szponów wyleciała na ostatnią wyprawę, do chwili, kiedy Donos z niej powrócił? Czy nieprzyjaciele mogli mieć dość czasu, żeby pochwycić go i przeprogramować?

Janson pokręcił głową.

- W jego raporcie nie ma ani jednej luki, podczas której mógł choćby tylko wyskoczyć do kantyny na szklaneczkę czegoś mocniejszego powiedział. - Nic nie wskazuje, żeby opuszczał kabinę swojego X-winga. To on, ale zarazem ktoś inny. Nie zdecydował się nawet spojrzeć mi prosto w oczy.

- No cóż, przekonamy się, jak będzie sobie radził - odparł Wedge. Jeżeli zauważymy choćby najłżejsze oznaki załamania albo problemy psychologiczne wskazujące na konieczność dłuższego wypoczynku, natychmiast skreślę go z listy kandydatów.

- Jasna sprawa - zgodził się Janson.

- Odebraliśmy nadprzestrzenny sygnał, panie admirale!

Siedzący na fotelu dowódcy admirał Apwar Trigit spojrział w dół, na zagłębienie ze stanowiskami dla personelu obsługi urządzeń mostka. Dobrodusznie się uśmiechnął.

- Skąd pochodzi? - zapytał.

- Kod nagłówka wskazuje, że nadano go z bazy Rankor, a nadawcą jest sam lord Zsinj - odparł oficer łącznościowiec.

- Odbiorę go w osobistej kajucie komunikacyjnej - zdecydował admirał. Wstał i omiół spojrzeniem stanowiska kontrolne mostka imperialnego gwiazdowego niszczyciela. Był świadom, że jego siwiejące czarne włosy i broda, szczupła sylwetka i srebrzysto-czarny mundur, który osobiście zaprojektował, nadają mu imponujący wygląd. Opuszczając mostek, starał się stąpać z godnością i sprężystością. Wprawdzie służył lordowi Zsinjowi, ale nie zamierzał tego podkreślać. Jego starsi oficerowie muszą pamiętać, że jest sam sobie panem, a Zsinj tylko korzysta z usług jego i pozostałych członków załogi „Nieubłaganego”.

Dotarł do kulistej komnaty przeznaczonej do prowadzenia osobistych rozmów i pstryknął przełącznikiem na głównej konsolce. Natychmiast pojawił się przed nim trójwymiarowy wizerunek Zsinja. Dwukrotnie większy niż w rzeczywistości, władca siedział na czarnym fotelu dowódcy. Bez wątplenia przebywał na pokładzie „Żelaznej Pięści”. Był ubrany w nieskazitelnie odprasowany biały mundur z odznaką imperialnego wielkiego admirała. Wprawdzie nigdy nie awansował do tak wysokiego stopnia, ale miał na tyle dużą władzę, że nikt by się nie ośmielił zarzucić mu zarozumiałstwa ani przesadnej pewności siebie.

Trigit uśmiechnął się na myśl o tym, jaką osobowość Zsinj zawsze demonstrował.

- Mój panie, jesteś tak wielki, że nadwerzę sobie szyję, jeżeli będę się dłużej w ciebie wpatrywał - powiedział.

Powoli pokręcił gałką wzmacniacza i zmniejszył wizerunek lorda do rozmiarów tylko trochę większych niż naturalne. Starał się nie uzewnętrzniać zachwyty, w jaki wprawiło go kurczenie

wizerunku Zsinja. W imperialnych siłach zbrojnych zostałyby to uznane za przejaw najwyższego zuchwalstwa i Trigit mógłby mówić o wielkim szczęściu, gdyby skończyło się na powierzeniu mu obowiązków pilota płaskodennej barki na odpadki.

Tymczasem lord Zsinj - siwiejący i łysiejący, otyły mężczyzna o rumianej twarzy i nadających mu egzotyczny wygląd obwisłych wąsach obdarzył go łaskawym uśmiechem.

- Zapoznałem się z twoim ostatnim raportem, Apwarze - zaczął pogodnie. - Chciałbym ci pogratulować zniszczenia rebelianckiej Eskadry Szponów.

Trigit uśmiechnął się sardonicznie i podziękował mu lekkim ukłonem.

- Dziękuję, lordzie - powiedział. - Komputerowa włamywaczka, której udało się umieścić w rebelianckiej bazie danych informację o rzekomym bezpieczeństwie systemu Gravana, doniosła mi później, że Eskadrę Szponów w ogóle skreślono z ewidencji formacji nieprzyjaciół.

- A ten pilot, który zdołał wymknąć się z zasadzki? - zainteresował się Zsinj. - To było zamierzone, czy też udało mu się uciec przez przypadek? Twój raport nie udziela jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

- Dokładaliśmy wszelkich starań, żeby go zabić - przyznał admirał. - Uratował się tylko dzięki niebywale szybkim reakcjom. W końcowej analizie dowodzę jednak, że stało się lepiej, niż gdybyśmy wykończyli wszystkich. Z pewnością opowiedział przełożonym o pogromie. Odtąd nieprzyjaciele zaczną się martwić, że nasi znakomicie wyszkoleni i sprytni piloci potrafią niszczyć eskadry myśliwców typu X-wing bez ponoszenia poważnych strat własnych. Jeszcze kilka takich akcji i na myśl o nas będą czuli nadprzyrodzony lęk.

Zsinj uśmiechnął się i pokiwał głową.

- A co się stało z komputerową włamywaczka? - zapytał. - Nie obawiasz się, że nieprzyjaciele schwytają ją i zmuszą do gadania?

- To wykluczone - odparł Trigit. - Kobieta zdążyła w porę opuścić bazę Rebeliantów. Wydałem rozkaz, żeby wróciła na pokład „Nieubłaganego”, gdzie zamierzam powierzyć jej inne obowiązki.

- A nie byłoby prościej, gdybyś japo prostu zlikwidował? - zaproponował Zsinj. - Twoja poprzednia mocodawczyni z pewnością właśnie tak by postąpiła.

- Ysanna Isard rzeczywiście utrzymywała oficerów i podwładnych w ciągłym strachu - zgodził się z nim Trigit. - I eliminowała ich, kiedy zawodzili jej zaufanie, przestawali być użyteczni albo w jakikolwiek sposób przeszkadzali w realizacji planów. Wiedzieli, że nie mają przed sobą szczęśliwej przyszłości. Nie mogli się spodziewać lukratywnej emerytury. Jeżeli nie chcieli ginąć w jej służbie, musieli snuć plany ucieczki. Nie uważam tego za najlepszy sposób zaskarbienia sobie lojalności podwładnych, toteż tak nie postępuję.

- To dobrze - mruknął Zsinj. - jednak w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego zdecydował się pan ponosić znaczne koszty tej rozmowy - ciągnął admirał.

Zsinj uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chciałbym się dowiedzieć, jak wyglądają pierwsze wyniki projektu „Morrt” - powiedział.

- No cóż, do tej pory wysłano do akcji pierwsze kilka tysięcy pasożytujących robotów klasy Morrt - odparł Trigit. - Prawdę mówiąc, otrzymałem już kilka wstępnych raportów. Większość sygnałów trafiła do gęsto zaludnionych znanych ośrodków... imperialnych, rebelianckich i niezależnych. Wiemy także, że sygnały docierały do nieznanymi miejsc, a także do miejsc oznaczonych jako zniszczone albo opuszczone. Kiedy dotrze ich jeszcze więcej, będziemy mogli się rozejrzeć.

- To dobrze - powtórzył Zsinj. - Informuj mnie na bieżąco, proszę, o wszystkich ciekawych poczynaniach.

- Jak zawsze, mój panie - odparł Trigit.

Zsinj skwitował jego zapewnienie lekkim kiwnięciem głowy. Jego wizerunek rozplątał się i zniknął.

Admirał ciężko westchnął. Pomyślał, że z Zsinjem rozmawia mu się o wiele łatwiej niż z Ysanną Isard. Znana jako Lodowe Serce była przywódczyni imperialnego wywiadu poniosła śmierć z rąk pilotów Eskadry Łotrów. W przeciwieństwie do niej Zsinj rozumiał o wiele lepiej, że nie ma sensu ponosić niepotrzebnych strat poprzez eliminowanie podwładnych dla kaprysu. Chciał jednak być informowany na bieżąco o każdej operacji i wtykał nos w plany każdego nowego przedsięwzięcia. Stawał się coraz bardziej nieznośny.

No cóż, dopóki zachowywał się rozsądnie i zaopatrywał „Nieubłaganego” we wszystko, co potrzebne: paliwo, systemy uzbrojenia, żywność i informacje, Trigit zgadzał się pozostawać w jego służbie. To było o wiele lepsze, niż gdyby miał samemu kroczyć wojenną ścieżką samotnego lorda.

I tak zresztą nie zamierzał na nią wchodzić, dopóki nie będzie dysponował wystarczającą potęgą i przewagą, żeby dorównać Zsinjowi.

- Jeszcze ktoś? - zapytał Wedge.

Janson zerknął na wyświetlacz chronometru.

- Robi się późno - zauważył - ale pozostało nam już tylko dwóch kandydatów.

- Dzisiaj czy w ogóle? - zainteresował się Antilles.

- W ogóle - odparł jego zastępca. - Traktujesz nas jak niewolników, ale dzięki temu prawie zakończyliśmy pierwszy etap oceny. Janson przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notatnika. - Następny to Voort saBinring. Gamorreanin - dodał z powagą.

- Cha, cha. Bardzo zabawne - burknął Wedge. - Pierwszy raz dałem się nabrać, Wes, ale drugi raz nie uda ci się taka sztuka.

- To naprawdę Gamorreanin - upierał się Janson. Zielonoskórzy Gamorreanie mieli głowy podobne do świńskich pysków i pełnili służbę na wielu planetach galaktyki jako niewykwalifikowani strażnicy i funkcjonariusze oddziałów miejscowych policji. Prymitywne istoty nie interesowały się najnowszymi osiągnięciami nauki. Nie nadawały się też do wykonywania prac wymagających znajomości zasad działania nawet najprostszych mechanizmów, nie wspominając o średnio skomplikowanych urządzeniach elektronicznych.

- To wykluczone, żeby wyszkolić Gamorrean do czegoś równie trudnego jak pilotowanie gwiazdowego myśliwca - ciągnął Antilles. - Te istoty mają zakłóconą równowagę gruczołową, w wyniku czego bywają niezwykle gwałtowne, niecierpliwe i agresywne.

- To naprawdę Gamorreanin - upierał się Janson.

- No dobrze, niech ci będzie - odparł zrezygnowany Wedge. Udam, że i tym razem dałem się nabrać. Proś go do środka.

Janson zbliżył do ust mikrofon komunikatora. Chwilę później do pomieszczenia wszedł i zasalutował prawie dwumetrowego wzrostu Gamorreanin. Był ubrany w standardowy mundur pilota Nowej Republiki... jaskrawopomarańczowy kombinezon lotniczy, paskudnie kontrastujący z zieloną skórą.

Janson spojrzał na Antillesa i przymilnie się uśmiechnął.

- Zyg, zyg, komandorze - powiedział.

Kiedy Gamorreanin się odezwał, najpierw wydawał nieprzyjemnie drażniące ludzkie ucho, ale naturalne dla istot tej rasy pomruki, pochrząkiwania i piski. Dopiero po jakiejś sekundzie przedarł się przez nie drugi głos, sztuczny, wytwarzany za pomocą zainstalowanego w krtani istoty mechanicznego urządzenia.

- Nie, panie komandorze - powiedział saBinring. - Nie mieszkałem pośród innych istot swojej rasy od czasu, kiedy byłem dzieckiem.

Zaskoczony Wedge odchrząknął.

- Z pewnością rozumiesz, że jeszcze nigdy nie znajdowałem się w podobnej sytuacji - powiedział. - No cóż, zechciej mi wybaczyć, ale jestem ciekaw, jak przezwyciężyłeś ograniczenia swojego organizmu i nauczyłeś się pilotować gwiazdne statki.

- Nie musiałem tego robić - wyjaśnił pilot. - Dokonano na mnie pych zmian siłą i pod przymusem w ramach tak zwanego programu LProdukt Biomedyczny Binringa”.

- Słyszałem już kiedyś tę nazwę - przyznał Antilles. - Dostarczają żywności siłom zbrojnym Imperium... paskudnych zielonkawych papek odżywczych, które, przynajmniej w teorii, nigdy się nie psują. Jedzenie w sam raz dla szturmowców.

Gamorreanin kiwnął głową.

- Dokonują również zmian w organizmach zwierząt, żeby przystosować je do życia w środowiskach różnych planet - powiedział. - Prowadzą prócz tego wiele mniej zdrowych doświadczeń. Jestem rezultatem jednego z nich. Dla celów szpiegowskich Imperator chciał mieć Gamorrean, którzy umieliby zachowywać się jak ludzie, dokonano więc zmian procesów biochemicznych zachodzących w moim organizmie. Potrafię koncentrować się dłużej niż istoty ludzkie. Z moimi matematycznymi zdolnościami mógłbym pretendować do miana geniusza. Nie wpadam w gniew ani nie tracę panowania nad sobą.

- To był imperialny projekt? - Wedge zaczął się zastanawiać. - Ilu jeszcze twoich ziomków dysponuje podobnymi umiejętnościami?

- Ani jeden - odparł spokojnie saBinring. - Tylko w moim przypadku doświadczenie zakończyło się sukcesem.

- Dla innych... hm... obiektów doświadczenia okazały się zgubne?

- W pewnym sensie - przyznał Gamorreanin. - Wszyscy inni popełnili samobójstwo.

- Dlaczego?

- Gdybym wiedział, należałbym do ich grona - oznajmił niezwykły pilot. - Jestem jednak pewien, że to miało związek z poczuciem [Samotności. Jak pan by się czuł, gdyby musiał pan żyć pośród Gamorjrean ze świadomością, że jest pan jedynym myślącym człowiekiem BN galaktyce, a wszyscy inni ludzie wokół pana to krwiożercze dzikusy?

I - Słuszna uwaga. - Wedge usiadł wygodniej na fotelu i zadumał się nad tym, co usłyszał. Perspektywa znalezienia się w podobnej sytuacji była rzeczywiście niezbyt pociągająca. - Jak to się stało, że przyłączyłeś się do Sojuszu? - zapytał w końcu.

- Jeden z moich twórców, który obserwował, jak pozostałe... dzięki się zabijają, jedno po drugim, polecił, żeby poddano mnie różnym [ćwiczeniom i testom na symulatorze. Podobno chodziło mu o określenie mojego poziomu umysłowego. Przynajmniej tak wówczas twierdził.

W rzeczywistości starał się nauczyć mnie sztuki pilotowania różnych imperialnych i sojuszniczych gwiazdnych statków. Później zorganizował moją ucieczkę z ośrodka Binringa. Po wielu przeżyciach i przygodach trafiłem na Obroa-skai.

- Na planetę przemienioną w bibliotekę - wtrącił Antilles.
- Wiele się tam nauczyłem i w końcu postanowiłem przyłączyć się do Sojuszu.
- A twój, uhhh... twórca? - zapytał Wedge. - Nie zdecydował się uciec z ośrodka Binringa?
- Odczuwał wyrzuty sumienia, że stanął na czele takiego eksperymentu - odparł Gamorreanin. - Zdecydował się podążyć śladami pozostałych dzieci.

Wedge się skrzywił.

- Przejdźmy do rzeczy - zaproponował. - Z twoich akt wynika, że masz problemy z temperamentem. Czeka cię sąd wojenny za napaść na przełożonego oficera, który oświadczył jednak, że zgodziłby się wycofać oskarżenie, gdyby przeniesiono cię możliwie najdalej poza zasięg jego władzy. Co powiesz na ten temat?

Gamorreanin poświęcił kilka chwil, żeby się zastanowić nad odpowiedzią.

- W Nowej Republice służą piloci dwóch rodzajów - odezwał się w końcu. - Do jednej grupy zaliczają się ci, którzy służyli kiedyś w siłach zbrojnych Imperium. Wielu spośród nich wciąż jeszcze nie potrafi się pozbyć irracjonalnej niechęci do istot niebędących ludźmi. Do drugiej należą ci, którzy mają niemiłe doświadczenia po kontaktach z Gamorreanami.

- Wybacz, ale nie zgadzam się z tobą - oznajmił Antilles.

- Pańskie doświadczenia są inne niż moje - odparł saBinring. A z moich wynika, że gamorreński pilot może się spodziewać większej porcji zniewag i obelg ze strony swoich towarzyszy, niż gdyby był człowiekiem. Nie tylko kawałów i głupich dowcipów. Czasami nawet sabotażu. Kłamstw i oszczerstw. Różnych prowokacji.

- Czy to ma znaczyć, że nie uderzyłeś tego oficera? - zapytał Wedge.

- Spuściłem lanie kilku kolegom pilotom podczas niezbyt ostrych walk, jakimi nieuchronnie kończyły się rzucane mi wyzwania - zaczął saBinring. - Nigdy jednak nie musiałem się bić więcej niż z jednym naraz. Z pewnością pan zauważył, że tamten oficer złożył na piśmie swoją skargę zaledwie pół godziny po tym, jak podobno go uderzyłem. Żadna osoba, której kiedykolwiek wymierzyłem cios, nie była zdolna mówić do rzeczy po upływie trzydziestu minut od jego zadania. Panie komandorze, w rzeczywistości to on mnie chciał uderzyć, a ja tylko zablokowałem jego cios. Postanowił uznać to za napaść. Zgadza się zrezygnować z podtrzymywania oskarżenia tylko dlatego, że nie czuje się wystarczająco silny, aby przyjąć odpowiedzialność za to, że mnie prześladowa. Antilles znów pogrążył się w zadumie.

- No cóż, na razie to wszystko - oznajmił w końcu. - Ćwiczenia kandydatów zaczynają się jutro rano. - Wstał z fotela, a kiedy pozostali poszli w jego ślady, uścisnął dłoń saBinringa. - A przy okazji, jak chcesz, żebyśmy cię nazywali? - zapytał. - Voort?

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyście tak na mnie mówili - odparł Gamorreanin. - Wielu innych nazywa mnie Prosiakiem. Nie przeszkadza mi to, bo potrafię ignorować zawartą w tym określeniu zniewagę.

Wedge i Janson wymienili spojrzenia.

- Porucznik i ja znaleźliśmy kiedyś znakomitego pilota - zaczął Antilles. - Mężczyznę, którego także nazywano Prosiakiem. W naszej eskadrze nie będziesz musiał czuć się dotknięty tym przezwiskiem. Wręcz przeciwnie. Może to stanowić coś w rodzaju honorowego wyróżnienia. Mam nadzieję, że na nie zasłużysz.

- Będę się o to usilnie starał, panie komandorze - zapewnił go saBinring.

Kiedy Gamorreanin wyszedł, Wedge spojrzał znów na zastępcę.

- Zastanawiam się, co powiedziałyby o jego umiejętnościach Prosiak Porkins - powiedział.

Janson wzruszył ramionami.

- Dowiemy się tego, kiedy polatamy z saBinringiem - odparł.

- No cóż, kto następny? - zainteresował się Antilles. - Mynock? Szczur womp?

- O rety, ale z ciebie paranoik - obruszył się Janson. - Nie, następnym i ostatnim kandydatem jest mężczyzna. Nazywa się Kell Tainer i pochodzi ze Sluis Vana. Przypuszczam, że to idealny dowódca. Z pewnością chciałbyś go widzieć na swoim miejscu, kiedy nadejdzie pora twojego powrotu do Eskadry Łotrów. Naturalnie, zakładając, że Myn Donos nie stanie się znów sobą.

- To dobrze - mruknął Wedge. - Każ mu wejść.

Chwilę później do pomieszczenia wszedł podporucznik Tainer. Antilles uśmiechnął się w duchu na jego widok. Był gotów się założyć, że generał Crespin polubiłby tego kandydata.

Kell Tainer miał prawie dwa metry wzrostu, a jego sympatyczna, ostro wyrzeźbiona twarz na pewno prezentowałaby się doskonale na wszystkich hologramach. Krótko obcięte ciemne włosy kontrastowały z jasnoniebieskimi oczami... tak intensywnie błękitnymi, że gdyby były kilka odcieni jaśniejsze, nadawałyby mężczyźnie wygląd szaleńca, ale i tak odnosiło się wrażenie, że przeszywają na wskroś, wręcz hipnotyzują. Kandydat wyglądał jak atleta. Prawdę mówiąc, był zbyt rozrośnięty w barach, żeby czuć się swobodnie na fotelu pilota w niewielkiej kabinie X-winga. Z pewnością jednak wiedział, jak uporać się z takim problemem.

Podszedł do biurka, stanął na baczność i salutował tak długo, aż Wedge odpowiedział na wojskowe pozdrowienie.

- Podporucznik Tainer melduje się na rozkaz, panie komandorze wyskandował. - Rozmowa z panem to dla mnie prawdziwa przyjemność.

- I wzajemnie - odparł zwięźle Antilles. - Pozwól, że przedstawię ci swojego zastępcę, porucznika Jansona.

Kell obrócił się do mężczyzny i jeszcze zanim Wedge umilkł, zaczął salutować, Antilles zauważył jednak, że w połowie obrotu pilot nagle się wyprostował, a rysy jego twarzy wyraźnie stężały. Skończył salutować jak automat i nawet nie spojrzał w oczy Jansona.

- Porucznika Wesa Jansona, panie komandorze? - zapytał. Zastępca Antillesa sprawiał wrażenie oszołomionego i dezorientowanego zachowaniem Tainera.

- Tak, to ja - powiedział. Dopiero po pewnym czasie przypomniał sobie, żeby zsalutować.

Kell odwrócił się znów do Wedge'a, ale chyba spoglądał na coś, co znajdowało się nad jego głową.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział. - Nie mogę zostać pilotem tej eskadry. Wycofuję swoje podanie. Proszę o pozwolenie odejścia.

- Dlaczego? - zapytał zdumiony Antilles.

- Wolalbym tego nie mówić, panie komandorze.

- To zrozumiałe - mruknął Wedge. - A teraz proszę odpowiedzieć na pytanie.

Kell wzdrygnął się, jakby nie potrafił zapanować nad mięśniami. Z początku wahał się, co powiedzieć.

- Ten człowiek... zabił mojego ojca, panie komandorze - wykrztusił półgłosem. - Czy mogę teraz odejść?

Wyraźnie wstrząśnięty Janson obszedł biurko i stanął obok Wedge'a. Przyjrzał się uważnie twarzy Kella i w końcu chyba coś skojarzył.

- Tainer... - zaczął. - Chyba nie zawsze się tak nazywałeś, prawda?

- Nie, panie poruczniku.

- Nazywałeś się kiedyś Doran.

- Tak jest, panie poruczniku.

Janson obrócił głowę i spojrzał w inną stronę, jakby usiłował sobie przypomnieć wydarzenia sprzed wielu lat.

- Czy mogę odejść, panie komandorze? - powtórzył Kell, zwracając się do Wedge'a.

- Możesz, ale zaczekaj w korytarzu - rozkazał Antilles. Młody pilot odwrócił się i wyszedł.

Wedge spojrzał na zastępcę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał.

ROZDZIAŁ 4

Janson podszedł do swojego fotela i usiadł na nim, nie patrząc. Sprawiał wrażenie tak głęboko pogrążonego w rozpatrywaniu wydarzeń z odległej przeszłości, że nie widział niczego, co go otacza.

- Moje pierwsze zestrzelenie... - odezwał się cicho. - Czy kiedykolwiek ci wspominałem, że pierwszą zestrzeloną przeze mnie osobą był pilot Sojuszu?

- Nie.

- Założę się, że nikt nie chwaliłby się czymś takim - ciągnął porucznik. - Jako bardzo młody pilot latałem w Żółtych Asach Tierfona. Razem z Jękiem Porkinsem.

- Dobrym, starym Prosiakiem? Janson kiwnął głową.

- Pierwszym, który tak się nazywał - przyznał ponuro. - W tamtych czasach nierzadko zdarzało się, że eskadra ćwiczebna otrzymywała zadanie wyruszenia na bojową wyprawę, w której powinni brać udział tylko doświadczeni piloci...

- Chcesz powiedzieć, że to zupełnie jak dzisiaj - wtrącił Antilles.

- No cóż, podobne sytuacje nie zdarzają się dzisiaj aż tak często. Dobrze o tym wiesz. Tamtego dnia otrzymaliśmy rozkaz urządzenia zasadzki na imperialny frachtowiec i eskortujące go myśliwce typu T1E. Nieprzyjacielski konwój zmierzał do tymczasowej imperialnej bazy zaopatrzeniowej, o której udało się nam dowiedzieć. Lataliśmy wówczas Y-wingami. Piloci jednej grupy Żółtych Asów mieli tylko przelecieć nad bazą, ostrzelać ją i zniknąć, żeby w pościg za nimi rzucili się piloci stacjonujących w bazie imperialnych maszyn. Pozostałe Asy miały zaatakować frachtowiec i opanować go, gdyby miało okazać się to możliwe. Naprawdę bardzo potrzebowaliśmy paliwa i żywności.

- I co się stało? - zapytał Wedge.

- Pierwsza faza operacji potoczyła się zgodnie z planem - ciągnął Janson. - Kiedy jednak nadleciał frachtowiec, z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że towarzyszy mu dwukrotnie więcej myśliwców typu T1E, niż nam powiedziano. Na ich widok jeden z naszych ludzi, Kissek Doran, były pilot frachtowca z Alderaana, wpadł w panikę i usiłował czmychnąć swoim Y-wingiem z rejonu rozpoczynającej się bitwy. Prosiak i ja otrzymaliśmy rozkaz, żeby go zawrócić... albo zestrzelić.

- I właśnie ty go zestrzeliłeś, prawda? - domyślił się Antilles.

- Wedge, zrozum, musiałem! - wybuchnął zastępca. - Gdyby skorzystał z komunikatora i zaczął paplać na jakiegokolwiek standardowej częstotliwości, gdyby znalazł się w zasięgu czujników imperialnej bazy albo wzniósł się tak wysoko, że wynurzyłby się zza osłony tarczy księżyca... gdyby się wydarzyło coś takiego, zostalibyśmy zauważeni. Wtedy Imperium dowiedziałoby się o naszej akcji, a nasi piloci by zginęli. Z początku Porkins starał się zmusić Dorana do lądowania, ale kiedy jego starania spaliły na panewce, ja... - Janson umilkł, jakby głos uwiązł mu w gardle. - Zestrzeliłem go - podjął po chwili. Musiałem posłużyć się laserami. Nie mogłem ryzykować strzału z jonowego działka, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że emisję energii wykryją sensory imperialnej bazy. Mój strzał rozhermetyzował owiewkę kabiny jego myśliwca, a pilota po prostu zabiła próżnia. Nie

wytrzymał jego używany skafander próżniowy, który zapewne przedtem należał do kogoś innego.

- Wygląda na to, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, aby nie zabijać Dorana - stwierdził Wedge.

- Tak, ale go w końcu zabiłem - odparł Janson. - Wiedziałem, że na Alderaan ma żonę i dwoje albo troje dzieci, ale sądziłem, że jego rodzina zginęła, kiedy planetę zniszczył strzał z superlasera pierwszej Gwiazdy Śmierci.

Wedge sięgnął po komputerowy notatnik zastępcy, żeby się zapoznać z aktami Kella.

- Nie widzę tu niczego na temat Alderaanu ani rodziny Doran odezwał się po chwili.

- Musieli zmienić rodowe nazwisko i sfalszować dokumenty - domyślił się porucznik. - Wkrótce po tym, kiedy dowódca eskadry wysłał im oficjalne zawiadomienie o śmierci Kisseka, postanowił osobiście złożyć im kondolencje. Zamierzał oznajmić wdowie to samo, co napisał w oficjalnym raporcie: że jej mąż zginął na polu walki, ale żona Dorana dowiedziała się już wcześniej całej prawdy. Oskarżyła Żółte Asy Tierfona nie tylko o zabicie męża, ale także o splamienie jego nazwiska. Prawdopodobnie aby tego uniknąć, zmieniła nazwisko i przenieśli się na inną planetę.

Nie odrywając spojrzenia od ekranu komputerowego notatnika, Wedge ciężko westchnął.

- Spójrz tylko - powiedział. - Tainer był mechanikiem naprawiającym gwiazdne myśliwce na Sluis Vanie. Kiedy przyłączył się do Sojuszu, poddano go szkoleniu, dzięki czemu stał się ekspertem od wysadzania w powietrze budowli i sposobów wykorzystywania materiałów wybuchowych. Służył w oddziale komandosów porucznika Page'a, ale wykazywał wrodzony talent do wygrywania powietrznych walk, które toczył w ośrodkach rozrywki na rozmaitych symulatorach. W końcu pozwolono mu zasiąść za sterami prawdziwej maszyny. Czy kiedykolwiek poznałeś Page'a?

- Nie.

- To porządny gość. Dobrze szkoli swoich podwładnych - oznajmił Wedge. - Posłuchaj, Wes. Tainer naprawdę przydałby się w naszej eskadrze... gdybyśmy tylko zdołali go przekonać, by się zgodził.

Janson obrzucił go spojrzeniem, w którym sarkazm mieszał się z udawanym rozbawieniem.

- Och, coś wspaniałego - zaczął. - Zabiłem jego ojca. Nienawidzi mnie za to. Wie, jak produkować bomby i podkładać ładunki wybuchowe. Daj spokój, Wedge. Jak sądzisz, jak ta historia się zakończy?

- Jeżeli jest człowiekiem honoru, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

- Obawiam się, że kiedyś nie zdoła zapanować nad nerwami i wyskoczy z hukiem niczym korek z butelki kiepskiego tatoińskiego wina - odparł Janson.

- Wszystkie tatoińskie wina są kiepskie.

- Nie zmieniaj tematu - burknął porucznik. - Czytaj dalej. Wedge wrócił do zapoznawania się z aktami na ekranie komputerowego notatnika.

- Podczas ćwiczeń roztrzaskał Łowcę Główny - czytał na głos. - Kiedy indziej, lądując X-wingiem, posadził go na płycie lądowiska z taką siłą, że maszyna została poważnie uszkodzona. Czy rzeczywiście w obu przypadkach upierał się, że to wina niewłaściwie funkcjonujących mechanizmów kontrolnych? Janson kiwnął głową.

- Typowa odpowiedź osoby, która nie potrafi przyjąć odpowiedzialności za swoje błędy - zauważył.

Antilles przeszył go na wylot ostrym spojrzeniem.

- Gdyby ci bardzo zależało, aby został jednym z pilotów naszej nowej eskadry, jak chciałbyś mnie przekonać, żebyś przymknął oczy na jego problemy z techniką lądowania? - zapytał.

- Posłuchaj, Wedge... - zaczął porucznik.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Janson sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Spróbowałbym cię przekonać, że w obu tamtych przypadkach mógł mieć rację - zaczął z namysłem. - To mogły być naprawdę usterki mechanizmów ładowniczych. Awarie, które zostały spowodowane przez nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Podczas setek innych lądowań nie miał żadnych problemów. Tamte dwie sytuacje stoją w sprzeczności z jego wybitnymi umiejętnościami. Jest naprawdę dobrym pilotem... to znaczy, błyskotliwym. Przynajmniej jeżeli chodzi o wyniki osiągnięte podczas testów na symulatorach.

Wedge jeszcze jakąś minutę nie odrywał spojrzenia od ekranu komputerowego notatnika.

- No cóż, przyjmuję twoje wyjaśnienia - odezwał się w końcu. Chciałbym, żebyśmy pozwolili mu spróbować. Jeżeli się nie nada, skreślę go z listy kandydatów. Jeśli jednak okaże się naprawdę dobry, ale ty i on nie nauczycie się ze sobą współpracować...

- Na dłuższą metę potrzebujesz jego bardziej niż mnie - przerwał mu zastępca tonem udreki. - Gdybyśmy naprawdę nie zdołali znaleźć wspólnego języka, poproszę cię o zgodę na powrót do Eskadry Łotrów. Na moje miejsce mógłby wówczas przylecieć Hobbie Klivan.

Wedge pokiwał ponuro głową.

- Dzięki, Wes - powiedział.

Janson pozwolił, żeby prowadzeniem rozmowy zajął się Antilles. Wedge uznał, że nie powinien zwracać uwagi Kella Tainera na swojego zastępcę.

W kilku słowach wyjaśnił kandydatowi obecną sytuację.

- Tainer, czy jesteś człowiekiem honoru? - zapytał w końcu. Stojący na baczność, chociaż może trochę zbyt sztywno, niż to było konieczne, młody pilot kiwnął głową.

- Jestem, panie komandorze - powiedział.

- Czy uważasz porucznika Jansona za osobę mniej honorową? Tym razem kandydat nie od razu odpowiedział.

- Nie, panie komandorze - mruknął po chwili, ale głos z trudem wydobył się z jego gardła.

- Składałeś przysięgę, że będziesz służył wiernie Nowej Republice przypomniał Antilles. - Musisz zrozumieć, że potrzebujemy twojej precyzji i twoich umiejętności i że to jest ważniejsze niż unikanie wspomnień o losie, jaki stał się udziałem twojego ojca. Mój zastępca składał podobną przysięgę. Jeszcze kiedy bawiłeś się zabawkami, przysięgał Sojuszowi, że przywróci Republikę. On także rozumie, że jesteś nam potrzebny, chociaż również chciałby zapomnieć o urazie, jaką do niego żywisz... albo o tym, że okoliczności zmusiły go do zrobienia czegoś, na co nie miał najmniejszej ochoty. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

- Tak jest, panie komandorze.

- Proszę cię więc, żebyś został - ciągnął Antilles. - Na razie. Jeżeli się okaże, że nie potraficie współpracować, postaramy się wymyślić coś, żeby temu zaradzić. Muszę ci uświadomić, że gdybyś z takimi aktami zgłosił się do jakiegokolwiek innej eskadry, najprawdopodobniej nigdy nie zasiadłbyś za sterami gwiazdowego myśliwca. Zapewne trafiłbyś z powrotem do komandosów.

- Podobało mi się u komandosów - odparł Tainer.

- Możliwe, ale jeżeli tam trafisz, nie zmażesz plamy na honorze ojca - stwierdził Wedge. - Nie zdołasz udowodnić galaktyce, że nazwisko Doran nie powinno się kojarzyć z tchórzliwym pilotem.

Tainer spuścił głowę i wbił spojrzenie w podłogę. Dopiero po dłuższym czasie uniósł ją

i spojrzął na komandora. Wedge nie widział dotąd w niczyich oczach takiej wściekłości. Ledwo się opanował, żeby się nie cofnąć.

- Jak pan śmie... - zaczął Kell.

Antilles uznał za słuszne nie podnosić głosu.

- Baczość! - rozkazał. Odczekał trzy długie sekundy, aż Tainer ponownie przyjmie postawę zasadniczą i skieruje spojrzenie na ścianę nad jego głową. - Owszem, śmiem... jeżeli to właściwe słowo, bo właśnie tak wygląda prawda. Założę się, że od dawna marzysz, żeby zostać pilotem i przywrócić dawny blask prawdziwemu nazwisku swojej rodziny. Marzyłeś o tym, jeszcze kiedy mieszkałeś na Alderaanie. Daję ci teraz okazję wyruszenia na bojową wyprawę, a ty nawet nie chcesz spróbować sił jako pilot. To twoja ostatnia szansa. Zdecyduj: zostajesz czy odchodzisz.

Tainer poruszył kilka razy szczęką, ale nie powiedział ani słowa. Patrzył tylko na Antillesa.

- Zostaję, panie komandorze - odparł w końcu. Wypowiedział te słowa z takim wysiłkiem, jakby krwawiło mu serce.

- To dobrze. Możesz odejść.

Kiedy Tainer wyszedł, Janson cicho gwizdnął.

- Posłuchaj, Wedge, nie krytykuję twoich metod - zaczął - ale to najbardziej bezwzględna zagrywka, jaką od bardzo dawna zdarzyło mi się spotkać.

- Jeżeli się lata w próżni, czasami trzeba mieć kawałek lodu zamiast serca - przyznał Antilles.

Rozsiadł się wygodniej na fotelu, ale sprawiał wrażenie potwornie zmęczonego. Zastanawiał się, ilu pilotów będzie regularnie stwarzało problemy w rodzaju tego, z jakim się właśnie uporał.

Kell przypiął się do fotela pilota, co sprawiło mu pewien kłopot, bo nie miał dla siebie zbyt wiele miejsca w kabinie, po czym przestawił dźwignie czterech przełączników i włączył silniki X-winga. W rzeczywistości uruchamiał wirtualne jednostki napędowe maszyny. Od pewnego czasu symulatory tak wiernie naśladowały urządzenia kontrolne i podzespoły gwiazdowego myśliwca, że naprawdę było trudno oprzeć się wrażeniu, że nie siedzi się za sterami prawdziwej maszyny. Konstruktorzy symulatorów nie zapomnieli nawet o zainstalowaniu kompensatorów siły ciężenia, żeby poddawane testom osoby mogły przebywać w stanie idealnej nieważkości, zupełnie jak podczas prawdziwego lotu w głębokiej próżni.

Przez iluminatory symulujące transpasteralową owiewkę kabiny X-winga Kell widział, co dzieje się na płycie lądowiska. Prawdziwe znajdowało się pół kilometra nad jego głową, o wiele bliżej rzeczywistej powierzchni Folora.

Kontrolny pulpit sygnalizował, że wszystkie cztery silniki pracują w warunkach zbliżonych do idealnych.

- „Złoty Jeden” uruchomił silniki - zameldował. - Działają prawie optymalnie. Pierwotne i wtórne źródła pełne energii. Wszystkie pokładowe urządzenia i podzespoły sprawne.

Z głośnika komunikatora wydobył się cichy trzask.

- „Złoty Dwa” melduje identyczny stan. Gotów do startu.

Kell nie wiedział, kim jest pilot „Złotego Dwa”. Zanim pojawił się na miejscu ćwiczeń, pozostali piloci Grupy Żółtych zdążyli zająć miejsca i zostali szczelnie zamknięci w swoich symulatorach. Zastanawiał się, czy mieli chociaż kilka minut, żeby nabrać wprawy przed właściwymi ćwiczeniami. Zadawał sobie pytanie, czy nie powinien postąpić tak samo.

Zniekształcony przez telekomunikacyjną aparaturę głos „Dwójki” nie brzmiał wprawdzie basowo, ale na tyle nisko, że pilot był chyba istotą płci męskiej. Sądząc po dziwnym akcencie, można

się było domyślać, że jego ojczystym językiem nie jest basie.

- „Złoty Trzy”, wszystko optymalne - usłyszał Kell. - Gotów do startu. Dziwny ton wytwarzanego przez urządzenie mechaniczne głosu „Trójki” dowodził, że to Gamorreanin Prosiak. Kell był ciekaw, jak niezwykle pilot poradzi sobie podczas ćwiczeń. Prosiak był jedynym ćwiczącym kandydatem bardziej rozrośniętym w barach niż on. Z pewnością w ograniczonej przestrzeni standardowej kabiny X-winga musiał się czuć jeszcze bardziej nieswojo.

- „Złoty Cztery”, wszystko optymalne. Gotów do startu. Sądząc po brzmieniu głosu, meldunek złożyła młoda kobieta. Kell spotkał się z kilkoma kandydatkami do nowej eskadry komandora Antillesa, ale głos był do tego stopnia zniekształcony, że nie zdołał się zorientować, która uczestniczy w ćwiczeniach.

Nagle z głośnika komunikatora wydobył się kolejny trzask i Kell usłyszał porucznika Jansona. Kiedy się zorientował, że głos przełożonego brzmi tak jak zwykle, odruchowo napiął mięśnie.

- Start za sześćdziesiąt - usłyszał. - Lecicie na spotkanie z osłaniającymi okręt liniowy gałami i bombowcami typu T1E. Macie nawiązać z nimi kontakt bojowy i utrzymywać je co najmniej dziesięć kilometrów od bazy. Wasze zadanie polega na powstrzymaniu ich przez czas wystarczający, żeby do lotu mogły się poderwać nasze transportowce. Jeżeli zawiedziecie, zginiecie. Obowiązuje protokół ćwiczebny jeden-siedem-dziewięć. Kontrola przerywa połączenie.

Kell postarał się odprężyć i rozluźnić mięśnie. Przełączył komunikator na indywidualny kanał, żeby nawiązać łączność ze skrzydłowym.

- „Złoty Dwa”, czym jest protokół ćwiczebny jeden-siedem-dziewięć? - zapytał.

- Nie wiemy tego, „Jedynko” - usłyszał w odpowiedzi.

- My? To znaczy kto?

- „Złoty Dwa”, „Jedynko”.

Kell otworzył usta, żeby poprosić o wyjaśnienie, ale kiedy zerknął na chronometr i przekonał się, że do startu pozostało już tylko dziesięć sekund, postanowił uzbroić się w cierpliwość i zaczekać.

Pięć sekund później włączył repulsory i uniósł symulowaną maszynę kilkanaście centymetrów nad płytę nierzeczywistego lądowiska. Po następnych czterech sekundach lekko pchnął drążek sterowniczy do przodu. Sprawdził, że jego X-wing znajduje się dokładnie pośrodku tunelu wylotowego z hangaru, i przekazał energię do jednostek napędowych. Spojrzał w prawo i w lewo i upewnił się, że pozostali piloci grupy powtarzają jego manewr.

Jego X-wing przeniknął przez chroniącą wylot tunelu barierę magnetycznego pola i znalazł się w idealnej próżni...

...gdzie niemal natychmiast nadział się na laserowe błyskawice grupy czterech nurkujących bombowców typu T1E. Symulowane maszyny wroga znajdowały się tak blisko, że mógł dostrzec je gołym okiem.

Położył X-winga na sterburtowe skrzydło i zwiększył do maksimum natężenie dziobowych pól siłowych. Namierzył pierwszą nadlatującą ku niemu maszynę wroga i jeszcze zanim ramka na ekranie monitora celowniczego komputera zapłonęła zielonym blaskiem na dowód, że cel został namierzony, na wpół odruchowo przycisnął guzik spustowy. Zatoczył łuk na sterburte i zaczął się oddalać od symulowanej powierzchni księżyca. Ułamek sekundy później na rufowych powierzchniach stateczników pojawił się błysk eksplozji. Kell zrozumiał, że ostrzelany cel został trafiony i zniszczony. Po ekranie głównego monitora przesunęła się przesłana przez pokładową jednostkę typu R2 informacja: POTWIERDZAM JEDNO TRAFIENIE, „ZŁOTY JEDEN”.

Z głośnika komunikatora dochodziły głosy starających się nawzajem przekrzyczeć przerażonych pilotów. Kell postanowił ich uciszyć.

- Spokój! - rozkazał. - Zablokować płaty nośne w położeniu bojowym! Ci z Wywiadu musieli się pomylić. Napastnicy zdołali już wcześniej zaatakować naszą bazę. „Dwójka”, trzymaj się blisko mnie. Postaramy się mimo wszystko wykonać powierzone nam zadanie. „Trójka” i „Czwórka” okrążą bazę na niewielkiej wysokości i złożą raport o ewentualnych zniszczeniach.

Usłyszał chór stłumionych potwierdzeń. Przekonał się, że „Złoty Dwa” zmniejszył odległość dzielącą go od jego X-winga i zajął miejsce trochę za rufą i po stronie bakburty. Przełączył komunikator na kanał umożliwiający nawiązanie łączności z bazą i zbliżył usta do mikrofonu.

- Kontrola, zgłoś się - powiedział. - „Złoty Jeden” wzywa Kontrolę. Odbiór.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Panel sensorów pokazywał w dole trzy pozostałe bombowce T1E lecące nisko nad powierzchnią księżycy. Po chwili, kiedy jednego trafił „Złoty Trzy”, zostały już tylko dwa. Mimo to na ekranie monitora nadal było widać trzydzieści sześć świetlistych plamek oznaczających niewątpliwie myśliwce typu T1E... trzy pełne eskadry. Znajdowały się trochę wyżej i mniej więcej cztery kilometry przed dziobem jego X-winga, lecz odległość ta szybko się zmniejszała. Nieprzyjacielskie eskadry leciały w pewnej odległości jedna od drugiej, ale nie kierowały się ku niemu ani ku jego skrzydłowemu.

Z głośnika komunikatora wydobył się kolejny trzask i Kell usłyszał głos pilota „Czwórki”:

- „Jedynka”, tunele startowe są zniszczone. Co do ostatniego. Z pewnością to wynik wcześniejszego ataku bombowego.

- Główny tunel też? - zapytał. - Czy nasze transportowce zdołają wystartować? W tej chwili to jedyne, co powinno nas obchodzić.

- Sto metrów ruin i zniszczeń, „Jedynko” - usłyszał w odpowiedzi. - Nie ma mowy, żeby ktokolwiek stamtąd wyleciał.

Nawet mimo zniekształceń komunikatora w głosie „Czwórki” dało się słyszeć lekkie przerażenie. Kell bardzo chciał jej powiedzieć: „Uspokój się. To tylko symulacja. W rzeczywistości nikt tam nie zginął”.

Musiał się jednak uporać z innym problemem. Kontrola powierzyła im osiągnięcie kilku celów... a później zmieniła warunki panujące w przestworzach i sprawiła, że ich zadanie stało się niewykonalne. Zastanawiał się, co powinien zrobić. I na jaki przeklęty protokół ćwiczebny Kontrola się powołała, zanim pozwoliła wystartować?

Zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

- Grupa Żółtych, nasze zadanie zostaje unieważnione - powiedział. - Nasz obecny stan to Omega. „Trójka” i „Czwórka”, dołączcie do mnie. Postaramy się przez nich przebić.

„Trójka” i „Czwórka” potwierdziły przyjęcie rozkazu, ale dalmierz wskazał, że odległość dzieląca Kella i jego skrzydłowego od nieprzyjacielskich eskadr myśliwców T1E zmniejszyła się do niespełna dwóch kilometrów. Oznaczało to, że nadlatujący wrogowie znajdują się w zasięgu ich systemów uzbrojenia... ale także i to, że odtąd „Złoty Jeden” i „Dwa” mogą zostać namierzeni przez systemy celownicze nieprzyjaciół.

Mieli do wyboru dwa wyjścia: zawrócić, żeby dołączyć do „Trójki” i „Czwórki”, albo spróbować się przedrzeć przez szyk nieprzyjaciół. W pierwszym przypadku groziło im trafienie przez jeden z wielu oddawanych z daleka przez wrogów przypadkowych strzałów. Gdyby wybrali drugie

rozwiązanie, mieli okazję kilku zestrzelić, a może nawet wprowadzić zamęt w szyk eskadr myśliwców T1E. Korzystając z zamieszania, mogliby później zawrócić i dołączyć do pozostałych towarzyszy. Wybór drugiego rozwiązania ograniczył jednak z samobójstwem. Kell ponownie zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

- „Złoty Dwa”, wynośmy się stąd... - zaczął.

Zamiast odpowiedzi usłyszał dziwny śpiewny okrzyk. „Złoty Jeden” leciał nadal w kierunku zbliżających się eskadr nieprzyjaciół. Po sekundzie zaczęły nadlatywać ku niemu zielone błyskawice laserowych strzałów, żaden jednak nie przemknął bardzo blisko jego maszyny.

- „Złoty Dwa”, dołącz do szyku! - rozkazał Tainer. - „Złoty Dwa”... - Zaklął cicho pod nosem. Czyżby „Dwójka” miała uszkodzony komunikator? Coś takiego pasowałoby do ogólnego charakteru wyprawy, w której chyba nic nie miało się toczyć zgodnie z pierwotnymi założeniami. - No dobrze, „Dwójka”, będę twoim skrzydłowym.

Puścił się w poгон za kolegą i przygotował do zapewnienia mu osłony.

Podążając jego kursem, kierował się w stronę środka szyku bakburtowej eskadry myśliwców T1E. Stopniowo zaczęło ich otaczać coraz więcej laserowych błyskawic. W pewnej chwili niektóre zaczęły się rozpraszać zaledwie kilka metrów przed dziobem „Złotego Dwa”. Najwyraźniej lądowały na jego ochronnych polach. Kell pomyślał, że jego kolega zdecydował się na najbardziej niebezpieczny, ale zarazem najskuteczniejszy manewr, na jaki mógł się odważyć pilot gwiazdowego myśliwca. Zamierzał stawić czoło wszystkim pilotom nieprzyjacielskiej eskadry, ale przy stosunku sił dwanaście do jednego jego maszyna lada chwila mogła zostać rozpylona na atomy.

Najwyższy czas zmienić ten stosunek, pomyślał Tainer. Trochę zmniejszył względny pułap lotu, żeby przypadkiem pilot „Złotego Dwa” nie znalazł się na jego linii ognia, i przełączył lasery w taki sposób, żeby strzelały parami. Zapewniało im to wprawdzie mniejszą siłę ognia, ale o wiele większą częstotliwość.

Tracił drążek sterowniczy i skierował dziób symulowanego X-winga na bakburtę, ale nie zmienił poprzedniego kursu. Po kilku sekundach zwrócił dziób maszyny w przeciwną stronę... W tempie, w jakim ramka na ekranie celowniczego monitora przesuwiała się wzdłuż linii nieprzyjacielskich myśliwców T1E i zmieniała barwę na zieloną po namierzeniu każdego celu, przyciskał guzik spustowy i posyłał ku wrogom strugi czerwonych śmiertelnych błyskawic. Raz po raz w jego kabine rozlegał się melodyjny dźwięk kolejnego namiaru.

W pewnej chwili zobaczył w oddali niewielkie rozbłyski światła i domyślił się, że on i „Dwójka” zdołali przynajmniej trafić kilka celów. Z informacji na ekranie głównego monitora dowiedział się, że uszkodził jedną i zniszczył drugą nieprzyjacielską maszynę. W tym samym czasie „Dwójka” zdołała tylko uszkodzić jeden myśliwiec T1E. Kell wykonał kilka uników, żeby nie trafiła go żadna laserowa nitka wroga, przeleciał przez szyk nieprzyjacielskich maszyn, zostawił je za rufą...

Pomyślał, że powinien szybko zawrócić. Jeżeli piloci eskadr myśliwców typu T1E mieli straż tylną, powinien postarać się ją zlikwidować, a jeśli nie, od razu mógł zaatakować ich od tyłu. Mimo to... niech to diabli! Nie był obecnie dowódcą grupy! Obowiązki te powinien wykonywać niesubordynowany pilot „Złotego Dwa”! Widział jego maszynę gołym okiem i na ekranach sensorów. Kolega wykonywał właśnie ciasny zawrót bojowy na sterburtę. Kell postanowił powtórzyć jego manewr.

Na ekranie monitora sensorów zobaczył, że piloci czterech myśliwców T1E zawracają, żeby nawiązać z nim i z „Dwójką” kontakt bojowy. Pozostałe nieprzyjacielskie maszyny leciały nadal

dotychczasowym kursem. Bliżej powierzchni księżycy znajdowali się cały czas „Złoty Trzy” i „Cztery”. Zbliżali się do szyku siedmiu pozostałych myśliwców T1E, niekompletnej eskadry nieprzyjaciół. Kell pomyślał, że to rozsądny manewr. Wszystko wskazywało, że zamierzają zaatakować najsłabsze ogniwo w łańcuchu napastników. Na ekranie głównego monitora nie widział żadnych świetlistych punktów dwójki pozostałych bombowców T1E. Domyślał się, że zestrzelili je „Trójka” i „Czwórka”.

Tymczasem pilot „Dwójki” szykował się do kolejnego szturmu na środek szyku nieprzyjacielskich maszyn, ale Kell zauważył, że czterej piloci myśliwców typu T1E rozpraszają się, żeby utworzyć szyk w kształcie kwadratu.

- „Dwójka”, zrezygnuj! - rozkazał. - Zastawiają na ciebie pułapkę. Podążaj za mną. Przejmuję obowiązki dowódcy grupy.

Pilot zignorował jego słowa. Jeszcze bardziej przyspieszył i odpowiedział kolejnym śpiewnym okrzykiem bojowym.

Tainer zgrzytnął zębami. Niech i tak będzie, pomyślał. Ciekawe, czy zdołam go ocalić wbrew jego woli. Pozwolił, żeby „Złoty Dwa” zaczął się oddalać, i przełączył systemy uzbrojenia na wyrzutnie protonowych torped.

Gdy nadlatujące myśliwce T1E zajęły pozycje w rogach niewidocznego kwadratu, „Dwójka” skierował się w stronę lewego dolnego rogu. piloci wszystkich czterech gał zaczęli zasypywać go błyskawicami laserowych strzałów.

Kell zadarł dziób myśliwca i pochwycił lewy dolny myśliwiec T1E w kwadrat na ekranie monitora celowniczego komputera. Ramka od razu zmieniła barwę na czerwoną, co oznaczało, że protonowa torpeda namierzyła cel. Kell wystrzelił. Z tak dużej odległości pilot gały miał aż nadto czasu, żeby wykonać unik albo spróbować zniszczyć w locie nadlatującą ku niemu torpedę... ale gdyby się na to zdecydował, musiałby przerwać ostrzał „Złotego Dwa”. Kell obrócił myśliwiec na sterburtę, wziął na cel prawy górny róg kwadratu szyku nieprzyjacielskich maszyn i ponownie dał ognia.

Piloci obu zaatakowanych myśliwców T1E zmienili kurs i pragnąc uniknąć trafienia przez protonowe torpedy, zaczęli wykonywać uniki, pozostali dwaj jednak nie zrezygnowali z ostrzału. Kell obrócił ponownie myśliwiec w locie i wziął na cel prawą dolną gałę. Jej pilot musiał dysponować sensorami wykrywającymi namierzanie przez systemy celownicze protonowych torped, bo natychmiast zdecydował się na manewr wymijający.

Z głośnika komunikatora cały czas wydobywał się gwar uspokajających rozmów i okrzyków.

- Rozwaliłeś go, „Trójka”!

- Będę twoim skrzydłowym.

- Mam go, „Czwórko”! Jeszcze jeden usiłuje usiąść mi na ogonie...

- Jest mój.

Nagle X-wing „Złoty Dwa”, chwilę wcześniej niewidoczny na tle ciemności przestworzy, rozbłysnął przed dziobem maszyny Kella niczym oślepiająco jasna supernowa. Ekspłodował i przemienił się w pomarańczowożółtą kulę ognia.

Tainer poczuł, że jego serce ścisnęły niewidzialne szczypce. Wiedział, że w rzeczywistości „Złoty Dwa” nie odniósł żadnych obrażeń. Prawdopodobnie wyłąził właśnie ze swojego symulatora, ale Kontrola z pewnością zechce obarczyć Kella odpowiedzialnością za to, że nie zdołał ocalić kolegi... wbrew jego woli.

Pstryknął przełącznikiem rodzaju uzbrojenia, ponownie wybrał lasery i ustawił wszystkie cztery na równoczesny ogień. Jego cel natychmiast przestał wykonywać uniki. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że uniknął zagrożenia, bo zdołał się znaleźć poza zasięgiem sygnału namiaru celowniczego komputera protonowych torped. Kell czekał, aż kwadrat na ekranie monitora celowniczego komputera zapłonie zielonym blaskiem, i wystrzelił. Jego laserowe błyskawice rozłamały gałę na kawałki. Jedna odcięła wspornik sterburtowego skrzydła prawie u nasady, a dwie inne przeniknęły przez osłonę kabiny. Wprawdzie myśliwiec T1E nie eksplodował, ale z otworów w kabinie uszła atmosfera. Nieprzyjacielska maszyna przeleciała obok Kella po trajektorii balistycznej, która miała się zakończyć na symulowanej powierzchni Folora.

Tainer musiał się jeszcze uporać z trzema wrogami... nie, już tylko z dwoma. Jedna z wystrzelonych poprzednio torped trafiła w cel i przemieniła go w szybko rosnącą chmurę gazów i odłamków. Trafienia zdołała jednak uniknąć namierzona przez inną torpedę druga gałą. Lecąc skrzydło w skrzydło, pilot imperialnego myśliwca wraz z kolegą, do którego mierzyła „Dwójka”, zataczali łuk, żeby zaatakować go od tyłu.

Kell przyciągnął drążek sterowniczy do siebie i wykonał beczkę... tak ciasną, jak tylko pozwalała konstrukcja X-winga. Prawdę mówiąc, latające w próżni gały dysponowały większą zdolnością manewrowania niż X-wingi, ale w tej chwili ta przewaga niewiele znaczyła, skoro wszystko wskazywało, że ich ruchami kierują obojętni operatorzy.

Kiedy znalazł się w najwyższym punkcie beczki, spojrzął w dół, na powierzchnię Folora i na obu widocznych na jej tle prześladowców. Nagle zauważył, że wystrzelone chyba z powierzchni księżyca czerwone nitki laserowych błyskawic przecięły jednego wroga, a posłana prawdopodobnie z tego samego punktu torpeda unicestwiła drugiego. Zerknął na pulpity ze wskazaniem sensorów i gwizdnął.

- Doskonałe strzały, „Trójka” i „Czwórka” - powiedział.

W odpowiedzi usłyszał wytwarzany przez mechaniczne urządzenie głos Prosiaka.

- Dziękuję, panie poruczniku. Melduję, że gały łamią szyk i odlatują. Puścimy się za nimi w pościg?

Nieprzyjacielscy piloci rzeczywiście rezygnowali z dalszej walki... dlaczego jednak owiewka kabiny jego myśliwca nie szerniała, co oznaczałoby koniec ćwiczeń?

Młody pilot, zastanawiając się nad tym, kilka razy głęboko odetchnął i spróbował uspokoić rozdygotane nerwy.

- Nie, powracają tylko do hangarów lotniskowca - odezwał się w końcu. - A to oznacza, że wkrótce będziemy mieli do czynienia z następną grupą. Czy ktoś z was zdołał nawiązać łączność z Kontrolą?

- Nie, panie poruczniku.

- Zaprzeczam.

- Więc musimy założyć, że baza Folor uległa zniszczeniu, a my jesteśmy zdani jedynie na własne siły. Dołączyć do mnie i powtarzać moje manewry.

Jeszcze raz spojrzął na symulowaną powierzchnię księżyca, śmignął świecą w niebo i zajął się obsługą nawigacyjnego komputera.

Gdyby to był prawdziwy atak, z bazy Folor nie mógłby wystartować żaden transportowiec. Przełożeni spodziewaliby się, że Kell zgromadzi wszystkie zdolne jeszcze do walki siły, skieruje je w bezpieczny punkt przestworzy i postara się nawiązać łączność z pozostałymi jednostkami Nowej Republiki. Mając to na uwadze, obliczył współrzędne pospiesznie wytyczonego skoku przez

nadprzestrzeń. Wykonanie takiego skoku pozwoliłoby wszystkim oddalić się od Folora i wyskoczyć w miejscu, w którym nie groziło niebezpieczeństwo... a Kell mógłby spokojnie obliczyć parametry bardziej skomplikowanego skoku, żeby w końcu się znaleźć w opanowanym przez Sojusz rejonie przestworzy.

Po kilku sekundach dołączyli do niego piloci dwóch pozostałych X-wingów. Kiedy nawigacyjny komputer skończył obliczenia, a wszyscy troje znaleźli się na tyle daleko od powierzchni księżyca, żeby się nie obawiać wpływu jego przyciągania, Tainer ponownie nawiązał łączność z pozostałymi i przekazał im zestaw obliczonych współrzędnych.

- W porządku - powiedział. - Skaczymy na mój znak. Trzy, dwa, jeden, wykonać!

Punkciki gwiazd w otaczających go przestworzach nie zmieniły się jednak w świetliste smugi, co stanowiłoby pierwszy widoczny znak, że skok do nadprzestrzeni został pomyślnie wykonany. Wręcz przeciwnie - zbladły i zgasły. Kell usłyszał szcęk, owiewka symulatora kabiny jego myśliwca się uniosła, a oczy poraziło jaskrawe sztuczne światło... tak intensywne, że musiał zamrunąć.

Janson zebrał czworo pilotów przy stole obok symulatorów i dopiero wtedy Kell pierwszy raz miał okazję rzucić okiem na swojego skrzydłowego. Pilot „Złotego Dwa” był istotą człekokształtną, ale nie człowiekiem. Miał wprawdzie dwie ręce i dwie nogi, podobne do ludzkich tors i głowę i prawie dorównywał Kellowi wzrostem, ale był niezwykle szczupły, a jego ciało porastała krótka brązowa sierść. Kell zwrócił uwagę na pociągłą twarz kandydata z ogromnymi brązowymi oczami, szerokim spłaszczonym nosem i ustami pełnymi dużych białych zębów. Na pierwszy rzut oka można by go wziąć za zwierzę, gdyby nie znamionujące niezwykłą inteligencję, dociekliwe błyszczące oczy. Za to włosy pilota mogłyby stanowić przedmiot zazdrości każdej istoty ludzkiej, kobiety czy mężczyzny. Kiedy Kell podchodził do stołu, pilot właśnie uwalniał je spod elastycznej opaski i pozwalał, żeby spłynęły po jego plecach niczym kasztanowatobrązowy wodospad. Sięgały mu do połowy pleców.

Kandydat tak jawnie lekceważył wojskowy regulamin, że Tainer tylko z trudem zdołał opanować ogarniającą go irytację. Wyciągnął rękę.

- Jestem Kell Tainer - powiedział.

Obca istota ujęła jego dłoń i lekką nią potrząsnęła, zupełnie jakby była drugim człowiekiem.

- A my jesteśmy porucznikiem i nazywamy się Hohass Ekwesh oznajmiła.

- My? Czy to monarsze „my”? - zapytał cierpko Tainer. Pomyślał, że to by wyjaśniało niechęć kandydata do przestrzegania przepisów regulaminu.

- Nie, zbiorowe.

- Biografie mogą zaczekać - uciał Janson. - Jesteśmy tu, żeby przyjrzeć się waszym osiągnięciom podczas ćwiczeń. Już zapomnieliście?

Słyszac ostrą nagane, Kell napiął mięśnie.

- Tak jest, panie poruczniku - wyskandował.

- To dobrze. W porządku. „Czwórka”, masz dwa zestrzelenia i spisałaś się znakomicie jako pilot zwiadowca. „Trójka”, trzy zestrzelenia i dodatkowe punkty za inicjatywę, bo dwukrotnie sprawdziłeś poprawność dokonanych przez „Jedynkę” wyników obliczeń parametrów nadprzestrzennego skoku.

- Trzykrotnie, proszę pana - poprawił go Prosiak. - Trzeci raz sprawdziłem je w myśli.

Kell spiorunował Gamorreanina urażonym spojrzeniem.

- I co, wszystko się zgadzało? - zapytał. Prosiak kiwnął głową.

- Wyniki nie były może bardzo eleganckie, ale poprawne i funkcjonalne - powiedział.

- „Złoty Dwa” - ciągnął Janson. - Nikogo nie zestrzelełeś i dwukrotnie zlekceważyłeś rozkazy. Jeden raz możemy zignorować, bo pan Tainer przekazał ci dowództwo... chociaż trochę pod przymusem. Najgorsze jednak, że w wyniku błędnej taktyki dałeś się zabić symulowanym nieprzyjaciołom. - Janson urwał i przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notatnika. Wpatrywał się w niego dość długo i Kell pomyślał, że porucznik stara się odwlec chwilę, kiedy będzie musiał spojrzeć na niego. - „Złoty Jeden” - podjął w końcu, omijając wzrokiem Kella. - Naprawdę jestem pod wrażeniem. Pięć zestrzeleń! Gdybyś osiągnął taki wynik podczas prawdziwej walki, niewątpliwie od razu zasłużyłbyś na tytuł asa. Co więcej, pierwszego wroga unicestwiłeś, kiedy miałaś złożone płaty skrzydeł myśliwca. Zarejestrowałem tę sytuację na hologramie i zamierzam ją pokazywać w trakcie szkolenia innych pilotów. Szybka orientacja w nieznannej sytuacji i właściwy dobór nowych rozkazów. Krótko mówiąc, prawie idealnie.

Janson uniósł głowę i powiódł spojrzeniem po twarzach pozostałych kandydatów.

- A teraz wyniki - powiedział. - Oceniam tę wyprawę na dwa tysiące punktów, nie wykluczam jednak przydzielenia dodatkowych za inicjatywę i wybitne osiągnięcia. „Złoty Cztery”, tysiąc trzysta pięćdziesiąt. „Złoty Trzy”, tysiąc dwieście. „Złoty Dwa”, dwa tysiące trzysta. „Złoty Jeden”... zero.

- Co takiego? - wybuchnął Tainer. - Panie poruczniku, chyba się pan pomylił! Przydzielił pan punkty niewłaściwym osobom!

Janson w końcu spojrzał na niego i kiwnął głową.

- Zgadza się - stwierdził. - Przydzieliłem je niewłaściwym osobom, ale się nie pomyliłem. Czy nie słyszałeś, że przed startem powołałem się na protokół ćwiczebny jeden-siedem-dziewięć?

- Słyszałem, ale nadal nie wiem, co to oznacza - odparł Tainer. Janson się uśmiechnął.

- Prosiaku, w pewnej chwili przełączyłeś komunikator na kanał indywidualnej łączności, żeby wyjaśnić skrzydłowej, na czym polega ten protokół - zaczął. - Mógłbyś poinformować o tym także swojego kolegę?

Gamorreanin odchrząknął. Zniekształcony przez mechaniczny translator dźwięk zabrzmiał jak ogłuszający szum.

- To wariant sposobu oceny osiągnięć - powiedział. - W celu zachęcenia do lepszej współpracy uczniów, którzy wcześniej nie latali ze sobą zbyt długo, każdy skrzydłowy otrzymuje punkty swojego dowódcy i na odwrót.

- To... - zaczął Kell, ale jego głos się załamał. Spuścił z tonu i spróbował jeszcze raz, ale nie zdołał powstrzymać ogarniającego go gniewu. - To niesprawiedliwe - powiedział. - Czy ten wynik pozostanie na stałe jako ocena moich osiągnięć? Zero punktów za coś, co nazwał pan prawie idealnym wykonaniem zadania?

- Naturalnie, że to niesprawiedliwe - zgodził się z nim Janson, wyłączając komputerowy notatnik. - Podyskutuj na ten temat ze skrzydłowym, który zabrał ci wszystkie punkty. A teraz możecie się rozejść. Zalecam, żebyście udali się teraz do Wolnego Czasu i porozmawiali o przebiegu akcji. Do końca dnia jesteście wolni, ale obowiązuje jeden rozkaz: zabraniam dyskusowania o przebiegu, parametrach czy wynikach wyprawy z innymi kandydatami, dopóki i oni nie odbędą takich samych ćwiczeń. Czy to jasne?

Kiedy usłyszał chóralne potwierdzenie, niecierpliwie wskazał ręką wyjście.

ROZDZIAŁ 5

Trzeba było przejść ponad trzysta kroków wykutym w litej skale szerokim korytarzem, zjechać kilka pięter dygoczącą i skrzypiącą kabiną windy i pokonać niewielki przedpokój, żeby się znaleźć w kantynie o nazwie Wolny Czas. Całą drogę Kell piorunował skrzydłowego gniewnym spojrzeniem. W końcu, kiedy stanęli na progu kantyny, obca istota odwróciła się do niego.

- Bardzo mi przykro, poruczniku Tainer - oznajmiła.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wybuchnął Kell. - Latałeś, jakbyś był sam, i lekceważyłeś rozkazy dowódcy.

- Nie wiem, panie poruczniku.

- Co to znaczy „nie wiem”? - oburzył się Tainer. - Jeżeli postanowiłeś się zbuntować, powinieneś pamiętać, dlaczego.

- To nie takie proste. - Obca istota urwała, żeby się zastanowić nad odpowiedzią, ale zanim zdążyła, wszyscy czworo znaleźli się w Wolnym Czasie. Kantyna mieściła się w wielkiej jaskini wykutej w litej skale jeszcze w czasach, kiedy baza Folor była działającą kolonią górniczą. Pieczara była ogromna, ale wchodzący goście nie mogli dostrzec przeciwległego końca nie tylko z tego powodu. Było tu po prostu ciemno, jeżeli nie liczyć poświaty rzucanej przez neonowe reklamy i wyświetlane hologramy.

Kell poprowadził pozostałych kandydatów do ustawionego pod ścianą czteromiejscowego stolika, ale Prosiak wskazał stojący nieopodal, znacznie dłuższy wolny stół.

- Niedługo przyłączą się do nas pozostali piloci - stwierdził tak głośno, że jego wytwarzany przez mechaniczną aparaturę głos bez trudu przedarł się przez panujący w kantynie harmider.

Kiedy wszyscy usiedli, Kell odwrócił się do byłego skrzydłowego.

- Więc co chciałeś mi powiedzieć? - zapytał.

Słyszając gniewny ton jego głosu, pilotka „Złotego Cztery” wybuchnęła głośnym śmiechem. Kell obrócił się do młodej kobiety i pierwszy raz uważnie się jej przyjrzał.

Jak na warunki panujące w Wolnym Czasie, siedzieli w niezłe oświetlonym miejscu. Wprawdzie większość zielononiebieskiego blasku pochodziła z pobliskiego hologramu reklamującego abraksański koniak, ale Kell widział kobietę całkiem dobrze... i z każdą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo.

Gdyby poszukiwał modelki, żeby stworzyć holograficzny wizerunek idealnej pilotki, „Złoty Cztery” nadawałaby się wręcz idealnie do tej roli. Była wysoka i szczupła, a jej związane w długi koński ogon jasnozielone włosy zapewne w normalnym świetle miałyby złocisty kolor. Rysy twarzy miała regularne i pełne wyrazu, zależnie od potrzeb pełne wojskowej powagi albo wdzięcznej kobiecości. Wystarczyło, żeby się uśmiechnęła... a w obecnej chwili właśnie się uśmiechała.

Kell starał się pokryć szorstkością ogarniające go dziwne zakłopotanie.

- Co w tym takiego zabawnego? - burknął. Uświadomił sobie, że zaschło mu w gardle.

Kobieta wyciągnęła do niego kształtną rękę.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Nazywam się Tyria Sarkin. Zachowujesz się tak nieustępliwie, że uznałam to za bardzo zabawne. - W jej niskim głosie dał się słyszeć dziwny akcent, równie czarujący jak uśmiech.

Kell potrząsnął jej ręką i z przymusem się uśmiechnął.

- Byłabyś mniej skora do śmiechu, gdybyś skończyła z zerowym wynikiem ćwiczeń - powiedział.

- Też tak myślę - przyznała pilotka. - Bardzo mi przykro.

- Odpowiem na twoje pytanie - odezwała się nagle chuda jak szczapa istota. - Ale najpierw chciałbym się przedstawić. Moi koledzy i przyjaciele wołają na mnie Patyk, nawet jeżeli są na mnie obrażeni.

Kell zmarszczył brwi.

- Dlaczego Patyk? - zapytał.

- Bo to odpowiednie określenie - odparła istota. - W porównaniu do mojego rodzeństwa jestem bardzo szczupły. Nikt z nich nie zmieściłby się w kabinie gwiazdowego myśliwca. To tyle. Pytałeś, dlaczego nie pamiętam, co wyprawiałem. Właśnie to sobie przypomniałem. Przedtem nie pamiętałem, bo to nie ja zrobiłem. To była sprawka pilota.

- Jakiego pilota? - zdziwiła się Tyria.

Kell rozluźnił mięśnie, jakby nagle z jego płuc uszło powietrze. Pochylił się i oparł czoło o blat stołu, ale natychmiast tego pożałował, jego czoło przylepiło się do pokrywającej w tym miejscu stół trudnej do określenia czarnej substancji. Kell wyprostował się i zaczął zdrapywać czarną plamę.

- Nie rozumiem cię, kolego - powiedział.

- A ja chyba tak - odezwała się urodziwa pilotka. - Patyku, chodzi ci o wiele organizmów czy wiele umysłów?

Obca istota uśmiechnęła się z zadowoleniem, jakby wreszcie znalazła u kogoś odrobinę zrozumienia.

- Umysłów - odparł.

- Masz wiele umysłów i jeden z nich należy do pilota - domyśliła się Tyria.

- Tak! Właśnie tak! Kell prychnął.

- Umysł twojego pilota jest mi winien dwa tysiące trzysta punktów - burknął z urazą. - A poza tym zasługuje na porządne lanie.

Patyk obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Wiemy o tym i jest nam bardzo przykro - stwierdził. - On, to znaczy pilot, wielokrotnie zasłużył na lanie. Przypuszczam jednak, że już niedługo nie będziesz nas oglądał.

Kell nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, ale od tej konieczności uwolniło go przybycie kelnera, poprzedzone przez rytmiczne skrzywienie. Gości kantyny obsługiwał protokolarny android 3PO, ale ten, który stanął obok stołu, wyglądał zupełnie inaczej niż wszystkie, które Kell kiedykolwiek widział. Większość jednostek typu 3PO mogła się poszczycić jednolicie srebrzystą albo złocistą powłoką, ale srebrny pancerz kelnera miał kilka złotych wstawek i głośno skrzypiał przy każdym kroku.

- Poproszę... - zaczął Tainer.

- Proszę zaczekać - przerwał mu uprzejmie, ale stanowczo android. Miał melodyjny głos, charakterystyczny dla wszystkich protokolarnych androidów. - Skoro nie mogę się kierować hierarchią stopni wojskowych, odwołam się do pradawnych protokołów i pierwsze zamówienie przyjmę od tej damy. - Odwrócił się do Tyrii. - Słucham panią.

Pilotka się uśmiechnęła.

- Poproszę lum - powiedziała. - Ale dobry.

- A ja chciałbym... - zaczął znów Kell.

- Proszę zaczekać - powtórzył protokolarny android takim samym tonem jak poprzednio. - Już dwukrotnie mnie pan zirytował. Oznacza to, że przyjmę pańskie zamówienie na końcu, ale przyniosę dokładnie to, co zechce pan zamówić. Jeżeli jednak zdenerwuje mnie pan trzeci raz, postąpi pan rozsądnie, jeżeli nawet nie spróbuje tego, co przyniosę. - Obrócił się do Gamorreanina. - Słucham pana.

- Szklanę churbańskiej brandy - odparł Prosiak. - 1 wiadro lodowatej wody.

- Hm, to brzmi zachęcająco - odezwał się Patyk. - Dla nas to samo, jeśli łaska. To znaczy, dla mnie.

W końcu android odwrócił się znów do Tainera. Kell odczekał kilka sekund, żeby się upewnić, czy rzeczywiście automat jest gotów przyjąć od niego zamówienie.

- Koreliańska brandy - powiedział w końcu. - I wilgotna ściereczka. Bardzo proszę.

Android bez słowa uklonił się i odszedł. Kell ciężko westchnął.

- To z pewnością nie mój dzień - mruknął. - Okazuje się, że nawet tutejszy kelnerzy są tyranami.

Tyria obróciła się do niego z ciepłym uśmiechem.

- To tylko Skrzypek - oznajmiła. - Przyzwyczaisz się do niego. Ma dobre serce... a przynajmniej to, co u androidów uchodzi za serce.

- Dlaczego kosztowny protokolarny android roznosi trunki w takiej dziurze wykutej w skale? - zapytał. - To przecież nie ma sensu.

- Robi tylko to, na co ma ochotę - wyjaśniła pilotka. - Został wyzwolony wiele lat temu. Brał udział w słynnej ucieczce zbuntowanych androidów. Naprawdę o niej nie słyszałeś?

Kell zmarszczył czoło.

- Nie - powiedział.

Tyria pochyliła się nad stołem, żeby pozostali mogli ją lepiej słyszeć.

- Cieszy się dużą sławą wśród innych androidów i nawet niektórych pilotów - zaczęła. - Pamiętacie chyba, jak kilka lat temu Darth Vader schwycił księżniczkę Leię Organę. Skrzypek przebywał wówczas na pokładzie „Tantive IV”. Podczas ataku żołnierzy Imperium wszyscy ludzie zginęli, a jego i kilka innych androidów przetransportowano na Kessel. Nasz bohater prowadził tam rejestr opuszczających kolonię karną transportów przyprawy.

Pewnego pięknego dnia namówił prawie wszystkie służące w kolonii androidy na wycieczkę do miejscowego kosmoportu, rzekomo na zwiedzanie imperialnego frachtowca, który przybył nieco wcześniej po kolejny transport przyprawy. Wszystkie automaty pojawiły się na pokładzie statku, ale nie równocześnie, tylko pojedynczo lub parami. Trwało to kilka godzin, ale chodziło o to, żeby nie wzbudzać podejrzeń imperialnych strażników. W ciągu tych kilku godzin żaden android nie zszedł z pokładu frachtowca. W pewnej chwili statek wystartował i odleciał.

- On go porwał? - zdziwił się Tainer. - Sądziłem, że androidom nie wolno pilotować gwiazdnych statków. To jeden z zakazów umieszczanych na najniższym poziomie podstawowego oprogramowania.

- Owszem, ale z wyjątkiem jednostek typu VI i kilku innych szczególnych przypadków - przyznała Tyria. - Ale to nie Skrzypek pilotował. On tylko przeprogramował automatycznego pilota imperialnego frachtowca i kazał mu lecieć kilkaset kilometrów... jak najniżej, ale cały czas na tej

samej wysokości. Chciał, żeby statek znalazł się poza zasięgiem baterii obronnych dział kosmoportu. Dopiero później polecił mu śmignąć świecą w atmosferę i opuścić gwiazdny system karnej kolonii. Zapomniał jednak o czymś... - Tyria przebiegle się uśmiechnęła, zawiesiła głos i dokończyła, z trudem powstrzymując chichot: Na zachód od kosmoportu, dokąd polecieci, powierzchnia planety jest usiana górkami łańcuchami i poprzecinana głębokimi wąwozami, a on polecił automatycznemu pilotowi statku, żeby leciał jak najniżej, ale cały czas na tej samej wysokości nad powierzchnią gruntu...

Kell pierwszy zrozumiał, o co chodzi, i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że uciekinierzy podróżowali jak na grzbiecie podskakującego bantha? - zapytał.

Tyria wyciągnęła rękę nad stołem i wykonała dłonią kilka ruchów wyznaczający sinusoide o dużej amplitudzie.

- Wyobraźcie sobie, że przebywacie na pokładzie starej bali, którą tylko ktoś pijany mógłby nazwać koreliańskim frachtowcem, a w pewnej chwili statek zaczyna wyprawiać dzikie harce. W górę! W dół! W górę! W dół... I tak bez końca, ponad sto kilometrów.

Dopiero wtedy Patyk i Prosiak także się roześmiali. Śmiech kosmatej istoty brzmiał jak zwierzęcy ryk przeplatany dychawicznym sapaniem. W odróżnieniu od niego Gamorreanin wydawał całkiem przyjemnie brzmiące, niskie pomruki, których tłumaczenia chyba nie przewidywało oprogramowanie jego implantu.

W końcu śmiech ucichł i Tyria mogła kontynuować swoją opowieść.

- Jakimś cudem przeżyli i przekazali Sojuszowi nie tylko koreliański frachtowiec, ale także mnóstwo cennych informacji o samej Kessel... wiedzieli, kto został skazany na harówkę w tamtejszej kolonii karnej i jakimi systemami obronnymi dysponuje personel imperialnej bazy. W nagrodę Skrzypek został wyzwolony. Nie zainstalowano mu nawet gniazda sworzni ogranicznika. Zarabia teraz na życie podobnie jak ludzie.

Kell kiwnął głową.

- Znieważając tych, których obsługuje - burknął cierpko.

- Dobrze wiesz, co chciałam powiedzieć - odcięła się pilotka. Patyk odwrócił się do Tainera.

- A wracając do sprawy - zaczął. - Nie unikniesz rozmowy na ten temat. Tak samo my nie powinniśmy unikać rozmowy z tobą, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy. Czy zechcesz nam wybaczyć nasze zachowanie?

- Jasne - odparł Kell. - Ale powiedz umysłowi swojego pilota, że jeżeli jeszcze raz mi się narazi, przejadę się po nim i to porządnie.

- Nie omieszka - zapewnił Patyk. - Zasłużył na to.

W końcu powrócił Skrzypek ze szklankami i kubeczkami. Wręczył Kellowi wilgotną chusteczkę, którą pilot zaczął czyścić czoło. Kiedy android odszedł, Tyria spojrzała na drzwi wejściowe i od razu się wyprostowała.

- Oto druga grupa kandydatów - oznajmiła.

Pozostali obrócili głowy. W ich stronę kierowali się dwaj mężczyźni w kombinezonach pilotów. Obok jednego toczyła się astromechaniczna jednostka typu R2. Od pierwszego rzutu oka można się było zorientować, że kandydaci przechodzili w życiu trudne chwile. Jeden byłby całkiem przystojny, gdyby nie paskudna długa blizna ściągająca skórę lewego policzka, przecinająca nos i kończąca się na lewej skroni. Drugi mężczyzna był trochę wyższy, a górną część lewej połowy twarzy miał

osłoniętą protezą, która wyglądała jak skorupa.

Pierwszy odezwał się mężczyzna z blizną.

- Wam też udało się przeżyć przewrotne tortury wymyślone przez porucznika Jansona? - zapytał.

Kell zachichotał i gestem zachęcił przybyszów, żeby usiedli przy ich stole.

- Tylko wy dwaj ocaleliście z pogromu? - zakpił.

Pilot z protezą kiwnął głową. W odsłoniętej połowie było widać jasnoniebieskie oko, nieskazitelnie przyszyżone cienkie wąsy i brodę, która nadawała mu wygląd raczej imperialnego lorda niż pilota gwiazdowego myśliwca Nowej Republiki.

- Nazywam się Ton Phanan - odezwał się mężczyzna - A to Loran i jego jednostka typu R2. Loran nazywają Rozpylaczem. Pozostałymi dwoma uczestnikami naszej symulowanej wyprawy byli Chedgar i pewien Bothanin, który sam siebie nazywa Młynkiem. Kiedy wychodziliśmy, Chedgar wciąż jeszcze wyklócał się o wynik oceny, ale chyba tylko dlatego, że uświadamiał sobie, że nie zakwalifikuje się do nowej eskadry. - Pilot usiadł, rozparł się na krześle i zaplótł palce rąk za głowę, jakby zamierzał pograżyć się w błogostanie. - Na zamianie punktów wyszedłem jak prawdziwy pirat - podjął po chwili. - Zrąbałem tylko jedną gałąź, ale otrzymałem punkty za trzy inne, zestrzelone przez Lorana. Mógłby mi się spodobać taki sposób ustalania ocen.

Kell przedstawił swoich towarzyszy i znów popatrzył na mężczyznę z brzydką blizną. W twarzy pilota było coś znajomego, co kazało mu zwrócić uwagę nie tylko na bujną szopę czarnych włosów i szmaragdowe oczy, ale także na jego postawę, pogodne usposobienie i łatwość w nawiązywaniu znajomości.

- Loran? - zapytał w końcu. - Garik Loran? Buźka?

Phanan obrócił głowę w stronę kolegi, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Tyria powiodła spojrzeniem po pozostałych, ale na twarzach Patyka i Prosiaka malowała się dezorientacja.

Oszpecony pilot kiwnął głową.

- Tak, to ja - przyznał ponuro.

- Myślałem, że nie żyjesz! - wyznał Tainer. - To było siedem, może osiem lat temu. Wiadomość dotarła do nas krótko przed informacją o pojawieniu się w przestworzach pierwszej Gwiazdy Śmierci.

- Bardzo nam przykro - odezwał się Patyk. - Z pewnością powinniśmy coś wiedzieć o tym człowieku, ale w naszej pamięci nie zachowały się żadne informacje.

- Podobnie jak w pamięci większości ludzi - stwierdził Kell. - Buźka... Najsłynniejszy dziecięcy aktor z imperialnych holodramatów w rodzaju Czarnego banthy i Fletów dżungli. Po tym, jak zagrał główną rolę w Wygraj albo giń, liczba rekrutów do imperialnych sił zbrojnych wzrosła co najmniej o pięć procent. Nigdy ich nie oglądaliście?

Obie obce istoty pokręciły głowami, ale wszystko wskazywało na to, że Phanan słyszał o Loranie. Kiedy poznał pikantny szczegół z przeszłości kolegi, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

Tyria musiała także o nim słyszeć, bo otworzyła lekko usta ze zdziwienia.

- Nawet nie wiesz, jak się w tobie kochałam, kiedy miałam dwanaście lat - wyznała w końcu.

Oszpecony pilot prychnął.

- Nie miej sobie tego za złe - mruknął oschle. - Specjalnie wybrano mnie, bo wyglądałem jak ktoś, w kim powinna się zakochać większość młodych dziewcząt.

- Co ci się przytrafiło? - zainteresowała się młoda pilotka. - Wszyscy twierdzili, że zamordowali

cię ekstremiści z Sojuszu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Niewiele brakowało - powiedział cicho. - Kiedy przygotowywałem się do roli kilkunastoletniego młodzieńca, rzeczywiście porwali mnie ekstremiści. To prawda, że kiedyś służyli Sojuszowi. Chcieli mnie zamordować, żeby dać nauczkę wszystkim wysługującym się Imperium kolaborantom, którzy nie zdecydowali się wstąpić do imperialnych sił zbrojnych. - Miał starannie modulowany, dźwięczny głos... dokładnie taki, jaki Kell spodziewał się usłyszeć od byłego aktora. Sądził, że dzięki temu zadadzą cios imperialnemu morale.

- Z pewnością zadali cios morale młodych dziewcząt - odezwała się Tyria.

- Przedtem jednak postanowili mi udowodnić, czym właściwie jest Imperium - ciągnął oszpecony kandydat. - Zaczęli mnie indoktrynować. Usiłowali przemocą wbić mi do głowy, jaką rolę odgrywają imperialne siły zbrojne i na czym polega działalność imperialnego wywiadu. Kiedy w końcu zdecydowali się mnie zabić, ich kryjówkę zaatakował oddział imperialnych komandosów. Imperialcy zamierzali mnie ocalić i to właśnie wówczas, w zamęcie walki, odniosłem tę drobną ranę. Moją twarz przeorała zabłąkana blasterowa błyskawica. Porywacze i imperialni komandosi omal się nawzajem nie pozabijali. Walkę z ekstremistami przeżyło tylko kilku wybawców, a ja... byłem wypalonym wrakiem pod każdym względem, zarówno fizycznym, jak i umysłowym, więc ukryłem się przed Imperialcami. Doszedłem do wniosku, że nie wyjdę z ukrycia, dopóki jakoś sobie tego nie poukładam w głowie. Nikt nie znalazł moich zwłok, ale i tak uznano mnie za zabitego. Ogłoszono, że porwanie mnie było jednym z elementów aprobowanego przez Rebeliantów perfidnego planu. Naturalnie, było to jawne kłamstwo.

Tyria sprawiała wrażenie zachwyconej.

- Ale gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata? - zapytała.

- Spędziłem ten czas wśród niektórych członków mojej licznej rodziny - odparł Buźka. - Dorastałem na Pantolominie, ale moi krewni pochodzą z Lorrda, więc kiedy wróciłem na łono cywilizacji, moi rodzice mnie tam odesłali. Z Lorrda było mi już bardzo łatwo nawiązać kontakty z członkami Sojuszu. Moi rodzice bardzo mądrze zainwestowali pieniądze, jakie udało mi się zarobić, gdy jeszcze byłem młodocianym aktorem, więc nigdy nie brakowało mi środków do życia, kiedy się ukrywałem.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi ciekawość, ale chciałam ci zadać jedno pytanie. - Tyria sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej. Czy wykazujesz alergię na płyn bacta? To dlatego nadal masz na twarzy tę bliznę?

- Nie. Postanowiłem jej nie usuwać - wyznał Loran. - Chciałem, żeby została jako drobna pamiątka od ludzi, którym trochę pomogłem, kiedy byłem młody. - Wzruszył ramionami.

Phanan uniósł rękę.

- To ja mam alergię na płyn bacta - powiedział. - Dlatego jestem w dwudziestu jeden procentach mechanizmem, przy czym z każdym rokiem odsetek ten staje się coraz większy. - Uśmiechnął się i przeniósł spojrzenie na młodą pilotkę. - Mimo to każda komórka mojego ludzkiego ciała pragnie lepiej poznać tę młodą damę.

Tyria spojrzała na niego z udawanym oburzeniem.

- Czyżbym naprawdę miała pecha i wstąpiła do jednej z tych jednostek, gdzie jedyna kobieta, w tym przypadku ja, jest nieustannie prześladowana przez każdego nicponia niemającego nic lepszego do roboty? - zapytała.

Phanan pochylił się nad stołem i ujął jej rękę.

- Tyrio, dopiero co cię spotkałem, ale już się w tobie zakochałem zaczął, nadając głosowi melodramatycznie niskie brzmienie. - Wiedz jednak, że nie kocham cię za twoją urodę, choć jest olśniewająca, ani za twoje ciało, mimo jego posągowych kształtów, ani nawet za śmiałość i podniecające zachowanie. Kocham cię, bo słyszałem, że szkoliłaś się na Jedi, a ja chciałbym mieć jak najwięcej potężnych przyjaciół, na których pomoc mógłbym liczyć w trudnych chwilach.

Pilotka była wyraźnie zażenowana. Wyszarpnęła dłoń z palców Phana.

- Wprowadzono cię w błąd - odparła cierpko. - A ty masz maniery szczura womp.

- Rzeczywiście szkoliłaś się, żeby zostać Jedi? - zainteresował się Tainer.

- Nie - odparła Tyria. - Chociaż to prawda, że dysponuję niewielką, naprawdę bardzo nikłą władzą nad Mocą. Dziesięć lat starałam się ją powiększyć, ale bezskutecznie. - Ponuro się uśmiechnęła. - Moc jest w niej bardzo słaba.

Zadowolony, że zdołał się uporać z plamą na czole, Kell zmiął chusteczkę i odłożył na bok.

- Czy kiedykolwiek spotkałaś Luke'a Skywalker'a? - zapytał. Młoda pilotka kiwnęła głową.

- Poddał mnie kilku testom - przyznała. - Prawdę mówiąc, nawet wielu. I w bardzo sympatyczny sposób oznajmił, że nie sądzi, że bym kiedykolwiek zdołała w istotny sposób powiększyć swoją władzę nad Mocą. Dał do zrozumienia, że moje marzenie, które hołubiłam od dziecka, nigdy się nie ziści.

Oszpecony pilot nie odrywał spojrzenia od jej twarzy.

- Gdybym miał choćby najmniejszą władzę nad Mocą, wiesz, jak bym ją wykorzystał? - zapytał.

Tyria pokręciła głową.

- Podczas długich wypraw drapałbym wrażliwe miejsca na plecach, do którego w żaden inny sposób nie potrafię sięgnąć... - zaczął.

Pilotka wstała od stołu tak raptownie, że zakołysał się stojący przed nią kufel z resztką luma.

- Żartuj sobie, ile chcesz - burknęła.

- Och, daj spokój - odparł Loran. - Uważasz, że Skywalker nigdy nie żartuje?

- Nie mam czasu na takie głupstwa - odcięła się Tyria. - Muszę się zająć innymi sprawami.

Skierowała się do wyjścia, a jej długie kroki sugerowały, że jest wściekła.

Phanan obejrzał się za nią.

- Czy mogę cię odprowadzić do kwatery?! - zawołał głośno.

- Nie! - odrzyknęła pilotka, ale nie odwróciła głowy.

- A mogę ci pomóc się rozpakowywać?

- Nie!

- Więc co mogę dla ciebie zrobić?

- Zastrzel się!

Tyria otworzyła drzwi, trzasnęła nimi i wyszła.

Phanan rozparł się na krześle, ale wyglądał na przygnębionego.

- Robiłem to już kilkanaście razy - stwierdził ponuro. - Strzelałem do siebie. Wypadki. To wcale nie jest zabawne.

Kell spiorunował go spojrzeniem.

- Serdeczne dzięki, Phananie i Bużko - powiedział. - Zachowaliście się jak prawdziwi dżentelmeni.

Oszpecony pilot wzruszył ramionami, ale sprawiał wrażenie skruszonego.

W przeciwieństwie do niego Phanan zignorował słowa Tainera. Rozejrzał się po mrocznej pieczarze i w końcu uniósł rękę.

- Kelner! - zawołał. - Hej, ty... kupo złomu! Przydałby się nam ktoś, kto nas obsłuży! Natychmiast! Kell wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Kolego, właśnie sam wymyśliłeś dla siebie najgorszą karę - powiedział.

Następna symulowana wyprawa polegała na uniknięciu zasadzki urządzonej w przestworzach wulkanicznej planety. Kell dopuścił, żeby nieprzyjaciele uszkodzili jego nierzeczywisty X-wing, ale przeżył. Dowiedział się później, że Patyk i tym razem nie zestrzelił ani jednej maszyny wroga i dał się rozpylić na atomy, a porucznika Myna Donosa, doświadczonego pilota, który także ubiegał się o przyjęcie do nowej eskadry, w ogóle nie poddano temu testowi. Zastanawiał się, dlaczego.

Podczas innego symulowanego testu Patyk znów towarzyszył mu jako skrzydłowy. Tym razem obaj byli pilotami Eskadry Zielonych i mieli stawić czoło grupie wrogów pilotujących myśliwce przechwytyjące T1E. I jedni, i drudzy chcieli się przedostać w głąb niebezpiecznego pasa asteroid. Zadaniem Zielonych była obrona ukrytej tam gwiazdnej stacji, a nieprzyjacielscy piloci zamierzali odnaleźć ją i zniszczyć.

Kiedy do strefy bojowego kontaktu zostało zaledwie osiem kilometrów, Patyk wydał śpiewny okrzyk bojowy, zwiększył dopływ energii do jednostek napędowych swojego X-winga i wysforował się daleko przed symulowany X-wing Tainera.

Kell skierował kwadrat systemu namiarowego na tęponosy myśliwiec skrzydłowego. Ułamek sekundy później ramka zapłonęła czerwonym blaskiem, a celowniczy komputer protonowych torped zasygnalizował melodyjnym piskiem, że cel został starannie namierzony.

Po chwili z głośnika pokładowego komunikatora wydobył się głos Jansona.

- „Zielony Pięć”, co ty wyprawiasz?

Na dźwięk głosu przełożonego Kell napiął mięśnie i w duchu przeklął się za to, co zrobił.

- Zaufaj mi tym razem, Kontrolo - powiedział. Irytujący okrzyk bitewny Patyka urwał się jak ucięty nożem.

- „Szóstka” do „Piątki” - odezwała się istota. - Zamierzasz do nas strzelać?

- Zaprzeczam, „Szóstko”.

- To co właściwie robisz?

- Staram się zwrócić twoją uwagę - odparł Kell. - Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

- Tak, „Piątko”.

- Więc wracaj na swoje miejsce w szyku - burknął Tainer. - Natychmiast. To ja jestem dowódcą, a ty skrzydłowym. Czy mnie zrozumiałeś?

- Potwierdzam, „Piątko”.

Patyk wyraźnie zwolnił i zajął miejsce w szyku za myśliwcem Kella.

Zachowywał się poprawnie, dopóki nie znalazł się w zamięcie bitwy. Później jednak, kiedy on i Kell zestrzelili po jednym myśliwcem wroga, znów wydał dziwaczny okrzyk bojowy, złamał szyk i puścił się w pogoń za dwoma nieprzyjacielskimi myśliwcami przechwytyjącymi.

- Przekazuję ci dowództwo, „Szóstko” - oznajmił pospiesznie Tainer i podążył za nim.

Pilot lecącego na czele nieprzyjacielskiego myśliwca przechwytyjącego starał się zatoczyć łuk, żeby się znaleźć za tęponosą maszyną „Zielonego Sześć”, Kell wykorzystał to, że leci z tyłu, zatoczył ciaśniejszy łuk i rozpylił imperialną maszynę na atomy. Ponowne wyprzedzenie X-winga. Patyka zajęło mu standardową minutę. W tym czasie jego skrzydłowy uszkodził nieprzyjacielską maszynę

celnie posłaną protonową torpedą.

Kell pstryknął przełącznikiem pokładowego komunikatora.

- „Piątka” wzywa „Szóstkę” - powiedział.

Bojowe okrzyki natychmiast ucichły, ale Patyk nie od razu odpowiedział.

- Tu „Szóstka” - odezwał się w końcu.

- Tylko sprawdzam - odparł Tainer. - Postaraj się powściągać swojego pilota, ilekroć go nie potrzebujesz. Zachowuje się zbyt hałaśliwie.

- Zrozumieliśmy cię, „Piątko”.

- To dobrze - mruknął Kell. - Nadal pełnisz obowiązki dowódcy, a ja pozostaję twoim skrzydłowym.

Kell zakończył ćwiczenia tylko z dwoma zestrzeleniami. W dodatku pilot myśliwca przechwytyjącego, ukrytego za szaleńczo wirującą asteroidą, trafił go zaskakującym strzałem, i symulowany X-wing został poważnie uszkodzony. Mimo to Tainer nie czynił sobie żadnych wyrzutów. Cieszył się, że współpraca z Patykiem układa mu się coraz lepiej, a nawet udaje mu się zmuszać obcą istotę do słuchania jego rozkazów.

Wreszcie ćwiczenia dobiegły końca. Zatrzaski symulowanej kabiny szczęknęły, owiewka się otworzyła i do symulatora wpadło jaskrawe światło. Na zewnątrz czekał Janson.

Kell poczuł w żołądku lodowatą bryłę. W pierwszym odruchu chciał zostać w ukryciu. Wprawdzie świadomość podpowiadała mu, że ze strony Jansona nie ma się czego obawiać, ale na widok bardziej doświadczonego pilota poczuł lęk. Mimo to wygramolił się z symulatora i stanął na baczność przed zastępcą dowódcy nowej eskadry.

Janson nie patrzył na ekran komputerowego notatnika.

- Tym razem osiągnąłeś przeciętny wynik, Tainer - powiedział. Jednak twój nieortodoksyjny sposób... - zawahał się, jakby nie wiedział, jak to określić - ...nakłaniania podwładnego do posłuszeństwa przyniósł zaskakująco pomyślny rezultat. Jestem skłonny przydzielić ci premię w wysokości kilkuset punktów, następnym razem postaraj się jednak chociaż trochę poprawić stosunek liczby zestrzeleń do strat własnych. Ogólnie biorąc, nieźle. Pytania?

- Tak, panie poruczniku - odparł Kell. - Chciałbym się dowiedzieć, czy to program mnie rozwalił, czy może żywa osoba.

Janson uśmiechnął się z przymusem.

- Ach, ten charakter pilota! - westchnął. - Trudno byłoby ci się pogodzić z tym, że zestrzelił cię standardowy program? Ale w tym wypadku masz rację. To był pilot. Z pewnością o nim słyszałeś. Nazywa się Wedge Antilles i lubi od czasu do czasu brać udział w tych testach. Jesteś wolny.

Intensywne ćwiczenia przerzedzały szeregi kandydatów na pilotów. Już następnego dnia zniknął Chedgar. Kell przypuszczał, że stało się to za sprawą wręcz paranoicznego przeświadczenia kandydata, iż oficerowie uwzięli się na niego. Dwa dni później odprawiono Quarrena Triogora Sllusa za to, że znieważył kalamariańską kandydatkę Jasmine Ackbar. Kell dowiedział się później, że to siostrzenica legendarnego admirała Ackbara. Następnego dnia przyłapano mężczyznę o nazwisku Banna, całkiem niezłego, ale niezbyt błyskotliwego włamywacza komputerowego, na „poprawianiu” zapisanych w pamięci komputera wyników własnych testów. Jeszcze tego samego dnia jego prycza była wolna. Kilku innych kandydatów zniknęło bez wyjaśnienia i Kell trochę im współczuł, że zaprzepaścili ostatnią szansę zostania pilotem gwiazdowego myśliwca. Zastanawiał się, czy nie będzie następny.

Podczas jednej z prowadzonych w Wolnym Czasie dyskusji postanowił pogadać o tym z pozostałymi.

- Kiedy zgłosiłem swoją kandydaturę, przypuszczałem, że jestem jedynym pilotem, który stara się wykorzystać ostatnią okazję - powiedział. - Z każdym dniem upewniam się jednak coraz bardziej, że pozostali także stąpają w termicznych butach po cienkim lodzie. A może się mylę?

Jego towarzysze mieli ponure miny... z wyjątkiem Tona Phanana. Mężczyzna diabolicznie się uśmiechnął.

- W moim przypadku chodziło o coś innego - zaczął. - Zwykły brak szczęścia podczas prawdziwej walki. W odróżnieniu od większości spośród was brałem w niej udział kilka razy...

Tyria parsknęła.

- Chwalipięta - powiedziała.

- W pięciu prawdziwych wyprawach zestrzelono mnie dwukrotnie i tylko trzy razy udało mi się pomyślnie wylądować - dokończył Phanan. - To nie najlepszy rezultat, a zważywszy na zniszczone myśliwce i konieczność ciągłego łatania mnie za pomocą wymyślnych protez, stanowią kosztowny nabytek dla dowódcy każdej eskadry.

Patyk uniósł głowę i skierował wielkie oczy na twarze kandydatów.

- Wiemy, dlaczego tu trafiliśmy - powiedział. - Czasami tracimy panowanie nad sobą. Mimo to porucznik Janson twierdzi, że radzimy sobie coraz lepiej... głównie dzięki staraniom podporucznika Tainera.

Kell się uśmiechnął.

- Zaslugujesz na to - stwierdził. - Pewnego dnia będziesz mógł przełączać swoje umysły równie łatwo jak kanały projektora hologramów. A co z wami, Tyrio, Bużko? Tylko was dwojga nie potrafię rozszyfrować. Nie zachowujecie się, jakbyście próbowali wykorzystać ostatnią szansę...

Phanan spiorunował go zdrowym okiem.

- Chcesz powiedzieć, że w przeciwieństwie do pozostałych? - spytał.

- Owszem. - Tainer kiwnął głową. - Zwłaszcza w przeciwieństwie do ciebie.

Phanan się nie obraził. Wyszczrzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu, jakby go ucieszyła ta odpowiedź.

- Chciałem tylko, żeby wszystko było jasne - powiedział.

Bużka rozparł się na krześle i odprężył.

- Jeżeli chodzi o mnie, Kell - zaczął - wkupiłem się do eskadry gwiazdnych myśliwców. Właśnie to powiedział mój pierwszy dowódca. I miał rację - Pierwszy myśliwiec typu A-wing, w którym zamierzałem zdobywać niezbędne doświadczenie, kupiłem w trochę może podejrzanych okolicznościach, ale za to za własne pieniądze. Poleciałem nim później na dwie wyprawy z dowodzonym przez pułkownika... to znaczy, generała Crespina, Pułkiem Komet, ale pewnego razu musiałem dokonać trudnego wyboru: albo zwiewać z pola walki, albo nadzieć się na torpedę wystrzeloną przez pilota jakiegoś bombowca. Następnym razem kupiłem dla odmiany myśliwiec typu X-wing... i trafiłem do bazy dowodzonej przez tego samego Crespina. Takie już moje parszywe szczęście. Generał uważa mnie za dyletanta, który w dawnych czasach zbyt gorliwie wysługiwał się Imperium, żeby kiedykolwiek zasłużyć na zmazanie win. Kto wie, może ma rację... ale kiedy powiedział mi, że nigdy nie zostanę wartościowym żołnierzem, naskoczyłem na niego jak idiota. Powiedziałem, że idę w jego ślady. No cóż, to oznaczało koniec mojej kariery jako pilota, dopóki nie pojawiła się ta możliwość. - Wzruszył ramionami.

- Jesteś aż tak bogaty? - zapytał Kell.

- Nie na tyle, żeby kupować ciągle nowe myśliwce. Co to, to nie odparł Buźka. - Mam nadzieję, że pewnego dnia stanę się wartościowym nabytkiem... na tyle dobrym, że gdybym jeszcze raz stracił tęponosy myśliwiec, kosztami następnego będę mógł obciążyć Sojusz, a nie osobiste konto w banku.

Kiedy skończył, wszyscy spojrzeli wyczekująco na Tyrię. Młoda pilotka czuła się wyraźnie nieswojo.

- Nie chcę o tym mówić - oznajmiła.

- Rozumiemy cię, ale powiedz nam chociaż jedno - odparł Loran. Bez względu na to, dlaczego się zgłosiłaś, czy twój powód ma coś wspólnego z naszymi powodami? Czy to coś, co mogło zniweczyć twoją szansę na awans?

Młoda kobieta nie odpowiedziała, ale po chwili kiwnęła głową.

- Ciekawe - zmienił temat Buźka. - Jest jeszcze coś, o czym chciałem wam powiedzieć. Zauważyłem, że jeden z kwatermistrzów bazy dostarczył porucznikowi Donosowi opancerzoną kasetkę, w której mógł się znajdować karabin laserowy...

Phanan się uśmiechnął.

- Jeszcze jeden, którego kariera legła w gruzach - zauważył. - Pamiętacie ten symulowany atak na wulkaniczną planetę? Słyszałem, że...

Nagle z głośnika komunikatora Tainera rozległ się melodyjny pisk. Kiedy Kell wyciągał urządzenie, podobne piski wydobyły się z komunikatorów pozostałych pilotów. Odwrócił się plecami do nich i włączył nadajnik.

- Podporucznik Tainer - oznajmił.

Usłyszał bezosobowy, ale zdecydowanie kobiecy i prawdopodobnie uprzednio nagrany głos.

- Jesteście proszeni o natychmiastowe stawienie się w amfiteatrze sali odpraw pilotów X-wingów. Powtarzam, jesteście proszeni o natychmiastowe stawienie się w amfiteatrze sali odpraw pilotów X-wingów.

Rozległ się cichy trzask i połączenie zostało przerwane. Tainer usłyszał, że z głośników pozostałych komunikatorów wydobywa się ta sama wiadomość.

Odwrócił się i spojrział na kolegów.

- Chyba pora rozpocząć prawdziwe ćwiczenia - powiedział.

ROZDZIAŁ 6

Amfiteatralna sala odpraw, w kształcie koła, była zwieńczona białą kopułą. Jedną połowę zajmowało kilka rzędów foteli, a w drugiej ustawiono długie łukowate stoły, podwyższenie, pulpit dla mówców i holoprojektor.

Tyria usiadła na skraju jednego rzędu. Phanan chciał zająć miejsce obok niej, ale Kell niezbyt grzecznie odepchnął go biodrem i wyprzedził.

- Och, bardzo przepraszam, Ton - powiedział. - Siedziałeś tu? Nie zauważyłem.

Phanan uśmiechnął się, jakby nic sobie z tego nie robił.

- Może potrzebujesz protezy wspomagającej wzrok? - zapytał. Pomogę ci stracić oko, chcesz? Mógłbyś wówczas złożyć podanie, by ci coś takiego przydzielono.

- Nie, dzięki - odparł Tainer.

Kiedy dziesięcioro pilotów zajęło miejsca, pozostawiając wolnych pięćdziesiąt pozostałych foteli, do pomieszczenia weszli Wedge Antilles i Wes Janson. Płyta drzwi zasunęła się za ich plecami, a gdy włączyła się aparatura wyrównująca ciśnienie w amfiteatralnej sali, Kell poczuł lekki ucisk w uszach.

Janson usiadł na fotelu przy jednym z długich stołów, a Wedge skierował się do pulpitu z holoprojektorem.

- Chciałbym wam pogratulować, że przetrwaliście wstępną selekcję - odezwał się bez żadnego wstępu. - Zgłosiło się do nas czterdziestu trzech kandydatów, ale ćwiczenia ukończyła tylko wasza dziesiątka.

Prawdę mówiąc, liczyliśmy na dwunastu, żebyśmy mogli utworzyć z nich pełną eskadrę, ale tak naprawdę tylko wy okazaliście się wystarczająco dobrzy.

Wedge spuścił głowę i popatrzył na ekran komputerowego notesu.

- A jeśli chodzi o powód, dla którego was tu ściągnęliśmy - podjął po chwili. - Otóż wasza dziesiątka plus porucznik Janson i ja utworzymy nową eskadrę. Z pewnością już o tym słyszeliście, prawdopodobnie jednak nie wiecie, że zamierzamy osiągnąć coś nowego. Kiedy dokonywano ostatniej reorganizacji Eskadry Łotrów, powołano do niej pilotów, którzy również potrafią przenikać na teren nieprzyjacielskich baz. W przypadku pilotów naszej eskadry będzie na odwrót. Staniecie się pełnowartościową grupą komandosów, którzy niejako przy okazji będą umieli nieźle pilotować gwiazdne myśliwce typu X-wing. - Powiódł spojrzeniem po twarzach pilotów, starając się poświęcić każdej kilka sekund. - Zostaniecie członkami nowej eskadry, bo jesteście pilotami, ale najbardziej zależy nam na waszych dodatkowych umiejętnościach... chociaż o niektórych znaleźliśmy w waszych aktach tylko bardzo krótkie wzmianki. Musicie mieć świadomość, że równie dużo czasu jak na samo latanie będziemy poświęcali na prowadzenie naziemnych akcji. Chodzi o sabotaż, dywersję i przenikanie do nieprzyjacielskich baz.

Phanan podniósł rękę. Wedge udzielił mu głosu.

- Skrytobójstw? - zapytał.

Antilles zastanawiał się jakiś czas, co odpowiedzieć.

- Jeżeli znasz sposób przedostania się na teren imperialnej bazy i opanowania jej albo zniszczenia tak dyskretnie i bez przelewu krwi, aby nasi wrogowie nie nazwali tego skrytobójstwem, porozmawiam z tobą po zakończeniu tej odprawy. Oprócz takich sytuacji dowodzeni przeze mnie członkowie nowej eskadry na pewno nie otrzymają rozkazu na przykład zamordowania mówcy podczas zgromadzenia. Nie będą musieli się podkradać do ofiary, by ją zasztyletować.

- Doskonale. Właśnie tego chciałem się dowiedzieć - odparł Phanan. - Nie, żebym miał coś przeciwko skrytobójstwom.

Wedge obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- Na razie będziemy się nazywali Eskadrą Szarych - powiedział. Możecie zgłaszać propozycje stałej nazwy. Jeżeli uznam jakąś za odpowiednią, zgłaszająca osoba może liczyć na trzydniowy urlop na Commenorze. A teraz skład i organizacja eskadry. Właściwie wszyscy już się poznaliście. Z powodu niewystarczającej liczby pilotów porucznik Janson i ja będziemy nie tylko wami dowodzili, ale także z wami latali. A przy okazji... Janson potrafi świetnie włączyć broń krótką, podobnie jak systemami uzbrojenia gwiazdowego myśliwca. Gdyby ktoś chciał nabrać jeszcze większej wprawy, powinien się z nim skontaktować. Następnym doświadczonym oficerem jest porucznik Myn Donos - ciągnął Antilles. Kell obrócił głowę w stronę Korelianina. Zwrócił uwagę, że pilot siedzi z obojętną miną z daleka od dziewięciorga pozostałych. - Oprócz pełnienia obowiązków pilota jest także naszym strzelcem wyborowym. Wszyscy pozostali będą mieli jednakowe stopnie wojskowe. Podczas dzisiejszej odprawy nie zamierzam czynić różnic z tytułu daty wstąpienia do wojska czy dotychczasowego doświadczenia. Zamiast tego ustalę starszeństwo, kierując się wynikami waszych testów. Pierwszym spośród równych zostaje podporucznik Kell Tainer. Powierzam mu obowiązki rezerwowego mechanika, ilekroć przyjdzie nam przebywać daleko od bazy. Jest on oprócz tego ekspertem od wysadzania budowli i podkładania ładunków wybuchowych. Wykazał się także niezwykłą odwagą jako jeden z komandosów, którzy rok temu pomogli nam odbić Borleias z rąk Imperium.

Tyria obrzuciła Kella zdumionym spojrzeniem.

- To prawda? - szepnęła. Tainer wzruszył ramionami.

- Zakładałem ładunki wybuchowe, podczas gdy moi koledzy odpowiadali na ogień nieprzyjaciół - powiedział. - Ktoś uznał to za wybitne osiągnięcie.

Wedge odchrząknął, żeby wszyscy ponownie zwrócili na niego uwagę. - Następny to Garik Logan... - Urwał, bo Buźka wstał i nisko się uklonił. Kiloro pilotów skwitowało to żartobliwą owacją. Rozbawiony dowódca dał Loganowi gestem znak, żeby usiadł. - Buźka jest jednym z naszych specjalistów od przenikania na teren nieprzyjacielskich baz - podjął po chwili. - Ma duże doświadczenie w charakteryzacji i mówi kilkoma językami oprócz basica... - Zapomniał pan dodać, że jestem także wybitnym aktorem! - zawołał Buźka, nie wstając z fotela.

Wedge pokiwał głową.

- A czasami również kucharzem - dodał, wyrozumiale się uśmiechając. - Dzisiaj wieczorem będziesz pełnił poza kolejnością służbę w kuchni. Zajmiesz się obieraniem bulw. Chciałbyś jeszcze coś powiedzieć?

- Uhm... chyba nie, panie komandorze - oznajmił zawiedziony pilot.

- Falynn Sandskimmer zna się doskonale na pojazdach naziemnych i jest mistrzynią pilotażu gwiazdnych Y-wingów - ciągnął Antilles. Wszyscy skierowali spojrzenia na ciemnowłosą kobietę

z Tatoonie. Sandskimmer obróciła głowę w ich stronę i bez zmruczenia oka wytrzymała spojrzenia pozostałych kandydatów. Miała zaciętą, stanowczą minę i spoglądała z jawną wrogością, co nadawało posepny, odpychający wygląd rysom jej ładnej skądinąd twarzy. - Wobec braku personelu pomocniczego będzie również zajmowała się zaopatrzeniem eskadry.

Kell uniósł rękę.

- Tak, panie Tainer? - zapytał Wedge.

- Skoro mowa o zaopatrzeniu, czy będziemy mieli swojego kwatermistrza? - zainteresował się pilot. - Chciałbym pogadać z nim na temat części zapasowych do X-wingów...

- Jeszcze go nie mamy, ale rozglądam się, kto spośród personelu bazy mógłby pełnić te obowiązki. Dam panu znać, jeśli kogoś znajdę. - Wedge zerknął na ekran komputerowego notesu, żeby przeczytać nazwisko kolejnego pilota. - Naszym medykiem będzie Ton Phanan.

Troje czy czworo pilotów wybuchnęło głośnym śmiechem; wszyscy dobrze wiedzieli, że Phanan jest przynajmniej w dwudziestu procentach mechanizmem i nie wykazuje dostatecznej wrażliwości, żeby pełnić obowiązki uzdrowiciela. Sam Phanan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jesteś wykwalifikowanym sanitariuszem? - zapytał Buźka. Pilot ze skorupą na twarzy pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Kiedyś jednak byłem licencjonowanym chirurgiem... na tyle doświadczonym, żeby cię porozcinać i pospawać na nowo.

Tyria pochyliła się ku niemu za plecami Tainera.

- Dlaczego zrezygnowałeś? - zapytała.

Phanan obdarzył ją najbardziej diabolicznym spośród swoich uśmiechów.

- Nie miałem nic przeciwko łataniu ludzi, chociaż ich los nic mnie nie obchodził... ba, nawet cieszyłem się, mogąc uśmiercać osoby, których nie znośłem - szepnął w odpowiedzi.

Tyria wzdrygnęła się i wyprostowała.

Wedge wskazał ruchem głowy Kalamariankę siedzącą w pierwszym rzędzie. Istota pokiwała głową, a jej rybie wąsy się zakołysały.

- Jesmin Ackbar zostanie naszą specjalistką od systemów telekomunikacyjnych - oznajmił. - Voort saBinring, Prosiak, zna się na technikach walki wręcz i może przenikać do oddziałów Gamorrean, co powinno ułatwić nam wykonanie zadania, przynajmniej na niektórych planetach. Hohass Ekwesh, Patyk, dysponuje dużą siłą fizyczną. Wprawdzie jest dosyć szczupły i niski jak na Thakwaashanina, ale i tak ma trzykrotnie więcej siły niż przeciętna istota ludzka jego wzrostu. Eurrsk Thri'ag, którego większość z was zna jako Młynka, jest naszym włamywaczem do systemów komputerowych.

Bothanin wyprostował się, a porastająca jego ciało bujna srebrzysta sierść lekko zafalowała. Spojrzał na Antillesa i kiwnął głową. Kell niewiele o nim wiedział, ale wszystko wskazywało, że Eurrsk Thri'ag jest samotnikiem. Nie starał się zaprzyjaźnić z pozostałymi kandydatami, z którymi już niedługo miał wyruszać na niebezpieczne wyprawy.

- Tyria Sarkin jest także specjalistką od przenikania na teren nieprzyjacielskich baz - ciągnął komandor. - Należy do Antariańskich Strażników z Toprawy i znakomicie opanowała umiejętność bezgłośnego poruszania się w trudnym terenie.

Kell powstrzymał się od gwizdnięcia. Wprawdzie nigdy nie słyszał o Antariańskich Strażnikach, ale obijała mu się o uszy nazwa skolonizowanej przez ludzi Toprawy. To właśnie na tej planecie funkcjonariusze Wywiadu Sojuszu zdobyli bezcenne informacje, które przyczyniły się do zniszczenia

pierwszej Gwiazdy Śmierci. Wkrótce potem wojska Imperium brutalnie rozprawiły się z siłami zbrojnymi planety, spaliły jej miasta, wypędziły miejscową ludność i skazały ją na życie na dzikich pustkowiach. Kell słyszał, że ci, którzy przeżyli, musieli się poniżyć, żeby wyblagać u imperialnych ciemiężców chociaż trochę żywności.

Wedge zamknął komputerowy notes.

- No dobrze, a teraz skrzydłowi i ich oznaczenia - podjął po chwili. - Jestem dowódcą Eskadry Szarych czyli „Szary Jeden”. Będę stosował oba te określenia, żeby uniknąć możliwych pomyłek. Panno Ackbar, będzie pani latała ze mną jako „Szary Dwa”.

Kalamarianka ponownie kiwnęła głową.

- To dla mnie zaszczyt, panie komandorze - powiedziała.

- Falynn, jesteś „Trójką”, a ty, Młynku, „Czwórką”.

Mieszkanka Tatooine i Bothanin sprawiali wrażenie niezbyt uszczęśliwionych połączeniem ich w parę. Kell podejrzewał, że żadne nie byłoby zachwycone pełnieniem obowiązków skrzydłowego.

- Tainer, jesteś „Piątką” - ciągnął Antilles. - Nie domyślasz się, kto zostanie „Szóstką”?

- Patyk, panie komandorze?

- Powoli zaczynasz się stawać kimś w rodzaju jasnowidza, Kell stwierdził Wedge. Pozostali się roześmiali. - Ton Phanan jest „Siódemką”, a Buźka „Ósemką”. Wolę, żeby większość złośliwego poczucia humoru eskadry skupiła się w jednej parze, abyśmy mogli skuteczniej sobie z nim poradzić. Porucznik Donos to „Dziewiątką”. Będzie pan latał z „Dziesiątką”, czyli z Tyrią. Porucznik Janson, „Jedenastka”, lata z „Dwunastką”, czyli Prosiakiem. Ilekroć będziemy się dzielili na czteroosobowe klucze, ja będę dowódcą pierwszego, Kell drugiego, a Janson trzeciego. Jakies zastrzeżenia? Wątpliwości? Pytania co do organizacji eskadry?

Nikt się nie odezwał.

- To dobrze - stwierdził Wedge. - Do końca dnia jesteście wolni... z wyjątkiem pana, panie Tainer. Właśnie otrzymaliśmy dostawę nowiutkich X-wingów. Wprawdzie na razie przekazano nam tylko cztery maszyny, ale chciałbym, żeby pan razem z mechanikami bazy popracował przy nich dzisiejszego popołudnia. Proszę zameldować się u mnie za piętnaście minut. Znajdzie pan mnie w hangarze. Na jutro przewiduję ćwiczenia w prawdziwych X-wingach, włącznie ze strzelaniem z prawdziwej broni. - Z uśmiechem zaczekał, aż ucichną radosne okrzyki pilotów. - Możecie się rozejść - zakończył odprawę.

Kiedy ostatni piloci opuścili amfiteatralną salę odpraw, komandor Antilles odwrócił się do zastępcy.

- Co o tym myślisz, Wes? - zapytał. Janson przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości.

- Bardzo rozsądny podział... - zaczął. - Naturalnie pod warunkiem, że zdołasz ich powstrzymać przed sprawianiem zbyt wielu kłopotów. Niektórzy to doświadczone rozrabiaki.

- Jak układają się stosunki między tobą a Tainerem?

Janson odprężył się, rozsiadł się wygodniej i wykrzywił twarz w grymasie.

- Och, z pozoru bardzo dobrze - zaczął. - Jednak za każdym razem, kiedy mnie widzi, patrzy na mnie z nieukrywaną nienawiścią i przemienia się w kłębek napiętych mięśni. Przyznam, że przyprawia mnie to o dreszcz. Na terenie bazy nie lubię uzależniać osobistego bezpieczeństwa od tego, czy akurat mam pod ręką blaster. Kiedy przebywam wśród przyjaciół, wolę się czuć swobodnie.

Wedge kiwnął głową.

- Zniesiesz to jeszcze jakiś czas? - zapytał.

- Chyba tak.

- To dobrze. Byłbym wdzięczny, gdybyś któregoś dnia zechciał poszukać kwatermistrza dla eskadry. Jeśli będziesz mnie potrzebował, najpierw pójde obejrzeć nowe X-wingi, a później dotrzymam towarzystwa naszemu gościowi.

Kiedy opuszczali salę odpraw, na twarzy Tyrii malowała się rezygnacja.

- Co się stało? - zapytał Kell.

- Wymieniono mnie na samym końcu - poskarżyła się pilotka. Znow jestem ostatnia. Jeszcze raz uznano mnie za najgorszą pilotkę w eskadrze.

- Nieprawda. Jesteś dziesiąta spośród czterdzieścioro trojga stwierdził Tainer.

Młoda kobieta popatrzyła z urazą.

- Niedorajdy się nie liczą, Kell - przypomniała.

- No cóż, pozwól w takim razie, że ujmę to inaczej. Jesteś najniżej ocenioną pilotką w eskadrze tworzonej przez samego Wedge'a Antillesa. Jesteś dziesiątą osobą spośród wybrańców. Wybrańców, Tyrio. Jutro możesz być dziewiąta, a pojutrze ósma.

Twarz Tyrii złagodniała.

- Może i tak - odezwała się. - Ale pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Czy kiedykolwiek byłeś w czymś najgorszy?

Tainer zaczął się zastanawiać.

- Nie - przyznał po chwili.

- Tak przypuszczałam.

Hangar myśliwców typu X-wing - nazwany tak, ponieważ na terenie bazy Folor stacjonowała tylko jedna eskadra tęponosych maszyn i dowództwo bazy przekazało hangar na wyłączny użytek jej pilotom był przestronny jak jaskinia i prawie pusty. Mogłyby się w nim zmieścić myśliwce trzech pełnych eskadr, ale obecnie stacjonowało w nim tylko dziewięć jednostek.

Największą była „Narra”, przydzielony Eskadrze Szarych wahadłowiec klasy Lambda. Zarekwirowano go nie Imperium, jak można byłoby się spodziewać, ale odszczepieńczemu kapitanowi Imperialnej Marynarki, który postanowił się zająć przemycaaniem towarów. To by tłumaczyło, dlaczego wahadłowiec wyposażono w nietypowe urządzenia, włącznie z naszpikowanym elektroniczną aparaturą, zamaskowanym przedziałem przemytniczym, którego nie powstydziliby się sam Han Solo.

Pozostałe osiem jednostek to były gwiazdne myśliwce typu X-wing. Cztery brały wcześniej udział w akcjach i należały do Wedge'a, Jansona, Donosa i Bużki. Obok nich stały cztery inne, fabrycznie nowe X-wingi. Podniesiony na duchu widokiem ich lśniących kadłubów, idealnie gładkiego lakieru i błyszczących owiewek Kell uśmiechnął się do siebie... zwłaszcza gdy zauważył, że w gniazdach za kabinami pilotów tkwią niczym uśpieni wartownicy jednostki astromechaniczne typu R2 albo R5. Nowiutkie jak spod igły maszyny i ich roboty sprawiały wrażenie niezwykłych.

- Jak ja nienawidzę czegoś takiego - odezwał się nagle mężczyzna stojący za plecami Tainera.

Kell odwrócił się do niego.

Cubber Daine, szef mechaników eskadry, był mężczyzną trochę mniej niż przeciętnego wzrostu i trochę więcej niż przeciętnej tuszy, a jego lotniczy kombinezon wyglądał, jakby lada chwila miał pęknąć w szwach. Możliwe, że był kiedyś pomarańczowy, ale obecnie pokrywało go tyle plam po chłodziwach, olejach i smarach, że nie można było wiedzieć tego na pewno. W pyzatej twarzy, która

wyglądała jak wyciosana z bryły mięsa i pospiesznie ozdobiona włosami, tkwiły głęboko osadzone, inteligentne małe oczka.

- Tak bardzo nienawidzisz X-wingów? - zdziwił się Tainer.

- Nie, nie - zastrzegł się szybko szef mechaników. - Nienawidzę tylko maszyn prosto z fabryki.

Wyglądają słodziutko, ale czy masz pojęcie, chłopcze, co się zobaczy, kiedy się zajrzy pod płyty paneli? Fabryczne nedoróbki, czekające tylko, żeby dać o sobie znać w najmniej odpowiedniej chwili. Wady montażu, których nikt wcześniej nie zauważył. Ci z Incoma starają się zawsze dokonywać ulepszeń. Ciągłe coś udoskonalają, zmieniają, ale nigdy nie nanoszą tych poprawek na techniczne dokumentacje. Najgorsze jednak ze wszystkiego, że nie do końca je testują.

- I nie pytają cię o zgodę na dokonywanie testów - domyślił się Tainer.

- Więc mnie rozumiesz! - ucieszył się Cubber. - No dobrze, chłopcze. Zajrzyjmy do środka i przekonajmy się, co tym razem pokręcili.

Zanim minęło kilka minut, Kell doszedł do przekonania, że szef mechaników się nie pomylił. Szyny, na których zainstalowano fotele, żeby można je było przesuwac w przód i w tył i dostosowywać do wzrostu pilotów, wykonano tym razem z czarnego błyszczącego stopu ceramicznego zamiast z nierdzewnej stali, do której zdołał się przyzwyczaić. Trudno było przewidzieć, jak nowe tworzywo będzie się spisywało w trudnych warunkach bojowych, wymagających najwyższej wytrzymałości. Kell postanowił, że przy okazji składania zamówienia na części zapasowe poprosi o dostarczenie staromodnych szyn poprzedniego typu.

Okazało się także, że uszczelka owiewki jednego myśliwca wymaga wymiany. Inercyjne kompensatory, czyli generatory anty grawitacyjnego pola chroniącego pilota przed dokuczliwym wpływem niespodziewanych przyspieszeń, raptownego hamowania i szybkich manewrów, były mniejsze niż te, do których się przyzwyczaił. Kell nie zauważył także nigdzie zestawu zewnętrznych prętów kinetycznych, przekazujących pokładowym komputerom informacje o bieżących warunkach lotu. Najciekawsze jednak, że tylko w jednym tęponosym myśliwcu zainstalowano niewielki prostopadłościenny moduł na zewnętrznej powierzchni rufowego przedziału towarowego. Kell nie zdołał jednak znaleźć żadnego gniazda ani przewodów łączących tajemniczą skrzynkę z pokładowymi podzespołami X-winga.

W pewnej chwili w hangarze pojawił się Wedge.

- Jak wyglądają? - zapytał.

Kell wygramolił się z dyszy silnika i pokręcił głową.

- Okropnie - powiedział.

Cubber wyslizgnął się z dyszy innej jednostki napędowej i popatrzył na dowódcę eskadry.

- Najgorsza partia, jaką kiedykolwiek nam przysłano - oznajmił ponuro.

Inni mechanicy dokonujący przeglądu pozostałych nowych myśliwców zawtórowali mu okrzykami pełnymi jednoznacznymi i niezbyt cenzuralnymi określeń.

Antilles spojrział na Cubbera i Kella z niemal jawnym brakiem zrozumienia, z jakim normalni ludzie zawsze kwitowali opinie międzyplanetarnej bractwa mechaników gwiazdnych statków. Ciężko westchnął.

- Zdołacie je przygotować na jutrzejsze ćwiczenia? - zapytał.

- No cóż, pewnie ze dwa uda się nam przygotować - odparł Cubber, ale w jego oczach odmalowało się powątpiewanie.

- Jeżeli od razu zdołamy zmusić inercyjne kompensatory do posłuszeństwa, może nawet trzy -

dodał Tainer.

- A jeśli się stanie cud i testy zaworów wyrzutowych wypadną pomyślnie, teoretycznie moglibyśmy przygotować wszystkie cztery. Ale to bardzo mało prawdopodobne.

Kell powstrzymał uśmiech. W konstrukcji X-winganie przewidziano czegoś takiego jak zawór wyrzutowy.

Wedge sprawiał wrażenie niezadowolonego.

- No cóż, zróbcie, co możecie - powiedział. Tainer zsalutował.

- Załatwione, panie komandorze.

- A kiedy będziecie mieli okazję, niekoniecznie na jutro, zamalujcie te czerwone pasy na kadłubach wszystkich X-wingów z wyjątkiem mojego i Jansona - rozkazał. - Polakierujcie je na szaro.

- Już się robi.

Kiedy Wedge przeszedł w przeciwny kraniec hangaru do swojego osobistego X-winga, Kell odwrócił się do szefa mechaników.

- Co o tym sądzisz? - zapytał. - Jedna godzina? Dwie? Cubber kiwnął głową.

- Jedna - powiedział. - Chyba że zasmarowalibyśmy te paski w nocy, ale nie sądzę, żebyśmy to zrobili. Umiesz grać w sabaka, synu?

- Trochę - przyznał Tainer. - Ale nie jestem w tym bardzo dobry. Cubber spiorunował go urażonym spojrzeniem.

- Czy wyglądam na idiotę? - zapytał. - „Nie jestem w tym bardzo dobry”, akurat. Moja sześciolatka córka jest lepszą kłamczuchą.

- No cóż, może czasami zdarza mi się kłamać, ale naprawdę nie jestem w tym dobry - powtórzył Tainer.

Szef mechaników prychnął i wciągnął się z powrotem do dyszy wylotowej silnika.

Wedge Antilles kręcił się po hangarze jeszcze jakąś standardową godzinę, na tyle długo, że mechaników zaczęła denerwować jego obecność. Starali się mu uprzykrzać życie, opowiadając na całe gardło historie o zasłyszanych niewiarygodnych pomyłkach innych mechaników. Za każdym razem podawali coraz wyższe liczby zabitych osób, jakie podobno były ich ofiarami. Zakończyli pracę, ale Cubber nie ośmielił się ich zwolnić, dopóki po hangarze krzątał się dowódca. Nie zgadzałoby się to z rzekomo kiepskim stanem gotowości bojowej nowiutkich X-wingów, o którym nieco wcześniej mu meldował.

W końcu Kell usłyszał hałas napływający z odległego krańca hangaru, gdzie znajdował się tunel startowy. Odgadł, że obudziło się do życia zapobiegające ucieczce atmosfery magnetyczne pole. Kilka chwil później rozległ się donośny szcęk i zainstalowane za płaszczyzną pola ciężkie wrota zaczęły się otwierać. W powiększającym się otworze Kell zobaczył pokrytą pyłem powierzchnię księżycy z kraterami po eksplozjach materiałów wybuchowych i sylwetkami naziemnych budowli opuszczonej górniczej bazy. Nad horyzontem świeciły gwiazdy.

W pewnej chwili pojawiła się między nimi jasna plamka. Stopniowo rosła, w miarę jak do wrót hangaru zbliżał się nadlatujący gwiazdny statek. Kiedy znalazł się w odległości kilkuset metrów od wlotu tunelu, przybrał kształt dobrze znany Tainerowi.

- To koreliański frachtowiec typu YT-1300- odezwał się, z trudem ukrywając zdziwienie.

- I to nie byle jaki YT-1300 - dodał Cubber, który cicho jak duch stanął obok niego. - To „Sokół Millenium”.

Kell przyjrzał się uważniej lądującemu frachtowcowi.

- Jesteś tego pewien? - zapytał.

- O, tak - zapewnił szef mechaników. - Nie wiem, czy ci wspominałem, ale spędziłem rok w bazie na Hoth. Niemal każdego dnia przechodziłem obok tej kupy przerdzewiałego złomu i wadliwie poprowadzonego okablowania. Na szczęście nigdy nie musiałem go naprawiać. Solo i jego przyjaciel Wookie nie znosili, gdy zajmował się tym ktokolwiek oprócz nich. Zawsze możesz rozpoznać ten statek po charakterystycznych śladach korozji na kadłubie.

Kiedy frachtowiec przenikał przez kurtynę magnetycznego pola, które posłusznie przepuszczało gwiazdne statki, ale nie dopuszczało do ucieczki atmosfery, z oddali napłynął stłumiony huk. Brzmiał trochę jak odgłos korka wyskakującego z butelki musującego wina. W końcu statek pokonał tunel i wleciał do hangaru. Kiedy zaczął sunąć nad płytą lądowiska, rozwidlony dziób lekko się kołysał. Frachtowiec przybliżał się coraz bardziej, by w końcu zawisnąć nieruchomo nad środkiem największego wolnego miejsca na płycie lądowiska. Dopiero wtedy pilot obrócił go wokół osi, by skierować dziób statku ku wylotowi hangaru. Wreszcie „Sokół” osiadł majestatycznie na ferrobetonowej płycie, co dowodziło, że pilot opanował do perfekcji trudną sztukę posługiwania się ładowniczymi repulsorami.

Kiedy Wedge Antilles ruszył w kierunku frachtowca, opadła rampa ładownicza. Po pochylni zszedł generał Solo, ale nie wyglądał jak mężczyzna, którego Kell oglądał na wielu zarejestrowanych hologramach. Nie miał na sobie paradnego munduru generała Nowej Republiki, w którym czuł się chyba trochę nieswojo. Nosił o wiele bardziej odpowiednie podczas nieoficjalnych podróży brązowe spodnie, kamizelkę i lekką tunikę. Na twarzy miał promienny uśmiech, który doskonale pasował do nieoficjalnego stroju.

Solo i Antilles objęli się i serdecznie uściskali, po czym skierowali się do wyjścia z hangaru. Kell usłyszał tylko kilka słów z ich rozmowy:

- ...leciałem tu... obowiązki dyplomatyczne... Zsinja...

W końcu drzwi zamknęły się za nimi. Cubber klepnął Kella po plecach.

- Miałeś okazję otrzeć się o historię, chłopcze - powiedział. - Będiesz mógł się chwalić dzieciakom, że widziałeś, jak po rampie swojego statku schodził sam generał Han Solo. Nie zapomnij tylko dodać, że nie zwrócił na ciebie najmniejszej uwagi. No dobrze, możemy już się stąd zmywać.

- Racja - przyznał Tainer, ale przyglądał się jeszcze chwilę, jak po pochylni poobijanego frachtowca schodzi barczysta, rośła i porośnięta długą sierścią istota człekokształtna, bez wątpienia towarzysz Hana Solo. Słynny Wookie zszedł po rampie, stanął na płycie lądowiska, wciągnął w nozdrza powietrze i donośnie zaryczał. Wyglądało jednak, że nie zamierza nikogo wprawiać w przerażenie. Zapewne chciał tylko oznajmić swoje przybycie, a może także uznać tamtą część hangaru za własne terytorium, bo kilka sekund później odwrócił się, wszedł po rampie i zniknął.

Kiedy Kell chciał wrócić do sprawdzania podzespołów X-winga, przy którym dotąd pracował, usłyszał dziwny szelest. Drgnął i zaczął się rozglądać. Szelest brzmiał, jakby po płycie hangaru przebiegł gryzoń rozmiarów sprzątającego robota, ale Kell nie zauważył żadnego zwierzęcia, a dziwny dźwięk ucichł jak ucięty nożem, zaledwie zaczął poszukiwać jego źródła.

Tymczasem Cubber zwolnił swoich pracowników i machaniem ręki zachęcał Kella, żeby szedł za nim.

- Pospiesz się, chłopcze - mówił. - Chyba nie zapomniałeś o sabaku?

- Dobrze, dobrze. - Tainer przyglądał włosy na karku, które stały dęba, zamknął ostatni panel jednostki napędowej X-winga i podążył za szefem mechaników.

- Jak ci się tu leciało? - zapytał Wedge.

- Nuda, a co sobie wyobrażałeś? - odparł Solo. - Ale to lepsze, niż gdybym musiał cały wieczór pełnić dyplomatyczne obowiązki na Coruscant. Przykro mi, że się nie spotkaliśmy, kiedy wróciłeś z wyprawy na Thyferre, ale przedtem wyruszyłem na jeszcze jedną zakończoną fiaskiem wyprawę, której celem miało być schwytanie lorda Zsinja.

Przeszli przez kolebkowo sklepiony portal prowadzący na główny korytarz, skąd można było się dostać do większości pomieszczeń rozmieszczonych na obrzeżach płyty lądowiska.

- Chcesz powiedzieć, że wciąż jeszcze na niego polujesz? - zdziwił się Antilles. - Zdawało mi się, że pełnisz służbę na pokładzie „Mon Remondy”. Słyszałem, że dopóki wojskowi Nowej Republiki nie wypłoszą Zsinja z kryjówek, „Sokół Millenium” ma spoczywać w jakimś hangarze.

Han wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu. Podobne uśmiechy miał i dla wrogów, i dla przyjaciół, ale nigdy ich nie prezentował, gdy odgrywał rolę dyplomaty czy patrzył w obiektywy holograficznych kamer.

- Rzeczywiście uciekłem z Coruscant z jego niekończącymi się dyplomatycznymi obowiązkami na pokładzie „Mon Remondy”, ale w ciągu kilku następnych tygodni nie udało się nam natrafić na ślad Zsinja, więc wszystko zaczęło się sprowadzać do nudnych procedur i utrzymywania okrętu w stanie pełnej gotowości. Chyba wiesz, co myślę o procedurach i przeglądach.

- Więc uciekłeś jeszcze raz, tym razem przed czymś, co miało być ucieczką - domyślił się Antilles.

Solo kiwnął głową.

- Oficjalnie zajmuję się osobistym przekazywaniem rozkazów dotyczących polowania na lorda Zsinja - zaczął. - Nieoficjalnie przyleciałem, żeby porównać i ocenić warunki uprawiania hazardu na terenie rozmaitych baz Sojuszu. - Spoważniał. - Rozkazy stanowią modyfikację tych, które niedawno wydało Coruscant. Zastępują te wcześniej wydane, a my staramy się ustalić, czy przypadkiem Zsinj i pozostali imperialni lordowie nie podsłuchują przekazywanych przez nas sygnałów.

- Czy to znaczy, że jeżeli wyślą patrolowce albo przygotowują zasadzki jako skuteczną odpowiedź na stare rozkazy, a nie na nowe, będziecie mieli poważny problem? - zapytał Wedge.

- Masz rację. - Han kiwnął głową. - Już jutro muszę lecieć do następnej bazy... co daje mi tylko jedną noc, żeby się odprężyć. Więc co tu robicie, jeżeli chcecie się rozerwać?

- Nic - odparł Wedge ze śmiertelną powagą. - Ze względu na filozofię życiową generała w bazie Folor nie mamy żadnych kobiet, żadnego alkoholu ani hazardu. Nie wolno nam nawet oglądać transmisji z Commenora. Może właśnie dlatego tyle osób popełniło ostatnio samobójstwo. Niestety, nie możemy nic na to poradzić. Dysponujemy tylko hologramami przedstawiającymi dyplomatów podczas pełnienia obowiązków na Coruscant, ale nie jestem pewien, czy chciałbyś to oglądać.

Han miał coraz bardziej przerażoną minę. Wyglądał jakby za chwilę miał wpaść w furję. Wreszcie wymierzył w pierś przyjaciela palec, jakby celował do niego z blastera.

- Ty... ty... - zaczął.

Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam cię - powiedział. - Uwierzyłeś we wszystko, co ci powiedziałem. Daj spokój. Najpierw przedstawię cię generałowi Crespinowi, a później udamy się do Wolnego Czasu. Znajdziesz tam

największe zapasy koreliańskiej brandy, jakie mamy na Folorze. Przekonamy się, czy potrafisz je wyczerpać.

- Nie powinienem wierzyć w ani jedno twoje słowo - stwierdził Han z lekką urazą.
- To prawda - przyznał beztrąsko Antilles. - Nie powinieneś.
- Nawet Leia w końcu uświadomiła sobie, że jesteś kłamcą.
- No cóż, miała rację.
- Zawsze ma, ale jeżeli kiedyś zdradzisz jej, że to powiedziałem...
- ...rozprawisz się ze mną raz na zawsze - dokończył Wedge. Wiem, wiem.

ROZDZIAŁ 7

Tunelem hangaru śmignęły cztery X-wingi. Tęponose maszyny przebiły ochronną kurtynę magnetycznego pola i znalazły się w otaczającej Folor idealnej próżni.

- Grupa druga, utworzyć szyk za mną-rozkazał Kell. - Jak najciaśniejszy. Nie zapominajcie, że cały czas obserwuje nas oko.

Okiem był pilot jeszcze jednego X-winga, Wedge Antilles, który zdążył do tej pory unieruchomić swój myśliwiec mniej więcej pół kilometra wyżej w przestworzach.

Patyk, Phanan i Bużka zajęli natychmiast pozycje za ogonem X-winga Tainera, ale sprawnie wykonany manewr nie zmniejszył napięcia, jakie Kell odczuwał, odkąd włączył jednostki napędowe swojej maszyny. Wiedział jednak, że to nie Janson jest powodem jego niepokoju. Ilekroć kimś dowodził albo wykonywał odpowiedzialne zadanie, zawsze miał ściśnięte gardło i kłopoty z oddychaniem. Tym razem to nie miały być ćwiczenia w symulatorze. Pilotował wart fortunę prawdziwy gwiazdny myśliwiec i wykonywał manewry, podczas których nieprecyzyjne celowanie albo niewłaściwie wykonany zwrot mogły przyczynić się do śmierci jego albo skrzydłowego.

Mimo to wysiłkiem woli rozluźnił mięśnie pleców i postarał się odzyskać panowanie nad nerwami. Pomyślał, że może Wedge nie wsłuchuje się zbyt uważnie w dźwięki wydobywające się z głośnika pokładowego komunikatora i nie usłyszy odgłosów jego przyspieszonego oddychania. Miał nadzieję, że nikt nie śledzi wskazań czujników rejestrujących jego ciśnienie krwi, temperaturę ciała i wilgotność skóry.

Słyszał, że podobne czujniki instalowano w fotelach niedoświadczonych pilotów, ale liczył na to, że nie umieszczono ich w jego kabinie albo ich operator nie zwróci uwagi na kłopoty Kella.

Zerknął na ekran monitora nawigacyjnego komputera, żeby się zapoznać z wyświetlanymi tam informacjami. Dane nie były skomplikowane, bo nie chodziło o skok do nadprzestrzeni ani nawet o oddalenie się od powierzchni Folora. Przekazał dane pozostałym pilotom swojej grupy i skierował stępiony dziób gwiazdznego myśliwca na południe. Obejrzał się i przekonał, że koledzy pozostali na swoich pozycjach. Rzut oka na ekran taktycznego monitora upewnił go, że i Wedge czuwa cały czas w tym samym miejscu. Na ekranie zobaczył jeszcze jedną świetlistą plamkę... odległy od wiele kilometrów punkt, bez wątplenia mający związek z ich zadaniem.

- Panowie, tym razem chodzi o zwyczajne ostrzelanie celu - usłyszał nagle dochodzący z komunikatora głos komandora Antillesa. Punkt na ekranach monitorów waszych sensorów nie jest, powtarzam, nie jest waszym celem. To porucznik Janson na pokładzie „Narry”, naszego wahadłowca. Posługując się generatorem promienia ściągającego, będzie kierował ruchami właściwego celu, który znajduje się mniej więcej trzysta metrów za rufą statku. Pierwsze przystąpią do ataku „Piątka” i „Szóstka”, a trzydzieści sekund po nich taki sam manewr wykonają „Siódemka” i „Ósemka”. Wasze zadanie jest bardzo proste. Macie uzbroić protonową torpedę dwa kilometry przed celem, wystrzelić ją z odległości półtora kilometra, niezwłocznie zawrócić i skierować się do bazy. Wasze systemy łączności zostaną częściowo zablokowane. „Piątka” i „Szóstka” nie będą się mogły porozumieć z

„Siódemką” i „Ósemką” i na odwrót. Jeżeli usłyszycie słowo „przerwać”, natychmiast rezygnujecie z ataku i czekacie na dalsze rozkazy. Najprawdopodobniej będzie to oznaczało, że jakiś żartowniś obrał za cel i namierzył samą „Narre”. Pytania?

- Nie, panie komandorze - odparł Kell. Po chwili to samo powtórzyli pozostali.

- A więc pomyślnych łowów.

Kell obserwował cyferki na wyświetlaczu dalmierza. Odległość od celu bardzo szybko się zmniejszała. Wkrótce niedaleko za rufą „Narry” pojawił się ledwo zauważalny błysk jeszcze jednej świetlistej plamki. Z początku pojawiała się i znikwała, ale w końcu rozjarzyła się na dobre. Po kilku następnych sekundach Kell dostrzegł przez owiewkę kabiny samą „Narre”. Na tle ciemnego łańcucha górskiego Folora wyglądała jak świecąca drzazga. Wkrótce ujrzał także sam cel: płachtę z odbijającego światła materiału. Gdyby ją do końca rozwinąć, powinna mieć rozmiary wahadłowca. Pod działaniem promienia ściągającego raz po raz się skręcała.

Kształt celu ulegał ciągłym zmianom i trafienie go z odległości półtora kilometra stanowiło nie lada wyzwanie. Kell zwrócił się do jednostki typu R5, tkwiącej w zagłębieniu za kabiną jego myśliwca.

- Nastaw zapalnik protonowej torpedy na działanie, kiedy pocisk znajdzie się w odległości dziesięciu metrów od celu - rozkazał. - Skontaktuj się z jednostką typu R2 „Szóstki” i poleć jej, żeby zrobiła to samo.

Astromechaniczny robot twierdząco zaświergotał. Kell jeszcze nie nadał lśniącemu automatowi żadnego imienia. Stanowiło to wyłączny przywilej pierwszego pilota, któremu miał zostać przekazany na stałe nowy X-wing i jego astromechaniczny robot.

Kiedy odległość od celu zmalała do dwóch kilometrów, Kell przełączył komunikator na kanał umożliwiający łączność z partnerem.

- Zablokować płaty skrzydeł myśliwców w pozycji bojowej - rozkazał.

Wyciągnął rękę w górę i w prawo i pstryknął odpowiednim przełącznikiem. Po chwili skrzydła rozsunały się i nadały charakterystyczny kształt jego myśliwcowi. Kiedy jednak znieruchomiały we właściwych pozycjach, nagle zgasły wszystkie ekrany i światełka umieszczone nad głową pilota. Kell widział wyraźnie cel na ekranie monitora... ale nie mógł go namierzyć za pomocą komputerowego systemu celowniczego.

- R5, co się stało z moim systemem celowniczym? - zapytał.

Z głośnika komunikatora wydobyła się seria zatrwożonych pisków zdezorientowanego robota, a na ekranie monitora pojawił się napis: PRZYCZYNA NIEZNANA.

Tainer wywołał partnera.

- „Szóstka”, mam awarię systemu namierzania! - zameldował.

- „Piątka”, mam niesprawne systemy uzbrojenia - usłyszał w odpowiedzi. - To chyba coś poważnego!

- Niech to zaraza, niech to zaraza... - mruknął Kell. Miał wrażenie, że w jego żołądku tworzy się bardzo szybko bryła lodu... zupełnie jakby w kabinie jego X-winga ktoś nadgorliwy zainstalował nastawiony na mrożenie klimatyzator. Skierował dziób tęponosej maszyny mniej więcej w kierunku celu ćwiczeń i wziął kilkustopniową poprawkę na sterburcie, żeby uwzględnić prędkość przemieszczania się holującego cel wahadłowca. Do wystrzelenia pozostawało już tylko kilka sekund, ale wbił spojrzenie w owiewkę kabiny, aby się upewnić, że torpeda przeleci w sporej odległości od „Narry”.

W końcu cyferki na wyświetlaczu dalmierza pokazały półtora kilometra. Kell przycisnął guzik spustowy. Ognisty pocisk poleciał w stronę celu, ale minął go w odległości co najmniej czterdziestu metrów. Kell zadarł dziób myśliwca i zatoczył łagodny łuk, żeby zawrócić do bazy Folor, zauważył jednak, że lecąca po trajektorii balistycznej torpeda wbiła się w zbocze odległego łańcucha górskiego i zakończyła żywot z krótkim, ale oślepiająco jaskrawym rozbłyskiem.

- Nie najlepiej, „Piątka” - odezwał się Antilles. - „Siódemka” i „Ósemka”, teraz wasza kolej.

- „Siódemka” potwierdza.

- „Ósemka” potwierdza.

Kell zmarszczył brwi. Nagle znów słyszał, co mówią „Siódemka” i „Ósemka”. Skoro on i Patyk zakończyli ćwiczenia, z pewnością Wedge uznał za stosowne usunąć blokadę systemu łączności.

- R5, możesz przesłać na ekran mojego monitora sygnały rejestrowane przez sensory „Siódemki” i „Ósemki”? - zapytał.

Astromechaniczny robot twierdząco zaszczebiotał. Po chwili na ekranie głównego monitora pojawiły się obok siebie dwa widoki odległego celu... podobne, ale nie identyczne. Wyglądały jak obrazy oglądane za pomocą kiepsko dostrojonej aparatury stereoskopowej.

- „Siódemka”, zalecam nastawienie zapalnika protonowej torpedy na zapłon, kiedy pocisk przeleci w większej odległości od celu - usłyszał głos „Ósemki”. - Ten cel wygląda naprawdę paskudnie.

- Słuszna uwaga. Wykonuję - rozległa się odpowiedź „Siódemki”. W porządku, „Ósemko”. Zablokować płyty w położeniu bojowym. Natychmiast.

- Potwierdzam.

Chwilę później połowa ekranu ściemniała i jeden sygnał zaniknął. Kell uśmiechnął się kwaśno. Wyglądało na to, że „Siódemkę” i „Ósemkę” czeka ten sam los, co jego i Patyka.

- „Ósemka”, moje systemy uzbrojenia nie działają - usłyszał. - To chyba usterka całego systemu.

- „Siódemka”, ja mam awarię systemu celowniczego.

- A systemy uzbrojenia w porządku?

- Potwierdzam.

- Nie trać ducha. Przekazuję ci sygnały z czujników swojego komputera celowniczego... Zaczekaj, aż cel zostanie namierzony... Teraz!

- Wykonuję, „Siódemko”! Widzę eksplozję... Sądzę, że go trafiliśmy, mimo to sensory celownicze nadal nie działają.

- Moje wykazują, że to czyste trafienie. Doskonały strzał, „Ósemko”.

- To ty odwaliłeś całą robotę, ja tylko przycisnąłem guzik spustowy. Wiesz co? Podoba mi się taka walka.

Rozległ się cichy trzask i z odbiornika komunikatora wydobył się głos komandora Antillesa.

- Dobra robota, „Siódemko” i „Ósemko”. Wracajcie teraz do bazy, żeby w ćwiczeniach mogła wziąć także udział trzecia grupa. Nie informujcie o parametrach i niespodziankach nikogo, kto jeszcze ich nie odbywał. To rozkaz.

- Tak jest, panie komandorze.

- „Jedynka”, bez odbioru.

Kell zgrzytnął zębami. Kolejny raz wyszedł na głupca albo dyletanta z powodu jednej z przewrotnych sztuczek Antillesa. Usilnie się starał, żeby poprawić zero, jakie uzyskał podczas testów w symulatorze... tak bardzo, że osiągnął najlepszy wynik spośród wszystkich kandydatów, ale

obecnie wyglądało na to, że musi wszystko zaczynać od nowa.

Zamontowany na elastycznym pręcie w sali gimnastycznej bazy Folor manekin do zadawania ciosów wyglądał prawie jak człowiek... jak dobrze odkarmiony mężczyzna. Był tak gruby, że jego kształty ginęły pod fałdami tłuszczu.

Kell pokręcił głową. Cóż, wcale by nie chciał, żeby go tak traktowano. Nie chciałby także odnieść obrażeń, jakie zamierzał wyrządzić nieszczęsnej kukle.

Zaczął od wymierzenia jeden po drugim dwóch ciosów, które zakłótywały głowę manekina i nawet trochę ją odkształciły. Już kilka sekund później obdarzone pamięcią tworzywo sztucznego ciała zaczęło nadawać głowie poprzedni kształt, ale ostatnie ślady ciosów pięści Tainera zniknęło zupełnie dopiero trochę później. Kell wymierzył kolejny cios kantem dłoni w szyję kukły i zmniejszył dystans dzielący go od grubasa. Trafił go w nos i nie odskakując, dwukrotnie wyrznął kolaniem w klatkę piersiową. Za każdym razem usłyszał przyprawiający o mdłości chrzęst i trzask podobny do odgłosu łamanych kości. Manekin skonstruowano w taki sposób, żeby był odpowiednio miękki i sprężysty. Pod wpływem silnych ciosów powinien reagować jak prawdziwe ciało i kości, ale po pewnym czasie wracał do pierwotnego kształtu.

Kilka następnych sekund Kell tańczył wokół kukły, wykonywał zwody i uniki, pochylał się i w końcu zadał cios lewą pięścią. Chwilę później poprawił prawym hakiem, tak silnym, że głowa manekina się obróciła. Sprawilo mu to nawet pewną przyjemność... chociaż nie tak dużą, jaką by pewnie poczuł, grzmocąc prawdziwego Antillesa albo Jansona.

Wiedział, że nie jest najlepszym pięściarzem w galaktyce. Kiedy służył w oddziale komandosów, jego instruktorką była kobieta ważąca o połowę mniej niż on i co najmniej o głowę niższa. Mimo to raz po raz rzucała go na matę i okładała go mocniej niż Kell kiedykolwiek by potrafił. Tainer był jednak rostry, szybki i całkiem nieźle wygimnastykowany. Zapewne zaliczał się do najlepszych dziesięciu procent nieuzbrojonych żołnierzy w siłach zbrojnych Nowej Republiki. Po prostu był w tym bardzo dobry.

Jaka szkoda, że nie przydaje mi się to do niczego w bazie Folor, pomyślał. Obrócił się, pochylił i z całej siły kopnął manekin w mostek. Zauważył, że kukła odchyliła się do tyłu, ale elastyczny pręt szybko zmusił ją do wyprostowania.

To zupełnie jak na Folorze. Gdyby nawet opanował pozostałe umiejętności równie dobrze jak walkę wręcz, osiągnięcie wszystkich celów wydawało się tak samo trudne, jak zmuszenie do pochylenia tej kukły. Realizacji swoich marzeń poświęcał całą uwagę i wszystkie siły, a mimo to wydawały się wciąż tak samo odległe, nieosiągalne, niedoścignione.

- Czy wściekasz się na ten manekin? - usłyszał nagle dobiegający zza pleców znajomy głos. - A może to tylko twój szalony umysł?

Odwrócił się jak użądłony. Na belce równoważni siedział Patyk. Obserwował go i z narastającym zdziwieniem coraz szerzej otwierał i tak ogromne brązowe oczy. Porastająca jego ciało sierść była w niektórych miejscach zmierzwiiona, a w kilku innych wilgotna. Prawdopodobnie istota dopiero co brała prysznic i niedokładnie się wytarła.

- Uhm... chyba jednak szalony umysł - odparł Tainer.

- A sprawiał wrażenie takiego kompetentnego - ciągnął Patyk. Wyglądało, że potrafisz się go pozbywać, kiedy zechcesz. W przeciwnym razie byś nas atakował.

Kell się uśmiechnął. Wciąż nie potrafił rozgryźć logiki swojego skrzydłowego ani zrozumieć skomplikowanego podejścia do tematów poruszanych podczas dyskusji.

- Chyba masz rację - przyznał. - Ten umysł działa lepiej, jeżeli można go swobodnie wyłączać.

- Pewnie - zgodził się Patyk. - Dzięki temu umysł naszego pilota staje się coraz sprawniejszy.

Czyżbyś tego nie zauważył? Czasami udaje ci się przedrzeć przez jego mgielkę. To dobrze.

- Cieszę się.

- Ale ty masz inny umysł, który nas bardzo martwi - ciągnęła istota.

- Nas, to znaczy wszystkie twoje umysły? - zapytał Tainer. Patyk pokręcił głową, aż zakolysał się jego koński ogon.

- Nas, pozostałych pilotów eskadry - wyjaśnił. - A przynajmniej tych, którzy przyznają, że ich to niepokoi.

Kell podniósł ręcznik z podłogi, narzucił na ramiona i usiadł na belce równoważni obok skrzydłowego.

- Nie rozumiem cię - powiedział.

- Masz w sobie zły umysł - wyjaśniła istota. - Uważasz, że tego nie widzimy? Ilekroć zawiedziesz, mówi do ciebie. Karci cię, kiedy ci się nie powiedzie.

Kell odwrócił się do niego plecami i spojrzał znów na manekin. Kukła przybrała pierwotny kształt i chyba nawet uśmiechała się do niego. Szczerzyła zęby z rozbawioną obojętnością. Albo z pogardą.

- Nie ma w tym niczego złego - powiedział. - Prawidłowe identyfikowanie porażek to tylko część analizy sytuacji.

- Ale potem nie daje ci spokoju - upierał się przy swoim Patyk. Całe dni. Tygodnie. Gryzie cię. Jak zwierzę, które wpełzło do środka, a teraz próbuje wygryźć sobie drogę na zewnątrz.

- Nazwij je moim motywacyjnym umysłem.

- Nie, to nie to. Zmusza cię do myślenia czegoś, co nie jest zgodne z prawdą. To twój wróg, a ja jestem twoim przyjacielem. Żałuję, że nie mogę zwrócić na twój umysł systemów uzbrojenia.

W głosie Patyka brzmiało takie rozgoryczenie, że zdumiony Kell odwrócił się do niego.

- Nie bądź śmieszny - powiedział.

- Falynn i Młynek także nie popisali się podczas dzisiejszych ćwiczeń - ciągnęła istota. - Czy wiesz, gdzie teraz są? W oficerskiej kantynie. Jedzą, śmieją się i cieszą na myśl o jutrzejszych ćwiczeniach. Nie są tam zresztą sami. Dotrzymują towarzystwa Donosowi i starają się zobaczyć na jego twarzy chociaż cień uśmiechu. A ty co? Tkwisz w sali gimnastycznej i usiłujesz ukarać manekin i siebie.

- Tyria też tam jest? - zainteresował się Tainer.

Patyk zamrugał, zbity z tropu niespodziewaną zmianą tematu.

- Tak - przyznał po chwili.

- Od dawna tam siedzą?

- Nie.

- No cóż, jeszcze niczego nie jadłem - stwierdził Kell. - Chyba wezmę szybki prysznic i dołączę do nich. Idziesz ze mną?

- Chyba nie usłyszałeś, co do ciebie mówiłem.

- Ależ oczywiście, że usłyszałem - odparł beztróska pilot. - Do zobaczenia za kilka minut.

Kiedy zeskoczyli z belki równoważni i ruszyli w stronę pryszniców, jego skrzydłowy ciężko westchnął.

Wszystko w oficerskiej kantynie wyglądało dokładnie, jak mówił Patyk. Większość pilotów

Eskadry Szarych zajęła miejsca przy najdłuższym stole. Falynn i Jesmin siedziały po obu stronach Myna Donosa. Jeszcze zanim zauważyły idącego w ich stronę Tainera, wybuchnęły śmiechem. Patyk wskazał mu miejsce obok siebie, ale Kell usiadł obok Prosiaka, naprzeciwko Tyrii i Phanana.

Wszyscy wpatrywali się w Bużkę, który coś opowiadał.

- Stałem więc nagi jak niemowlę na korytarzu, bo z powodu zatrzaśniętych drzwi nie mogłem się dostać do pokoju. Pewien czas przemykałem korytarzami w poszukiwaniu ręcznika, ścierki czy czegośkolwiek, czym mógłbym się okryć. W pewnej chwili skręciłem za róg i wpadłem prosto na oficera dyżurnego. Miał mniej więcej tyle samo poczucia humoru, co rozdrażniony Wookie. Nie wiedziałem, co robić, więc dziarsko zasalutowałem i powiedziałem: „Panie majorze, z ubolewaniem melduję, że eksperyment z osobistym urządzeniem maskującym zakończył się tylko częściowym powodzeniem”.

Pozostali piloci wybuchnęli głośnym śmiechem. Nawet Donos, powoli rozpuszczający słodzik w filiżance kafeiny, półgębkiem się uśmiechnął.

- A co on na to? - zapytała Falynn.

- Na szczęście wszystko dobrze się skończyło - ciągnął Bużka. Długo nie odpowiadał na mój salut i tylko się gapił, ale w końcu zasalutował i kwaśno się uśmiechnął. „To oczywiste, że eksperyment zakończył się niepowodzeniem - powiedział. - Sugeruję, żebyś wrócił do swojej kwatery i okrył czymś swoje... niedociągnięcia”. Więc zrobiłem w tył zwrot i w końcu znalazłem coś, czym zdołałem się okryć.

Falynn parsknęła.

- A co z panią porucznik? - zapytała. Bużka wzruszył ramionami.

- Miała podobne poczucie humoru jak ja - powiedział. - Prawdopodobnie to z tego powodu nasze drogi się zeszły i właśnie dlatego równie szybko się rozeszły. Następnego dnia znaleziono moje ubranie przed klapą wlotu przetwornika odpadów żywności z przyklepioną kartką głoszącą: „Nie mogę dłużej żyć ze świadomością tego, co zrobiłam. Pomyśl o mnie, kiedy będziesz coś jadł”. Naturalnie, nie zapomniała o umieszczeniu na kartce mojego nazwiska. Udało mi się z tego jakoś wyplątać i nawet nikt nie kazał mi stawać do raportu. Za pojawienie się bez ubrania na korytarzu musiałem tylko wyczyścić wszystkim buty przed ceremonią wręczenia dyplomów ukończenia nauki.

- A pan, poruczniku? - odezwał się Phanan. Donos uniósł głowę.

- Nie jesteśmy na służbie - powiedział. - Możesz mi mówić Myn.

- A więc, Myn, czy kadeci koreliańskich sił zbrojnych także robili sobie nawzajem podobne kawały?

Donos kiwnął głową.

- To długa i szlachetna tradycja - zaczął. - Opowiem wam kiedyś o martwym gurkocie, który nie pozwolił się pogrzebać.

- Ach, te dziecinne kawały - prychnął Młynek. - Pożałowania godna strata czasu.

Pozostali spojrzeli na niego.

- Nigdy nie włamywałeś się do pamięci czyjś osobistego komputera, żeby pozmienić nazwy plików, zostawić jakąś wiadomość albo zrobić cokolwiek, tylko dlatego, żeby było wesoło? - zapytał Korelianin. - Albo żeby wystrychnąć kogoś na dudka?

- Naturalnie, że nie.

- Jesteś niepodobny do żadnego włamywacza komputerowego, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia.

Bothanin się uśmiechnął.

- Jestem lepszy niż oni - stwierdził. Falynn spojrzała na Donosa.

- To prawda, że byłeś strzelcem wyborowym? - zapytała. Porucznik kiwnął głową.

- A czy musiałeś kiedykolwiek... - zaczęła pilotka zTatooine. - No wiesz... to znaczy, nie musisz

odpowiadać, jeżeli uważasz, że to sprawa osobista.

- Chodzi ci o to, czy kiedykolwiek zastrzeliłem kogoś z zimną krwią? domyślił się Korelianin. -

Nie dając tej osobie najmniejszej szansy?

Sandskimmer spochmurniała i kiwnęła głową.

- Tak - podjął Myn. - Trzykrotnie. Niewiele mnie to wówczas obchodziło. A nawet gdybym się bardzo przejął, nadal robiłbym to samo. Oczywiście, zawsze lepiej zabić wroga niż kogoś niewinnego. - Urwał i spojrzał na chronometr. - A skoro już o tym mowa, muszę się przebrać i poćwiczyć na dużej strzelnicy. - Baza Folor dysponowała wprawdzie niewielką krytą strzelnicą, gdzie piloci mogli nabierać wprawy w strzelaniu z blasterowych pistoletów, ale karabiny blasterowe pozwalały na trafienie celu z większej odległości i strzelanie z nich na terenie bazy nie miało większego sensu. Donos i Janson umieścili więc cel na powierzchni księżyca, na wierzchołku pobliskiego wzgórza, i strzelali do niego z sąsiednich wzniesień, ale przed wyruszeniem na ćwiczenia musieli się przebierać w próżniowe skafandry. - "Dziesiątka", idziesz ze mną? Tyria kiwnęła głową.

- Nie pozwolę, żebyś sam wychodził na zewnątrz - powiedziała.

- Zabierzcie i mnie - poprosiła Jesmin, wstając od stołu. - Chciałabym poćwiczyć przebywanie w skafandrze próżniowym.

Donos także wstał, skinął głową pozostałym i podążył za Kalamarianką.

- Z radością widzę, że zaczyna się oswajać - odezwał się Phanan. Już nie jest taki sztywny jak na początku. Może powinniśmy mu kupić pluszowego bantha, żeby miał się do czego przytulać w nocy?

- Och, zamknij się - burknęła Falynn. - Naprawdę czuje się coraz swobodniej. Rozmawiał z nami... niewiele, ale to już coś. Raz nawet lekko się uśmiechnął.

- Każdy by się uśmiechnął, wyobrażając sobie nagiego Bużkę - stwierdził pilot z protezą na twarzy.

Falynn spiorunowała go niechętnym spojrzeniem.

- Ton, czy poświęciłbyś życie za Myna Donosa? - zapytała. Cyborg zachichotał.

- Może pewnego dnia - powiedział.

- A jak sądzisz, czy on poświęciłby życie za ciebie?

- Nie mam pojęcia - mruknął Phanan.

- Z pewnością by poświęcił - ciągnęła Sandskimmer. - Uważam, że zgodziłby się zginąć za każdego z nas. Chciał oddać życie za pilotów swojej poprzedniej eskadry, ale nie pozwoliło mu na to poczucie odpowiedzialności. Jeżeli chodzi o mnie, cenię go za to wyżej niż ciebie. Jak się czujesz, Ton, nieustannie kpiąc z osób lepszych od siebie?

Nie czekając na odpowiedź, wstała i długimi krokami wymaszerowała z kantyny.

Phanan uniósł brew.

- Chyba coś do niego czuje - stwierdził, odwracając się do Bużki. - Chcesz się założyć? - zapytał.

- Stawiam trzy do jednego.

- Nic z tego - odparł Garik. - Ja również tak uważam. Młynek postanowił podjąć wyzwanie.

- Ja się z tobą założę - powiedział. - Jestem ekspertem w dziedzinie psychologii istot ludzkich.

Falynn jest zbyt niezależna i pragmatyczna, żeby mogła go darzyć romantycznym uczuciem. Wydaje mi się, że po prostu reaguje na cierpienie kogoś, kogo uważa za skrzywdzone zwierzątko. Istoty ludzkie płci żeńskiej dosyć często przejawiają takie uczucia. Ona po prostu chce się nim opiekować, aż Donos wyzdrowieje. Phanan wyszczerzył zęby w lekceważącym uśmiechu.

- Dwadzieścia kredytów? - zapytał.

- Pięćdziesiąt.

- Zgoda.

Kell nie odrywał spojrzenia od twarzy Tyrii.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał. - Chcesz się założyć? Młoda pilotka wzruszyła ramionami.

- Możliwe, że obaj mają rację - oznajmiła. - Na widok mężczyzny z problemami niektóre kobiety naprawdę starają się mu pomóc je pokonywać, a później się w nim zakochują.

- Brak emocjonalnej równowagi jako wabik? - domyślił się Tainer. - Posłuchaj, Tyrio, moje wspomnienia z wczesnego dzieciństwa także budzą we mnie silny niepokój.

Phanan się skrzywił.

- Co za paskudny powód - powiedział. - Niemniej żałuję, że sam o tym wcześniej nie pomyślałem.

Tyria wstała i spojrzała pobłaźliwie na obu mężczyzn.

- Zachowujcie się dalej jak dzieci - mruknęła. - My, dorośli, powinniśmy się jeszcze pouczyć.

Wiecie chyba, że niedługo czekają nas ćwiczenia z nawigacji w nadprzestrzeni? Jak sobie dajecie z tym radę?

Kell wzruszył ramionami.

- Tak sobie - powiedział. - Na szczęście Prosiak jest genialnym nawigatorem.

- To prawda - przyznała młoda pilotka. Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, ale w pół drogi obejrzała się za siebie. - I dlatego głowę daję, że Wedge wyda mu zakaz udzielania nam pomocy.

- Wiecie co? - odezwał się Buźka. - Ona ma rację. Phanan sponsepniał.

- Nie cierpię, kiedy robi nam coś takiego - stwierdził ponuro.

Na ekranie komputerowego notatnika admirała Trigita ukazała się pierwsza strona raportu zatytułowanego: Ostatnie wyniki projektu zbierania informacji „Morrt”. Jego autorka, włamywaczka komputerowa Gara Petothel, bardzo mu się przysłużyła, przedostając się do bazy danych Sojuszu Rebeliantów. Wpisała wówczas fałszywą informację, która przyczyniła się do zagłady Eskadry Szponów.

Trigit postanowił zapoznać się z treścią raportu, ale po przeczytaniu pierwszej strony zaczął przeskakiwać po kilka akapitów. W końcu wezwał oficera dyżurnego.

- Przygotować do startu eskadry myśliwców T1E - polecił z uprzejmym uśmiechem. - Sprawdzić działanie wszystkich systemów uzbrojenia i osłon... Przekazać dowódcy „Nocnego Gościa”, żeby zabrał na pokład ładunek nowych min typu Empion. Pozostawimy je w niezamieszkanym systemach sąsiadujących z Commenorem, a potem skierujemy się do samego systemu. Wygląda na to, że Rebelianci założyli bazę na księżycu Folor... a ja uważam, że najwyższy czas z tym skończyć.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy kończyli śniadanie, Kell odwrócił się do Tyrii.

- Chyba się w tobie zakochałem - powiedział.

Jedli posiłek w oficerskiej kantine, ale tym razem siedzieli sami przy mniejszym stole. Przybyli do kantyny na tyle wcześnie, że spośród pozostałych pilotów Eskadry Szarych tylko Bużka jadł śniadanie, ale przy innym stole. Oprócz nich w kantine było jeszcze kilkoro innych pilotów, którzy przylecieli do bazy Folor, żeby ćwiczyć umiejętność pilotowania myśliwców typu A-wing. Kell specjalnie wstał bardzo wcześnie, żeby porozmawiać z młodą kobietą na osobności.

Tyria spojrzała na niego, a w jej oczach pojawiło się... chyba rozdrażnienie.

- Wcale się nie zakochałeś - oznajmiła. Kell pokiwał głową.

- Pewnie przypuszczasz, że się wygłupiam - stwierdził. - Podobnie jak Ton Phanan. Ale ja mówię poważnie.

- Och, jestem przekonana, że nie żartujesz - obruszyła się młoda pilotka. - Uważam tylko, że się mylisz.

Tainer się roześmiał.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał. - Jak mógłbym się pomylić? Miłość to miłość. To, co mówisz, nie ma sensu.

Tyria mieszała niespokojnie podobną do budyniu zieloną substancję, ale potem odsunęła talerz na bok.

- No dobrze - powiedziała. - Chcę poznać twoje powody, dla których uważasz, że się we mnie zakochałeś.

- Powody? - powtórzył zdezorientowany Kell. Spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony. - Powody, dla których cię kocham?

- Powody, dla których tak uważasz - odparła pilotka. - Chciałabym je poznać.

Kell wyprostował się i poczuł chłód w żołądku. Tyria nie zareagowała, jak oczekiwał. Liczył, że spotka się z odmową, zdziwieniem, obróceniem jego słów w żart, a może z akceptacją. Spodziewał się, że Tyria zechce odłożyć na kiedy indziej dalszą rozmowę na ten temat, nie oczekiwał jednak, że zażąda od niego chłodnej analizy.

Kilka razy głęboko odetchnął, żeby uspokoić nerwy i uporządkować chaotycznie rozbiegane myśli.

- No cóż, najważniejsze jest to, że masz wszystkie przymioty, jakich mógłbym oczekiwać od kobiety - zaczął niepewnie. - Jesteś mądra, uzdolniona, odważna i piękna. Podobasz mi się od czasu pierwszego ćwiczenia na symulatorze.

- Wtedy prawie się do mnie nie odzywałeś - przypomniała pilotka. - Podejrzewam, że wcale mnie nie znasz.

- Cóż... - zaczął Tainer i urwał.

- Wiesz o tym, że nie mam żadnej rodziny?

- Właściwie... tak - przyznał Kell.

Buźka wspomniał mu mimochodem, że wszyscy członkowie rodziny Tyrii zginęli podczas napaści Imperium na jej ojczystą Toprawę, a pilotka przeżyła tyle lat i ocalała tylko dzięki umiejętnościom nabytym podczas służby w oddziałach strażników. Po wielu latach na Toprawie wylądowała wyprawa rozpoznawcza Nowej Republiki. Funkcjonariusze Wywiadu przetransportowali na inną planetę nie tylko Tyrię, ale także kilkoro innych ocalałych z pogromu mieszkańców planety.

- W takim razie chciałabym cię zapytać o coś jeszcze - ciągnęła pilotka. - Czy fakt, że nie mam nikogo, uważasz za okoliczność pomyślną, bo teściowie nie skomplikują ci życia? A może się cieszysz na myśl o tym, że wprowadzisz mnie do swojej rodziny, aby mnie znów uszczęśliwić?

Kell wyprostował się jeszcze bardziej.

- Zupełnie się nad tym nie zastanawiałem - przyznał.

- Nie spodziewałeś się, że tak będzie brzmiała moja odpowiedź, prawda?

- Nie.

- Co tylko dowodzi słuszności mojej tezy - stwierdziła pilotka. Nie pomyliłam się, kiedy stwierdziłam, że mnie nie znasz. Doszedłeś do wniosku, że pasuję do twojego wyobrażenia o idealnej kobiecie... do wizerunku doskonałej towarzyszkii życia, i dlatego uważasz, że się we mnie zakochałeś. Wszystko przemawia za tym, że naprawdę stanowilibyśmy świetną parę. Jestem wysoka, więc nie musiałbyś się schylać, żeby mnie pocałować. Wyglądalibyśmy dobrze razem na hologramach. Jestem pilotką, a zatem mamy takie same zainteresowania. Przypuszczam, że kiedy służyłeś w oddziale komandosów, za swoją idealną partnerkę życia uważałeś inną komandoskę. Mam rację?

Kell poczuł, że chłód w jego żołądku krystalizuje się i przemienia w bryłę lodu.

- Nie masz - powiedział. - Źle mnie oceniasz.

- Więc powiedz, ile czasu spędziłeś wczoraj, rozmyślając o mnie zażądała Tyria.

- Słucham?

- To proste. Ile czasu o mnie rozmyślałeś? Sześć standardowych godzin? Jedną? Dziesięć minut?

Odpowiedz zgodnie z prawdą. Pstryknij włącznikiem uczciwości.

Kell zaczął się zastanawiać, ale kiedy doszedł do wniosku, że zna odpowiedź, podupadł na duchu.

- Mniej więcej piętnaście minut - wyznał ponuro. Tyria uśmiechnęła się z przymusem.

- Jak na człowieka beznadziejnie zakochanego nie spędzasz zbyt dużo czasu na rozmyślaniach o wybrance swojego serca - zadrwiła. Prawda?

Tainer spuścił głowę, wbił spojrzenie w blat stołu... i nie odpowiedział.

- Beznadziejnie zakochane osoby mają jedną zaletę - ciągnęła Tyria łagodnym, ale beznamiętnym tonem. - Nie zabierają swoim partnerkom zbyt dużo czasu. Nie absorbują ich uwagi, w przeciwieństwie do normalnych ludzi. Pochlebia mi, że zakochałeś się w Tyrii ze swoich marzeń, ale nie we mnie, Kell.

Wstała od stołu i wyszła z kantyny.

Coraz bardziej przygnębiony, Tainer wpatrzył się w filiżankę z niedopitą kafeiną. Nie szukał w niej odpowiedzi, ale wolał unikać spojrzeń innych pilotów, chociaż wyglądało na to, że nie zwracają na niego uwagi.

Tyria miała rację. Stanowiła ucieleśnienie jego wyobrażenia o idealnej kobiecie... ale jaka była naprawdę? W jakim stopniu pasowała do jego wizerunku doskonałej towarzyszkii życia? Nie

wiedział i nawet się nad tym nie zastanawiał.

Wychodząc z kantyny, Buźka stanął obok jego stołu.

- Zestrzeliła cię? - zapytał współczującym tonem.

- Rozpyliła mnie na atomy - przyznał ponuro Tainer. - Jednym strzałem.

- Głowa do góry - odparł Garik. - Kto wie, może to były tylko ćwiczenia na symulatorze?

Jego kłopoty na tym się nie skończyły.

Wracając, zajrzał do szatni, żeby wyjąć z szafki komputerowy notatnik. Wpisał osobisty kod i szarpnął drzwiczki.

Kiedy je otwierał, w szafce coś się poruszyło, a po chwili z wnętrza wyskoczyło na niego kłębowisko wijących się macek. Wylądowało na jego piersi i przykleiło się do materiału kombinezonu.

Zaskoczony Kell krzyknął, zdarł z siebie oślizgłe stworzenie, rzucił na ferrobetonową podłogę i kopnięciem posłał w drugi koniec szatni. Sięgnął do szafki, wyciągnął blaster z wiszącej tam kabury i wymierzył w napastnika.

Stworzenie leżało na podłodze. Wyglądało jak płatanina wysmarowanych tłuszczem rurek i metalowych sprężyn. Niektóre macki jeszcze kołysały się w powietrzu, ale stopniowo, jedna po drugiej, nieruchomiały i opadały.

Ze wszystkich stron rozległy się wybuchy śmiechu i stłumione chichoty. Kell uniósł głowę i rozejrzał się po szatni. Zza szafek wychylali się piloci X-wingów i A-wingów, lecz gdy na nich popatrzył, od razu się chowali.

Jednym z nich był Buźka. Kiedy Kell spiorunował go spojrzeniem, nie ukrył się za żadną szafką.

- Dowcip! - powiedział.

- Bardzo zabawny. Cha, cha. - Tainer otarł pot z czoła i wsunął blaster z powrotem do kabury. - Niczego tak nie potrzebowałem jak nagany za strzelanie w oficerskiej szatni.

- Może następnym razem jakiś dowcipniś zechce obrać mnie za cel swoich żartów, ale ze mną nie pójdzie mu tak łatwo - odparł Buźka. - Czy to nie byłoby zabawne? Zmieszam go z błotem. Każę mu się zastanowić, czy nie oszalał. Spowoduję, żeby odechciało mu się żyć.

- To mi się podoba - przyznał Kell. - Naturalnie, zakładając, że to nie ty jesteś tym dowcipnisiem.

- Wszystko jest możliwe. - Garik wzruszył ramionami.

Większość pozostałych pilotów eskadry udała się tego ranka do kantyny na śniadanie trochę później.

- Panie komandorze, panie poruczniku - odezwał się w pewnej chwili Phanan. - Ciekaw jestem, którego z doświadczonych wyjadaczy uważacie za najlepszego pilota galaktyki.

Wedge i Janson spojrzeli po sobie.

- No cóż - odezwał się Antilles. - Trudno nam wypowiadać się w imieniu doświadczonych wyjadaczy. Prawdę mówiąc, jesteś starszy niż ja.

- Bardzo przepraszam - powiedział Phanan. - Miałem na myśli pańskie pokolenie pilotów.

Wedge westchnął.

- To zależy od tego, według jakich kryteriów się ocenia - stwierdził Janson. - Widywałem wielu pilotów naprawdę znakomitych i błyskotliwych. Jednym z nich jest niewątpliwie Luke Skywalker. Z drugiej strony, nie brał udziału w bojowych akcjach równie długo jak pozostali, nie ma więc na swoim koncie tylu zestrzeleń co ci, którzy uczestniczyli w nich znacznie częściej. Byli też inni równie doskonali, ale nadziali się na strzał imperialnego artylerzysty i zostali zestrzeleni.

Przeniósł spojrzenie na dowódcę.

- Można kierować się liczbą zestrzeleń i powrotów z akcji, ale tylko jedna osoba przeżyła atak na obie Gwiazdy Śmierci - podjął po chwili. - Jeżeli przyjąć to za kryterium, najlepszym pilotem galaktyki jest Wedge Antilles.

Rozbawiona Falynn prychnęła. Pozostali spojrzeli na nią.

- Co cię tak śmieszy, Sandskimmer? - zainteresował się Janson.

- Och, nie chciałam pana urazić, komandorze - odparła Falynn, ale sarkastyczna nuta w jej głosie sugerowała, że było wręcz przeciwnie. - Uważam jednak, że pilotowanie to zajęcie dla młodych. W najlepszym okresie życia był pan na pewno znakomitym pilotem. Możliwe nawet, że kiedyś, bardzo dawno, jednym z najlepszych. Obecnie jest pan świetnym pedagogiem. Proszę powiedzieć ile ma pan lat? Czterdzieści?

Wedge wyglądał na rozbawionego i zarazem zakłopotanego.

- Dwadzieścia osiem - powiedział.

- No właśnie! - ciągnęła Falynn. - Z pewnością pański refleks nie jest już równie szybki jak kiedyś. Nie zdoła tego zmienić żadne zdobyte wcześniej doświadczenie.

- Sandskimmer... - zaczął groźnie Janson.

- Jeszcze tylko dziewięć lat i czeka cię taka sama niemiła perspektywa - zauważył Antilles.

- Jeżeli dożyję tej chwili, z pewnością wymyślę sposób, żebym do czegoś się nadawała, podobnie jak pan - odcięła się pilotka.

Wedge wstał.

- Chodź ze mną - powiedział.

- Jeszcze nie skończyłam śniadania, panie komandorze.

- Jesteś młoda. Możesz sobie pozwolić na małą głodówkę. - Odsunął na bok stojący przed nią talerz. - Chodź ze mną - powtórzył.

Zaintrygowana Falynn z wahaniem wstała od stołu.

- Dokąd? - zapytała.

- Polatać - oznajmił beztrąsko Antilles. - Urządzimy sobie małe zawody. Naturalnie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Chwileczkę - odezwała się pilotka. - To niesprawiedliwe. Jeszcze nie zakończyłam szkolenia. Jeżeli chodzi o latanie X-wingiem, będzie pan miał nade mną sporą przewagę.

- A co powiesz na repulsorowe transportowce rudy? - zapytał Wedge. - Czy uważasz, że gdybyśmy siedzieli za sterami takiego pojazdu, też miałbym nad tobą sporą przewagę?

- Nie, panie komandorze!

- Chodź ze mną.

Pozostali zerwali się z miejsc, żeby podążyć za nimi, ale Janson machnięciem ręki polecił im zostać w kantynie.

- Skończcie śniadanie i idźcie do sali odpraw - rozkazał. - Polecę z nimi jako arbiter i będę wam przekazywał obrazy. To może być bardzo ciekawe.

Wedge i Falynn Sandskimmer udali się do najstarszego i najbardziej zaniedbanego hangaru bazy Folor, właściwie niewykorzystywanego przez wojskowych Nowej Republiki. Stały w nim zapomniane i zakurzone pojazdy stanowiące własność górniczej kolonii, której pracownicy mieszkali kiedyś na Folorze. Pojazdy były sprawne, ale personel bazy w ogóle się nimi nie interesował.

Najbardziej rzucały się w oczy trzy ogromne repulsorowe transportowce rudy, tak wielkie, że

każdy mógł pomieścić cztery X-wingi równocześnie. Ładownie pojazdów miały głębokość dużo większą niż wzrost przeciętnego człowieka, na kadłubach wciąż jeszcze widniały ślady szarego lakieru, a dna zbiorników pokrywała dosyć gruba warstwa pyłu i odłamków skał po transportowanym ostatnio - wiele lat wcześniej - ładunku rudy. Żaden transportowiec nie miał próżnioszczelnej kabiny.

Z umieszczonych w prymitywnych komputerach kart danych wynikało, że przeglądu pojazdów dokonano w ciągu ostatniego roku. Silniki wszystkich trzech zaskoczyły od razu po uruchomieniu. Wedge i Fall Lynn wsłuchiwali się jakiś czas w odgłosy ich pracy i wybrali dwa pojazdy, których jednostki napędowe wydawały się najsprawniejsze. Później rzucili dziesięciokredytową monetę, żeby rozstrzygnąć, kto będzie pilotował lepszy. Szczęście uśmiechnęło się do Sandskimmer.

Kwadrans później, ubrani w próżnioszczelne skafandry, przelecieli transportowcami przez kurtynę magnetycznego pola i skierowali się powoli w stronę bliższego końca Świńskiego Koryta.

Była to geologiczna anomalia Folora. Wyglądała jak głęboka kręta szczelina, a powstała w zamierzchłych czasach, kiedy powierzchnia księżyca jeszcze nie ostygła, a płyty tektoniczne wciąż się przemieszczały. Jej początek znajdował się w odległości zaledwie kilometra od bazy Folor, a sama rozpadlina ciągnęła się mniej więcej dwa tysiące kilometrów na północny wschód, raptownie skręcała i biegła następne trzy czy cztery tysiące kilometrów na północny zachód. Bliższa część Koryta była wprawdzie zbyt szeroka, a krzywizny zakrętów zbyt łagodne, żeby mogły się do czegoś przydać podczas ćwiczeń, ale bardziej odległe fragmenty rozpadliny wykorzystywali piloci różnych myśliwców do doskonalenia manewrów i nabierania większej wprawy w bombardowaniu i strzelaniu.

Wedge i Falynn unieruchomili transportowce rudy nad krawędzią zjazdu do wąwozu.

- Test komunikatora - odezwał się Antilles. - Dobrze mnie słyszysz?

- Potwierdzam.

- Jestem na miejscu - oznajmił Janson. - Mniej więcej cztery kilometry od was wystrzeliłem flarę.

To będzie wasza meta.

- Sandskimmer, jesteś gotowa?

- Jestem, odkąd sprawdziłam szczelność próżniowego skafandra odparła pilotka.

- No to jazda.

Wedge wydał rozkaz łagodnym tonem, ale na przekór temu zwiększył dopływ paliwa do silnika i wystartował tak gwałtownie, jakby prowadził wojskowy pojazd szturmowy. Silnik jego maszyny zaryczał, a transportowiec uniósł się w powietrze i zaczął sunąć coraz szybciej nad pochylnią Koryta.

- Oszust! - krzyknęła Falynn, ale ułamek sekundy później powtórzyła manewr komandora. Zanim dotarli do końca pochylni, zmniejszyła odległość dzielącą ją od dowódcy i zajęła pozycję po jego lewej stronie. Uderzyła prawą burtą w lewy bok jego transportowca, żeby go zepchnąć bardziej w prawo.

Wedge raczej poczuł siłę uderzenia, niż je usłyszał, ale nie zboczył z kursu nawet na centymetr. Uśmiechnął się do siebie. Tylko najmniej doświadczony żółtodziób nie oczekiwałby takiego manewru i nie przygotował się na szybki powrót na poprzedni kurs. Przesłał jeszcze więcej energii do potężnego silnika i skręcił w lewo. Dziób jego transportowca znajdował się kilka metrów przed pojazdem Falynn Sandskimmer i to Wedge mógł obecnie zmuszać rywalkę do zmiany kursu. Zderzył się z jej maszyną i spychał ją tak długo, aż lewa burta jej transportowca zaczęła się ocierać o skalną

ścianę rozpadliny. Siła tarcia zmusiła Falynn do zwolnienia, a Wedge wysforował się do przodu.

- Nie poddawaj się, Sandskimmer - powiedział przez komunikator. - Jestem stary. Kto wie, może nawet zaczynam się męczyć?

Pilotka z Tatoonine odpowiedziała wiązką soczystych przekleństw.

Pozostali piloci Eskadry Szarych zgromadzili się w sali odpraw i obserwowali obrazy przekazywane przez kamery X-winga Jansona. Zastępca dowódcy eskadry podążał za transportowcami rudy na wysokości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Kell domyślał się, że Janson korzysta z repulsorów i tylko od czasu do czasu przesyła energię do jednostek napędowych X-winga. W przeciwnym razie nie zdołałby lecieć wystarczająco powoli, żeby obiektywy kamer mogły śledzić zmagania obojga rywali.

- Prawdę mówiąc, Falynn radzi sobie z tą balią całkiem nieźle odezwał się w pewnej chwili Donos. - Kiedy latała na Tatoonine, musiała nabrać sporej wprawy.

Prawdopodobnie miała to być raczej rzeczowa analiza niż wyrazy podziwu, ale dłuższej wypowiedzi Kell nie usłyszał z ust Donosa, odkąd go poznał.

Pokręcił głową.

- Kiedyś zajmowałem się naprawami takich balii - powiedział. W niczym nie przypominają zwinnych śmigaczy. Wytwarzane przez ich repulsory pola sięgają w dół kilka metrów i piloci muszą bardzo uważać, żeby nie rozpruć dna, kiedy przelatują nad nierównościami terenu. Jeżeli Falynn tego nie wie, odbije się od przeszkody... O, właśnie tak.

Rzeczywiście, dziób kierowanego przez nią transportowca uniósł się jakieś dwa metry, zanim pojazd przeleciał nad ogromnym głazem. Ocieężały transportowiec poszybował ku niebu tak wysoko, że repulsory straciły kontakt z powierzchnią gruntu. Dzięki temu pilotowany przez Antillesa pojazd wysforował się jeszcze kilkanaście metrów bardziej do przodu.

- Dogoni go, a nawet wyprzedzi - stwierdził Donos. Kell wyciągnął z kieszeni kombinezonu garść monet.

- Stawiam dziesięć kredytów, że nie - powiedział.

- A ja twierdzę, że tak. - Donos rzucił swoje kredyty na blat stołu. Pozostali piloci zaczęli przetrząsać kieszenie, żeby wyciągnąć z nich monety, żetony transferowe, biżuterię, a nawet słodycze.

Kierowcy transportowców lecieli tak blisko jedno za drugim, że dziób pojazdu Falynn niemal się stykał z rufą maszyny Antillesa. Ilekroć pilotka zbaczała w prawo albo w lewo, żeby wyprzedzić komandora, Wedge zwracał dziób swojego transportowca w tę samą stronę, żeby jej to uniemożliwić. Różnorodność i dosadność przekleństw Falynn najlepiej świadczyły, że jego starania odnoszą zamierzony skutek.

Taka sytuacja nie mogła jednak trwać w nieskończoność. W pewnej chwili pilotka skrzyła w prawo, Wedge powtórzył jej manewr... ale po niewczasie zauważył, że leci w stronę sterty głazów. W zetknięciu z nimi repulsorowe pola jego transportowca skierowały pojazd w górę. W tym czasie Falynn skrzyła szybko w lewo i zanim Wedge zdołał przywrócić kontakt pól z dnem rozpadliny, wyprzedziła go po lewej stronie.

Antilles się roześmiał.

- Nieźle, Sandskimmer - powiedział. - Dowiodłaś, że każdego dnia potrafisz zapamiętać jedną lekcję.

- Będzie pan wyglądał zabawnie, wypluwając księżycowy pył podczas udzielania mi tej lekcji, komandorze - odcięła się pilotka.

Kilkaset metrów dalej rozpadlina skręcała łagodnie w lewo. Niedaleko prawej ściany spoczywała sterta głazów, a powierzchnia gruntu między nią a skalnym urwiskiem lekko się wznosiła. Na lewo od głazów ciągnęła się wolna przestrzeń, niezaśmiecona odłamkami skał ani kamieniami.

Falynn zwolniła i skierowała dziób transportowca w lewo. Z pewnością chciała pokonać zakręt blisko lewej ściany. Wedge przyspieszył i zwrócił dziób swojej maszyny w przeciwną stronę, jakby zamierzał śmignąć między stertą głazów a prawą ścianą. Kiedy jego pojazd przelatował przez wąski przesmyk, repulsory poderwały ze sterty kilka mniejszych kamieni, które poszybowały łagodnym łukiem w lewo i opadły na pojazd Falynn. Pilotka instynktownie zboczyła jeszcze bardziej w lewo, ale jej transportowiec zwolnił, kiedy burta maszyny otarła się o kamienną ścianę. Lecący szybko Wedge wykorzystał to i znów wyszedł na prowadzenie. Kiedy pokonał zakręt, miał kilka metrów przewagi nad rywalką.

- Wygląda na to, że nie potrafi pan wygrać w uczciwych zawodach, komandorze - odezwała się Sandskimmer. - Co się stanie, kiedy dolecimy do mety? Zastrzeli mnie pan?

- Poważnie się nad tym zastanawiam - przyznał Antilles.

Po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów w oddali ukazała się czerwona poświata wystrzelonej przez Jansona flary. Dno po prawej stronie rozpadliny było równe i gładkie, ale bliżej środka toru zaśmiecały je odłamki skał i głazy.

Falynn skierowała dziób transportowca w prawo, ale Wedge zboczył w lewo, jakby zamierzał przelecieć nad skalnymi odłamkami. W pewnej chwili zauważył, że pilotka odwraca głowę w jego stronę. Polaryzujące pole jej próżniowego skafandra nie pozwalało dostrzec wyrazu jej twarzy, ale nietrudno było się domyślić, że rywalka się zastanawia, dlaczego zrezygnował z najłatwiejszego i najszybszego sposobu pokonania ostatniego odcinka toru.

Zanim zbliżyli się do usianego głazami dna rozpadliny, dzieląca ich odległość zmalała do kilku metrów. Kiedy jednak oboje dotarli do miejsca, gdzie spoczywały największe głazy, Wedge skierował swój transportowiec w prawo i zadarł dziób, żeby przelecieć nad największymi. Repulsory pomogły wypchnąć jego pojazd kilka metrów w górę, dzięki czemu Antilles znalazł się dokładnie nad transportowcem rywalki.

Ciężar jego pojazdu i parcie repulsorowych pól zmusiły transportowiec Falynn do obniżenia pułapu lotu i zwiększenia natężenia pola repulsorów. Naturalnie odbyło się to kosztem zmniejszenia szybkości lotu. Pola repulsorów maszyny Wedge'a nadały jej większą prędkość, zupełnie jakby pojazd odbił się od przeszkody. Używając brutalnej siły, Antilles próbował utrzymać nieruchomo wielką kierownicę i zmusić transportowiec do podążania dotychczasowym kursem. Kiedy wyrównał pułap lotu, z jeszcze większą siłą napał na pojazd rywalki. Falynn leciała coraz wolniej i coraz bardziej zostawała w tyle. Kilka sekund później Antilles przeleciał pierwszy pod płonąca flarą.

- Ty...ty...

- Masz rację, Sandskimmer - przerwał komandor. - Wygrałem.

- Oszukiwał pan!

Wedge beztrąsko się roześmiał. Zwolnił, zastopował w powietrzu i obrócił transportowiec dziobem w stronę linii startowej.

- Posłuchaj, Falynn, co ci powiem - zaczął. - Kiedy błyskawice laserowych strzałów przenikną przez owiewkę kabiny twojego myśliwca i cię trafią, energia strzałów zamieni wodę w twoich komórkach w przegrzaną parę. Twoje ciało eksploduje. Jeżeli z kabiny myśliwca coś zostanie,

mechanicy będą musieli zmywać twoje szczątki strumieniami wody. Kiedy wydarzy się coś takiego, to też będziesz narzekała, że pilot nieprzyjacielskiej maszyny oszukiwał?

- Nie, panie komandorze - odparła Falynn, ale w jej głosie wciąż jeszcze brzmiała uraza.

Wykonała taki sam manewr swoim transportowcem.

- Co wtedy powiesz? - zapytał Antilles.

- Nic, panie komandorze - burknęła pilotka. - Będę martwa.

- Więc co zamierzasz zrobić, żeby powstrzymać jednego z tych paskudnych wrogów przed oszukiwaniem i zabiciem ciebie?

- Chyba będę musiała sama nauczyć się oszukiwać, panie komandorze.

- Moje gratulacje - stwierdził Antilles. - Udowodniłaś, że jednego dnia potrafisz się nauczyć aż dwóch rzeczy.

- Mam dla was dzisiaj dwie nowe wiadomości, obie pomyślne oznajmił Wedge podczas odprawy, jaką zarządził jeszcze tego samego popołudnia. - Właśnie dostarczono nam cztery nowe tęponose maszyny, a podwładni Cubbera sprawdzili je i zapewnili, że możemy z nich korzystać. - Urwał, żeby odczekać, aż piloci skończą wiwatować. Od dzisiaj nasza eskadra ma także nową nazwę - podjął po chwili. Zawdzięczamy ją Tyrii Sarkin, która zaproponowała, żebyśmy się nazywali Eskadrą Widm.

Niektórzy piloci pokiwali głowami z aprobującym pomrukiem, ale Buźka sprawiał wrażenie zniesmaczonego.

- Czym jest widmo? - zapytał Patyk.

- To coś, o czym opowiadano mi w dzieciństwie - odparła Tyria. - Mroczna zjawy, która wychodzi w nocy spod łóżka, żeby cię niepokoić. Wydaje mi się, że właśnie tak mamy się zachowywać. Będziemy prześladowali Imperium i imperialnych lordów, staniemy się jak zjawy pod ich łóżkami i potwory w zamkniętych pomieszczeniach ich magazynów.

Patyk wyszczerzył wielkie zęby w szerokim uśmiechu. Zmrużył oczy, a jego twarz przybrała złowieszczy wygląd.

- Podoba nam się to - oznajmił.

- To oznacza, że Tyria otrzymuje trzydniową przepustkę... ale jeszcze nie dzisiaj - ciągnął Antilles. - Dzisiaj czekają nas ćwiczenia. Pierwszy raz wezmą w nich udział piloci całej eskadry. A teraz druga dobra wiadomość. Od dziś nasza eskadra ma oficera zaopatrzeniowca. - Odwrócił się w stronę drzwi. - Zapraszam do środka.

Piloci także spojrzeli na drzwi. Zanim zaopatrzeniowiec wszedł do sali odpraw, usłyszeli serię rytmicznych, coraz głośniejszych poskrzypywań.

- Oho, zanoszą się na kłopoty - mruknął Kell.

Do pomieszczenia wkroczył Skrzypek, kelner z Wolnego Czasu. Protokolarny android typu 3PO od razu wszedł na podwyższenie dla mówców i zwrócił się do pilotów:

- Jestem zachwycony, że mam okazję wykorzystać wieloletnie doświadczenie dla dobra tej eskadry nowicjuszy - zaczął bez jakiegokolwiek wstępu. - Spodziewam się, że dzięki moim umiejętnościom przynajmniej niektórzy spośród was przeżyją.

- A niektórzy spośród nas będą woleli wybrać śmierć - szepnął Phanan.

- Jestem także zachwycony, że jeszcze raz będę mógł służyć pod rozkazami świetnego oficera o nazwisku Antilles - ciągnął Skrzypek. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co przydarzyło się poprzedniemu. Jestem przekonany, że wszyscy dołożymy starań, aby coś podobnego się nie

powtórzyło.

Wedge skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. Większość pilotów wiedziała, że kapitan Antilles, który nie był spokrewniony z komandorem, dowodził korwetą „Tantive IV” i poniósł śmierć z polecenia Dartha Vadera.

- Służąc w waszej eskadrze, zamierzam odpowiadać uprzejmością na uprzejmość, znie wagą na znie wagę i nieudolnością na nieudolność ciągnął Skrzypek. - Przekazałem formularze zaopatrzeniowe waszym astromechanicznym robotom i wpisałem je do pamięci waszych komputerowych notatników. Bardzo proszę, żebyście się nimi posługiwali, a podczas ich wypełniania starali się unikać ortograficznych błędów. Dziękuję za uwagę.

Skłonił się Wedge'owi, zszedł z podwyższenia i usiadł obok porucznika Jansona.

Podczas przemowy androida Wedge z trudem powstrzymywał się od śmiechu, a kąci ki jego ust kilkakrotnie zadrżały.

- Dziękujemy ci, Skrzypku - powiedział. Spojrzał na zastępcę. Wes? - zapytał.

Janson wstał i wystukał coś na klawiaturze komputerowego notatnika. W sali odpraw obudził się do życia projektor hologramów i nad projekcyjną płytką pojawił się fragment mrocznych przestworzy z kilkunastoma punkcikami świecących gwiazd.

Janson wskazał duże skupisko słońc ze świecącą mniej więcej pośrodku złocistą plamką.

- To Commenor - powiedział. - My jesteśmy tu, a to Korelia i kilka innych systemów Jądra galaktyki. Nieco dalej znajduje się granica, a za nią przestworza Rubieży. Tę gwiazdę nazwano Zaciszem, bo otaczają ją pozbawione cech szczególnych, urocze i niezamieszka ne planety. To właśnie ona będzie naszym celem. Każdy pilot eskadry może spędzić godzinę ze swoim astromechanicznym robotem. Wasze zadanie polega na obliczeniu współrzędnych trzyetapowego kursu, który pozwoli wam dotrzeć w przestworza Zacisza, i parametrów dwuetapowego kursu powrotnego. Obliczając współrzędne każdego etapu, powinniście kierować się zwykłymi wskazówkami dotyczącymi zasad bezpieczeństwa. Musicie się postarać, żeby ewentualni obserwatorzy nie zdołali przewidzieć trajektorii waszego lotu ani domyślić się, jakim szlakiem zechcecie polecieć.

Kiedy skończycie obliczenia, przekażecie ich wyniki Kontroli. Wybierzemy szlak, który się nam najbardziej spodoba, pozwoli na zużycie najmniejszej ilości paliwa i wyda się najbardziej finezyjny... a potem polecimy nim w ramach testu waszych umiejętności i dokładności nawigacji w przestworzach. Są pytania?

Żadnych nie było.

- To dobrze. Do zobaczenia za godzinę w hangarze.

Piloci wstali, żeby udać się do X-wingów i astromechanicznych robotów. Buźka wyglądał na przygnębionego.

- Nie do wiary, że wybrali twoją propozycję, Tyrio - powiedział. - Byłem przekonany, że to ja wymyśliłem najlepszą nazwę dla eskadry.

- Jaką zaproponowałeś? - zainteresowała się młoda pilotka.

- No cóż, nawet kilka. Jedną z nich była Eskadra Głupków. Tyria pokręciła głową.

- Mechanicy musieliby przemalować X-wingi - powiedziała.

- Myślałem także o Eskadrze Łotrów.

- Jedna eskadra już się tak nazywa.

- Wiem, ale to dobry pomysł - obstawał przy swoim Buźka. - Zaproponowałem także, żebyśmy się nazywali Eskadrą Kolacyjną.

- Idę o zakład, że kiedy to proponowałeś, konalesz z głodu.

- Jak się tego domyśliłaś?

Niespełna dwie godziny później Eskadra Widm przelatywała w niewielkiej odległości od Commenora. Piloci przygotowywali się, żeby wykorzystać siłę przyciągania planety do zmiany kursu i położenia swoich myśliwców na pierwszy odcinek nowego, zaproponowanego przez Prosiaka. Zanim jednak Folor zdążył zniknąć za horyzontem Commenora, z odbiornika pokładowego komunikatora rozległ się głos Jesmin Ackbar.

- Dowódco Widm, tu „Dwójka” - zameldowała Kalamarianka. Wykryłam transmisję w imperialnym kanale łączności.

Kell wiedział, że Jesmin, jak przystało na ekspertkę od systemów łączności eskadry, zainstalowała w kabinie swojego myśliwca bardzo czułą aparaturę telekomunikacyjną i zestawy dalekosiężnych sensorów.

Chwilę potem z głośnika dobiegł głos komandora Antillesa.

- Wszyscy piloci, przerwać manewr - rozkazał dowódca. - Zataczać w miejscu krąg o promieniu pięćdziesięciu kilometrów. „Dwójko”, czy to transmisja jawnym tekstem?

- Zaprzeczam, panie komandorze - odparła Jesmin. - Zakodowana, ale właśnie się tym zajmuję. Jest jeszcze jeden szczegół, o którym wcześniej nie powiedziałam. To kierunkowa wiązka, wysłana z punktu, obok którego mieliśmy niedługo przelecieć po minięciu Commenora. Istnieją tylko dwie możliwości: albo czekają na nas w zasadzce, albo wykorzystują Commenor jako tarczę, żeby ich sygnały nie dotarły do Folora.

- Masz rację, „Dwójko” - przyznał Antilles. - Zaraz poinformuję o tym naszą bazę. Widma, pozostać w gotowości. Postarajcie się do czegoś przydać.

Kell zgrzytnął zębami. Jeszcze jeden test, pomyślał. Wszystkie najważniejsze zadania w rodzaju uprzedzenia bazy i złamania szyfru przesyłanych sygnałów zostały rozdzielone. Prawdopodobnie Wedge chciał się dowiedzieć, do czego jeszcze mogą się przydać inne Widma, ale nie zamierzał im niczego sugerować.

Niemal natychmiast z odbiornika komunikatora wydobył się głos Buźki.

- „Dwunastka”, mam pewien pomysł - zaczął Loran. - Postaraj się dowiedzieć od astromechanicznego robota „Dwójki” czegoś więcej na temat imperialnego sygnału. Interesuje mnie zwłaszcza to, czy sygnał wykazuje jakieś przesunięcie w fazie. Pozwoliłoby nam się to dowiedzieć, z jaką prędkością leci jego źródło.

- Załatwione, „Ósemko” - odparł Prosiak. Jego wytwarzany przez mechanizm i zniekształcony przez telekomunikacyjną aparaturę głos brzmiał nienaturalnie obojętnie.

Tainer napiął mięśnie barków. Kolejny raz Garik Loran zaproponował coś pożytecznego. Najwyraźniej starał się udowodnić, że potrafi dobrze pełnić nie tylko obowiązki skrzydłowego. Kell pomyślał, że jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, Buźka może zastąpić go na stanowisku dowódcy drugiego klucza. Powinien zrobić coś równie pożytecznego. Musiał szybko zacząć myśleć.

Commenor był planetą usytuowaną na obrzeżach Jądra galaktyki, a jej władze utrzymywały kontakty i prowadziły handel nie tylko z Nową Republiką, ale także z kurczącym się Imperium, a nawet z imperialnymi lordami. Sygnały wysłano w kanale imperialnej łączności, co sugerowało, że nadlatujące jednostki należały albo do Imperium, albo do lordów. Jeżeli dowódcy okrętów

kontaktowali się z władzami Commenora, zapewne zapowiadali im swoje przybycie albo wysuwali pod ich adresem jakieś żądania.

Pstryknął włącznikiem mikrofonu pokładowego komunikatora.

- „Czwórka”, tu „Piątka” - powiedział.

- Słyszę cię, „Piątko”.

- Spędziłeś w tych przestworzach tyle czasu - zaczął Kell. - Udało ci się kiedyś włamać do oficjalnej sieci komputerowej Commenora?

Młynek nie od razu odpowiedział.

- Potwierdzam, „Piątko” - odezwał się w końcu - ale robiłem to tylko dlatego, żeby nie wyjść z wprawy.

- To dobrze - stwierdził Tainer. - Czy dysponując aparaturą pokładową swojego myśliwca, zdołałbyś się znów do niej dostać?

- Żaden problem, „Piątko” - odparł Bothanin. - Zabrałem na pokład listę niezbędnych kodów. Zawsze ją mam przy sobie.

- Doskonale - ucieszył się Kell. - Wykorzystaj je teraz. Spróbujemy poszukać kilku informacji.

- Staram się uzyskać połączenie, „Piątko” - zameldował Młynek. Czekam na akceptację. Czego właściwie mam szukać?

Kell spróbował przypomnieć sobie, na jakie zmiany w rejestrach i informacje nauczyli go zwracać uwagę komandosi.

- Po pierwsze, niedawno ogłoszonych mobilizacji rządowych sił zbrojnych - zaczął z namysłem. - Po drugie, ostatnio poczynionych rezerwacji wolnych miejsc na lądowiskach dla gwiazdnych okrętów albo dużych statków. Postaraj się określić ich klasę, ale szczególną uwagę zwracaj na okręty liniowe, a także na wyposażone w jednostki napędu nadświetlnego wojskowe wahadłowce i transportowce. Sprawdź, czy na wczoraj albo na dzisiaj nie zarezerwowano w hotelach wielu miejsc równocześnie. Interesują nas zwłaszcza duże hotele i ośrodki wypoczynkowe. Szczególną uwagę zwróć na te niedrogi. Istnieje prawdopodobieństwo, że mogą w nich wypoczywać członkowie załóg imperialnych okrętów liniowych. Chciałbym także, jeżeli to możliwe, uzyskać dane astronomiczne z obserwatoriów zwróconych w stronę źródła wykrytego przez Jesmin obcego sygnału.

- A może do tego jeszcze śniadanie do łóżka, „Piątko”? - usłyszał w odpowiedzi.

- To też, „Czwórko” - odparł Kell - ale dopiero po tym, kiedy przekażesz mi wszystkie inne informacje.

Czekał w milczeniu kilka długich minut.

- „Piątka”, tu „Czwórka” - usłyszał w końcu. - Udało się mi dowiedzieć, że w ciągu ostatnich kilku minut polecono kapitanowi pewnego wahadłowca rządowego przekazać jakieś dokumenty i obserwatora na pokład jednej z nadlatujących jednostek. Chodzi o uzyskanie zezwolenia na przeprowadzenie wojskowych ćwiczeń w przestworzach Folora.

- Dzięki, „Czwórko” - odparł Tainer. - Właśnie o to mi chodziło. Dowódco, to oznacza, że ich prawdopodobnym celem jest nasza baza.

- Tu dowódca Widm - odezwał się Wedge. - Zrozumiałem, „Piątko”.

- „Piątka”, jest coś jeszcze - włączył się Bothanin. - Orbitalna stocznia gwiazdna o numerze 301 otrzymała polecenie znalezienia miejsca w doku dla prywatnego jachtu „Nieubłagany”.

Tainer zmarszczył brwi.

- „Nieubłagany”... takie nazwy nadaje się zazwyczaj imperialnym okrętom liniowym, a nie luksusowym jachtom - powiedział.

- „Piątka”, ci ze stoczni przygotowali dla niego największe lądowisko, jakim dysponują - usłyszał po chwili. - To nie może być gwiazdny jacht. To musi być coś ogromnego.

- Tu dowódca - rozległ się głos Antillesa. - Macie rację. „Nieubłagany” to gwiazdny niszczyciel Imperium pod dowództwem admirała Trigita, który po śmierci Ysanny Isard rozpoczął działalność na własną rękę. Dobra robota, „Czwórko” i „Piątka”. Wracamy teraz na Folor, żeby zgotować admirałowi powitanie, którego długo nie zapomni. Utworzyć szyk za rufą mojego myśliwca.

Admirał Trigit spoglądał na księżyc Folor przez transpasterowy iluminator mostka gwiazdowego niszczyciela. Promieniał. Usiana górskimi łańcuchami, upstrzona kraterami i pokryta warstwą szronu niewielka kula unosiła się w takim punkcie przestworzy, że Rebelianci po prostu musieli zwrócić uwagę na jej zalety i urządzić na jej powierzchni swoją bazę. Pomyślał, że najwyższy czas ich przepędzić.

Obok niego stanął oficer łącznikowy.

- Panie admirale, z przeciwległej strony księżyc napłynęły zaszyfrowane sygnały o niewielkiej mocy i impulsy namiarowe - zameldował.

Trigit kiwnął głową.

- Ustalić źródło transmisji i obrać kurs na to miejsce - polecił. Kiedy do celu pozostanie tysiąc kilometrów, wydać rozkaz startu pilotom eskadr myśliwców T1E. Będą naszą eskortą, dopóki nie wydam innego rozkazu.

- Tak jest, panie admirale.

Z odbiorników komunikatorów wszystkich pilotów Eskadry Widm rozległ się głos generała Crespina:

- Nadlatują i kierują się w najbardziej oczywiste miejsce. Pojawią się w przestworzach za kilka minut. Załogi naszych transportowców kończą lądować sprzęt i wyposażenie. Każdy będzie eskortowany przez czterech pilotów myśliwców typu A-wing z Eskadry Żółtych. Eskadry Niebieskich i Szarych pozostają w pogotowiu w celu podjęcia akcji opóźniającej.

Sekundę później rozległ się głos komandora Antillesa:

- Dowódca Widm potwierdza otrzymanie rozkazu. Identyczne meldunki złożyli piloci transportowców i dowódcy pozostałych eskadr myśliwców.

Widma wylądowały na lodowcowym płaskowyżu między dwoma łańcuchami wzgórz, mniej więcej w odległości dziesięciu kilometrów od bazy Folor. Przed lądowaniem piloci rozdzielili się na czteroosobowe grupy i zachowując szyk trójkąta, posadzili myśliwce w odległości stu metrów pomiędzy grupami.

Kell postanowił zrezygnować z kolejnego, zupełnie zbędnego sprawdzenia stanu zasobników energii i gotowości systemów uzbrojenia. Zaczynała go świerzbiec prawa noga, co mogło być pierwszą oznaką narastającego zdenerwowania. Przełączył komunikator na wspólną częstotliwość Eskadry Widm i zmniejszył natężenie sygnału do minimum, żeby ograniczyć zasięg wysyłanych sygnałów do obszaru doliny.

- Dowódco, tu „Piątka” - zameldował. - Może powinniśmy wystartować, nawiązać kontakt bojowy z nieprzyjacielem i spowolnić ich atak, aby nasze transportowce mogły wystartować?

- Zaprzeczam, „Piątka” - usłyszał w odpowiedzi.

- Ale jeżeli tego nie zrobimy, nadlecą nad cel i zrównają go z ziemią - nie dawał za wygraną.

- To bardzo prawdopodobne, „Piątko” - przyznał Antilles.

- Panie komandorze, nic z tego nie rozumiem.

- Potwierdzam, „Piątko”.

Kell umilkł. Oczyma wyobraźni widział, jak po usłyszeniu ostatniej odpowiedzi dowódcy pozostali piloci Widm, a zwłaszcza Janson, pogardliwie parskają. Nie zamierzał wystawiać się na pośmiewisko. Przełączył komunikator z powrotem na poprzedni kanał i chociaż kipiał ze złości, postanowił uzbroidać się w cierpliwość i poczekać na dalszy rozwój sytuacji.

- Wygląda na to, że jeszcze o nas nie wiedzą, panie admirale - odezwał się oficer łącznikowy. - Nic nie wskazuje, żeby zaczęli się przygotowywać do obrony.

„Nieubłagany” znalazł się w odległości stu kilometrów od celu.

- Musimy ich stamtąd wywabić - oznajmił łagodnie Trigit. - Wydadź rozkaz startu pilotom eskadr bombowców i myśliwców T1E, którzy zapewnią im osłonę.

- Tak jest, panie admirale.

Kilka minut później obok gwiazdnego niszczyciela śmignęły dwie eskadry myśliwców T1E. Nadleciały od tyłu okrętu, przemknęły nad rufową wieżą dowodzenia, zanurkowały niczym rój rozdrażnionych owadów przed iluminatorami mostka i pomknęły w kierunku celu. Zanim zniknęły z widoku, każdy pilot zakołysał myśliwcem na znak szacunku.

Trigit się uśmiechnął. Lubił, kiedy podwładni demonstrowali swoje umiejętności. Pomyślał, że dowódcy eskadr zasługują na niewielką nagrodę. Musi o tym pamiętać.

- Informuj mnie na bieżąco, czy obrońcy bazy zdecydują się w końcu przedsięwziąć jakieś kroki - powiedział.

- Uwaga, wszystkie eskadry i wszystkie jednostki. Tu baza Folor. Z głośników odbiorników komunikatorów dobiegł ponownie głos generała Crespina. - Sensory wskazują, że cel został zaatakowany i zbombardowany przez wiele jednostek nieprzyjaciół.

Kell spojrział na zachód. Jeżeli raport był prawdziwy, powinny tam się pojawić oślepiające błyski. Tymczasem nad wierzchołkami wzgórz oddzielających miejsce ich lądowania od bazy widział tylko czarne niebo.

- Wszystkie gotowe transportowce i piloci Eskadry Żółtych, start! - ciągnął Crespin. - Powodzenia i niech Moc będzie z wami.

Kell rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota. Zaczynał się domyślać, o co chodzi.

- Zbliżamy się do rejonu bombardowania, panie admirale. Trigit spojrział na ekran monitora sensorów, który pokazywał mu szczątki rebelianckiej bazy Folor. Wpatrywał się pewien czas w pokrytą lodem sporą równinę między dwoma górskimi łańcuchami. Była obecnie oszpecona wieloma czarnymi kraterami, a z dwóch grup budynków wydobywały się płomienie. Niewątpliwie zmagazynowano w nich paliwa albo łatwo palne materiały, w przeciwnym razie nie mogłyby się palić w otaczającej Folor próżni. Trigit zmarszczył brwi. Rebelianci musieli być naprawdę idiotami, skoro pozostawili na powierzchni magazyny paliw.

- Wysyłają jakieś sygnały? - zapytał.

- Nie, panie admirale - odparł oficer łącznikowy. - Nadal jednak działają nadajniki ich sygnałów niemiary. Zszyfrowanych informacji pojawiło się więcej, ale Rebelianci nie odpowiedzieli na nasze wezwanie.

- Kontynuować bombardowanie - rozkazał Trigit.

Dlaczego tak bardzo nie dawały mu spokoju magazyny paliw na powierzchni Folora? Ach, tak.

Na Commenorze zapoznał się ze zdjęciami lotniczymi opustoszałej kopalni i wiedział, że znajduje się tam wiele starych budowli. Tymczasem na zbombardowanej równinie dostrzegł zaledwie kilka. Wyglądało na to, że Rebelianci zburzyli większość budynków i starannie zamaskowali ruiny, żeby utrudnić wykrycie swojej bazy. Takie postępowanie było sensowne, ale wrogowie zazwyczaj nie mieli dość ludzi, żeby podjąć się wykonania tak ciężkiej pracy. Z drugiej strony jednak... nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby usunąć ruiny budowli, dopóki nie zamaskowały albo nie ukryły magazynów paliw. W pewnej chwili Trigitt uświadomił sobie, że niepokoi go brak logiki w takim postępowaniu.

Nagle oficer obsługujący stanowiska sensorów spojrzął na niego z zagłębienia dla personelu mostka.

- Panie admirale, sensory wykryły start dużego statku - zameldował. - Sądząc po wskazaniach czujników i zdolności manewrowania, to średniej wielkości transportowiec wyprodukowany w stoczni Gallofree.

Nie wierząc własnym uszom, Trigitt spojrzął na niewielki ekran w podłokietniku fotela dowodzenia.

- Skąd wystartował? - zapytał.

- Z jakiegoś punktu po przeciwnej stronie księżycy, panie admirale - odparł oficer. - Właśnie się ukazuje nad horyzontem Folora.

Admirał zdrętwiał. Tak, teraz już rozumiał.

- Pani porucznik Petothel - odezwał się. Robił wszystko, żeby jego głos pozostał chłodny i spokojny.

Ze stanowiska w zagłębieniu dla personelu mostka spojrzała na niego od niedawna pełniąca tam służbę ulubiona specjalistka od analizy danych. Była szczupła, miała średniej długości włosy i urocze znamię na prawym policzku. Wyglądała tak czarująco, że czasami admirał wprost nie mógł oderwać od niej oczu.

- Słucham, panie admirale? - zapytała.

- Proszę wyświetlić na ekranie mapy Folora, jakie przekazano nam na Commenorze.

- Rozkaz, panie admirale.

- Proszę także odnaleźć na nich budynki dawnej kolonii górniczej, w których Rebelianci mogliby urządzić bazę.

- Tak jest, panie admirale.

- Gdzie one się znajdują?

- Dokładnie po przeciwnej stronie księżycy, panie admirale. - Kobieta się skrzywiła. - Baza została założona na tej samej szerokości geograficznej, ale sto osiemdziesiąt stopni od nas.

Trigitt grzmotnął pięściami w podłokietniki fotela dowodzenia. Zrozumiał, że dał się wystrychnąć na dudka. Rebelianci posłużyli się prostą sztuczką. Rozstawili nadajniki sygnałów namiarowych i fałszywe budowle z daleka od miejsca założenia prawdziwej bazy i podpalili je, kiedy jego piloci rozpoczęli bombardowanie. Zanim wydał im rozkaz, nie upewnił się, czy rzekoma baza znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co opustoszała kolonia górnicza... i dopuścił, żeby Rebelianci z niego zadrwili.

- Nawigatorze, proszę obrać kurs na punkt o współrzędnych, które poda pani porucznik Petothel - rozkazał. - Ma pan tam dotrzeć możliwie jak najszybciej. Oficer łącznościowiec, proszę przekazać współrzędne tego miejsca pilotom naszych eskadr. Mają lecieć przed nami jako osłona. - Wiedział,

że nic nie zyska, jeżeli poleci im zaatakować rebeliancką bazę i narazi „Nieubłaganego” na możliwość zaskakującego ataku.

- Rozkaz, panie admirale.

Trigit patrzył przez iluminator, jak piloci eskadr myśliwców i bombowców typu T1E zawracają i kierują się na północ. Przelot nad biegunem był najkrótszym sposobem dotarcia do właściwego celu. Kiedy „Nieubłagany” zaczął powoli wykonywać zwrot, by podążyć za nimi, horyzont księżyca zmienił swoje położenie. Admirał nawet nie wyczuwał, że ogromny okręt rozpoczął manewr. Pokład pod jego stopami się nie przechylał, bo grawitacyjne i inercyjne kompensatory nie pozwalały, żeby odnosił takie wrażenie.

Uświadamiał sobie jednak, że ogarnia go irytacja... i coś podobnego do podziwu. Cóż, nawet jeżeli nie zdoła zniszczyć bazy Folor i nie wyeliminuje jej użytkowników, przynajmniej unicestwi maruderów. Spustoszy samą bazę i na zawsze pozbawi Rebeliantów możliwości korzystania z jej urządzeń. Odniesie wprawdzie częściowe, ale jednak zwycięstwo.

Z odbiorników komunikatorów wydobywał się zniekształcony i sztucznie brzmiący głos Crespina, co dowodziło, że dowódca bazy siedzi w kabinie gwiazdowego myśliwca. Wedge nie był tym zaskoczony. Na ile znał starzejącego się generała, Crespin dowodził osobiście Eskadrą Niebieskich i kierował ją do walki. Z pewnością piloci ćwiczebnej eskadry skorzystają z jego dużego doświadczenia, a może nawet dzięki niemu przeżyją walkę.

- Potwierdzam, że „Nieubłagany” i eskortujące go myśliwce lecą ku nam najbardziej bezpośrednim kursem-powiedział generał. - „Borleias” i „Jaskrawa Mgławico”, jesteście gotowi do startu?

Wedge nie słyszał, co odpowiedzieli kapitanowie obu transportowców, ale chwilę później z odbiornika ponownie dobiegł głos generała Crespina:

- „Jaskrawa Mgławica” melduje gotowość do startu. Prawdopodobnie zdąży to zrobić, zanim przylecą eskadry myśliwców T1E. Załoga „Borleias” nie zdążyła się jeszcze uporać z usunięciem usterki inicjatora silników jonowych. Eskadro Niebieskich, Eskadro Szarych... to znaczy, Eskadro Widm... musimy dać im więcej czasu i mieć nadzieję, że odpowiednio go wykorzystają. Komandorze Antilles, ma pan jakieś propozycje?

- Tak, panie generale - odparł Wedge. - Jeżeli dobrze zapamiętałem szczegóły rzeźby powierzchni Folora, lot po linii prostej, łączącej fałszywą bazę z prawdziwą, musi sprawić, że nieprzyjaciele przelecą w pewnym miejscu nad Świńskim Korytem.

- Ma pan rację, dowódco Widm - przyznał Crespin.

- Proponuję, żebyśmy obliczyli współrzędne najbardziej prawdopodobnego punktu, w którym nad Świńskim Korytem przelecą myśliwce T1E i sam „Nieubłagany” - ciągnął Antilles. - Wyślijmy grupę wywiadowców jeszcze dalej na północ od tego punktu, aby potwierdzili, że właśnie tam wrogowie przelecą nad wąwozem, ale niech nie korzystają z silników, żeby nie wykryto ich podczas omiatania terenu promieniami skanerów. Kiedy piloci myśliwców T1E przeleczą nad Korytem, Niebiescy i Widma wyłonią się z niego i postarają się ich zlikwidować. Nasi wywiadowcy mogą albo zaatakować ich z drugiej strony, albo ostrzelać samego „Nieubłaganego”, jeżeli imperialny niszczyciel będzie przelatował blisko nich. Tak czy owak, wprowadzą jeszcze większy zamęt.

- Dowódco Widm, zatwierdzam twój plan - oznajmił generał. - Ty wyślij dwóch zwiadowców i ja wyślę dwóch.

- „Widmo Pięć” i „Widmo Sześć”, ruszajcie tam - rozkazał komandor. - Tylko lećcie Świńskim

Korytem, żeby nie omietli was promieniami skanerów, jeżeli zechcą się nimi posługiwać.

- „Widmo Pięć”, potwierdzam. - Kell przesłał energię do repulsorów, uniósł X-winga w powietrze i obrócił go wokół osi, żeby skierować dziób w stronę bazy Folor.

- „Widmo Sześć” również potwierdza.

- „Niebieski Dziewięć”, „Niebieski Dziesięć”, dołączcie do nich rozkazał Crespin. - Kiedy dostaniemy współrzędne prawdopodobnego punktu przelotu nieprzyjaciół nad Świńskim Korytem, natychmiast je wam prześlemy.

Kell usłyszał w głośniku komunikatora potwierdzenia obu pilotów myśliwców typu A-wing z eskadry dowodzonej przez samego generała. Włączył silniki jonowe i śmignął w kierunku najbliższej przełęczy umożliwiającej pokonanie łańcucha wzgórz i dotarcie do początku Koryta.

ROZDZIAŁ 9

Kell i Patyk znaleźli się tam zaledwie parę sekund przed pilotami A-wingów z dowodzonej przez generała Crespina Eskadry Niebieskich. Tainer ujrzał dwa myśliwce w kształcie klina w ostatniej chwili, zanim jego tęponosa maszyna skręciła i zanurkowała w głąb rozpadliny.

Nikt nie powiedział, że zwycięzcą zostanie pierwszy pilot, który przyleci na miejsce akcji, ale wszyscy wiedzieli, że tak będzie. Piloci Nowej Republiki zawsze rywalizowali ze sobą w podobnych sytuacjach, lecz A-wingi były po prostu szybsze od X-wingów.

Już na pierwszym prostym odcinku Koryta „Niebieski Dziewięć” i „Niebieski Dziesięć” dogonili obu pilotów Eskadry Widm i bez trudu ich wyprzedzili. Kell zauważył, przelatując obok niego, że pilot jednego z A-wingów unosi rękę w szyderczym salucie. Cieszcie się, Niebiescy Chłopcy, pomyślał. Wmawiajcie sobie, że już zwyciężyliście.

Kiedy przelecieli kilka kilometrów i dotarli do końca pierwszej prostej, piloci myśliwców o kształcie klinów wysforowali się tak daleko, że zniknęli mu z oczu. Tainer orientował się jednak, że wkrótce wszystkich czeka przelot odcinkiem pełnym zygzaków i zakrętów.

- Leć za mną, Patyk - powiedział i obrócił w locie X-winga w taki sposób, że sterburtowe skrzydła skierowały się w stronę dna rozpadliny. Pokonując pierwszy zakręt, niemal musnął spodem myśliwca skalną ścianę. Przeleciał tak blisko obok niej, że mimo dużej prędkości zobaczył drobne pęknięcia i szczeliny.

Skrzydłowy Kella wydał niezrozumiały okrzyk bojowy, ale tym razem jego umysł pilota nie starał się przejąć kontroli nad sterami. Patyk nie usiłował go wyprzedzić. Trzymał się cały czas tuż za ogonem X-winga Tainera i tak precyzyjnie powtarzał wszystkie manewry, że Kell mógł być z niego naprawdę dumny.

Po kilku minutach ocierania się o skalne ściany i precyzyjnego pokonywania kolejnych zakrętów dostrzegł w końcu ogniki gazów wylotowych z dysz lecących przed nimi A-wingów. Po następnej minucie zauważył same myśliwce w kształcie klina, a po kilku kolejnych stwierdził, że odległość dzieląca go od nich szybko maleje.

Kiedy pokonał któryś z kolei ostry zakręt Świńskiego Koryta, omal nie nadział się na lecącego znacznie wolniej A-winga. Zamierzał śmignąć nad nim, ale pilot Eskadry Niebieskich odruchowo zboczył z kursu. Leciał zwrócony bakiem w stronę dna rozpadliny, więc na kilka sekund nawet wyłonił się ponad krawędź Koryta. Kell zaczął obracać myśliwiec w locie, aż zobaczył osłoniętą hełmem twarz pilota. Przyjaźnie mu pomachał i zakończył obrót. Leciał jakiś czas, zwrócony bakiem skrzydłami w stronę dna wąwozu. Pokonał kolejny zakręt i zostawił pilota Niebieskich daleko z tyłu.

Podczas kilku następnych minut precyzyjnego pilotowania ani on, ani Patyk ani razu nie zauważyli A-wingów, lecących znacznie wolniej za rufami swoich maszyn. Kell wiedział, że trochę dalej Świńskie Koryto skręca ponownie na północny zachód, poszerza się i biegnie wiele kilometrów prosto jak strzeł. To właśnie tam piloci bombowców ćwiczyli precyzyjne bombardowanie.

Pomyślał, że lecący za nimi Niebiescy z pewnością zechcą tam nadrobić stracony dystans. Gdyby tylko on i Patyk zdołali, przelatując przez rejon ostrych zakrętów, jak najbardziej się wysforować, może nie straciliby prowadzenia także na prostym odcinku Koryta...

Korzystając z tego, że na kursie pojawiła się krótka prosta, Kell zaczął się zastanawiać. Gdyby popełnił drobny błąd, mógłby roztrzaskać maszynę o skalną ścianę, a nawet stracić życie, ale nie czuł napięcia ani strachu. Prawdopodobnie Patyk potraktowałby jego śmierć jako przestrożę, zwolniłby i doleciał żywy na miejsce, w którym mieli zaczekać na pojawienie się nieprzyjaciół. Na pewno dolecieliby tam również piloci A-wingów, właściwie więc nic od niego nie zależało. Kell pomyślał, że bardzo podoba mu się taka sytuacja.

Nagle usłyszał cichy pisk Trzynastki, swojego robota astromechanicznego typu R2. Dostał go na stałe, kiedy pilotom Eskadry Widm przydzielano nowe maszyny. Zerknął kątem oka na ekran głównego monitora. Widniała na nim mapa Świńskiego Koryta z zaznaczonym położeniem obu X-wingów, myśliwców A-wing oraz nadlatującego z boku gwiazdowego niszczyciela i poprzedzających go maszyn nieprzyjaciół. Pulsujące świetliste plamki oznaczały miejsce prawdopodobnego przelotu pilotów myśliwców T1E nad Korytem, a także punkt, z którego Kell i jego koledzy powinni prowadzić obserwacje poczynań wroga. Druga plamka znajdowała się na skraju Koryta, w odległości kilku kilometrów na północny zachód od spodziewanego miejsca przelotu nieprzyjacielskiej floty nad rozpadliną.

Jeżeli Kell nie pomylił się w obliczeniach, miało upłynąć zaledwie kilka minut od chwili, kiedy zobaczy myśliwce T1E i poinformuje o tym dowódców obu eskadr Nowej Republiki, do chwili, gdy nieprzyjaciele przelecą nad Korytem. Oznaczało to, że Widma i Niebiescy już kierowali się na miejsce przyszłej bitwy. Zapewne podążali śladami Kella i jego kolegów, ale niewątpliwie lecieli o wiele spokojniej i wolniej niż czterej zwiadowcy.

Z początku przydzielona Kellowi jednostka typu R2 miała drobny błąd w oprogramowaniu i na prośbę o podanie jakiegokolwiek losowo wybranej liczby podawała zawsze trzynaście. Tainer poprosił, żeby Młynek usunął usterkę programu, ale nazwał swojego robota astromechanicznego Trzynastką. Odnosił wrażenie, że automat polubił tę nazwę, bo mógł się uważać za trzynastego członka eskadry.

W końcu zobaczyli na kursie skręt na północny zachód. Czekają ich jeszcze pokonanie wielokrotnie bombardowanej długiej prostej i odnalezienie wyznaczonego miejsca obserwacji. Kell włączył mikrofon komunikatora.

- „Szóstka”, wyjdź na prowadzenie - powiedział. - Odtąd ja będę twoim skrzydłowym.

Patyk wykrzyknął coś niezrozumiałego i śmignął obok niego. Kell skupił uwagę na precyzyjnym powtarzaniu jego manewrów. Na ile mógł, starał się je przewidywać. Leciał za kolegą równie blisko, jak przedtem Patyk za nim.

W końcu dotarli do początku szerokiego i prostego odcinka, na którym piloci bombowców ćwiczyli celność zrzucania ładunków wybuchowych. Piloci Eskadry Widm wyrównali lot i przekazali całą energię do jednostek napędowych. W pewnej chwili Kell obejrzał się za siebie, ale nie zobaczył ani śladu A-wingów. Nawet kiedy pokonał połowę długiej prostej, piloci Eskadry Niebieskich nie wyskoczyli jeszcze zza ostatniego zakrętu.

Poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Czyżby on i Patyk lecieli zbyt ryzykancko i szybko? A może piloci myśliwców w kształcie klina, pragnąc pokazać bardziej doświadczonym kolegom, co potrafią, przecenili swoje umiejętności i roztrzaskali się skalne ściany rozpadliny? Ulżyło mu, kiedy na kursie

pojawił się koniec długiej prostej i wąwóz zaczął się zwięzać, a na początku zbombardowanego odcinka ukazały się dwa światelka A-wingów.

Po następnej minucie lotu znaleźli się u celu. Kiedy Patyk się zorientował, że przewaga nad myśliwcami w kształcie klina jest wciąż jeszcze całkiem spora, zmniejszył moc przesyłaną do głównych jednostek napędowych i włączył repulsory. Tainer postąpił tak samo. Obaj skierowali maszyny na północny zachód i łagodnie wylecieli z rozpadliny. Pewien czas unosili się nieruchomo na wysokości dwóch metrów nad nierówną powierzchnią gruntu, ale później przelecieli majestatycznie dwadzieścia metrów dalej i wylądowali.

- „Szóstka”, wyłącz zasilanie wszystkich urządzeń i podzespołów - polecił Kell. - Naturalnie, z wyjątkiem systemów podtrzymywania życia, komunikatora i wizualnych sensorów. Aha, i nie zapomnij o zgaszeniu oświetlenia kabiny. Niech twoja jednostka typu R5 wyłączy także światła pozycyjne myśliwca.

- Załatwione - potwierdził Patyk.

Kiedy piloci obu A-wingów lądowali za nimi, po owiewce kabiny X-winga Tainera przesunął się cień. Kell przełączył komunikator z kanału eskadry na ogólną częstotliwość Nowej Republiki i zmniejszył moc wyjściową wysyłanego sygnału, żeby nie odebrał go nikt, kto znajdowałby się w odległości większej niż kilometr.

- Cieszę się, że w końcu się zjawiliście, koledzy - powiedział. Czekaemy tu na was tak długo, że czujemy się trochę zmęczeni. Czy nie zechcielibyście nas zastąpić? Moglibyśmy się trochę zdrzemnąć.

- Cha, cha - usłyszał w odpowiedzi kobiecy głos. - Z kim mamy przyjemność?

- Jestem Kell Tainer, „Widmo Pięć” - odparł. - A ten po mojej sterburcie to Hohass Ekwesh, znany także jako „Widmo Sześć” albo po prostu Patyk.

Zobaczył, że piloci obu A-wingów wyłączają zasilanie i oświetlenie. Był zadowolony, że nie musi im o tym przypominać.

- Nazywam się Dorset Konnair i jestem pilotem „Niebieskiego Dziewięć” - oznajmiła pilotka. - A ten śliczny chłoptaş po mojej bakburcie to Tetengo Noor, „Niebieski Dziesięć”. Nie lada prędkość udało się wam wycisnąć z tych przestarzałych stert złomu.

- No cóż, dzięki za ciepłe słowa - odparł Tainer.

- Pokonalibyśmy was bez trudu, gdyby Tetengo nie przypomniał sobie w ostatniej chwili, że zostawił coś na kuchence - ciągnęła pilotka. - Musieliśmy wrócić do bazy po jego kolację.

- Nie chciałem stawać do walki o pustym żołądku - dodał „Niebieski Dziesięć”.

Kell parsknął. Ciepłe uczucia, jakimi piloci myśliwców w kształcie klina darzyli swoje szybkie maszyny, dałyby się porównać tylko z pogardą, jaką żywili dla wszystkich wolniejszych myśliwców.

- Lepiej nie rozgłaszajmy tego, co się stało - zaproponował. - Nie chcemy przecież, żeby pilotów Eskadry Niebieskich zaczęto uważać za osoby stroniące od walki.

Oburzona „Niebieski Dziewięć” mruknęła złowieszczo. Zabrzmiało to, jakby w głośniku komunikatora Tainera zabrzączał gigantyczny owad.

- Och, jeszcze ci się za to dostanie - zapowiedziała.

- Skierowaliście obiektywy kamer wizualnych sensorów w stronę prawdopodobnej strefy pojawienia się nieprzyjaciół? - zapytał Tainer.

- Naturalnie - odparła Dorset.

- Ja zapomniałem - przyznał skruszony Tetengo.

- Ocknij się, „Dziesiątka”!

Kilka następnych minut nikt się nie odzywał. W końcu z odbiornika komunikatora Kella rozległ się głos pilota „Niebieskiego Dziesięć”:

- Widzę ich!

Tainer zaczął omiatać przestworza skupioną wiązką promienia wizualnych sensorów, ale nie zdołał wypatrzeć nieprzyjaciół.

- „Niebieski Dziesięć”, prześlij mi zestaw współrzędnych - powiedział.

Po chwili na ekranie pokładowego monitora pojawił się drżący obraz wielu mikroskopijnych jasnych plamek - jonowych silników myśliwców T1E przelatujących w dużej odległości na północ od nich.

Kell przekazał dane z sensorów Trzynastce i otrzymał od robota naniesiony na mapę okolicy zestaw precyzyjnych współrzędnych punktu Świńskiego Koryta, nad którym mieli przelecieć piloci nieprzyjacielskich maszyn. Dostał także dokładny czas ich przelotu, przy założeniu, że nie zdecydują się zmienić prędkości ani trajektorii lotu.

Kell pstryknął przełącznikiem komunikatora.

- Tu „Widmo Pięć” - zameldował. - Czy ktoś inny może sprawdził te dane?

- Tu „Niebieski Dziewięć” - odparła Dorset. - Pokażę ci moje, jeżeli i ty pokażesz mi swoje.

Oba zestawy liczb różniły się o kilka dziesiątych procenta. Kell zakodował dane i przesłał skupiony impuls energii w stronę bazy Folor. Pomyślał, że jeżeli Nowa Republika będzie miała szczęście, wrogowie nie zdołają przechwycić tak krótkiego impulsu, nie potrafią określić jego źródła albo po prostu uznają go za nieistotny.

Położył dłoń na włącznikach zasilania, uzbroił się w cierpliwość i czekał. Zanim piloci myśliwców T1E dotrą do Świńskiego Koryta, miały upłynąć jeszcze cztery minuty. Pomyślał, że będą to chyba najdłuższe cztery minuty w jego życiu.

- „Widmo Pięć”, mam gwiazdny niszczyciel!

Kell sprawdził wskazania sensorów i zobaczył na ekranie monitora jasną plamkę przemieszczającą się śladem myśliwców T1E. Ogromny okręt miał pojawić się zaledwie kilka minut później nad Świńskim Korytem.

- Sygnał nie byłby tak wyraźny, gdyby nie lecieli z włączonymi osłonami - powiedział. - Dowódca tego niszczyciela musi być bardzo przezorny. Niebiescy, okręt jest bardzo duży. Czy uważacie, że zdołalibyśmy go przynajmniej uszkodzić?

- „Widmo Pięć”, tu „Niebieski Dziewięć” - usłyszał w odpowiedzi głos pilotki. - Raczej nie, chyba że roztrzaskalibyśmy się o jego rufę niczym owady o raketowy skuter. Moglibyśmy najwyżej ich rozdrażnić.

- Uroczą perspektywę - mruknął Tainer. - Dzięki za opinię, „Niebieski Dziewięć”.

Starał się wybić sobie z głowy pomysł spowolnienia okrętu albo skłonienia jego kapitana do zmiany kursu, ale nie potrafił. Wiedział, że jeżeli załoga niszczyciela przyłączy się do walki pilotów gwiazdnych myśliwców, życie straci wielu jego kolegów, a jeżeli zaatakuje bazę Folor przed odlotem ostatniego transportowca, statek i załoga będą skazani na zagładę. Poczuł, że mięśnie barków ma znów napięte.

Co mogłoby sprawić, żeby dowódca gwiazdznego niszczyciela zrezygnował, przynajmniej na krótko, z wykonania zadania? Prawdopodobieństwo większego zagrożenia? Co powinien zrobić Kell, żeby do tego doszło?

A może rozwiązaniem byłoby stworzenie imperialnemu dowódcy perspektywy odniesienia jeszcze większego sukcesu? Kell wyprostował się na fotelu pilota.

- Uwaga, Niebiescy, uwaga, „Widmo Pięć” - powiedział. - Nasze roboty astromechaniczne są fabrycznie nowe. Nie mają za sobą żadnej przeszłości. Czy ktoś z was zachował jeszcze w pamięci pokładowego komputera dawno używane szyfry i kody? Takie, które obecnie są nieważne?

- Tu „Niebieski Dziesięć” - usłyszał w odpowiedzi. - Mam ich co niemiara.

- To dobrze - odparł Tainer. - Oto, co zamierzam wam zaproponować...

Pokonując ostatni odcinek Świńskiego Koryta, Wedge nawet nie zadał sobie trudu sprawdzenia, jaki szyk zachowuje pozostałych dziewięcioro pilotów Eskadry Widm. Na zakrętach szli w rozsypkę, a przelatując szerokimi albo prostymi fragmentami rozpadliny, tworzyli na nowo szyk za rufą jego maszyny, nigdy jednak nie pozwolili się wyprzedzić lecącym za nimi pilotom A-wingów eskadry generała Crespina. Celem jednych i drugich był zakręt, gdzie mieli wylecieć z rozpadliny. Nad tym miejscem lada chwila powinno się ukazać sześć eskadr maszyn T1E... gdyby obliczenia Kella Tainera okazały się dokładne. Wedge spojrział w górę, na ledwo majaczącą w ciemności krawędź rozpadliny, i zobaczył nad nią mikroskopijne iskierki pierwszych celów. Do przelotu nieprzyjacielskich maszyn pozostało więc najwyżej kilka sekund.

- Uwaga, Widma, zablokować płyty w położeniu bojowym - polecił i wcielił własny rozkaz w życie. - Jeżeli zobaczycie jakieś myśliwce przechwytyjące, postarajcie się je zlikwidować w pierwszej kolejności. Dopiero potem zajmijcie się bombowcami. Podążajcie za mną...

- Niech zaraza porwie Eskadrę Niebieskich! - zaklął nagle Młynek.

Wedge obejrzał się i zobaczył, że piloci A-wingów postanowili skorzystać z okazji, że nie muszą się dłużej ukrywać. Zadarli dzioby swoich maszyn, raptownie przyspieszyli i zaczęli się oddalać od rozpadliny szybciej, niż mogli nadażyć za nimi piloci tęponosych myśliwców.

- „Czwórka”, tu „Jedynka” - powiedział Wedge. - Powstrzymaj się od osobistych uwag. Uwaga, Widma, chyba nasi koledzy zamierzają zaatakować lecące na czele szyku gały i eskortowane przez nie bombowce. Wygląda na to, że mamy wolną rękę i możemy się zatroszczyć o myśliwce przechwytyjące. Ruszamy do akcji.

Przyciągnął dźwignę sterowniczą do siebie i przesłał dodatkową porcję energii do obu jednostek napędowych i repulsorów.

Przeleciał nad krawędzią Świńskiego Koryta na wysokości kilku metrów, ale to wystarczyło, żeby zadziałały repulsory. Jego myśliwiec śmignął w górę, jakby odbił się od powierzchni gruntu. Wedge z przyjemnością zauważył, że Jesmin Ackbar precyzyjnie powtórzyła jego manewr. Musiała go wykonywać wcześniej wiele razy, skoro nabrała takiej wprawy.

W górze i prosto na kursie, w odległości niespełna dwóch kilometrów, nadlatywało sześć pełnych eskadr różnych maszyn typu T1E. Wedge zacisnął zęby, kiedy uświadomił sobie, że na każdego pilota eskadry Nowej Republiki przypada prawie czterech nieprzyjaciół. Walka z nimi z pewnością będzie bardzo trudna.

Obrał kurs na eskadrę myśliwców przechwytyjących T1E i zaczął omiatać je wiązką sygnałów celowniczego komputera. Niemal od razu kwadrat na ekranie monitora zapłonął czerwonym blaskiem i Wedge posłał ku namierzonej maszynie protonową torpedę. Ułamek sekundy później w przestworzach rozbłysły cztery inne czerwone smugi torped wystrzelonych przez kolejne Widma. Kiedy pozostali dali ognia ze strzelających po cztery naraz laserowych działek, w ciemność przestworzy poszybowały także krwistoczerwone błyskawice. Wedge zauważył, że w wyniku

pierwszego zaskakującego ataku zniknęły w oślepiających błyskach eksplozji co najmniej cztery nieprzyjacielskie maszyny przechwytyjące.

Niemal bezpośrednio nad nimi w podobnych rozbłyskach kończyły żywot także myśliwce i bombowce. Po celnych strzałach pilotów dowodzonej przez generała Crespina Eskadry Niebieskich każda trafiona nieprzyjacielska maszyna jarzyła się niczym ognisty kwiat, płonęła kilka sekund i równie szybko gasła. W końcu wszystkie sześć eskadr wrogów złamało szyk i poszło w rozsypkę. Obracając myśliwce w locie, piloci Nowej Republiki przystąpili do nierównej walki na śmierć i życie. W przestworzach zaroilo się od zielonych błyskawic laserowych strzałów wrogów.

- „Dwójka”, trzymaj się blisko mnie - rozkazał Antilles. Wprawił X-winga w ruch wirowy i śmignął w górę, żeby nabrać większej wysokości, z daleka od głównej grupy nurkujących nieprzyjaciół.

- „Jedynka”, nadlatuje ku nam trzech bandytów - zameldowała w pewnej chwili Kalamarianka.

- Weź na cel tego od sterburty, „Dwójko” - polecił komandor i przekazał większą porcję energii do dziobowych pól siłowych.

Nie przestając strzelać, nurkowali ku nim trzej piloci myśliwców T1E. Wedge uśmiechnął się półgębkiem, kiedy zauważył, że nie mają wprawy w strzelaniu. Skierował się ku nim, ale pragnąc utrudnić im namierzenie swojej maszyny, nie wyprowadził jej z ruchu obrotowego. Przełączył systemy uzbrojenia na lasery i sprzęgł je, żeby strzelały wszystkie cztery naraz. Zaczekał, aż celowniczy komputer dokładnie namierzy lecącą po stronie bakburty gałę, i wystrzelił.

Strzał stopił i rozerwał sterburtową stronę nieprzyjacielskiej maszyny, a odstrzelone skrzydło poszybowało ku powierzchni księżyca. Myśliwiec T1E zatoczył łagodny łuk, jakby pilot starał się - nadaremnie - odzyskać panowanie nad sterami, ale kilka chwil później jego maszyna przeistoczyła się w ognistą kulę.

W następnej chwili Wedge zauważył, że serie poczwórnych laserowych błyskawic trafiają sterburtową gałę w środek kabiny. Z początku nieprzyjacielski myśliwiec sprawiał wrażenie nietkniętego, ale później zmienił kurs i zanurkował w stronę Folora.

Rzeczywiście, imperialni piloci byli niewiarygodnymi nowicjuszami. Przerażony losem, jaki spotkał jego skrzydłowych, trzeci pilot wpadł w panikę i zawrócił, żeby uciec z rejonu walki. Nie przewidział jednak, że wykonując taki manewr, ułatwi obojgu Widmom oddanie idealnego strzału. Strzały z obu czwórek sprzężonych laserów trafiły go i przemieniły w żużel. Ułamek sekundy później bliźniacze silniki jonowe rozleciały się na kawałki i eksplodowały.

Wedge i Jesmin zatoczyli łuk, zawrócili i zaczęli się rozglądać za rejonem walk, w którym powinny się znajdować myśliwce przechwytyjące T1E. W pewnej chwili przez gwar okrzyków, porad i ostrzeżeń przebił się generowany przez mechanizm głos Prosiaka:

- „Siódemka”, tu „Dwunastka”. Zalecam, żebyś zanurkował... natychmiast. „Ósemka”, zalecam, żebyś strzelał... natychmiast.

Wedge zmarszczył brwi. W pierwszej chwili pomyślał, że Prosiak powinien walczyć, a nie zachowywać się jak operator kontroli naziemnej, ale przypomniał sobie, że skrzydłowym Gamorreanina jest Janson. Jeżeli jego zastępca uzna to za konieczne, szybko potrafi go przywołać do porządku. Spojrzał na ekran monitora i wybrał skupisko świetlnych plamek. Miotły się jak w szaleńczym tańcu prawie na końcu zasięgu jego laserów i z pewnością oznaczały gałę. Przywrócił jednakowe natężenie ochronnych pól we wszystkich punktach kadłuba X-winga.

- „Dwójka”, możesz strzelać bez rozkazu - powiedział.

Przyciskał guzik spustowy laserowych działek i posyłał ku niewidocznym wrogom śmiertelne błyskawice, ilekroć kwadrat na ekranie celowniczego monitora rozbłyskiwał na zielono.

Nagle z odbiornika komunikatora rozległ się głos ostatniej osoby, jaką spodziewałby się usłyszeć:

- Hanie, czy naprawdę nie potrafisz wykrzesać trochę większej prędkości z tej kupy złomu?

Admirał Trigrit przełączył monitor w podłokietniku fotela dowodzenia w taki sposób, żeby na ekranie pojawił się schemat graficzny walki w przestworzach Folora. Zmarszczył brwi. Piloci jego myśliwców już nie przewyższali ponad trzykrotnie liczebnością nieprzyjaciół. Rebelianci urządzili najpierw zdumiewająco skuteczną zasadzkę, a obecnie zwijali się jak w ukropie i walczyli nadspodziewanie mężnie i skutecznie. Z siedemdziesięciu dwóch maszyn, jakimi dysponował na początku walki, stracił dwadzieścia jeden, podczas gdy nieprzyjaciele zaledwie dwie.

Pomyślał, że najwyższy czas to zmienić. Wcześniej czy później przewaga liczebna, jaką wciąż jeszcze dysponował, musi przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę. Jego piloci ponieśli jednak bardzo ciężkie straty.

- Panie admirale, pojawił się nowy cel - zameldował w pewnej chwili oficer łącznikowy. - Oznaczyliśmy go jako Folor Trzy. Znajduje się mniej więcej czterdzieści kilometrów na zachód od nas i kieruje się także na zachód. Leci dość powoli.

- Proszę go zidentyfikować - polecił Trigrit.

- Wszystko wskazuje, że to dwie grupy myśliwców typu X-wing i nieokreślonego typu cywilny statek - odparł oficer. - Odbieramy ich sygnały.

- Proszę poddać je rutynowemu dekodowaniu i powiadomić mnie, jeżeli coś z tego wyniknie - odezwał się Trigrit. - Jeśli naprawdę oddalają się od pola bitwy, nie będą stanowili żadnego zagrożenia.

- Sygnały zostały już rozszyfrowane, panie admirale - oznajmił oficer. - Posłużyli się starszym szyfrem, który udało się nam złamać przed kilkoma tygodniami.

- No cóż, chciałbym posłuchać, o czym mówią. - Trigrit wzruszył ramionami. - Jeżeli możliwe, od początku.

Wprawdzie głosy były zniekształcone i przetykane szumami i trzaskami, ale słowa brzmiały całkiem wyraźnie:

- Hanie, czy naprawdę nie potrafisz wykrzesać trochę większej prędkości z tej kupy złomu?

Chwilę później rozległ się głos jakiejś kobiety:

- Han nie może w tej chwili wrócić do sterowni. Siedzi po uszy w tym, co zostało z głównej jednostki napędowej. Mamy sprawne jedynie repulsory.

- Księżniczko, repulsory nie pozwolą wam oddalić się od Folora ciągnęła pierwsza osoba. - Jeżeli nie zdołacie naprawić silników w ciągu kilku minut, postarajcie się wylądować i zaszyjcie się w jakiejś dziurze. Zrobimy wszystko, żeby was stamtąd wyciągnąć.

- To bardzo zachęcająca perspektywa, „Łotrze Dwa”. Trigrit raptownie się wyprostował.

- Stanowisko sensorów, czy ten „nieokreślonego typu cywilny statek” to przypadkiem nie „Sokół Millenium”? - zapytał.

- Panie admirale, to może być jakikolwiek statek - usłyszał w odpowiedzi. - Nie potrafimy go zidentyfikować z powodu nieustannie oscylujących pól ochronnych, które uniemożliwiają dokładne określenie kształtu i wymiarów. Prawdę mówiąc, pola nie zapewniają statkowi prawie żadnej ochrony. Uhm... z informacji zapisanych w pamięci naszego komputera wynika, że od czasu śmierci

Imperatora „Sokół Millenium” wysyłał trzy różne zestawy rozpoznawczych sygnałów...

- Tak, tak - przerwał niecierpliwie Trigit. - Ciągłe zmiany, przeróbki, udoskonalenia i tak dalej.

Otarł rękawem munduru krople potu, jakie niespodziewanie pojawiły się na jego czole. Han Solo i Leia Organa w przestworzach Folora? Eskortowani przez pilotów Eskadry Łotrów? Ale dlaczego? Z tego, co słyszał, wynikało, że na polecenie władz Rebeliantów każde udało się w inny zakątek galaktyki, by wykonać swoje zadania, a „Sokół Millenium” nawet nie był zdolny do lotu.

Ale to musieli być oni. Do tej pory rebeliancka baza z pewnością została opuszczona. Czego innego mogli tak zawzięcie bronić piloci stacjonujących w niej X-wingów i A-wingów? Ich zachowanie miałoby sens, gdyby się okazało, że powierzono im zadanie osłaniania ucieczki księżniczki, jednej z najbardziej wpływowych postaci Nowej Republiki.

- Pilocie, proszę obrać kurs na Folor Trzy - rozkazał. - Zamierzamy dopaść kilkoro słynnych Rebeliantów.

Uśmiechnął się, słysząc wiwaty i radosne okrzyki personelu mostka, po czym wygodniej rozsiadł się na fotelu dowodzenia.

- To bardzo zachęcająca perspektywa, „Łotrze Dwa”.

Wedge uświadomił sobie, że ma szeroko otwarte usta, i natychmiast je zamknął. Eskadra Łotrów i Leia? Tu, w przestworzach Folora? Kiedy przed wieloma dniami „Sokół Millenium” przyleciał i odleciał z Hanem na pokładzie, nie towarzyszyli mu piloci Eskadry Łotrów. To wszystko nie miało sensu.

Spojrzał na zestawy danych wyświetlanych na ekranie głównego monitora i informacje, jakie przesuwał po nim Szlaban, jego astromechaniczny robot. Sygnały zaszyfrowano przy użyciu kodu Derra-114, wycofanego z użytku przed wieloma tygodniami, kiedy złamali go specjaliści lorda Zsinja. Posługiwanie się nim było równoznaczne z nadawaniem otwartym tekstem.

Przekazywane przez telekomunikacyjną aparaturę gwiazdnych myśliwców głosy pilotów bywały często zniekształcone i regularnie przerywane trzaskami i szumem. Nie chodziło jednak o to, że Nowej Republiki nie było stać na zakup lepszych komunikatorów. Powodem była tradycja wywodząca się z najwcześniejszego okresu istnienia Sojuszu Rebeliantów. Komunikatory Nowej Republiki ograniczały pasmo przesyłanych sygnałów do najwęższego, przy jakim dawało się zrozumieć głosy i przekazywane dane. Dzięki temu można było przysyłać je w wielu kanałach równocześnie, co utrudniało przeciwnikom ich zakłócanie. Ograniczanie pasma przesyłanych danych miało również dodatkową zaletę, bardzo istotną w czasach, zanim jeszcze Sojusz stał się Nową Republiką: zniekształcenie głosu uniemożliwiała funkcjonariuszom imperialnej służby bezpieczeństwa rozpoznanie ze stuprocentową pewnością wysyłającej osoby. Imperium nie potrafiło więc rozstrzygnąć, kto pilotuje jaki myśliwiec. Co więcej, Wedge był niemal pewien, że kiedy wsłuchiwał się w słowa wypowiedane przez „Łotra Dwa”, słyszał charakterystyczne brzmienie głosu Tainera. Oznaczałoby to, że rzekomy „Sokół Millenium” i piloci eskortujących go myśliwców to w rzeczywistości Kell i trójka jego towarzyszy. Najwyraźniej szykowali wrogowi jakąś niespodziankę.

Z zamyślenia wyrwał go nagle głos Jesmin Ackbar.

- Dowódcu, tu „Dwójka” - odezwała się Kalamarianka. - „Nieubłagany” zmienia kurs.

Rzut oka na ekran monitora sensorów upewnił go, że skrzydłowa się nie pomyliła. Rzeczywiście, imperialny gwiazdny niszczyciel skręcał powoli na zachód, jakby zamierzał się oddalić od miejsca bitwy. Wedge szeroko się uśmiechnął.

- Uwaga, Widma, tu dowódca - powiedział. - Zyskaliśmy trochę czasu. Postarajcie się jak najlepiej go wykorzystać.

Skierował dziób X-winga w stronę miejsca najbardziej zaciętej walki, gdzie przynajmniej dwudziestu pilotów różnych maszyn typu T1E zmagало się z dziesięcioma pilotami Nowej Republiki. Nastawił lasery na strzelanie parami i przyspieszył, żeby jak najszybciej pokonać odległość od pola bitwy.

- Przyłączamy się do walki, „Dwójko” - powiedział. - Możesz strzelać bez rozkazu.

Wsluchując się w jęk przeciążanych silników, zanurkowali w największy gąszcz myśliwców. Strzelali raz po raz, ilekroć kwadraty na ekranach celowniczych monitorów rozbłyskiwały na zielono. Wkrótce w ich kierunku poszybowały zielone błyskawice nieprzyjacielskich strzałów, a jeszcze później wokół nich zaczęły przelatywać czerwone smugi krzyżowego ognia pilotów Nowej Republiki. Na szczęście, Szlaban nie wyświetlił na ekranie głównego monitora informacji o trafieniu czy uszkodzeniu myśliwca Antillesa.

Z głośnika komunikatora cały czas dolatywały podniecone okrzyki, informacje i rozkazy:

- „Niebieski Trzy” dostał i zniknął. Powtarzam, zniknął.

- Niech ktoś zestrzeli tego mynocka z mojego ogona!

- „Widmo Cztery”, tu „Dwunastka”. Zmywaj się stamtąd i to natychmiast. „Trójka”, twój cel powinien się wkrótce znaleźć w zasięgu... teraz!

- „Niebieski Cztery”, tu „Niebieski Trzy”. Jestem tu nadal, a gdzie ty się podziałeś?

- Więc po kim mogła zostać ta chmura szczątków...

W końcu Wedge wyłonił się po przeciwnej stronie gromady gwiazdnych maszyn. Był pewien, że zniszczył jedną gałąź, rozpylił na atomy myśliwiec przechwytyjący T1E i trafił jednego, a może dwóch innych nieprzyjaciół. Obejrzał się i upewnił, czy Jesmin nadal leci obok niego.

- „Dwójka”, tu dowódca - powiedział. - Twój stan?

- Dowódco, trafili mnie - zameldowała Kalamarianka. - Mam poważnie uszkodzone usterzenie.

- Czy twoja jednostka typu R2 da radę usunąć tę usterkę?

- Chyba tak, ale skrzeczy na mnie, żebym nie wykonywała żadnych manewrów - odparła Jesmin. - Twierdzi, że pozrywam ostatnie cięgna, jakie jeszcze ocalały.

Wedge przygryzł wargę. Jeżeli raport Kalamarianki był dokładny, gdyby Jesmin wróciła do walki, prawdopodobnie szybko straciłaby panowanie nad sterami i padła ofiarą pierwszego lepszego pilota myśliwca T1E.

- „Dwójka”, zrezygnuj z dalszej walki - rozkazał. - Wracaj do bazy Folor, ale manewruj tylko silnikami. Czekaj tam w pogotowiu i o wszystkim mi melduj.

- Rozkaz, proszę pana. - Głos Jesmin był zniekształcony, ale przebijała z niego rezygnacja. Wedge bardzo jej współczuł. Z pewnością pilotka obwiniła siebie za to, iż rzekomo zawiodła zaufanie wciąż jeszcze walczących kolegów z eskadry. On także czuł się podobnie przed ośmioma laty, kiedy otrzymał rozkaz zrezygnowania z ataku na pierwszą Gwiazdę Śmierci. Nie miał jednak czasu pocieszać skrzydłowej. Zaczekał, aż Jesmin złączy skrzydła X-winga, zatoczy łagodny łuk i rozpocznie lot w stronę bazy. Dopiero kiedy się upewnił, że nie zagraża jej niebezpieczeństwo, także zatoczył łuk i skierował się ponownie w stronę pola bitwy.

Sensory wskazywały, że jego koledzy zestrzeliwiają raz po raz kolejne myśliwce T1E, zauważył jednak, że uszkodzeniu uległo również kilka X-wingów i maszyn w kształcie klina. Pomyślał, że jeżeli „Borleias” szybko nie wystartuje, Widma i Niebiescy mogą się znaleźć w poważnych

tarapatach.

„Niebieski Dziewięć” i „Dziesięć” lecieli skrzydło w skrzydło... tak precyzyjnie, że Kell mógł im tylko pozazdrościć. Zawsze dotąd uważał, że piloci A-wingów są gorzej wyszkoleni niż piloci X-wingów, bo maszyny w kształcie klina mają mniejszą zdolność manewrowania, ale piloci Eskadry Niebieskich zadawali kłam jego dotychczasowej opinii. Powinien także zmienić zdanie o szkolącym ich generale Crespinie. Nie mógł dłużej uważać go tylko za uprzykrzonego nudziarza... musiał zacząć myśleć o nim także jako o świetnym szkoleniowcu.

Za pilotami obu myśliwców A-wing lecieli „Widmo Pięć” i „Widmo Sześć”... tak powoli, jakby korzystali tylko z pomocy repulsorów, w tempie biegu dorosłego człowieka. Kierowali się dokładnie na północny zachód, ale nie oddalali się od Świńskiego Koryta bardziej niż na kilometr.

W pewnej chwili Kell spojrział na ekran monitora, na którym cały czas widniały dane z zestawów sensorów. Z tak dużej odległości pole walki myśliwców wyglądało jak rojowisko mikroskopijnych iskerek. Wyraźnie widoczny „Nieubłagany” zbliżał się do nich zatrważająco szybko. Prawdę mówiąc, znajdowali się już w zasięgu potężnych dział gwiazdowego niszczyciela... chociaż w walce na tak dużą odległość przeciwko gwiazdnym myśliwcom turbolasery nie były specjalnie skuteczną bronią.

- Patyk, masz jakieś wieści z Folora? - zapytał.

- Zaprzeczam, „Piątka”.

Kell przełączył szyfrator na kod Derra-114 i zwiększył moc wyjściową sygnałów wysyłanych przez pokładowy komunikator.

- Księżniczko, coraz szybciej się do nas zbliżają - powiedział. - Daję pani najwyżej dwie minuty, a później będziemy musieli stąd uciekać.

Wyłączył komunikator i zszedł, aż z odbiornika rozlegnie się błagalny głos „Niebieskiego Dziewięć”:

- Zostań z nami jeszcze jakiś czas, „Łotrze Dwa”. Prawie skończyliśmy.

Kell wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. On i „Niebieski Dziewięć” byli kiepskimi aktorami, ale członkowie załogi „Nieubłaganego” chyba tego nie zauważyli. Pomyślał, że jeżeli przeżyje, poprosi Bużkę o nauczenie go kilku sztuczek, jakie z pewnością musieli znać zawodowi aktorzy.

- „Piątka”, tu „Szóstka” - usłyszał w pewnej chwili. - „Borleias” melduje, że wystartował.

Pstryknął przełącznikiem komunikatora.

- „Sokole”, bardzo mi przykro, ale jesteście odtąd zdani tylko na własne siły - powiedział. - Ładujcie i postarajcie się gdzieś zaszyć. Spotkamy się z wami, uhm, w Nowym Wolnym Czasie.

- Zrozumiałam, „Łotrze Dwa” - usłyszał w odpowiedzi. - Bądź silny w Mocy. „Sokół” przerywa połączenie. Bez odbioru.

Słowa te stanowiły umówiony sygnał rezygnacji z przestarzałego kodu. Kell polecił Trzynastce zmniejszyć moc wyjściową transpondera i ochronnych pól X-winga. Patyk miał postąpić tak samo, dzięki czemu następne wysyłane sygnały powinny mieć moc właściwą dla komunikatorów dwóch X-wingów, a nie dwóch grup takich maszyn. Piloci A-wingów prawdopodobnie wyłączyli program, dzięki czemu energia dostarczana do ochronnych pól ich maszyn przestała ulegać okresowym zmianom. „Niebieski Dziewięć” miał nadzieję, że to właśnie te oscylacje przyciągnęły uwagę załogi „Nieubłaganego”. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, na ekranach monitorów stanowisk sensorów imperialnego niszczyciela miała niedługo zajść niezwykła zmiana. Jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki, rzekomy „Sokół Millenium” i sześć albo osiem eskortujących go X-wingów przeistoczą się w cztery zwyczajne tęponose maszyny.

Wszyscy czterej piloci Nowej Republiki skręcili na bakburkę w kierunku odległego obecnie o pół kilometra Świńskiego Koryta, zanurkowali w głąb rozpadliny i skierowali się ponownie na południowy wschód.

Oficer dowodzący stanowiskiem sensorów gwiazdowego niszczyciela był wyraźnie zdezorientowany.

- Sygnał się zmienił, panie admirale - zameldował. - Uważam, że starają się nas wywieść w pole. Z pewnością zanurkował i w głąb tamtego głębokiego kanionu.

- Pilocie, proszę położyć się na nowy kurs, na południe - rozkazał Trigit. - Kiedy dotrze pan do punktu o współrzędnych... - Posługując się klawiaturą, wpisał dane miejsca, w którym trajektoria ich dalszego lotu miała przeciąć głęboki wąwóz. - Proszę zawisnąć tam nieruchomo. Stanowisko uzbrojenia, przygotować generator promienia ściągającego. Wyciągniemy ich z tamtej rozpadliny jak Gamorreanin morrty.

- Panie admirale, tu stanowisko taktyczne - odezwał się jego dowódca. - Piloci rebelianckich myśliwców rezygnują z dalszej walki i odlatują z pola bitwy. Widzimy także przed nimi inny wielki transportowiec. Wygląda na to, że stara się opuścić grawitacyjną studnię Folora.

- Proszę polecić pilotom myśliwców przechwytyjących, żeby ich ścigali - rozkazał Trigit. - Zestrzeliwać maruderów i obliczyć współrzędne skoku przez nadprzestrzeń, jeżeli mimo wszystko uda się im do niej wskoczyć.

- Panie admirale, nie mamy już ani jednego myśliwca przechwytyjącego - zameldował oficer łącznikowy.

Zaskoczony Trigit uniósł głowę.

- Chwileczkę... - powiedział. - Jeszcze jeden wielki transportowiec?

- Tak jest, panie admirale.

Trigit poczuł, że w jego żołądku utkwiał wielki kamień.

- Pilocie, proszę zwiększyć prędkość - rozkazał. - Zależy mi, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się nad tym wąwozem.

- Przyspieszam, panie admirale.

W odbiornikach komunikatorów rozległ się głos Jansona:

- „Borleias” melduje, że pomyślnie wystartował i w ciągu kilku następnych minut wskoczy do nadprzestrzeni.

Chwilę później z głośnika wydobył się głos Crespina. Wedge z zadowoleniem stwierdził, że podstarzały generał wciąż żyje.

- Eskadro Niebieskich, Eskadro Widm, oderwać się od nieprzyjaciół i przegrupować. Spotkamy się ponownie w Punkcie Zbornym Jeden.

- Dowódco Niebieskich, tu dowódca Widm - powiedział Antilles. Potwierdzam. Wszystkiego najlepszego. - Przeleciał przez największy gąszcz zwijających się jak w ukropie gwiazdnych maszyn i zaczął zataczać szeroki łuk. - Uwaga, Widma, słyszeliście rozkaz generała. Przerwać walkę i utworzyć szyk za moim myśliwcem.

Piloci ocalałych maszyn typu T1E, z których pozostała już tylko połowa, musieli się zorientować, że nie mogą liczyć na wsparcie systemów uzbrojenia „Nieubłaganego”, bo pozwolili im odlecieć... wszyscy z wyjątkiem dwóch nadgorliwych pilotów gał, którzy puścili się za nimi w pościg, ale

zostali niemal natychmiast rozpyleni na atomy przez Jansona i Prosiaka.

Wedge zaczekał, aż piloci Eskadry Widm utworzą szyk zamfą jego X-winga, i skierował się na południe, w stronę bazy.

- „Widmo Pięć”, „Widmo Sześć”, czy mnie zrozumieliście? - zapytał.

- Zrozumieliśmy, dowódco - usłyszał w odpowiedzi. - Dołączamy do was, ale jesteśmy zbyt zajęci, żeby obliczyć i podać chociaż przybliżony czas do spotkania.

„Nieubłagany” zastopował dokładnie nad rozpadliną i skierował w głąb wąwozu główny promień ściągający.

Niemal natychmiast odezwał się dowódca stanowiska sensorów:

- Tą geologiczną formacją nadlatują cztery jednostki, ale to nie jest cel Folor-Trzy - zameldował.

Trigit zmarszczył brwi.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał. - Kim są?

- To dwa myśliwce typu A-wing i dwa X-wingi, panie admirale. Nie ma pośród nich koreliańskiego frachtowca typu YT-1300.

Nie ma „Sokoła Millenium”. Trigit zamknął oczy. Dwa razy. Nieprzyjaciele ośmieszyli go dwukrotnie tego samego dnia. Nawet jego dzieciom, chociaż tak błyskotliwym i przewrotnym, nie udało się nigdy dokonać takiej sztuki. Potarł czoło, jakby chciał usunąć ból, jaki nagle zagnieździł się w jego głowie.

- Wyłączyć generator promienia ściągającego - powiedział miękko. Nastawić lasery na bombardowanie pełną mocą. Chcę, żeby zginęli.

Kell przerwał połączenie na krótko, zanim „Nieubłagany” zawisnął niemal bezpośrednio nad Świńskim Korytem. Z luf stanowisk artylerii gwiazdowego niszczyciela runęły w dół słupy śmiercionośnego ognia.

Pierwszy trafił w skalną ścianę w odległości niespełna stu metrów przed zwiadowcami. Wypełnił rozpadlinę i niebo oślepiającym światłem i stopionymi odłamkami skały. Reagując instynktownie, Kell zboczył z kursu, żeby prześlizgnąć się z prawej strony kolumny blasku. Musiał pilotować myśliwiec na pamięć, bo nie widział nic oprócz światła, a wizualne sensory nie na wiele przydawały się w takiej sytuacji. Kiedy ominął rejon pierwszego strzału, omal nie nadział się na następny. Kamienne okruchy zagrzechotały o owiewkę kabiny i odbiły się od burty X-winga.

- „Szóstka”, mamy kłopoty - powiedział.

- „Piątka”, wychodzę na prowadzenie - usłyszał dziwacznie zniekształcony głos Patyka. Nie był uprzejmy, jak zazwyczaj podczas towarzyskiej rozmowy, nie był to także trudny do zrozumienia bojowy okrzyk umysłu jego pilota, który starałby się pokazać z jak najlepszej strony.

Kell wyczuł raczej, niż zobaczył, że skrzydłowy go wyprzedza. Jak mógł się spodziewać, nie dostrzegł go także na ekranie monitora sensorów.

- Niebiescy, podążajcie za mną - usłyszał z głośnika komunikatora. - To będzie jak spacer.

Posłusznie zajął pozycję obok skrzydeł myśliwca Patyka. Ilekroć wylatywał z jednej chmury szczątków i skalnych okruchów, zaraz wpadał w następną. Od kadłuba tęponosego myśliwca odbijały się z grzechotem odłamki skały, a obłoki raptownie rozprzestrzeniających się gazów, które nieco wcześniej były lodem albo litą skałą, raz po raz spychały myśliwiec z kursu i kołysały nim z burty na burtę. Starając się wiernie powtarzać każdy manewr Patyka, jakimś cudem zdołał uniknąć rozerwania na kawałki albo roztrzaskania myśliwca o skalną ścianę.

W końcu wszyscy czworo pokonali ostry zakręt w prawo i opuścili rejon bombardowania.

Wprawdzie w powierzchnię księżycy nad ich głowami trafiały jeszcze turbolaserowe strzały o średnicy gwiazdnego myśliwca, ale żaden słup ognia nie docierał w głąb rozpadliny. Patyk obniżył pułap lotu. Leciał obecnie zaledwie kilka metrów nad dnem wąwozu i ograniczył prędkość z szaleńczej do prawie szaleńczej.

- Dobra robota, „Szóstko” - pochwalił go Tainer. - Kto tym razem przejął kontrolę nad twoim umysłem?

- Student - odparł zwięźle Patyk. - Ktoś, kto zapamiętuje... kto przygotowuje się do egzaminów.

- Powiedz mu, że właśnie uzyskał najlepszy wynik. - Kell polecił wyświetlić na ekranie głównego monitora stan urządzeń i podzespołów tęponosego myśliwca. Maszyna miała nieznacznie uszkodzone oba bakburtowe płyty nośne i powolny, naprawdę niegroźny spadek ciśnienia w kabynie pilota.

- „Niebieski Dziewięć”, „Niebieski Dziesięć”, meldujcie stan - rozkazał.

- Jesteśmy jak przepuszczeni przez wyżymaczkę albo przeżuci i wypluci, „Widmo Pięć” - usłyszał w odpowiedzi. - Zdołamy jednak o własnych siłach dołączyć do reszty eskadry.

- To dobrze - odparł Tainer. - Jesteśmy tak daleko od „Nieubłaganego”, że chyba możemy zaoszczędzić trochę paliwa, wyskoczyć ze Świńskiego Koryta i polecieć do domu najkrótszą drogą. Co wy na to?

- Bardzo nam to odpowiada.

Kell stwierdził, że jego ręce drżą, a serce wali niczym perkusista w bęben twi'lekańskiej orkiestry wojskowej. Właśnie wywiódł w pole dowódcę imperialnego gwiazdnego niszczyciela i przeżył próbę wywarcia przez niego zemsty... A to była okazja godna świętowania.

Zanim wylecieli z rozpadliny, przełączył komunikator na kanał używany przez Imperium.

- Wzywam „Nieubłaganego” - odezwał się jawnym tekstem. Właśnie padliście ofiarami pilotów Eskadry Kolacyjnej.

Niemal natychmiast z odbiornika komunikatora wydobył się głos Patyka:

- I pilotów Eskadry Głupków.

- Możecie uważać się za ośmieszonych - ciągnął Tainer. - Aha, i witajcie na Folorze. Bez odbioru.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy w końcu Kell i Patyk dołączyli do pozostałych Widm, piloci dziesięciu X-wingów i przydzielonego eskadry wahadłowca klasy Lambda, „Narry”, formowali właśnie szyk i przygotowywali się do odlotu. Spóźnialscy zajęli miejsca obok Phanana i Bużki. Dopiero wtedy Wedge rozkazał przyspieszyć i podał parametry kursu, jakim mieli opuścić przestworza Folora.

Po krótkiej ciszy z odbiornika komunikatora wydobył się ponownie głos dowódcy:

- Uwaga, Widma, z przyjemnością informuję, że nie ponieśliśmy żadnych strat - zaczął. - Tylko Ton Phanan odniósł niewielką ranę, ale na szczęście zajmuje się nim nasz lekarz. Myśliwce wszystkich zostały lekko uszkodzone, ale nadają się do dalszego lotu. Jak na pierwszą potyczkę z wrogiem przewyższającym nas pod każdym względem, udowodniliście, że jesteście błyskotliwymi pilotami.

- Dowódco, tu „Ósemka” - odezwał się Bużka. - Jak poradzili sobie piloci Eskadry Niebieskich?

- Nie najlepiej, „Ósemko” - odparł Antilles. - Pięciu zginęło, a pozostali mają poważnie uszkodzone myśliwce. Jeżeli chodzi o ciebie, zestrzeliłeś dwóch, co daje ci łącznie sześciu. Jesteś prawdziwym asem, Loran.

- Czy przysługuje mi za to jakaś nagroda? - zainteresował się Garik.

- Nie, ale ktoś może postawić ci kolejkę - odparł Wedge. - Chciałbym także pochwalić „Widmo Pięć” i „Widmo Sześć” za niezwykle pomysł odciążenia od nas „Nieubłaganego”...

- Dziękujemy, panie komandorze! - odezwał się natychmiast Tainer.

- Uciszyć się, „Piątko”! - ciągnął Antilles. - Chcę także dodać, że zastanawiam się, czy nie postawić was obu do raportu za ten numer z transmisją otwartym tekstem do dowódcy „Nieubłaganego”. Co sobie wyobrażaliście?

- Hm... Chyba nic, proszę pana - wyznał Kell. - Po prostu poczułem przyływ adrenaliny z radości, że przeżyłem.

- No cóż, spodziewam się, że szybko przyjdiesz do siebie - powiedział Wedge. - A co do nagrody i kary... przygotowałem dla ciebie medal, ale chyba przybiję ci go młotkiem do głowy.

- Dziękuję, panie komandorze - odparł Tainer. - Uhm... właściwie kto pilotuje „Narry”?

Do rozmowy przyłączył się szef mechaników.

- Tu Cubber, „Piątko” - powiedział. - Jest ze mną także Skrzypek.

- A to mi o czymś przypomina - ciągnął dowódca. - Widma, musicie wiedzieć, że zamiast wejść na pokład pierwszego transportowca, jaki zdołał odlecieć z bazy, Skrzypek przeszukał wasze kwatery i szafki w szatni. Zabrał wszystko, co może przedstawiać dla was jakąś wartość, a zwłaszcza przedmioty osobistego użytku. Znajdują się teraz na pokładzie „Narry”.

Z głośnika komunikatora wydobył się chór podziękowań, gwizdów i radosnych okrzyków.

- Zapewniam was, że działałem tylko w najlepiej pojętym własnym interesie - odezwał się protokolarny android. - Gdybym tego nie zrobił, zasypalibyście mnie lawiną próśb o dostarczenie rzeczy osobistych, które zapomnieliście zabrać z Folora, a jestem zbyt zajęty, żeby się zajmować takimi błahostkami.

- Dowódcu, tu „Piątka” - odezwał się Kell. - Dokąd właściwie lecimy?

Folor za rufami X-wingów skurczył się i wyglądał jak srebrzystoszara tarcza wielkości małej monety. Lecieli kursem, który miał im pozwolić zatoczyć szeroki łuk za kulą Commenora.

- Jak poprzednio, w kierunku Zacisza - odparł Antilles. - Przeprowadzimy te same ćwiczenia z nawigacji, których nie zdołaliśmy dokończyć z powodu ataku nieprzyjaciół. Dopiero tam dołączymy do pozostałych osób ewakuowanych z bazy Folor.

- Też tam lecą? - zdziwił się Tainer. - Co za niezwykły zbieg okoliczności!

- To żaden zbieg okoliczności, „Piątka” - stwierdził komandor. - Zanim poinformowałem generała Crespina o zbliżaniu się „Nieubłaganego”, zameldowałem mu o naszych ćwiczeniach. Wspomniałem także, że Zacisze to dobre miejsce, gdyby kiedykolwiek trzeba było się przegrupować. Pozostali pokonają tę odległość jednym skokiem, my zaś przeprowadzimy ćwiczenia, bo przyda się nam trochę więcej wprawy. A to mi przypomina, że jeszcze nie złożyliście mi meldunków o zapasach paliwa swoich X-wingów.

Ze złośliwym grymasem na twarzy, wyraźnie widocznym nawet na migoczącym hologramie, wizerunek lorda Zsinja uśmiechnął się do Trigita.

- No i jak? - zapytał.

Admirał nawet nie usiłował ukryć ponurego nastroju.

- Mam dla pana zarówno dobre, jak i złe wieści - powiedział. Zacznę od dobrych. Baza na Folorze przestała istnieć. Zbombardowałem ją wystarczająco starannie, żeby Rebeliantom nie opłacało się jej już nigdy odbudowywać.

- To świetnie! - pochwalił go Zsinj. - A niepomyślne wiadomości?

- Lecąc tam, natknęliśmy się na nieoczekiwany zwiad, dzięki czemu Rebelianci zostali ostrzeżeni. Zorganizowali błyskotliwą obronę i zdołali ewakuować personel bazy właściwie bez strat w sprzęcie czy w ludziach. W przeciwieństwie do nich my ponieśliśmy poważne straty. Zniszczeniu uległo dwadzieścia sześć różnych maszyn typu T1E, a jedenaście innych zostało tak poważnie uszkodzonych, że trzeba było je wycofać z dalszej walki. Nieco wcześniej przesłałem panu prośbę o uzupełnienia.

- Apwarze, Apwarze! - Zsinj pokręcił głową. - Dałeś się tak łatwo wywieść w pole, a teraz oczekujesz, że uzupełnię twoje straty?

- Oczywiście! - odparł Trigit. - Ilekroć odnoszę dla pana cenne zwycięstwa, nie staram się o dodatkowe zaopatrzenie, a kiedy od czasu do czasu mi się nie powiedzie, proszę tylko o uzupełnienie strat. Uważam, że nie powinien pan narzekać. - Trigit pozwolił w końcu, żeby na jego twarzy zagościł lekki uśmiech. - A poza tym - podjął po chwili - przedsięwziąłem pewne kroki, żeby wysledzić i schwytać wszystkich, którym udało się ewakuować z Fondora. Jeżeli dopisze mi szczęście, w najbliższym okresie będę miał dla pana znacznie bardziej pomyślne wieści.

Zsinj westchnął, a po hologramie przemknęły zmarszczki zakłóceń.

- Niech będzie - powiedział. - Dam ci znać, kiedy będziesz się mógł zgłosić po sprzęt i ludzi. A tymczasem, nie przestawaj mnie...

- ...o wszystkim informować - podchwycił Trigit. - Jak zawsze, lordzie.

Zsinj obdarzył go lodowatym uśmiechem i hologram się rozplątał.

Zanim dokonali skoku do nadprzestrzeni, Wedge przełączył komunikator na osobisty kanał, żeby porozmawiać z Jansonem.

- Wes? - zagadnął.

- Słyszę cię.

- Co właściwie wyprawiał Prosiak podczas bitwy?

- Nie bardzo wiem, jak to określić - odparł zastępca. - Wygląda na to, że zachowywał się jak taktyczny komputer. Oprócz tego, że latał i strzelał jak pozostali, a nawet rozwalił jeden myśliwiec przechwytyjący T1E, chyba także śledził poczynania wszystkich Widm i ich bezpośrednich przeciwników. W krytycznych chwilach zgłosił kilka propozycji, dzięki którym zdołaliśmy zestrzelić wiele maszyn. Gdyby nie jego sugestie, nie moglibyśmy nawet o tym marzyć.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek potrafił robić coś takiego - stwierdził Antilles.

- No cóż, Prosiak nie jest zwykłym człowiekiem - odparł Janson. Prawdę mówiąc, nie jest nawet zwyczajnym Gamorreaninem.

- Jak oceniasz ogólną sprawność eskadry?

- Nie są aż tak dobrzy jak piloci Eskadry Łotrów, odkąd ją zreorganizowałeś - odparł Janson. - Ale i tak są bardzo sprawni. Dlaczego chcesz znać moje zdanie?

- Są po prostu... inni - odparł Wedge. - Jeżeli wyda się im zwykle instrukcje, wykonają je w zwyczajny sposób, jeśli jednak tylko poda się im cel i nie sprecyzuje wskazówek, osiągną go w niezwykły sposób. Przypomnij sobie choćby tę sztuczkę z fałszywym "Sokołem Millenium", zachowanie Prosiaka podczas walki czy wyciągnięcie informacji z baz danych planetarnej sieci komputerowej Commenora. Czasami nie wiem, czego się po nich spodziewać.

- Hej, przecież sam ich wybierałeś - przypomniał Janson.

- Ja? Ja ich wybierałem? - zapytał zdumiony Antilles. - Sam? A ty nie miałeś w tym udziału? Co robiłeś, kiedy ich przesłuchiwałeś?

- Drzemałem - wyjaśnił zastępca. - I marzyłem.

- Zdrajca. - Antilles wyłączył mikrofon komunikatora, żeby przesłać trzask oznaczający koniec rozmowy, przełączył nadajnik na częstotliwość eskadry i ponownie włączył mikrofon. - Uwaga, Widma powiedział. - Do skoku zostało już tylko trzydzieści sekund.

W ciągu pierwszego z trzech długich etapów, które miały pozwolić pilotom Widm dotrzeć w przestworza Zacisza, Kell starał się zmusić do zachowania spokoju, odprężenia się i rozluźnienia mięśni.

Trudno mu jednak było opanować uniesienie. Oto wziął udział w pierwszej prawdziwej bitwie jako pilot gwiazdnego myśliwca i chociaż właściwie ani razu nie wystrzelił do nieprzyjaciół, wymyślił taktykę, która pomogła ocalić „Borleias” przed zagładą i uchronić niektórych kolegów z Eskadry Widm od śmierci, jaka im groziła, gdyby do walki po stronie wroga przyłączył się „Nieubłagany”.

Wyglądało na to, że jego postępowanie wywarło wrażenie na dowódcy... a przynajmniej wprowało go w większy podziw niż irytację.

Pierwszy skok okazał się jednak na tyle długi, że nie mógł cały czas napawać się odniesionym zwycięstwem. Musiał się zastanowić nad swoim uczuciem do Tyrii.

Jak mógłby ją przekonać, że nie doceniła jego miłości? Może powinien zacząć od tego, że każdego dnia będzie rozmyślał o niej coraz dłużej. Pozwoliłoby mu to odeprzeć zarzut, że nie kocha jej, bo o niej nie myśli... ale co jeszcze mógł i powinien zrobić?

Usiłował przeanalizować problem z kilkunastu możliwych logicznych stron. Wreszcie w głębi jego umysłu pojawiła się odpowiedź... ale nieoczekiwana i nieprzyjemna. Nie dawała mu spokoju i w końcu przebiła się na powierzchnię. Odepchnęła inne myśli i zmusiła go, żeby poświęcił jej całą

uwagę.

Tyria się nie pomyliła. Miała rację. Prawda wygląda tak, że jej nie kochasz.

Kell zmarszczył brwi. Ciekaw był, do kogo należy zdradziecki głos, który pojawił się w jego głowie.

Kim jesteś? Jeszcze jednym zabląkanym umysłem Patyka?

Nie kochasz jej. To uczucie nie jest równie silne jak to, jakim darzyłeś Tuatarę Lone, kiedy miałeś piętnaście lat.

Tuatarę Lone była aktorką, którą Kell poznał, kiedy jeszcze przebywał na Sluis Vanie... niewysoką, zgrabną i tak piękną, że zakochał się w niej na zabój. Szczególnie lubiła grać role postrzelonych dziewcząt albo wścibskich policjantek, które prowadziły dochodzenia w trudnych sprawach i umiały znaleźć sprytne wyjście z najtrudniejszej sytuacji. Kell kochał się w niej trzy lata. Był nią oczarowany. Wielokrotnie oglądał jej komedie i dramaty, nocami rozmyślał o jej urodzie, a nawet wyobrażał sobie sytuacje, w których ratuje jej życie, wybawia ją z kłopotów albo rozwiązuje problem zagrażający jej szczęściu.

Dopiero po trzech latach poznał całą prawdę. Tuatarę była nie tylko wyjątkowo szczęśliwą żoną, ale miała dwoje dzieci i spodziewała się trzeciego. Kell poczuł się, jakby odpadł z wyścigu, w którym nawet nie brał oficjalnego udziału. Był zdruzgotany. Zamknął się w sobie, nie wychodził z domu i omal nie stracił pracy mechanika. Dopiero kiedy wstąpił do sił zbrojnych Nowej Republiki, przestał mieć czas na cokolwiek oprócz pracy i snu, dzięki czemu zdołał zapomnieć o bólu.

Obecnie, kiedy wspomnienie urodziwej Tuatary Lone wróciło z całą siłą, oczami wyobraźni ujrzał ją stojącą obok Tyrii i uświadomił sobie całą prawdę... tak wyraziście, jak nigdy przedtem. Nie kochał ani jednej, ani drugiej. W rzeczywistości durzył się tylko w ich hologramach. Darzył głębokim uczuciem wizerunki, którym daleko było do prawdziwych kobiet.

Tyria miała rację. Wcale jej nie kochasz.

Wiem. Zamknij się. Zostaw mnie w spokoju.

Kell westchnął z rezygnacją.

Nagle usłyszał cichy świergot Trzynastki. Ocknął się z bolesnej zadumy i zobaczył, że cyferki chronometru na ekranie głównego monitora pokazują już tylko jedną standardową minutę. Tyle czasu zostało do niezamieszkanego planety Xobome Sześć, która miały być pierwszym przystankiem na drodze do Zacisza. Powiódł spojrzeniem po otaczających myśliwiec przestworzach, ale zobaczył tylko normalny widok, jaki towarzyszył każdemu skokowi. Leciał korytarzem pełnym świetlnych wzorów mijających go niczym w wiekuistym, pięknym tańcu. Wszystko wskazywało, że lot przebiega prawidłowo, a paliwa miał dość na dwa następne etapy lotu do przestworzy Zacisza... ale niewiele więcej.

Kiedy do końca skoku zostało już tylko dwadzieścia sekund, gwiazdy przemieniły się w wydłużone kolumny światła. Ciągnęły się bez końca niczym miliony laserowych błyskawic, aby w końcu przerodzić się w usianą tysiącami nieruchomych iskierek panoramę normalnych przestworzy. Niemal natychmiast pojawiła się oślepiająca jasność.

Światelka na pulpitych i panelach kontrolnych przyrządów zgasły, a dziobowy iluminator ściemniał. Kadłub tęponosego myśliwca zakołysał się, jakby poraził go błysk oślepiającego światła. Z głównego monitora trysnął snop iskierek, które wylądowały na nogawkach lotniczego kombinezonu. Długo nie gasły, aż Kell zaczął się obawiać, czy jego spodnie nie staną w ogniu. W kabinie pojawiło się więcej dymu, niż mogłyby spowodować same iskry. Pilot zaklął pod nosem i zaczął się klepać po

nogach, gdzie płonęły ostatnie iskry. Po chwili płyta dziobowego iluminatora znów stała się przezroczysta i przestworza za owiewką kabiny przybrały normalny wygląd... jeżeli nie liczyć jednej gwiazdy, płonącej wyraźnie jaśniej niż pozostałe. Jeśli to był naprawdę system, do którego zmierzali, musiała to być Xobome, ale piloci Eskadry Widm wyskoczyli daleko przed zamierzonym punktem docelowym. Kell omiótł spojrzeniem przestworza wokół swojego myśliwca i w odległości mniej więcej kilometra od sterburty zauważył jeszcze jeden dryfujący powoli czteroskrzydłowiec. Nie rozpoznał pilota, ale skoro to była najbliższa tęponosa maszyna, zapewne pilotował ją Patyk.

Światelka kontrolnych przyrządów wciąż jednak się nie paliły; Kell nie słyszał także cichego pomruku systemów podtrzymywania życia. Obejrzał się i zauważył, że na korpusie Trzynastki zapalają się i szybko gasną różne światła. Wyglądało na to, że astromechaniczny robot jest w połowie procedury przywracającej funkcjonowanie.

Kell ściągnął rękawice, sięgnął pod panel z przyrządami, zwolnił zatrzaski i odchylił pulpit do góry. To właśnie spod niego wydobywała się znaczna część unoszącego się w kabynie dymu. Zobaczył kilka zwęglonych kabli i przysmażonych mikromodułów w miejscu, gdzie znajdowały się delikatne obwody diagnostyczne.

Przewody i obwody umożliwiające dokonanie procedury ponownego włączenia pokładowych systemów i podzespołów sprawiały jednak wrażenie nieuszkodzonych, więc Kell opuścił panel i przytwierdził go na poprzednim miejscu. Obrócił się w lewo i wyciągnął rękę, żeby odchylić płytę czołową niewielkiego, niewinnie wyglądającego panelu. Przycisnął umieszczony tam czerwony guzik. Trzymał go tak długo, aż usłyszał znajomy skowyt budzących się do życia urządzeń X-winga.

Odwrócił się i od razu spostrzegł, że na monitorze pojawiła się informacja: R2-D6 09 MELDUJE GOTOWOŚĆ. CZYM MOGĘ SŁUŻYĆ?

Kell zmarszczył brwi.

- R2-D609, jak się nazywasz? - zapytał.

W odpowiedzi usłyszał serię irytujących pisków, jakby astromechaniczny robot poczuł się urażony dziecinnie łatwym testem. NAZYWAM SIĘ R2-D609, pojawiło się na ekranie. Czy możesz mi podać jakąkolwiek losowo wybraną liczbę? TRZYNAŚCIE.

- Niech to zarażał - mruknął Tainer. Odgadł, że tymczasowa pamięć Trzynastki uległa skasowaniu, a robot znów korzysta z wadliwie zaprogramowanej pamięci zapisanej na stałe w swoich mikroobwodach. Domyślił się, że musiała ich trafić jonizacyjna bomba. Nawet mógłby się o to założyć. Z dotychczasowego doświadczenia wiedział, że tylko działa jonowe mogły w podobny sposób zakłócić działanie elektronicznych urządzeń tęponosego myśliwca, jednak to, co ich trafiło, musiało być o wiele potężniejsze. Zwyczajne jonowe działa nie dysponowały taką mocą, aby przedwcześnie wyrwać gwiazdne statki z nadprzestrzeni i sprowadzać je do normalnych przestworzy.

W końcu zapaliły się światelka na pulpicie komunikatora i Kell usłyszał podniecone głosy:

- ...po prostu dryfuję. Zdołałem uruchomić jeden silnik. Postaram się podlecieć do niego i przekonać, co się stało.

- Zrób tak, „Trójko”. Czy ktoś jeszcze mnie słyszy? Kell pstryknął włącznikiem mikrofonu.

- Tu „Piątka” - zameldował. - Jestem mniej więcej w połowie procedury zimnego startu.

- Tu „Czwórka”.

- Tu „Jedenastka”.

W końcu z odbiornika komunikatora wydobyło się coś w rodzaju zwierzęcego pomruku.

- „Dwunastka”, tu „Jedenastka” - odezwał się Janson. - Czy to było ty?

Rozległ się kolejny pomruk.

- Prosiaku, czy twój translator uległ uszkodzeniu? - ciągnął zastępca dowódcy. - Mruknij raz, jeżeli tak, a dwa, jeśli nie.

Znów pomruk, tym razem krótki i jakby poirytowany.

- Nie jesteś ranny? Nie masz uszkodzonego gardła? Dwa krótkie pomruki.

- To dobrze. Zostań na nasłuchu.

- Panie komandorze?

- Tu dowódca - odparł Wedge. - Kto mówi?

- Proszę pana, Błyszczyc nie odpowiada.

Błyszczyc był astromechanicznym robotem typu R2 na X-wingu Donosa.

- „Dziewiątka”, czy to ty? - zapytał Antilles.

- Panie komandorze, Błyszczyc nie odpowiada.

- Zrozumiałem cię, „Dziewiątka”. Czy jesteś ranny?

- Nie, panie komandorze, ale Błyszczyc...

- ...nie odpowiada - dokończył Wedge. - Rozumiem. Na razie nie możemy nic na to poradzić.

- Tak jest, proszę pana.

Kell zmarszczył brwi. Donos zachowywał się, jakby nie był sobą. Sprawiał wrażenie oszołomionego albo rannego.

W ciągu następnych kilkunastu minut zgłosiły się pozostałe Widma... wszystkie z wyjątkiem Patyka. Phanana i Młynka. Większość meldowała o uszkodzeniach elektronicznych obwodów i urządzeń. Niektóre wyglądały na błahe, ale kilka jednostek napędowych i astromechanicznych robotów nie chciało się obudzić do życia.

Wszyscy zgłosili utratę zapisanych w elektronicznych pamięciach informacji... począwszy od konfiguracji podzespołów X-wingów, przez bazy danych astromechanicznych robotów, a skończywszy na zawartości pamięci osobistych notatników pilotów czy chronometrów. Z pamięci nawigacyjnych komputerów zniknęły zestawy współrzędnych, które miały pozwolić Widmom dotrzeć do przestworzy Zacisza; niemożliwy okazał się także powrót do systemu Commenora.

Wedge zastanawiał się intensywnie nad możliwym wyjściem z trudnej sytuacji. Piloci nie mogli wyruszyć na poszukiwania innego systemu, żeby bezpiecznie wylądować, bo nie mieli na to dość paliwa. W zbiornikach myśliwców zostało go tylko tyle, żeby wystarczyło na przelot do Zacisza.

Prawie pełne były natomiast ogromne zbiorniki paliwa „Narry”. Widma mogły spróbować wymyślić sposób przekazania paliwa między zbiornikami wahadłowca a X-wingiem, ale zajęłoby to wiele godzin. Wedge podejrzewał, że zaraz po niespodziewanej napaści nastąpi pościg nieprzyjaciół, więc takie rozwiązanie skazywało wszystkich na pewną zagładę.

Mógłby także wydać rozkaz, żeby załoga „Narry” wyrzuciła ładunek w przestworza i przyjęła na pokład pilotów Widm. Gdyby skakali od systemu do systemu, zapewne wcześniej czy później zdobyliby gdzieś wiarygodne zestawy nawigacyjnych danych i znaleźli bezpieczną kryjówkę. Musieliby jednak porzucić w przestworzach dwanaście X-wingów, z czego osiem prawie nowych. Prawdopodobnie oznaczałoby to wyrok śmierci dla całej eskadry.

Załoga „Narry” mogłaby także, posługując się pokładowym generatorem promienia ściąągającego, przetransportować uszkodzone myśliwce w bezpieczne miejsce, żeby poddać je niezbędnym naprawom. Niestety, oznaczałoby to tak duży wydatek energii i zużycie zapasów paliwa

wahadłowca, że ucieczka w bezpieczne miejsce stałaby się niemożliwa. Wedge wiedział jednak, że w takiej sytuacji eskadra pozostałaby zdolna do lotu i prawdopodobnie zdołałaby odeprzeć atak ścigających ją wrogów.

- No dobrze, Widma - odezwał się w końcu. - „Dwójka” melduje, że w niewielkiej odległości widzi planetę z krążącymi wokół niej satelitami. Jestem prawie pewien, że to Xobome Sześć, najbardziej oddalona od słońca planeta systemu. Ma wystarczająco ciepłą atmosferę, żebyśmy mogli tam dokonać przynajmniej najważniejszych napraw. Ma także pierścień asteroid, który może się nam bardzo przydać, gdyby ktoś chciał nas zaatakować, a założę się o belkę za Endor, że pościg już jest w drodze. Zaczekamy tam, aż załoga „Narry” przyholuje wszystkie trzy poważnie uszkodzone X-wingi, posługując się promieniem do ściągania z przestworzy pilotów zestrzelonych maszyn.

- To będzie trwało dość długo i zmusi nas do zużycia sporej części zasobów energii, dowódco - odezwał się Janson.

- Wiem...Jedenastko”, ale jeżeli chcemy, żeby nasza eskadra nadal istniała jako całość, nie mamy innego wyjścia - odparł Antilles. - Kiedy tam wylądujemy, zajmiemy się naprawami. Zaczniemy od tych myśliwców, które zostały najpoważniej uszkodzone. To oznacza... „Piątka”, jak tam twój próżniowy skafander? Wytrzymasz kilka sekund w idealnej próżni, aż zdołamy cię przyciągnąć do awaryjnej śluzy wahadłowca?

- Diagnostyka mojego skafandra uległa uszkodzeniu, proszę pana, ale sam strój chyba jest szczelny - zameldował Tainer.

- To dobrze - podjął Antilles. - Na szczęście Cubber zabrał na pokład wahadłowca kilka próżniowych skafandrów roboczych. Włóżcie je i spróbujecie naprawić co się da. Prawdopodobnie niedługo pojawią się tu nasi prześladowcy, więc pracujcie bardzo szybko i nie zwracajcie uwagi na bałagan. Wszyscy z wyjątkiem „Czwórki”, „Szóstki” i „Siódemki” mają lecieć na Xobome Sześć, wylądować i naprawić X-wingi we własnym zakresie. Na orbicie pozostanie tylko „Piątka”. Ja będę w pobliżu najbardziej uszkodzonych X-wingów i dopilnuję, żeby załoga „Narry” ściągnęła je na powierzchnię, jeden po drugim. Wykonać.

Kell, którego myśliwiec miał sprawne wszystkie cztery silniki, przyspieszył i zajął pozycję z boku i trochę za rufą „Dwunastki”. Dzielili ich spora odległość, ale rozpoznawał przez owiewkę kabiny profil Prosiaka.

- Pirotechniku?

Kell usiadł prosto, jakby coś go użądliło. Przydomek ten zdobył podczas służby w oddziale komandosów. Tylko jedna osoba mogła się zwracać do niego w taki sposób, zamiast używać oficjalnego zwrotu „Widmo Pięć”. Rzut oka na płytę czołową komunikatora upewnił go, że to osobisty kanał dowódcy Eskadry Widm.

- Słucham, Kontrolo - powiedział.

- Jak sądzisz, co nas trafiło? - zapytał Antilles.

- Jeszcze o niczym podobnym nie słyszałem - przyznał Tainer. Sądzę jednak, że zdołałbym skonstruować takie urządzenie... chociaż kosztowałoby tyle, że wolałbym złożyć te pieniądze w banku i utrzymywać się z odsetek do końca życia.

- Postaraj się je opisać.

- Musiałbym mieć cztery podstawowe składniki - zaczął Kell. Nie, pięć. Po pierwsze, standardowy emiter strumienia jonów, prawdopodobnie nastawiony na pojedynczy wybuch zamiast wielokrotnych strzałów. Po drugie, generator impulsów elektromagnetycznych, które byłyby

skierowane w ten sam rejon przestworzy. Po trzecie, sieć czujników umożliwiających wykrywanie nadprzestrzennych anomalii... podobnych do tych, jakie wywołują wskakujące do normalnych przestworzy gwiazdne statki. Po czwarte, generator impulsów grawitacyjnych, podobny do tych, jakie instaluje się na pokładach imperialnych okrętów klasy Interdyktor, i po piąte, aparaturę telekomunikacyjną... prawdopodobnie nadajnik umożliwiający przesłanie tylko jednego sygnału przez nadprzestrzeń. Urządzenie, które w chwili detonacji wysłałoby pojedynczy sygnał alarmowy.

- Więc chodzi ci o coś w rodzaju bomby, która wykrywa obiekty lecące w nadprzestrzeni, ale w pobliżu jakiegoś gwiazdnego systemu wysyła grawitacyjne impulsy, żeby przedwcześnie je stamtąd wyrwać, i równocześnie poraża je dwoma impulsami, jonowym i elektromagnetycznym - stwierdził Antilles. - Mam rację?

- Mniej więcej tak to sobie wyobrażam - przyznał Kell.

- Nie wierzę, żeby takie urządzenie mogło okazać się skuteczne odparł sceptycznym tonem Wedge. - Spadek energii byłby tak duży, że urządzenie nie działałoby niezawodnie. Co się stanie, jeżeli ktoś przyleci do systemu, a ta bomba będzie na niego czekała po przeciwnej stronie? Eksplozja nie wyrządzi mu najmniejszej krzywdy.

- Zastanawiałem się trochę nad tym, proszę pana - oznajmił Tainer. - Starałem się myśleć jak ktoś podkładający bomby, a nie specjalista od instalowania ładunków wybuchowych. Z doświadczenia wiem, że bomby zostawia się w miejscach, w których istnieje największe prawdopodobieństwo pojawienia się celu.

- Wyjaśnij, co masz na myśli - zażądał Antilles.

Prosto na kursie i trochę w górze pojawiła się pośród gwiazd iskierka Xobome Sześć i zaczęła powoli rosnać.

- Panie komandorze, większość nadprzestrzennych szlaków wytycza się między punktem startowym a ośrodkiem systemu, w którym chce się wyskoczyć... to znaczy jego słońcem - zaczął Kell. - To proste i bezpieczne rozwiązanie. Sam pan nas tego uczył. Pozwala dokładnie określić odległość lotu i umożliwia powrót do normalnych przestworzy przed osiągnięciem samego systemu. Nie trzeba się obawiać groźby wyskoczenia w jakiegokolwiek innej naturalnej studni grawitacyjnej. Można także ustalić odległość w taki sposób, żeby wyskoczyć w samym systemie, a gdyby po drodze trafiło się przypadkiem na grawitacyjny lej, statek zostaje wyciągnięty do normalnych przestworzy, zanim załoga znajdzie się na tyle blisko środka ciężkości, żeby mogło jej grozić niebezpieczeństwo. Prawda?

- Prawda - potwierdził Antilles.

- Więc wszyscy wiedzą, że większość wytyczanych przez nadprzestrzeń szlaków kończy się na słońcu systemu docelowego - ciągnął Kell. - A jeśli ktoś z góry wie, że skok ma się zacząć w przestworzach Commenora, a zakończyć w okolicy Xobome...

Nie skończył zdania.

- Aha. - Głos dowódcy zabrzmiał jak szczeknięcie. - Zostawia bombę na końcu linii prostej, w pobliżu docelowego punktu, w którym cel i tak zamierzał wskoczyć do systemu. Może wówczas być prawie pewien, że cel zostanie trafiony. Oznacza to jednak, że ktoś wiedział, a może tylko podejrzewał, iż eskadra gwiazdnych myśliwców przeleci nadprzestrzennym szlakiem łączącym Commenor z systemem Xobome.

- A skoro władze obu systemów nie handlują ani nie utrzymują ze sobą kontaktów, bombę musieli zostawić ci, którzy nas zaatakowali - stwierdził Tainer. - Wiedzieli, że opuszczamy bazę na Folorze.

Jakimś cudem dowiedzieli się lub domyślili, że przynajmniej niektórzy uciekinierzy zechcą przelecieć przez system Xobome.

- To prawda. To ma sens - mruknął Wedge. - Dzięki, Pirotechniku. Kontrola przerywa połączenie.

Kell miał trochę doświadczenia w dokonywaniu skomplikowanych napraw w warunkach zupełnej nieważkości. Usuwał kiedyś uszkodzenia kadłuba pozostawionego w przestworzach Sluis Vana gwiazdnego krążownika i przeszedł standardowe szkolenie w mocowaniu ładunków wybuchowych do panczerzy okrętów unoszących się na orbitach.

To jednak wcale nie oznaczało, że miał w tym dużą wprawę... ani że lubił takie prace.

Ubrany w niewygodny próżniowy skafander roboczy z czterema silniczkami manewrowymi, mógł wprawdzie się poruszać i nie marzył, ale ani on, ani Cubber nie dysponowali narzędziami nadającymi się do pracy w idealnej próżni. Mieli tylko podręczne zestawy, jakie szef mechaników zabrał z kabin tęponosych myśliwców stacjonujących w hangarze bazy na Folorze. Raz po raz przeklinali, kiedy musieli użyć zacinającego się i zamarzającego hydrokłacza. Młynek, bezpieczny za owiewką kabiny X-winga, cały czas niecierpliwie ich obserwował.

A mimo to... Kell miał przed sobą niczym nieprzesłonięty widok bezkresnych przestworzy, jakiego by nigdy nie zobaczył na powierzchni żadnej otoczonej atmosferą planety i nie miałby czasu docenić, gdyby przebywał w kabine X-winga. Ilekroć spoglądał w dół, widział pod stopami obracającą się majestatycznie planetę Xobome Sześć. W jakimś miejscu na jej powierzchni, na smaganym przez lodowate wichry skalnym płaskowyzu, większość pilotów Widm starała się właśnie naprawić swoje lżej uszkodzone myśliwce. Możliwe, że niektórzy spoglądali w niebo i zazdrościli Kellowi ciepłego próżnioszczelnego ubrania.

Nie przestając napawać się widokiem panoramy przestworzy, znieruchomiał obok otwartego wjazdu umożliwiającego dostęp do dolnego bakburtowego silnika X-winga Młynka. Z informacji wyświetlanych na ekranie diagnostycznego monitora wynikało, że silnik jest sprawny i gotowy do działania, ale nie otrzymuje odpowiednich instrukcji z pokładowych urządzeń kontrolnych. Kell otrząsnął się z zamyślenia i zajął pracą.

- Czy możliwe, żeby zwarcie uległy wszystkie cztery przekaźniki danych? - zapytał szefa mechaników.

Cubber unosił się po przeciwnej stronie kadłuba myśliwca. Dzieliły ich dwie spolaryzowane płyty hełmów i kilkanaście metrów próżni, ale Kell zauważył, że mechanik kręci głową.

- Wszystkie w taki sam sposób? - zapytał. - Nie, to prawie wykluczone. To musi być jakaś usterka urządzenia sterującego pracą wszystkich czterech.

- Sądziś, że uda ci się precyzyjnie przebiec przez właz towarowy i dostać do magistrali transmisji danych, która biegnie pod kabiną pilota? - zainteresował się Kell. - W tym czasie mógłbym obserwować, czy cokolwiek się zmienia.

Cubber z niepotrzebną przesadą wzruszył ramionami.

- Mogę spróbować - powiedział.

Przesłał energię do silniczków manewrowych, które nadały mu pożądaną kierunek i posłały w stronę dziobu X-winga.

- Kell? - Głos był cichy i dziwny; wydobywał się chyba z kieszeni kombinezonu pilota.

Tainer poczuł, że zasycha mu w gardle. Wyciągnął język, żeby wyłączyć mikrofon komunikatora skafandra.

- Kto chce ze mną rozmawiać? - zapytał.

- Kell, to ja, Myn - odparł pilot „Dziwiątki”.

- Jakim cudem udało ci się... - zaczął Tainer, ale głęboko westchnął i się odprężył. Wyglądało na to, że Donos nawiązał z nim łączność za pomocą prywatnego komunikatora, którego Kell nie wyjął z kieszeni bluzy kombinezonu. Pochylił osłoniętą hełmem głowę w taki, żeby broda znalazła się pod kryzą hełmu, a jego głos lepiej docierał do mikrofonu osobistego nadajnika.

- Myn, może byśmy porozmawiali we wspólnym kanale pilotów eskadry? - zaproponował.

- Nie, nie - odparł pośpiesznie Donos. - To sprawa osobista. Chciałbym cię prosić o pomoc.

- Mów, o co chodzi.

- Błyszczyk nadal się nie odzywa - odparł Korelianin. - Bardzo mi zależy, żeby się ożywił.

- Mamy w tej chwili na głowie o wiele ważniejsze sprawy, Myn burknął Tainer. - Błyszczyk może zaczekać.

- Proszę cię, Kell.

Tainer zmarszczył brwi i trochę się zaniepokoił. W głosie Donosa brzmiał taki smutek i udręka, że słyszał je nawet mimo typowych zniekształceń sygnału przekazywanego przez komunikator.

- Co robi? - zapytał.

- Nic! - usłyszał w odpowiedzi. - Nie reaguje na ustne polecenia ciepłego startu, a przyciskanie włącznika zimnego startu nie wywołuje żadnej reakcji. Sądzę, że... Błyszczyk nie żyje.

- Prawdopodobnie tylko wymaga naprawy. Możesz się o niego nie martwić - odparł Tainer. Astromechaniczny robot Donosa miał prawdopodobnie uszkodzony przetwornik mocy albo też przetwornik był sprawny, ale zablokowało się oprogramowanie. Oznaczałoby to, że procedura ponownego startu nie może się rozpocząć, dopóki nie zostanie wyłączone zasilanie wszystkich obwodów i systemów. Dopiero to pozwoliłoby uruchomić system na nowo. - Hej, spróbuj czegoś takiego - podjął po chwili. - Masz sworzeń ogranicznika? Ty albo któryś z pozostałych? Zapadła długa cisza.

- Tak, jakiś się znajdzie - odezwał się w końcu Korelianin.

- To dobrze - odparł Kell. - Umieść go we właściwym miejscu... naturalnie robota.

Słyszając oklepany dowcip, Donos nawet nie zachichotał.

- Umieściłem - zameldował po chwili - ale nic się nie wydarzyło.

- Nie przejmuj się tym - oznajmił Kell. - A teraz wyłącz zasilanie wszystkich obwodów.

- Zrobione, ale wciąż żadnej zmiany.

- Więc ponownie włącz zasilanie.

- Nadal nie... Hej! Udało się!

Tainer się uśmiechnął. Standardowy sworzeń ogranicznika, umożliwiający zmuszanie do posłuszeństwa automaty krnąbrne, kapryśne albo tylko obdarzone niezależnym „charakterem”, pozwalał także na wyłączanie głównego przetwornika mocy robota. Kell nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. Wyłączenie przetwornika z zewnątrz skasowało zablokowane oprogramowanie i umożliwiło rozpoczęcie procedury zimnego startu.

- Połącz się ze mną, jeżeli będziesz musiał - powiedział. - Ale nie wzywaj mnie tylko dlatego, aby poinformować, że twój Błyszczyk ma skasowaną pamięć. Tamten błysk wyczyścił obwody pamięciowe wszystkich astromechanicznych robotów.

- Dobrze, dobrze - odparł pośpiesznie Donos. - Dzięki, Kell. Myn przerywa połączenie.

Cubber włączył mikrofon komunikatora i nawiązał łączność z dowódcą.

- Panie komandorze, udało się nam naprawić maszyny Młynka i Patyka w rekordowo krótkim czasie, ale X-wing Phanana nadal stanowi dla nas tajemnicę - zameldował. - Nie ma mowy, żebyśmy zdołali go zreperować bez kompletnej aparatury diagnostycznej.

Siedzący w kabinie Phanana miał twarz bladą jak ściana. Oznajmił, że zabandażował rany, ale w ciasnej kabinie pilota nie może zrobić nic więcej bez zestawu medycznego, który zostawił w przedziale bagażowym. Wyglądało także na to, że ma kłopoty z koordynacją ruchów, jakby niektóre cybernetyczne urządzenia nie funkcjonowały prawidłowo.

- Mówi się trudno. Otwórzcie owiewkę jego kabiny i ściągnijcie go na pokład wahadłowca. Aha, i nie zapomnijcie zabrać jego zestawu medycznego. - Antilles sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. Powinniśmy zakładać, że ta bomba czy cokolwiek, co unieruchomiło nas w przestworzach, wysłało sygnał tym, którzy ją zostawili - podjął po chwili. - Oznacza to, że w każdej chwili mogą się tu zjawić. Jeżeli ten sygnał miał przelecieć przez nadprzestrzeń i przekazać informację dowódcy „Nieubłaganego”, gwiazdny niszczyciel pojawi się tu za kilka godzin. Moglibyśmy wykorzystać ten czas, żeby odskoczyć w głąb przestworzy albo w pobliże najbliższej gwiazdy i umknąć, ale prawdopodobnie skończyłoby się to naszą zagładą. Nie zostało nam dość paliwa, żeby prowadzić zakrojone na szeroką skalę poszukiwania bezpiecznego miejsca. Ktoś z was ma może pomysł, jak wybrnąć z tej sytuacji?

Unoszący się obok kabiny myśliwca Tona Phanana Cubber dotknął płytą czołową hełmu do transpastalowej owiewki kabiny i zaczął coś mówić, ale z głośnika nastawionego na wspólny kanał komunikatora Kella nie wydobyły się żadne dźwięki. Widząc powolne ruchy warg i starannie wypowiedane słowa, Kell domyślił się, że szef mechaników głośno krzyczy. Dźwięki wprawiały w drgania zetknięte płyty, dzięki czemu Phanana mógł słyszeć, co mówi Cubber. I rzeczywiście, kilka sekund później ranny cyborg apatycznie pokiwał głową.

- Dowódco, tu „Ósemka” - odezwał się Buźka. - Proponuję, żebyśmy pozostawili X-winga „Siódemki” na orbicie, a kiedy się nim zainteresują, wdrzemy się na pokład ich okrętu i go zdobędziemy.

- Serdeczne dzięki, „Ósemko” - odparł Antilles. - Ktoś ma inny pomysł?

- Panie komandorze, mówię poważnie - nie dawał za wygraną Buźka. - Długo się nad tym zastanawiałem.

- No cóż, niech będzie - mruknął z rezygnacją Wedge. - Opowiedz mi krok po kroku, jak sobie to wyobrażasz.

- Pozostawiamy X-winga na orbicie z nadajnikiem nastawionym na automatyczne wysyłanie wołania o ratunek. W pobliżu rozsypujemy trochę odpadków, aby wyglądało, że zniszczeniu uległ jeszcze jeden tęponosy myśliwiec. Pośród rzekomych szczątków będzie się unosił jeden z nas w próżnioszczelnym skafandrze i z nastawionym na maksymalną siłę rażenia snajperskim karabinem laserowym Donosa w dłoniach.

- I spodziewasz się, że kiedy wciągną naszego pilota do środka, zacznie strzelać i w pojedynkę opanuje cały okręt? - domyślił się Antilles.

- Tak jest, panie komandorze.

- Czy naprawdę uważasz, że go wciągną? - zapytał drwiąco Wedge. Zwłaszcza jeżeli ich sensory wykażą, że w skafandrze kryje się żywa osoba?

- Ummm, nie pomyślałem o tym, panie komandorze - przyznał Buźka.

Spod owiewki kabiny myśliwca Phanana zaczęła uciekać atmosfera. Kell zobaczył, że cyborg

kilkakrotnie sprawdza szczelność pospiesznie założonych bandaży, uciskających lotniczy kombinezon w miejscach, w których poraniły go odłamki.

- Kto jeszcze coś wymyślił? - zapytał Antilles.

Kell pstryknął przełącznikiem mikrofonu komunikatora.

- Panie komandorze, chwileczkę - powiedział. - Moglibyśmy umieścić naszego pilota - na razie będę go nazywał „intruzem”... w towarowym przedziale przemytniczej kapsuły „Narry”. Elektroniczne urządzenia kapsuły bez trudu zamaskują obecność każdej żywej osoby. Wyciągniemy kapsułę z wahadłowca, zainstalujemy na zewnątrz baterie zasilające te urządzenia i zostawimy ją w przestworzach, żeby się unosiła pośród śmieci.

- Cubber, mamy tu dodatkowe pomieszczenie, a ty mi o nim nie powiedziałeś? - zapytał wyraźnie zirytowany Skrzypek. - Mogłem umieścić w nim więcej sprzętu, więcej zaopatrzenia...

- Proszę mówić dalej, panie Tainer - bezceremonialnie przerwał androidowi Antilles.

- No cóż, właściwie to wszystko, co zamierzałem powiedzieć, proszę pana.

- A jeżeli nie wciągną na pokład naszego „intruza”?

- Może zanim go wystrzelimy w przestworza, powinniśmy upewnić się, że umie grać sam ze sobą na ekranie osobistego notatnika?

- To wcale nie jest zabawne, panie Tainer - skarcił go dowódca.

- Czy na zewnątrz tej kapsuły dałoby się zainstalować także jakąś jednostkę napędową? - zainteresował się Buźka. - Coś w rodzaju ładunków wybuchowych, wyrzucających fotel katapulty pilota X-winga?

- To niezły pomysł - przyznał Tainer.

- Ale nie ma sensu - stwierdził Wedge. - Czy możecie sobie wyobrazić, jak ktokolwiek, zanim odpali ładunki wybuchowe, zdoła skierować kapsułę z takimi prowizorycznymi silniczkami w wybrane miejsce? Najwyżej jedna szansa na milion, że przeleci obok celu i śmignie w przestworza, a zapewniam was, że to szansa, na którą zwróciliby uwagę nawet Korelianin.

- A gdybyśmy zainstalowali silniczki odrzutowe na jednym końcu kapsuły, a gniazdo astromechanicznego robota na drugim? - zaproponował Kell. - Robot mógłby przekazywać wizualne dane bezpośrednio na ekran komputerowego notatnika „intruza”. Nasz pilot będzie kierował ruchami kapsuły za pomocą notatnika, a astromechaniczny robot, reagując na jego polecenia, przekaże energię do odpowiedniego silnika odrzutowego. Jest bardzo prawdopodobne, że dzięki temu „intruz” doleci do zamierzonego celu.

- To szaleństwo, panie Tainer - oznajmił Antilles.

- Z całym należnym szacunkiem, ale wcale tak nie uważam, panie komandorze - uparł się Kell. - Najwyżej desperacja. A jeśli już o tym mowa, snajperski karabin Donosa może nie zadziałać poprawnie w idealnej próżni. Mógłby zamarznąć albo się zaciąć, ale możemy dać naszemu „intruzowi” lepszą broń.

- Na przykład? - zapytał Wedge.

- No cóż, jeżeli już będziemy mieli baterię zasilającą elektroniczne urządzenia przemytniczej kapsuły, równie dobrze moglibyśmy się posłużyć wymontowanym z X-winga Tona Phanana generatorem mocy typu 04-7. Mając do dyspozycji tyle mocy, można byłoby wybebeszyć jedno z laserowych działek, podłączyć je do generatora i wyposażyć w spust. Nasz intruz mógłby wówczas oddać kilka strzałów z broni na tyle potężnej, że mogłaby przebić na wylot przegrodę, a co dopiero pancerze szturmowców.

- Laserowe działko X-winga ma dziewięć metrów długości, „Piątko” - przypomniał Antilles.

- Ale zasadnicze części i obudowa są o wiele krótsze, proszę pana nie dawał za wygraną Tainer.

- Jeżeli pozbawić działko skomputeryzowanego systemu celowniczego, tłumika odrzutu i aparatury synchronizującej i diagnostycznej, dałoby się je skrócić do półtora, najwyżej dwóch metrów.

W końcu owiewka myśliwca się otworzyła i z kabiny wygramolił się nieporadnie Ton Phanan, otoczony wyraźną poświatą osobistego pola magnetycznego. Od razu zaczął się oddalać od uszkodzonej maszyny. Widać było po minie, że chłód przenika w głąb uszkodzonego kombinezonu, spod którego powoli uchodziła atmosfera. Kell i Cubber chwycili go pod ręce i zręcznie manewrując silniczkami, pociągnęli w kierunku awaryjnej śluzy wahadłowca.

Wedge długo się zastanawiał, zanim odpowiedział.

- Bużko, Tainer... to najbardziej zwariowany pomysł, z jakim się spotkałem - stwierdził w końcu.

- Możliwe, panie komandorze, ale odpowiedzieliśmy na wszystkie pańskie zastrzeżenia - odparł Garik. - Uważam, że to da się zrobić.

- Powiedzmy, że masz rację - odparł dowódca. - Mamy jednego pilota z toporną, naprędcę skleconą i podatną na uszkodzenia, chociaż potężną bronią. Załóżmy, że nasz „intruz” zdoła się dostać do hangaru imperialnego gwiazdowego niszczyciela. Co dalej?

- Dowódco, tu „Jedenastka” - odezwał się Janson. - Mam kilka propozycji. Jeżeli nasz pilot przeniknie do systemu komputerowego „Nieubłaganego”, może umieścić w nim program, który będzie wysyłał wołanie o ratunek do przestworzy Nowej Republiki. Pozostali piloci mogą w tym czasie ukrywać się i czekać na pomoc. Możliwe zresztą, że nie przyleci tu sam „Nieubłagany”. Kto wie, może zjawi się tylko jeden z pomocniczych okrętów, a my zdołamy go opanować?

- I ty też, Wes? - jęknął udręczony Antilles.

- Tak, panie komandorze - odparł zastępca. - Uważam, że to trochę lepsze niż śmierć z braku powietrza albo żywności w pustce przestworzy. Najważniejsze jednak, że ten plan jest nietuzinkowy. Dowódca „Nieubłaganego” nie będzie się spodziewał, że potrafimy wymyślić coś takiego. Tylko szaleńcy mogliby się na to poważić.

- To prawda. - W głosie Antillesa zabrzmiała rezygnacja. - Cubber, chcę poznać twoją opinię jako zawodowca. Da się to skonstruować? Czy zdołałbyś sklecić takie bluźnierstwo w ciągu godziny, najwyżej dwóch? Czy umiałbyś zmusić je do działania?

Zanim szef mechaników odpowiedział, zamknął za Tonem Phananem właz awaryjnej śluzy wahadłowca.

- Gdyby ten dzieciak mi pomógł... uważam, że to możliwe, panie komandorze - odezwał się w końcu.

- Czas ucieka, panowie - zdecydował Wedge. - Do roboty. I niech Moc będzie z wami. Możecie jej potrzebować.

- Mam trochę Mocy tu, w kieszeni kombinezonu - odezwał się Bużka. - Mogę wam odstąpić, koledzy, jeżeli jest tak bardzo potrzebna. A niech to zaraza! Gdzieś zniknęła! Może zostawiłem ją w przedziale towarowym swojego myśliwca?

- „Ósemka”? - odezwał się ostrzegawczym tonem Antilles.

- Tak, dowódco?

- Zamknij się.

Czując, że ogarnia go znużenie, Wedge rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota. Przełączył komunikator na osobisty kanał umożliwiający łączność z Jansonem.

- Jesteś tam, Wes? - zapytał.

- Jestem.

- Znów mi to zrobili.

- To prawda.

- A jeszcze nie skończyłem trzydziestki. I słowo daję, znów czuję się jak konserwatywny starzec, któremu przyszło dowodzić nowym pokoleniem szalonych zapaleńców.

- Ująłeś to bardzo zgrabnie, Wedge.

- Dzięki za moralne wsparcie, Wes.

ROZDZIAŁ 11

Musieli polecieć, żeby Skrzypek i Phanan wcisnęli się do niewielkiej śluzy wahadłowca - na szczęście obaj byli szczupli - usunęli atmosferę z pokładu „Narry” i opuścili główną rampę ładowniczą. Szef mechaników i Tainer weszli po niej na pokład i rozmontowali przepierzenie maskujące przemytniczą kapsułę. Dopiero jednak kiedy ją wypchnęli i odholowali w przestworza, zauważyli coś, czego plan Widm nie przewidział.

- Tu jest za mało miejsca - odezwał się Cubber. - Skafandry remontowe z odrzutowymi silniczkami i systemami podtrzymywania życia są zbyt wielkie, żeby zmieścić się tu jeszcze „intruz”, a ja uważam, że nie należy czegokolwiek demontować albo zmniejszać.

- Słuszna uwaga. - Kell westchnął. - No cóż, nasz „intruz” będzie musiał mieć na sobie standardowy kombinezon pilota. Na szczęście ta kapsuła jest szczelna, więc nie powinien mieć z tym problemów.

- To prawda. Jest na tyle szczelna, żeby wywieść w pole skanery imperialnego niszczyciela, ale zaprojektowano ją do funkcjonowania przy standardowym ciśnieniu, a nie w próżni. Uszczelki nie są wystarczająco grube ani sprężyste i nie utrzymają atmosfery, jeżeli kapsuła znajdzie się w idealnej próżni. Różnica ciśnień będzie zbyt duża. A poza tym, zamierzamy wywiercić w kadłubie dodatkowe otwory. Musimy przytwierdzić silniczki odrzutowe, przesłać prąd z baterii do elektronicznych urządzeń maskujących obecność „intruza”, dane z jednostki typu R2...

- Więc na razie nie umieścimy „intruza” pośrodku gromady fałszywych szczątków. Zaczekamy z tym do ostatniej możliwej chwili zdecydował Antilles.

Cubber pokręcił głową.

- A jeżeli nieprzyjaciele poświęcą kilka minut więcej na badania i obserwacje? - zapytał. - Nasz „intruz” zamarźnie na śmierć. To się nie uda. Twoja propozycja jest do niczego, mój chłopcze.

Zapadła cisza. Chwilę później do rozmowy przyłączyła się jeszcze jedna osoba. Z odbiornika komunikatora rozległ się głos silny, szorstki... i generowany przez mechanizm.

- Uda się.

Kell się uśmiechnął.

- Prosiaku! - wykrzyknął. - Więc jednak przywrócili ci umiejętność mówienia!

- To zasługa Młynka i jego komputerowego notesu - oznajmił Gamorreanin. - Czuję się teraz o wiele lepiej i uważam, że to ja powinienem zostać tym „intruzem”.

- A to dlaczego?

- Budowa ciała, Kell - wyjaśnił zwięźle Prosiak. - Moje ciało jest porośnięte grubą warstwą tłuszczu. Na ogół ludzie uważają to za szkaradne. Tłuszcz przeszkadza, kiedy przebywam w gorących pomieszczeniach, ale nie pozwoli mi zginąć z głodu i ochroni mnie przed wpływem niskiej temperatury. Ubrany w zwyczajny kombinezon pilota, przetrwam w próżni co najmniej pół godziny od chwili wystrzelenia, a nie kilka minut, jakie przeżyłby przeciętny człowiek. A poza tym, mój kombinezon nie jest uszkodzony.

Kell gwizdnął.

- Jeżeli nie wpadniemy na lepszy pomysł, Prosiaku, chyba będziesz naszym człowiekiem - powiedział.

- Waszym Gamorreaninem - odparł z dumą Voort saBinring.

Kiedy Cubber i Kell montowali pospiesznie prowizoryczny wehikuł, który przezwali „Lunatykiem”, Młynek i Prosiak pisali równie szybko oprogramowanie dla astromechanicznego robota R2 i sterowniczego notatnika. Od czasu do czasu Tainer przysłuchiwał się rozmowom obu pilotów. Wynikało z nich, że obaj pracują w kabinach swoich myśliwców i porozumiewają się za pomocą pokładowych komunikatorów.

- Jakim rodzajem celowniczego modelu się posłużymy? - zapytał w pewnej chwili Gamorreanin.

- Sądzę, że rozpoznawaniem wzorców wizualnych - odparł Bothanin. - Za punkty odniesienia przyjmujemy otaczające nas gwiazdy, bo pozostają cały czas w tych samych miejscach. Zapewne wystarczy ograniczyć ich liczbę do tych, które świecą najintensywniej, żeby zmniejszyć ilość przetwarzanych danych. Jeżeli klasa nieprzyjacielskiego okrętu będzie łatwa do rozpoznania, nasza jednostka typu R2 może uzupełnić te dane o szczegółową mapę jego pomieszczeń i pokładów, a jeśli nie, będziemy musieli mierzyć w coś, co robot uzna za właz towarowy... i się modlić.

- A jeżeli z powodu braku równowagi sił napędowych albo usterki silniczka odrzutowego zbczą z kursu? - zaniepokoił się Prosiak.

- No cóż, do oprogramowania astromechanicznego robota trzeba będzie wprowadzić coś w rodzaju korekcji - odparł Młynek. - Najbardziej topornym sposobem byłoby umożliwienie mu oceny otrzymywanych sygnałów wizualnych i korygowanie ich... a ściślej przesadne korygowanie, zważywszy na upływ czasu... ilekroć z otrzymywanych informacji wizualnych będzie wynikało, że za bardzo zbczył z kursu.

- To naprawdę prymitywny sposób - stwierdził Prosiak. - Podatny na błędy i na zbyt „przesadne korygowanie”, jak je określiłeś.

- To prawda - przyznał Bothanin. - Hej, Kell, słyszysz mnie?

- Słyszę cię, Młynku.

- Czy sądzisz, że moglibyśmy umieścić w kapsule jakiś czujnik masy? - zapytał. - Coś do wyznaczania równowagi obciążenia lub wykrywania środka ciężkości, co mogłoby poprawić dokładność trajektorii lotu?

Kell zaczął się zastanawiać. X-wingi miały taki system. Wykorzystywał wysyłane kilkakrotnie w ciągu sekundy impulsy z inercyjnego kompensatora do obliczania charakterystycznych właściwości tęponosego myśliwca.

- Nie, nie ma mowy - odezwał się w końcu. - Potrzebowałbym dokładnych informacji o masie wszystkich składników użytych do sklecenia waszej kapsuły. Musiałbym także dysponować jego precyzyjnym modelem graficznym, Prosiak powinien siedzieć tak nieruchomo, jakby znajdował się na fotelu pilota, a wy musielibyście mieć więcej czasu, żeby uwzględnić w programie wpływ zmiany położenia środków ciężkości wszystkich elementów.

- Więc dajemy sobie z tym spokój - oznajmił Bothanin. - Dzięki, „Piątko”.

Po upływie godziny prace przy „Lunatyku” właściwie dobiegły końca. Głównym elementem kapsuły był przedział bagażowy rozmiarów dużej trumny. Po jednej stronie przymocowano topornymi chwytakami gniazdo Gadżeta, jednostki typu R2 z X-winga Phanana. Rolę chwytaków pełniły metalowe paski wycięte z okratowanych pojemników, które udało się wyszperać w ładowni „Narry”.

Przytwierdzono je zwyczajnymi nitami do kadłuba przedziału towarowego. Po drugiej stronie „trumny” zamontowano pojemniki na paliwo i silniczki odrzutowe z fotela katapulty tęponosego myśliwca Phanana. Inne silniczki zainstalowano w pobliżu gniazda astromechanicznego robota. Skierowano je w cztery strony i umieszczono poziomo względem płaszczyzny, na której miał stać Gadżet. Chodziło o to, żeby zapewnić kapsule jak największą zdolność manewrowania. Paliwo ze zbiorników miało płynąć do silników metalowymi rurkami. Przez specjalnie wywiercony otwór w przedziale towarowym biegła magistrala danych, jakie miał otrzymywać intruz z gniazda informatycznego systemu Gadżeta. Drugi koniec magistrali zamierzano dołączyć w samym przedziale do komputerowego notatnika, do którego pamięci Młynek i Prosiak wpisali program umożliwiający dokonywanie manewrów. Przez inny otwór w kadłubie poprowadzono kabel zasilający elektroniczną aparaturę maskującą ze źródłem energii elektrycznej. Na razie kabel nie był nigdzie podłączony.

Przed zajęciem miejsca w przedziale towarowym Prosiak powinien pamiętać o zabranii głównych elementów generatora mocy typu Novaldex 04-7, wymontowanego z X-winga Phanana. Zajmowały tak dużo miejsca, że musiał przyczepić je do pasa. Zakładano, że kabel zasilający elektroniczną aparaturę maskującą zostanie doprowadzony na razie tylko do regulatora mocy za pośrednictwem jednego z gniazd wyjściowych. Dołączony do innego gniazda drugi kabel miał służyć do zasilania długiego na dwa metry cylindra, który pozostał po jednym z laserowych działek tęponosej maszyny Phanana.

- To na pewno jedna z najmniej eleganckich konstrukcji, nad jakimi pracowałem - odezwał się w pewnej chwili Cubber. - Może z wyjątkiem pierwszej destylarni, która była chyba jeszcze bardziej prymitywna i niebezpieczna.

- Z testów wynika, że wszystko działa prawidłowo - oznajmił Kell. - To chyba koniec naszej pracy.

- Możesz zameldować o tym komandorowi, chłopcze - odparł szef mechaników.

Wedge Antilles siedział w kabinie swojego myśliwca i obserwował, jak wszechświat powoli obraca się wokół asteroidy, na której wylądował.

Odprężył się i rozsiadł wygodniej, jak każdy doświadczony pilot Nowej Republiki. Pozostali, może z wyjątkiem Jansona i Donosa, prawdopodobnie się denerwowali i niecierpliwie oczekiwali na dalszy rozwój sytuacji. Jeżeli będą żyli wystarczająco długo, na pewno nauczą się oszczędzać energię i siły i wykorzystywać każdą nadarżającą się okazję do drzemki.

Tęponose myśliwce Widm, naprawione podczas krótkiego postoju na powierzchni niezamieszkanego planety na tyle, na ile to było możliwe, wylądowały na kilku krążących wokół Xobome Sześć większych asteroidach. Spoczywały na nich obecnie z wyłączonymi silnikami, urządzeniami i podzespołami. Wahadłowiec unosił się nieruchomo w przestworzach, a gotów do akcji Prosiak czekał w towarowej śluzie. Uszkodzony X-wing Phanana, odłamki skał z pasa asteroid i „Lunatyk” krążyły leniwie po orbicie, bliżej powierzchni planety niż same asteroidy. Pokładowy komunikator unieruchomionego X-winga wysyłał nieustannie zarejestrowane przez Bużkę wołanie o ratunek. Wedge musiał podziwiać aktorski kunszt Ganka, z którego głosu przebijało niekłamane cierpienie.

W pewnej chwili z głośnika komunikatora wydobył się cichy trzask. Moc wyjściową nadajników ograniczono na tyle, żeby operatorzy systemów łączności żadnej wnikającej do systemu nieprzyjacielskiej jednostki nie mogli zarejestrować przekazywanych sygnałów. Prawdę mówiąc, z ich odbieraniem mieli kłopoty także niektórzy piloci X-wingów.

- „Narro”, tu „Piątka”. - Z odbiornika wydobył się głos Tainera.

- Mów, o co chodzi, „Piątko”.

- Cubber, czy to nie myśliwiec „Siedem” został oznaczony jako 3-OA, kiedy dostaliśmy go prosto z fabryki?

- Zgadza się - potwierdził szef mechaników. - Dlaczego pytasz?

- Czy pamiętasz, że na kadłubie, w rufowej części przedziału towarowego, miał wówczas zainstalowane nietypowe urządzenie? - ciągnął Tainer. - Wyglądało jak prostopadłościenna skrzynka, ale nie miało żadnych gniazdek ani ekranów.

- Nie - odparł szef mechaników. - Żadnego z naszych X-wingów nie wyposażono w coś takiego.

- No cóż, jeden wyposażono - obstawał przy swoim Kell. - Pudełko miało mniej więcej dwadzieścia pięć centymetrów długości, około sześciu szerokości i cztery grubości. Polakierowano je na regulaminowy szary kolor Sojuszu Rebeliantów.

- Powtarzam ci, chłopcze, że żaden nasz tęponosy myśliwiec nie ma takiego urządzenia. Zaczekaj chwilę...

Po długiej ciszy z odbiornika pokładowego komunikatora wydobył się głos Skrzyпка.

- Panie podporuczniku Tainer, opisywane przez pana urządzenie zostało zainstalowane w dolnej części głównej jednostki napędowej „Narry” - poinformował protokolarny android. - Zwróciłem na nie uwagę, ponieważ jednostki napędowe innych wahadłowców klasy Lambda nie są wyposażane w podobne aparaty. Mijałem je bardzo wiele razy, kiedy wnosiłem na pokład „Narry” osobiste rzeczy pilotów eskadry.

- Posłuchaj, Cubber, osobiście dokonywałem przeglądu „Narry” przypomnieli Kell. - Zapewniam cię, że niczego takiego tam nie ma.

- Wiem o tym, chłopcze - odparł mechanik. - Coś mi się tu nie podoba.

Wedge zamierzał poprosić któregoś pilota X-winga, żeby wystartował z asteroidy i osobiście się przekonał, jak wygląda rufowa część wahadłowca, ale zanim zdołał powiedzieć choćby słowo, z odbiornika komunikatora rozległ się głos jego skrzydłowej.

- Uwaga, Widma, tu „Dwójka” - zameldowała Kalamarianka. Właśnie odebrałam słabe sygnały na częstotliwości używanej przez Imperium. Zaszyfrowane.

- „Narro”, tu dowódca Widm - odezwał się Wedge. - Wyrzućcie ładunek za burtę, szybko ukryjcie się za jakąś dużą asteroidą i wyłączcie zasilanie silników oraz wszystkich urządzeń pokładowych. Widma, zachowywać ciszę w eterze. Prosiaku, powodzenia.

Przyglądał się, jak wahadłowiec zbliża się na odległość zaledwie kilku metrów do przemytniczej kapsuły. Kłapa towarowego włazu „Narry” się otworzyła i na progu pojawił się Prosiak. Wyglądał dziwnie z przypiętym do pasa sporym urządzeniem i trzymał coś, co z daleka wyglądało jak dwumetrowy gruby kij. Odbił się i bez wahania skoczył w przestworza. Szybko pokonał odległość dzielącą go od kapsuły i zręcznie pochwycił wystający element jej konstrukcji.

Siła uderzenia jego ciała o pancerz odepchnęła „Lunatyka” od wraku X-winga i unoszącej się obok niego gromady skalnych okruchów, ale kiedy Gamorreanin otworzył kłapę przedziału towarowego i zaczął się wciskać do środka, pochwycona przez promień ściągający wahadłowca kapsuła niespodziewanie zastopowała. Po chwili ruszyła powoli na poprzednie miejsce.

W końcu „Lunatyk” ponownie znieruchomiał w pobliżu wraku myśliwca. Prosiak odpiął od pasa generator mocy, który miał posłużyć do zasilania elektronicznych urządzeń maskujących kapsuły, a potem obrócił się i starannie zamknął kłapę włazu.

Dopiero wówczas Wedge głęboko odetchnął. Obecnie wszystko zależało od Gamorreanina.

Wnętrze kapsuły rozjaśniała tylko słaba poświata sącząca się z ekranu komputerowego notatnika. Prosiak poklepał się po brzuchu, żeby sprawdzić, czy podczas wciskania się do towarowego przedziału nie wyślizgnął mu się spod pasa któryś blaster, jego albo Młynka. Wymacał też w kieszeni kartę danych z programem, który mógłby zmusić komputery „Nieubłaganego” do wysyłania w przestworza wołania o ratunek, i stwierdził, że uszczelka kombinezonu działa prawidłowo. Dopiero wtedy sięgnął po kontrolny notatnik, który miał umożliwić mu kierowanie ruchami „Lunatyka”. Przypomniawszy sobie, że już wcześniej nastawił komunikator na minimalną moc wyjściową i wybrał standardowy kanał umożliwiający łączność z pamięcią notatnika.

- Jaki stan? - zapytał.

Na ekranie ukazał się tekst odpowiedzi Gadżeta. **WSZYSTKO FUNKCJONUJE PRAWIDŁOWO. WŁAŚNIE OBLICZAM PRAWDOPODOBIENSTWO, ŻE PRZESTANĘ FUNKCJONOWAĆ PRAWIDŁOWO.**

- Jeszcze się z tobą porachuję, Gadżet - zagroził Prosiak. Nagle na ekranie pojawiły się słowa: **ZAUWAŻYŁEM, ŻE COŚ SIĘ PORUSZA.**

Tekst przesunął się na dół, a w górnej części ekranu ukazały się jednobarwne punkciki najjaskrawiej świecących gwiazd. Sądząc po szybkości, z jaką się przemieszczały po ekranie, Prosiak doszedł do wniosku, że „Lunatyk” powoli wiruje, a Gadżet usiłuje obracać półkulistą kopułkę w taki sposób, żeby obiektyw kamery cały czas pozostawał zwrócony w kierunku nadlatującego celu.

Kilka sekund później między punkcikami gwiazd ukazała się mikroskopijna plamka, która stopniowo zaczęła się powiększać.

W dolnej części ekranu pojawiła się następna wiadomość:

ZORIENTUJĄ SIĘ, ŻE FUNKCJONUJĘ.

- Nic nie szkodzi - odparł Prosiak. - Nie uznają cię za zagrożenie. Astromechaniczne roboty typu R2 są przeznaczone do wykonywania napraw w idealnej próżni. W przeszłości wiele takich jednostek działało prawidłowo nawet po katapultowaniu się pilotów w przestworza.

Świetlista plamka wciąż rosła i w końcu Prosiak zdołał rozpoznać jej kształt. To nie był „Niezlomny” ani żaden inny wielki okręt liniowy. Do przemytniczej kapsuły zbliżała się koreliańska korweta. Okręt był długi i stosunkowo wąski. Rufa kończyła się pękatym modułem jednostek napędowych, a dziób wyglądał jak ogromna baryłka albo obuch starożytnego młota bojowego.

Wprawdzie dzieliła go od kapsuły jeszcze duża odległość, a ekran komputerowego notatnika nie pokazywał wszystkich szczegółów, ale i tak w pewnej chwili Prosiak zauważył, że pośrodku dziobu tworzy się pionowa szczelina, z której tryska jasne światło. Z poszerzającego się otworu wyleciały dwa ciemne kształty i zaczęły szybko rosnąć w oczach.

Wkrótce przybrały charakterystyczne kształty myśliwców T1E.

Imperialne maszyny przemknęły obok dryfującego bezradnie w przestworzach X-winga Phanana i unoszących się obok niego szczątków tak blisko, że Prosiak niemal usłyszał złowieszczy skowyt bliźniaczych silników jonowych i poczuł odór gazów wylotowych. Imperialni piloci zatoczyli szeroki krąg i zastopowali, żeby obejrzeć z bliska uszkodzony myśliwiec.

USIŁUJĄ WYCIĄGNAĆ ZE MNIE INFORMACJE.

- Odpowiedz zgodnie z prawdą, ale podaj im tylko to, co zapisaliśmy w specjalnym sektorze twojej pamięci - odparł Prosiak. - Nie wiesz, co się stało z twoim pilotem. Nie masz pojęcia, jak się

tam znalazłeś. - Gamorreanin zwrócił uwagę na ekran komputerowego notatnika i powiększył widoczny na nim obraz korwety w taki sposób, żeby całą powierzchnię zajęła pionowa szczelina dziobowej ładowni. - Jaka odległość do celu? - zapytał.

TRZYSTA METRÓW.

- Jak myślisz, uda się?

OKRĘT LECI NIEZMIENNYM KURSEM PROSTU KU NAM. JEŻELI NIE POPEŁNIMY ŻADNEGO BŁĘDU, MUSI SIĘ UDAĆ.

Prosiak głęboko odetchnął i nakierował na cel toporny kwadrat celowniczy, jaki Młynek umieścił w ostatniej chwili w oprogramowaniu notatnika. Nastawił przecięcie nitek na środek otwartych wrót ładowni i przycisnął klawisz wykonania polecenia.

Kiedy zaczął funkcjonować jeden silniczek manewrowy „Lunatyka”, a może nawet dwa, zderzył się plecami z tylną ścianką przedziału towarowego i domyślił się, że Gadżet skierował przód kapsuły w stronę korwety. Ułamek sekundy później, gdy do życia obudziły się także silniki pod spodem kapsuły, poczuł się jak w ruszającej kabinie turbowindy.

Zauważył, że widoczny na ekranie notatnika wizerunek otwartych wrót ładowni szybko się powiększa.

Podczas lotu obijał się o spód, dno i ścianki przedziału. Odgadł, że powodem są korekcje trajektorii lotu. Stracił orientację i oderwał spojrzenie od ekranu notatnika. W pewnej chwili uświadomił sobie istnienie siły ciężenia i stwierdził, że stoi na głowie.

Rozległ się melodyjny pisk przerażonego Gadżeta i Prosiak zorientował się, że od kapsuły coś się odczepiło. Poczul uderzenie, które cisnęło go na wewnętrzną powierzchnię kłapy wjazdu. Uderzył o coś głową i runął na plecy.

Usłyszał skrzeczenie Gadżeta i domyślił się, że kapsuła jest już w pomieszczeniu wypełnionym atmosferą. Zwolnił uszczelkę kombinezonu pilota, lewą ręką wyciągnął zza pasa blasterowy pistolet i kopnięciem otworzył kłapę wjazdu. Niemal od razu oślepiło go jaskrawe światło.

Nie mógł czekać, aż oczy przyzwyczają się do blasku. Wygramolił się z kapsuły.

Leżał na plecach na metalowych płytach pokładu. Znajdował się w niewielkiej ładowni pełniącej funkcję hangaru. Prawie całe pomieszczenie zajmowały cztery identyczne, ustawione w dwóch rzędach metalowe stojaki. W parze bardziej oddalonej od wrót hangaru tkwiły pionowo dwa myśliwce typu T1E. Prosiak znajdował się niemal bezpośrednio pod sterburtową gałą. Kiedy odwrócił głowę, ujrzał otwarte wrota, a za nimi planetę Xobome Sześć i wycinek usianych iskierkami gwiazd przestworzy. Na tle czerni nie dostrzegł mgiełki magnetycznego pola utrzymującego atmosferę w ładowni, ale gdyby nie działało, już dawno by nie żył.

Nagle usłyszał odgłos blasterowego strzału. Laserowa błyskawica z brzękiem uderzyła o metalową belkę sąsiedniego stojaka. Odruchowo drgnął i przetoczył się na brzuch. Wrócił do kapsuły po wymontowany z X-winga rdzeń laserowego działka i wymierzył w górę blasterowy pistolet.

Na wiodących w górę schodach nie było nikogo, ujrzał jednak przerzucony pod sufitem szary metalowy pomost. Dwaj biegnący po nim mężczyźni w kombinezonach mechaników kierowali się do wyjścia, a dwaj inni, w białych pancierzach imperialnych szturmowców, mierzyli do niego z blasterowych karabinów.

Nie celując, strzelił do bliższego, ale trafił w ścianę nad jego głową. Wyczołgał się z kapsuły i zanurkował pod osłonę najbliższego myśliwca T1E, a kiedy się tam cował, pociągnął „Lunatyka”

za sobą. Przemysłowa kapsuła nie stawiała jednak tak dużego oporu, jak powinna. Prosiak obrócił głowę i zauważył, że Gadżet już nie jest przytwierdzony do kadłuba, a metalowe klamry mocujące robotę są powyginane i połamane.

Zaklął pod nosem, co zabrzmiało jak gamorreński pomruk. Zobaczył, że kabel, który zasiliał przyczepiony do jego pasa generator mocy, wciąż jeszcze jest połączony z elektroniczną aparaturą towarowego przedziału. Odgiął dwa palce lewej dłoni i nie wypuszczając z niej blastera, szarpnięciem wyrwał kabel z gniazda. Udało mu się, ale wystrzelona przez drugiego szturmowca laserowa błyskawica wpadła do przedziału i wypaliła dziurę wielkości jego głowy w metalowej ścianie naprędce skleconej kapsuły.

Wczołgał się pod kabinę myśliwca T1E, ale nie poprawiło to zanadto jego sytuacji. Wprawdzie nieprzyjaciele nie mogli go zobaczyć, ale i on nie widział żadnego szturmowca.

Nagle poczuł zmianę ciśnienia atmosfery w ładowni i od tyłu omyła go fala gorącego gazu. Od kadłubów myśliwców T1E odbiły się szrapnele i w łydki trafiły go niewielkie kawałki metalu. Gamorreanin zrozumiał, że coś musiało się wydarzyć tuż za otwartymi drzwiami ładowni, ale nie mógł się odwrócić, żeby spojrzeć w tamtą stronę.

Taktyka. Szturmowcy na pomoście powinni się rozdzielić i przejść każdy w inny koniec, żeby wziąć go w krzyżowy ogień. Prosiak wstał, zgarbił się i naparł barkiem na skrzydło myśliwca T1E, pod którym się ukrywał.

Z początku ciężka gała opierała się jego wysiłkom, ale w końcu jeden z zaczepów puścił i myśliwiec obrócił się trochę wokół osi, którą musiały być pozostałe zaczepy. Prosiak naparł z całej siły i po pewnym czasie zobaczył na pomoście zachodzącego go z prawej szturmowca. Imperialny żołnierz także go zauważył i wystrzelił z blasterowego karabinu, ale energię jego strzału pochłonął słoneczny panel, za którym Gamorreanin ukrywał się jak za tarczą. Prosiak odpowiedział ogniem z pistoletu i w napierśniku pancerza szturmowca pojawiła się dymiąca czarna dziura. Imperialny żołnierz zachwiał się i zwałił na pomost. Jego ciało drżało konwulsyjnie, lecz po kilku sekundach znieruchomiało.

Nie przestając napierać barkiem na skrzydło imperialnego myśliwca, Prosiak starał się bardziej obrócić gałę. Od czasu do czasu, nie celując, posyłał w górę blasterową błyskawicę. W pewnej chwili zobaczył drugiego szturmowca i trafił go dwukrotnie. Imperialny żołnierz wypuścił blasterowy karabin i zderzył się plecami ze ścianą. Odbił się od niej, potknął, runął na wznak i znieruchomiał, przewieszony przez metalową poręcz pomostu.

Chwila spokoju. Prosiak zauważył, że obaj mechanicy zdążyli uciec przez otwarte drzwi. Nie mógł zapominać o otwartych wrotach ładowni, przez które wciąż widział wycinek panoramy przestworzy. Z hangaru można było się wydostać tylko jedną albo drugą drogą.

- Gadżet? - zapytał.

Z przeciwległego krańca ładowni napłynął zirytowany, choć melodyjny świergot, który upewnił go, że jednostka typu R2 nadal działa.

Taktyka. Gdyby był kapitanem tego okrętu, zamknąłby wewnętrzne drzwi i wyłączył generator magnetycznego pola zapobiegającego ucieczce atmosfery z ładowni. Powietrze uciekłoby na zewnątrz, a Prosiak zostałby wyspany w pustkę przestworzy.

No cóż, musiał się liczyć i z taką ewentualnością.

Wedge zobaczył, że piloci obu myśliwców typu T1E zawracają, żeby polecieć śladem „Lunatyka”, ale tylko jeden zdołał wykonać manewr wystarczająco szybko, żeby wystrzelić. Zielone

błyskawice blasterowych strzałów przeleciały jednak w sporej odległości od szaleńczo kołyszającej się w locie kapsuły. Chwilę później, lecąc z dużą prędkością, „Lunatyk” śmignął przez otwarte wrota ładowni korwety i zniknął.

Wedge uświadomił sobie, że ma szeroko otwarte usta.

- A niech mnie - powiedział do siebie. - Udało się im! - Pstryknął przełącznikiem mikrofonu komunikatora. - Widma, włączyć zasilanie i wziąć na cel obie gały, ale używać tylko laserów. Pozostać na swoich pozycjach. - Przełączył komunikator na kanał używany przez Imperium. - Uwaga, piloci myśliwców T1E - powiedział. - Tu komandor Wedge Antilles z Sił Zbrojnych Nowej Republiki. Trzymamy was na celownikach. Poddajcie się albo zostaniecie rozpyleni na atomy.

Oba myśliwce przestały dryfować w przestworzach. Jeden pilot przyspieszył i zawrócił w stronę korwety, a drugi obrócił maszynę, wymierzył lasery w X-winga Phanana i wystrzelił. Zielone błyskawice blasterowych strzałów rozerwały uszkodzony myśliwiec na kawałki.

Wedge się skrzywił.

- Amatorzy - powiedział do siebie. Przełączył komunikator na kanał eskadry. - Widma, otworzyć ogień.

Nie wszyscy piloci Nowej Republiki zdołali namierzyć jedną albo drugą gałę, ale kilkorgu udało się ta sztuka. Myśliwiec lecący w stronę korwety został trafiony strzałami dwóch poczwornie sprzężonych działek laserowych, a drugi nawet trzech. Oba eksplodowały i przemieniły się w ogniste kule.

Prosiak wsunął blasterowy pistolet za pas i upewnił się, czy wymontowany z tęponosego myśliwca Phanana rdzeń laserowego działka jest połączony kablem ze źródłem zasilania. Zaczął się wspinać po wspornikach ładowniczych myśliwców T1E. Starał się ich trzymać z całej siły. Gdyby z ładowni zaczęła uchodzić atmosfera, nie chciał dać się wyssać razem z uciekającym powietrzem. W pewnej chwili zauważył, że drzwi, przez które wybiegli dwaj mechanicy, zaczynają się zamykać.

Przeskoczył na rusztowanie stojaka, wspiął się na szczyt i stwierdził, że od sufitu ładowni dzieli go zaledwie metr. Jeżeli podczas szkolenia dobrze zapamiętał rozkład pomieszczeń koreliańskiej korwety, bezpośrednio nad ładownią powinien się znajdować poziom luksusowych kwater oficerskich i gościnnych, a jeszcze wyżej mostek okrętu. Gdyby zdołał wypalić otwory w obu pokładach i wymyślił sposób, jak się tam wspiąć, mógłby dotrzeć na mostek, zanim ktokolwiek zorientowałby się w jego zamiarach.

Uniósł jeszcze wyżej rdzeń działka, wymierzył w sufit, odwrócił głowę w bok i wystrzelił. Błysk strzału go oślepił, chociaż tylko się odbił od górnej powierzchni kulistej kabiny pilota gały pod jego nogami. Rozległ się ogłuszający trzask dartego metalu i świst wypychanego powietrza, a stopione szczątki zasypały go niczym grad ognistych okruchów i wypaliły dziury w materiale jego kombinezonu.

Kiedy odzyskał zdolność widzenia, zignorował ból, odbił się od najwyższej belki stojaka, wskoczył przez dymiący otwór w suficie...

...i znalazł się na mostku, na którym pełniło służbę kilku członków załogi. Niektórzy leżeli na pokładzie i usiłowali się za czymś ukryć, inni biegli do wyjścia, a jeszcze inni rozpinali kabury, żeby sięgnąć po blastery, których nie zdążyli dotąd wyciągnąć.

Co się stało z pokładem luksusowych kwater oficerskich? Prosiak postanowił się tym na razie nie przejmować.

- Stać! - krzyknął. - Nie ruszać się! Jeden ruch i strzelam!

Skierował wciąż jeszcze dymiący rdzeń laserowego działka na przód mostka, gdzie jedynymi przeszkodami uniemożliwiającymi ucieczkę atmosfery były transpastalowy iluminator i metalowe ściany.

Pełniący służbę na mostku oficerowie i członkowie załogi popatrzyli po sobie i przenieśli spojrzenia na mężczyznę w mundurze porucznika Imperialnej Marynarki. Dowódca ponuro pokiwał głową i uniósł ręce nad głowę.

Dopiero kiedy z sufitu zaczęły spadać na Prosiaka drobiny popiołu, Gamorreanin uniósł głowę i zobaczył, co zostało z jeszcze jednego pełniącego służbę na mostku oficera.

- Kapitan Voort saBinring z pokładu korwety Nowej Republiki „Nocny Gość” wzywa Eskadrę Widm. Eskadro Widm, przylatujcie.

Wedge nie mógł się powstrzymać i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Kapitan? - zapytał. - Co za niespodziewany awans!

- Tymczasowy awans, panie komandorze - odparł Prosiak. - Na razie dowodzę tym okrętem. Stopień kapitana jest chyba w tym przypadku bardziej odpowiedni.

- Och, oczywiście - odparł Antilles. - Czy mamy zgodę na wejście na pokład?

- Naturalnie - odparł Gamorreanin. - Ale proszę się pospieszyć.

ROZDZIAŁ 12

Chociaż na planecie panowała paskudna pogoda, piloci Widm posadzili „Nocnego Gościa” na powierzchni Xobome Sześć, żeby go dokładnie zbadać. Na orbicie pozostała tylko Jesmin Ackbar, aby ostrzec pozostałych, gdyby w przestworzach pojawiły się kolejne okręty nieprzyjaciół.

Wedge pozostał na mostku koreliańskiej korwety, żeby odbierać meldunki z poszczególnych stanowisk i wydawać rozkazy, a piloci Widm wykonywali je tak szybko, jak to było możliwe. Antilles obserwował niewyraźne cienie krzątające się pośród zaparkowanych X-wingów. Za transpasterowymi iluminatorami mostka przemykały niesione porywistym wichrem okruszki lodu, które raz po raz przesłaniały mu widok podwładnych. Starał się nie zbliżyć do otworu wypalonego w pokładzie. Szczątki rozplaszczonej na suficie nad tym otworem osoby, która była kiedyś kapitanem Zurellem Darillianem, odkleiły się podczas lądowania i spadły do hangaru z myśliwcami T1E. Falynn Sandskimmer, nie przejmując się ponurym pochodzeniem resztek, zajmowała się obecnie ich uprzątnięciem.

Skrzypek, który wrócił z obchodu pomieszczeń zdobytego okrętu, sprawiał wrażenie zafascynowanego tym, co zobaczył.

- Wszędzie jest niewiarygodnie schludnie i czysto, panie komandorze - zameldował. - Kapitan musiał być prawdziwym pedantem, zwariowanym na punkcie utrzymywania porządku i dyscypliny.

Wedge obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- To najczęściej oznaka chorego umysłu - powiedział. - Czy zmieniono coś w konstrukcji okrętu?

- W porównaniu ze standardową korwetą w rodzaju „Tantive IV” dokonano bardzo poważnych modyfikacji, panie komandorze - zaczął android. - Pod mostkiem powinien się znajdować pokład z luksusowymi kwaterami, ale konstruktorzy „Nocnego Gościa” po prostu z niego zrezygnowali. Podejrzewam, że zależało im na wygospodarowaniu dodatkowego miejsca w przedniej ładowni dla czterech myśliwców T1E. Dziób został poszerzony, a pancierz kadłuba po obu stronach wrót zwężony. Elektroniczna aparatura, która powinna się znajdować między przegrodami, powędrowała w inne miejsce. Górną ładownię przekształcono w hangar dla ślizgaczy. Nie ma także laboratoriów. To właśnie tam znajdują się teraz luksusowe kabiny.

Wedge kiwnął głową.

- Wszystko wskazuje, że to nie są naprędce dokonane przeróbki powiedział. - Jestem pewien, że okręt tak zbudowano w stoczni.

- Ma pan rację, komandorze - odparł android.

Do rozmowy przyłączył się Janson, badający główną konsolę systemów uzbrojenia.

- Zamiast jednego podwójnego działka turbolaserowego na dziobie zainstalowali generator promienia ściąającego - oznajmił cierpko.

- Większość okrętów tych rozmiarów ma taki generator - stwierdził Antilles.

Jego zastępca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chodzi mi o generator promienia ściąającego z prawdziwego zdarzenia - odparł z naciskiem. -

Coś bardziej odpowiedniego dla fregaty albo większego okrętu, a nie tylko źródło promienia zdolnego do przyciągnięcia niedużego gwiazdnego myśliwca.

- Panie komandorze - odezwał się nagle pochylony nad jedną z konsol mostka Młynek. W jego ustach zabrzmiało to jak muzyka. Kiedy się wyprostował i odwrócił, zęby miał obnażone w drapieżnym uśmiechu.

- Tak? - zapytał Antilles.

- Prosiak wdarł się na mostek tak szybko... słowo daję, to coś wspaniałego - zaczął Bothanin. - Tamci nie zdążyli niczego wyłączyć, skasować zawartości pamięci ani nawet uruchomić najbardziej podstawowych systemów bezpieczeństwa. A mieli tu istny majstersztyk... imperialny system HoloNetu. Na pokładzie okrętu tej wielkości to prawdziwy luksus, a system jest sprawny i gotowy do użycia. Najciekawsze jednak, że nie zdołali wysłać ani jednej wiadomości.

Wedge spojrzał na niego i zamrugał.

- Chcesz powiedzieć, że reszta imperialnej floty nie ma pojęcia, co się tu wydarzyło? - zapytał.

- Absolutnie żadnego - zapewnił Młynek. - Co więcej, udało mi się zapoznać ze wszystkim, co dotyczy wykonywanych zadań, otrzymanych rozkazów, planu dalszego lotu i tak dalej.

- Opowiedz mi coś więcej - zażądał dowódca.

- Okręt stanowi własność Zsinja...

- To żadna niespodzianka.

- To prawda, ale tymczasowo oddano go pod dowództwo admirała Trigita - ciągnął niezrażony Bothanin. - Załoga ma stawiać w przestworzach miny typu Empion. Nie bardzo się orientuję, na czym polega ich działanie...

- Zapytaj o to Kella - przerwał ponownie Antilles. - Niedawno prosiłem go, żeby przypomniatł sobie wszystko, co słyszał na ich temat.

- Rozkaz, panie komandorze - odparł Młynek. - A więc załoga miała zostawić je w przestworzach i prowadzić nasłuch na częstotliwości wysyłanych przez nie nadprzestrzennych sygnałów. Powinna także zwracać uwagę na sygnały alarmowe, ilekroć miny obudzą się do życia. Miała poinformować admirała Trigita, gdyby jakaś zadziałała. Poznałem także ich dalsze plany - ciągnął coraz bardziej podniecony. - Ich zadania polegały przeważnie na odwiedzaniu planetarnych systemów, których władcy nie opowiedzieli się po żadnej stronie, i przekonywaniu ich, że nie powinni lekceważyć potęgi Zsinja. Poza tym rutynowo spotykali się z gwiazdnymi tankowcami w celu uzupełnienia zapasów paliwa. Po postawieniu wszystkich min mieli powrócić do odwiedzania tych systemów i planet.

- Które zamierzali odwiedzić?

Młynek polecił, żeby komputer wyświetlił ich listę na ekranie monitora. Wedge zaczął czytać na głos pojawiające się kolejno nazwy:

- Viamarr Cztery, Xarthun, Belthu, M2398, Todirium, Obinipor, Fenion... Możesz narysować trasę, jaką zamierzali lecieć?

- Już dawno o tym pomyślałem - odparł Bothanin.

- Wygląda, że to będzie krótkie streszczenie ostatniego okresu mojego dowodzenia - mruknął Wedge. Spojrzał na gwiazdną mapę, którą Młynek polecił wyświetlić na ekranie. Planowana trasa lotu zdobytej korwety wiodła przez przestworza Rubieży skrajem obszaru opanowanego przez Nową Republikę. - Więc według ciebie Trigita nie ma pojęcia, że przechwyciliśmy ten okręt? - zapytał.

Bothanin pokręcił głową, a porastająca jego ciało srebrzysta sierść zafalowała.

Wedge gwizdnął, kiedy w jego głowie zaczęły się krystalizować pierwsze zarysy nowego planu.

Przeklinając chłód i szalejący na powierzchni Xobome Sześć huragan, Cubber i Kell dotarli w końcu do rufowej sekcji „Narry”.

Dokładnie tam, gdzie mówił Skrzypek, znaleźli prostopadłościenną skrzynkę o podanych przez Tainera rozmiarach. Ukryto ją pieczołowicie w zagłębieniu między głównym silnikiem a najważniejszym inicjatorem i polakierowano na czarno, żeby nie odróżniała się od innych elementów jednostki napędowej.

Szef mechaników i młody pilot spojrzeli po sobie.

- Niczego takiego nie powinno tu być - stwierdził Cubber. - Spróbujmy to zdemontować.

- Dobrze by było najpierw prześwietlić promieniami skanerów sprzeciwił się Kell. - Czy pamiętasz jeszcze, czym się kiedyś zajmowałem?

- O tak - odparł Cubber. - Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, zaczekam kawałek dalej, za tym statecznikiem, aż skończysz, chłopcze.

Kell wyciągnął przekazany mu przez Skrzyпка pakiet z sensorami przystosowanymi do prac przy rozbieraniu budynków i zakładaniu materiałów wybuchowych. Miał nadzieję, że skanery nie zawiodą w tak niskiej temperaturze. Kilka razy przesunął powoli czujnikiem po powierzchni tajemniczej skrzynki i uważnie obserwował ukazujące się na ekranie obrazy.

Wrażliwe na ciepło czujniki wykazały, że w skrzynce mieszczą się delikatne urządzenia elektroniczne. Niektóre przypominały elementy instalowane w profesjonalnym sprzęcie telekomunikacyjnym. Nic nie wskazywało na obecność niezróżnicowanego materiału, jaki zazwyczaj umieszczano w urządzeniach wybuchowych. W kilku miejscach zainstalowano chwytaki, umożliwiające przytwierdzenie pudełka do kadłuba wahadłowca.

Kiedy Kell skończył badać urządzenie, gestem przywołał Cubbera. Chwycił skrzynkę i spróbował ją oderwać. Z początku stawiała opór, ale kiedy szarpnął silniej, z cichym trzaskiem odłączyła się od pancerza wahadłowca. Z prostopadłościanu zwisały bezwładnie cztery mechaniczne kończyny. Każda miała mniej więcej pół metra długości, mogła się zginać w kilku mechanicznych stawach i była zakończona chwytakami.

- Chyba to coś nie żyje - odezwał się Cubber.

- O co chcesz się założyć, że ta bomba, która wyczyściła pamięć naszych robotów, wyrządziła podobne szkody temu robotowi? - zapytał Tainer. - Nie chcę się o nic zakładać - mruknął szef mechaników. - Chodźmy do środka, gdzie jest ciepło, i przekonajmy się, czy to prawda.

Jesmin pozostała na posterunku na orbicie, a Falynn i Patyk zamknęli pięćdziesięcioro kilkoro oficerów i członków załogi imperialnego okrętu w rufowej świetlicy. Pozostali piloci Widm zebrali się w niewielkiej sali odpraw, przylegającej do kabiny kapitana.

- Po pierwsze - odezwał się Wedge - chciałbym złożyć gratulacje najważniejszym osobom biorącym udział w opanowaniu „Nocnego Gościa”. Prosiaku, Bużko, Kell... doskonała robota.

Chór wiwatów trwał co najmniej pół minuty.

- Czy mogę zatrzymać ten okręt, panie komandorze? - zapytał w końcu Gamorreanin.

- Jeżeli chcesz się stać jego właścicielem, nic z tego - odparł Antilles. - Ale jeśli zamierzasz zostać jego dowódcą, odpowiedź brzmi: prawdopodobnie tak.

Prosiak wyglądał na zaskoczonego.

- Tylko żartowałem - powiedział.

- No cóż, zapewne twoja prośba zostałaby uznana za żart w Imperialnej Marynarce, koreliańskiej

flocie i w wielu innych miejscach, ale nie zdziwiłaby nikogo z Dowództwa Floty Nowej Republiki. Wszystko dlatego, że korzenie wielu naszych tradycji sięgają pirackich początków istnienia Sojuszu Rebeliantów. Nadal jesteś tym zainteresowany?

Prosiak nie opowiedział, ale kiwnął głową. Na jego twarzy malowała się dezorientacja i zdumienie.

- Musiałbyś zacząć od wysłania do Dowództwa Floty formalnej prośby o pozostawienie cię na stanowisku dowódcy „Nocnego Gościa” - zaczął Antilles. - Potem powinieneś złożyć podanie o przeniesienie cię z wydziału gwiazdnych myśliwców do wydziału dowództwa floty. Ja je poprę i jestem niemal pewien, że marynarka zgodzi się z moją opinią. Naprawdę cenią oficerów, którzy umieją opanowywać gwiazdne okręty i przyłączać je do floty Nowej Republiki. Później odbędziesz przyspieszony kurs z zakresu tradycji marynarki i dowodzenia okrętem liniowym. Otrzymasz awans do stopnia porucznika marynarki, a jednocześnie tymczasowe mianowanie na stanowisko kapitana. Nie masz specjalnie dużego doświadczenia i kilka pierwszych miesięcy będziesz dostawał proste zadania w rodzaju ochrony konwojów frachtowców transportujących mało ważne towary. Dopiero po upływie mniej więcej roku ci z Dowództwa dojdą do przekonania, że jesteś wystarczająco kompetentnym oficerem, aby powierzać ci trudniejsze zadania i awansować do stopnia kapitana. Osobiście uważam, że byłoby szkoda, gdyby tak obiecujący pilot jak ty został zwyczajnym szyprem gwiazdnej barki. Muszę jednak przyznać, że to opinia pilota X-winga i zarazem niepoprawnego nicponia. Janson parsknął śmiechem, ale Wedge go zignorował.

- Co ty na to, Prosiaku? - zapytał po chwili. - Po roku byłbyś już kapitanem marynarki. Nadal cię to interesuje?

Gamorreanin nie odzywał się pewien czas, a w końcu pokręcił głową.

- Może jestem samolubny - zaczął. - Wszyscy jednak pamiętają, kim są Lando Calrissian i Wedge Antilles, i co zrobili podczas bitwy o Endor. A kto pamięta nazwisko kapitana albo artylerzysty „Fregaty Sztabowej”, która także brała udział w tej bitwie?

Wedge się uśmiechnął.

- Ja pamiętam - powiedział. - Ale chyba wiem, o co ci chodzi, i doceniam, że zostajesz z nami. - Odwrócił się do pozostałych. - W porządku, wracamy do „Nocnego Gościa” i bieżącej sytuacji. Cubber, jak tam z paliwem?

- Bardzo dobrze - odparł szef mechaników. - Zbiorniki „Nocnego Gościa” były prawie pełne, a na pokładzie znalazłem sprzęt umożliwiający przepompowywanie. Wyciągnąłem z korwety tyle, żeby napęlić zbiorniki „Narry” i wszystkich X-wingów z wyjątkiem myśliwca Jesmin Ackbar.

- Kiedy skończymy tę odprawę, wydam jej rozkaz lądowania, żebyś mógł napęlić także zbiornik jej X-winga, a zamiast niej wyślę na orbitę Myna.

- Dziękuję, panie komandorze. - Głos Kalamarianki dochodził z leżącego na stole komunikatora.

- O rety, zapomniałem, że przysłuchujesz się naszej rozmowie mruknął Antilles. - Młynku, czy przepisałeś do pamięci nawigacyjnych komputerów wszystkich myśliwców i „Narry” dane z pamięci komputera „Nocnego Gościa”?

Bothanin pokiwał głową.

- W każdej chwili możemy dokonać skoku z tego systemu, panie komandorze - zameldował.

- Phananie? - zapytał Wedge. - Twój stan?

Ton Phanan nie wyglądał już tak blado jak wówczas, kiedy krążył po orbicie w kabinie uszkodzonego X-winga, ale sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

- Zniszczyli mój myśliwiec - powiedział.

- Chodziło mi o stan zdrowia twojego organizmu - sprecyzował Antilles.

- Aha. Tym razem moje ciało odniosło tylko nieznaczne uszkodzenia - zaczął Phanan. - Nie straciłem żadnej kończyny ani organu i zapewniam pana, że uważam to za duże osiągnięcie. Nie wszystkie uszkodzenia moich protez zostały jednak usunięte. Powłóczę lewą nogą, która nie otrzymuje właściwych impulsów nerwowych. Moja prawa ręka na ogół działa sprawnie, ale kiedy zaczynam korzystać z komputerowego notatnika, wysyła jakieś sygnały i notatnik wariuje. - Phanan machnął prawą ręką. Wyglądała jak każda inna ludzka kończyna górna, ale cały czas drżała. Serdeczny palec rytmicznie podrygiwał, a ciało u nasady dłoni marszczyło się i falowało, co nie zdarzało się u istoty ludzkiej. Wyglądało jednak na to, że Phanan nie przejmuje się takimi drobiazgami. - Ale jeżeli jeszcze trochę popracuję z pokładowymi komputerami okrętu, wszystko powinno wrócić do normy.

- Cubber, Kell, a co z tym urządzeniem, które zainstalowano na kadłubie wahadłowca? - zainteresował się dowódca.

Kell wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć coś więcej, skoro jego pamięć uległa nieodwracalnemu uszkodzeniu, ale to chyba była pasożytnicza aparatura telekomunikacyjna - powiedział. - Potrafiła się przemieszczać i była pokryta kamuflującym lakierem. Co więcej, mogła zmieniać jego kolor w zależności od pancerza albo kadłuba jednostki, do której się przyczepiała. Prawdopodobnie miała także bardzo ograniczoną możliwość przesyłania sygnałów przez nadprzestrzeń... ale ponieważ pamięć uległa uszkodzeniu, nie jestem w stanie się zorientować, dokąd je nadawała. Wydaje mi się jednak możliwe, że mogła się przyczepiać do różnych jednostek i od czasu do czasu przekazywała sygnał informujący o aktualnym miejscu pobytu.

- Nie ma się czym przejmować, jeżeli istniało tylko jedno takie urządzenie - odezwał się Młynek. - Ale jeśli się okaże, że ktoś skonstruował setki albo tysiące podobnych pasożytów, powinniśmy zwrócić na nie baczniejszą uwagę. Używając ich, nasi nieprzyjaciele mogą zaznaczyć na swoich mapach źródła niezwykłych sygnałów, dzięki czemu dowiedzą się ciekawych rzeczy... na przykład poznają położenie baz przemytników czy usytuowanych w głębi przestworzy punktów zbornych.

- A także ukrytych baz Sojuszu - dodał Wedge. - Jesmin, nie zapomnij o włączeniu tej informacji do raportu, jaki prześlemy do Dowództwa. „Dowódcy wszystkich okrętów, pamiętajcie o...”

- Zrozumiałam.

Wedge spojrział na następny punkt listy spraw do omówienia.

- No dobrze - zaczął. - Spreparowaliśmy raport i wysłaliśmy go w imieniu kapitana Darilliana razem ze wszystkimi właściwymi zabezpieczeniami. Wyjaśniliśmy, że po wskoczeniu do systemu Xobome imperialny dowódca natknął się na opuszczony myśliwiec typu X-wing. Domyślił się, że jego pilot zdołał się katapultować w przestworza, ale kiedy wysłał grupę osób, żeby zbadały wrak maszyny... rebeliancki myśliwiec po prostu eksplodował. Okazało się, że jego pilot zastawił sprytną pułapkę. Wysłaliśmy już ten raport i mamy nadzieję, że zapobiegnie kolejnym próbom zbadania tego, co wydarzyło się w systemie Xobome. Dzięki temu zyskaliśmy trochę czasu, więc będziemy czuwać na zmianę i poświęcimy kilka godzin na odpoczynek. Wystartujemy, kiedy wszyscy będziecie wypoczęci.

- Miej się na baczności, Zacisze - odezwał się Kell. - Nadlatujemy.

- Nie, panie Tainer, nie lecimy do Zacisza - wyprowadził go z błędu Antilles. - Musimy najpierw

odwiedzić trzy inne niezamieszkałe systemy. Zamierzam zabrać na pokład pozostawione tam miny typu Empion, które nie zdołały jeszcze wysłać żadnego sygnału. Dopiero potem udamy się do systemu Viamarra.

Kell zmarszczył brwi. Wyglądał na zdezorientowanego.

- Jeżeli mogę zapytać, panie komandorze... - zaczął.

- ...dlaczego właśnie tam się skierujemy? - domyślił się dowódca. - Bo tym miała się zajmować załoga „Nocnego Gościa”. Panie, panowie... korzystając z okazji, przejmuję inicjatywę i wysyłam do Naczelnego Dowództwa prośbę o zatwierdzenie mojego planu. Właśnie staliśmy się załogą jednego z okrętów floty lorda Zsinja... i zamierzamy wykonywać jego rozkazy, dopóki nie wymyślimy, jak dobrać mu się do skóry.

Kell wyszedł na korytarz z przydzielonej mu kabiny, ubrany w czarny kombinezon lotniczy pilota myśliwca T1E - jakimś cudem znalazł jeden w swoim rozmiarze - i zaczął energicznie wycierać ręcznikiem mokre włosy.

Na pokładzie „Nocnego Gościa” panowała niezwykła cisza. Okręt nadal spoczywał na powierzchni Xobome Sześć, więc silniki nie wprawiały w drżenie kadłuba, a był na tyle duży i ciężki, że nie przeszkadzała mu szalejąca wichura. Większość członków poprzedniej załogi zamknięto w rufowej świetlicy i starannie strzeżono, a pilotów Eskadry Widm było tak niewielu, że prawie nie słyszało się ich głosów.

Kell ruszył biegnącym przez całą długość okrętu głównym korytarzem w stronę mostka. Po drodze usłyszał głosy napływające od strony klatki schodowej z kręconymi schodami.

Skierował się tam. Kiedy skręcił z głównego korytarza pokładu pierwszego, znalazł się w ośrodku łączności okrętu. Pomieszczenie było niewielkie, a jego ściany zabudowano od pokładu po sufit sporymi modułami aparatury telekomunikacyjnej.

W ośrodku łączności siedzieli Jesmin i Buźka. Towarzyszył im mężczyzna... a ściślej, jego hologram. Mężczyzna był szczupły i nienagannie ogolony, miał drapieżne rysy twarzy i sokoli nos, a na sobie nieskazitelnie odprasowany czarny mundur z oznakami kapitana Imperialnej Marynarki. Siedział na wywierającym imponujące wrażenie fotelu dowodzenia, a podczas wygłaszania przemówienia cały czas wykonywał irytująco teatralne gesty.

- Polecono nam zmontowanie sieci zdolnej do schwytania wszystkich Rebeliantów, którzy mieli szczęście przeżyć zniszczenie bazy na Folorze i uciec - mówił. - Nasze zadanie polega na postawieniu min typu Empion wzdłuż czterech najbardziej prawdopodobnych tras ucieczki. Potem będziemy już tylko cierpliwie czekać w astrograficznym ośrodku sieci na wszystkie żalosne owady, jakie wpadną w naszą pułapkę. - Kiedy pochylił się w stronę obiektywu holograficznej kamery, w jego oczach pojawiły się złowieszcze błyski. - Osobiście liczę na to, że przynajmniej niektórzy zdołają dokonać prowizorycznych napraw w czasie, jaki nam zajmie ich złapanie. Przyda się nam trochę walki.

Para pilotów wybuchnęła głośnym śmiechem. Jesmin przycisnęła guzik na głównej konsoli i wizerunek imperialnego kapitana znieruchomiał. Wyraz jego twarzy nadal jednak sugerował, że właśnie zdradził słuchaczom i widzom najściślej strzeżoną tajemnicę.

- Kto to jest? - zapytał Tainer.

Buźka rozparł się na fotelu i rozluźnił mięśnie.

- To była ozdoba sufitu mostka naszego okrętu - powiedział. Kapitan Zurel Darillian. Wygląda na to, że prowadził dziennik okrętowy w postaci hologramu.

- Co za osobowość! - Kell pokręcił głową. - To musiało zajmować mnóstwo pamięci.

- Osobowość czy hologramy? - zainteresował się Buźka.

Jesmin aprobująco łypnęła na niego jednym okiem i kiwnęła głową Kellowi.

- Rzeczywiście zajmowało - przyznała. - Ale sądziłam, że skoro Buźka był aktorem, powinien zobaczyć, jak zachowuje się ten mężczyzna. Rzadko oglądałam kogoś równie pompatycznego, równie zadowolonego z siebie, równie... odrażającego.

- A ja tak - odezwał się Buźka. - Kiedyś siedziałem na kolanach Ysanny Isard.

Kell i Jesmin spojrzeli na niego, jakby nie wierzyli własnym uszom.

- Żartujesz - odezwał się Tainer.

- Och nie, wcale nie - oznajmił Garik. - Nieco wcześniej na wszystkich planetach Imperium zaczęto pokazywać Wygraj albo giń. Grałem tam małego chłopca, syna dwojga patrycjusza Starej Republiki, ale wiedziałem, że przyszłość należy tylko do Imperium. Starałem się uciec w bezpieczne miejsce, które mógł mi zapewnić nowy Imperator, ale mój tata nie był tym zachwycony i strzelił mi prosto w plecy. Umierając w ramionach Imperatora, błagałem go, żeby dokończył podboju galaktyki, aby źli ludzie w rodzaju moich rodziców zniknęli z niej raz na zawsze...

Jesmin zachichotała histerycznie, a po chwili przyłożyła obie dłonie do ust i trzęsła się od powstrzymanego śmiechu. W końcu spoważniała.

- Buźko, to okropne! - wykrzyknęła.

Garik wyszczerzył zęby w beztroskim uśmiechu.

- Do takich chwytów uciekała się machina starej propagandy powiedział. - Sztuka cieszyła się tak wielką popularnością, że wysłano mnie do Imperialnego Centrum, to znaczy na Coruscant, żebym mógł się zobaczyć z prawdziwym Imperatorem. Okazało się jednak, że odleciał, aby uporać się z ważnym problemem. Dopiero później się dowiedziałem, że właśnie otrzymał jeden z pierwszych raportów na temat Sojuszu Rebeliantów. Jak można się było spodziewać, nie miał nastroju do przyjmowania wizyt młodocianych aktorów. Zamiast niego pozwolono mi się zobaczyć z Ysanną Isard, która posadziła mnie na kolanach, pogłaskała po włosach i powiedziała, że jestem bardzo grzecznym chłopcem.

Kell skończył wycierać włosy i przerzucił ręcznik przez ramię.

- Jak się wówczas poczułeś? - zapytał.

- Jak ktoś głaskany przez ubranego w ludzki strój jadowitego gada, tylko mniej przyjemnie. - Buźka się wzdrygnął. - Kiedy Isard została zabita przez pilotów Eskadry Łotrów, przeżyłem największy zawód, jaki spotkał mnie po przyłączeniu się do Nowej Republiki, bo oznaczało to, że nie będę już mógł tego zrobić. Tak czy owak, w porównaniu z nią kapitan Darillian był po prostu żalonym popychadłem. Osiągnął najwyższy poziom przydatności, pilotując na rozkaz imperialnego lorda wyładowaną minami gwiazdną barkę, a później okazał się takim niezdara, że trzeba go było zdrapywać z płyt pokładu.

- Lepiej przygotuj się do drogi, Kellu - odezwała się Jesmin. - Startujemy za pół godziny.

- Jak sobie to wyobrażasz? - zainteresował się Tainer. - Kto będzie pilotował „Nocnego Gościa”, skoro większość pilotów wraca do X-wingów? Kto będzie stał na straży świetlicy pełnej imperialnych więźniów?

- Do górnej ładowni korwety zdołaliśmy wcisnąć dwa X-wingi i przymocowaliśmy je do płyt pokładu, żeby się zmieściły, ale i tak niewiele brakuje, aby stały jeden na drugim - oznajmiła Kalamarianka. - „Narre” dołączono do bakburtowej śluzy cumowniczej korwety. Za sterami

„Nocnego Gościa” usiądzie sam komandor Antilles. Twierdzi, że przywykł do pilotowania koreliańskich frachtowców. Phanan, Bużka, Młynek, Skrzypek, Cubber i ja będziemy podróżowali na pokładzie korwety. - Do jej ociekającego słodyczą głosu wkradł się sarkazm. - Chyba jakoś sobie poradzimy.

- No cóż... niech będzie. Masz moje pozwolenie - odparł Kell, ale chwilę później się zreflektował. - Posłuchajcie, skoro przekazujemy raporty lordowi Zsinjowi, dlaczego nie możemy po prostu prześledzić, jaką trasą wędrują po łączach HoloNetu? Moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie się ukrywa.

- Bużka zapytał mnie o to samo - stwierdziła Jesmin. - Rzeczywiście wszystko mogłoby wyglądać bardzo prosto, gdybyśmy porozumiewali się z nim w zwyczajny sposób. Problem w tym, że „Nocny Gość” nie wykorzystuje HoloNetu w celu przekazywania raportów. Korzystamy z transmisji przez nadprzestrzeń za pomocą specjalnie wybranych szlaków.

- A to oznacza, że okręt Zsinja albo same przekaźnikowe satelity mogą się znajdować gdziekolwiek na tych szlakach... na przestrzeni setek, a może nawet tysiąca lat świetlnych - domyślił się Tainer.

Jesmin kiwnęła wielką głową.

- To właśnie dlatego jestem Pirotechnikiem, a nie Łącznościowcem - odezwał się Kell. - Wysadzanie obiektów w powietrze jest o wiele prostsze.

Pożegnał ich żartobliwym salutem i wyszedł.

Wracając korytarzem do tymczasowo zajmowanej kabiny, ujrzał idącego w jego stronę Wesa Jansona. Minęli się bez słowa i tak daleko jeden od drugiego, że otarli się o przeciwległe ściany.

Kiedy w końcu stanął przed drzwiami, omal nie zderzył się z wychodzącym z sąsiedniej kabiny Donosem.

- Cześć, Myn - powiedział. - Jak tam Błyszczyk?

Donos sprawiał wrażenie wypoczętego i bardzo ożywionego.

- Błyszczyk? - powtórzył. - Miewa się doskonale. Dlaczego pytasz?

- No cóż, jeszcze niedawno sprawiałeś wrażenie bardzo zaniepokojonego jego stanem - przypomniał Tainer. - Zastanawiałem się, czy twój robot nie odniósł poważnych uszkodzeń, którymi powinienem się zająć.

Korelianin pokręcił głową.

- Nie, ja tylko, uhm... - Znieruchomiał na chwilę i chyba, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. - Kellu, pozostawiliśmy je w idealnej próżni - odezwał się w końcu. - Po prostu sędzę, że powinniśmy je chronić.

- Masz rację - odparł zaskoczony Tainer. Starał się dopasować usłyszaną odpowiedź do zachowania kolegi sprzed kilku godzin, ale nie potrafił. - No cóż, cieszę się, że nie stało mu się nic złego.

Odwrócił się, wszedł do kabiny i zostawił na korytarzu porucznika, który w końcu mu nie wyjaśnił, dlaczego się tak dziwnie zachowuje.

Odnalezienie pozostawionych w przestworzach min typu Empion i ściągnięcie ich do dolnej ładowni „Nocnego Gościa” zajęło im prawie dwa dni. W tym czasie piloci X-wingów pełnili na pokładzie korwety różne obowiązki, żeby wszyscy mieli zapewniony niemal wystarczający okres odpoczynku.

Kell zaproponował Antillesowi jeszcze kilka zmian w konstrukcji zdobytego okrętu. Wedge

zaakceptował je, zwolnił go ze służby i polecił, żeby razem z Cubberem zajął się ich realizacją.

Zaczęli od zespawania metalowych płyt o rozmiarach i kształtach zbliżonych do skrzydłowych paneli słonecznych myśliwców T1E i przytwierdzili je między wiszącymi po obu stronach kadłuba ratunkowymi kapsułami. Przetransportowali obie kuliste kapsuły do spodniej ładowni i polakierowali pozostałe na ten sam ciemnoszary imperialny kolor, jaki miały kadłuby gał. Potem Wedge osobiście wyprowadził z dziobowej ładowni oba pozostałe myśliwce typu T1E i zamocował je w pustych miejscach po kapsułach. Z daleka wyglądało to, jakby obok kadłuba okrętu nadal wisiały kapsuły ratunkowe, a przymocowane tam myśliwce T1E mogły wystartować szybciej i bezpieczniej, niż gdyby się znajdowały w dziobowej ładowni.

Dzięki temu, że Wedge usunął obie gały, Kell i Cubber mogli rozmontować stojaki, które dotąd unieruchamiały imperialne maszyny. Korzystając z metalowych elementów i materiałów znalezionych w dolnej ładowni, zespawali nowy komplet prowadnic i mocowań i zainstalowali je w trzech rzędach, jeden nad drugim, w najbardziej odległej od wrót części dziobowego hangaru.

Wymagało to bardzo zręcznego manewrowania, ale piloci X-wingów mogli obecnie, posługując się repulsorami, wlecieć tyłem do ładowni i korzystając z pomocy przebywającego tam kolegi, wślizgnąć się między prowadnice zainstalowane w taki sposób, żeby utrzymywały płyty nośne w odpowiednim położeniu. Kiedy wszystkie myśliwce dotarły do końca prowadnic, mogły zostać unieruchomione przez opuszczane w góry metalowe klamry.

Dzięki temu znalazło się miejsce dla trzech kolumn po trzy X-wingi w każdej. Teponose maszyny stały lekko ukośnie, żeby ich płyty nośne się nie stykały. Po otwarciu wrót ładowni stojące w środkowej kolumnie myśliwce mogły wylecieć szybko i względnie bezpiecznie. Start pozostałych sześciu stojących pod ścianami maszyn wymagał więcej czasu, ale prowadnice powinny zapobiec wypadkom.

Mając dziewięć X-wingów w dziobowym hangarze i jeszcze dwa w górnej ładowni, „Nocny Gość” mógł obecnie transportować jedenaście X-wingów i dwie gały.

Cubber zachichotał i zatarł ręce.

- To więcej niż ma cała eskadra, a wszystko dzięki wybitnym umiejętnościom konstruktorów - powiedział.

- Nieźle, zupełnie nieźle - pochwalił Wedge.

Chwycił najbliższy pionowy element metalowej konstrukcji i naparł na niego z całej siły. Belka nawet nie drgnęła. Dowódca się uśmiechnął.

„Nocny Gość” był gotów do akcji.

ROZDZIAŁ 13

Z bazy danych wynikało, że Viamarr Cztery jest rolniczą planetą o trochę większej sile ciężenia niż ta, jaka panowała na Coruscant. Głównym towarem eksportowym był rosnący pod powierzchnią gruntu grzyb, którego łodygi i bulwy nierzadko porastały obszar o średnicy większej niż kilometr. Grzyby te - z powodu ich koloru niewłaściwie nazywane czarnymi korzeniami z Viamarra - cieszyły się powodzeniem ze względu na dużą wartość odżywczą i mięsistą tkankę.

- Kto ma doświadczenie w pilotowaniu myśliwców T1E? - zapytał Wedge. - Choćby tylko na symulatorach?

Sam podniósł rękę.

Podobnie postąpili Prosiak, Falynn, Buźka i Janson.

- Prosiaku, jak czułeś się w symulowanej kabine gały? - zainteresował się Antilles.

- Paskudnie, panie komandorze - odparł Gamorreanin.

- W porządku. Chciałbym, żeby Wes został na pokładzie „Nocnego Gościa”. Falynn, przebierz się w kombinezon imperialnego pilota. Przelecimy kilka razy nad stolicą Viamarra Cztery.

Posępna pilotka z Tatooine obdarzyła go jednym z rzadko widywanym u niej uśmiechów.

- Skrzypek poinformował mnie, że w rufowej świetlicy stoi symulator myśliwca T1E - ciągnął Wedge. - Wcale mnie to nie dziwi, skoro ta korweta tak bardzo stara się udawać kieszonkowy lotniskowiec. Zalecam, żeby przynajmniej niektórzy z was na nim poćwiczyli. Wygląda na to, że w najbliższej przyszłości będziemy pilotowali myśliwce tego typu.

Komandor spojrział z nieukrywaną irytacją na mało znajomy zestaw monitorów i urządzeń kontrolnych, ciężko westchnął i pstryknął dźwigienkami dwóch przełączników. Myśliwiec T1E dał znać cichym pomrukiem, że pokładowe podzespoły budzą się do życia.

- Mam oba działające i zielone - zameldował.

Odruchowo zwrócił głowę w prawo, a potem w lewo, żeby zerknąć na otaczające go przestworza. W porę się opanował, żeby nie zakląć. Imperialne maszyny nie miały iluminatorów umożliwiających rozglądanie się na boki, a nawet gdyby je miały, pilot zobaczyłby jedynie wsporniki i wewnętrzne powierzchnie sześciokątnych paneli z ogniwami słonecznymi. Iluminatory myśliwców T1E zapewniały tylko widok do przodu i w górę. Wedge ujrzał ozdobione punkcikami gwiazd bezkresne przestworza i przypomniał sobie, że wisi w miejscu, z którego nieco wcześniej usunięto ratunkową kapsułę.

Nie miał ochronnych pól. Nie mógł się katapultować w próżnię. Myśliwce T1E były przeznaczonymi na straty maszynami szturmowymi, a ich pilotów Imperium traktowało właściwie jak części zamienne. Wedge zaś nigdy nie lubił, gdy ktoś chciał spisywać go na straty.

- Wskaźniki laserowych działek optymalne - zameldował. - Jak mnie słyszycie?

- Panie komandorze, dopóki nie wystartuje pan w przestworza, pańskie sygnały są przekazywane drogą bezpośrednią - przypomniała mu Jesmin.

Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Zapytam o to jeszcze raz, kiedy wystartuję. „Szary Dwa”, melduj swój stan.

- Bliźniacze silniki jonowe funkcjonują prawidłowo i optymalnie odezwała się lekko zdenerwowana Falynn. - Wszystkie pokładowe systemy zielone. Oba działka laserowe dysponują pełną mocą. Osłony... niech to zaraza. To znaczy, uhm, bardzo przepraszam, panie komandorze.

- Nic nie szkodzi - uspokoił ją Antilles. - Ja się czuję tak samo.

- Nie cieszy mnie myśl, że będę musiała tym lądować - ciągnęła pilotka z Tatooine. - Nawet kiedy ćwiczyłam lądowanie na symulatorze, nigdy nie trafiałam dokładnie na stanowisko ładownicze.

- Poradzisz sobie - zapewnił Wedge. - Tylko pamiętaj, żebyś nastawiła korbkę drążka na minimalną wrażliwość. Zapewne odniesiesz wrażenie, że pełniesz centymetr po centymetrze, ale przynajmniej nie roztrzaskasz się o nic podczas lądowania. Przyglądaj się, jak ja to robię.

Musiał wcielić słowa w czyn. Nastawił korbkę kontrolnego drążka na najmniejszą czułość, zwolnił zaczepy mocujące gałę do kadłuba „Nocnego Gościa” i przesłał energię do silników jonowych.

Dryfując w przestworzach, zaczął się oddalać od korbety. Kiedy dalmierz poinformował go, że odległość wzrosła do pięćdziesięciu metrów, obrócił maszynę w miejscu i spojrzał w przestworza pod spodem kadłuba imperialnego okrętu. Zobaczył, że widoczny po drugiej stronie myśliwiec Falynn także powoli opada poniżej stępki korbety.

- Doskonale - powiedział. - Gotowa do lotu?

- Gotowa, panie komandorze.

- Klucz Szarych startuje - zameldował. Pociągnął do siebie drążek sterowniczy i pokręcił gałką przepustnicy, żeby przesłać więcej energii do jednostek napędowych. Myśliwiec T1E łagodnie przyspieszył. Wedge skierował go ku majaczącej w oddali kuli Viamarra Cztery. Z przyjemnością zauważył, że Falynn podąża za nim bez widocznego opóźnienia. Wyglądało na to, że nie zmarnowała czasu, doskonaląc na symulatorze umiejętność pilotowania imperialnej maszyny.

Kwadrans później zanurkowali w górne warstwy atmosfery planety i skierowali się w stronę stolicy Viamarra Cztery, Velery, zamieszkiwanej przez mniej więcej sto tysięcy osób i położonej na największym kontynencie półkuli południowej. Stolicę otaczały zalesione tereny, upstrzone w wielu miejscach większymi i mniejszymi skupiskami drewnianych chat.

W końcu ktoś zwrócił uwagę na pojawienie się nieznanymi maszyn w atmosferze.

- Nadlatujące myśliwce, tu kontrola ruchu powietrznego Velery usłyszał Wedge w głośniku komunikatora. - Prosimy o podanie danych identyfikacyjnych. Czy mnie rozumiecie?

Komandor przełączył komunikator na nadawanie i postanowił nie szyfrować odpowiedzi.

- Kontrolo Velery, tu klucz Szarych - powiedział. - Eskortujemy prywatny jacht „Nocny Gość”.

- Ach, tak. - W głosie operatora kontroli lotów zabrzmiał niepokój. - Kluczu Szarych, prosimy obrać kurs na dwa-pięć-pięć i wylądować na głównym lądowisku Velery.

- Przykro mi, ale nie możemy - odparł Antilles. - Niczego takiego nie przewidują otrzymane przez nas rozkazy.

Piloci myśliwców T1E z pokładu „Nocnego Gościa” mieli do wykonania bardzo łatwe zadanie. Powinni tylko kilkakrotnie przelecieć nisko nad stolicą, wystraszyć pilotów miejscowych statków atmosferycznych, nie pozwolić miejscowym władzom na narzucenie im swojej woli i powrócić do hangaru imperialnej korbety. Nic prostszego. Trudniący się rolnictwem osadnicy Viamarra Cztery nie mieli nawet odpowiednich systemów obronnych... nic, czego powinni się obawiać piloci

myśliwców T1E.

- Uhm, czy mogę się dowiedzieć czegoś więcej na temat otrzymanych przez was rozkazów? - zainteresował się operator.

- Jeżeli zostaniecie na swoich miejscach, za minutę sami zobaczycie - oznajmił oschle Wedge.

W oddali prosto na kursie pojawił się prześwit w gęstym lesie, co musiało zwiastować bliskość Velery.

Nagle z pulpitu sensorów wydobył się przeraźliwy pisk, który Wedge od razu rozpoznał. Przełączył komunikator na częstotliwość umożliwiającą utrzymywanie łączności z „Nocnym Gościem” i skrzydłową.

- „Dwójka”, podążaj za mną - rozkazał. - Ktoś stara się namierzyć nas i zestrzelić z lasera.

Przyciągnął drążek do siebie i śmignął świecą w górę.

Kiedy wykonał pełną pętlę, przez górną część iluminatora kabiny gały zobaczył ścigających ich prześladowców: dwie dwuskrzydłowe, tęponose maszyny, trochę podobne do X-wingów, wyposażone w kabiny z opływowymi owiewkami w kształcie kropli wody.

- To Łowcy Główni! - powiedział. - Wygląda na to, że kiedy Zsinj patrzył w inną stronę, zafundowali sobie system obrony przeciwko gwiazdowym myśliwcom.

- Maszyny typu Mark Jeden - stwierdziła Falynn. - Widzi pan te ruchome skrzydła? To bardzo przestarzały model.

- Możliwe, ale jeżeli chodzi o walkę w atmosferze, są równie skutecznie jak myśliwce typu T1E - zauważył Antilles. - A ich lasery mogą nas przyprawić o naprawdę paskudny ból głowy.

Wedge ujrzał, że piloci Łowców Główni starają się zwiększyć pułap lotu, aby zająć pozycje za ogonami myśliwców T1E. Chwilę później usłyszał napastników przez komunikator.

- Kluczu Szarych, tu „Czarnoskrzydły Jeden”. Musisz usłuchać polecenia kontroli ruchu powietrznego Velery. Natychmiast.

Ton głosu sugerował, że pilot jest młodym mężczyzną, prawdopodobnie wieśniakiem.

Wedge pokręcił głową. No, no... Wieśniacy w kabinach Łowców Główni starali się zestrzelić go z laserowych działek.

- Nie możemy do tego dopuścić - mruknął do siebie. Wprowadził myśliwiec w boczny i zanurkował, żeby zająć pozycję za ogonami Łowców Główni. Tarcie cząsteczek atmosfery o panele z ogniwiemi słonecznymi zaczęło ściągać jego myśliwiec na sterburtę, ale dzięki sile i dużemu doświadczeniu Wedge zmusił maszynę do lotu pożądanym kursem.

Z początku martwił się, czy Falynn potrafi powtórzyć jego manewr. Starał się ją dojrzeć przez iluminator, ale nie zdołał, więc przeniósł spojrzenie na ekran monitora, na którym widniała świetlista plamka jej myśliwca. Skrzydłowa została trochę z tyłu, ale panowała nad maszyną.

Wyrównał lot na wysokości zaledwie kilku metrów nad wierzchołkami najwyższych drzew, wystrzelił świecą w niebo i wykonał zawrót bojowy, ani na chwilę nie spuszczać z oczu bakburtowego Łowcy Główni. Włączył systemy celownicze myśliwca T1E i niemal od razu namierzył wymykającą się sylwetkę planetarnej maszyny.

- „Czarnoskrzydły Jeden”, gdybym się łatwo denerwował, jeden z was już by nie żył - powiedział.

- Tak ci się wydaje? - usłyszał w odpowiedzi. - Nasze myśliwce są o wiele bardziej odporne na trafienia z laserów niż te tekturowe pudełka, którymi wy latacie.

Pilot namierzonego Łowcy Główni raptownie skręcił w lewo, przechylił maszynę na sterburtowe

skrzydło i zaczął wykonywać ciasny zwrot na sterburcie.

- Będą musiały to udowodnić, jeżeli nie przestaniesz mnie złościć odparł Antilles.

Bez trudu powtórzył manewr pilota ściganego Łowcy Główn. Lecąc za nim, starał się przewidywać jego zwroty i uniki. Powtarzał manewry tamtej maszyny i konsekwentnie zmniejszał odległość dzielącą go od archaicznego myśliwca, aż znalazł się jakieś pięćdziesiąt metrów za jego ogonem.

Rzucił okiem na pulpit sensorów. Falyrn nic nie mówiła, ale powtarzając manewry drugiego Łowcy Główn, trzymała się cały czas blisko jego ogona. W końcu usłyszał jej głos w kanale łączności z „Nocnym Gościem”:

- Panie komandorze, to będzie bardzo proste, ale naprawdę nie chciałabym rozpylać żadnego z tych pogromców gleby na atomy.

- Nie przestawaj go namierzać i trzymaj się blisko niego, „Dwójko” - polecił Antilles. - Może nabiorą rozumu i zrezygnują.

Pilot ściganego przez niego myśliwca skręcił w lewo i raptownie zanurkował w stronę baldachimu drzew. Wedge podążył za nim.

W pewnej chwili Łowca Główn wleciał w gęstwinę najwyższych gałęzi drzew, a Antilles aż zamrugał ze zdumienia.

Zastanawiał się, czy lecieć za nim, czy może zrezygnować z pościgu. Pilot był młody, arogancki i w gorącej wodzie kąpany, ale nie sprawiał wrażenia samobójcy. Wedge podążył za nim.

Usłyszał trzask, z jakim panele ogniów słonecznych myśliwca T1E przedzierały się przez gałęzie, i nagle znalazł się poniżej poziomu baldachimu liści. Ścigany przez niego Łowca Główn skręcił na sterburcie i leciał obecnie nisko nad leniwie płynącą rzeką. Antilles zajął pozycję za jego ogonem.

- Uwaga, Czarnoskrzydli, tu „Szary Jeden” - zaczął. - Czy jesteście gotowi dać nam spokój i wrócić do domu?

- „Szary Jeden”, masz najwyżej sekundę, zanim zawrócę i poczęstuję cię w zęby ogniem z sześciu laserowych działek.

Rozległ się trzask i do rozmowy przyłączył się operator kontroli ruchu powietrznego Velery:

- Klucz Czarnoskrzydłych, zrezygnować z ataku i wrócić do bazy. To rozkaz.

- Proszę pana... - W ponurym głosie pilota „Czarnoskrzydłego Jeden” zabrzmiała frustracja.

- To polecenie samego gubernatora, „Czarnoskrzydły Jeden” - przerwał mu operator. - A może chcecie, żeby odebrał wam licencje pilotów, a zamiast nich wręczył prawa jazdy traktorzystów?

- Nie, proszę pana.

„Czarnoskrzydły Jeden” zrezygnował z dalszych szyderczych uwag pod adresem pilotów myśliwców typu T1E, zmniejszył prędkość, śmignął świecą ku niebu, przedarł się przez gęstwinę liści i zniknął. Widoczny na ekranie monitora punkcik „Czarnoskrzydłego Dwa” także obrał kurs podany przez kontrolę Velery.

- Świetnie sobie radzisz, „Szary Dwa” - pochwalił Antilles. - A teraz przelecimy nad ich budynkami rządowymi.

- Zapowiada się świetna zabawa, „Jedynko” - odparła skrzydłowa.

Jesmin rozsiadła się wygodniej na fotelu oficera łącznościowca.

- Panie poruczniku, otrzymujemy wiadomość z ratusza Velery - zameldowała. - To ich najważniejszy budynek. Proszą o podanie specjalnego kodu, który mamy zapisany w pamięci pokładowego komputera. Wszystko wskazuje, że już kiedyś rozmawiali z kimś z „Nocnego Gościa”.

Rozparty na fotelu kapitana Janson sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- W zadaniach tej wyprawy nie było o tym żadnej wzmianki - odezwał się w końcu. - Nie mieli nawiązywać z nami łączności. Powinni tylko zakopać topór wojenny i cierpliwie czekać na przelot naszych myśliwców T1E.

Jesmin wzruszyła ramionami... zupełnie jak człowiek.

- Wiem o tym - powiedziała.

- No cóż, odbierz tę rozmowę - zdecydował zastępca. - Powiedz im, że kapitan Darillian się kąpie albo coś w tym rodzaju.

- Panie poruczniku, załoga dowodzonego przez Darilliana „Nocnego Gościa” z pewnością przestrzegająca imperialnych protokołów sprzeciwiła się Jesmin.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To znaczy, że oficerem łącznościowcem nie mogła być Kalamarianka.

Janson syknął z irytacją.

- No cóż, ja nie mogę odebrać tej rozmowy - stwierdził. - Zbyt wiele osób zna moją twarz.

Oboje popatrzyli na siedzącego przed nawigacyjną konsolą Bużkę. Garik się wyprostował.

- Uhm... mogą mnie rozpoznać nawet mimo blizny na twarzy powiedział. - Tak jak poznały mnie niektóre Widma.

Janson nawet nie starał się ukryć narastającej frustracji.

- Bużko, jesteś aktorem - przypomniał. - Wymyśl coś.

Garik wstał i zaczął się gorączkowo rozglądać po mostku, ale nie zobaczył niczego, co mogłoby mu się przydać. Za konsolami leżało tylko kilka przedmiotów porzuconych w pośpiechu przez pełniących na mostku służbę członków poprzedniej załogi. W pewnej chwili spojrzenie Bużki padło na otwór w pokładzie, którego brzegi Cubber starał się wyrównać, żeby przykryć go metalową płytą. Obok otworu stała niewielka skrzynka z narzędziami.

Bużka wyciągnął z niej gogle Cubbera, które szef mechaników nakładał podczas spawania. Po chwili wahania sięgnął także po ciśnieniowy pojemnik z pomarańczowym lakierem używanym do oznaczania wymagających naprawy miejsc na kadłubach okrętów. Przycisnął guzik pojemnika i spryskał wewnętrzną powierzchnię spawalniczych okularów, aż stała się nieprzezroczysta.

Pojemniki ze smarem, hydroklucze, kable, sensory, giętkie rurki... Garik wyciągnął elastyczną rurkę długości połowy przedramienia i wsunął jeden koniec do dziurki w nosie, a drugi do prawego ucha. Zsunął gogle na czoło i zaczął się rozglądać za czapką pozostawioną przez imperialnego oficera.

- Puść mnie na fotel - powiedział.

Janson natychmiast usłuchał. Bużka rozparł się na fotelu, naciągnął gogle na oczy i wcisnął czapkę tak głęboko, że daszek prawie zetknął się z okularami.

- Jak to wygląda? - zapytał.

Nie mógł widzieć ich twarzy, ale Jesmin wybuchnęła głośnym śmiechem. Z trudem zrozumiał odpowiedź Jansona:

- Obrzydliwie.

- Przynajmniej nie zobaczą mojej twarzy - odciął się Garik. - No dobrze. Dajcie go na największy ekran.

Odwrócił się w kierunku głównego monitora mostka korwety. Wyczuł zmianę natężenia oświetlenia i usłyszał męski głos:

- Kapitanie D... O rety!

Buźka głęboko odetchnął i nadał głosowi basowe brzmienie, w rodzaju takiego, które mogło wprawiać w drżenie blaty biurka i skały.

- Kapitan Darillian bierze kąpiel - oznajmił z wielką pewnością siebie. - Nazywam się Narol i jestem porucznikiem. Kim pan jest i czego chce?

Postarał się, żeby z jego głosu przebijały pogarda i znudzenie.

- Uhm... jestem gubernatorem i nazywam się Watesk - odparł mężczyzna. - Bardzo chciałbym porozmawiać z kapitanem Darillianem.

Głos dostojnika miał błagalne brzmienie.

Buźka pochylił głowę, żeby spojrzeć na ekran przez szczelinę między górną powierzchnią gogli a dolną krawędzią daszka oficerskiej czapki. Na ekranie największego monitora zobaczył twarz siwiejącego, brodatego mężczyzny. Rozmówca był ubrany w brązową chłopską tunikę, ale siedział na tle kosztownej drewnianej boazerii.

- Czyżby basie nie był twoim pierwszym językiem? - zapytał obcesowo. - Nie rozumiesz? Kapitan się kąpie.

- Nie muszę się z nim widzieć - odparł pospiesznie gubernator. Chcę tylko porozmawiać.

- Dyktuje pamiętniki i polecił, żeby nikt mu nie przeszkadzał oznajmił Garik.

- W łazience? - W głosie rozmówcy zabrzmiało niedowierzenie.

- Naturalnie, że w łazience! - burknął gniewnym tonem Buźka. A gdzieżby indziej? Kapitan jest człowiekiem bardzo zapracowanym i wykorzystuje każdą wolną chwilę. To nie to samo, co przywiązany do biurka gubernator kolonii, który ma dość czasu, żeby wycierać nos jedną ręką, a drugą zbierać śmietankę z podatków obywateli! Jeżeli zamierzałeś mu coś przekazać, możesz powiedzieć to mnie. Jeżeli nie, przeskoczmy do następnego systemu, a ja złożę kapitanowi raport na temat twoich złych manier. Opowiem mu również o wyczynach twoich pilotów, którzy z nieznanego powodu postanowili pobawić się w berka z naszymi chłopcami.

- Nie! - wykrzyknął przerażony Watesk. - Panie poruczniku, błagam o wybaczenie. - Na twarzy gubernatora malowała się szczerza skrucha. - Nasze siły powietrzne są jeszcze bardzo młode, a piloci nie mają praktycznie żadnego doświadczenia. Zapewniam pana, że działali na własną rękę i zostaną przykładownie ukarani... ale nie o tym chciałem rozmawiać z kapitanem Darillianem.

Buźka postanowił dać się ubłagać. Zgarbił się i nadał twarzy znudzony wyraz.

- Możesz mówić - powiedział.

- Chodzi mi o ten układ - zaczął gubernator. - Zgadzą się, żeby Viamarr Cztery został jego sygnatariuszem. Dumnym sygnatariuszem poprawił się po chwili.

Buźka zerknął na Jesmin, która przebierała palcami po pulpicie konsoli komunikatora. Po chwili zaczęła gwałtownie gestykulować, wyraźnie dając do zrozumienia, że w pamięci komputera okrętu nie ma na ten temat żadnej wzmianki.

- Długo to trwało - oznajmił z wyrzutem Buźka. - Dlaczego uważasz, że pierwotna propozycja jest wciąż jeszcze aktualna?

Wyglądało na to, że pytanie zaskoczyło dostojnika. Zanim Watesk odpowiedział, kilka razy chwycił powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Chwilę później drewniane płytki za jego plecami zadrżały, a z odbiornika dał się słyszeć wyraźny skowyt jonowych silników myśliwców TIE przelatujących nisko nad stołecznym ratuszem. Szpakowaty mężczyzna zerknął odruchowo w sufit, ale zaraz się zreflektował i znów przeniósł spojrzenie na obiektyw kamery.

- Panie poruczniku, lord powiedział, że zostawia mi czas na podjęcie decyzji do chwili, aż znów ktoś tu przyleci - odezwał się w końcu.

Bużka obdarzył go lodowatym uśmiechem.

- A co lord powiedział po tym, kiedy ostatnio z tobą rozmawiał? zapytał.

Gubernator wyglądał na przerażonego.

- Nie mam... pojęcia, panie poruczniku - wyjąkał. - Skąd mógłbym wiedzieć?

- Prawidłowa odpowiedź - burknął oschle Garik. - No cóż, więc powiedz, co według ciebie lord ci zaproponował, a ja ci powiem, co z tego jest nadal aktualne.

Janson szeroko się uśmiechnął i uniósł oba kciuki na znak, że jest zachwycony aktorskim kunsztem Garika.

- Uhm, tak - mruknął gubernator i wbił spojrzenie w blat biurka. Zapewne miał tam komputerowy notes albo dokumenty, których nie obejmował obiektyw jego kamery. - Mamy dostarczyć zaopatrzenie o wartości jednej dziesiątej naszego eksportu dla jego sił zbrojnych odezwał się w końcu.

- W zamian za co? - zapytał obojętnie Bużka.

- A pan ma nam... a pan powie nam, gdzie możemy zgłaszać prośby o pomoc w razie ataku albo inwazji - dokończył gubernator. - Lord obiecał nas chronić.

- No i? - ponaglił Garik.

- Naturalnie, będziemy przekazywali wam wszelkie informacje o kontaktach z Nową Republiką, Imperium i innymi lordami.

- Oczywiście. - Bużka kiwnął głową. - No i? Gubernator przygryzł wargi.

- To już wszystko - oznajmił.

Garik zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Z zachowania dostojnika łatwo było odgadnąć, że użoność jest jego drugą naturą, ale w obecnej chwili Watesk starał się udawać. Oznaczało to, że coś ukrywa.

Bużka obrócił głowę w bok.

- Chorąży Ack... - zaczął i zakasłał. - Ackran, proszę poinformować pilotów klucza Szarych, że zanim powrócą, powinni zburzyć albo ostrzelać kilka budynków rządowych. Wyskakujemy z tego systemu, kiedy przylecą.

- Nie! Proszę zaczekać! - Rozpacz w głosie gubernatora sprawiała wrażenie autentycznej. - Panie poruczniku, musi pan wiedzieć, że lord zabronił mi rozmawiać o ostatniej części układu z kimkolwiek oprócz niego.

- No cóż, skoro już mi o tym wspomniałeś, poprę twoje oświadczenie i zapewnię lorda, że niczego mi nie zdradziłeś - obiecał Bużka. - A teraz gadaj, o co chodzi.

- Teren jest gotowy - oznajmił Watesk.

- Aha. To dobrze - odparł Garik, ale zawiesił głos, jakby czekał na ciąg dalszy. - No i? - zapytał po chwili.

Gubernator wyglądał na coraz bardziej zdezorientowanego.

- To wszystko... - zaczął niepewnie.

- Nie - uciął Bużka. - Czy ten teren spełnia wszystkie wymagania lorda? Lokalizacja, rozmiary, prawo własności i tak dalej?

- Naturalnie, że tak - zapewnił gubernator. Garik grzmotnął pięścią w podłokietnik fotela.

- Naturalnie, że nie! - wybuchnął. - I nie spełni, dopóki sam się o tym nie przekonam. Nie widzę,

żeby na ekranie pojawiła się jakakolwiek dokumentacja, gubernatorze. Gdzie są szczegółowe dane?

- Ale...

- Żadne ale - warknął Bużka. - Dopóki nie przekażesz mi tych informacji, nie będę wiedział, czy dałeś lordowi dokładnie to, czego potrzebuje. Pewnie zmniejszyłeś powierzchnię terenu, żeby zaoszczędzić kilka kredytów...

- A... ależ skąd, panie poruczniku! - wykrzyknął przerażony Watesk tonem rekruta drżącego przed gniewem zawodowego podoficera. - Już panu przekazuję te informacje.

Bużka spojrział na Jesmin i zaczął, aż Kalamarianka energicznym kiwnięciem głowy potwierdzi, że dostała dokumentację.

- Panie chorąży, czy te dane zgadzają się z tym, co powinniśmy otrzymać? - zapytał.

Jesmin wzruszyła ramionami, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć, Bużka zauważył jednak kątem oka, że Janson kiwa głową.

- Zgadzą się, panie poruczniku - odezwała się głośno Kalamarianka.

- To dobrze - mruknął Bużka i odwrócił się znów do wizerunku gubernatora. Nadał głosowi łagodne brzmienie. - Watesk, muszę cię pochwalić - zaczął. - Jak na planetarnego gubernatora jesteś niezwykle przyjaźnie nastawiony i skłonny do współpracy.

- Naprawdę? - Odprężony dostojnik rozluźnił mięśnie i otarł rękawem krople potu, jakie pojawiły się na jego czole.

- Naprawdę - zapewnił go Bużka. - A lord będzie bardzo zadowolony. Przekażemy mu informację o twojej zgodzie, a on postara się, żeby dostarczono ci formalny dokument, który będą mogły podpisać obie strony. Czy to cię zadowala?

- O tak, panie poruczniku.

- To świetnie - stwierdził Garik. - Cieszę się na myśl, że przyslesz mi parę próbek waszych słynnych grzybów. Narol przerywa połączenie.

Jesmin wyłączyła nadajnik komunikatora.

Bużka rozparł się na fotelu i ściągnął oficerską czapkę i zamalowane gogle.

- Nie cierpię improwizacji - powiedział.

Piloci Widm zgromadzili się w sali odpraw imperialnego okrętu.

- Co, na miłość Sithów, knuje Zsinj? - zapytał Wedge. - Rozumiem, że mogło mu chodzić o dostawę zaopatrzenia w zamian za ochronę, ale do czego mu potrzebny kawałek gruntu?

- Jest coś więcej - odezwała się Jesmin. - Z przesłanej dokumentacji wynika, że przekazano ten grunt osobie, która nazywa się Cortle Steeze. Musimy przyjąć, że to pseudonim Zsinja, ale powinniśmy się upewnić, czy rzeczywiście ktoś się tak nie nazywa. Kimkolwiek jest ten Steeze, ma prawo decydować, jak ten grunt zostanie rozparcelowany i wykorzystany.

- Ile jest tego gruntu? - zainteresował się Antilles.

- To całkiem spora wyspa - odparła Kalamarianka. - Ma pięćdziesiąt kilometrów długości i mniej więcej trzydzieści szerokości.

- Bardzo ciekawe... - Wedge przeniósł spojrzenie na Bużkę. Doskonała robota - pochwalił. - A przy okazji, masz jeszcze na twarzy ślady pomarańczowego lakieru.

Widoczna wokół smug lakieru czysta skóra Garika była zaczerwieniona od szorowania.

- Wiem. - W głosie Bużki zabrzmiała irytacja. - Nie chce zejść. Cubber parsknął śmiechem.

- Bo nie powinien - powiedział. - Służy do oznaczania przyszłych miejsc pracy. To fluorescencyjny lakier, wyjątkowo dobrze widoczny w promieniach ultrafioletu. Musisz mieć

rozpuszczalnik, żeby go zmyć.

- Rozpuszczalnik? - podchwycił Garik. - Masz może gdzieś trochę?

Cubber nie potrafił ukryć złośliwego uśmiechu.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Wykorzystałem ostatnie krople do oczyszczenia swoich gogli.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy wskoczyli do systemu Zacisza, czekały na nich dwie jednostki: transportowiec „Borleias” i kalamariański gwiazdny krążownik klasy MC80, „Fregata Sztabowa”.

Na widok opływowych, niemal organicznych kształtów wielkiego okrętu pilotujący „Nocnego Gościa” Wedge cicho gwizdnął.

- To okręt dowodzenia admirała Ackbara - powiedział. - Możliwe, że nasze ostatnie meldunki wywarły na kimś duże wrażenie.

Siedzący przy stanowisku czujników Ton Phanan prychnął pogardliwie.

- Miejmy nadzieję, że będziemy mogli zostawić wszystkich skamlących, jęczących i sprawiających kłopoty więźniów, a za to załadujemy przyzwoite jedzenie, żeby zastąpić te pomyje, którymi wyładowali okrętową kuchnię - powiedział.

- Wiadomość z pokładu „Fregaty Sztabowej” - odezwała się Jesmin Ackbar. - Prośba od admirała o pozwolenie wejścia na pokład „Nocnego Gościa”. Chce przylecieć osobistym wahadłowcem.

- Proszę potwierdzić odbiór wiadomości i wysłać pozdrowienia i zgodę - polecił Wedge. - Skierować wahadłowiec admirała do sterburtowej stacji cumowniczej.

Wedge zamierzał oprowadzić dowódcę po wszystkich pomieszczeniach zdobytego okrętu, ale wycieczka zaczęła się i skończyła na most - ku „Nocnego Gościa”. Admirał Ackbar spojrział przez iluminator na unoszący się w oddali własny okręt i odwrócił się do Antillesa.

- Czy mi się wydaje, czy naprawdę twoje metody stają się coraz bardziej nietypowe? - zapytał.

Wedge się uśmiechnął.

- Chyba tylko się panu wydaje - odparł beztrąsko. - Możliwe, że tak to wygląda, bo nietypowe metody nakładają się na typowe, jakie zawsze stosujemy.

Wąsy Kalamarianina zadrżały z rozbawienia.

- Rozumiem - powiedział. - Prawdę mówiąc, przyleciałem z gratulacjami i wiadomościami.

Wyjął z kieszeni komputerowy notatnik. Wedge także wyciągnął swój, na wszelki wypadek, gdyby dowódca zamierzał przekazać mu jakieś dane.

- Po pierwsze - zaczął Kalamarianin - w uznaniu wyjątkowych osiągnięć twojej eskadry w przestworzach Folora, Xobome i Viamarra mam przyjemność oznajmić, że odtąd jesteście oficjalnie uważani za jednostkę bojową Nowej Republiki.

Wedge zakolysał się na piętach.

- Ja... także się z tego cieszę, panie admirale - powiedział. - I bardzo dziękuję.

- Ale trochę się martwisz, że to pochopna decyzja? - domyślił się Ackbar.

- Nie, panie admirale - odparł Antilles. - Możliwe, że piloci Widm są jeszcze trochę nieoszlifowani, ale zachowują się podczas akcji jak jednostka prawidłowo wyszkolona. Po prostu zapomniałem, że dotąd nie uznawano nas oficjalnie za eskadrę bojową Nowej Republiki.

- To bardzo przewidujące z twojej strony, generale Antilles - stwierdził Kalamarianin.

- To bardzo przewidujące z pańskiej strony, admirale - odparł Wedge. A poza tym na razie jestem komandorem, nie generałem.

- Naturalnie - przyznał beztrąsko Ackbar. - Po drugie, zaczęliśmy uprzedzać siły zbrojne o pojawieniu się niewielkich pasożytniczych robotów, o których nam meldowałeś. Już wcześniej otrzymywaliśmy raporty, z których wynikało, że prostopadłościennymi skrzynkami ze stopionymi podzespołami pojawiały się na kadłubach niektórych jednostek. Wygląda na to, że urządzenia naprawdę mają wbudowany jakiś mechanizm autodestrukcji, powodujący stopienie wewnętrznych podzespołów, ilekroć ktoś usiłuje siłą oderwać skrzynkę od kadłuba. Teraz jednak, mając wyniki badań odkrytego przez was urządzenia i samo urządzenie, jeżeli jeszcze działa...

- Wydaję polecenie, żeby Młynek przekazał je panu, admirale obiecał Antilles. - A także jedną albo kilka min typu Empion.

- Dysponując możliwą do zbadania próbką, powinniśmy pochwycić „żywcem” więcej takich pasożytów i zmusić je do przekazywania fałszywych danych - odparł Ackbar. - Zamiast po prostu odczuwać fatalne skutki ich działania, wykorzystamy je jako narzędzie do walki przeciwko Zsinjowi. A jeśli chodzi o miny typu Empion, może udałoby się wyposażyć nasze okręty w ekrany chroniące przez wysyłanymi przez nie sygnałami, żeby zmniejszyć straty, jakie mogą powodować. Po trzecie, zamierzamy wam przekazać trochę części zamiennych i zaopatrzenie - ciągnął admirał. - Włącznie ze sprzętem używanym przez komandosów jednostek specjalnych i Wywiadu Nowej Republiki.

- Cieszę się, że to słyszę, panie admirale - powiedział Antilles. Czy dostaniemy także nowy myśliwiec typu X-wing zamiast tego, który straciliśmy?

- Na razie nie - odparł Kalamarianin - Nie mamy żadnego, który moglibyśmy wam przekazać, ale twoja prośba jest na pierwszym miejscu listy. Zamiast tego kapitan „Borleias” przekaże ci jeden symulator X-winga i rezerwowe bazy danych do zainstalowania w wyczyszczonych pamięciach astromechanicznych robotów. Nie zapomnieliśmy też o żywności, paliwie i częściach zapasowych do X-wingów. Pod twoje dowództwo prześlemy pilotów i personel do obsługi zdobytej korbety, żebyś mógł zwolnić od tych obowiązków pilotów swojej eskadry. Jeżeli macie jeszcze jakieś prośby, niech twój zaopatrzeniowiec przekaże nam ich listę.

Wedge kiwnął głową.

- Potrzebujemy sprzętu do dokonywania napraw w idealnej próżni - powiedział. - Powiem Skrzypkowi, żeby o tym nie zapomniał.

- Skrzypkowi? - powtórzył Ackbar - Chyba nie masz na myśli tego androida 3PO, który wślawił się podczas ucieczki zbuntowanych androidów?

Wedge kiwnął głową.

Ackbar się wzdrygnął i przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notatnika.

- Po czwarte, twoja prośba o zatrzymanie „Nocnego Gościa” i zamiar wykonania reszty powierzonych mu zadań nie została na razie ani zaakceptowana, ani odrzucona - powiedział. - Muszę wiedzieć, co chcesz przez to osiągnąć.

- Myślałem trochę o tym, panie admirale - przyznał komandor. - Mój plan przewiduje, że „Nocny Gość” będzie nadal wykonywał zleczone zadania. Natomiast do systemów, których władcy zdecydowali się na współpracę z Zsinjem, po odlocie fregaty wpadnie Eskadra Widm, aby ostrzelać lub zbombardować siedziby kolaborantów. Wcześniej czy później Zsinj albo Trigit muszą się zorientować, że ktoś podąża śladami „Nocnego Gościa”. Mam nadzieję, że dzięki temu zdołamy wywabić Zsinja z kryjówki... i skłonić go do zastawienia na nas pułapki, w którą sam wpadnie.

- To zamiar godny pochwały, tyle że niejasny - mruknął Ackbar. Umilkł, żeby się zastanowić. - Na razie możesz uważać swój plan za zatwierdzony - podjął po chwili. - Jak długo zamierzasz się bawić z Zsinjem w ciuciubabkę?

- Sądzę, że dosyć długo, panie admirale - oznajmił Antilles. - Przyznaję, że możemy mieć pewien problem, bo lord Zsinj wydał kapitanowi Darillianowi poufne, nigdzie niezarejestrowane instrukcje. Niewykluczone, że się na nich potkniemy, ale zamierzamy się przed tym chronić za pomocą naszych sztuczek. Na przykład... pani podporucznik Ackbar, czy wszystko gotowe do demonstracji?

- Czekamy tylko na pański rozkaz, komandorze - odparła Kalamarianka.

- Więc skieruj obraz na nas, zamiast na fotel kapitana, i możesz zaczynać - polecił Antilles.

Jesmin dokonała niezbędnych przełączeń projekcyjnej aparatury. Rozległ się cichy pomruk i w powietrzu przed admirałem Ackbarem i Antillesem pojawił się hologram.

Przedstawiał siedzącego na fotelu dowodzenia mężczyznę ubranego w czarny, nienagannie odprasowany mundur. Imperialny kapitan sprawiał wrażenie osoby energicznej i butnej. Uniósł głowę, jakby zdumiony, i obrzucił obu widzów pogardliwym spojrzeniem.

- A wy kim jesteście, na piekło Sithów? - zapytał.

Ackbar zerknął na Wedge'a, który zachowywał powagę i milczenie.

- Nazywam się Ackbar, mam stopień admirała i jestem dowódcą sił zbrojnych Nowej Republiki - powiedział Kalamarianin. - Z kim mam przyjemność?

- A ja nazywam się Darillian i jestem kapitanem, a zarazem właścicielem prywatnego jachtu „Nocny Gość” - burknął gniewnie imperialny oficer. - Żądam wyjaśnień, dlaczego ośmieliliście się zakłócić mój spokój.

Kapitan cały czas wbijał w Ackbara władcze spojrzenie, tak przenikliwe, że gdyby hologramy mogły przesyłać energię, admirała już dawno poraziłyby błyskawice strzelające z oczu Darilliana.

Ackbar odwrócił się do Antillesa.

- Jeśli dobrze pamiętam, z twojego raportu wynikało, że Darillian nie żyje - zauważył.

Wedge chciał odpowiedzieć, ale przeszkodził mu w tym rzekomy nieboszczyk.

- Nie żyje?! - ryknął na całe gardło. - Ja ci pokażę, jak bardzo żyję! Chorąży Antilles, natychmiast zabić tego intruza!

Wedge parsknął śmiechem.

- Więc teraz jestem tylko zwykłym chorążym? - zapytał. - Chyba nie zasłużyłem na taką degradację. Na razie wystarczy, Bużko.

Kapitan Darillian się uśmiechnął. Wyciągnął rękę w prawo tak daleko, że obiektyw holograficznej kamery nie zdołał jej objąć, i zapewne coś przełączył, bo jego wizerunek zadrżał... i zamiast imperialne - go kapitana ukazał się Bużka Loran.

- Zyg, zyg, komandorze - powiedział i zniknął. Ackbar skierował oczy na podwładnego.

- To jakaś holograficzna nakładka, prawda? - zapytał. Wedge kiwnął głową.

- Ma pan rację - powiedział. - Kapitan Darillian był tak okropnym snobem, że prowadził okrętowy dziennik pokładowy i osobisty pamiętnik w postaci hologramów. Dzięki temu Młynek Thri'ag miał mnóstwo materiału, który mógł zakodować. Na jego podstawie opracował komputerowy model ciała Darilliana od pasa w górę i nałożył go wraz z głosem na wizerunek tułowia Bużki. Dzięki temu dysponujemy teraz niemal natychmiastowym tłumaczeniem dźwięków i obrazów. Miejmy nadzieję, że nikt, z kim będziemy się spotykali, nie zechce się zobaczyć osobiście z Darillianem i zadowolony się rozmową z jego hologramem. Dopóki Bużka potrafi znaleźć wyjście z trudnych

sytuacji, kiedy nieprzyjaciel będzie wiedział więcej niż my, zdołamy ich wodzić za nos.

- Rozumiem. Bardzo sprytne. - Ackbar znów spojrzał na ekran komputerowego notatnika. - Po piąte - zaczął - czy mógłbyś zwolnić ze służby panią chorążą Ackbar, żebym mógł porozmawiać z siostrzenicą chociaż kilka minut w cztery oczy?

- Załatwione, panie admirale.

Na pokładzie „Nocnego Gościa” nie było wielu miejsc, gdzie dałoby się porozmawiać na osobności. Jesmin zaprowadziła wujka do dziobowej świetlicy i z radością stwierdziła, że nikogo w niej nie ma.

- Chyba rozumiesz, jak się poczułem, kiedy usłyszałem, że komandor Antilles powołuje do życia nową eskadrę pilotów złożoną z osób, które nie umieją się przystosować do otoczenia, a wkrótce potem zobaczyłem twoje nazwisko na liście osób przyjętych do tej eskadry zaczął admirał. - Nie jestem niezadowolony, że służysz pod jego rozkazami... ale czegoś tu nie rozumiem. Jesteś pilotką wzorową i pod każdym względem wyjątkową. Jesmin się uśmiechnęła, a jej wąsy zadrżały z rozbawienia.

- Z moich akt wynika, że jako pilotka jestem zupełnie do niczego, wujku - powiedziała.

- To nieprawda.

- Postaraj się mnie zrozumieć - ciągnęła Jesmin. - Ukończyłam akademię z najlepszymi wynikami, potem jednak, bez względu na to, do jakiej jednostki trafiałam, na jakim typie myśliwca latałam i jakie zadania otrzymywałam, kończyło się zawsze na rutynowych patrolach... albo robocie papierkowej.

- Z twoimi wynikami? - zdziwił się Kalamarianin.

- Z moim nazwiskiem, wujku - poprawiła go Jesmin. - Moi dowódcy nie chcieli mnie narażać na niebezpieczeństwo. Bali się, że mogłabym zginąć... a ty byś obarczył ich odpowiedzialnością za moją śmierć.

Admirał przewrócił oczami, każdym w inną stronę.

- To absurdalne - powiedział. - Odkąd syn generała Crackena, Pash, wstąpił do wojska, cały czas ryzykował. Latał nawet z pilotami Eskadry Łotrów, a to wcale nie najbezpieczniejsza formacja w naszych Siłach Zbrojnych.

- A może w naszych Siłach Zbrojnych, podobnie jak kiedyś w Imperium, istnieje zwyczaj przesadnej ochrony istot płci żeńskiej - odparła Jesmin. - Możliwe zresztą, że to wynika z gorszej oceny i dotyczy także pracy, wujku. Tak czy owak, moje szkolenie szło na marne. Nawet nie usiłowano mi powierzać odpowiedzialnych obowiązków. Nie uwierzysz, jaka byłam szczęśliwa, kiedy komandor Antilles w końcu się zgodził przyjąć mnie do nowej eskadry... i jak się cieszyłam, kiedy pierwszy raz mogłam wziąć udział w prawdziwej walce. Wreszcie jestem pilotką, a nie zmarnowanym talentem. - Zwróciła głowę ku niemu i zmierzyła go stanowczym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że jeżeli zginę w szeregach pilotów tej eskadry, nie będziesz miał o to pretensji do komandora Antillesa.

- A jesteś szczęśliwa? - zapytał Kalamarianin.

- Jestem.

- Więc nie obarczę go odpowiedzialnością za twoją śmierć - obiecał admirał. - Ale jeżeli będziesz wykonywała wszystkie jego rozkazy i przyswajała sobie to, czego chce cię nauczyć, może w ogóle nie dasz mi powodu do szukania winnego.

- Postaram się, wujku - zapewniła go siostrzenica.

Kiedy wszystkich więźniów przetransportowano na pokład „Fregaty Sztabowej”, do burty „Nocnego Gościa” przybił prom z nowymi członkami załogi zdobytej korwety. Wedge’a przedstawiono niskiemu, wzbudzającemu zaufanie mężczyźnie o ogorzalej twarzy, kapitanowi Chodayowi Hraknessowi z Agamara, którego mianowano nowym dowódcą imperialnego okrętu. Poznał także wysoką i elegancko ubraną brązowowłosą mieszkankę Coruscant, panią porucznik Atril Tabanne, która miała pełnić obowiązki jego zastępczyni. Na pokład korwety weszła także grupa techników i mechaników.

Wszyscy obserwowali, jak „Borleias” i „Fregata Sztabowa” wskakują do nadprzestrzeni i opuszczają system Zacisza, a potem zajęli się organizacją służby na pokładzie „Nocnego Gościa”.

Pracując pod rozkazami Cubbera Daine’a, liczniejsza niż dotąd grupa mechaników zajęła się wzmocnieniem klamer unieruchamiających X-wingi w dziobowej ładowni, dzięki czemu obejmą stały się wytrzymalsze i pewniejsze.

Oficerom i członkom załogi przydzielono stałe kwatery. Większość personelu imperialnej załogi „Nocnego Gościa” stanowili szturmowcy. Nie zastąpili ich żołnierze Sił Zbrojnych Nowej Republiki, więc załoga opanowanej korwety liczyła obecnie mniej osób niż poprzednio. Dzięki temu każdy pilot mógł dostać własną niewielką kabinę, a Wedge, jako dowódca tymczasowej grupy składającej się z korwety, Eskadry Widm i Eskadry Łotrów, został niemal zmuszony do przyjęcia ogromnej i przesadnie udekorowanej kabiny poprzedniego kapitana. Natychmiast kazał odesłać do ładowni zdobiące ją aksamitne draperie i zbierane w rozmaitych zakątkach galaktyki antyczne meble. Przekształcił także kapitańską komnatę audiencyjną w jeszcze jedną salę odpraw.

Tymczasem piloci przyzwyczajali się do pełnienia nowych obowiązków.

Kell nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Na pokładach „Nocnego Gościa” było o wiele mniej miejsca niż w bazie Folor, więc widywał się z Wesem Jansonem kilka razy dziennie. Zazwyczaj mijał go na korytarzu, ale nawet podczas tych przelotnych i niewinnych spotkań czuł w żołądku bryłę lodu i napinał mięśnie karku.

- Sądzisz, że chce ci wyrzucić jakąś krzywdę - odezwał się Patyk po którymś takim spotkaniu.

- Sądzę, że czeka, aż popełnię jakiś błąd - odparł Kell. - Nie wiem, czy tylko zamierza złamać moją karierę, czy też może rozpylić mnie na atomy podczas walki.

- Myślę, że się mylisz - stwierdził Patyk. - Twój zły umysł sobie to wyobraża.

- A ja myślę, że twoje wszystkie umysły powinny pójść się pobawić na polu minowym, aby wrócił tylko jeden albo dwa.

Patyk zareagował piskliwym śmiechem. Kell pokręcił głową. Nie miał pojęcia, co jego skrzydłowy widzi w tym zabawnego.

Patyk także poddawał próbom nowe umiejętności. Skoro miał do dyspozycji tyle umysłów, powierzono mu obowiązki czytania poczty, jaką poprzedni członkowie załogi imperialnego okrętu otrzymywali od najbliższych, i odpowiadania na nią w imieniu tych, którzy prowadzili regularną korespondencję. Na szczęście było ich niewielu. Za każdym razem przedstawiał wyniki swoich starań Buźce, który oceniał jego kunszt i wysyłał pocztę do odpowiednich adresatów. Patyk zwierzył się Tainerowi, że jego obowiązki są dziwaczne i czasami żmudne, ale uczą go szybciej i łatwiej dokonywać przeskoków między umysłami.

Oba symulatory „Gościa” były cały czas oblegane. Z symulatora myśliwca X-wing korzystała Tyria Sarkin, która stawiała sobie coraz wyższe wymagania. W przeciwieństwie do niej Falynn Sandskimmer zmonopolizowała symulator myśliwca T1E. Nie ukrywała, że pragnie zostać jedyną

kandydatką na skrzydłową, żeby mogła towarzyszyć Antillesowi, ilekroć dowódca zechce także pilotować gałę. Tyria uprosiła Młynka, żeby zaprogramował symulator w taki sposób, aby mogła ćwiczyć lądowanie w najtrudniejszych miejscach dziobowej ładowni imperialnego okrętu.

Kiedy Kell i Phanan weszli do okrętowej mesy, od razu skierowali się do stolika, przy którym siedziała Tyria, i zajęli miejsca po obu jej stronach. Pograżona w czytaniu informacji z ekranu komputerowego notesu pilotka nie od razu ich zauważyła.

- Och - zreflektowała się w pewnej chwili. - Jak się macie?

- Jesteśmy komitetem, który ma cię zmusić, żebyś się od czasu do czasu odprężyła - oznajmił Tainer.

Phanan kiwnął głową.

- Z rejestrów naszej wyprawy wynika, że zdążyło upłynąć trzydzieści sześć standardowych godzin, odkąd byłaś choć trochę zadowolona ze swojego życia, a dwadzieścia trzy, odkąd ułożyłaś rysy twarzy w coś zbliżone do uśmiechu.

Tyria uśmiechnęła się, ale bardzo słabo. Siedzący naprzeciwko niej Młynek pokiwał głową.

- Można by pomyśleć, że przygotowujesz się do końcowego egzaminu na licencję pilotki - powiedział. - Odpręż się, Tyrio. Już go zdałaś.

- Nie wiesz, o czym mówisz - zachnęła się młoda kobieta. - Wiesz, że jestem najgorzej ocenianą osobą w tej eskadrze.

- Jeżeli chodzi o zestrzelenia, to nieprawda - sprzeciwił się Kell. Z powodu obowiązków, jakie powierzono nam podczas ewakuacji bazy Folor, Patyk i ja nadal mamy zera na swoich kontach. Ty masz przynajmniej jedno.

Tyria machnięciem ręki odrzuciła jego protest.

- Zrezygnowałaś z możliwości zestrzelenia kilku innych nieprzyjaciół w walce, bo wymyśliłaś taktykę, która prawdopodobnie ocaliła „Borleias” od zagłady - przypomniała. - To jasny punkt w twoich aktach, Kellu, nie ciemny.

- No cóż - odezwał się Młynek. - Wiem, jak poprawić twoje wyniki skuteczniej niż codzienne ćwiczenie wiele godzin na symulatorze, aż będziesz skonana i ogłupiała z głodu.

Tyria spojrzała na niego, ale nie kryła wątpliwości.

- Na przykład jak? - zapytała.

- No cóż - zaczął Bothanin i udał, że konspiracyjnie rozgląda się po mesie. - Nie powinienem tego robić, bo jeśli poprawisz swoje wyniki, sam zostanę najgorszym pilotem eskadry. Przyznaję jednak, że niewiele mnie to obchodzi. Mógłbym się włamać do pamięci komputera z wynikami twoich symulowanych walk i poprawić je o kilka punktów. Pozwoliłoby ci to wydostać się ze strefy zagrożenia. W zamian za tę przysługę nie prosiłbym cię o wiele...

Tyria zerwała się z krzesła, przeskoczyła przez stół, zepchnęła go z ławki na posadzkę i wylądowała na nim całym ciężarem ciała. Nie zważając na krzyki zdumienia i bólu, trzykrotnie uderzyła go pięścią w twarz, nim osłupiali jej zachowaniem Kell i Phanan zdążyli zareagować. Obiegli stół z obu stron i chwycili ją za ręce, zanim zdążyła zmienić twarz Młynka w krwawą miazgę.

Zajściu przyglądała się ze zdumieniem grupa techników i mechaników Cubbera. Zanim Kell i Phanan odciągnęli na bok rozwścieczoną Tyrię, niektórzy zaczęli się nawet zakładać.

Purpurowa na twarzy pilotka patrzyła na Bothanina z wściekłością, wręcz z nienawiścią.

- Ty... draniu! - wydyszała. - Jak śmiesz...

- Chcesz się ze mną bić? - Młynek wstał z wysiłkiem. Z jego nozdrzy ciekły strużki krwi. - Walczyć uczciwie, a nie z zaskoczenia? Zaprowadźcie ją, chłopaki, do świetlicy...

- Baczość!

Wszyscy odruchowo się wyprężyli, nawet mechanicy i technicy „Nocnego Gościa”. W drzwiach mesy stali Wedge i Janson. Podchodząc bliżej, obaj mieli ponure miny.

- Żądam wyjaśnień - odezwał się Antilles.

Tyria nie od razu odpowiedziała. Wyglądało na to, że stara się uspokoić oddech.

- No cóż, panie komandorze - zaczął Phanan. - Omawialiśmy szczegóły walki wręcz z uwzględnieniem metod obezwładniania przeciwników i...

Wedge skrzywił się, jakby Ton dźgnął go w plecy.

- Panie podporuczniku - powiedział gniewnie. - Jak pan myśli, ile razy w życiu słyszałem tę bajeczkę o „omawianiu elementów walki na pięści”? Phanan wyglądał na zdezorientowanego.

- Ja, uhm... nie mam pojęcia, panie komandorze - wyznał w końcu.

- To było retoryczne pytanie, podporuczniku - burknął dowódca. Proszę więcej nie zabierać głosu.

Phanan zbladł w miejscach, gdzie skóra twarzy wystawała spod protezy. Umilkł i wbił spojrzenie w przeciwległą ścianę.

- Młynku, Tyrio, chodźcie ze mną - rozkazał surowo Antilles.

Stojąc obok Jansona w przesadnie funkcjonalnie urządzonej gabinecie, Wedge patrzył groźnie na oboje młodszych oficerów.

- Młynku, czy zrobiłeś cokolwiek, żeby ją do tego sprowokować? odezwał się w końcu.

Wprawdzie Bothanin stał na baczość, ale jakimś cudem jeszcze bardziej się wyprostował.

- Z początku wcale tak nie uważałem, panie komandorze - powiedział. - Przyznaję jednak, że w żartach zaproponowałem zrobienie czegoś, co moja koleżanka uznała za nieetyczne. Chyba się nie zorientowała, że to tylko żart.

Antilles przeniósł spojrzenie na pilotkę.

- Tyrio, czy się zorientowałaś, że to żart? - zapytał.

- Chyba nie, panie komandorze.

- Młynku, dobry dowcipniś wie, jakie żarty mogą rozbawić jego słuchaczy - oznajmił Antilles. - Poobserwuj czasami Bużkę i Phana. Są irytujący, ale zabawni. Możesz odejść.

Bothanin zasalutował i wyszedł z gabinetu. Wedge odwrócił się znów do Tyrii.

- Zważywszy na to, że nie chciałem cię obrazić, chyba zareagowałaś przesadnie ostro - powiedział.

- To prawda, panie komandorze - przyznała pilotka.

- Żądam wyjaśnień.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, panie komandorze.

- Chciałbym ci pomóc, pani podporucznik Sarkin - ciągnął dowódca. - Twoje akta zawierają już jedną wzmiankę o poważnej niesubordynacji. Byłoby dobrze, gdyby nie pojawiła się tam następna.

Tyria przygryzła wargę. Wedge odgadł, co myśli pilotka: zwracanie się po nazwisku i użycie stopnia wojskowego oznaczało, że rozmowa staje się coraz bardziej oficjalna.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Ale nic nie usprawiedliwia mojego zachowania.

- No cóż - odparł Antilles. - Zawieszam cię w obowiązkach pilotki Eskadry Widm i rozkazuję, żebyś na ten czas przekazała swojego X-winga Tonowi Phananowi. Możesz odejść.

Na twarzy Tyrii odmalowało się przerażenie. Dopiero po pewnym czasie pilotka przyszła do

siebie, zasalutowała i podążyła śladem Młynka. Kiedy wyszła, Wedge westchnął i spojrzął na zastępcę.

- Wiesz, jak do tego doszło? - zapytał. Janson pokręcił głową.

- Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba - powiedział. - Sądziłem, że Tyria jest najbardziej zrównoważoną osobą spośród wszystkich pilotów eskadry.

- Ja też tak uważałem - przyznał Wedge. - Wyświadczyć mi przysługę i napisz raport z tego zajścia, dobrze? Postaraj się jednak nie używać zbyt mocnych słów. Spróbuję śledzić rozwój sytuacji i w razie czego dokonam poprawek w raporcie, zanim go wyślę.

- Załatwione - obiecał zastępca. - Będziesz chciał ją zmusić, by go przeprosiła?

- Nie, chcę tylko wiedzieć, czy zdecyduje się to zrobić - odparł Antilles. - Wymuszone przeprosiny są niewiele warte.

- To prawda.

- A jak radzisz sobie z Tainerem? - zainteresował się dowódca. Janson się skrzywił.

- Gorzej niż kiedykolwiek - przyznał ponuro. - A niedawno się dowiedziałem, że z „Fregaty Sztabowej” przysłano mu nowy transport materiałów wybuchowych.

- Mówiłem ci, że nie musisz się tym przejmować - przypomniał Korelianin.

- Uważałeś także, że Tyria jest najbardziej zrównoważoną osobą wśród pilotów.

Wedge zerknął na niego z udawaną pretensją.

- Nie musisz stawać ze mną do zawodów o to, kto z nas bardziej się pomylił, Wes - powiedział.

- Chyba już pójdę i napiszę ten raport, panie komandorze - odparł Janson.

- Doskonale.

Tyria wróciła do swojej kabiny i zapaliła światło. Przy stole siedzieli Kell i Phanan.

- Och, coś wspaniałego - burknęła pilotka na ich widok. - Jedna reprimenda i w mojej kabine ląduje jeden pilot. Druga reprimenda, dwaj piloci.

- Może w to nie uwierzysz, ale nie jesteśmy częścią twojej kary - odezwał się Phanan. - Martwimy się o ciebie.

Tyria podeszła do łóżka, zwała się na nie całym ciężarem i ukryła twarz w poduszce.

- No cóż, nie musicie - wymamrotała. Jej głos wydobywał się jak zza ściany.

Kell wstał, przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka.

- Tyrio - zaczął z powagą. - To, co stało się w mesie, nie miało sensu. Chcielibyśmy ci pomóc, ale nic z tego nie wyjdzie, jeżeli nie zrozumiemy, dlaczego się tak zachowałeś.

- Powinien tu być twój skrzydłowy - dodał Phanan - ale Donos jest mniej więcej równie czuły, opiekuńczy i pomocny, jak kometa z metanowego lodu. Zamiast niego przyszliśmy my. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

- Wcale nie jesteście - mruknęła pilotka. - Każdy z was myśli tylko o tym, jak tu wskoczyć do mojego łóżka.

Phanan wyglądał na speszzonego.

- Bardzo mi przykro, jeżeli odniosłaś takie wrażenie - zaczął w końcu. - Zresztą to prawda. Rzeczywiście chętnie wylądowałbym z tobą w łóżku, ale to nie ma w tej chwili nic do rzeczy. Jesteś uzdolniona, mądra i piękna i z jakiegoś powodu mnie to pociąga, obiecuję jednak, że jeżeli zgodzisz się z nami porozmawiać, przestanę ci się narzucać. Na zawsze. Jeśli naprawdę będziesz tego chciała.

Tyria uniosła głowę i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Spojrzała najpierw na niego, a potem na Kella.

- Ty też? - zapytała. Tainer się skrzywił.

- Jeżeli bardzo tego chcesz... - powiedział. - Naprawdę nie przydzielono mnie do tej eskadry, żeby ci uprzykrzać życie.

Pilotka cicho się roześmiała. Odwróciła się plecami do ściany i obrzuciła kolegów nieśmiałym spojrzeniem.

- No to posłuchajcie - zaczęła. - Opowiem wam, o co chodzi, ale jeżeli mnie wydadcie, to będzie koniec mojej kariery. Nieuchronny i nieodwracalny.

- Rozumiem - odparł Kell. Phanan tylko kiwnął głową.

- A więc... - zaczęła Tyria - ...dostałam się do Akademii Nowej Republiki właściwie tylko z jednego powodu: potrafiłam udowodnić, że mam niewielką władzę nad Mocą.

- Mieli nadzieję, że będziesz doskonaliła swoją umiejętność i staniesz się kiedyś drugim Lukiem Skywalkerem - domyślił się Phanan.

- Masz rację - przyznała pilotka. - Okazało się jednak, że podczas pierwszych ćwiczeń na symulatorze latałam jak pijany dinko. Zastanawiałam się, czy nie zrezygnować z dalszej nauki, ale przeniesiono mnie do eskadry dla... no cóż, pilotów szkolonych w celu uzupełniania strat osobowych innych eskadr.

Dowódca jednostki, pułkownik Repness, sprawiał wrażenie doskonałego instruktora. Uzyskiwane przeze mnie wyniki od razu się poprawiły, potem jednak, krótko przed ostatecznym egzaminem, dowódca przyszedł do mnie i zapytał: „Czy chcesz, żeby ostateczny egzamin nie tylko pozwolił ci uzyskać licencję pilotki, ale także opuścić listę dwudziestu pięciu procent najniżej ocenianych pilotów twojej klasy”?

Kell się skrzywił.

- Chyba się domyślam, do czego zmierzał - powiedział.

- Chyba jednak nie - stwierdziła Tyria. - Dowódca chciał, żebym poleciała na ćwiczenia prawdziwym X-wingiem i wysłała fałszywy meldunek o poważnym uszkodzeniu. Zamierzał go poprzeć sygnałami astromechanicznego robota, żeby moje wołanie o pomoc wyglądało bardziej wiarygodnie. Miałam lądować awaryjnie na powierzchni oceanu nad głębokim rowem, spokojnie czekać na przybycie ekipy ratunkowej... a potem oświadczyć, że myśliwiec zatonął i spoczął na głębokości kilku kilometrów, skąd nikt nie zdołałby go wyciągnąć. Phanan kiwnął głową.

- A Repness miał czekać w pobliżu miejsca katastrofy i odlecieć twoim X-wingiem, żeby go później sprzedać na czarnym rynku - powiedział. - Mam rację?

- Właśnie tak. Kell gwizdnął.

- I co zrobiłaś? - zapytał.

- Nie zgodziłam się i zagroziłam, że wydam go w ręce władz uczelni. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Zaczął mnie błagać, żebym tego nie robiła. Powiedział, żebym zaczekała... żebym dała mu dzień czy dwa, aby o wszystkim opowiedział żonie i uporządkował swoje sprawy. - Tyria nabrała głęboki haust powietrza i bardzo powoli je wypuściła. - A ja, jak ta idiotka, się zgodziłam. W swojej naiwności sądziłam, że panuję nad sytuacją i że jestem pierwszą osobą, która mu odmówiła.

Phanan się skrzywił.

- A on, naturalnie, wykorzystał ten czas do zatarcia śladów i wymyślenia czegoś, co mogłoby skompromitować ciebie? - zapytał.

- W gruncierzeczy tak - przyznała pilotka. - Kiedy zgłosiłam się do służby następnego ranka,

stwierdziłam, że podał mnie do raportu za poważną niesubordynację. Oświadczył, że usiłowałam go uwieść... to się nazywa bujna wyobraźnia... a także pozwalałam sobie na nieprzyzwoite uwagi pod adresem jego żony. Z taką plamą w życiorysie musiałabym uzyskać bardzo wysokie wyniki podczas ostatecznego egzaminu i cieszyć się nieskazitelną opinią przez wiele następnych lat służby, żeby przy pierwszej okazji nie wyrzucano mnie z Sił Zbrojnych.

Poszłam więc do niego i poprosiłam, żeby usunął z moich akt tę historię, on zaś powiedział: „Możesz mnie wydać, ale wtedy zapomnij o karierze pilotki gwiazdowego myśliwca. Jeżeli jednak potrafisz trzymać gębę na kłódkę, wszystko zostanie jak jest, nie wyłączając tej adnotacji w twoich aktach. Zostaniesz przeciętną pilotką, którą i tak byś się stała”. Z początku nie rozumiałam, o co chodzi, dopóki mi tego nie pokazał. Od samego początku, od pierwszego dnia, kiedy przeniesiono mnie do jego eskadry, fałszował osiągnięte przeze mnie wyniki. Cały czas rejestrował dane wyższe niż w rzeczywistości. Mógł mnie tym szantażować. Gdybym ujawniła, że zaproponował mi współudział w porwaniu X-winga, oświadczyłby, że to ja mu to zaproponowałam w zamian za podwyższenie wyników moich testów, i ujawniłby prawdziwe rezultaty.

Tyria wyglądała na wyczerpaną.

- Woliałaś nabrać wody w usta - domyślił się Tainer.

- Tak zrobiłam - przyznała pilotka. - Zamknęłam gębę na kłódkę, pogodziłam się z naganą i ukończyłam naukę w akademii jako jedna z ostatnich. Prawie od razu pojawiła się możliwość zaciągnięcia do tej eskadry. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że to z powodu doświadczenia, jakie zdobyłam podczas służby w Strażnikach. Bardzo się starałam poprawić... a teraz Młynek przychodzi do mnie z taką samą propozycją.

- Jestem pewien, że proponując ci poprawę wyników, nie zamierzał osiągnąć osobistej korzyści,

Tyrio - odezwał się łagodnie Phanan. - Po prostu jest nałogowym włamywaczem do systemów i sieci komputerowych.

- Możliwe. Nie zastanawiałam się wówczas nad tym - przyznała pilotka. - Nie potrafiłam trzeźwo myśleć. Chciałam tylko rozkwasić mu nos... a może raczej rozkwasić nos pułkownika Repnessa.

- Musisz zrozumieć jeszcze jedno - odezwał się Kell. - Wedge Antilles nigdy by nie dopuścił, żeby do jego eskadry dostał się kiepski pilot.

- Prawdopodobnie liczy na to, że nauczę się lepiej władać Mocą odparła Tyria. - Jeśli wiąże z tym jakieś nadzieje, niebawem się zorientuje, że najprawdopodobniej nigdy się nie spełnią. A tymczasem Ton będzie latał moim X-wingiem.

- Bardzo mi przykro - powiedział Phanan.

- Z tego wynika, że ilekroć Falynn będzie spała albo robiła coś innego, powinnaś ćwiczyć w symulatorze myśliwca T1E - zaproponował Tainer. - Możliwe, że Wedge zechce przydzielić ci jedną gałę „Nocnego Gościa”. Postaraj się także dojść do większej wprawy w pilotowaniu wahadłowca. Pogadam z Cubberem i namówię go, żeby udzielił ci kilku wskazówek.

- Dziękuję - ucieszyła się Tyria.

- Więc jak? - zapytał Phanan. - Zamierzasz nadal się domagać, żebym dotrzymał swojej połowy umowy?

Pilotka popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Jakiej umowy? - zapytała.

- Zdecydowałaś się z nami porozmawiać - przypomniał Phanan. Naprawdę muszę teraz przestać ci się narzucać? Złamałoby mi to serce...

Sekundę później na jego głowie wylądowała rzucona przez Tyrię poduszka.

- Aha - domyślił się pilot. - Rozumiem, że nie muszę jej dotrzymywać.

- Opowiedz mi coś więcej o Strażnikach - poprosił Tainer. Pilotka obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Dlaczego cię to interesuje? - zapytała.

- Bo chciałbym wiedzieć.

- No dobrze. - Tyria obróciła się na plecy i spojrzała w pozbawiony cech szczególnych sufit. - Antariańscy Strażnicy są bardzo starym zakonem - zaczęła. - Założono go przed wieloma stuleciami, aby pomagał rycerzom Jedi... przynajmniej niektórym, gdyż większość tamtych Jedi wolała działać samotnie. Niektórzy jednak cenili sobie pomoc zaufanych wojowników. Drugim takim zakonem byli Synowie Wolności. Strażnicy potrafili się poruszać w każdym środowisku. Wiedzieli, co robić, żeby stać się niewidocznym w lesie i na łące. Umieli żeglować, pływać, nurkować i latać. Byli panami otoczenia. Zostawali dobrymi szpiegami i świetnymi wojownikami. Doskonale potrafili przenikać na tereny nieprzyjacielskich baz i wycofywać się po wykonaniu zadania. W dawnych czasach społeczności Strażników istniały na kilku planetach. Jedną z nich była Toprawa. Niektórzy Jedi żenili się ze Strażniczkami i może dlatego odziedziczyłam prawie bezużyteczny talent władania Mocą. Stopniowo jednak liczba Strażników zaczęła maleć. Podczas Wojen Klonów zginęły całe klany, a większość Strażników podzieliła smutny los rycerzy Jedi. Pozostali zaczęli się ukrywać. Moja rodzina ukrywała się kilka dziesięcioleci, a potem, zanim zdołaliśmy uciec, Imperium zbombardowało Toprawę i cofnęło ją cywilizacyjnie do barbarzyńskich czasów. To właśnie wówczas na Toprawie zginęli ostatni Antariańscy Strażnicy.

- Wszyscy z wyjątkiem ciebie - stwierdził Phanan.

- Nie jestem pewna, czy to ma jakieś znaczenie - odparła Tyria. Domyślam się, że pełniąc służbę w tej eskadrze, wcześniej czy później i tak zginę bezpotomnie. Sarkinowie podążą śladami pozostałych Strażników. Jestem tylko żyjącym wspomnieniem, chociaż mam nadzieję, że zanim dołączę do przodków, coś osiągnę. To chyba dlatego nie układam planów na przyszłość. - Zauważyła, że Kell otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i odwróciła się do niego. - Nic nie mów - dodała. - Nie próbuj mi wmawiać, że jestem fatalistką i może sama skazuję siebie na taki los. Już kiedyś to słyszałam.

- Więc dlaczego nie wzięłaś sobie do serca? - zapytał Tainer.

Zamiast się obrazić za obcesowe pytanie, Tyria się uśmiechnęła.

- Kellu, nie powiodło mi się dotąd w niczym, co zamierzałam osiągnąć - powiedziała. - Nie udało mi się utrzymać przy życiu członków mojej rodziny. Nie zdołałam się nauczyć władać Mocą ani podtrzymać rodzinnej tradycji. Nie dostałam się do eskadry gwiazdnych myśliców dzięki zdobytym umiejętnościom, ale dzięki oszustwu, na które nie powinnam była się zgodzić. Teraz pragnę jedynie odkupić swoje winy. Chociaż raz, zanim zginę. Potrafisz to zrozumieć?

Kell powrócił pamięcią do ostatnich dni, jakie jego rodzina spędziła na Alderaanie. Przypomniał sobie skrupulatne usuwanie prawdziwego nazwiska rodowego z dokumentów, rejestrów i akt... ze wszystkich dotychczasowych aspektów życia. Przypomniał sobie, jak matka przeklinała i jednocześnie opłakiwała męża.

- Uwierz mi, naprawdę potrafie - powiedział.

- A więc nie musisz mi prawie kazać, że krocze niewłaściwą ścieżką - odparła Tyria. Wykonała zamaszty gest, pewnie po to, aby wyprosić ich z kabiny. - A teraz już idźcie - oznajmiła. -

Pozwólcie mi odpocząć. - Kiedy wstali i skierowali się do wyjścia, przypatrzyła na Phanana. -
Wiesz co, Ton... - zaczęła.

- Tak?

- Opiekuj się moim X-wingiem - poprosiła. - Będę chciała, żebyś mi go zwrócił.

ROZDZIAŁ 15

- Kapitan Darillian i lord będą bardzo, bardzo zadowoleni - odezwał się Buźka.

Tym razem jego przebranie było dalekie od pospiesznej improwizacji.

Jego twarz była pokryta warstwą cielistych polimerów, które umożliwiały skórze oddychanie, ale ukrywały rysy i charakterystyczne cechy jego twarzy. Na polimerze trzymała się dobrze warstwa makijażu, a zdobiły go bujne wąsy i rozmaite niewielkie blizny, plamki i inne skazy, jakie normalna osoba zbiera zazwyczaj w ciągu życia. Buźka nie czuł wprawdzie podmuchów nocnego wiatru, ale maska w niczym mu nie przeszkadzała. Nosił mundur imperialnego porucznika, zmodyfikowany w taki sposób, żeby dobrze prezentowały się na nim ekstrawaganckie odznaki oficera „Nocnego Gościa”.

Stojący przed Garikiem mężczyzna, gubernator Nojin Koolb z usytuowanej na Odległych Rubieżach planety Xartun, uśmiechnął się ciepło po jego słowach.

- Bardzo się cieszę - powiedział.

Buźka zniżył głos do szeptu i nadał mu złowieszcze brzmienie.

- Jest jednak coś, co niepokoi lorda - zaczął. - To fakt, że Xartun przyłączył się niedawno do Nowej Republiki. Czy nie czuje pan pewnej sprzeczności między obietnicami złożonymi Radzie Tymczasowej a słowem, które właśnie pan dał lordowi Zsinjowi?

Gubernator nie przestał się uśmiechać ani nawet nie stracił pewności siebie.

- Naturalnie, że nie, panie poruczniku - powiedział. - Porozumienie z Nową Republiką podpisał mój nieodżałowanej pamięci sławny poprzednik, nie ja. Ja dochowuję lojalności Zsinjowi... nawet jeżeli w tej chwili względy natury praktycznej uniemożliwiają mi podanie tego do wiadomości publicznej.

Buźka odwzajemnił uśmiech dostojnika.

- Postaramy się, żeby mógł pan dać publiczny wyraz swoim uczuciom tak szybko, jak to możliwe - obiecał, wyciągając rękę.

Gubernator potrząsnął nią energicznie.

- Cieszę się na myśl o tym - zapewnił. - A teraz, jeżeli pan pozwoli...

Odwrócił się i ruszył na czele świty po ferrobetonowej płycie lądowiska. Wszyscy stanęli w takiej odległości, żeby niewłaściwie wykonany manewr startującego wahadłowca nie skierował w ich stronę podmuchu gazów wylotowych.

Buźka też się odwrócił i prawie wbiegł po ładowniczej rampie, która zaczęła się unosić, jeszcze zanim zniknął w otworze wjazdu. Usiadł na fotelu drugiego pilota obok Cubbera ubranego w mundur imperialnego chorążego.

- Wszyscy na stanowiskach? - zapytał.

- Do tej pory na pewno - zapewnił go szef mechaników. - Możemy się zresztą łatwo przekonać.

Dwukrotnie pstryknął włącznikiem mikrofonu pokładowego komunikatora wahadłowca.

Buźka spojrział przez iluminator na przeciwległy kraniec ferrobetonowej płyty. Pierwsze z dwóch

słońce Xartuna właśnie wyłaniało się zza horyzontu nad niepozornie wyglądającym bunkrem, w którym spędził kilka ostatnich godzin, zapoznając się z bezcennymi informacjami. Przedtem gubernator oprowadził go po fabrycznych pomieszczeniach, które zamierzał pokazać kapitanowi Darillianowi. Buźka zwiedził wszystkie poziomy podziemnego zakładu, gdzie produkowano transpastalowe płyty. Stosowano je do konstruowania odpornych na blasterowe strzały okien i owiewek gwiazdnych myśliwców. Gubernator wyjaśnił, że obecnie wszystko stanowi własność lorda Houghteena Weena... Z pewnością był to jeszcze jeden pseudonim lorda Zsinja.

Za bunkrem znajdował się parking i mniejsze lądowiska, na których pracownicy dziennej zmiany zostawiali pojazdy osobiste. Jeszcze dalej ciągnęła się gruntowa droga łącząca fabrykę z najbliższym skupiskiem ludności. Teren wokół zakładu porastały gęste lasy, w których powinni obecnie czaić się dywersanci i komandos. Buźka nie wypatrył jednak w lesie żadnego sygnału, a z głośnika pokładowego komunikatora nie wydobył się nawet najlżejszy trzask. Obrócił się do Cubbera.

- Nic nie wskazuje, żeby tam byli - powiedział.

- Spójrz na swoją pierś - wyprowadził go z błędu szef mechaników.

Buźka spuścił głowę. Po jego bluzie tańczyła krwistoczerwona świetlna plamka laserowego systemu celowniczego, stanowiącego nieodłączną część snajperskiego karabinu Donosa.

Omam nie zeskoczył z fotela, ale zdołał się opanować.

- W porządku - stwierdził. - Są gotowi. - Kilka razy głęboko odetchnął, żeby opanować nerwy, i zczekał, aż czerwona plamka zniknie z jego piersi. - Jeszcze kiedyś policzę się z nim za to - mruknął do siebie.

- Jasne jak słońce - odparł Cubber.

Buźka zdjął czapkę imperialnego porucznika, wyciągnął ukryte w niej urządzenie i dołączył do gniazda na konsolce systemu telekomunikacyjnego wahadłowca.

- Kompresuję dane zarejestrowane podczas zwiedzania fabryki zaczął na użytek szefa mechaników. - Kompresuję, kompresuję... gotowe. - Zbliżył usta do mikrofonu komunikatora. - Wahadłowiec „Kąsek Addera” gotów do startu - zameldował. - Prześlę wam teraz pewien sygnał i proszę o potwierdzenie jego parametrów.

- „Kąsku Addera”, tu Wieża Sześć - usłyszał w odpowiedzi. - Zrozumieliśmy cię. Możesz wysłać.

- Przygotujcie się na trzydzieści sekund paskudnej verpińskiej muzyki, a po zakończeniu transmisji poinformujcie mnie o sile sygnału - zażądał Buźka.

Przycisnął guzik nadawania.

Przesyłał spakowane dane jako słyszalne dźwięki, nic więc dziwnego, że brzmiały jak szarpiące nerwy jazgotliwe piski, którymi mogłyby się zachwycać istoty niewielu ras galaktyki. Były jednak zarejestrowane jako dane i zaszyfrowane przez Młynka. Po dotarciu do adresata miały z nich powstać holograficzne obrazy wszystkiego, co Buźka zobaczył podczas zwiedzania fabryki.

Wreszcie transmisja danych dobiegła końca.

- Siła sygnału dziewięć - odezwał się dyspozytor Wieży Sześć. Ależ to było paskudne!

- Nie dopuść, żeby usłyszały to twoje dzieciaki - doradził Garik. Mogłoby się im to spodobać... jak moim. „Kąsek Addera” przerywa połączenie. Bez odbioru.

- Powodzenia i pomyślnych lotów - odparł dyspozytor. - Wieża Sześć, bez odbioru.

Cubber włączył repulsory i „Narra” oderwała się od płyty lądowiska. Kiedy unosiła się w powietrzu, jej skrzydła się rozłożyły i znieruchomiały w pozycji umożliwiającej lot w atmosferze.

Szef mechaników uniósł dziób wahadłowca i przesłał całą energię do jednostek napędowych. „Narra” śmignęła pod ostrym kątem ku niebu.

Bużka, poobijany w kilku miejscach mimo sprawnie działających inercyjnych tłumików statku, pospiesznie przypiął się do fotela i obrzucił Cubbera urażonym spojrzeniem.

- Hej, kto i gdzie wydał ci licencję pilota? - zapytał.

- Licencję? - Cubber wybuchnął beztroskim śmiechem. - Posłuchaj mnie, chłopcze. Nigdy nie miałem niczego równie zbędnego jak licencja. Wystarczyło mi kilka godzin wskazówek pilotów, którym czasami wyświadczałem różne przysługi. Chcesz, żebym lepiej pilotował? To udziel mi jeszcze kilku lekcji.

- Ach, tak? - zapytał Garik. - A mnie też wyświadczysz przysługę? Szef mechaników pokiwał głową.

- Jasne - obiecał. - Coś związanego z mechaniką?

- Chodzi o modyfikację mojego R2, Rozpylacza.

- Nic prostszego. - Cubber wzruszył ramionami. - Pozwól tylko, że posadzę tę latającą balię w wyznaczonym miejscu, a ty mi opowiesz, na czym polega twój problem.

Młynek stał na polanie odległej o kilka metrów od skraju lasu i mniej więcej o sto od krańca płyty najbliższego lądowiska. Nie odrywał spojrzenia od ekranu komputerowego notatnika.

- Rozpakowało się bez problemu - zameldował. - Mówiłem ci, że to nic trudnego.

Kell przykucnął obok niego.

- Nie miej o to do mnie pretensji - powiedział. - Po prostu lubię mieć pewność, że wszystko przebiega jak zaplanowano.

- Przykładasz bardzo dużą wagę do przygotowań - zauważył Bothanin.

- To prawda - mruknął Tainer. - Chcę teraz, żebyś się zapoznał z tymi danymi i nie przestawał ich przeglądać, dopóki zaczną ci krwawić oczy. Ja będę robił to samo.

Młynek westchnął.

Mieli na sobie ciemnozielone kombinezony w nieregularne czarne plamy. Kamuflujące stroje pozwalały im się roztopić w nocy, w gęstym lesie i w miejscach porośniętych bujnymi krzakami. Obecni byli wszyscy piloci Eskadry Widm z wyjątkiem Bużki, ale Wedge, chociaż najstarszy stopniem, powierzył dowództwo wyprawy Tainerowi, który służył kiedyś w jednostce komandosów i miał w takich akcjach spore doświadczenie.

- No dobrze - oznajmił Kell w pewnej chwili. - Możecie się teraz zdrzemnąć. Ja będę pierwszy pełnił wartę, a potem zastąpi mnie Janson. Wkraczamy do akcji dopiero po zapadnięciu ciemności.

Po godzinie czy dwóch do fabryki zaczęli przybywać robotnicy i nadzorcy. Niektórzy przylatywali dużymi osobistymi ślizgaczami, a inni prywatnymi poduszkowcami. Ukryci w lesie komandosi nie widzieli, co dzieje się na terenie samej fabryki. Dopiero kwadrans przed południem obok tylnych wrót towarowych bunkra wylądowały cztery gwiazdne barki typu X-23 StarWorker i pracownicy fabryki zaczęli wnosić na ich pokłady jakieś pakunki. Kell i Wedge zapisali numery rejestracyjne barek, a Jesmin zajęła się rejestrowaniem wszystkich sygnałów. Barki wystartowały jakąś godzinę później i dopiero wówczas Kell mógł przekazać swoje obowiązki komuś innemu i się zdrzemnąć.

Obudził się, gdy było już prawie ciemno. Bolały go nie tylko mięśnie i kości, ale całe ciało. Widocznie jego śpiwór nie stanowił dostatecznej ochrony przed twardym gruntem i wystającymi korzeniami drzew, ale także ukłuciami dokuczliwych owadów. Pozostałe Widma wyglądały, jakby

czuły się tak samo.

Nie przejmując się, że ma sierść upstrzoną okruchami suchych liści, igłami jakichś drzew i kawałkami kory, Patyk podszedł do Kella i wręczył mu kubek parującej, wyjątkowo mocnej kafeiny. Tainer wypił łyk i się skrzywił.

- Jeszcze jeden rozpuszczalnik Cubbera? - zapytał.

Thakwaashanin wyglądał na zdezorientowanego, ale w końcu w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia i skrzydłowy Kella parsknął dziwnym śmiechem.

- A jak myślisz?

- Czy wszyscy już jedli? - zainteresował się Tainer.

- Wszyscy z wyjątkiem ciebie - odparł Patyk. Sięgnął po szary pojemnik długości trzydziestu kilku centymetrów i przycisnął ukryty w zagłębieniu mały guzik. Kiedy zawartość cylindra z kolacją zaczęła się gotować, z wnętrza wydobyły się ciche trzaski.

- To dobrze - odparł Kell i podniósł głos, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. - Ostatnia okazja sprawdzenia osobistego sprzętu - zapowiedział. - Ruszamy do akcji, kiedy się zupełnie ściemni.

Nie usłuchał własnego polecenia, gdyż sprawdził sprzęt jeszcze przed zaśnieciem. Plastikowe materiały wybuchowe, granaty, ładunki eksplodujące, samoprzylepne taśmy, detonatory, komunikatory zapalników, miniaturowe notesy przeznaczone do wysyłania sygnałów po wykryciu zmian sytuacji, sensory, narzędzia, reflektory, opaski z latarkami i źródła światła zaopatrzone w samoprzylepne taśmy do mocowania na ścianach i powierzchniach, komputerowy notes z pamięcią wypełnioną informacjami o wszelkich możliwych materiałach wybuchowych, używanych przez lordów i władców planet w Imperium i Nowej Republice... Wszystko to miał starannie poukładane w kieszeniach, żeby móc odnajdywać potrzebne przedmioty tylko za pomocą dotyku. Nie musiał się upewniać, czy znajdują się we właściwych miejscach. Otworzył metalowy pojemnik i machinalnie zaczął wkładać do ust pozbawione smaku mięsne kulki.

W pewnej chwili Młynek zaczął machać rękami, żeby zwrócić jego uwagę. Wciąż jeszcze oszołomiony po krótkim śnie, Kell podszedł do niego i wypił kilka następnych łyków toksycznej kafeiny.

- Mam coś dla ciebie - odezwał się Bothanin. Wskazał nieproporcjonalnie duży ekran swojego komputerowego notatnika.

Tainer podszedł jeszcze bliżej i pochylił się nad urządzeniem.

- Pokaż - powiedział.

Zobaczył zarejestrowany przez panoramiczną soczewkę obiektywu kamery widok frontu bunkra i przypomniał sobie, że podobne do rybiego oka urządzenie było starannie ukryte w czapce Bużki. Młynek przycisnął jakiś klawisz i nieruchomy dotąd obraz nabrał życia. Kiedy solidnie opancerzone wrota bunkra rozsunęły się na boki, gubernator Nojin Koolb i kilku jego podwładnych znaleźli się w przestronnym hangarze dla niewielkich pojazdów. W miarę jak Garik podążał za nimi, obraz stawał się coraz wyraźniejszy.

Kiedy znaleźli się w środku, jeden z członków świty gubernatora wyciągnął rękę, jakby chciał zwrócić uwagę gościa na długi odkryty pojazd.

Kell uświadomił sobie, że patrzy na ubrikkiański skiff towarowy, który różnił się jednak od standardowego modelu. W rufowej części skiffa zainstalowano osłonięty kulistą transpasteralową owiewką niewielki przedział pasażerski. W pewnej chwili rysy podwładnego gubernatora nabrały wyrazu rozbawienia. Ukazywany przez obiektyw kamery obraz lekko zadrżał, jakby i Bużka się

roześmiał.

- O, tu - odezwał się w pewnej chwili Młynek i unieruchomił obraz. Postukał palcem w dolny lewy róg ekranu. Widoczny w tym miejscu mężczyzna trzymał komunikator, ale nie unosił go do ust. Bothanin znów zaczął odtwarzać zarejestrowane nagranie. Mężczyzna przycisnął jakiś guzik na płycie czołowej komunikatora i widoczne za jego plecami, w rogu obrazu, masywne wrota bunkra zaczęły się zamykać.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Młynek, zerkając na Tainera.

- Wrota zamykają się po wysłaniu sygnału, a nie po przyciśnięciu guzika ani po upływie określonego czasu - stwierdził Kell. - Możliwe także, że podwładny gubernatora świadomie odwrócił uwagę Buźki, żeby tego nie zauważył. Gdyby nie panoramiczna soczewka obiektywu, tak by się stało, bo kiedy Garik patrzył na skiff, całą scenę miał za plecami. Z pewnością to jeden z elementów systemu bezpieczeństwa bunkra. Prawdopodobnie mają tam jakiś alarm czasowy. Włącza się, jeżeli w ciągu określonego okresu nie zablokują go za pomocą wysyłanego przez komunikator sygnału.

- Ja również tak uważam, młody Pirotechniku - odparł Młynek.

- Dowodzę tym oddziałem, więc masz się do mnie zwracać „panie młody Pirotechniku” - poprawił go żartobliwie Tainer. - Cofnij teraz obraz do miejsca, w którym ten gość przyciska guzik na płycie czołowej komunikatora.

Bothanin usłuchał.

Kell spojrzał na wyświetlane w rogu ekranu cyferki oznaczające dokładny czas.

- Jesmin, od jak dawna to nagrywasz? - zapytał. Kalamarianka stanęła na baczność.

- Odkąd zaczęliśmy się przygotowywać do akcji, panie młody Pirotechniku! - wyskandowała.

Kell obrzucił ją takim spojrzeniem, jakby właśnie wydała go w ręce siepaczy Imperium.

- To strasznie długo, prawda? - zapytał.

- Nie tak bardzo - odparła Jesmin. - Moje urządzenie rejestruje wszystko, co pojawia się w eterze, ale analizuje to po dokonaniu nagrania i przekazuje do pamięci tylko silne dyskretne sygnały albo powtarzające się prawidłowości. Oznacza to, że po wielu godzinach rejestrowania mam zapisaną w pamięci najwyżej godzinę.

- Czy zarejestrowałaś jakąś transmisję, która mogła się pojawić o drugiej zero zero, zero osiem, zero trzy?

Kalamarianka podniosła ciężki pakunek z komunikatorem i otworzyła klapę, żeby uzyskać dostęp do głównego ekranu. Pewien czas oglądała ukazujące się na nim obrazy.

- Mam coś w odstępie ośmiu sekund od tego czasu - zameldowała w końcu. - Możliwe do przyjęcia, jeżeli uwzględnić normalne różnice czasowe pokazywane przez indywidualne chronometry. Transmisja była dosyć skomplikowana, ale trwała niespełna pół standardowej sekundy.

- Upewnij się, czy osiem sekund to przypadkiem nie różnica czasów między chronometrem twojego sprzętu a czasomierzem notatnika Młynka - rozkazał Tainer. Zmarszczył brwi i spojrzał z wyrzutem na Bothanina. - Czy nie powiedziałem wam przed akcją, żeby dokonać synchronizacji czasomierzy indywidualnych notatników?

Młynek sprawiał wrażenie speszonego.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, proszę pana - powiedział.

- Więc kiedy coś przeskrobiesz, przestajesz tytułować mnie „panem młodym Pirotechnikiem”? - zapytał Kell z udawaną powagą.

Bothanin wyszczerzył zęby w przepraszającym uśmiechu.

- Odstęp czasu się zgadza - zameldowała Jesmin.

- W porządku - odparł Tainer. - Zaznacz tę transmisję i przygotuj się do jej wysłania. Wyślesz ją na mój rozkaz na tej samej częstotliwości, na jakiej się pojawiła.

Nagle z gęstwiny drzew rosnących między polaną a płytą najbliższego lądowiska dobiegł cichy szmer. Ułamek sekundy później Wedge. Kell i Tyria wyciągnęli blastery i wymierzili je w tamto miejsce. Zamarli w oczekiwaniu na pojawienie się intruza, ale spomiędzy drzew wyłonił się tylko Donos.

Na ich widok zamrugał.

- Słońca zachodzą i ostatnie transportowce z robotnikami odleciały - zameldował.

- To dobrze - odezwał się Kell. - Pamiętajcie, że kiedy znajdziemy się w bunkrze, macie używać tylko numerów. Nie wolno wymieniać żadnych imion ani nazwisk. A oto ostatnie rozkazy... obowiązują, dopóki okoliczności albo ewentualne pomyłki nie zmuszą nas do ich zmiany. „Dziesiątka”, idziesz przodem. Będzie cię osłaniała „Jedynka”. – Tyria i Wedge kiwnęli głowami. - „Czwórka” i ja pójdziemy tuż za wami.

Młynek, wciąż jeszcze zawstydzony, że zapomniał o zsynchronizowaniu chronometrów, zarzucił plecak na ramię i zasalutował.

- „Dziewiątka” pozostanie tu na straży jako obserwator i snajper. Donos kiwnął głową. - Pozostali podążają luźną grupą, dopóki nie dotrzemy do tylnej bramy bunkra. „Jedenastka”, zajmiesz stanowisko przy tej bramie jako nasz rezerwowy obserwator.

Janson pokiwał głową.

- Kiedy się dostaniemy do środka - ciągnął Kell - „Trójka” wybierze jeden pojazd, którym moglibyśmy posłużyć się podczas ucieczki. Proponuję, żeby to był towarowy skiff, ale to ty jesteś ekspertką, jeżeli chodzi o stan techniczny takich pojazdów, więc wyszukaj taki, jaki uznasz za najlepszy. Później zniszczysz albo uszkodzisz pozostałe, żeby nie nadawały się do lotu. „Dwunastka”, zostaniesz z „Trójką” jako jej strażnik i jej uszy.

Falynn odwróciła się do Prosiaka i odgięła w górę kciuki obu rąk. Gamorreanin bez słowa kiwnął głową.

- Pozostali wejdą do środka, zarejestrują wszystkie dane, jakie zdołają, zainstalują ładunki wybuchowe i znikną - dokończył Tainer. Jakies pytania? Nie ma? W porządku. Ruszamy.

Idąc za Tyrią w odległości ośmiu, może dziesięciu metrów, Wedge z zachwytem obserwował, jak pilotka się porusza.

Przystawała, ilekroć słyszała odgłosy dzikich zwierząt, trzask łamanych gałązek i inne dźwięki, jakie zwracały jej uwagę. Zamierała także, kiedy panowała zupełna cisza. Ruszała w dalszą drogę dopiero wtedy, kiedy wiatr zaczynał na nowo szeleścić liśćmi drzew i krzewów. Szła wtedy cicho jak duch, a leśne szmery zupełnie zagłuszały odgłosy jej kroków.

Wedge starał się ją naśladować. W ciągu ostatnich kilku lat brał udział w tylu wyprawach, że całkiem nieźle umiał się skradać praktycznie bezszelestnie. Z drugiej strony jednak, nie musiał korzystać z tej umiejętności dzień w dzień w ciągu wielu lat jak Tyria, i wcale nie czuł się zakłopotany, że pilotka ma w tym większe doświadczenie.

Skradali się skrajem lasu wzdłuż ferrobetonowej płyty lądowiska, dopóki nie dotarli do miejsca, skąd było najbliżej do wejścia bunkra. Pochyleni i przygarbieni, przebiegli po otwartym terenie do samych wrót i przyłgnęli plecami do ściany obok masywnej bramy. Tyria kiwnęła głową Antillesowi

i „Jedynka” dwukrotnie wcisnął guzik mikrofonu komunikatora na znak, że początkowa faza operacji przebiegła bez zakłóceń. Oboje przykucnęli z blasterami w dłoniach i osłaniali biegnących członków następnej grupy.

Po mniej więcej minucie dołączyli do nich Kell i Młynek.

- Na razie w porządku - szepnął Tainer. - Praktycznie żadnych środków bezpieczeństwa.

- Przynajmniej na zewnątrz - poprawiła go Tyria.

Kell pstryknął dwukrotnie włącznikiem mikrofonu swojego komunikatora i kiwnął głową Bothaninowi.

Młynek wziął w zęby niewielką latarkę i skierował cienki strumyk światła na usytuowany obok wrót panel dostępu.

- Standardowy model - mruknął niewyraźnie.

- Zsinj i standardowy model? - prychnął Kell. - Nie uwierzę.

- Ja też nie. - Bothanin wyjął z kieszeni niewielki sensor i przesunął nim wokół panelu dostępu, w miejscu, w którym wtopiono go w ścianę. - Miałeś rację - powiedział. - Standardowa klawiatura, pod nią uproszczone obwody, ale głębiej drugi panel z gęsto upakowanymi mikroelementami. Niestandardowymi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Wedge.

- Falszywa pierwsza warstwa, żeby uspić czujność potencjalnych włamywaczy.

Z kącika jego ust pociekła strużka śliny. Zakłopotany Młynek spojrzał spode łba i umilkł.

- Jeżeli ktoś otworzy płytę czołową, zobaczy standardowe okablowanie, jakie zazwyczaj się widuje w takich panelach - dokończył Kell. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zdoła pokonać pierwszy poziom zabezpieczeń i otworzy bramę. Właśnie na tym polega dodatkowe zabezpieczenie. Uspokojony włamywacz przechodzi przez wrota, a w tym czasie ukryte w głębi obwody alarmują każdego strażnika na tej półkuli Xartuna. Problem w tym, żeby unieszkodliwić obie warstwy zabezpieczeń i nie uruchomić systemu alarmowego, a to może się okazać bardzo trudne...

Rozległ się cichy trzask i Młynek otworzył płytę czołową panelu dostępu. Oczom wszystkich ukazały się umieszczone ciasno obok siebie obwody, jakich Wedge jeszcze nigdy nie widział. Bothanin uśmiechnął się półgębkiem i spojrzał na Tainera.

- No dobrze - odezwał się Kell. - Może to jednak wcale nie będzie takie trudne.

Wedge z trudem powstrzymywał uśmiech. Piloci Widm nie przestawali zaskakiwać swoich kolegów tym, co potrafili. Antilles uznał, że to bardzo dobrze, ale wolałby, żeby Kell nie był tak zdenerwowany i spięty. Zachowywał się tak, odkąd Wedge mianował go dowódcą, a to nie wróżyło najlepiej powodzeniu wyprawy. Pozostali zjawili się cicho jak duchy i stanęli za ich plecami.

- Doliczyłem się wszystkich - szepnął Janson.

Młynek podłączył przewody i obwody bocznikujące do gniazdek i odizolowanych kabli płytki z mikroobwodami i pstryknął dźwigienką miniaturowego przełącznika. Ciężkie wrota bunkra zgrzytnęły i zaczęły się otwierać. Za bramą było ciemno choć oko wykol; ciemności nie rozpraszał nawet blask powoli wschodzących nad przeciwległym krańcem bunkra księżyców.

Tyria nasunęła na oczy aparaturę umożliwiającą widzenie w ciemności i włączyła ją. Wszyscy usłyszeli cichy pomruk.

- Możemy zrobić sześć kroków - oznajmiła. - Do tego miejsca nie ma żadnych przeszkód.

Usłuchali wszyscy z wyjątkiem Jansona.

- „Dwójka”? - zapytał Tainer.

- Tak, „Piątko”?

- Zdołasz wysłać ten sygnał, posługując się tylko dotykiem?

- Naturalnie, „Piątko” - odparł Janson.

- To wyślij.

Wrota za ich plecami zgrzytnęły i zaczęły się zamykać.

- Włączyć ręczne latarki - rozkazał Kell.

Komandosi włączyli miniaturowe źródła światła i cienkie igielki blasku rozjaśniły niewielkie fragmenty przestronnego hangaru.

- Wiecie wszyscy, co macie robić? - zapytał Tainer. - Do roboty.

Skierował się do drzwi prowadzących na korytarz, gdzie znajdowały się drzwi szybu głównej towarowej turbowindy. Podążyli za nim wszyscy oprócz Falynn i Prosiaka.

W ciągu zaledwie minuty, odkąd stanęli przed drzwiami szybu, Młynek uporał się z systemami kontrolnymi towarowego dźwigu. Kiedy skończył, pochylił się, żeby unieść masywne zewnętrzne drzwi, ale ciężka płyta opierała się jego staraniom.

- Pozwól, że my się tym zajmujemy - odezwał się Patyk. Udając zawadiakę, jakiego Wedge jeszcze nie widział, podszedł do drzwi kabiny, pochylił się i wsunął palce pod masywną płytę. Bez wysiłku się wyprostował, uniósł ją na wysokość bioder i wyszczerzył zęby w niemal ludzkim uśmiechu. Chociaż podtrzymywał ogromny ciężar, jego porośnięte sierścią długie ręce nawet nie drżały.

Kell pochylił się i zajrzał do szybu. Sięgał w dół co najmniej na sześć pięter... z pewnością więcej niż trzy, które oglądał Bużka. Towarowa kabina majaczyła w półmroku na samym dole. We wgłębieniu jednej ze ścian szybu widniały metalowe szczeble.

Schodząc po nich, Młynek mówił coś do Kella, ale tak cicho, że Wedge z trudem rozumiał jego słowa.

- Nie widziałem żadnych kamer ani mikrofonów - meldował Bothanin. - W ścianie za panelem dostępu do turbowindy nie zauważyłem także zasilających kabli.

- A przyglądałeś się na tyle długo, aby zyskać pewność? - zapytał Kell.

- Nie - przyznał Bothanin. - Mówię tylko, jakie odniosłem pierwsze wrażenie.

- To miej nadal oczy szeroko otwarte - polecił Tainer. Przypomniawszy sobie, że Bużka nie widział ani jednego uzbrojonego strażnika, a przynajmniej żaden nie pokazywał się na zarejestrowanych przez niego obrazach. Mogłoby to oznaczać, że kompleks podziemnej fabryki zabezpieczały inne systemy ochronne... a Kell niepokoił się, bo nie wiedział, jakie.

Na szczęście kabina towarowej turbowindy nie miała dachu, w którym trzeba byłoby wycinać otwór, więc komandosi po prostu zeskoczyli z wysokości mniej więcej dwóch metrów na podłogę. Młynek od razu zajął się unieszkodliwianiem elektronicznych urządzeń kontrolnych umożliwiających otwieranie drzwi kabiny. Kiedy skończył, Patyk bez wysiłku je rozsunął i równie łatwo uporał się z opancerzonymi drzwiami zewnętrznymi.

Komandosi znaleźli się w magazynie. Stało w nim wiele kołowych wózków transportowych i nawet kilka pojazdów repulsorowych. Na niektórych spoczywały transpastalowe wyroby.

Zobaczyli też przezroczyście niczym kryształ sześciany. Miały trzymetrowy bok i kilka niewielkich okrągłych otworów, a w jednej ścianie widniało kwadratowe wejście o rozmiarach metr na metr. Na innych wózkach leżały wielkie, grube płyty w kształcie nieregularnych wieloboków, a na jeszcze innych podobne do gigantycznych soczewek krążki o ponad dwumetrowej średnicy.

Wedge przyjrzał się im uważnie.

- To przednie iluminatory myśliwców T1E - powiedział. - A te ogromne płyty, o ile się nie mylę, to okna mostka albo iluminatory imperialnego okrętu liniowego.

- Wygląda, że produkują tu elementy dla gwiazdnego superniszczyciela Zsinja - odezwał się Kell szeptem, żeby nie zarejestrowały go zainstalowane w pomieszczeniu mikrofony. - Dlaczego jednak „Ósemce” nie pokazano tego poziomu?

Wedge zmarszczył brwi. Sam był tego ciekaw.

- Z początku gubernator poprzedniej planety także nie chciał omawiać z „Ósemką” niektórych spraw, bo zamierzał o nich mówić tylko z kapitanem Darillianem - odparł również szeptem. - Przypuszczam, że Zsinj stara się przekazywać różnym osobom tylko te informacje o sobie, które bezpośrednio ich dotyczą. Tworzy strukturę komórkową, podobną do komórek ruchu oporu, żeby zapobiec wyciekaniu informacji.

Kell kiwnął głową.

- Kiedy jedna komórka wpadnie w ręce nieprzyjaciół, pozostałe będą się mogły czuć bezpieczne - powiedział.

Nagle stojący na progu jakichś drzwi Młynek cicho syknął i zaczął ich przywoływać do siebie. Usłuchali i przeszli do sąsiedniego pomieszczenia.

Znaleźli się w ośrodku kierowania albo czymś w rodzaju sterowni. Zobaczyli rzędy komputerowych konsol z czarnymi ekranami monitorów, na których, kiedy były włączone, prawdopodobnie pokazywały się kluczowe informacje o poszczególnych etapach procesu produkcyjnego.

- Źródło bezcennych danych - szepnął Młynek.

- Wyczyść je - polecił Kell - i przekaż wszystko, co znajdziesz, do pamięci komunikatora „Dwójki”.

Bothanin się skrzywił.

- To zajmie mnóstwo czasu - powiedział.

- Nie tak dużo, jak ci się wydaje - odparł Tainer. - Wykonaj.

Wedge osłaniał Kella, kiedy dowódca wyprawy badał kolejne pomieszczenia szóstego podziemnego poziomu fabryki.

Zajmowała je jeszcze jedna linia montażowa. Wszystko wskazywało, że przegrzane transpastalowe wlewki o kształcie dostosowanym do potrzeb imperialnych okrętów i myśliwców dostarczano z odlewni umieszczonych na wyższych poziomach. Także tu komandosi natknęli się na ogromne transpastalowe sześciany, które widzieli poprzednio, a których zastosowania nie potrafili odgadnąć. Kell nie zwracał uwagi na przeznaczenie pomieszczeń, przez które przechodzą. Bez trudu wyszukiwał najważniejsze filary, ściany nośne, wsporniki, generatory i przetwornice i przyczepiał do nich ładunki wybuchowe. Kiedy nastawiał czasomierze detonatorów, obaj piloci Widm starali się ograniczyć rozmowy do minimum.

W pewnej chwili Wedge poczuł lekką zmianę ciśnienia powietrza. Odwrócił się tyłem do filaru, na którym Tainer instalował kolejny ładunek wybuchowy, i omiół promieniem ręcznej latarki duże pomieszczenie.

Nie zauważył niczego oprócz taśmociągów, transporterów, odbiorczych chwytaków, połyskujących urządzeń i fototropowego sprzętu ochronnego.

Nagle promień jego latarki musnął poruszającą się sylwetkę. Kell z trudem zauważył ciemny kształt. Sylwetka była wyższa niż człowiek i poruszała się cicho jak zjawa. Antilles skierował

strumień światła w stronę, w którą cień się przesunął, ale niczego tam nie zauważył.

- Uwaga, kłopoty - ostrzegł szeptem partnera.

Usłyszał cichy skowyt, kiedy Kell włączał czasomierz ostatniego detonatora, a gdy wyciągał blaster z kabury, dał się słyszeć szelest metalu ocierającego się o skórę.

Nagle coś zaatakowało ich z boku. Wyciągnęło ku nim szczypce i chwytaki...

ROZDZIAŁ 16

- „Dziesiątka”?

Tyria obróciła głowę w kierunku, skąd napływał głos Patyka. Thakwaashanin stał na straży obok drzwi kabiny towarowej turbowindy, ale miał oczy otwarte szerzej niż zazwyczaj.

- Tak, „Szóstko”? - zapytała.

- Słyszałaś coś niezwykłego? - odezwał się Patyk. - Bo my z pewnością coś słyszeliśmy.

Tyria przeniosła spojrzenie na drzwi sterowni. Stał tam na straży Ton Phanan z gotowym do strzału blasterem. Patrzył w głąb sterowni i nie wyglądał na zaniepokojonego.

Tyria odwróciła się do Patyka.

- Nie, nic - oznajmiła.

Ułamek sekundy później z ciemności za plecami Thakwaashanina wyłonił się duży cień. Zanim Tyria zdołała coś powiedzieć, obalił Patyka na posadzkę niczym rozpedzony skuter raketowy, nad którym pilot stracił panowanie.

W stronę pilotki płynęła teraz w powietrzu niezgrabna sylwetka, zwieńczona okrągłym i ciężkim kształtem i ciągnąca za sobą pęk macek niczym bezkręgowy potwór morski.

Atak zupełnie zaskoczył Kella i Wedge'a. Masywny napastnik zderzył się z Tainerem i obalił go na metalową podłogę. Antilles uchylił się, ale uderzony w bark, runął na podłogę. Od razu się przetoczył i zanim znieruchomiał pod kontrolną konsolę, wymierzył blaster i wystrzelił.

Błyskawica trafiła w środek torsu i oświetliła napastnika. Zwęgliła miejsce trafienia, ale nie przebiła go na wylot.

W powietrzu nisko nad podłogą unosiła się maszyna. Jej czarny korpus wyglądał jak coś pośredniego między cylindrem a kulą, a górna część miała półkolisty kształt. Obie części łączyła niezbyt gruba kolumna, która umożliwiała obu częściom niezależny obrót wokół tej samej osi. Z boków i z dołu automatu zwisało pięć czy sześć przegubowo połączonych metalowych macek, a na górnej półkuli widniał wymalowany biały symbol A3. Pękaty korpus był usiany gniazdami sensorów, a z obu części wystawały lufy blasterów. W pewnej chwili wieńcząca potwora czasza obróciła się i niemal natychmiast jedna z tych luf skierowała się ku Antillesowi.

Wedge zanurkował za wspornik konsoli ułamek sekundy wcześniej, zanim stwór wystrzelił. Blasterowa błyskawica trafiła w konsolę, prześwidrowała ją na wylot i zasypała Antillesa deszczem iskieł.

Imperialny robot sondujący. Wedge przyklęknął na jedno kolano, odczekał chwilę, zerwał się i przebiegł odległość dzielącą go od sąsiedniej konsoli. Zobaczył wystającą zza niej stopę Kella. Rosły pilot się nie poruszał.

Wedge chwycił nogę kolegi i wciągnął go za masywną konsolę. Robot sondujący wystrzelił ponownie i blasterowa błyskawica stopiła płytkę metalowej posadzki w miejscu, w którym sekundę wcześniej spoczywała głowa Tainera.

Tyria ukryła się za wózkiem wyładowanym transpastalowymi iluminatorami myśliwców T1E i otworzyła ogień do zbliżającego się automatu. Trafiła go dwa razy tuż obok symbolu A2 wymalowanego na półkulistej czaszy. Powierzchnia pancerza się rozjarzyła, lecz imperialny robot sondujący nie zrezygnował z pościgu.

Automat wystrzelił, a błyskawica trafiła w jeden z iluminatorów, za którymi Tyria się ukrywała. Przezroczysta płyta od razu ściemniała, lecz strzał nie zdołał przebić jej na wylot. Dopiero po kilkunastu sekundach transpastał zaczęła powoli odzyskiwać przezroczystość.

Tyria odetchnęła z ulgą, bo rozumiała, że iluminatory poddano ochronnej obróbce fototropowej. Mogły pochłonąć energię strzałów wszystkich blasterów, może z wyjątkiem instalowanych na trójnogach laserowych działek. Robot popłynął w powietrzu w bok, żeby ominąć przeszkodę, ale wystrzelona przez Phanana błyskawica trafiła w jeden z jego czujników optycznych, roztrzaskała go i zniszczyła. Potwór niemal natychmiast odpowiedział ogniem. Tyria zobaczyła, że Phanan ukrył się znów za taflą drzwi sterowni.

- Jesteśmy atakowani przez robota sondującego - zameldował Wedge. - Wojskowego typu. Wszystko wskazuje, że ręczne blastery nie robią na nim żadnego wrażenia.

Kell otworzył oczy.

- Wiem coś na ich temat - powiedział.

- Rozmawiam z Jesmin - oznajmił Antilles. - Ich także atakuje podobny probot.

- Czy nie powinniśmy zachowywać ciszy w eterze? - zaniepokoił się Tainer.

- Jeżeli imperialne proboty obudziły się do życia, miejscowi wiedzą o naszej obecności - mruknął Wedge.

Kell uniósł głowę i jęknął.

- Wiem, jak unicestwić naszego robota, ale przedtem chciałbym się trochę zdrzemnąć - powiedział.

- W tej chwili nie ma to czasu - stwierdził „Jedynka”. - Czy zamierzasz posłużyć się materiałem wybuchowym?

- Naturalnie.

- Jak chcesz go przyczepić?

Kell wyszczerzył zęby w beztróskim uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że podprowadzisz go do mnie, abym mógł to zrobić - powiedział.

- Coś wspaniałego - burknął Antilles.

Zanim robot sondujący, unosząc się w powietrzu, zdążył zająć pozycję obok wózka Tyrii, pilotka wyskoczyła z drugiej strony i pobiegła do jednego z pojazdów repulsorowych. W tym czasie Phanan, osłaniając jej ucieczkę, zasypywał automat seriami blasterowych błyskawic. W pewnej chwili probot obrócił półkulistą czaszę i odpowiedział na jego ogień. Strzelał w metalową gałkę drzwi sterowni tak długo, dopóki nie przemieniła się w rozżarzoną bezkształtną masę, spływającą ognistymi łzami na posadzkę.

Tyria miała dość czasu, żeby wskoczyć na fotel kierowcy i uruchomić silnik pojazdu. Niemił natychmiast transporter uniósł się jakiś metr w powietrze. Ładownię wypełniały ustawione pionowo płyty wielkich okien, które stanowiły jedyną ochronę przed strzałami automatu. Pilotka włączyła wsteczny bieg i skierowała pojazd na probota.

Jakby przeczuwając nadciągające niebezpieczeństwo, robot sondujący otworzył do niej ogień, ale

blasterowe błyskawice jego strzałów rozbryzgiwały się na transpastalowych płytach. W pewnej chwili pojazd zderzył się z probotem, a impet uderzenia zaczął pchać automat tyłem na ścianę. Tyria przyspieszyła i zaczęła, aż repulsorowy pojazd grzotnie w ferrobeton. Siła uderzenia przyszpiliła automat i unieruchomiła go pod ścianą. Wojowniczy probot starał się wykręcić i uwolnić, ale nie przestawał ostrzeliwać transpastalowych płyt blasterowymi błyskawicami. Pod wpływem ich energii tafle najpierw ciemniały, a potem zaczynały się topić.

Wedge kończył okrążyć halę produkcyjną. Przeciskał się biegnącym pod ścianą wąskim przejściem ewakuacyjnym, pozostawionym ze względów bezpieczeństwa za zestawami kontrolnych konsol. Często przystawał i starał się zmieniać rytm kroków. Ścigający go automat nie powinien się orientować, kiedy jego ofiara pokona wolną przestrzeń między zestawami konsol, żeby nie mógł upolować jej celnym strzałem. Sondujący robot podążał w tę samą stronę co on, ale unosił się nad szerokim przejściem biegnącym środkiem hali. Był niewiarygodnie szybki i celny, czego dowodem były dwa strzały, jakie zwęgliły materiał kombinezonu Antillesa i lekko przypaliły skórę na ramieniu i udzie.

W pewnej chwili automat znieruchomiał obok kryjówki Kella Tainera. Wedge nie zdecydował się przebiec za następnym prześwitem między konsolami. Probot trzykrotnie wystrzelił w tę lukę, ale tylko wypalił otwory w ścianie.

Antilles zauważył kątem oka, że Tainer wstaje cicho jak duch i rusza do ataku. Był wysoki i miał długie nogi, toteż bez trudu wskoczył na pulpit konsoly, odbił się i wylądował na kopułce śmiertelnie niebezpiecznego automatu.

Niemal natychmiast od niej odskoczył, opadł na posadzkę i przetoczył się pod najbliższą konsolę. Robot sondujący usiłował go schwytać metalową kończyną, lecz się spóźnił. Wymierzył w niego blaster i dał ognia, ale Tainer zdołał się ukryć za masywną obudową.

Wedge cicho jęknął.

- Tylko mi nie mów, że muszę zaczynać wszystko od nowa - powiedział.

- Ukryj się!

Antilles rzucił się na posadzkę ułamek sekundy wcześniej, zanim półkulista czasza automatu eksplodowała niczym wulkan. Siła wybuchu strzaskała wskaźniki na pulpitych sąsiednich konsol, rozplaszczyła szczątki probota na posadzce i posłała chwytały w różne strony. Wedge wstał.

- Bardzo sprytnie - powiedział. - Nie zauważyłem, kiedy przykleiłeś mu detonator.

Kell odwrócił się, żeby sięgnąć po torbę, przyłożył dłoń do ucha i poruszył wargami.

Wedge uświadomił sobie, że w jego uszach coś dzwoni.

- Co mówiłeś? - zapytał.

Z trudem usłyszał odpowiedź Tainera:

- Co powiedziałeś?

Tyria napierała z całej siły na drążki kontrolne repulsorowego pojazdu. Z narastającym przerażeniem uświadamiała sobie, że przegrywa walkę o unieruchomienie probota.

Phanan nie przestawał go ostrzeliwać. Błyskawice jego strzałów przebijały się przez pancierz automatu... ale tak powoli, że obezwładnienie potwora mogło zająć kilka dni.

Nagle z przeciwległego końca wielkiej hali produkcyjnej doleciał odgłos eksplozji. Przerażona Tyria zamarła w obawie, że zainstalowane przez Kella termiczne detonatory wybuchły przedwcześnie... ale nie usłyszała odgłosów kolejnych eksplozji. Miała nadzieję, że Tainer znajdował się daleko od miejsca wybuchu.

Nagle obok probota wylądowała sterta transpastalowych wyrobów. Tyria spojrzała w bok i zobaczyła, że Patyk, wymachując rękami jak pijany żeglarz po opuszczeniu ostatniej tawerny, ociera jedną ręką płynącą z nosa krew, a drugą blokuje dźwignię hamulca pojazdu kołowe - go. Skrzydłowy Kella machnął do niej ręką i pobiegł chwiejnie. Tyria uznała, że musi być ranny. Wskoczył do następnego pojazdu i chwycił rękojęść kontrolnej dźwigni.

Podjechał wózkiem pod ścianę z drugiej strony probota, zablokował dźwignię hamulca i unieruchomił potwora na dobre. Wprawdzie uniemożliwiło to Phananowi oddawanie kolejnych strzałów, ale w następnej chwili z hali produkcyjnej fabryki wybiegli Wedge i Kell.

- Jesteśmy Omega! - krzyknął Tainer. Machnął ręką na znak, żeby pozostali komandos kierowali się do kabiny turbowindy. Młynek i Jesmin wybiegli za Phananem ze sterowni i wskoczyli do klatki towarowego dźwigu.

- Co się stanie, kiedy tamten robot sondujący w końcu się uwolni? - zapytała Tyria.

- Co powiedziałaś? - odparł Kell.

- Co takiego? - zapytał Wedge, przykładając dłoń do ucha.

- Robot sondujący! - krzyknęła pilotka. - W końcu się uwolni! Kell pokręcił głową i wyciągnął z torby zegarowy ładunek wybuchowy.

- Nie - powiedział. - Ukryj się gdzieś.

- A jeżeli jest ich więcej?

- Ja się nimi zajmę - oznajmił Młynek. - Zaufaj mi.

- „Szóstka”, kiedy będziemy jechali na górę, zostaw otwarte drzwi na czwartym i drugim poziomie - polecił Tainer.

Przyciskając rękaw do płaskiego nosa, żeby powstrzymać ciekącą krew, Patyk nie odpowiedział, ale pokiwał głową.

- Dlaczego ma otwierać te drzwi? - zainteresowała się Tyria. Przypomniała sobie, że Kell i Wedge mają kłopoty ze słuchem, więc powtórzyła pytanie, wykrzykując słowa na całe gardło.

- Muszę i tam zainstalować ładunki wybuchowe na filarach i ścianach nośnych! - odkrzyknął zupełnie niepotrzebnie Tainer. - To właśnie one podtrzymują najwyższy poziom bunkra. Jeżeli nie wyjdę stamtąd w ciągu siedmiu minut, zarządzicie ewakuację.

- Jeżeli obaj stamtąd nie wyjdziemy - poprawił go Wedge, także na cały głos. - Musisz mieć kogoś, kto będzie cię osłaniał.

- Jasne, że muszę. - Kell wyszczerzył zęby w uśmiechu i wsunął ładunek wybuchowy pod jeden z unieruchamiających probota wózków kołowych. Detonator miał czasomierz nastawiony na dziesięć sekund.

Wszyscy wybiegli z hali produkcyjnej.

Kell nie marnował ani chwili. Spędzając najwyżej kilka sekund obok każdego filara czy ściany, przyklejał termiczne detonatory, nastawiał czasomierze i włączał zapalniki najpierw na czwartym, a potem na drugim podziemnym poziomie bunkra. Uporał się ze wszystkim rekordowo szybko.

W tym czasie Wedge rozglądał się, czy nie zobaczy innych robotów sondujących, ale żadnego nie zauważył. W pewnej chwili wydało mu się, że coś wznosi się szybem turbowindy, ale kiedy spojrzał w głąb, niczego nie zobaczył.

Robot sondujący Al uniósł się w powietrze, wisiał pewien czas nieruchomo i w końcu wyleciał przez otwarte drzwi szybu na poziomie gruntu.

Stojący pod ścianą obok drzwi Młynek przycisnął guzik na panelu kontrolnym w ścianie.

Masywne zewnętrzne drzwi turbowindy, którą wcześniej pozbawił wszystkich zabezpieczeń, runęły na sondującego robota i niemal spłaszczyły jego obły tułów. Światelka fotoreceptorów automatu ściemniały i zgasły, a z wgnieceń i pęknięć korpusu strzeliły snopy iskier.

Młynek jeszcze dwukrotnie unosił drzwi turbowindy i opuszczał je na probota. W końcu podniósł je na dobre i zablokował. Z zadowoleniem spojrzął na zniszczony automat.

- Czy zasłużyłem, żeby namalować sobie jego sylwetkę? - zapytał.

Phanan prychnął.

- Jasne - powiedział. - Na przykład na obudowie swojego komputerowego notatnika.

- Bądźcie cicho - napomniała ich Jesmin. - „Dziewiątka” i „Jedenastka” meldują, że mamy towarzystwo. Na płycie lądowiska przed fabryką wylądował właśnie płaskodenny ścigacz wypełniony żołnierzami. Ubezpieczają ich dwa myśliwce T1E.

Tymczasem Janson, który leżał zupełnie nieruchomo na zewnątrz, obok zamkniętych wrót hangaru, szeptał cicho do mikrofonu komunikatora:

- Naliczyłem trzydziestu albo trzydziestu pięciu żołnierzy - meldował. - Przygotowują się do frontalnego szturmu na wrota bunkra. Domyślam się, że chcą zaatakować nas z dwóch stron równocześnie. Myśliwce T1E wylądowały w takim miejscu, żeby mogły strzelać przez wrota hangaru, ale żołnierze jeszcze się nie zbliżają. Podejrzewam, że czekają, aż pozostali znajdą się na wyznaczonych pozycjach. Na mój znak otwórzcie wrota, ale tylko na taką szerokość, żebym się zdołał wślizgnąć do środka.

- Potwierdzam, „Jedenastko” - odezwała się Jesmin.

Donos nie przyłączył się do rozmowy. Nie zadawał niepotrzebnych pytań, jak zareagować na zmianę sytuacji. Janson był pewien, że koreliański strzelec wyborowy nie zdradzi swojej obecności bez wyraźnego rozkazu, chyba że okoliczności zmuszą go do otwarcia ognia, żeby ocalić życie któregoś Widma. Cały czas pozostawał w ukryciu, aby w razie potrzeby przekazywać dodatkowe informacje.

Minutę później jeden z dowodzących oddziałem oficerów machnął ręką na znak, że żołnierze mogą ruszać do ataku. Nisko zgarbiony, pobiegł na czele sześciu podwładnych ku wrotom bunkra. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny blasterowe, a ich hełmy i napierśniki wyglądały jak przeznaczone do kasacji elementy zwiadowczych pancerzy szturmowców.

Janson trafił dowódcę w osłonę twarzy. Oficer runął, zanim uświadomił sobie, że został postrzelony. Jego żołnierze zamarli i chwilę tępo się na niego gapili. Wes trafił jednego w pierś, a kiedy pozostali rozplaszczyli się na ferrobetonowej płycie lądowiska, postrzelił kolejnego w osłonę hełmu i wyciągnął komunikator.

- Otwierajcie! - powiedział.

Wrota hangaru zaczęły się ze zgrzytem rozsuwać i szturmowcy otworzyli ogień. W płyty wrót i ścianę bunkra zaczęły się wbijać błyskawice blasterowych strzałów. Janson się skrzywił. Skoro nacierający żołnierze byli tak beznadziejnymi strzelcami, istniało tylko niewielkie prawdopodobieństwo, że któryś wymierzy starannie i go trafi. Nie mógł jednak wykluczyć, że ktoś postrzeli go przez przypadek albo że trafi go rykoszet.

Czołgając się tyłem w kierunku wąskiej szczeliny między płytami wrót hangaru, wystrzelił jeszcze trzykrotnie. Był pewien, że trafił przynajmniej dwóch następnych żołnierzy.

Nagle poczuł, że ktoś chwyta go za kostki i wciąga do hangaru. Kiedy znalazł się w ogromnym pomieszczeniu, odwrócił się na plecy i spojrzął w górę.

- Dzięki, „Dwunastko” - powiedział.

- Cała przyjemność po mojej stronie - usłyszał w odpowiedzi.

Obrócił się znów na brzuch i ostrożnie wyjrzał przez szczelinę między częściowo rozsuniętymi płytami, ale na razie nic nie wskazywało, żeby żołnierze zamierzali się poderwać do kolejnego ataku. Pragnąc zniechęcić ich jeszcze bardziej, zaczął posyłać ku nim błyskawice blasterowych strzałów. Kilku trafił, a pozostali wycofali się w bezpieczniejsze miejsca i ukryli za kadłubami jednostek stojących na płycie lądowiska.

Nagle Młynek spojrzął na ekran komputerowego notatnika, dołączonego za pośrednictwem standardowego kabla do gniazda systemu informatycznego w ścianie.

- Wdarli się do bunkra - zameldował. - Przez wschodnie wrota.

- Czy korytarz z szybem turbowindy jest jedyną drogą, jaką mogą się do nas dostać? - zapytał Janson.

- Tak.

- Kogo tam mamy?

- „Szóstkę” i „Dziesiątkę”.

Janson zmarszczył czoło. Wprawdzie ani Patyk, ani Tyria nie uchodzili za strzelców wyborowych, ale pamiętał, co widział na zarejestrowanym przez Bużkę nagraniu. Jeżeli ktoś chciał się dostać na korytarz załadunkowy, musiał pokonać otwartą przestrzeń, a sam korytarz nie był zbyt długi. Gdyby nieprzyjaciele przypuścili tamtędy szturm, mogliby się z nimi rozprawić nawet mało doświadczeni strzelcy.

Kell i Wedge wybiegli z szybu turbowindy pełną minutę przed upływem wyznaczonego czasu.

Po lewej mieli drzwi wiodące w głąb korytarza, a przed drzwiami zobaczyli zaparkowany transporter towarowy. Obok jednej burty stał Patyk, a przy drugiej Tyria. Kuląc się po obu stronach futryny, strzelali do niewidocznych nieprzyjaciół przez otwory wypalone w drzwiach przez blasterowe błyskawice.

Po prawej stronie Antillesa i Tainera znajdowały się otwarte drzwi do hangaru. W przeciwległej ścianie umieszczono wiodące na dwór wielkie wrota ze szczeliną, przez którą dało się zauważyć wycinek nocnego nieba. Po obu stronach szczeliny stali Janson i Prosiak. Co chwila to jeden, to drugi wychylał się i strzelał, żeby zniechęcić nieprzyjaciół do ataku. Trafiane co kilka sekund z zewnątrz masywne wrota drżały i jęczały.

Młynek i Jesmin podłączyli komputerowe notesy do gniazd systemu informatycznego w ścianie bunkra.

- Jesteście cali i zdrowi?! - krzyknęła na ich widok Kalamarianka.

- Już odzyskałszy słuch, więc nie musisz wrzeszczeć - poinformował ją Tainer. - A co u was? Nikomu nie stało się nic złego?

- Nie, ale na płycie lądowiska za wrotami wylądowały dwa myśliwce T1E i ścigacz z żołnierzami - odparła Jesmin.

Wedge i Kell weszli do hangaru. Falynn stała na rufie towarowego skiffa. Okrągła owiewka była uniesiona, a rozparta na fotelu pilotka z Tatooine coś majstrowała przy kontrolnych mechanizmach.

- „Trójka”, czy potrafisz uruchomić jakiś inny pojazd, żeby nadawał się do lotu? - zapytał Kell. - To znaczy, w ciągu kilku sekund, a nie minut?

- Naturalnie - odparła Falynn. - Zależy ci na jakimś szczególnym, czy wszystko jedno?

- To może być jakikolwiek lądowy śmigacz, przystosowany do kierowania za pomocą

automatycznego pilota albo zdalnego sterownika czy umieszczonej w czytniku karty danych.

Pilotka wyciągnęła z kieszeni komputerowy notatnik i machnęła nim w kierunku płaskodennego sportowego śmigacza lądowego typu XP-38, tak nowego, że lakier na jego kadłubie wciąż jeszcze błyszczał. Przycisnęła guzik i na pulpicie konsoli pojazdu zapaliły się światełka. Maszyn uniosła się jakiś metr w powietrze i znieruchomiała.

- Możesz uważać, że go uruchomiłam - zameldowała.

- Wspaniale - odparł Kell. - „Dwunastka”, skieruj go w pobliże szczeliny we wrotach i zaprogramuj, żeby przeleciał prosto mniej więcej dziesięć metrów, a następnie skręcił dziewięćdziesiąt stopni na sterburcie i przyspieszył tak gwałtownie, jak tylko może.

Prosiak kiwnął głową i nie zadając pytań, wskoczył na fotel pasażera śmigacza.

- Jaki masz plan? - zainteresował się Antilles.

- Zamierzam wysłać ten śmigacz jako przynętę - odparł Tainer. Spodziewam się, że żołnierze i piloci obu gał skierują na niego ogień blasterów. Dzięki temu przynajmniej kilka sekund nie będą ostrzeliwać wrót hangaru. Wylecimy przez nie towarowym skiffem i staranujemy jeden z myśliwców TIE. Pozwoli nam to zmniejszyć zagrożenie prawie o połowę. Podczas ucieczki będziemy musieli się martwić już tylko drugą gałą.

Wedge się uśmiechnął.

- Jeżeli zdołamy uciec wystarczająco szybko, nie będziemy musieli się nią przejmować - powiedział. - Nie zapominaj, że polecimy towarowym skiffem. - Hm?

- Skiffem wyposażonym w podnośniki z elektromagnetycznymi chwytakami. Nic ci to nie mówi?

Kell wybuchnął głośnym śmiechem.

- „Szóstka”, „Dziesiątka”, cofnijcie się trochę. - Kell machnął ręką w ich stronę.

Wszyscy z wyjątkiem Patyka, Tyrii i Prosiaka zdążyli zająć miejsca w towarowym skiffie, unoszącym się nieruchomo jakiś metr nad posadzką hangaru. W końcu Patyk i Tyria opuścili stanowiska obok podziurawionych jak sito drzwi korytarza, których bronili przed atakiem drugiej grupy napastników. Kiedy podbiegli do skiffa, pozostali przeciągnęli ich nad metalową poręczą ochronną i pomogli się dostać do przedziału pasażerskiego.

- Otwórz szerzej wrota, „Dwunastko” - rozkazał Tainer.

Gamorreanin uderzył otwartą dłonią w guzik panelu kontrolnego umieszczonego na ścianie obok wrót hangaru. Masywne płyty zgrzytnęły i zaczęły się rozsuwać na boki. W pewnej chwili, kiedy odkształcone powierzchnie zetknęły się ze ścianą, rozległ się donośny pisk. Prosiak podbiegł do unoszącego się w hangarze śmigacza i przycisnął jakiś guzik na pulpicie konsoli. Wrócił do towarowego skiffa i z pomocą pozostałych zajął miejsce w przedziale pasażerskim.

Jeszcze zanim ciężkie wrota hangaru zdążyły się całkowicie rozsunąć, ukryci na zewnątrz żołnierze otworzyli ogień do śmigacza. Trafili go dwoma strzałami, które pozostawiły ciemne ślady na owiewce kabiny. Kiedy nastawiony przez Prosiaka czasomierz pokazał zero, śmigacz wyleciał przez wrota, raptownie skręcił w prawo i przyspieszył.

Niemal natychmiast Widma usłyszały charakterystyczny dźwięk laserowych działek myśliwców TIE wspomagających ogień ręcznych blasterów.

- Teraz nasza kolej! - zawołał Kell.

Falynn uruchomiła towarowy skiff i skierowała go w stronę otwartych wrót hangaru. Nie chcąc wystawiać się na strzały nieprzyjaciół, w ostatniej chwili skręciła i przeleciała przez wrota.

Komandosi Widm uklękli i chwycili się jedną ręką poręczy, a drugą ujęli blastery. Wymierzili je ku nieprzyjaciołom i czekali.

Na płycie lądowiska, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od hangaru, stały dwa myśliwce T1E obok unieruchomionego pasażerskiego ślizgacza. Leżący obok nich żołnierze i piloci obu gał strzelali do szczątków odlatującego lądowego śmigacza. Na widok opuszczającego hangar skiffa niektórzy zaczęli krzyczeć i skierowali blastery ku uciekinierom. Falynn zwróciła dziób transportowca w stronę zaparkowanego po lewej stronie myśliwca T1E. Piloci Widm otworzyli ogień do leżących żołnierzy i zmusili ich do rozplaszczenia się na płycie lądowiska.

Pilot obranej za cel gały chyba się nie zorientował, co zamierza kierowca nadlatującego skiffa, bo imperialny myśliwiec nawet nie drgnął.

Dziób skiffa uderzył go tuż nad przednim iluminatorem. Siła uderzenia sprawiła, że imperialna maszyna obróciła się i runęła na panel z ogniwami słonecznymi. Falynn obniżyła pułap lotu, na ile mogła, żeby spód kadłuba przelatującego nad imperialnym myśliwcem transportowca ocierał się cały czas o kulistą kabinę maszyny. Skiff zadrżał konwulsyjnie i odbił się od myśliwca T1E, a kiedy chwilę później piloci Widm spojrzeli do tyłu, zobaczyli za rufą gałę koziółkującą po płycie lądowiska.

Sandskimmer skręciła na sterburtę tak raptownie, że skiff się przechylił i klęczące po przeciwnej stronie Widma omal nie wypadły za burtę. Pilotka skierowała dziób transportowca w stronę drugiego myśliwca T1E.

Pilot imperialnej maszyny zdążył jednak włączyć repulsory i poderwać się do lotu. Obrócił myśliwiec w powietrzu, żeby skierować lufy laserowych działek w stronę nadlatującego skiffa. Falynn zwiększyła pułap lotu i zmieniła kurs, aby bakburtą niemal otrzeć się o bakburtę gały.

Pilot wystrzelił na chybił trafił, lecz błyskawice jego strzałów minęły bakburtową poręcz transportowca i wznieciły pożar wśród wierzchołków drzew rosnących czterdzieści metrów od skraju lądowiska. Myśliwiec i skiff zaczęły się mijać w powietrzu, a dzieląca ich odległość zmalała poniżej metra.

Wedge wstał, włączył bakburtowy podnośnik towarowy i wysunął za burtę magnetyczne chwytaki. Potężne elektromagnesy wyrznęły w panel z ogniwami słonecznymi imperialnej maszyny, szarpnęły i zmusiły ją do dryfowania obok burty skiffa. Transportowiec zadygotał, ale nawet nie zwolnił.

Falynn obniżyła o kilka metrów pułap lotu i dolne krawędzie sześciobocznych skrzydeł myśliwca T1E zetknęły się z ferrobetonową płytą lądowiska. Rozległ się szarpający nerwy zgrzyt i wleczona po lądowisku gała zaczęła podskakiwać. Wedge mógł tylko wyobrażać sobie, jak czuje się siedzący w kabinie imperialny pilot.

Sandskimmer zatoczyła łuk i zawróciła w kierunku drugiego myśliwca T1E. Imperialna maszyna spoczywała na boku, a jeden z paneli słonecznych był zgięty do tego stopnia, że do połowy zasłaniał przedni iluminator. Pilotka z Tatooine spojrzała na Antillesa.

- Ma wciąż jeszcze sprawne repulsory! - krzyknął Wedge. - Leć do niego!

Falynn kiwnęła głową i podleciała do sterburty uszkodzonego myśliwca. Kell przeszedł na sterburtę, włączył drugi podnośnik, wysunął za burtę chwytaki i kiedy skiff przelatywał obok gały, pochwycił ją za pomocą elektromagnesów.

Nie zwiększając pułapu lotu, Sandskimmer powlokła za sobą drugi myśliwiec T1E. Obie

imperialne maszyny podskakiwały pewien czas jak piłki po płycie lądowiska. W końcu Falynn skierowała transportowiec na południe, w stronę drzew rosnących na skraju lądowiska. Kiedy dziób skiffa dzieliło od nich dwadzieścia metrów, odwróciła się do Wedge'a i Kella.

- Wiecie, kiedy je puścić? - zapytała.

Zwiększyła pułap lotu, przyspieszyła i skręciła na sterburtę.

Antilles i Tainer wyłączyli oba podnośniki. Myśliwce T1E koziółkowały jeszcze pewien czas po płycie lądowiska, ale w końcu zderzyły się z pniami pierwszych drzew. Antilles zauważył, że pod wpływem siły uderzenia w gruby pień wspornik sterburtowego skrzydła jednego myśliwca łamie się i odrywa. Druga maszyna znieruchomiała, a jej bliźniacze silniki jonowe eksplodowały, zupełnie jakby Kell umieścił w nich ładunki wybuchowe.

Falynn przeleciała jakieś sto metrów wzdłuż krawędzi lasu, zastopowała skiff w powietrzu i ostrożnie wylądowała. Żaden atakujący bunkier żołnierz nie strzelał już w ich stronę. Wedge zauważył, że wbiegają przez otwarte wrota hangaru, i pokręcił głową.

W pewnej chwili z lasu wybiegł Donos i przeskoczył przez ochronną poręcz pasażerskiego przedziału.

- Jesteście najgorszymi operatorami towarowych podnośników, jakich kiedykolwiek oglądałem - powiedział.

Wedge się uśmiechnął.

- Prawdopodobnie dlatego zdegradowano nas do pilotów gwiazdnych myśliwców - powiedział. - Możemy lecieć na spotkanie z „Narą”.

Machnął ręką na Falynn, żeby startowała.

Nagle dach bunkra za ich plecami napęczniał niczym balon i z oślepiającym błyskiem eksplodował. We wszystkie strony poszybowały kawałki ferrobetonu. Fruwały w powietrzu, aby w końcu opaść wokół zniszczonej budowli. Piloci Widm przyspieszyli i skierowali się do punktu zbornego. Ścigał ich głuchy pomruk eksplozji.

ROZDZIAŁ 17

- Zapoznałem się z precedensami w podobnych sprawach - oznajmił Kell. - Wygląda na to, że zniszczenie obu myśliwców T1E należy zapisać na konto członków załogi towarowego skiffa, czyli komandora Antillesa i moje, a nie pilotki. Przykro mi, Falynn.

Kobieta z Tatooine się uśmiechnęła.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - I tak jestem chyba jedyną osobą, która wlokła dwie imperialne maszyny niczym kotwice po płycie lądowiska. Chcę, żeby ktoś zarejestrował to jako moje osiągnięcie.

- Załatwione - obiecał Antilles.

Następnego dnia po ataku komandosów na bunkier piloci Widm, którzy znaleźli się już w odległości wielu parseków od systemu Xartuna, zebrali się w sali odpraw "Nocnego Gościa". Wszyscy złożyli meldunki z akcji, ale do omówienia pozostało kilka szczegółów.

Przewodniczącym zebrania został Kell jako dowódca wyprawy, ale Wedge pochylił się nad stołem na znak, że przejmuje dowodzenie.

- Znamy fakty i wiemy, co tam znaleźliśmy - zaczął. - Chcę teraz, żeby wszyscy zaczęli interpretować te fakty na podstawie osobistego doświadczenia. Jak sądzicie, co knuje Zsinj?

- Możemy się tylko domyślać - odparł Młynek. - Ale wszystko wskazuje, że zaczął tworzyć imperium finansowe, które ma zaspokoić jego ambicje. Wiemy, że opanował spory rejon przestworzy, dotąd jednak nie mieliśmy pojęcia, że znacznie poza ten obszar wykracza sieć jego powiązań ekonomicznych.

Kell kiwnął głową.

- Ja też tak uważam - powiedział. - Przypuszczam, że zorganizował ją, aby zapewnić wsparcie dla swojego gwiazdnego superniszczyciela, „Żelaznej Pięści”. Na Xartunie uruchomił produkcję zapasowych elementów z transpastali, na innej planecie ma rafinerię paliwa, jeszcze gdzie indziej produkują dla niego bliźniacze silniki jonowe... a może nawet kompletne myśliwce T1E.

- Chyba zgodzimy się co do tego, że organizuje to prawie jak komórki ruchu oporu - odezwała się Tyria. - Żadna nie ma pojęcia o istnieniu pozostałych, a jedyną łączność między nimi utrzymują korwety w rodzaju „Nocnego Gościa”.

- Muszę przyznać, że czuję się trochę dziwnie - stwierdził Wedge. W pewnym sensie zaczynamy działać jak Imperium, a lordowie w rodzaju Zsinja odgrywają rolę Sojuszu Rebeliantów. Jesteśmy prawowitym rządem i mamy stałe siedziby, które musimy teraz umacniać i bronić. W odróżnieniu od nas Zsinj prowadzi działalność z tajnych baz i może je przenosić dokąd chce, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Ucieka się do opracowanych i udoskonalonych kiedyś przez nas partyzanckich taktyk walki. Od śmierci Imperatora galaktyka stanęła na głowie.

Falynn obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Chyba nie tęsknisz do dawnych czasów? - zapytała. Wedge popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Wcale nie - stwierdził. - Na większości planet, jakie odwiedzamy, możemy nosić z dumą nasze

mundury. Witają nas radosne okrzyki, a przynajmniej słowa podziwu. Nikt nie przekazuje nas w ręce siepaczy Imperium. Jestem zadowolony, że umiem szybko się przystosowywać do nowych taktyk... ale zarazem wiem, że wielu wyższych stopniem oficerów naszych sił zbrojnych i przedstawicieli rządu tego nie potrafi. I właśnie to mnie najbardziej martwi.

- Zsinj posługuje się czymś więcej - odezwał się cicho, z namysłem Buźka. - Nazwałbym to motywacją. Tamtych robotów sondujących nie wyprodukowano na Xartunie, a gubernator Koolb nie kupił ich na wolnym rynku. Musiał je dostać od Zsinja, podobnie jak myśliwce T1E. Wydaje mi się, że oprócz ochrony planet, z których władcami prowadzi interesy, Zsinj świadczy im także różne usługi i dostarcza towary. Przede wszystkim wytwory zaawansowanej techniki, których nie mogą zdobyć nigdzie indziej... a przynajmniej nie bez zostawiania wyraźnych śladów. W zamian za współpracę proponuje swoim partnerom zabawki, których nie mają ich praworządni rywale. To może stanowić dużą pokusę i zarazem zachętę do współpracy.

- Jest jeszcze jeden zagadkowy drobiazg - wtrącił się Phanan. Do czego mogą służyć tamte sześciany z transpastali?

Młynek zaczął od razu przebierać palcami po klawiaturze komputerowego notatnika i na ekranie projektora hologramów pojawił się zarejestrowany przez kamerę Jesmin wizerunek ogromnych przezroczystych przedmiotów.

- To cele - odezwał się Prosiak. To były jego pierwsze słowa, odkąd zobaczył nagranie.

Pozostali spojrzeli na niego.

- Więzienne cele? - zapytał Janson.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Gamorreanin. Wyciągnął rękę i dźgnął palcem migotliwy wizerunek. - Widzicie tę powierzchnię z okrągłymi otworami? - zapytał. - To tylna ścianka więziennej celi. Ten otwór służy do umieszczenia rury kanalizacyjnej, a tamten jest przeznaczony dla wodociągu. Tym jest dostarczane świeże powietrze, a przez tamten otwór przeciąga się kable zasilające i magistrale danych. W największym otworze instaluje się właz z zamykaną klapą, ale praktycznie nigdy się go nie używa. Zwróćcie uwagę na tę nieskazitelnie gładką ściankę. Ten bok sześcianu jest zwrócony cały czas w stronę pokoju kontrolnego, skąd prowadzone są obserwacje. Mieszkaniec celi nie może nawet marzyć o chwili prywatności.

Wedge przysłuchiwał się jego wyjaśnieniom z coraz większym zainteresowaniem.

- Gdzie widziałeś już taką celę? - zainteresował się w końcu.

- Dorastałem w takiej - odparł Prosiak. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- W Laboratoriach Biomedycznych Binringa? - domyślił się Antilles.

- Tak.

Janson gwizdnął.

- Prosiaku, czy twierdzisz, że te sześciany wyglądają podobnie jak ten, w którym dorastałeś, czy tak samo? - zapytał.

- Wyglądają identycznie - odparł Gamorreanin. - Dokładnie tak samo.

- Więc albo to standardowy sprzęt, albo Zsinja coś łączy z Laboratoriami Biomedycznymi Binringa - odezwał się zastępca.

- Nie widziałem jeszcze tego modelu - stwierdził Ton Phanan. Ani kiedy praktykowałem jako lekarz, ani później. To inne klatki niż te, w których generał Derricote przetrzymywał pacjentów, żeby badać na nich działanie wirusa z Krytos. Powiedziałbym, że tamte nie były standardowe.

Wedge kiwnął głową.

- Prawdopodobnie na naszą listę celów trzeba będzie wpisać także macierzystą planetę Binringa - powiedział. - Prosiaku, jak się ona nazywa?

- Saffalore.

- Znajduje się w Sektorze Wspólnym, prawda? - ciągnął Wedge. I w tej chwili jest niezależna?

- Tak jest, panie komandorze.

- No cóż, jeżeli nikt nie ma innych pytań ani wniosków, najwyższy czas wydać kilka nowych rozkazów. - Wedge powiódł spojrzeniem po uczestnikach odprawy, ale żaden go o nic nie zapytał. - Tym razem nasza wyprawa zakończyła się całkowitym powodzeniem - podjął po chwili. - Nie ponieśliśmy żadnych strat i zdobyliśmy cenne informacje. Nie możemy jednak liczyć na to, że skontaktuje się z nami każdy, kto prowadził interesy z Darillianem. Prawdopodobnie nie wszyscy dadzą się zmusić albo podstępem nakłonić do wyjawienia, gdzie znajduje się następna fabryka, rafineria czy przetwórnia stanowiąca własność Zsinja, a już na pewno nikt nie pozwoli nam od razu wysadzić jej w powietrze. Zsinj natychmiast by się zorientował, że to nasza robota, a wcale nie na tym nam zależy. Chcemy wyrzucić na nim wrażenie, że ktoś śledzi „Nocnego Gościa”, a nie że za te ataki odpowiada załoga samej korwety. Zaczniemy więc od tego, co postanowił generał Cracken. Obiecał wysłać grupy funkcjonariuszy wywiadu na wszystkie planety z listy, którą mu przesłałem. Mam nadzieję, że jego podwładni przekażą nam więcej informacji, kiedy będziemy je odwiedzali. Po drugie: Młynku, przeszukaj bazy danych i pokładowy dziennik okrętowy korwety. Postaraj się znaleźć informacje na temat wszystkich planet, na których lądował „Nocny Gość” od śmierci Imperatora. Zapisz i podaj mi daty tych wizyt. Kapitan Darillian nie rejestrował swoich spotkań z kolaborantami, więc jeżeli nie uda się to funkcjonariuszom generała Crackena, postaraj się włamać do baz danych tych planet, kiedy będziemy na nich lądowali. Spróbuj się zorientować, jakie zakłady czy przetwórnie przeszły w inne ręce w trakcie poprzednich wizyt albo krótko po odlocie „Nocnego Gościa”. Dołożymy starań, żeby odwiedzić te ośrodki i zorientować się w sytuacji... a jeżeli się okaże, że stanowią własność Zsinja, okażemy im szczególne zainteresowanie. Zostaną zniszczone, ale dopiero kilka dni po odlocie „Nocnego Gościa”, kiedy korweta zdąży się znaleźć w innym systemie.

Młynek wyszczerzył zęby w porozumiewawczym uśmiechu.

- Rozumiem, panie komandorze - powiedział.

- Bużko, jeżeli gubernator planety albo ktokolwiek inny od razu ci zdradzi, że jest kolaborantem Zsinja, oszczędzi nam trudu zdobywania tak cennej wiadomości - ciągnął Antilles. - Przekażesz ją jak najszybciej Młynkowi, żeby mógł wydobyć coś więcej z pamięci planetarnych komputerów, ale nie staraj się na własną rękę zdobywać dodatkowych informacji... chyba że Młynkowi nie uda się dowiedzieć niczego więcej. W takim przypadku możesz się później skontaktować z pacholkiem Zsinja i spróbować wyciągnąć z niego te dane.

Garik się także uśmiechnął.

- Jeżeli wysiłki czarodziejskiego Bothanina zakończą się niepowodzeniem, na ratunek ma przybyć kapitan Darillian Wspaniały, tak? zapytał.

Wedge spiorunował go groźnym spojrzeniem.

- Nie musisz w tej chwili odgrywać jego roli - ostrzegł. - Prawdę mówiąc, jeżeli to zrobisz, chyba cię zastrzelę.

- Słuchacze i widzowie Sojuszu zawsze zaliczali się do najbardziej wymagających - mruknął Bużka.

- Prosiaku, przykro mi o to prosić, ale chciałbym uzyskać od ciebie szczegółowy i kompletny

raport na temat twojego pobytu w Laboratoriach Biomedycznych Binringa - ciągnął Antilles. - Interesuje mnie personel i obiekt, w którym dorastałeś, a także twoje wrażenia i spostrzeżenia, które wówczas mogły dla ciebie nic nie znaczyć... wszystko, co zdołasz sobie przypomnieć z tamtych czasów.

Gamorreanin głęboko odetchnął i powoli wypuścił powietrze.

- Sporządzę taki raport, panie komandorze - obiecał.

- Wszystkich innych obowiązuje stan pogotowia - zakończył dowódca. - Bierzemy się do roboty.

Kiedy Tyria wyłoniła się z kabiny symulatora X-winga, obok urządzenia czekał Buźka.

- Lepiej tym razem? - zapytał.

Pilotka spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Lepiej - przyznała. - Za każdym razem jest trochę lepiej niż poprzednio, ale na twoim miejscu odczekałabym kilka minut, żeby kabina się przewietrzyła. Spędziłam w niej naprawdę sporo czasu.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Garik się uśmiechnął. - Jesteś prawdziwą damą i zarazem dżentelmenem.

Pilotka włączyła dźwig, żeby wyciągnął jej jednostkę typu R5, Klocka, z gniazda w rufowej części urządzenia. Symulatory myśliwców typu X-wing mogły wprawdzie naśladować także funkcjonowanie astromechanicznych robotów, ale wyprawy miały przebieg bardziej realistyczny, jeżeli piloci zabierali swoje automaty.

Kiedy Kłoczek znalazł się na pokładzie, Tyria przeniosła spojrzenie na jednostkę typu R2 Buźki, Rozpylacza.

- Hej, polakierowałeś go na nowo! - powiedziała. Rzeczywiście, fantazyjny czerwony kolor zniknął, a zamiast niego pojawiły się charakterystyczne dla pilotów Widm szare paski. Garik parsknął.

- To tylko kamuflaż dla niektórych modyfikacji, jakich w nim dokonałem - powiedział.

Pilotka obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Modyfikacji? - powtórzyła. - W rodzaju wyskakującego ekranu i kompletnego zestawu twoich holodramatów?

- To niezły pomysł - przyznał Buźka. - Może uwzględnię go podczas następnej modyfikacji. Ale to, co zrobiłem, może docenić prawie każdy. Powiódł spojrzeniem po pomieszczeniu, jakby chciał się upewnić, czy nikt inny w nim nie przebywa. - Rozpylaczu, zimne! - rozkazał.

Trapezoidalna wygięta płytką na kopułce astromechanicznego robota odsunęła się na bok i odsłoniła ciemny otwór. Buźka wydał dźwięk podobny do odgłosu strzału z wiatrówki i z otworu wyskoczyła butelka. Kiedy opadała, Garik zręcznie ją chwycił i zerwał kapsel.

Podał butelkę Tyrii.

- Elbańskie piwo - oznajmił. - Schłodzone. To dla ciebie. Ja swoje wypiję po ćwiczeniach na symulatorze.

Pilotka spojrzała na niego.

- Wiesz co? - zapytała. - Z każdym dniem stajesz się coraz dziwniejszy.

Buźka się uśmiechnął.

- To dobrze - powiedział.

Wydarzenia potoczyły się, jak przewidywał Wedge. Przynajmniej z początku.

Zanim wylądowali na powierzchni Belthu, następnej planety, którą zamierzał odwiedzić kapitan „Nocnego Gościa”, Młynek znalazł dwóch prawdopodobnych kandydatów na kolaborantów Zsinja.

Pierwszy był przewodniczącym koalicji prezesów towarzystw górniczych i właściwie sam sprawował władzę w bogatej kolonii, drugi - członkiem zarządu i prezesem drugiej co do wielkości planetarnej korporacji. Funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki znaleźli się na Belthu zbyt późno, żeby zdobyć jakieś informacje, które mogłyby pomóc Widmom, ale przeprowadzone przez Bużkę rutynowe rozmowy z przedstawicielami planety przyniosły spodziewane rezultaty.

Przewodniczący koalicji prezesów towarzystw górniczych odbył rozmowę z „kapitanem Darillianem” i usłużnie zapoznał go z cennikiem wydobytych wcześniej rud różnych minerałów. Drugi podejrzany, prezes korporacji, poinformował przebranego Garika w prywatnej rozmowie, że na przybycie następnego frachtowca Zsinja oczekuje transport oczyszczonej durastali. Wedge przekazał te informacje funkcjonariuszom Wywiadu Nowej Republiki.

Kiedy „Nocny Gość” odleciał z systemu Belthu i dokonał skoku do nadprzestrzeni, podwładni generała Crackena spędzili cały dzień na poszukiwaniach niezarejestrowanego transportu durastali. Nie ukradli go ani nie zniszczyli, a tylko zapamiętali, w jakim magazynie się znajduje. Pomogli także Młynkowi dostać się do centrali korporacji. Osłaniali go, kiedy Bothanin wyciągał z pamięci komputerów szczegóły przekazania niewielkiej i cokolwiek przestarzałej odlewni durastali osobie o nazwisku, które musiało być jeszcze jednym pseudonimem lorda Zsinja. Dopiero dwa dni po tym, jak Młynek dołączył do pozostałych Widm, wysadzili odlewnię w powietrze.

Następnym odwiedzionym miejscem była niezamieszкана planeta. System planetarny leżał tak bardzo na uboczu, że oznaczono go tylko jako M2398, zarówno w gwiazdnych atlasach Imperium, jak i Nowej Republiki. Generał Cracken nie zdołał wymyślić sposobu przetransportowania tam swoich ludzi bez wzbudzania podejrzeń, więc po prostu zrezygnował z ich wysłania.

Wprawdzie system miał być niezamieszкany, ale z baz danych pokładowego komputera „Nocnego Gościa” wynikało, że należy tam wylądować. Młynek nie znalazł jednak żadnej wzmianki o wcześniejszych spotkaniach z przedstawicielami miejscowej władzy.

Załoga „Nocnego Gościa” wskoczyła do systemu w odpowiednio dużej odległości od orbity najbardziej oddalonej od słońca planety i zaczęła badać system M2398 za pomocą skanerów i sensorów. Już po kilku minutach odkryto słabiutkie sygnały. Ich źródło znajdowało się na księżycu trzeciej planety, gazowego giganta okrążanego przez chmurę malowniczego pyłu i otoczonego przez pierścień groźnych asteroid. Wprawdzie transmisja była zaszyfrowana, ale czuwająca w ośrodku łączności Jesmin zdołała złamać szyfr w ciągu kilku minut. Połączyła się z Antillesem, który cały czas przechadzał się po mostku korwety ku wielkiemu rozbawieniu kapitana Hraknessa.

- To prymitywne matematyczne podstawienie - zameldowała. Prawdopodobnie skuteczne tylko podczas jednej bitwy... na tyle długo, żeby nieprzyjaciele nie zdołali się zorientować, o czym mowa.

- Przekaż to na mostek - polecił Antilles.

Z początku z głośnika komunikatora wydobywał się tylko szum i trzaski zakłóceń. Dopiero po pewnym czasie dał się słyszeć głos mężczyzny:

- Jak ci leci, Guller? Zimno?

Chwila ciszy, a później głos innego mężczyzny:

- Zamknij się. Chwila ciszy.

- To znaczy, wiem, że jest zimno - ciągnął pierwszy mężczyzna ale czy tylko po prostu zimno, czy naprawdę zimno? Chodzi mi o to, czy twoje członki tylko drętwieją z zimna, czy może odpadają?

Chwila ciszy.

- Zamknij się. Chwila ciszy.

- Widzisz coś? Chwila ciszy. - Nie. Chwila ciszy.

- Ale czy dlatego nie widzisz, bo nie ma niczego do oglądania, czy może nie widzisz, bo zamarzyły ci oczy?

Chwila ciszy.

- Zamknij się. Chwila ciszy.

- „Dwójka”, chodzi mi o te przerwy - zainteresował się Wedge. - Domyślam się, że to opóźnienia wynikające z czasu przesyłania sygnałów?

- Tak jest, panie komandorze - odezwała się Kalamarianka. - Z moich obliczeń wynika, że obaj mężczyźni znajdują się mniej więcej sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów jeden od drugiego. Jestem zupełnie pewna, że ten gość od „zimna” wysłał sygnały z powierzchni największego księżyca, a ten od „zamykania się” krąży gdzieś w pasie asteroid.

- To pewnie jakiś posterunek - mruknął Wedge i zaczął się zastanawiać. - Kapitanie Hrakness, sądzi pan, że to kryjówka piratów?

Niższy mężczyzna rozsiadł się wygodnie na fotelu dowodzenia.

- System usytuowany z daleka od uczęszczanych szlaków, nieprofesjonalna i oznaczająca zwykłe marnotrawstwo kredytów wymiana słów bez znaczenia między członkami bandy... - zaczął z namysłem. Tak, to możliwe.

- Bardzo dobrze - odparł Antilles. - Jesmin, przygotuj symulator kapitana Darilliana i wezwij Bużkę do ośrodka łączności. Falynn ma się ubrać w mundur imperialnego pilota i usiąść za sterami T1E „Dwójki”. Ja będę pilotował T1E „Jedynkę”. Wszystkie pozostałe Widma, do X-wingów. Powiedz Tyrii, że tymczasowo przywracam ją do czynnej służby... Może lecieć swoim X-wingiem. Phanan będzie pilotował tęponosy myśliwiec Falynn. Kapitanie Hrakness, proszę zarządzić pogotowie bojowe. Chcę, żeby wszyscy byli gotowi do akcji, ale sprawiali wrażenie rozleniwionych. Nasi rozmówcy nie powinni się zorientować, że jesteśmy gotowi.

Kiedy Wedge wykonywał, jedną po drugiej, procedury przedstartowe, usłyszał trzask włączanego mikrofonu komunikatora. Niemal natychmiast z odbiornika wylał się wypowiedany kobiecym głosem potok mocnych przekleństw. Wedge spojrział na pulpit. Jego myśliwiec T1E był wciąż jeszcze połączony z kadłubem korwety, co oznaczało, że pokładowy komunikator jest wyłączony. Z pewnością słyszał w kabinie głos pilotki dołączonej po sterburcie „Nocnego Gościa” drugiej gały.

- „Szary Dwa”, czy to ty? - zapytał Antilles. Litania przekleństw urwała się jak nożem uciała.

- Tak jest, panie komandorze! - odparła Falynn, po czym znów zaczęła kląć jak najęta.

- Powstrzymaj się od osobistych uwag w tym kanale - skarcił ją Wedge.

- Rozkaz, panie komandorze - oznajmiła urażonym tonem pilotka.

- O co chodzi?

- O nic, co miałoby jakikolwiek związek z myśliwcem T1E, proszę pana - odparła Falynn. - Ale kiedy przed chwilą przebierałam się w szatni, z mojej szafki wyskoczył na mnie nieboszczyk.

- Co takiego?

- Próżniowy kombinezon - wyjaśniła cierpliwie pilotka. - Napompowany i uszczelniony. Do jednej z rękawic ktoś przyklepił taśmą nóż. Kiedy otworzyłam drzwi szafki, żeby się przebrać w kombinezon imperialnego pilota, skafander po prostu stamtąd wypadł.

- Dowcip? - domyślił się Wedge.

- A cóż innego?

- Nic ci się nie stało?

- Nic a nic, ale to nie było zabawne. Gdybym była tak ślamazarna, jak niektórzy starsuszkowie z tej eskadry, manekin by mnie dziabnął.

- Kiedy wrócimy z wyprawy, coś z tym zrobię - obiecał dowódca.

- Nie potrzebuję pomocy, panie komandorze - mruknęła Falynn.

- Może ty nie, ale potrzebuje jej twój dowcipniś. Jesteś gotowa?

- Oba silniki zielone, systemy uzbrojenia gotowe do akcji - zameldowała pilotka z Tatoonie.

- Pozostań w pogotowiu, miej oczy szeroko otwarte i nastaw się na czekanie - ostrzegł Wedge. -

Może potrwać naprawdę bardzo długo siedząc na fotelu w ośrodku łączności, Buźka wpatrywał się w ekran monitora. W pewnej chwili zauważył, że świetliste linie nadprzestrzeni kurczą się i przemieniają w pojedyncze iskierki gwiazd. Bezpośrednio na kursie unosiła się jaskrawo świecąca czerwonopomarańczowa kula trzeciej planety. Garik kiwnął głową z zachwytem. „Nocny Gość” zakończył drugi skok przez nadprzestrzeń niedaleko gazowego giganta... na tyle blisko, na ile pozwalała jego grawitacyjna studnia.

Niewidoczni rozmówcy zaczęli się porozumiewać niemal natychmiast i na pulpicie konsoli komunikatora rozjarzyły się światełka.

- „Glit Jeden”, „Glit Jeden”, mamy nieznajomych. Chwila ciszy.

- Zrozumiałem cię, „Gniazdo”. Widzę coś, co wygląda jak samotna koreliańska korweta. To chyba wrócił kapitan Dandys.

Chwila ciszy.

- Potwierdzam jednego dandysa, „Glit Jeden”. „Glit Pięć”, masz wszystko włączone?

Cisza trwała tym razem o wiele dłużej. W końcu rozległ się znów pełen pretensji głos „Glita Jeden”:

- Zamknij się.

Buźka omiół spojrzeniem aparaturę telekomunikacyjną. Znał podstawowe zasady korzystania z komunikatora, ale nie miał wystarczającego doświadczenia, żeby spróbować odnaleźć źródło i wzmocnić coś, co musiało oznaczać trzecią transmisję.

Nagle rozległ się głos jeszcze jednej osoby. Tym razem sygnał był bardzo silny i dobiegał z zasiedlonego księżycy.

- „Mocny Moście”, tu „Krwawe Gniazdo” - usłyszał. - Odpowiedz natychmiast.

Buźka pstryknął włącznikiem mikrofonu i przełącznikiem natychmiastowej translacji na głos kapitana Darilliana.

- „Krwawa Miazgo”, tu „Nocny Gość” - powiedział. - Czego od nas chcecie?

- Chcemy zedrzyć ci twarz z głowy i wyrzucić w pustkę przestworzy to, co się jeszcze pod nią kryje.

Garik prychnął. Czyżby to miały być zwykłe pirackie przechwałki? A może ci ludzie zamierzali naprawdę zaatakować okręt kapitana Darilliana?

- Bardzo proszę, jeżeli potrafisz, „Krwawa Miazgo” - odparł. Przedtem jednak opowiedz mi o swojej żonie. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o kobiecie, którą zamierzam pocieszać dzisiejszej nocy.

Zapadła długa cisza. Głos wrócił dopiero po minucie, tym razem jeszcze bardziej ponury niż poprzednio.

- Darillian, mówiłem ci, żebyś tu nie wracał - odezwał się obcy mężczyzna.

- Przypominam sobie, że tylko mnie prosiłeś, żebym tu nie wracał - poprawił go Buźka. - Czyżbyś

już zapomniał, że rozmawialiśmy o możliwości osiągnięcia wzajemnych korzyści? - Garik urwał i nerwowo poprawił kołnierzyk munduru. Zakładał, że Darillian postępował z tymi ludźmi podobnie jak ze wszystkimi innymi, z którymi się kontaktował, ale w rzeczywistości stapał po kruchym lodzie. - Czy rzeczywiście zamierzasz mi uniemożliwić dostęp do czegoś, co może mi zapewnić większy majątek i władzę?

- Nie... oczywiście, że nie - odparł mężczyzna. - No cóż, „Nocny Marku”. Pozwalam ci lądować na stanowisku drugim. Zjemy coś, pogawędzimy... Kieruj się na sygnał namiarowy.

- Znakomicie. „Nocny Gość” przerywa połączenie. - Buźka wyłączył najpierw mikrofon, a później symulator głosu i obrazu kapitana Darilliana.

Sekundę później aparatura telekomunikacyjna wskazała, że z powierzchni księżyca, na którym musiało się znajdować Krwawe Gniazdo, ktoś zaczął wysyłać bardzo silny sygnał.

- Kapitanie Hrakness, to chyba nasz sygnał namiarowy - odezwał się Garik.

- Masz rację, Buźko - odparł Agamarianin. - Namierzaliśmy źródło. Serdeczne dzięki.

Podwieszonych pod kadłubem „Nocnego Gościa” myśliwców typu T1E nie obejmowało sztuczne ciążenie korwety. Czekający w kabinie na sygnał do startu Wedge nie miał nic przeciwko przebywaniu w stanie nieważkości, ale wreszcie uznał, że to niewiele przyjemniejsze niż oczekiwanie na nadlatującą torpedę protonową.

Jego prawa dłoń drżała, więc zacisnął ją w pięść i postarał się nie zwracać na to uwagi. Już kiedyś zdarzyło mu się spędzić dłuższy czas w stanie nieważkości. Musiał wówczas trzymać oba elementy zewnętrznego mechanizmu powodującego autodestrukcję, żeby się nie połączyły. Dokonał tej sztuki w najprostszy możliwy sposób. Katapultował się z kabiną X-winga w idealną próżnię i pozwolił, żeby przy życiu utrzymywały go tylko magnetyczne pole kombinezonu pilota i systemy wspomagające funkcje organizmu. Wcisnął dłoń między zwierające się elementy i czekał... czekał... Unosząc się wiele minut w ciemności przestworzy, przeżywał huśtawkę nastrojów. Pogodził się z tym, że umrze, a jednocześnie nie tracił nadziei, że ktoś jednak pospieszy mu na ratunek. Lotniczy kombinezon kiepsko utrzymywał ciepło i pilot zaczął zamarzać, ale czekał cierpliwie, zachwycając się pięknem usianych miliardami gwiazd przestworzy księżyca-sanktuarium, Endora.

Kiedy w końcu pojawiła się pomoc w osobie Luke’a Skywalkera, Antilles wyszarpnął dłoń spomiędzy połówek mechanizmu i przy tej okazji omal nie stracił palców. A obecnie te same palce zaczynały drgać, ilekroć dłuższy czas unosił się w stanie nieważkości. Wróciła także pamięć tamtych wrażeń. Wedge niemal czuł smak płynu bacta, w którym go zanurzono, żeby wyleczyć po tych przeżyciach. Spróbował przestać o tym myśleć i skupić uwagę na otoczeniu.

Podobnie jak wówczas, w przestworzach Endora, tu także otaczało go niewysłowione piękno. Gazowy gigant mienił się niezwykle hipnotyzującą paletą pastelowych barw, godną artysty malarza.

W końcu w polu widzenia iluminatora gał ukazało się „Krwawe Gniazdo”. Księżyc był dosyć duży, ale posępnie brunatny. Pilot „Nocnego Gościa” obniżył pułap lotu i pogrążył się w górne warstwy rozrzedzonej i niesympatycznie wyglądającej atmosfery. Kiedy na korwetę zaczęła oddziaływać siła ciążenia, Wedge poczuł, że w jego ciało zaczynają się wpijać pasy ochronnej upręży. Nie widział w dole ani jednego morza i właściwie niczego oprócz upstrzonej dziobami brunatnoczerwonej pustyni. Lecąc nad nią, korweta kierowała się w stronę widocznych w oddali wysokich łańcuchów górskich. Kiedy zbliżyła się do pierwszego, Wedge zobaczył, że okrągły kawałek gruntu w dole, trochę z boku „Nocnego Gościa”, zwija się i chowa.

W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. To, co widział pod sobą, nie miało

najmniejszego sensu! W końcu jednak elementy łamigłówki wskoczyły na swoje miejsca i ułożyły w obraz, który jego mózg potrafił rozpoznać.

W dole był krater, ukryty przed oczami przelatujących nad nim osób przez odpowiednio zabarwioną, posypaną piaskiem tkaninę kamuflującą. Pod nią, w zagłębieniu gruntu, ukazało się spore działo laserowe.

Jego lufa unosiła się w kierunku nieosłoniętej przez ochronne pola stępki „Nocnego Gościa”...

Wedge przesłał energię do bliźniaczych silników jonowych i uderzył otwartą dłonią w klawisz, który zainstalował Cubber na pulpicie kontrolnej konsoli. Myśliwiec T1E odłączył się od kadłuba koreliańskiej korwety i zaczął opadać. Wedge od razu obrócił gałę w kierunku laserowego działa.

- Mostek, natychmiast włączycie generatory wszystkich pól ochronnych! - wykrzyknął. - „Szary Dwa”, startuj! Leć za mną. Możesz strzelać bez rozkazu.

Wcielił słowa w życie i zaledwie lufy laserowych działek myśliwca T1E skierowały się w stronę działa w kraterze, dał ognia.

Jego pierwsze strzały trafiły w osłonę lufy i pozostawiły na niej zwęglone smugi.

- Widma, start! - rozkazał Wedge. - Jesteśmy atakowani!

Strzelił jeszcze raz, nie przejmując się, że myśliwiec T1E coraz szybciej opada ku powierzchni księżyca. Zielonkawe błyskawice jego laserowych strzałów trafiły znów w osłonę, mniej więcej w połowie odległości między końcem lufy a obrotową podstawą.

Mimo to artylerzyści postanowili wystrzelić z uszkodzonej broni. Wedge zauważył, że górna część lufy zaczyna się jarzyć najpierw czerwono, a potem żółto. W końcu stopiła się od wewnątrz i zmieniła w oślepiająco jasne miniaturowe białe słońce.

„Szary Dwa” obrócił swój myśliwiec T1E w locie i także dał ognia z laserowych działek. Jedna z błyskawic przeniknęła do fototropowej bańki kontrolnej kapsuły. Wedge zobaczył, jak transpastalowy bąbel rozbłyskuje od wewnątrz. W ostatnim ułamku sekundy przed eksplozją dostrzegł także niewyraźną sylwetkę człowieka, którego niemal natychmiast pochłonęło jaskrawe światło. Z kapsuły zaczął się wydobywać gaz.

Nagle z odbiornika komunikatora rozległ się spokojny i rzeczowy głos kapitana Hraknessa:

- Widma, Szarzy... prosto na was lecą nieznajomi.

Zanim Hrakness przekazał ostrzeżenie, wrota dziobowej ładowni się rozsunęły. Kiedy szczelina stała się na tyle szeroka, żeby zdołał przez nią przelecieć X-wing, Kell zobaczył w oddali igielki gazów wylotowych z silników nadlatujących myśliwców.

Miał szczęście, że jego X-wing znajdował się w samym środku ustawionych ciasno w ładowni myśliwców. Oznaczało to, że może pierwszy startować. Nie tracąc czasu na włączanie repulsorów, od razu przesłał energię do głównych jednostek napędowych. Sam pomagał konstruować osłonę chroniącą mechaników przed strumieniami gazów wylotowych. Umieszczono ją za stojakami unieruchamiającymi tęponose maszyny. Kell wiedział, że gazy z silników X-winga uderzą w nią z całej siły.

Wyleciał z hangaru w zanieczyszczoną atmosferę i zerknął na światełka na monitorze sensorów.

- Uwaga, Widma, przed nami dwie kompletne eskadry tęponosych myśliwców - zameldował. - Nieznanych, ale różnych typów. Odległość dwa koma pięć kilometra i szybko maleje.

- „Nocny Gość” zmienia kurs - odezwała się pani porucznik Tabanne. Sprawiała wrażenie równie spokojnej jak jej kapitan. - Widma, weźcie poprawkę na ten manewr albo na pewien czas wstrzymajcie się ze startem.

Kell kiwnął głową. Nawet gdyby operatorzy korwety nastavili generatory ochronnych pól na pełną moc, „Nocny Gość” nie mógł nadal lecieć w stronę nadlatujących maszyn z otwartymi wrotami dziobowej ładowni. Gdyby wleciała do środka zabłąkana torpeda albo laserowa błyskawica, znajdujące się w ładowni X-wingi zostałyby rozpylone na atomy; podobny los spotkałby także każdego pełniącego tam służbę mechanika. Energia strzału mogła także skierować się w sufit i przeniknąć na mostek. Zarządzony przez Hraknessa manewr był podyktowany zwykłą troską o bezpieczeństwo okrętu, oznaczał jednak, że Kell musi się przygotować na długi, samotny lot w stronę dwudziestu czterech nieprzyjaciół.

ROZDZIAŁ 18

- Więc traktujesz to jako wyzwanie? - zapytała Tyria.

Kell obejrzał się i stwierdził, że korweta jeszcze zawraca, ale z dziobowej ładowni wylatuje „Widmo Dziesięć”. Chwilę później pilotka skręciła tak ostro, że bakburtowe skrzydła jej myśliwca zwróciły się ku powierzchni księżyca, i skierowała się w stronę Kella.

- „Widmo Dwa” za burta!

Następny wystrzelił z ładowni tęponosy myśliwiec Jesmin.

Oznaczało to, że z dziobowego hangaru „Nocnego Gościa” wyleciały wszystkie zaparkowane pośrodku X-wingi. Trudniejsze zadanie mieli piloci stłoczonych pod ścianami sześciu pozostałych maszyn. Nawet gdyby kapitan koreliańskiej korwety nie zarządził obronnego manewru, ich start w przestworza potrwałby kilka minut dłużej. Okazało się jednak, że Prosiak i Janson, których X-wingi znajdowały się na samej górze, już po kilkunastu sekundach opuścili ładownię i dołączyli do pierwszej trójki. Wkrótce potem Wedge i Falynn pilotujący myśliwce T1E zwiększyli pułap lotu i przyłączyli się do pilotów Widm.

Nagle Kell usłyszał alarmujący skrzek swojej jednostki typu R2 i zrozumiał, że jego myśliwiec został namierzony przez lasery nadlatujących nieprzyjaciół. Nie miał już czasu prosić o pozwolenie złamania szyku. Skręcił raptownie na sterburtę i wywinął szeroką beczkę. Nie przestając obracać myśliwca wokół osi, kilkakrotnie zmieniał wektor lotu. Kątem oka dostrzegł, że pozostałe Widma poszły w jego ślady.

W pewnej chwili zamknięty w kulistej kabinie Wedge usłyszał zdumiony głos Jansona:

- To Brzydale!

Brzydale były prowizorycznymi konstrukcjami skleconymi byle jak z elementów gwiazdnych myśliwców różnych typów. Zachowania tych niezgrabnych maszyn nie potrafili przewidzieć ani ich konstruktorzy czy piloci, ani wrogowie. Najczęściej Brzydale sprawowały się okropnie podczas walki, ale czasami wykazywały niezwykłą skuteczność systemów uzbrojenia.

- Widma, tu dowódca - odezwał się Antilles. - Strzelać bez rozkazu. Nie zachowywać standardowego szyku ani nie przejmować się, kto jest dowódcą, a kto skrzydłowym. Ustalić, kto jest kim, natychmiast po starcie. „Trójka”, zostań ze mną.

Pokręcił głową. Sytuacja w przestworzach wyglądała naprawdę niewesoło. Zaskoczone Widma nie zdążyły skoordynować swoich poczynań i mimo zniszczenia laserowego działa sprawiały wrażenie wytraconych z równowagi.

Pokładowe czujniki jego X-winga wskazywały, że kieruje się ku niemu trzech bandytów. Wedge bardzo chciałby wystrzelić ku nim protonową torpedę, żeby ich zmusić do złamania szyku, albo przynajmniej przesłać energię do dziobowych pól ochronnych, ale pilotowana przez niego gała nie miała ani generatora tarcz, ani wyrzutni torped. Wedge trącił drążek sterowniczy w bok i poczuł, że rozrzedzona atmosfera zaczyna stawiać opór bocznym panelom z ogniwami słonecznymi. Jego myśliwiec T1E skręcił na sterburtę, a jonowe silniki zaskowyczały, zaskoczone niespodziewaną

zmianą kursu. Okazało się jednak, że wykonał niezamierzony manewr w samą porę, bo przez miejsce, w którym się znajdował jeszcze sekundę wcześniej, przemknęły zielone błyskawice nieprzyjacielskich strzałów. Sensory poinformowały go, że Falynn wykonuje podobny zwrot, ale na bakburtę.

W pewnej chwili imperialny ekran celowniczy pokazał, że pokładowy komputer namierzył najbliższego Brzydala. Kiedy Wedge dostrzegł go przez dziobowy iluminator, zdumiał się. Nadlatujący myśliwiec miał kadłub klasycznego Łowcy Główn z dwoma panelami słonecznymi myśliwca typu T1E, zainstalowanymi po obu stronach tęponosego kadłuba równolegle do płaszczyzny lotu. Sześcioboczne skrzydła gały zapewniały energię laserowym działkom imperialnej maszyny i pełniły funkcję niezbyt grubego pancerza, ale nie miały aerodynamicznych kształtów i zainstalowane poziomo po bokach kadłuba Łowcy Główn, nie poprawiały stabilności jego lotu. Nie miały odpowiedniego kształtu, żeby zwiększyć siłę nośną, za to z pewnością stawiały duży opór cząsteczkom atmosfery. Oznaczało to, że pilot pokracznego myśliwca musi korzystać wyłącznie z repulsorów. Nie mierząc, Wedge strzelił na oślep i obserwował, jak nieprzyjacielska maszyna z wysiłkiem wznosi się i skręca na sterburtę. Dzięki temu manewrowi jej sylwetka wydłużyła się i powiększyła. Drugi strzał Antillesa przebił środek kadłuba Brzydala za kabiną pilota. Wedge zauważył, że z obu części rozłamanej na pół i skazanej na zagładę maszyny wypadają jakieś elementy, a wśród nich prawdopodobnie także ciała członków załogi.

Powrócił na poprzedni kurs i skręcił na bakburtę. Pewien czas zwiększał pułap lotu, a w końcu wprowadził maszynę w korkociąg.

Falynn przyspieszyła i wyprzedziła go, ale niespodziewanie śmignęła świecą w niebo i zaczęła wykonywać pętlę. Kilka sekund leciała do góry nogami, potem zanurkowała i dała ognia. Choć brak jej było doświadczenia w pilotowaniu myśliwca T1E, poczyniała sobie bardzo sprytnie. Gdyby utrzymywała dotychczasowy wektor lotu, nie zbacząc z niego, nie musiałaby się zmagać ze sterami. Obniżając lub zwiększając wysokość, nie potrzebowałaby też wprowadzać poprawek trajektorii po odchyłkach, jakim ulegały wszystkie myśliwce T1E przelatujące przez warstwy atmosfery. Mogłaby przesłać całą energię do bliźniaczych silników jonowych i lecieć z największą możliwą prędkością, wolała jednak zastawić pułapkę na nieprzyjaciół.

Jej przynętę połknął pilot jednego z nadlatujących Brzydali. Nieprzyjacielski myśliwiec wyglądał jak kulista kabina pilota myśliwca T1E, przytwierdzona do górnej powierzchni nieruchomego skrzydła z zainstalowanym z tyłu usterzeniem. Pirat także śmignął w górę i rzucił się w pościg za nią. Wedge zwrócił swój myśliwiec ku niemu i chociaż zmagał się chwilę z drążkiem sterowniczym, niemal natychmiast zobaczył rozbłysk sygnału namiarowego pląsającego po ekranie celowniczego monitora. Posłał zielone błyskawice w dolną część Brzydala i trafił w jonowe silniki nieprzyjacielskiej maszyny. Myśliwiec eksplodował. We wszystkie strony poszybowały snopy jaskrawych iskier i płonące odłamki.

Chwilę później do Antillesa strzelił pilot lecącego w odległości niespełna kilometra trzeciego Brzydala, który wyglądał jak pozbawiony skrzydeł i usterzenia imperialny wahadłowiec. W kierunku dowódcy Widm pomknął nieprzerwany snop czerwonych promieni. Wyglądało na to, że nigdy się nie skończy. Wedge skręcił w lewo i długo nie zmieniał trajektorii lotu, ale coraz szerszy strumień energii podążał za nim.

Dopiero po kilku sekundach komandor zwrócił uwagę na ledwo widoczny błysk, jaki wydobył się z mrocznej gardzieli wyrzutni zainstalowanej z boku Brzydala. Zrozumiał, że leci ku niemu rakietą

udarowa. Tym razem nie usłyszał pisku alarmu ostrzegającego przed namierzeniem, bo sensory nie odebrały żadnego sygnału, a złowieszcza rakietą miała do pokonania niewielką odległość. Ognista plama rosła w oczach i zbliżała się do niego tak szybko, że nawet nie mógł marzyć o wykonaniu uniku.

- „Dziesiątka”, jesteś moją skrzydłową - oznajmił Tainer. - Przyłączamy się do walki.

Śmignął świecą w niebo tak raptownie, że rufa myśliwca skierowała się ku powierzchni księżycy, i przekazał całą energię z dziobowych pól ochronnych do jednostek napędowych. Musiał kilka długich chwil ufać, że pokładowe sensory ostrzegą go w porę, gdyby namierzył go pilot któregoś Brzydala.

- Zrozumiałam, „Piątka” - odparła Tyria i dokładnie powtórzyła jego manewr.

- „Dziewiątka” za burtą! - odezwał się porucznik Donos. - „Dwójka”, będę twoim skrzydłowym.

- Zrozumiałam cię, „Dziewiątka”.

Sensory poinformowały, że nadlatujący nieprzyjaciele wystrzelili jeszcze dwie rakietki udarowe. Kell trochę przyspieszył, ale Trzynastka nie ostrzegł go, że pociski lecą w jego stronę. Tainer zauważył jednak, że piloci dwóch myśliwców na tyłach szyku nieprzyjaciół zwiększają pułap lotu. Wyglądało na to, że zamierzają puścić się w pościg za nim i Tyrią.

- „Szóstka” za burtą! - wykrzyknął nagle Patyk. - Chodźcie tu, wy Brzydale, wy żalosne zlepkie szmelcu ze składnic złomu, wy...

- „Szóstka”, tu „Dwunastka” - odezwał się Prosiak. - Żadnych ozdobników!

- Zrozumiałem cię, „Dwunastka”.

Kell zmarszczył brwi. Patyk nie zachowywał się, jakby jego poczynaniami kierował umysł pilota. W takim wypadku nikt by nie zrozumiał wypowiedzianych przez niego słów. Wszystko wskazywało, że w procesach myślowych skrzydłowego zachodzą jeszcze jakieś zmiany...

- „Czwórka” za burtą - odezwał się nagle Młynek. - „Szóstka”, jestem twoim skrzydłowym.

Wedge przestał napierać na kontrolną dźwignię. Ułamek sekundy później bliźniacze silniki jonowe jego myśliwca T1E straciły część siły ciągu i gała ponownie znalazła się w wachlarzu wąskiego laserowego ognia, przed którym dotąd tak bardzo starał się uciec.

Omyło go czerwone światło, a udarowa rakietka przemknęła w odległości niespełna dziesięciu metrów przed dziobowym iluminatorem. Chwilę później myśliwiec T1E wyłonił się po drugiej stronie laserowego wachlarza... nawet niedrażniony.

Wedge uśmiechnął się ponuro. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że istnieją tylko dwa sposoby, aby pilot gwiazdowego myśliwca tej wielkości mógł prowadzić ciągły ogień z laserowych działek. Musiał albo dysponować potężnym, eksperymentalnym generatorem mocy o wartości całej eskadry A-wingów, albo ostrzeliwać wroga z laserów celowniczych. Laserowe promienie niosły tak nikłą energię, że choć były widoczne, nie mogły wyrządzić nikomu żadnej krzywdy. Potrafiły jednak przerazić nieprzyjacielskiego pilota i nakłonić go do ucieczki w łatwym do przewidzenia kierunku... prosto pod gardziel nieruchomej wyrzutni rakiet udarowych.

Nagle z ciemnego nieba spadł niczym jastrzębionietoperz pilotowany przez Falynn myśliwiec T1E. Poślepna kobieta z Tatooine sprzegła działka i posyłała krótkie serie laserowych błyskawic. Jej strzały trafiły w kadłub nieprzyjacielskiego wahadłowca i wypaliły czarny otwór w okolicy rufy. Wedge spodziewał się, że zniszczą silniki statku, pozbawią go napędu i poślą ku powierzchni, ale ostrzeliwany Brzydala, ciągnąc warkocz dymu, tylko obniżył pułap lotu. Jego manewry wskazywały, że pilot cały czas korzysta z działających nawet na taką odległość potężnych repulsorów.

Falynn zanurkowała, jeszcze raz wystrzeliła i trafiła mniej więcej w tym samym miejscu kadłub Brzydala. Wyrównała lot pod jego kadłubem, obróciła myśliwiec w locie i skierowała go w stronę stępki wahadłowca.

- Pilotcie myśliwca T1E, zrezygnuj z ataku! - rozległ się nagle czyjś głos w odbiorniku komunikatora. - Poddajemy się!

Falynn musiała usłyszeć, bo rzeczywiście dała spokój. Śmignęła świecą w niebo, jeszcze raz obróciła imperialną maszynę i zajęła pozycję za rufą i nad kadłubem uszkodzonego wahadłowca. Wyobrażając sobie, jak porywczą pilotka z Taooine klnie, że nie może zniszczyć celu, Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy włączyła komunikator, jej przerywany z tłumionej wściekłości głos brzmiał jak jąkanie:

- Wy odrażające... kowakiańskie... pokraki w latającym wraku! Natychmiast lądujcie... bo inaczej... rozpyle was na atomy! Bez względu na to, czy się poddajecie, czy nie!

- Pilotko myśliwca T1E, rozumiemy cię! - usłyszała w odpowiedzi. - Nie strzelaj!

Pilot pokracznego wahadłowca obniżył pułap lotu i pospiesznie skierował się ku powierzchni księżyca.

Kiedy Kell osiągnął najwyższy punkt zataczanej pętli, obrócił X-winga i zanurkował.

Piloci dwóch Brzydali, którzy ścigali go i najwyraźniej chcieli zaatakować, niespodziewanie zrezygnowali i zmienili kurs o dziewięćdziesiąt stopni względem nowego wektora lotu niedoszej ofiary. Tainer skręcił ostro na bakburtę, wyrównał lot i rzucił się za nimi w pościg.

- „Piątka”, tu „Dziesiątka” - usłyszał nagle w głośniku pokładowego komunikatora. - Nie sądzę, żeby uciekali. Zrezygnuj. To pułapka.

Kell przyciągnął do siebie kontrolną dźwignię.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

Pułapka. Jaką korzyść mógłby przynieść strategiczny odwrót dwójce nieprzyjaciół?

Kell obserwował chwilę wektor lotu Brzydali. Kiedy go ekstrapolował, zauważył, że gdyby nieprzyjacielscy piloci lecieli nadal tym samym kursem, opuściliby rejon walki i śmignęli nad kilkoma kraterami. Szczególną uwagę Kella przyciągnął zwłaszcza jeden, położony najdalej i wyraźnie większy niż pozostałe...

- Świńskie Koryto - powiedział.

- Słucham, „Piątka”? - zapytała Tyria.

- „Dziesiątka”, dołącz do mnie i trzymaj się jak najbliżej - rozkazał Tainer.

Zanurkował ku powierzchni księżyca i zawrócił w kierunku powiększającego się rejonu bitwy. Chwilę później zmienił kurs, żeby dotrzeć do niego od przeciwnej strony.

Jesmin cały czas zasypywała seriami laserowych błyskawic ociążonego Łowcę Głów, którego namierzył jej celowniczy komputer. W końcu durastalowy pancierz atmosferycznego myśliwca poddał się, prażony ogniem jej laserów. Śmiercionośne czerwone smugi prześwidrowały na wylot sektor rufowy. Chwilę później Łowca Głów zgiął się w locie niczym ranne zwierzę. Jego silniki eksplodowały, a kadłub rozłamał się na połowy.

- Doskonały strzał, „Dwójka” - pochwalił Donos.

- Dzięki, „Dziewiątka” - odparła uradowana Kalamarianka. - To piąty!

- Tu „Piątka” - zaniepokoił się Tainer. - Słucham?

- Nie, Kellu. Chciałam tylko powiedzieć, że to już piąta zestrzelona przeze mnie maszyna. Jestem

asem!

- „Dwójko”, zaczekaj z tym do odprawy - odezwał się Tainer. W tej eskadrze może się okazać, że twoje osiągnięcia zostaną zaliczone na konto skrzydłowego. Tak czy owak, serdeczne gratulacje!

- Bardzo zabawne, „Piątka” - mruknęła Jesmin.

Zmieniła wektor lotu i skierowała się w stronę pary nadlatujących Brzydali. Ich piloci zajmowali pozycje na odległym końcu szyku. Niespodziewanie obaj nieprzyjaciele zmienili kurs na prostopadły do jej trajektorii lotu.

Kalamarianka skręciła ostro i puściła się w pościg. „Dziewiątka” starał się trzymać cały czas blisko skrzydła jej myśliwca.

Janson uszkodził dwukadłubowego potworka, którego pilot ostrzeliwał go - na szczęście niecelnie - z ośmiolufowych sprzężonych działek laserowych, i powiódł spojrzeniem po okolicy.

Mniej więcej pośrodku rejonu walki dostrzegł dwa X-wingi, których piloci wpadli w poważne tarapaty. Wykonując rozpaczliwe zwroty i uniki, starali się nie nadziać na silny ogień nieprzyjaciół. W pewnej chwili zmienili wektor lotu, żeby nie wzięli ich na cel piloci jednej grupy Brzydali, ale niemal od razu wpadli pod lufy laserów innej grupy wrogów. Janson rzucił okiem na wskazania sensorów i bez trudu zidentyfikował obu pilotów.

- „Siódemka”, „Ósemka”, jak sobie radzicie? - zapytał.

- Nie najlepiej, „Jedenastko” - odparł Bużka.

- „Siódemka”, co tam właściwie robisz? - zdumiał się zastępca.

- Zakończyłem pracę w ośrodku łączności i pomyślałem, że wam trochę pomogę - wyjaśnił Garik.

Pomoc nadeszła jednak szybciej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Sekundę później niebo rozbłysło i jeden Brzydala - w kształcie ogromnej kuli, złożonej chyba wyłącznie z paneli słonecznych myśliwców typu T1E - dosłownie wyparował. Została po nim tylko jarząca się mgiełka i tony opadającego ku powierzchni stopionego metalu.

Janson odwrócił głowę, żeby nie oślepnąć.

- Co, u... - zaczął, ale chwilę później zauważył jednostkę, której artylerzyści zniszczyli Brzydala.

- Doskonały strzał, „Nocny Gościu”!

- Nie mogłam dopuścić, „Dwunastko”, żebyście wy, szyprowie tych zabawek, wszystkich zestrzelili - usłyszał w odpowiedzi głos pani porucznik Tabanne. - Uważaj.

Artylerzyści koreliańskiej korwety dali znów ognia, tym razem w kierunku pozbawionego skrzydeł kulistego myśliwca T1E, którego pilot posyłał na oślep we wszystkie strony rakiety udarowe. Kulista maszyna wyłoniła się ze śmiercionośnego słupa światła prawie nietknięta... a przynajmniej Janson z początku tak uważał. Dopiero po kilku sekundach obróciła się i zastępca dowódcy zobaczył, że połowa myśliwca została odcięta jak nożem.

Z połowy kabiny wyleciała połówka pilota i koziółkując w locie, poszybowała ku powierzchni księżyca.

Kell usłyszał, że piloci dwóch następnych Brzydali chcą się poddać. Jego tęponosy myśliwiec leciał z rykiem silników zaledwie kilkadziesiąt metrów nad upstrzoną niewielkimi kraterami powierzchnią księżyca. Od czasu do czasu, kiedy on i Tyria przelatywali nad krawędziami głębszych kraterów po trafieniach laserowych błyskawic, odległość ta jeszcze malała.

W pewnej chwili piloci Widm przelecieli nad grzbietem stanowiącym wspólną granicę między dwoma takimi kraterami i dopiero wówczas je zauważyli: ruchome stanowiska artylerii. Ukryte za granią najbliższego wzgórza, stały trzy pojazdy kołowe z szerokimi oponami o głębokim bieżniku.

Krater był wprawdzie bardzo duży, ale wyrzutnie i działa znajdowały się w zasięgu systemów uzbrojenia obojga Widm. Kell wiedział, że jeśli nadal będzie leciał z tak dużą prędkością, znajdzie się nad celem po upływie zaledwie kilku sekund.

- Przełączam na protonowe torpedy - oznajmił. - Strzelam.

- Strzelam-powtórzyła jak echo Tyria.

Ich pociski błyskawicznie pokonały odległość do celu. Błyskawicznie, lecz nie dość szybko. Obsługujący ruchome stanowiska artylerzyści mieli dość czasu, żeby wystrzelić z laserowych dział i wyrzutni rakiet udarowych, skierowali jednak pociski ku innym, odległym celom. Zdążyli to zrobić, zanim dosięgły ich protonowe torpedy. Wystrzelony przez Kella pocisk trafił pojazd po lewej stronie w wysoką konstrukcję zainstalowaną na platformie wojskowego pełzaka. Tyria strzeliła w sam środek wyposażonego w laserowe działo mniejszego pojazdu terenowego.

Energia eksplozji unicestwiła także trzeciego pełzaka. Szczątki stanowisk artylerii zmieniły się w kulę dymu i ognia i stoczyły w głąb krateru. We wszystkie strony poszybowały potężne koła, kabiny kierowców, fragmenty systemów uzbrojenia i kawałki pancerzy, tak poskręcane i zwęglone, że niemożliwe do rozpoznania.

W pewnej chwili rozległ się trzask i z odbiornika komunikatora rozległ się pełen bólu głos Jesmin:

- Trafili mnie.

Kell i Tyria przelecieli nad kraterem ułamek sekundy później, zawrócili i skierowali się w stronę Jesmin i Donosa.

Kalamariańska pilotka i jej tymczasowy skrzydłowy lecieli nadal obok siebie, ale oba trafione X-wingi, ciągnąc warkocze dymu, już zaczynały się oddalać jeden od drugiego.

Wyglądało na to, że X-wing Jesmin został poważnie uszkodzony. Tainer domyślił się, że powodem był celny strzał z potężnego dział laserowego. Nic innego nie zdołałoby pokonać osłon myśliwca i uszkodzić kadłuba przed ponownym włączeniem się generatora ochronnej tarczy. Laserowa błyskawica musiała trafić w bakburtową stronę kabiny pilota. Sądząc po głębokiej czarnej smudze wzdłuż boku owiewki, Kell odgadł, że energia potężnego strzału wyrządziła najwięcej szkód pod siedzeniem i za oparciem fotela pilota. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Jesmin odniosła poważne obrażenia.

Jej myśliwiec leciał prawie poziomo, ale sterburtowe skrzydła kierowały się ku powierzchni księżycy. Maszyna zataczała ciasny łuk na sterburcie, który miał się zakończyć na zboczu odległej góry.

- Jesmin, wyrównaj lot - odezwał się Kell. - „Dwójka”, jak mnie słyszysz?

- Słyszę... cię... „Piątka”...

Jej głos brzmiał chyba jeszcze słabiej niż poprzednio.

- Wyrównaj lot, „Dwójko”! - rozkazał zaniepokojony Tainer. - Natychmiast!

- Nie... mogę... dosięgnąć... drążka...

Czyżby była tak poważnie ranna, że nie miała dość sił, żeby chwycić drążek sterowniczy? Sytuacja zaczynała wyglądać naprawdę niewesoło, ale... I nagle Kell uświadomił sobie, o co chodzi. To, że Jesmin mówiła z takim wysiłkiem, mogło oznaczać tylko jedno: myśliwiec miał uszkodzony inercyjny kompensator. Nie funkcjonowało urządzenie chroniące pilota przed działaniem sił odśrodkowych, jakie występowały podczas wykonywania nagłych zwrotów albo skrętów. Siła odśrodkowa wgniatała Kalamariankę w oparcie fotela, bo pilotowany przez nią X-wing zataczał

z dużą prędkością łuk o małej średnicy. Do roztrzaskania o zbocze góry pozostała najwyżej minuta.

- Trzynastko, wydaj astromechanicznemu robotowi typu R2 jej myśliwca rozkaz zmniejszenia o połowę siły ciągu jednostki napędowej - polecił Tainer.

Niemal od razu na ekranie monitora pojawiła się odpowiedź Trzynastki:

NIE MOŻE. JEGO POŁĄCZENIA Z KABINĄ PILOTA ULEGŁY PRZERWANIU. MÓWI DO WIDZENIA.

- Nie! - krzyknął Kell. - Jesmin, śmigaj świecą w przestworza! Nie usłyszał odpowiedzi.

Z głośnika komunikatora dobiegały odgłosy innych rozmów, ale Kell nie zwracał na nie uwagi. Wiedział tylko, że kilkanaście metrów przed dziobem maszyny widzi skazany na zagładę myśliwiec Jesmin... a za nim szybko powiększające się zbocze góry.

Złożył skrzydła swojego myśliwca do pozycji spoczynkowej i przyspieszał dopóty, dopóki nie znalazł się pod spodem tęponosego myśliwca Kalamarianki.

- Co właściwie zamierzasz, „Piątko”? - usłyszał nagle z odbiornika komunikatora głos Jansona.

- Daj mu spokój, „Jedenastko” - odezwał się Wedge. - Chyba wiem, co chce zrobić.

Kiedy bakburtowe skrzydło jego X-winga znalazło się metr pod sterburtowym skrzydłem maszyny Jesmin, Kell obrócił swój myśliwiec delikatnie na sterburtę. Rozległ się chrobot i górna płaszczyzna skrzydła jego maszyny zetknęła się z dolną powierzchnią płata nośnego myśliwca Jesmin. Myśliwiec Kella zadygotał, ale pilotowana przez Kalamariankę maszyna w końcu wyrównała lot i zmieniła kierunek. Tainer skręcił na sterburtę, a kiedy oba myśliwce się rozłączyły, zatoczył ciasny łuk, aż się znalazł na poprzednim kursie.

Tym razem podleciał od dołu do tęponosego myśliwca Jesmin. Widział uszkodzony kadłub i ciągnące się za maszyną zasilające przewody. Jego akcja spowodowała obrót maszyny Kalamarianki i pilotowany przez nią myśliwiec skręcił prawie o dziewięćdziesiąt stopni na bakburtę. Na razie oddalał się od zbocza góry, ale obracał się wokół osi. Tak delikatnie jak potrafił, Kell zwiększał pułap lotu, aż jego myśliwiec znalazł się metr pod jej maszyną.

Zbocze sąsiedniej góry mignęło pod nim i zniknęło. Obrót myśliwca Jesmin spowodował, że w pewnej chwili jego bakburtowe skrzydło zetknęło się z myśliwcem Tainera. Drażek w dłoniach pilota szarpnął się jak żywy, a siedzący w gnieździe za jego plecami astromechaniczny robot typu R2 przeraźliwie zaskrzeczał. Kell poczuł silny wstrząs i zrozumiał, że kopułka Trzynastki zetknęła się ze spodem kadłuba maszyny Kalamarianki.

Kiedy obrót myśliwca Jesmin skierował bakburtowe skrzydła jego X-winga w dół, drażek wyskoczył z palców pilota, a jego maszyna sama skręciła na bakburtę. Kell chwycił drażek i używając brutalnej siły, zaczął się zmagać ze sterami, żeby lecieć cały czas prosto. Pomyślał, że gdyby zdołał zmusić myśliwiec Jesmin do zwiększenia pułapu lotu, mogliby oboje wylecieć z atmosfery, a w przestworzach przechwyciłaby ich załoga „Narry”... Nagle usłyszał głośny trzask i poczuł, że drętwieje. Trzynastka znów zaskrzeczał.

Na ekranie diagnostycznego monitora zaczęły się pojawiać, jeden po drugim, następne meldunki.

USTERZENIE NIE FUNKCJONUJE.

BAKBURTOWE JEDNOSTKI NAPĘDOWE NIE FUNKCJONUJĄ.

SYSTEMY HYDRAULICZNE ZMIANY KONFIGURACJI PŁATÓW NOŚNYCH NIE FUNKCJONUJĄ.

ZALECENIE DOKONANIA NIEZBĘDNYCH NAPRAW.

Kell usłyszał głośny skowyt i oba bakburtowe silniki odmówiły posłuszeństwa. Pilotowany przez

Jesmin X-wing kierował się łagodnym łukiem ku powierzchni księżyca i nawet wyprzedził maszynę Tainera.

- Nie! - krzyknął Kell. - „Piątka” do „Dwójki”! Czy mnie słyszysz? Nie otrzymał odpowiedzi.

- Trzynastko, czy możesz uzyskać połączenie z elektronicznymi obwodami jej fotela pilota?

Z WYSYŁANYCH PRZEZ NIE SYGNAŁÓW WYNIKA, ŻE KALAMARIANKA JEST NIEPRZYTOMNA.

- „Nocny Gościu”, czy zdołacie pochwycić ją promieniem ściąającym?

- Nie widzimy jej, „Piątko” - usłyszał. - Bardzo nam przykro. Kell zrozumiał, że jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, Jesmin pozostanie najwyżej piętnaście sekund życia.

- „Dziesiątka”, gdzie jesteś? - zapytał.

- „Piątka”, tu dowódca - usłyszał w odpowiedzi. - „Dziesiątka” jest z „Dziewiątką”. Nie może ci pomóc.

- Ale ja mam... mam...

- Przykro mi, „Piątko”.

W końcu pilotowany przez Jesmin tęponosy myśliwiec roztrzaskał się o powierzchnię księżyca. Nie eksplodował, ale w ułamku sekundy przemienił się w miliony metalowych szczątków, które potoczyły się po usianym kraterami gruncie i utworzyły wachlarz o długości co najmniej pół kilometra.

Kell otarł łzy spływające mu po policzkach. Dopiero wtedy poczuł prawdziwą gorycz porażki.

- „Dziewiątka”, odpowiedz mi! - Tyria starała się nadać głosowi spokojne, rzeczowe brzmienie.

Lecąc za rufą i trochę powyżej myśliwca Donosa, widziała, że jego X-wing został lekko uszkodzony... jeśli nie liczyć zwęglonego krateru w miejscu gniazda, w którym znajdował się kiedyś jego astromechaniczny robot typu R2, Błyszczyk. Jeżeli coś z niego zostało, trzeba by to wygrzebywać spod grubej warstwy stopionego metalu i żużłu.

Prowadzona przez Kella, Jesmin i Wesa rozmowa stawała się coraz bardziej gorączkowa. Tyria starała się ją spychać na margines świadomości.

- Myn! Odpowiedz mi! - powtórzyła, tym razem bardziej nagłaco. Usłyszała krótki szum, który mógł być zniekształconym słowem. Przycisnęła hełm do boku głowy w nadziei, że zacznie lepiej słyszeć.

- Co powiedziałeś? - zapytała. - „Zginął”?

Z odbiornika komunikatora ponownie dobiegł głos Donosa... równie słaby jak poprzednio, ale przynajmniej zrozumiały:

- Zginął.

Tyria spojrzała na ekran monitora sensorów. Jesmin jeszcze żyła, choć wszystko wskazywało, że szansę jej uratowania zmały do zera. Pilotka otworzyła usta, żeby o coś zapytać... i nagle dotarło do niej, co oznacza odpowiedź Donosa.

Ograniczyła do minimum moc wyjściową pokładowego komunikatora, spodziewając się, że wysyłanych przez nią sygnałów nie odbiorą pozostałe Widma.

- Myn, chodzi ci o Błyszczyka? - zapytała.

- Zginął.

- Myn, niech cię zaraza! - wybuchnęła. - To przecież tylko robot! Za chwilę może stracić życie Jesmin Ackbar, a ty martwisz się o bryłę metalu?!

Nie usłyszała odpowiedzi.

Przyspieszyła i zajęła pozycję dokładnie przed dziobem tęponosego myśliwca Myna Donosa.

- „Widmo Dziewięć”, tu „Widmo Dziesięć” - powiedziała. - Jesteś moim skrzydłowym.

Powtarzaj dokładnie mój każdy manewr.

Ponownie nie usłyszała ani słowa. Skręciła na sterburtę, ale Donos nie podążył za nią.

Wyprowadzona z równowagi pilotka jeszcze raz zajęła pozycję przed dziobem jego X-winga.

I wówczas doświadczyła czegoś w rodzaju wizji, zupełnie jak kilkanaście minut wcześniej, kiedy wyobraziła sobie, że piloci dwóch uciekających z pola bitwy Brzydali zamierzają poprowadzić Kella na pewną śmierć.

- Dowódco Szponów, tu „Szpon Dwa” - powiedziała. - Czy mnie rozumiesz?

Dopiero po kilku sekundach doczekała się odpowiedzi Donosa. Tym razem jego słowa brzmiały głośno i wyraźnie.

- „Dwójka”, tu dowódca.

- Dowódco, twój myśliwiec uległ poważnemu uszkodzeniu - ciągnęła pilotka. - Zostałeś ranny. Zamierzam sprowadzić cię do bazy. Jesteś moim skrzydłowym. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem cię, „Dwójka” - odparł Myn. - I dziękuję.

Tyria zatoczyła łagodny łuk na sterburtę i zawróciła w kierunku „Nocnego Gościa”. Podążający za nią Donos sprawnie powtórzył jej manewr.

Pilotka poczułaby ulgę, gdyby nie to, że wyobraziła sobie, co się dzieje w głowie Donosa.

Kilka sekund później świetlista plamka myśliwca „Widma Dwa” zamigotała i zniknęła z ekranu monitora sensorów.

Wedge i Janson skończyli w zupełnym milczeniu obchód bazy bandytów, którą piraci urządzili w przestarzałym i uszkodzonym kontenerowcu typu Quat Super Transport VI. Zważywszy na opłakany stan jednostek napędowych, dowódca Widm wątpił, żeby statek zdołał kiedykolwiek oderwać się od powierzchni księżyca, nawet przy panującej na nim połowie standardowej siły ciężenia. Siłownia funkcjonowała tylko na tyle, żeby dostarczyć energię do generatorów sztucznego ciężenia, systemów podtrzymywania życia i komunikatorów. Mniejszy statek, równie przestarzały koreliański frachtowiec, zapewne służył do przeciągania przez nadprzestrzeń Brzydali do miejsca, które piraci zamierzali patrolować. Dysponowali wystarczającą siłą ognia, żeby zmusić do posłuszeństwa załogi nawet sporych transportowców towarów, a zgromadzone zapasy dowodziły, że piraci poczynali sobie całkiem śmiało.

W cuchnącej i brudnej mesie kontenerowca zgromadziło się jedenaścioro pilotów, którzy przeżyli walkę z Widmami, a także mniej więcej dwadzieścia osób personelu naziemnego. Pilnowali ich Falynn i Młynek z ponurymi minami i gotowymi do strzału blasterowymi karabinami. Piloci Widm ustawili się za blatami przewróconych stołów. Mogli się za nimi szybko ukryć, gdyby któryś pirat wyciągnął ukrytą broń, przeoczoną podczas rewizji.

Wedge stanął przed kapitanem piratów, zwalistym czarnobrodym mężczyzną, który dumnie oznajmił, że nazywa się Arratan.

- Wstać - rozkazał.

Mężczyzna usłuchał po krótkim wahaniu.

- Mamy prawo tu być - powiedział. - Mamy prawo atakować intruzów.

- Jakie prawo? - zapytał Wedge.

- Jesteśmy kolonistami, a to niezamieszkały system - odparł kapitan. - Nikogo oprócz nas nie obchodzi. Prawdę mówiąc, nie ma tu żadnego prawa.

Wedge westchnął, jakby tak jawne kłamstwo całkiem go obezwładniło.

- Proszę bardzo - powiedział. - Jesteście wolni. W każdej chwili możecie stąd odlecieć, dokąd chcecie.

Przywódca piratów zamrugął.

- Co takiego? - zapytał. - Możecie odlecieć dokąd chcecie - powtórzył Antilles. Brodaty mężczyzna powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych i kiwnął głową. Wszyscy zaczęli wstawać.

- Jak powiedziałeś - ciągnął Wedge - nie panuje tu żadne prawo. Oznacza to, że jeżeli moi piloci zechcą, mogą was w każdej chwili zestrzelić.

Wszyscy piraci oprócz Arratana znów usiedli.

- Co więcej, skoro nie obowiązują tu żadne prawa, członkowie mojej załogi i ja zamierzamy zabrać sobie wszystko, co przedstawia dla nas jakąś wartość. Później wystartujemy, zbombardujemy wasze ukochane Krwawe Gniazdo i zaczekamy, aż ucieknie z niego ostatnia cząsteczka atmosfery. Dopiero wtedy poinformujemy wojskowych Nowej Republiki, że znaleźliśmy próznoodporny magazyn pełen skradzionych towarów i wiele ciał, które eksplodowały po wystawieniu na działanie próżni.

Kapitan piratów spojrzał na niego spode łba, a na jego policzku zadrgał mięsień.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział.

- Naturalnie, że mogę - wyprowadził go z błędu Antilles. - Przecież nie ma tu żadnego prawa, które mogłoby mi w tym przeszkodzić. To niezamieszkana planeta... nikogo nie obchodzi. A może któryś z was chciałby się zabrać z nami do innego systemu, zanim rozwalimy tę bazę na kawałki?

- Może.

- Więc może powinniście spędzić trochę czasu na kombinowaniu, co by nam zaproponować w zamian za taką wycieczkę? - zaproponował Wedge. - Nie interesują nas towary, bo i tak weźmiemy stąd, co zechcemy. Interesują nas informacje. - Zrobił krok w stronę pirata. Coś ci powiem - ciągnął złowieszczym tonem. - W obronie waszego prawa do pozostawiania poza prawem twoi śmierdziele zabili jednego z moich pilotów, więc będzie ci bardzo trudno zaspokoić moje wymagania.

Wyraźnie wstrząśnięty pirat zaczął się cofać pod naporem strzelających z oczu Wedge'a błyskawic. Wreszcie dotarł do ławy i niezgrabnie usiadł.

Antilles odwrócił się na pięcie i wyszedł z mesy. Janson podążył jego śladem.

ROZDZIAŁ 19

Kierując się do chwiejnego i niepewnie wyglądającego elastycznego rękawa, za pomocą którego przycumował „Nocny Gość”, Wedge odwrócił się i spojrzał na zastępcę.

- Nowe rozkazy - powiedział.

Janson posłusznie wyciągnął komputerowy notatnik.

- Sprawdzić jakość paliwa w rezerwowych zbiornikach pirackiej bazy - zaczął komandor. - Jeżeli spełnia wymagania naszych myśliwców, przepompować do zbiorników korbety tyle, ile się zmieści. Chciałbym jednak, żeby najpierw Kell obejrzał wszystko dokładnie i upewnił się, czy piraci nie zainstalowali ładunków wybuchowych.

- Kell przebywa w tej chwili w izbie chorych - poinformował zastępca.

- Odniósł jakieś obrażenia? - zainteresował się Wedge. Wiedział, że ciągnące się za X-wingiem Jesmin kable elektryczne zwarły kilka obwodów w myśliwcu Tainera, i pomyślał, że może pilot został porażony.

- Gwałtowny napad mdłości - wyprowadził go z błędu Janson. Antilles obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

- Co mówi na ten temat nasz lekarz? - zapytał.

- Twierdzi, że Kell jest w naprawdę paskudnym stanie - odparł Wes. - Podobno nie powinno się mu powierzać nawet smażenia bulw dla Sojuszu, a co dopiero pilotowania myśliwca.

- Cały Phanan - mruknął dowódca. - Czy już złożył oficjalny raport?

- Jeszcze nie - oznajmił Janson. - Wciąż ma nadzieję, że Kell go zaskoczy i otrząśnie się z tego.

- Ja też mam taką nadzieję - stwierdził Wedge. - Porozmawiam z nim. Czy ktoś jeszcze odniósł rany?

- Myn Donos - odparł Wes. - Wstrząs po eksplozji, która spowodowała uszkodzenie X-winga Jesmin. Przynajmniej tak twierdzi Phanan. Nie zdołałem porozmawiać z Mynem, bo Ton kazał mu wrócić do kabiny i odpocząć.

- Świetnie - burknął Antilles. - Aha, i pamiętaj, żeby przekazać astromechanicznego robota Phanana... jak on się nazywa, Gadżet?

- Gadżet.

- Przekazać go My nowi.

W końcu znaleźli się w śluzie umożliwiającej dostęp do rękawa cumowniczego. Wedge zamknął wewnętrzną klapę wjazdu i otworzył zewnętrzną. Z powątpiewaniem spojrzał na wyginający się we wszystkie strony odcinek zardzewiałej żebrowanej rury o średnicy większej niż wzrost przeciętnego człowieka. Wiedział, że na drugim końcu znajduje się jedna ze śluz „Nocnego Gościa”, ale wcale go to nie uspokajało.

- Nie jestem pewien, czy nie wolałbym się ubrać w próżniowy skafander i pokonać ten odcinek w rozrzedzonej atmosferze - powiedział.

- Och, daj spokój - odparł Janson. - Jeżeli ten rękaw jest wystarczająco dobry dla wybitnych

osobistości tej planety w rodzaju kapitana Arratana i jego kompanów, jest także dość dobry dla nas.

Wedge uśmiechnął się z przymusem.

- Więc idź pierwszy - zaproponował.

- Ton, mogę porozmawiać z nim kilka minut bez świadków? - zapytał Antilles.

Stał na progu drzwi izby chorych. Phanan spojrzał na niego, sztywno kiwnął głową i wyszedł bez słowa.

Na jednym ze szpitalnych łóżek leżał Kell Tainer, blady jak ściana i wyraźnie przygnębiony. Na widok wchodzącego dowódcy przełknął ślinę. Zapewne spodziewał się, że czeka go bura.

- Nie wiem, jak tego dokonałeś - odezwał się Wedge - ale odwalileś kawał doskonałej roboty.

A później wszystko schrzaniłeś.

Kell kiwnął głową.

- To moja wina, że Jesmin nie żyje - powiedział. - Wiem o tym, panie komandorze.

- Nie o to mi chodzi, idioto - burknął Antilles. - To wina szypira tego kontenerowca, że nasza koleżanka zginęła. Wina awarii inercyjnego kompensatora jej X-winga. Wina jej ciała, że zawiodło ją i straciła przytomność. A przecież mogła poświęcić te kilka sekund, które jej dałeś, żeby wcisnąć guzik uruchamiający katapultę. Starając się ją uratować, wykonałeś manewr równie szaleńczy i ryzykancki, co błyskotliwy i niezwykły. Wielu pilotów z Wydziału Gwiezdných Myśliwców straciłoby życie, gdyby się poważyło go wykonać.

Słyszając gniew w głosie dowódcy, Kell oniemiał. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Więc co... - zaczął w końcu. - Co właściwie schrzaniłem?

- Mam na myśli to - odparł Wedge, zamaszystym ruchem ręki pokazując izbę chorych. - Wydaje ci się, że zawiodłeś, i dlatego się rozkleiłeś. Wszyscy straciliśmy dziś koleżankę, a kto wylądował w izbie chorych? Tylko ty. Myn Donos doznał wstrząsu, ale śpi w swoim łóżku. Tymczasem ty potrzebujesz opieki medycznej. Właśnie ty.

Kell otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przezornie je zamknął.

- Weź się w garść, wstań i włóż kombinezon - rozkazał Antilles. Chcę, żebyś przeszukał bazę piratów i sprawdził, czy nie zainstalowali gdzieś ładunków wybuchowych. Nie dopuszczę, żeby ktokolwiek stracił palce albo życie, kiedy już tam będziemy. Jesteś nam potrzebny.

Kell spróbował usiąść na łóżku, ale na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Wedge pomyślał, że to skurcz wywołany odrętwieniem mięśni.

- Więc to tak? - zapytał łagodniejszym tonem. Pozwolił sobie na tylko tyle sarkazmu w głosie, żeby dotarło to do pilota. - Ktoś cię potrzebuje, a ty się rozklejasz. No cóż, to my cię potrzebujemy. Pokładamy w tobie nadzieję. Od ciebie zależy nasze życie. Właśnie teraz. Więc co zamierzasz zrobić?

Kell wstał. Na jego twarzy malowała się mieszanina wściekłości i udręki. Udręka spowodowała, że zgiął się, jakby ktoś wymierzył mu cios w żołądek, ale od razu się wyprostował.

- Czy mogę mówić szczerze, panie komandorze? - zapytał.

- Proszę bardzo.

- Za każdym razem, kiedy wygłasza pan jedno ze swoich motywacyjnych przemówień, mam ochotę pana udusić.

- A czy masz pojęcie, co ja bym chętnie zrobił za to, że na myśl o obowiązkach uciekasz do izby chorych?

Wedge odwrócił się i wyszedł.

Dopiero na korytarzu przypomniał sobie, co powinien zrobić w następnej kolejności. Zwalczył chęć, żeby wrócić. Wolałby kłócić się z Kellem jeszcze parę godzin, niż stawić czoło następnemu obowiązkowi. Prawie by się zgodził, żeby Tainer go udusił, byle tylko nie musiał się zajmować tym, co go teraz czekało.

Mógł najwyżej odwlec to na pewien czas i najpierw podyktować raport ze szturmu Widm na bazę piratów. Powinien doradzić Nowej Republice zajęcie tej bazy na wszelki wypadek, bo mogło to przynieść korzyści w wojnie przeciwko lordom i Imperium. Mógłby nawet zamieścić w tym raporcie wzmiankę o godnym pochwały wyczynie Kella Tainera... Wprawdzie później pilot się rozkleił i na pewien czas stał się niezdolny do służby, ale to, czego dokonał, znacznie wykraczało poza obowiązki.

Nie mógł jednak odkładać tego w nieskończoność. Wcześniej czy później musiał usiąść i napisać list do admirała Ackbara, żeby poinformować go o śmierci siostrzenicy.

Siedział przy biurku z pojedynczą lampą w przestronnej kabinie kapitana korwety, kiedyś urządzonej z przepychem. Teraz hulało po niej echo.

Zaczął pisać na płycie dotykowej osobistego notatnika. Klawiatura komputerowego terminala pozwoliłaby mu wprawdzie zrobić to szybciej, ale Wedge wiedział, że czas sporządzenia raportu nie zależy od szybkości pisania. Podejrzał, że najwięcej czasu zajmie mu znalezienie właściwych słów.

Zaczął pisać: Panie admirale, obawiam się, że ten list stanie się dla pana zwiastunem niepomyślniej wiadomości.

Spojrzał na to, co napisał. Zwiastun niepomyślniej wiadomości. Oklepany frazes, a do tego nieprecyzyjny. List nie był zwiastunem. Była nim osoba, która przekaże Ackbarowi meldunek komandora. A dokładnie ścienny terminal, na którego ekranie ukażą się słowa meldunku.

Przycisnął guzik kasowania i słowa zniknęły z ekranu.

Panie admirale, bardzo chciałbym znaleźć sposób, żeby ta wiadomość nie sprawiła panu takiego bólu...

Nie, bez sensu. Gdyby zaczął list od tych słów, a Ackbar reagował jak przeciętny człowiek, poczułby narastający lęk przed okropną nowiną... a potem uświadomiłby sobie, że jego obawy były uzasadnione.

Wedge skasował napisane słowa.

Panie admirale, z przykrością informuję, że pańska siostrzenica, Jesmin Ackbar, nie żyje.

Ale przecież Ackbar wie, że Jesmin jest... była jego siostrzenicą.

Wedge jeszcze raz skasował początek listu i zaczął pisać od nowa.

Panie admirale, bardzo żałuję...

Nawet te słowa wydały mu się sztywne i bezosobowe. Wprawdzie on i Ackbar nie byli przyjaciółmi, tylko kolegami, ale darzył kalamariańskiego oficera Marynarki wielkim szacunkiem i miał nadzieję, że Ackbar odwzajemnia mu się tym samym.

Współczuł Ackbarowi z powodu jego straty. Kiedyś sam przeżył coś podobnego... tamtego dnia, kiedy uciekający pirat zniszczył stację paliw, na której pracowali i mieszkali członkowie jego rodziny. Stracił wówczas dom, rodziców... stracił przeszłość. Pozostała mu tylko przyszłość, która wtedy nie wydawała się zachęcająca, raczej przerażająca.

Tyle że Ackbar miał doświadczyć czegoś przeciwnego. Jesmin nie należała do jego przeszłości. Mogła być częścią jego przyszłości. Czy taki los nie był jeszcze gorszy? Czy gorsze nie były

cierpienia i ból po stracie ukochanej osoby... i przyszłości, jaką się z nią wiązała?

Wypił łyk kafeiny i spróbował uporządkować rozbiegane myśli. Wielokrotnie w przeszłości musiał pisać podobne listy do bliskich albo przyjaciół różnych osób, które straciły życie podczas akcji, i do tej pory powinien był się przyzwyczaić, a przynajmniej nabrać większej wprawy. Czuł jednak coś w rodzaju dumy na myśl o tym, że się nie przyzwyczaił... że zawsze przychodziło mu to z trudem. Pomyślał, że nigdy nie nauczy się pisania takich listów według z góry ustalonego szablonu.

Przycisnął guzik, skasował zaczęte zdanie i zaczął pisać od nowa.

Panie admirale, jest moim smutnym obowiązkiem poinformować pana o śmierci Jesmin Ackbar...

Drzwi do jego kabiny zaczęły się rozsuwać, kiedy Kell kończył zdejmować jednoczęściowy roboczy kombinezon. Do środka wślizgnęła się Tyria i od razu wcisnęła guzik zamykania drzwi.

Tainer spojrział na nią. Pilotka się nie odzywała, a twarz miała smutną i napiętą.

Kell patrzył na nią. Nie bardzo wiedział, co robić.

- Czy któreś z nas nie powinno opowiedzieć jakiegoś dowcipu? - zapytał w końcu.

- Może, któregoś dnia... - odezwała się Tyria. - Czym się zajmowałeś?

- Upewniałem się, czy Krwawe Gniazdo nie zostało zaminowane - wyjaśnił Kell. - Okazało się, że zostało. Staralem się też nie poddawać.

Udało mi się rozbroić zainstalowane ładunki wybuchowe, ale nie zdołałem zapanować nad żołądkiem. Jaka szkoda, że nie na odwrót. Odwrócił się tyłem do niej, zsunął kombinezon na wysokość kostek, uwolnił stopy i podszedł do niewielkiej szafy. Czuł, że kręci mu się w głowie. Pracował kilka godzin o pustym żołądku, który gwałtownie protestował, ilekroć usiłował go czymś napęlić. - Jak się miewa Myn? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Ton Phanan także tego nie wie - odparła pilotka. - Myn po prostu leży i patrzy na coś, czego nie widzi nikt oprócz niego. Je, kiedy włoży mu się do ręki coś do jedzenia, i pije, jeśli przytknie mu się kubek do warg, ale wygląda na to, że dokądś odszedł.

Kell wybrał czysty, czarny kombinezon pilota myśliwca T1E i zaczął się ubierać.

- Jak sądzisz, długo da się to utrzymać w tajemnicy? - zapytał.

- Nie wiem, Kellu - odparła Tyria. - Mam nadzieję, że na tyle długo, aby zdołał się otrząsnąć.

Ton twierdzi, że jeżeli wzmianka o tym kryzysie znajdzie się w aktach Donosa, prawdopodobnie będzie to oznaczało koniec jego kariery jako pilota.

- Może powinna się znaleźć - burknął Tainer. - Może Myn jest zbyt bliski całkowitego załamania, żeby mógł jeszcze kiedyś zasiąść za sterami gwiazdowego myśliwca.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś! - obruszyła się pilotka. Kell skończył się ubierać i zasunął zamek błyskawiczny.

- Wiem - powiedział. - To właśnie dlatego zgadzam się, żeby nikomu o tym nie wspominać. Nawet licząc się z tym, że coś takiego może stanowić koniec kariery nas wszystkich. - Wzruszył ramionami. - Co mogę więcej zrobić? Nie udało mi się uratować Jesmin, więc może zdołam pomóc Mynowi?

- Nie mów tak - rzekła Tyria. - Słyszałam, czego dokonałeś, starając się ocalić życie Jesmin. To było... to było niesamowite.

- Byłoby niesamowite, gdyby się udało - poprawił ją Kell. - A skoro się nie udało, było po prostu daremnym trudem. Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Wiedziałaś, że piloci tamtych dwóch Brzydali to przynęty - przypomniał Tainer. - Dzięki temu,

że zmusiłaś mnie do zastanowienia się nad taką możliwością, prawdopodobnie ocaliłaś mi życie. Czy już kiedyś przydarzyło ci się coś takiego?

Tyria pokręciła głową, a jej związane z tyłu głowy włosy lekko się zakołysały.

- Po prostu to poczułam - wyznała. - Prawie widziałam, jak cię zestrzeliją.

- Czy to możliwe, że właśnie tak przejawia się oddziaływanie Mocy? - Raczej nie - odparła pilotka. - Nie skupiałam się, żeby nią władać.

- Jak to jest, kiedy się skupiasz? - zainteresował się Tainer. Młoda kobieta uśmiechnęła się gorzko.

- Czuję się wówczas, jakbym przebywała znów na Toprawie i zanurzała stopę w letniej wodzie płynącej rzeki - zaczęła. - Nagle odwracam się i widzę, że na brzegu stoją wszyscy członkowie dwudziestu poprzednich pokoleń mojej rodziny. Mają posępne twarze, jakby chcieli się upewnić, czy wszystko robię prawidłowo, a ja nagle uświadamiam sobie, że nie umiem pływać wystarczająco dobrze, aby mogli być ze mnie dumni. Nabieram pewności, że jeśli wejdę do wody, utonę. Właśnie to oznacza dla mnie władanie Mocą.

- Nic dziwnego, że tak bardzo starasz się tego nauczyć - zauważył Kell.

Tyria spojrzała na niego, niepewna, czy nie powinna się obrazić.

- No dobrze, to był kiepski dowcip - przyznał Tainer. - Ale jednak dowcip. Wypełniłem swój obowiązek.

- Dobranoc, Kellu.

- Dobranoc.

Zanim Wedge wysłał list do Ackbara, przeczytał go jeszcze raz na ekranie komputerowego notatnika.

Panie Admirale

Jest moim smutnym obowiązkiem poinformować pana o śmierci Jesmin Ackbar.

Kiedy Eskadra Widm znalazła się w przestworzach największego księżyca trzeciej planety systemu M2398, natknęła się na piracką bazę. Jej mieszkańcy utrzymywali kontakty z lordem Zsinjem i zaatakowali nas bez ostrzeżenia. Byli dwukrotnie liczniejsi, ale piloci Widm ich pokonali. Podczas walki Jesmin zestrzeliła trzech nieprzyjaciół i zasłużyła na tytuł asa Nowej Republiki. Była z tego powodu bardzo dumna, wkrótce potem jej myśliwiec typu X-wing uległ jednak uszkodzeniu po strzale z potężnego działła laserowego. Pozbawiona sterowności maszyna rozpoczęła niekontrolowany lot ku powierzchni księżyca. Zdołaliśmy ustalić, że miała także uszkodzony inercyjny kompensator. Kiedy Jesmin się roztrzaskiwała, była nieprzytomna i nie cierpiała.

Podczas całego okresu służby w Eskadrze Widm była znakomitą pilotką i wyróżniającym się oficerem. Jej umiejętności i znajomość sprzętu telekomunikacyjnego uchroniły bazę Folor przed skutkami zaskakującego ataku. Życie zawdzięczają jej wszystkie osoby przebywające w bazie podczas ewakuacji. Nawet w elitarnych jednostkach Sił Zbrojnych Nowej Republiki nie ma wielu pilotów, którzy mogliby się poszczycić taką odwagą i ofiarnością, jaką wykazywała się Jesmin Ackbar każdego dnia służby.

Nie mógłbym nawet marzyć o tym, żeby wyobrazić sobie Pańskie poczucie straty, ale zastanawiając się nad śmiercią Jesmin, doszedłem do przekonania, że wywarła na mnie ogromne wrażenie. Nie wierzę już, że szlachetna siła życia znika, ilekroć gaśnie samo życie.

Służąc w Eskadrze Widm, Jesmin Ackbar zestrzeliła pięciu nieprzyjaciół, z których wszyscy służyli złym ludziom. Ich postęпки nadal niosłyby zło, ale Pańska siostrzenica zdołała położyć kres

ich knowaniom i sprawiła, że przeszłość stała się jaśniejsza i lepsza.

Jesmin Ackbar ocaliła życie setkom istot na Folorze. Gdyby tego nie uczyniła, popłynęłaby stamtąd fala bólu i cierpienia. Wycisnęłaby niezatarte piętno na psychice tych, którzy przeżyli, i pozostawiła rozpacz, ból i udrękę.

Patrząc na nowy rocznik wyszkolonych pilotów, odpoczywających wśród przyjaciół na planecie, której władcy zamierzali przyłączyć się do Imperium, ale w końcu opowiedzieli się po stronie Nowej Republiki, nigdy nie będę wiedział, ile z tego jest zasługą życia Jesmin. Nie zobaczę jej przyszłości, ale to jeszcze nie oznacza, że jej przyszłość umarła razem z nią. Jestem pewien, że jej uczynki i osiągnięcia pozostaną z nami niczym niewidzialne duchy reprezentujące dobro, po którego stronie opowiada się Nowa Republika. I za to jestem jej bezgranicznie wdzięczny.

Z poważaniem komandor Wedge Antilles

To było mniej więcej to, co zamierzał powiedzieć.

W rogu ekranu komputerowego notatnika pojawiały się cyferki wskazujące dokładny czas i Wedge zorientował się, że do porannej pobudki została zaledwie godzina. Poświęcił całą noc, żeby w odpowiednich słowach wyrazić admirałowi Ackbarowi swoje współczucie, ale gdyby nie skończył, nie zdołałby zasnąć. Pomyślał, że krótki czas do świtu będzie mógł przynajmniej spędzić w spokoju.

Wyłączył światło, wyciągnął się na kapitańskim łożu i niemal od razu pogrążył w tymczasowym niebycie.

Dwa dni później w przestworzach systemu M2398 pojawił się krążownik Nowej Republiki. Jego załoga miała się zająć dalszymi losami Krwawego Gniazda i zamieszkujących je piratów.

W ciągu tego krótkiego okresu bandyci okazali się niezwykle skłonni do rozmowy. Wyśpiewali wszystko, co wiedzieli o lordzie Zsinju i o kapitanie Darillianie, zdradzili także ponure szczegóły ostatnich pirackich napadów. Byli bandą bezwzględnych korsarzy, pozbawionych sumienia łajdaków... zbyt upartych, żeby uznawać zwierzchnictwo Zsinja, i zbyt głupich, aby wymyślić taktykę inną niż atakowanie jego emisariuszy.

Wiele do myślenia dawał jednak fakt, że Zsinjowi zależało na utrzymaniu kontaktów z szumowinami pokroju Arratana i jego kompanów. Wynikało z tego, że moralne standardy lorda są niższe, niż sądzili dostojnicy i wojskowi Nowej Republiki. Wedge nie miał pojęcia, jaką rolę odgrywali piraci w jego planach, ale Zsinj mógł ich traktować jak przeznaczonych do spisania na straty najemników.

- Za parę godzin wyskakujemy z tego systemu - odezwał się do Jansona.

- I powracamy do pierwotnego harmonogramu „Nocnego Gościa”? - domyślił się zastępca.

Wedge kiwnął głową.

- Jaki stan eskadry? - zapytał.

- Mniej więcej taki sam jak wczoraj - oznajmił Janson. - Straciliśmy dwa X-wingi i dwoje pilotów, chociaż mam nadzieję, że Myna tylko na pewien czas. Jeżeli dodać do tego dwa myśliwce T1E, dysponujemy nadal całą eskadrą.

- Zorientuj się, ilu członków załogi „Nocnego Gościa” potrafi latać myśliwcem T1E - polecił Antilles. - Na wszelki wypadek wpakuj ich do symulatora. Jeżeli okaże się to konieczne, możesz ich skusić brandy albo słodyczami, ale niech się zabiorą ostro do ćwiczeń.

Jego zastępca wyszczerzył zęby w domyślnym uśmiechu.

- Zapasy paliwa i żywności uzupełnione - zameldował. - Nasza ogólna sytuacja wygląda całkiem nieźle.

- Bardzo dobrze - stwierdził Wedge. - Następne rozkazy wydám mniej więcej za godzinę.

Na mostku „Nocnego Gościa” stali wszyscy piloci Widm z wyjątkiem Donosa i Antillesa. Myśliwiec komandora unosił się nieruchomo pięćdziesiąt metrów od kadłuba korwety. Podobnie jak okręt, był zwrócony w stronę odległego słońca niezamieszkanego systemu.

- Nie mamy doczesnych szczątków, żeby je pożegnać, jak mają zwyczaj to robić istoty jej i naszej rasy, ale możemy okazać Jesmin szacunek w inny sposób. Uczcijmy jej odejście, wysyłając promień światła, w nadziei, że będzie mu towarzyszyło światło duchowe, które powiedzie naszą koleżankę ku jej przeznaczeniu - zakończył uroczyste Buźka.

Kell doszedł do przekonania, że Garik nadaje się idealnie do wygłaszania przemówień podczas ceremonii pożegnalnych i pogrzebowych. Chciałby co prawda wiedzieć, ile z jego słów i okazywanych emocji płynie z głębi serca, a ile wynika z kunsztu doświadczonego aktora, pomyślał jednak, że w obecnej chwili nie musi się nad tym zastanawiać.

Wiedząc, że tego dnia nie występuje w charakterze dowódcy Eskadry Widm, ale ostatni raz - skrzydłowego Jesmin Ackbar, Wedge wystrzelił protonową torpedę. Pocisk pomknął ku tarczy odległego słońca i kilka sekund później eksplodował w odległości dziesięciu kilometrów od korwety. W przestworzach pojawiła się na krótko oślepiająco jasna smuga światła, ale zgasła równie szybko jak życie, jakie symbolizowała.

Dopiero wtedy Antilles obniżył pułap lotu X-winga, skierował go w stronę otwartych wrót dziobowej ładowni i zniknął wszystkim z oczu. Pograżeni w smutku piloci zaczęli opuszczać mostek. Pozostali na nim tylko członkowie załogi.

- Tainer?

Kell napiął mięśnie.

- Słucham, panie poruczniku - powiedział.

- Podczas walki „Nocny Gość” został kilkakrotnie trafiony - zaczął Janson. - Uszkodzenia nie wyglądają poważnie, ale chyba straciliśmy jakieś złącza i przekaźniki. A poza tym, jakieś elementy mogły się obluzować. Chciałbym, żebyś dołączył do ekipy mechaników Cubbera i pomógł im w naprawach.

Kell zasalutował mężczyźnie, który zabił jego ojca, i bez słowa przyglądał się, jak odchodzi.

Był absolutnie przekonany, że przydzielono mu tę robotę jako karę. Usiłując ocalić Jesmin Ackbar, nie spisał się najlepiej. Pomyślał, że dopóki nie przestanie służyć w Eskadrze Widm, będzie wykonywał same najbardziej niewdzięczne zadania.

Idąc korytarzem wiodącym do kwater oficerskich, dogonił Tyrię.

- Coś nowego? - zapytał. Młoda pilotka pokręciła głową.

- Zachowuje się ciągle tak samo - powiedziała. - Jeszcze dzień czy dwa i trzeba będzie przekonać dowództwo, że podjął służbę na nowo. Może powinniśmy wykonywać część jego obowiązków i twierdzić, że to on...

- To staje się z każdą chwilą coraz bardziej niebezpieczne - ostrzegł Tainer.

Tyria wzruszyła ramionami. Wiedziała, że nie może zaprzeczyć.

- Czy tylko my mamy ryzykować, żeby cywile mogli się czuć bezpieczni? - zapytała.

- Nie, nie tylko. - Kell westchnął. - Nie mogę ci dzisiaj pomóc wyznał ponuro. - Muszę pozmywać i pozamiatać, ale może nie zajmie mi to dużo czasu.

- Powodzenia. - Tyria wspięła się na palce, cmoknęła go w policzek i skierowała się znów do kabiny Donosa.

Kell potarł miejsce pocałunku. Zastanawiał się, co to mogło oznaczać. Tyria okazała mu odrobinę uczucia, kiedy był najbardziej przygnębiony...

W końcu zrozumiał. Przypomniawszy sobie jej rozmowę z pozostałymi na temat pokrzywdzonych przez los osobników płci męskiej i kobiet, które troszczyły się o nich i niańczyły dopóty, dopóki nie wracali do pełni sił. Czyżby upadł tak nisko, że Tyria zaczęła go niańczyć?

Niech to piekło pochłonie! Możliwe, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie zareagowałby w taki sposób, ale obecnie miał tylko dwa wyjścia. Mógł albo nadal czuć się paskudnie i liczyć na to, że pomoże mu to zdobyć jej uczucie, albo przypomnieć sobie, że jednak jest coś wart i wcale nie czuje się aż tak bardzo przygnębiony. Doszedł do przekonania, że woli to drugie wyjście.

Odwrócił się i poszedł szukać torby z narzędziami.

- Wymienimy się informacjami? - zapytał lord Zsinj. Admirał Trigit wymownie machnął ręką.

- Pan pierwszy - powiedział. - Mimo wszystko, to pan jest lordem.

- To prawda - przyznał Zsinj. - Pamiętasz jeszcze „Nocnego Gościa”?

Trigit parsknął. - To jedna z pańskich korwet z myśliwcami typu T1E - powiedział. - Dziękuję, że przekazuje mi pan raporty jej kapitana. Jestem wdzięczny, że pełni służbę pod pańskimi rozkazami. Miło wiedzieć, że istnieje okręt, którego załoga wykonuje bardziej monotonne zadania niż ja.

Zsinj wykrzywił twarz w pobłażliwym uśmiechu.

- A gdybym ci powiedział, że kilka ostatnich miejsc na planetach, na których lądował „Nocny Gość”, odwiedziły i zniszczyły Siły Zbrojne Rebeliantów? - zapytał. - Czasami komandosi, a czasami eskadry myśliwców typu X-wing?

Trigit cofnął się pół kroku.

- To oznacza, że pański okręt jest śledzony - stwierdził z ponurą miną.

- Zgadza się - przyznał Zsinj. - Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał się tym zająć.

- Natychmiast - odparł admirał. - Ale... może jednak jest coś ważniejszego - zreflektował się po chwili. - Większą wagę może mieć sprawa, z którą zamierzałem się do pana zwrócić.

- Mów.

- Słyszał pan o planecie Talasea usytuowanej w systemie Morobe? - zapytał Trigit.

Zsinj zmarszczył brwi.

- To planeta rolnicza, prawda? - zapytał. - Podobno jej gospodarka popadła w ruinę.

- Zgadza się - stwierdził admirał. - Planeta została opuszczona, ale niedawno piloci Eskadry Łotrów wykorzystywali ją pewien czas jako tajną bazę.

- Ach, już sobie przypominałem - oznajmił Zsinj. - Zaatakował ich tam inny pupilek Ysanny Isard. Wygląda na to, że nie rozprawił się z nimi do końca.

Trigit nie przestał się uśmiechać, ale wzmianka o pupilkach Lodowego Serca sprawiła mu wyraźną przykrość. Wyglądało na to, że Zsinj uważa go za jednego z tych pupilków.

- Tak, tak - powiedział obojętnym tonem. - No cóż, dzięki projektowi „Morrt” otrzymujemy stamtąd ostatnio bardzo wiele sygnałów. Z przekazywanych obrazów wynika, że kręci się tam wiele różnych statków... w rodzaju X-wingów, A-wingów i rebelianckich transportowców. Jednym z nich był „Borleias”, ostatni transportowiec, jaki odleciał z bazy na Folorze.

Zsinj głęboko odetchnął.

- Świerzbią cię ręce, Apwarze, żeby zemścić się na uciekinierach z Folora? - zapytał.

- Nie jestem z tego szczególnie dumny, ale przyznaję, że to prawda - odparł admirał.

- Więc jeżeli chcesz, możesz się z nimi rozprawić - oznajmił Zsinj. - Wyślę ci „Prowokatora” jako okręt wsparcia. Przyłączą się do ciebie także „Nocny Gość” i „Dusiciel”. To powinno ci wystarczyć, żeby całkowicie zniszczyć nieprzyjacielską bazę, nawet jeżeli będą jej broniły resztki rebelianckiej floty.

- Dziękuję, lordzie.

- A kiedy już ich załatwisz, odleć stamtąd i zrobisz porządek z siłami zbrojnymi tropiącymi „Nocnego Gościa” - ciągnął Zsinj. Chyba mogę liczyć na to, że zdołasz się sam uporać z eskadrą X-wingów i oddziałem komandosów?

- Pańska wiara we mnie jest tak niezachwiana, że moje serce wypełnia dobra wola - oznajmił cierpko admirał.

Zsinj uśmiechnął się protekcjonalnie i machnął ręką na pożegnanie. Jego holograficzny wizerunek się rozplątał.

Trigit zazgrzytał zębami. Po porażce w przestworzach Folora Zsinj zaczął wtrącać do rozmów mnóstwo zarzutów i złośliwych uwag, a admirał nie przed wszystkimi umiał się obronić. Nie mógł tego znosić w nieskończoność. Pomyślał, że może w przestworzach systemu Morobe odnieść wreszcie sukces, który uśmierzy gniew jego zwierzchnika.

Na razie jednak mógł tylko mieć nadzieję.

Kell wisiał głową w dół w kanale naprawczym nad korytarzem wiodącym do kwater oficerów. Nie był zachwycony, że musi radzić sobie w taki sposób, ale skrzynkę z przekaźnikami, którymi miał się zająć, zainstalowano w pionowym kominie mniej więcej w połowie wysokości między korytarzem a biegnącym poziomo w górze szybem remontowym. Było tak późno, że nie chciał budzić Cubbera ani żadnego z mechaników, aby się dowiedzieć, gdzie trzymają drabiny. Wolał wsunąć stopy w metalowe uchwyty w miejscach, w których w szybie zaczynał się kanał, i wisząc do góry nogami odszukać i umocować przekaźnik, obluzowany wskutek silnego wstrząsu podczas bitwy.

Zakładał się sam z sobą, czy upora się z tym zadaniem, zanim zacznie tracić ostrość spojrzenia wskutek napływu krwi do głowy.

Odkręcił osłonę skrzynki i znalazł obluzowany przekaźnik. Właśnie mocował go w gnieździe, kiedy z dołu dobiegły odgłosy kroków i czyjeś głosy. Usłyszał, że ktoś wypowiedział imię Donosa, i znieruchomiał.

Zorientował się, że to komandor Antilles.

- Tajemnica się wyda przy pierwszej okazji, kiedy piloci będą musieli wystartować do walki - zauważył dowódca.

- A co innego możemy zrobić? - odparł Janson. - Moglibyśmy zorganizować wszystko tak, żeby podczas zbliżania się do następnego celu podróży służbę pełniła tylko połowa pilotów Eskadry Widm, i postarać się, żeby Donosa wśród nich nie było...

- I ryzykować życie pozostałych, gdyby ktoś urządził na nas kolejną zasadzkę, podobną do tej poprzedniej? - zapytał Antilles. - To na nic, Wes. Poszukaj lepszego rozwiązania. Jeżeli wymyślisz coś rozsądnego, naprawdę rozsądnego, z czym będę się mógł zgodzić, postaraj się jak najszybciej dać mi znać.

- Rozkaz, panie komandorze.

Odgłos kroków zaczął cichnąć. Kell wyprostował się i spojrzał w dół. Obrócił głowę w kierunku, skąd napływały dźwięki, i zobaczył Jansona. Odwrócony do niego plecami, zastępca

dowódcy stał nieruchomo z opuszczoną głową, jakby rozmyślał, jak wypełnić polecenie zwierzchnika.

A więc zastanawiał się, jak rozwiązać problem Donosa. Kell już chciał gwizdnąć, ale w porę się opanował. Wedge i Janson wiedzieli, że Korelianin jest niezdolny do służby, a tym bardziej do walki, a pozostali starają się utrzymywać to w tajemnicy. Piloci Widm nie mieli jednak pojęcia, że dowódca i zastępca zachowują się tak samo, jakby chcieli dać podwładnym więcej czasu. Przede wszystkim zresztą chcieli dać więcej czasu Donosowi, żeby zdołał się otrząsnąć.

Myśl ta poraziła Kella niczym elektryczna iskra. Oznaczałoby to, że...

Pilot chwycił się metalowych uchwytów zainstalowanych nad dolnym wylotem pionowego kanału, uwolnił zaczepione stopy i opadł na posadzkę korytarza.

Słyszac, że coś z głuchym stukiem spada za jego plecami na metalowe płyty pokładu, Janson odwrócił się jak użądłony.

Zobaczył przykucniętego rosłego mężczyznę i odruchowo cofnął się pod przegrodę. Zderzył się z nią plecami i sięgnął po blaster, okazało się jednak, że nie ma przy pasie kabury.

Barczysty mężczyzna wstał i dopiero wówczas Janson go rozpoznał.

- Sithowa plwocina! - wykrzyknął. - Tainer, o mało nie przyprawiłeś mnie o zawał serca! Skąd się tam wzięłeś?

- Jestem Widmem, panie poruczniku, prawda? - odparł Kell. A Widma pojawiają się znikąd jak duchy, zadają cios i znikają.

Janson zauważył, że na twarzy pilota maluje się napięcie, zdumienie i niedowierzanie. Poczul, że włosy na jego karku stają dęba. - Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

- Dlaczego go nie wydałeś?

- Kogo?

- Donosa.

- Za co?

- Przestań. Nie rób ze mnie idioty. Wiem, że ty też wiesz, więc przestań się wygłupiać.

Janson poczul, że jego twarz tężeje.

- Więc sam wiesz, dlaczego - powiedział.

- Dajesz mu jeszcze jedną szansę.

- Zgadza się.

- Niech mnie zaraza - mruknął Tainer. - Nie sądziłem, że będzie cię stać na coś takiego.

W stosunku do kogokolwiek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał zastępca, wyraźnie zdezorientowany.

- Sądziłem... zawsze uważałem, że jeśli chodzi o ciebie, wystarczy jedna pomyłka i cześć - odparł Tainer.

- Cześć - powtórzył jak echo Janson. Uświadomił sobie powód dziwnego zachowania rozmówcy, co podziałało na niego jak fala udarowa protonowej eksplozji. - Nie, Tainer. Nie postąpiłbym tak w przypadku Myna. Nie postąpiłem tak w przypadku twojego ojca. Nie mógłbym tak postąpić w przypadku kogokolwiek innego.

- Jeszcze przed chwilą nigdy bym w coś takiego nie uwierzył - wyznał Kell.

- Ale teraz wierzysz?

Kell obrócił głowę i długo patrzył w bok, zanim ponownie spojrzal w oczy zastępcy.

- Janson, na zawsze pozostaniesz człowiekiem, który zabił mojego ojca - odezwał się w końcu. -

Zawsze będę musiał o tym pomyśleć, widząc ciebie. Ale może określenia, jakie mi się dotąd z tobą kojarzyły...

Janson Zabójca, Janson Zdrajca... może to powstało w umyśle dziecka.

Przykucnął, a porucznik wycofał się w kąt między przegrodą a ścianą i przygotował na odparcie możliwego ataku. Kell jednak odbił się od płyt pokładu, śmignął w górę i z donośnym chrobotem zniknął w otworze kanału.

Janson przyglądał się, jak buty Tainera znikają w pionowym kominie. Odczekał chwilę, ale pod sufitem korytarza nie pojawiła się głowa pilota. Wyraźnie poruszony, odwrócił się i skierował do kabiny.

ROZDZIAŁ 20

Dwanaście tęponosych X-wingów zanurkowało z rykiem silników ku powierzchni.

Planeta była posępnym światem o atmosferze zanieczyszczonej dymami i gazami, wydobywającymi się z setek wulkanów. Mniej więcej cztery kilometry przed dziobami X-wingów widać było niewyraźnie myśliwiec przechwytyjący typu T1E, najszybszą maszynę, jaką dysponowały wojska Imperium. Imperialny pilot utrzymywał równą odległość od ścigających go X-wingów, ale się od nich nie oddalał, co dowodziło, że jego maszyna ma uszkodzone jednostki napędowe. Potwierdzały to wydobywające się z dysz silników jonowych snopy iskier i kłęby dymu. Myśliwiec przechwytyjący T1E znajdował się wprawdzie zbyt daleko, żeby można je było dostrzec gołym okiem, ale piloci tęponosych maszyn widzieli to wyraźnie na ekranach pokładowych monitorów. Jeśli silniki myśliwca T1E całkiem odmówią posłuszeństwa, powinni doścignąć go bez trudu.

Myn Donos, dowódca eskadry X-wingów, powiódł spojrzeniem po otaczających go przestworzach. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Coś się nie zgadzało. Już kiedyś to przeżywał. Ta wyprawa mogła się zakończyć tylko...

Śmiercią.

Nie, to nieprawda. To tylko jego wyobraźnia. Miał do wykonania ważne zadanie, ale co musi zrobić w następnej kolejności?

- Dowódca do... - zaczął niepewnie i urwał.

Niech to licho! Jaki kryptonim ma jego specjalista od systemów łączności? Jaki właściwie kryptonim nosi on sam? Aha. Już sobie przypomniał.

- ..."Ósemka". Dowódca do „Ósemki”. Zaszły jakieś zmiany?

- Nie, panie poruczniku - usłyszał w odpowiedzi. - Tylko my dwaj korzystamy z komunikatorów. Na ekranie monitora sensorów nie ma nikogo oprócz nas i myśliwca przechwytyjącego T1E.

- Dzięki, „Ósemko” - rzucił Donos. Uświadomił sobie, że głos pilota brzmi jakoś inaczej, bardziej basowo i nie ma wyraźnie dotąd słyszalnego wiejskiego akcentu. Gdyby nie to, wszystko byłoby dokładnie, jak zapamiętał. No cóż. wcale mu to nie przeszkadzało. „Ósemka” i tak miała wkrótce zginąć.

Kiedy Donos pomyślał, jak bezduszna jest ta myśl, poczuł zawrót głowy.

Nagle pilot myśliwca przechwytyjącego T1E raptownie zwolnił i ostro skręcił na sterburtę. Donos się uśmiechnął. Silniki nieprzyjacielskiej maszyny musiały być bardziej uszkodzone, niż dotąd mu się wydawało. Imperialny pilot kierował się w stronę przełęcz między dwoma ogromnymi wulkanami... prosto w pułapkę.

Pułapka. Niedługo wszyscy mieli stracić życie.

- Dowódca Szponów do pilotów eskadry - powiedział. - Zrezygnować! Sygnał Omega!

Wprowadził X-winga w tak ciasny łuk, że bakburtowe skrzydła zwróciły się ku powierzchni planety, i zaczął się oddalać od wulkanów... i od śmierci.

Pozostali piloci Eskadry Szponów nie podążyli jednak za nim. Lecieli cały czas w kierunku, który skazywał ich na pewną zagładę.

- Dowódca do eskadry! - wykrzyknął. - Zrezygnować. Lecieć za mną.

- Nie możemy tego zrobić, panie poruczniku - odezwała się jakaś kobieta.

- „Dwunastka”, czy to ty?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Leć za mną. To rozkaz! Pozostali tam zginą, ale ty leć za mną. Może tym razem ci się uda.

- Nie, panie poruczniku - usłyszał w odpowiedzi. - Jakie to może mieć znaczenie, czy zginę tam, czy kiedy zawrócę?

Donos zataczał ciasny łuk, dopóki nie powrócił na poprzedni kurs. Leciał obecnie śladem pilotów swojej eskadry, bez względu jednak na to, ile energii przekazywał do jednostek napędowych, pozostali lecieli jeszcze szybciej i coraz bardziej się oddalali. Spieszyli na spotkanie z nieuniknionym przeznaczeniem.

- To ma znaczenie...Dwunastko” - oznajmił Donos. - Zrezygnuj. - Poczul w piersi dziwny ciężar. Przygniatał go niczym wielki głaz. Donos domyślał się, że to nie przyspieszenie, ale nieuchronność bezsensownej śmierci koleżanek i kolegów. - Proszę cię, „Dwunastko”.

Odpowiedziała z naganą w głosie:

- Niech mnie pan nie prosi, poruczniku. Gdyby ktoś pana poprosił, aby pan zachował życie, zignorowałby go pan albo splunął mu w oczy.

- To niedorzeczność! - wykrzyknął Donos.

Lecącym przed nim pilotom zostało już tylko kilka sekund do rozpadliny między ogromnymi wulkanami. Ciężar w piersi Donosa jeszcze wzrósł. Przygniatał go z taką siłą, że prawie uniemożliwiał mu oddychanie.

- To szczerza prawda - odparła „Dwunastka”. - Nie troszczy się pan wcale o siebie. Jest panu wszystko jedno, czy przeżyje, więc nie może pana obchodzić, czy i my będziemy żyli.

- Mylisz się, „Dwunastko”. - Donos pokręcił głową. - Obchodzi mnie wasz los. Zawróć.

- Proszę przysiąc, że to prawda.

- Przysięgam! Zawróć!

Nagle oświetlenie kabiny X-winga zgasło i ryk jonowych silników ucichł jak ucięty nożem. W miejscu, w którym powinna się znajdować uszczelka, pojawiła się świetlista szczelina, a kiedy owiewka zaczęła się otwierać, okazało się, że zawiasy nie znajdują się za jego plecami, lecz po stronie bakburty.

Drżący i spocony Donos powiódł spojrzeniem po twarzach Bużki, Tyrii, Falynn i Kella. Piloci mieli lotnicze hełmy na głowach, i ponure miny.

Donos poczul, że napierający na jego pierś ciężar eksploduje i zamienia się w ładunek czystej wściekłości. Rzucił się na stojące przed nim osoby, ale powstrzymały go pasy ochronnej uprzęży. Opadł na fotel pilota.

- Wy... dranie! - wybuchnął.

Cofnęli się wszyscy oprócz Kella. Barczysty mężczyzna zdjął hełm i wręczył go Bużce.

W końcu Donos wyplątał się z ochronnej sieci i z siedzenia fotela skoczył prosto na Kella. Wspomagana przez gniew siła skoku powinna była zwalić z nóg rosnącego pilota, ale Kell obrócił się, chwycił prawą dłonią rękę Myna i prawie delikatnie ułożył go na płytach pokładu.

Ściany świetlicy „Nocnego Gościa”, polakierowane na kolory, które naukowcy uznali za kojące,

zawirowały i znieruchomiwały.

Kell wcale nie obezwładnił przeciwnika. Donos uklęknął i wymierzył cios w pachwinę kolegi, ale Kell zablokował cios otwartą dłonią. Odbił na bok wymierzoną w niego pięść, która wylądowała na jego udzie.

- Zabiję cię! - wrzasnął Myn tak głośno, że poczuł ból w głębi gardła. - Jak mogliście mi to zrobić! Jak śmieliście poddawać mnie jeszcze raz temu samemu doświadczeniu...

Kell nie odpowiedział. Całą uwagę skupiał na ruchach Donosa, co sprawiło klęczącego pilota w jeszcze większą wściekłość.

- A zostawiłeś nam jakiś wybór? - odezwała się Tyria. - Po prostu leżałeś, jakbyś starał się umrzeć.

- To moje prawo! - Donos wstał i wymierzył cios w twarz Kella, ale ten uskoczył w bok, chwycił go za łokieć i szarpnięciem pozbawił równowagi. Później obrócił się, jakby chciał wyjść ze świetlicy, i przystanął. Donos poczuł, że ktoś podcina mu nogi, i z głuchym łoskotem zwałił się na pokład.

- Nie masz takiego prawa - oznajmił Kell. - Pamiętasz jeszcze treść swojej przysięgi?

- Zamknij się! - Donos usiłował kopnąć przeciwnika, ale rostry pilot przewidział jego atak i odskoczył. Ciężki but Donosa stuknął o płytę pokładu.

- Uważasz, że masz prawo tak bardzo oplakiwać robota, że przestaje cię obchodzić śmierć Jesmin Ackbar? - ciągnął bezlitośnie Tainer.

- Błyszczysz...

Myn uświadomił sobie nagle, że opuszcza go cała wściekłość i energia. Rozpacz poraziła go niczym cios w żołądek. Zgiął się z bólu. Uklęknęła obok niego Tyria i delikatnie szarpnęła za ramię.

- Myn, nie odchodź - poprosiła. - Jesteś nam potrzebny. Tutaj i teraz. Potrzebujemy cię, żebyś z nami latał i nas ochraniał. To my jesteśmy teraz pilotami twojej eskadry.

- Błyszczysz...

- Co takiego nie pozwala ci zapomnieć o tamtym robocie? - zachnęła się Tyria. W jej głosie zabrzmiał gniew, ale i niepokój.

Myn spojrzał na nią i zorientował się, że pilotka niczego nie rozumie.

- Ostatni... - zaczął niepewnie i urwał.

- Ostatni kto? - Tyria wpatrzyła się w jego oczy, a w końcu na jej twarzy odmalowało się zdumienie. - Ostatni Szpon! - powiedziała. Uważałeś go za ostatniego Szpona, prawda?

Niezdolny do wypowiedzenia słowa Donos tylko kiwnął głową. - I dopóki... żył, wydawało ci się, że nie wszystkich członków swojej eskadry zawiodłeś, prawda? - zapytała pilotka. - Pozostał ci tylko on i musiałeś go ochraniać.

W końcu Donos przemógł się i odezwał. Jego chrapliwy głos miał ponure brzmienie. - A teraz... odszedł - powiedział niewyraźnie.

- Myn... - W oczach Tyrii malowała się rozpacz. - Potrzebujemy cię, żebyś nas ochraniał. Właśnie teraz. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

- Nie potrzebuję przyjaciół - burknął gniewnie Korelianin. - Przyjaciele umierają.

- Niech to zaraza! - Tyria przysunęła się i ułożyła sobie jego głowę na kolanach. Donos spojrzał na nią w nadziei, że pilotka przestanie wreszcie mówić i pozwoli mu zasnąć. - Myn, zgadzam się z tobą podjęła po chwili. - Kiedy przyłączyłam się do Sojuszu, też tak uważałam. Przyjaciele umierają, więc nie powinno się z nikim przyjaźnić. Wystarczy latać i zabijać wrogów, aby w chwili

śmierci mieć świadomość, że dało się z siebie absolutnie wszystko.

- Więc mnie rozumiesz.

- Zmieniłam zdanie, Myn. - Tyria pokręciła głową. - Zmieniłam je, kiedy zginęła Jesmin Ackbar. Jak mogłabym spojrzeć jej w oczy, gdybym oddała życie na próżno? Jesmin walczyła o swoje życie. Gniewałaby się na mnie, że zmarnowałam coś, czym jej nie było dane dłużej się cieszyć.

Donos się nie odezwał. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- A co z pilotami Szponów? - ciągnęła Tyria. - Czy chcą, żebyś zginął?

- Muszą.

- Przestań! Znałeś ich! Czy chcieliby, żebyś zginął?

- Ich rodziny by tego chciały.

- To nieprawda!

- Chciałyby, żebym zginął, bo powiodłem ich ojców, braci, siostry i kuzynów na wyprawę w przestworza zapomnianej przez wszystkich planety i pozwoliłem, żeby tam nadaremnie zginęli. - Spojrzał ponad ramieniem Tyrii na stojących za nią Bużkę i Kella. - On wie - podjął po chwili. - Ten mięśniak to wie.

- Co wiem? - najeżył się Tainer.

- Chcesz, żeby zginął Janson.

- To nieprawda.

- Nie kłam! Zabił twojego ojca.

- Skąd wiesz?

- Ktoś mi powiedział - odparł wymijająco Donos.

Nie zamierzał wyjawiać prawdy. Bez względu na to, czy postanowił żyć, czy umrzeć, nie było sensu mieszać w to Młynka. Kell ukląkł obok Tyrii i spojrzał z powagą na Korelianina.

- Kiedyś pragnąłem jego śmierci - przyznał niechętnie. - Zabijałem go w myślach na setki sposobów, ale zmieniłem zdanie.

- Tylko dlatego, żebyś mógł teraz mi się sprzeciwić.

- Nie - odparł Tainer z wysiłkiem, jakby nagle stracił połowę sił życiowych. Sprawiał wrażenie postarzałego i zmęczonego. - Wątpię, czy kiedykolwiek zagram z nim w sabaka, Myn, ale chcę, żeby żył. Jeżeli nadal będzie siedział za sterami X-winga, każdego roku w przestworzach będzie mniej pilotów wysługujących się Imperium i różnym lordom, pilotów, którzy mogliby zagrozić życiu moich sióstr. Mojej matki. Moich przyjaciół. A rodziny zabitych pilotów Eskadry Szponów z pewnością będą miały o tobie lepsze mniemanie niż ja o Jansonie... pod warunkiem, że nie odbierzesz sobie życia. Gdybyś się zabił, powiedzieliby: „Mój ojciec nie miał żadnej szansy, bo jego dowódca był zwykłym tchórzem”“. Jeżeli jednak się dowiedzą, że byłeś odważnym pilotem, powiedzą: „Zginął, walcząc za nas”.

Donos zamrugał. Sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, jakby niepostrzeżenie opuścił świetlicę „Nocnego Gościa” i mknął z prędkością nadświatlną nad domami rodzin, których bliskich powiodł na śmierć. Wiele razy to robił w ciągu dni i tygodni po zagładzie Eskadry Szponów, tym razem jednak na oglądanych w przelocie, zwróconych ku gwiazdom twarzach nie malowały się gniew i pragnienie zemsty. Widział na nich smutek, a niekiedy indziej ciekawość i zamyślenie.

- Przykro mi z powodu Jesmin - odezwał się w końcu.

Tyria kiwnęła głową i odgarnęła na bok kosmyk przepoconych włosów, które przesłaniały oko Myna.

- Wszystkim nam jest przykro - powiedziała. Donos uniósł głowę i spojrzał na Falynn.

- Przykro mi z powodu was wszystkich - dodał po chwili. Kobieta z Tatoonie podeszła do niego.

Na jej twarzy malował się ból, ale także coś, co Donos mógłby uznać za zazdrość, że to Tyria, a nie ona, się nim opiekuje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

- Sądziłem, że staracie się ze mną zaprzyjaźnić - wyznał Korelianin. - A ja trzymałem was na dystans. Staralem się traktować was jak obcych.

- Rozumiem już teraz, dlaczego.

- Chyba powinienem się trochę przespać.

Kell zerwał się na równe nogi i pomógł mu wstać. Tyria także wstała.

- Wyjdiesz z tego? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. - Donos wzruszył ramionami. - Może...

- Śniadanie jemy o ósmej - podjęła po chwili. - Chcielibyśmy cię widzieć w oficerskiej mesie.

Donos kiwnął głową.

- Chyba się tam pojawię - powiedział.

Wracając do kabiny, czuł się bardzo nieswojo. Nadal dręczył go ból, jaki nie dawał mu spokoju od czasu zagłady Eskadry Szponów, ale powoli ustępowało towarzyszące mu wyczerpanie. Czuł się, jakby wyciekały z niego wszystkie toksyny, jakie nagromadziły się w ciągu wieków w organizmie.

Opadł na łóżko i natychmiast zasnął.

Pozostali przyglądali się, jak wychodzi ze świetlicy. Falynn szła nawet za nim chwilę w dyskretnej odległości, żeby się upewnić, czy rzeczywiście dotrze do kabiny. Kiedy wróciła, Buźka opierał się o kontuar baru. Kell opadł ciężko na jedną z długich kanap. Tyria wyciągnęła rękę do panelu symulatora, wyłączyła urządzenie i usiadła obok niego - No cóż, to była dobra zabawa - odezwał się Garik.

- Udało się nam - dodał Tainer tonem udreki. Sprawiał wrażenie bardzo wyczerpanego. - A najważniejsze, że ani komandor Antilles, ani porucznik Janson nas na tym nie nakryli. Mieliśmy wielkie szczęście.

Tyria oparła się plecami o ścianę i zamknęła oczy.

- Teraz Myn musi tylko wstać za cztery godziny, abyśmy mogli powiedzieć, że się nam udało - stwierdziła.

- Może teraz nawet Patyk się trochę zdrzemnie - dodał Kell.

- A co? - zapytała Tyria. - Ostatnio źle sypia?

- Kiedy przysłała jego kolej na czuwanie przy łóżku Myna, cały czas coś do niego mówił - odparł Tyria. - Starał się w każdy możliwy sposób sprawić, żeby Donos „przełączył się na mniej uszkodzony umysł”. Podobno istoty jego rasy, nawet chore umysłowo, nie mają z tym żadnego problemu. Ma wyrzuty sumienia, że nie pomógł Mynowi zrobić tego samego.

- Cztery godziny? - zreflektował się Buźka. - A ja jeszcze nie śpię? Co tu w ogóle robię? Do zobaczenia jutro rano w mesie.

Oderwał się od kontuaru i wyszedł ze świetlicy. Kell i Tyria siedzieli kilka minut w milczeniu.

- Jak się tego domyśliłaś? - odezwał się w końcu Tainer. - Tego, że Myn uważał Błyszczyka za ostatniego Szpona, który przeżył zagładę jego eskadry? Miałaś wspierać pomysł.

- Dziękuję.

- Jeszcze jeden przebłysk intuicji? - zapytał pilot. - Jak wczoraj i tamtego dnia, kiedy piraci

starali się zwabić mnie w pułapkę?

- Coś w tym rodzaju.

- Idę o zakład, że to Moc - stwierdził Kell. - Dałbym głowę, że możesz się nią posługiwać, pod warunkiem że o tym nie myślisz.

- Och, coś wspaniałego - mruknęła pilotka. - Właśnie tego najbardziej potrzebuję. Jak byś się czuł, gdybyś był najlepszym pilotem galaktyki, ale tylko wówczas, kiedy nie siedzisz w kabinie pilota?

Kell parsknął śmiechem.

- Czy to prawda, co powiedział Myn? - zapytała łagodnym tonem Tyria. - O Jansonie i twoim ojcu?

- Tak. - Tainer zamknął się w sobie, żeby sprawdzić, jak głęboko sięga jego nienawiść, jaką żywił tyle lat do Jansona, ale jej nie znalazł. Prawie nic z niej nie pozostało. - Każdego dnia żałuję, że tak się stało - podjął po chwili. - Wiem jednak, że Janson miał dobry powód. Starając się otrząsnąć z posępnego nastroju, w jaki zawsze wprawiały go takie wspomnienia, pokręcił głową. - A czy to prawda, co ty powiedziałaś? Rzeczywiście zrezygnowałaś z poglądu, że skoro możesz jutro umrzeć, nie powinnaś układać ważnych życiowych planów?

Tyria nie od razu odpowiedziała.

- Tak. Mówiłam poważnie - oznajmiła w końcu.

- Uhm.

- Uhm? To niczego nie oznacza.

- Czy jeszcze pamiętasz, jak kiedyś ci powiedziałem, że cię kocham, a ty oznajmiłaś, że to tylko kałuża na podłodze, żeby później wcisnąć moją twarz w tę kałużę?

Tyria spojrzała na niego, jakby usiłowała ocenić, w jakim jest nastroju, ale kiedy się zorientowała, że nie żywi do niej urazy, obdarzyła go współczującym uśmiechem.

- Naturalnie, że pamiętam - przyznała.

- No cóż, muszę ci coś powiedzieć - ciągnął Kell. - Uświadomiłem sobie, że miałaś rację, i doszedłem do przekonania, że wystarczy mi, jeżeli będę mógł zostać twoim przyjacielem.

- To dobrze.

- A potem znów się w tobie zakochałem.

Na jej twarzy odmalowała się udręka i przerażenie.

- Och, Kellu... - zaczęła.

- Nie, daj mi skończyć - przerwał Tainer. - To potrwa najwyżej minutę.

- Ale znów słyszę od ciebie te same słowa.

- Te same słowa, ale mówi je inny Kell - odparł pilot. - Tym razem wiem, o czym mówię.

- Oczywiście, że wiesz. A więc jak? Włączasz Uczciwość?

- Włączam Uczciwość.

- Ile czasu spędziłeś dzisiaj, rozmyślając o mnie?

- Każdą wolną chwilę - odparł bez wahania Tainer. - Każdą sekundę w czasie, kiedy komandor Antilles i Janson nie pędzili mnie do roboty.

- A w ilu twoich fantazjach byłam ubrana? Kell parsknął śmiechem.

- W wielu - odparł. - Prawie we wszystkich. - Nie kłamał i mówienie przychodziło mu coraz łatwiej. - Wyobrażałem sobie nas w czasach pokoju. Marzyłem, jak to będzie, kiedy wojna z resztkami Imperium dobiegnie końca, a my będziemy się mogli kłócić i zastanawiać, co dalej,

i razem decydować o przyszłości. Ujrzałem siebie, jak przedstawiam cię członkom rodziny... i obserwowałem, jak robią dla ciebie miejsce w sercu i w życiu. - Dostrzegł niepokój na jej twarzy, ale postanowił nie przerywać. - Wymyśliłem setki sposobów wspólnego życia, a do rozpaczy doprowadzało mnie tylko to, że nie mogliśmy wszystkich wypróbować.

Westchnął.

- A teraz, kiedy wyjawilem ci cel mojego życia jak najgorszy generał galaktyki, zamierzam podbić twoje serce - podjął po chwili. - Jeszcze nie wiem, jakim cudem to osiągnę, tym bardziej że cię o tym uprzedziłem i tak dalej...

Tyria rzuciła się na niego z impetem, aż zsunął się z kanapy na płyty pokładu. Pilotka znalazła się na nim i objęła go za szyję, cały czas piorunując gniewnym spojrzeniem.

Kell potarł tył głowy w miejscu, które zetknęło się z pokładem.

- Boli - powiedział.

- Zamknij się!

A potem go pocałowała. I jeszcze raz. I jeszcze...

Trwało to pewien czas i podziałało na Kella jak trzydniowa libacja, obficie zakrapiana churbańską brandy... a nawet lepiej, bo poczuł ciepło i podniecenie, jakiego nie zdołałby wzbudzić w nim żaden alkohol. Wprawdzie nie wiedział, co o tym sądzić, ale pamiętał o zamknięciu Tyrii w ramionach, żeby mu się nie wymknęła, kiedy w końcu odzyska panowanie nad sobą.

Wreszcie pilotka oderwała usta od jego warg i znów popatrzyła groźnie.

- No cóż, to nie było wcale takie złe - stwierdził Tainer. - A ja myślałem, że nie odwzajemniałaś mojego uczucia.

- Naturalnie, że odwzajemniałam - obruszyła się Tyria. - Ale wówczas byłeś jeszcze wielkim dzieciakiem bez krztyny rozsądku. Ogromnym ogolonym Wookiem, który nie ma pojęcia o uczuciach istot ludzkich.

- To prawda - przyznał Kell. - Od jak dawna mnie kochasz?

W ułamku sekundy gniew na jej twarzy ustąpił miejsca zakłopotaniu.

- Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłam.

- Co takiego? - zdziwił się Kell. - Więc dlaczego nie...

- Bo zakochałeś się w innej Tyrii, która nie istnieje i nigdy nie istniała - przerwała młoda pilotka.

- Rozmawialiśmy o tym przed kilkoma tygodniami. - Z przymusem się uśmiechnęła. - Sądzę jednak, że w końcu o niej zapomniałeś.

- Zapomniałem.

- Będziesz musiał to udowodnić.

- W jaki sposób? - zainteresował się Tainer.

- Och, to nie będzie bardzo trudne - odparła beztrąsko Tyria. Z pewnością coś wymyślimy.

Wedge przestąpił próg oficerskiej mesy, rozejrzał się po sali i zdębiał.

Pośród pilotów Widm siedział Donos. Rozmawiał z nimi, a nawet się śmiał, chociaż wyglądał mizernie.

W przeciwieństwie do niego Bużka był dość posępny. Miał podkrążone oczy, jakby w ogóle nie spał. Mimo to i on sprawiał wrażenie odprężonego.

Kell i Tyria, podobnie jak pozostali, byli niewyspani i zmęczeni, ale chyba nawet bardziej zadowoleni i odprężeni niż reszta.

Nagle pojawienie się Antillesa przyciągnęło uwagę wszystkich. Piloci przerwali rozmowy

i odwrócili głowy w jego stronę.

Wedge wyprostował się, uśmiechnął sardonicznie i kiwnął głową Buźce.

- Kapitan Darillian jest proszony na mostek - odezwał się łagodnym tonem.

Garik zerwał się od stołu i wybiegł z mesy. Nie kierował się oczywiście na mostek, bo fotel dowodzenia Darilliana stał w ośrodku łączności korwety.

Wedge skinął na Jansona, żeby do niego dołączył. Zastępca nie zwlekał ani chwili. Odwrócili się, wyszli z mesy i ruszyli na prawdziwy mostek „Nocnego Gościa”.

- Co z Mynem? - zainteresował się Wedge.

- Nie wiem. Nie powiedzieli mi - odparł Janson - ale wygląda na to, że jest absolutnie zdolny do służby.

- To świetnie. Jeden kryzys zażegnany - mruknął Antilles. - A co mają oznaczać te wszystkie zmęczone twarze?

- No cóż, tego także nie wiem - przyznał ze skruchą zastępca. Może do białego rana grali w sabaka, do którego nie zaprosili starszych oficerów?

- Coś wspaniałego - burknął coraz bardziej zirytowany Wedge. Czy jest jeszcze coś, czego nie wiesz?

- Tak, panie komandorze - przyznał Janson. - Wczoraj coś przydarzyło się Kellowi.

- Co takiego?

- Pojęcia nie mam - odparł Wes.

Antilles znieruchomiał w pół kroku i popatrzył na zastępcę z dezaprobatą.

- Naprawdę nie wiem - zastrzegł się Janson. - Rozmawialiśmy o jego ojcu. Odniosłem wrażenie, że Kell uważał mnie dotąd za dyszącego żądzą zemsty potwora, który rozwala ludzi za najłżejsze przewinienie. Zdołałem się także zorientować, że nie knuje planów uśmiercenia mnie za każdym razem, ilekroć dzieląca nas odległość maleje do kilku metrów... Prawdę mówiąc, chyba na sam mój widok wpadał dotąd w takie przerażenie, że drętwiały jego mięśnie.

- To może wyglądać tak samo - zauważył Antilles.

- Tak czy owak, dzisiejszego ranka wszystko się zmieniło - ciągnął Wes. - Kiedy przyszedłem na śniadanie, pierwszy raz nie wyglądał na mój widok jak kłęb napiętych mięśni.

- To dobrze. - W końcu dotarli na mostek. - Pani porucznik Tabanne, proszę przekazać skompilowaną transmisję na główny monitor - rozkazał.

- Tak jest, panie komandorze.

Buźka usiadł na fotelu oficera łącznościowca, włączył translatory dźwięków i obrazów i poddał oba urządzenia najszybszym z możliwych diagnostycznych testów. Oba zakończyły się na zielono. Komputery sterujące pracą holograficznych kamer ośrodka łączności doszły do przekonania, że prawidłowo śledzą ruchy jego ciała.

Buźka rozparł się na fotelu i spróbował sobie przypomnieć, jak zachowywał się podobny do podstarzałej primadonny główny bohater, z którym zdarzyło mu się kiedyś współpracować. Pozwoliło mu to lepiej i szybciej wczuć się w rolę kapitana Darilliana. Odwrócił się w stronę obiektywu głównego projektora hologramów ośrodka łączności, wcisnął guzik przekazywania sygnału i przygotował się na rozmowę z admirałem Trigitem.

Zamiast szczupłego oficera pojawił się jednak przed nim trójwymiarowy wizerunek otyłego i wąsatego lorda Zsinja.

Buźka zaczerpnął wyjątkowo głęboki haust powietrza i uśmiechnął się najszerzej jak potrafił,

żeby ukryć zaskoczenie.

- Mój lordzie - powiedział. - Jestem wielce zaszczycony.

Zsinj obdarzył go protekcyjnym uśmiechem. Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Ale nie na tyle zaszczycony, żeby prawidłowo wykonywać obowiązki, co? - zapytał.

Bużka uniósł brwi. Gorączkowo usiłował przypomnieć sobie, jak odpowiadał besztany Darillian w holograficznych pamiętnikach. Reagował oburzeniem, ale nigdy nie ośmieliłby się wybuchnąć gniewem podczas rozmowy z lordem Zsinjem. Nie, powinien raczej sprawiać wrażenie urażonej niewinności.

- Mój lordzie... - zaczął znowu. - Czyżbym cię zawiódł w jakiś sposób? Czyżbyś połączył się ze mną, aby powiedzieć, że już nie zasługuję na twoją opiekę? Czyżbyś za życie pirata domagał się życia Darilliana?

- Och, przestań zachowywać się jak smarkacz - przerwał Zsinj. To pozbawia mnie całej przyjemności besztania ciebie. - Ciężko westchnął. - Otrzymałem twój raport z wizyty w Krwawym Gnieździe.

Udając, że jeszcze nie przyszedł do siebie po ranie, jaką zadały słowa lorda jego dumie, Bużka wzruszył ramionami.

- Wielka szkoda, że zdecydowali się odrzucić pańską propozycję - zaczął. - Ale zdołaliśmy tak zręcznie unikać ich zasadki, że chyba daliśmy im do myślenia. Może kiedy tam wrócę, powitają mnie serdeczniej.

Zsinj pokręcił głową.

- Nie sądzę - powiedział. - Krwawe Gniazdo już nie istnieje. Bużka pochylił się w stronę obiektywu kamery i przybrał wyraz niedowierzającego zdumienia.

- Uciekli stamtąd? - zapytał.

- Nie i właśnie w tym cały problem - wyjaśnił Zsinj. - Krótko po twoim odlocie Krwawe Gniazdo uległo zniszczeniu. Prawdę mówiąc, każde miejsce odwiedzone przez ciebie w ciągu ostatnich kilku tygodni zostało później zaatakowane... przez pilotów albo agentów Sojuszu Rebeliantów.

- Niemożliwe. - Bużka wiedział, że musi wyglądać na wstrząśniętego, i miał nadzieję, że ułożony przez Młynka program prawidłowo odwzoruje ten sam wyraz na twarzy Darilliana. - Kiedy zakończę wizytę w następnym miejscu, udam, że dokonuję skoku do nadprzestrzeni, ale zaczaję się i urządzę na nich zasadzkę. Zaatakuję ich i zniszczę.

- Dobrze, ale jeszcze nie w tej chwili - powstrzymał go Zsinj. - Mam dla ciebie ważniejsze zadanie. - Lord się uśmiechnął. - Chcę, żebyś pomógł temu głupcowi Trigitowi wykończyć uciekinierów z bazy Folor.

Kiedy wszyscy usiedli do śniadania, Prosiak powiódł spojrzeniem po twarzach pilotów.

- Czy Sojusz będzie miał w przestworzach systemu Morobe wystarczająco dużą siłę ognia, żeby odeprzeć atak i zniszczyć „Nieubłaganego”? - zapytał.

Wedge kiwnął głową.

- Już dysponujemy taką siłą - powiedział. - Wprawdzie Zsinj, kierując się słynną przezornością, jeszcze tego nie wyjawiał, ale i tak zdołaliśmy się dowiedzieć, który system zamierza zaatakować admirał Trigit. Gdyby w wyprawie chciał wziąć udział sam Zsinj, musielibyśmy ściągnąć z innych miejsc tyle krążowników, fregat i gwiazdnych niszczycieli, że od razu by się zorientował w naszych zamiarach... Na szczęście czy na nieszczęście, jego „Żelazna Pięść” nie weźmie udziału w tej

wyprawie.

Ale i tak musimy się zastanowić, jak rozwiązać prawdziwy problem. Zsinj oznajmił, że nasz kapitan Darillian ma się przedtem spotkać z dowódcą okrętu zaopatrzeniowego „Jastrzębionietoperz”, żeby uzupełnić zapasy paliwa i żywności. Mamy także przejąć od niego ładunek szpiegowskich satelitów i zostawić je niedaleko następnego miejsca, które zamierzamy odwiedzić, żeby mogły gromadzić i przekazywać dane na temat naszych rzekomych prześladowców. Zsinj chce także, aby kapitan „Jastrzębionietoperza” dokonał inspekcji „Nocnego Gościa” i osobiście odbył rozmowę z Darillianem.

- Och, coś wspaniałego - mruknął Kell.

- Co więcej, jeżeli nasza korweta weźmie czynny udział w bitwie w przestworzach Talasei, Zsinj będzie się spodziewał, że do walki przyłączą się także piloci wszystkich myśliwców T1E - ciągnął Antilles. A powinniśmy ich mieć cztery, nie dwa.

- Myśliwce T1E to żaden problem - wtrąciła się Falynn. - Pełno ich w całej galaktyce. Wystarczy, jeżeli wylądujemy na jakiejkolwiek planecie. Bez trudu porwiemy dwa i odlecimy.

- A jeśli już o tym mowa - dodał Janson - mamy jeszcze dwóch pilotów myśliwców T1E, na wypadek, gdyby okazali się potrzebni. Zarówno kapitan Hrakness. jak i pani porucznik Tabanne ukończyli naukę w Imperialnej Akademii. Hrakness ćwiczył na symulatorach i odbywał Samotne loty, a Tabanne brała nawet udział w kilku wyprawach bojowych.

Wedge postarał się nadać rysom twarzy beznamiętny wyraz.

- Zastrzeliła kogoś? - zapytał.

- Nie, dopiero kiedy przeszła na naszą stronę i rozpoczęła służbę w Marynarce Nowej Republiki - odparł Janson.

- To świetnie - ucieszył się Antilles.

To był jeden z głównych problemów Nowej Republiki. W przeszłości wielu jej pilotów brało czynny udział w walkach po przeciwnej stronie... i co gorsza, często mogło się poszczycić osiągnięciami. Kiedy ktoś latający obecnie w barwach Nowej Republiki miał na koncie zestrzelenie pilotów Sojuszu Rebeliantów, inni nierzadko mieli mu to za złe, co doprowadzało do spięć i konfliktów. A jednak wiele osób, którym Wedge nauczył się ufać bez zastrzeżeń, służyło dawniej w siłach zbrojnych Imperium. Jednym z nich był Tycho Celchu, który dowodził Eskadrą Łotrów, a innym Hobbie Klivan, który przeszedł na stronę Osiowej Republiki razem z Biggsem Darklighterem i pozostałymi członkami załogi okrętu „Rand Ecliptic”. Nawet Han Solo był absolwentem Imperialnej Akademii i został tam awansowany, chociaż na krótko, do stopnia oficera.

- Spotkanie z „Jastrzębionietoperzem” to żaden problem - stwierdził Phanan. Wzruszył ramionami, ale widocznie poczuł na sobie zdziwione spojrzenie dowódcy, bo po chwili dodał: - Musimy tylko przylecieć na miejsce spotkania i powiedzieć: „Och, nie, to niemożliwe. Wszystkich członków naszej załogi dopadła okropna grypa z Tastigeda. Jasne, jeżeli chcecie, zapraszamy na pokład, pod warunkiem że nie będziecie mieli nam za złe, jeżeli zaczniemy kichać i was zarazimy”. Wedge pokręcił głową.

- Mamy do czynienia z nieprzyjaciółmi dysponującymi doskonałą siatką szpiegowską - przypomniał. - Przypuszczam, że taka zbiorowa niedyspozycja wzbudziłaby ich podejrzenia.

Buźka wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu. Wyglądał jak członek Czarnego Słońca, działającego na Coruscant przestępczego syndykatu.

- A jeżeli to nie my przylecimy zakażeni na miejsce spotkania? zapytał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaniepokoił się Antilles.

- Zsinj przekazał nam harmonogram i miejsca postojów „Jastrzębionietoperza”, żebyśmy mogli się z nim spotkać w najbardziej dogodnym dla nas miejscu - przypomniał Garik. - Wiemy, na których planetach zamierzają w ciągu następnych kilku dni lądować. Wybierzemy najbardziej prawdopodobną, na której za zgodą imperialnego kapitana członkowie jego załogi zejść na ląd, wyślemy tam Widma i dopilnujemy, żeby ci z „Jastrzębionietoperza” czymś się zarazili. Najważniejsze, żeby to ich kapitan skontaktował się z nami i oświadczył, że nie może osobiście spotkać się z Darillianem z powodu niefortunnej zarazy, jaka się szerzy wśród członków jego załogi. Zsinj może sobie wszczytać tyle dochodzeń, ile zechce... ale nie będzie nas o nic podejrzewał.

Wedge potarł podbródek i z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta słowa: „To szaleństwo”.

- Skąd zdobędziemy te zarazki? - zapytał.

- Każda cywilizowana planeta ma szpital, panie komandorze odezwał się Phanan. - Niektóre mają nawet oddziały zakaźne, których personel wie, jak przeciwdziałać szerzeniu się różnych epidemii. To właśnie na jednej z takich planet znajdziemy nasze zarazki.

Wedge wstał.

- Wes, Phanan, zapraszam was do sali odpraw - powiedział. - Naradzimy się i spróbujemy ułożyć jakiś plan działania. Pozostałym... zawiesił głos, jakby chciał nadać słowom większą wagę - ...zalecam dzień odpoczynku. Wykorzystajcie go, żeby się dobrze wyspać.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Antilles nie ośmielił się zapytać o jego przyczynę.

ROZDZIAŁ 21

Przed dziobem „Narry” rosła już kula Storinala, a piloci Widm wciąż jeszcze dopracowywali szczegóły planu.

Wedge doszedł do wniosku, że istnieje zbyt wiele niewiadomych. Storinal zaliczał się do planet opanowanych przez Imperium, ale był usytuowany na skraju imperialnych przestworzy. Krążyły pogłoski, że władze planety zastanawiają się, czy nie zawrzeć przymierza z Nową Republiką albo z lordem Zsinjem. Oznaczało to, że Widma mogą równie dobrze natknąć się na szurmowców Imperium, jak i na przedstawicieli którejkolwiek innej strony. Taka sytuacja wróżyła komplikacje.

Nikt nie wiedział także, jakimi zarazkami się posłużyć, żeby na pewien czas unieszkodliwić członków załogi „Jastrzębionietoperza”. Phanan chciał podjąć tę decyzję w ostatniej chwili, na podstawie tego, co znajdą w laboratoriach planetarnego szpitala i czego się dowiedzą na temat załogi imperialnego okrętu. Należało wykluczyć posłużenie się środkiem biologicznym, po którym u większości członków załogi choroba miałaby łagodny przebieg, ale w przypadku innych prowadziłyby do śmierci. Na szczęście kapitanowie większości okrętów Zsinja przestrzegali powszechnie stosowanej w Imperium doktryny, w myśl której wybierano personel wyłącznie spośród istot rasy ludzkiej. Mogło to zmniejszyć, a może nawet wyeliminować ryzyko śmierci niektórych członków załogi.

Pozostawał także problem porwania pary myśliwców T1E. Prawdopodobnie na planecie roilo się od takich maszyn... ale nikt nie wiedział, jak czujni się okażą imperialni strażnicy. Najlepiej byłoby, gdyby piloci Widm zlokalizowali i wybrali dwie gały, zorganizowali wszystko z wyjątkiem samego porwania... i zaczekali, aż pozostałe elementy układanki znajdą się we właściwych miejscach, zanim zasiądą za sterami myśliwców T1E i śmigną w przestworza. Prawdopodobnie mieli przed sobą długie oczekiwanie, które samo w sobie mogło się okazać bardzo niebezpieczne.

Na obecnym etapie planowania szczegółów wyprawy wciąż jeszcze było więcej pytań niż odpowiedzi. Jak to dobrze, że przynajmniej możemy oglądać miłe widoki, zastanawiając się nad szczegółami, pomyślał Antilles. W pokładowej bazie danych „Nocnego Gościa” nie brakowało pokrytych bujną zielenią sielskich krajobrazów Storinala, rzek spływających kaskadami po stromych górskich stokach i ogrodów tropikalnych o rozmiarach sporych lasów, a także malowniczych miast, które tu i ówdzie ozdabiały naturalne krajobrazy. Z baz danych wynikało, że mieszkańcy mają zwyczaj upiększania wszystkiego, także powierzchni planety. Storinal był jednym z najwspanialszych światów wśród resztek Imperium, i ulubionym ośrodkiem turystycznym i wypoczynkowym dla tych, którzy doceniali piękno naturalnego krajobrazu. Jak można się było spodziewać, Falynn zapoznała się z zapisanymi w pamięci komputera informacjami i mruknęła:

- Wygląda na wilgotną.

Należało także rozwiązać problem przejścia przez odprawę celną. Gdyby członkowie załogi „Narry” lądowali na powierzchni planety w towarzystwie pasażerów luksusowego liniowca albo gdyby należeli do załogi ogromnego okrętu w rodzaju gwiazdznego niszczyciela, łatwo by się roztopili

w tłumie podobnie ubranych osób. Mogliby się spodziewać najwyżej pobieżnej inspekcji, jaką celnicy stosowali zazwyczaj wobec licznych grup. Przybywali jednak na pokładzie prywatnego wahadłowca, co oznaczało, że prawdopodobnie zostaną poddani drobiazgowej kontroli. Buźka zdecydował, że jeżeli nie chcą wzbudzać podejrzeń celników, muszą wyglądać jak osoby wielokrotnie przez nich odprawiane, nieróżniące się niczym od typowych wycieczkowiczów. Tylko wówczas celnicy nie przyjrzą się im zbyt dokładnie. Jednak i podczas takiej odprawy trzeba się było spodziewać najróżniejszych niespodzianek.

Z niewiadomymi należało się liczyć nawet w przypadku samych pilotów. W ciągu zaledwie dwóch dni wiele się w eskadrze zmieniło, podobnie jak zmienia się wygląd zbocza góry po zejściu kamiennej lawiny. Okazało się, że Donos jest ponownie zdolny do czynnej służby.

Falynn Sandskimmer znów się do niego przymilała, ale tym razem Myn chyba odwzajemniał jej uczucie. Kell i Tyria, chociaż się z tym nie afiszowali, nawet nie starali się ukrywać, że tworzą parę. Sam Kell sprawiał wrażenie bardziej odprężonego, a jego obecność chyba już nie denerwowała Jansona tak bardzo jak do tej pory. Wprawdzie wszystkie te zmiany szły w dobrym kierunku, zważywszy jak przygnębieni czuli się piloci Widm po tragicznej śmierci Jesmin... ale następowały tak szybko, że Wedge jeszcze nie zdążył się do nich przyzwyczaić.

Istniało jednak coś, co mogło ułatwić Widmom zadanie. Wprawdzie władze planety utrzymywały kontakty z Imperium, ale na Storinalu mieszkała niewielka grupa Gamorrean, którzy nie tylko się nie kryli, ale wręcz starali się rzucać w oczy. Większość pełniła obowiązki strażników i miała wzbudzać zachwyt odwiedzających planetę turystów. Oznaczało to, że piloci Widm mogą się pokazywać w towarzystwie Prosiaka.

- Rutynowe planetarne powitanie - odezwał się w pewnej chwili Kell. - Znaleźliśmy się w zasięgu ich najczulszych dalekosiężnych sensorów. Młynku, lepiej się ukryj.

Bothanin zrobił przesadnie ponurą minę i ciężko westchnął. Poczłapał do zamaskowanej przemytniczej kapsuły wahadłowca i wystukał skomplikowany rytm na powierzchni przegrody. Wzdłuż linii spawu pojawiła się szczelina i metalowa płyta odchyliła się na bok, umożliwiającą dostęp do tego samego chronionego przed promieniami skanerów przedziału towarowego, który Prosiak wykorzystywał jako statek szturmowy. Młynek rzucił urażone spojrzenie w stronę sterowni, ale posłusznie wślizgnął się do przedziału i starannie zamknął płytę za sobą.

- Falynn, zaspawaj ją na glucho - polecił Kell - i upewnij się, że do środka nie przeniknie ani jedna cząsteczka powietrza.

Pilotka z Tatoonie uśmiechnęła się z przymusem, ale nawet nie wstała z fotela.

Wedge stłumił uśmiech. Władze Storinala nie powinny się dowiedzieć, że na pokładzie „Narry” podróżuje jakikolwiek Bothanin. Od czasu, kiedy sprzyjający Sojuszowi członkowie bothańskiej komórki komputerowych włamywaczy pomogli zdobyć dokumentację techniczną drugiej Gwiazdy Śmierci, funkcjonariusze Imperium traktowali wszystkich mieszkańców planety Bothawui bardziej podejrzliwie niż pozostałe obce istoty. Młynek przysłużyłby się najlepiej interesom Widm, gdyby pozostawał cały czas w ukryciu, niczym dzoker w talii kart, z której mógł zostać wyciągnięty w każdej chwili. Innym takim dzokerem miał być Patyk, któremu powierzono bardzo trudne zadanie. Skrzydłowy Tainera miał zaparkować X-winga na powierzchni jednego z krążących po najbardziej odległej orbicie naturalnych satelitów Storinala i czekać w pogotowiu na ewentualne wołanie o ratunek. Thakwaashanin postanowił, że uczyni wszystko, co w jego mocy, byle tylko przysłużyć się pozostałym Widmom. Miał spędzić na powierzchni niezamieszkanego księżycy trzy dni, żywiąc się

spreparowanym pożywieniem, oddychając uzdatnionym powietrzem i korzystając z plastikowego urządzenia pełniącego funkcję toalety.

- Przekazuję listę członków załogi i pasażerów - oznajmił Tainer. A przy okazji, nikt nie zapłacił za bilet.

- Powiadom o tym organa ścigania - doradził Phanan. - Jak na osobę z głową w pętli jesteś w zdumiewająco dobrym nastroju.

- Może dlatego, że twoja głowa tkwi w sąsiedniej pętli - odciął się Kell. - W porządku, mamy zgodę na lądowanie. Czy nikt nie zapomniał o zabraniu dokumentów?

Wszyscy zaczęli grzebać w kieszeniach i podręcznych torbach, sprawdzając, czy mają wymagane karty identyfikacyjne, które sfalszował Młynek na podstawie danych przekazanych przez Wywiad Nowej Republiki. W pewnej chwili Wedge spojrział na przeszukującego nerwowo kieszeń po kieszeni Jansona. Jego zastępca wyglądał komicznie z przyklejoną długą siwą brodą i w czerwonym ubraniu, które przypominało karnawałowy kostium, ale sprawiał wrażenie coraz bardziej przerażonego.

- Coś nie tak, Wes? - zaniepokoił się Antilles.

- Pamiętam, że gdzieś ją chowałem - mruknął porucznik.

- Sprawdź w bucie - doradziła Falynn.

- Albo pod wyściółką siedzenia - dodał Phanan.

- Sprawdź także w drugim bucie - powiedział Wedge. - Falynn miała na myśli oba buty, ale obawiała się, że tego byś nie zrozumiał.

Janson wyprostował się po to tylko, żeby posłać dowódcy urażone spojrzenie.

- Dlaczego nie ma tu Hobbiego, żeby znosił te wszystkie zniewagi? - zapytał. Nachylił się, jeszcze chwilę poszukał i znów się wyprostował. Miał lekko zakłopotaną minę. - Była w drugim bucie.

- Zyg, zyg, poruczniku - powiedział Antilles.

- Trzydzieści sekund do wnिकnięcia w atmosferę - ostrzegł Kell. Przypnijcie się i przygotujcie.

Pięć minut później szybowali wyznaczonym przez władze kursem nad uroczą, zieloną równiną. Kierowali się w stronę kosmoportu ośrodka rozrywki miasta Revos. Niewinna zabawa Młynka z bazami danych miejskich komputerów pozwoliła na ustalenie, że do jednostek, których załogi bawiły się tam i wypoczywały, zalicza się także „Jastrzębionietoperz”.

Pokładowe skanery „Narry” informowały, że w odległości mniej więcej kilometra za wahadłowcem i pięciuset metrów nad nim leci cały czas gwiazdny myśliwiec. W wielu miejscach zostałyby to uznane za nieprzyjazny gest, ale Donos poinformował, że na planetach z siedzibami agencji ochrony ośrodków przemysłu rozrywkowego nie jest to niczym niezwykłym.

Po mniej więcej kwadransie przed dziobem wahadłowca ukazało się miasta Revos.

- Piękne - odezwał się Buźka, spoglądając na połyskujące budowle. Wszystkie miały kształt okrągłych, wysokich wież, wzniesionych z pastelowego marmuru.

Minutę później oczom pilotów Widm ukazał się sam kosmoport. Znajdował się poza miejskimi murami i w przeciwieństwie do samego Revos wywierał przygnębiające wrażenie. Wyglądał jak ponad dwukilometrowej średnicy krąg z rozrzuconymi po całej powierzchni okrągłymi placzkami lądowisk i podobnymi do brodawek ferrobetonowymi bunkrami. Pomalowano je na jaskrawe kolory, ale wcale nie wyglądały przez to ładniej. Piloci Widm zauważyli obok bunkrów kilka niewielkich statków towarowych i parę rozmaitych wahadłowców. Na płytach lądowisk stało także kilkanaście

lekkich pojazdów atmosferycznych, a nawet myśliwców typu T1E.

Kell wylądował, gdzie mu polecono, obok jednego z bunkrów najbardziej oddalonych od środka kosmoportu pierścieni. Na ścianie bunkra widniał ekran, na którym pojawiły się prymitywne obrazki pouczające pilota, jak manewrować, aby dziób statku zwrócił się we właściwą stronę. Zanim "Narra" znieruchomiała, po obu stronach przed dziobem wahadłowca wyrosli jak spod ziemi dwaj strażnicy w pancierzach imperialnych szturmowców.

- Linie Kosmiczne Dorana witają na Storinalu - odezwał się Kell, starając się nadać głosowi oficjalne brzmienie. - Przygotujcie się do okazywania dokumentów wszystkim przedstawicielom władz planety, którzy mogą was o to poprosić. Miłego pobytu. - Opuścił główną rampę wahadłowca. - Bardzo proszę, najpierw pasażerowie pierwszej klasy.

Wes Janson szarpnął kilkakrotnie długą siwą brodę. Można było myśleć, że taki ma zwyczaj, ale w rzeczywistości chciał się upewnić, czy się nie odkleiła. Potem się wyprostował i z buńczuczną miną zaczął powoli schodzić po pochylni. Starał się nie patrzeć na idące po bokach strażniczki - Falynn po lewej, a panią porucznik Atril Tabanne po prawej stronie. Słyszał kroki podążającego kilka metrów za nim trzeciego strażnika. Prosiak miał na sobie barwny mundur gamorreńskiego wojownika i dumnie dzierżył nowiutki wibrotopór.

W pewnej chwili rozsunęły się drzwi wystającego z bunkra tunelu inspekcyjnego i w otworze grubej rury pojawił się planetarny celnik. Wyszedł na płytę lądowiska i zajął miejsce przed dziobem „Narry” między dwoma strażnikami. Był ubrany w szmaragdowozielony długi płaszcz z błyszczącymi złotymi guzami i zapewne uważał, że prezentuje się okazale, ale Janson wyglądał o wiele bardziej ekstrawagancko i krzykliwie... nawet jeżeli trochę śmiesznie.

Miał na sobie czerwoną kurtkę z połyskującego materiału, skrojoną na wzór munduru oficera gwiazdnej floty. Kurtkę zdobiły złote naramienniki i dwa rzędy guzików. Strój uzupełniały tej samej barwy czapka z daszkiem i nienagannie skrojone czarne spodnie. Całości dopełniał biały pas i białe rękawice, błyszczące czarne buty i kabura z blasterem. Sam Janson miał bujne siwe włosy, siwą brodę, długie wąsy i makijaż, dzięki któremu skóra twarzy i rąk sprawiała wrażenie chropowatej. Jego twarz była zbyt dobrze znana na rządzonych przez Imperium planetach, żeby mógł sobie pozwolić na ryzyko mniej wymyślnego przebrania.

W przeciwieństwie do niego obie towarzyszące mu strażniczki wyglądały jak uosobienie umiaru. Miały pończochy z pochłaniającego światło czarnego trykotu, a skórzane elementy ich ubrań - buty, pasy, torebki i kabury z blasterami - sporządzono z matowej czarnej skóry. Falynn i Atril miały włosy splecione w krótkie warkocze. Buźka nalegał, żeby ufarbowały je na czarno. Wyjaśnił, że będzie to lepiej pasowało do osobowości Jansona i aury władzy, jaką miał roztaczać wokół siebie.

W końcu zastępca dowódcy Eskadry Widm znieruchomiał przed funkcjonariuszem, który wyciągnął do niego rękę. Wes chrząknął znacząco. Miał nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco buńczucznie i zapewne tak było, bo Atril od razu wręczyła celnikowi cztery komplety wymaganych dokumentów.

Funkcjonariusz służby celnej wsunął pierwszą kartę do szczeliny czytnika ręcznego skanera.

- Senator na wygnaniu Iskit Tyestin z Bakury - przeczytał na głos. Zmarszczył brwi. - Hm, z Bakury... - powtórzył z namysłem.

- Nie musi mi pan przypominać, że ostatnio władze mojej planety nie są przyjaźnie nastawione względem Imperium - burknął Janson. Bardzo się starał, żeby w jego władczy głosie zabrzmiała uraza. Gdyby było inaczej, przebywałbym nadal w domu, a nie tutaj, gdzie usiłuję nadal pozostawać

lojalnym poddanym Imperium.

- Naturalnie - odezwał się urzędnik. - Co sprowadza pana na Storinal?

- Interesy - odparł Janson. - Zbieram fundusze dla Ruchu Bakurańskich Lojalistów. Staramy się wywierać presję na nasze władze, żeby zerwały więzy z Rebeliantami i opowiedziały się znów po stronie prawdziwych sprzymierzeńców.

Nagle z trzymanego przez funkcjonariusza czytnika wydobył się cichy pisk i urzędnik przeniósł spojrzenie na wyświetlacz.

- Mamy pana w bazach danych - oznajmił. - Jest pan lojalnym zwolennikiem Imperium.

Zastępca dowódcy Eskadry Widm głośno odchrząknął i dumnie się wyprostował. Senator Tyestin był prawdziwą osobą, jednym z ostatnich sympatyków Imperium wybranym do senatu Bakury, zanim władze planety postanowiły przejść na stronę Sojuszu Rebeliantów. Prawdziwy Tyestin nie zdołał jednak odlecieć z Bakury. Kiedy usiłował uciec, jego statek został zestrzelony, ten fakt jednak nie figurował jeszcze w imperialnych bazach danych.

Funkcjonariusz wsunął do szczeliny czytnika następną kartę.

- Pani Anen z Bakury - przeczytał. - Zawód: strażniczka. Uprawniona do noszenia widocznej i ukrytej broni. - Uniósł głowę i przyjrzał się Falynn. - Proszę jej tu nie używać, pani Anen - podjął po chwili. - Nawet najbardziej uzasadnione i legalne strzelaniny wiążą się zawsze ze zmuszonymi dochodzeniami. - Umieścił w szczelinie czytnika następną kartę identyfikacyjną. - Pani Honiten, tak samo, tak samo i tak samo. I strażnik Voort. Przeniósł spojrzenie na Gamorreanina, ale zaraz znów popatrzył na Jansona. - Czy rozumie basie? - zapytał.

- Tylko kilka słów - odparł Wes zrzędliwym tonem. - Stanowczo za mało.

- Proszę zwracać uwagę na umieszczone przed wejściem każdego ośrodka i lokalu znaki, które powiedzą panu, kto i co może tam wchodzić. - Urzędnik uśmiechnął się zdawkowo do Atril i zwrócił jej wszystkie karty identyfikacyjne. - Witamy na miłującym pokój Storinalu i życzymy miłego pobytu.

Phanan, zamaskowany przez protezy ukrywające jeszcze więcej powierzchni naturalnego ciała, miał odgrywać rolę pilota oblatywacza doświadczalnych gwiazdnych statków. Już na pierwszy rzut oka było widać, że przeżył w pracy co najmniej kilka nieszczęśliwych wypadków, w wyniku których stracił wiele członków i organów. Funkcjonariusz służby celnej Storinala odprawił go bez zbędnych pytań, podobnie jak odgrywającą rolę jego cierplivej i potulnej żony Tyrię Sarkin. Później przyszedł czas na Wedge'a, Bużkę i Donosa... i to była potencjalnie najbardziej niebezpieczna część odprawy celnej, jako że twarz Antillesa widniała chyba na wszystkich holograficznych listach gończych we wszystkich miejscach, w których władzę sprawowało jeszcze Imperium.

Wedge podkręcał raz po raz starannie przyklejone bujne wąsy. Ani w połowie nie ukrywały rysów jego twarzy tak dobrze, jak fałszywe protezy, które nosił, ilekroć przechodził przez komorę celną na Coruscant, ale w przypadku Storinala nie potrzebował tak skomplikowanego i kosztownego przebrania. Uważał również, że osoby po obu stronach powinny odwrócić uwagę funkcjonariusza od niego.

On i jego dwaj towarzysze byli ubrani prawie identycznie. Mieli poncza uszyte z ciężkiego brązowego materiału, które sprawiały wrażenie zakurzonych i zapiaszczonych, nawet kiedy sieje starannie wytrzepało. Ich spodnie i koszule uszyte z takiego samego, ale cieńszego materiału. Wyglądały na bardzo znoszone i zniszczone. Był to rezultat przyspieszonego, chociaż trwającego zaledwie dwa dni starzenia, jakiemu poddawali je piloci Widm, na zmiany depcząc po nich po kilka godzin dziennie. Podobnemu, aczkolwiek mniej intensywnemu procesowi poddano także ich

kapelusze o szerokich rondach. Włosy i fałszywe wąsy całej trójki przycięto do identycznej długości. Buźka pokrył twarz warstwą fałszywej skóry, nie tylko żeby ukryć blizny, ale także żeby upodobnić ją do twarzy Antillesa. Krótko mówiąc, wszyscy trzej wyglądali jak kmotkowie, którzy postanowili wydać oszczędności całego życia, żeby polecieć na wycieczkę na bardziej cywilizowaną planetę.

Zeszli po rampie i identycznym, zamaszystym gestem wręczyli funkcjonariuszowi służby celnej dokumenty. Urzędnik spojrział na nich i na jego twarzy odmalowało się coś pośredniego między niedowierzaniem, rozbawieniem a przerażeniem. Szybko odzyskał jednak przynajmniej część przytomności umysłu i wsunął pierwszą kartę do szczeliny czytnika ręcznego skanera.

- Dod Nobrin z Agamara - przeczytał na głos. Agamar, usytuowana na Odległych Rubieżach skolonizowana planeta, był niegościnnym światem, którego mieszkańcy musieli być szorstcy i nieokrzesani, jeżeli chcieli przeżyć. Słyszeli z wiejskiego akcentu, uporu i wytrwałości i cieszyli się - całkiem niezasłużenie - opinią półgłówek... nie tylko w Starej Republice, ale także w Imperium. Nawet obecnie mieszkańcy Agamara byli bohaterami połowy opowiadanych w języku basie kawałów o rozmaitych idiotach. Buźka zaprojektował ubrania całej trójki i powiedział im, jak się zachowywać, dopiero po wyczerpujących konsultacjach z kapitanem Hraknessem, który także pochodził z Agamara. Chodziło o to, żeby wszystko się zgadzało ze stereotypowymi wyobrażeniami o wyglądzie i zachowaniu mieszkańców tej planety.

Buźka pokiwał głową jak padlinożerny ptak długą szyją. Wedge natychmiast zrobił to samo. Donos zorientował się dopiero po jakiejś sekundzie, ale w końcu i on zaczął ich naśladować. Funkcjonariusz służby celnej spojrział na nich jak zahipnotyzowany.

- Rzeczywiście, nazywam się Dod - potwierdził Buźka. Odgiął lewy kciuk i pokazał Antillesa. - A to mój brat Fod - dodał po chwili. - Też z Agamara. - Odgiął kciuk prawej ręki i wskazał Donosa. - A to mój brat Lod.

- Także z Agamara - domyślił się urzędnik.

- Oj, ta-a! Zgadza się! - Buźka wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu. - Jesteś bardzo bystry jak na gościa z miasta, wiesz? - zapytał.

Funkcjonariusz pokręcił głową jak ktoś, kto ma jeszcze przed sobą wiele godzin żmudnej pracy.

- Cel waszego przybycia na Storinal? - zapytał. Garik znów się rozpromienił.

- Kobiety - oznajmił teatralnym szeptem.

- To znaczy rozrywki? - domyślił się celnik. Buźka spojrział z oburzeniem.

- Nic podobnego, człowieku - powiedział.

- Więc interesy? - zapytał funkcjonariusz.

- Nie! Nie zajmujemy się prowadzeniem takich interesów!

- Narzeczone - wtrącił się Wedge.

- Narzeczone - powtórzył jak echo Donos, starając się mówić półgłosem. Przeciągnął słowo, jakby miało niezwykle znaczenie.

- Na całym Agamarze mieszka tylko sześć pięknych kobiet - ciągnął Antilles. - Ale wszystkie zamężne.

- Teraz już tylko pięć - sprzeciwił się Buźka.

Wedge pokręcił z uporem głową.

- Sześć - powiedział.

- Pięć - poprawił go znów Garik. - Ettal Howrider została niedawno zastrzelona.

- Panowie... - usiłował im przerwać urzędnik.

- Kto ją zastrzelił?

- Jej kuzyn, Popal Howrider.

- Popatrz, popatrz - zdziwił się Wedge. - A ja sądziłem, że po tym pogryzieniu stary Popal wciąż jeszcze leży w łóżku z ropiejącymi ranami. Ten potworny smród...

- Panowie! - Funkcjonariusz sprawiał wrażenie bliskiego rozpaczy na co mogłyby wskazywać rumieńce na jego policzkach. - Wydam wam tymczasowe wizy i wpiszę na nich „rozrywka” jako cel podróży. Jeżeli nie zamierzacie prowadzić z nikim interesów, to znaczy, że przybywacie w celach rozrywkowych. Rozumiecie?

Bużka pokiwał energicznie głową, a Wedge i Donos mu zawtórowali.

- Oj, ta-a! - odparł Garik. - Naturalnie, że rozumiemy. - Chwilę później obrócił głowę, a na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Spójrzcie na to! - wykrzyknął i wyciągnął rękę.

Wszyscy, nie wyłączając urzędnika, spojrzeli we wskazaną stronę, ale przez panoramiczne okno sąsiedniego bunkra zobaczyli tylko ludzi przechodzących przez odprawę celną.

- Na co? - zainteresował się funkcjonariusz.

Bużka chwycił go za płaszcz, przyciągnął do siebie i wyciągniętą ręką coś mu gwałtownie pokazywał.

- Na nią! Na nią! - wykrzyknął. - Jest prawie rozebrana!

Jedna z przechodzących kobiet miała na sobie odbijającą światło złocistą sukienkę, niezakrywającą sporej części nóg i ramion. Urzędnik bezskutecznie usiłował się uwolnić.

- To tylko letnie ubranie, proszę pana... - zaczął niepewnie.

- Jak ona się nazywa?

- Nie mam pojęcia. - Celnik starał się odgiąć palce Bużki, ale bez większego powodzenia. Rzucił przez ramię błagalne spojrzenie na jednego z zakutych w biały pancerz strażników. Antilles napiął mięśnie, ale szturmowiec się nie poruszył. Wedge zauważył kątem oka, że imperialny strażnik trzęsie się ze śmiechu.

- Nie znasz jej imienia ani nawet nazwiska? - zapytał Bużka z oburzeniem. - Mieszkasz w tej samej wiosce i nawet nie wiesz, jak się nazywa?

W końcu urzędnik zdołał się uwolnić z uścisku rzekomego Agamarianina.

- To miasto, a nie wieś - burknął urażony. - Jest zbyt duże, żebyśmy mogli wszystkich znać.

Tak szybko, jak tylko potrafił, wsunął do szczeliny czytnika najpierw kartę identyfikacyjną Antillesa, a potem Donosa.

- Nie żywicie specjalnie przyjaznych uczuć względem siebie powiedział z pretensją Bużka. Odebrał karty, schował swoją do kieszeni spodni i rozdał pozostałe rzekomym braciom. - Posłuchaj, bylibyśmy wdzięczni, gdybyś skierował nas tam, gdzie piękne kobiety rozglądają się za mężami - powiedział teatralnym szeptem. - Mógłbym ci dać za to jeden kredyt.

Celnik spojrzał na niego, zbyt wyczerpany, żeby się czemukolwiek dziwić.

- Cały kredyt? - zapytał.

- Oj, ta-a! - potwierdził Garik. - Zawsze płacić za najlepsze, oto moja dewiza. Nieustannie to powtarzam!

- Spróbuj w Wyjcu - doradził urzędnik. - To taki bar. Właśnie tam znajdziesz miejscowych, którzy bardzo chcieliby stąd odlecieć, ale nie mają za co.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem. - Bużka wsunął monetę kredytową w dłoń celnika i ruszył w kierunku drzwi inspekcyjnego tunelu.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem - powtórzył jak echo Wedge i podążył za rzekomym bratem. Donos mruknął coś, co zabrzmiało tak samo, i ruszył za nimi.

W końcu po rampie wahadłowca zszedł Kell. Zwrócił uwagę na zmęczenie malujące się na twarzy urzędnika i obdarzył go współczującym uśmiechem.

- Proszę sobie wyobrazić, jak ja się czułem, kiedy musiałem całe trzy dni przebywać w ich towarzystwie na pokładzie wahadłowca! Pokiwał energicznie głową w górę i w dół, całkiem nieźle naśladując ruchy trzech rzekomych Agamarian, i wręczył funkcjonariuszowi służby celnej swoją kartę identyfikacyjną.

- Myśli pan, że będą z nimi jakieś kłopoty... kapitanie Doran? - zapytał urzędnik.

- Proszę mówić do mnie Kell - odparł Tainer. - Nie, nie sądzę, żeby ktokolwiek sprawiał kłopoty... może z wyjątkiem starego senatora. Wystarczy jednak czasem polechtać jego ambicję i nie stawać z nim do strzeleckich zawodów. Kiedyś rzucił mi wyzwanie, a ja podjąłem je i przegrałem. Właśnie dlatego musiałem zabrać na pokład jego przeklętego Gamorreanina.

Kell odsunął się kawałek na bok i spojrzał na burtę wahadłowca. Słowa Linie Kosmiczne Dorana na kadłubie i nazwa Gwiazda Dorana na dziobie były częściowo zatarte i zniszczone. Cóż, nic dziwnego co prawda namalowano je zaledwie przed trzema dniami, za to później częściowo zdrapano.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Celnik uśmiechnął się z przymusem. Dopilnuję, żeby dowiedziały się o tym odpowiednie osoby. - Zwrócił dokumenty rzekomemu Doranowi. - Czy będą z tobą wracali, Kell? zapytał.

W odpowiedzi Tainer tylko się wzdygnął.

- No cóż, twoja strata to nasz zysk. - Funkcjonariusz wzruszył ramionami. - Naturalnie, jeżeli nie spędzą tu zbyt dużo czasu. Na wszelki wypadek lepiej nie opuszczaj strefy inspekcyjnej. Kiedy sprawdzimy skanerami twój wahadłowiec, będziesz mógł udać się do miasta.

- Serdeczne dzięki - odparł Kell. Wyminął urzędnika i skierował się do drzwi inspekcyjnego tunelu.

Gdy przeszli przez odprawę celną, członkowie grupy senatora na wygnaniu Tyestina, nieformalnie nazwani na użytek tej wyprawy Grupą Autostopowiczów, wprowadzili się do hoteliku położonego najbliżej kosmoportu. Wszyscy sprawdzili pokoje, czy nie zainstalowano w nich urządzeń podsłuchowych, a kiedy niczego takiego nie znaleźli, Janson zwrócił się do pozostałych:

- Chyba nie ma powodu, żebyśmy rozglądali się za innymi myśliwcami typu T1E - powiedział. - Zauważyłem kilka na płytach różnych lądowisk kosmoportu... kręciło się wokół nich więcej obcych osób niż w niejednej imperialnej wojskowej bazie.

- Atril i ja możemy się przebrać o wiele łatwiej i szybciej niż ty stwierdziła Falynn. Nie mijała się z prawdą. Wystarczyło tylko, żeby obie zmieniły ubrania i zakryły perukami zaplecione w warkocze czarne włosy. - Ty i Prosiak powinniście zostać tu i pewien czas grać swoje role. Pozwólcie nam odwalić całą robotę.

- Dlatego, że przebranie jest nieporęczne? - zapytał Janson.

- Tak.

- A nie dlatego, że jestem stary i zniedołężniały jak komandor Antilles? Falynn uśmiechnęła się i odwróciła głowę.

- Chyba będę musiała zmienić opinię o starych i zniedołężniałych pilotach - powiedziała.

- No cóż, więc idźcie, moje dziatki, i bawcie się najlepiej jak umiecie - oznajmił w końcu

zastępca. - Ja w tym czasie zamówię kosztowne posiłki i jeszcze bardziej kosztowne rozrywki. Wszystko zostanie pokryte z jednego z tajnych kont Nowej Republiki, a jeżeli chodzi o mnie, zamierzam się postarać, żeby rachunek okazał się jak najwyższy.

Grupa Phanana, do której należeli także Kell i Tyria, otrzymała zadanie znalezienia źródła i zdobycia bakterii lub wirusów. Po zapoznaniu się z miejscowymi bazami danych członkowie grupy postanowili udać się repulsorową kolejką z Revos do Scohara, stolicy Storinala. Mieścił się tam największy kosmoport i klinika z oddziałem chorób zakaźnych, jakie mogły się szerzyć nie tylko na Storinalu, ale także na wielu innych planetach galaktyki.

Kolejka łącząca Revos ze Scoharem była nie tylko prawdziwym arcydziełem myśli inżynierskiej, ale także doskonałym przykładem dbałości o ochronę środowiska. Środek transportu składał się z wielu długich repulsorowych wagoników, szepionych ze sobą i jadących większą część drogi zwyczajnym podziemnym tunelem. Czasami jednak, mniej więcej raz na kilkanaście kilometrów, pojazd wynurzał się na powierzchnię na wystarczająco długo, żeby pasażerowie mieli czas podziwiać najwspanialsze krajobrazy Storinala. Czasami był to ciągnący się na horyzoncie łańcuch górski z ośnieżonymi szczytami, kiedy indziej malownicza dolina skąpana w purpurowych promieniach zachodzącego słońca... A później pojazd znów krył się w tunelu. Kell doszedł do przekonania, że takie rozwiązanie stanowi rozsądny kompromis między zapewnieniem turystom obiecanych rozrywek a zachowaniem całej urody pieczołowicie upiększanego krajobrazu.

Scohar było podobne do Revos, ale o wiele większe i okazalsze. Miało mnóstwo ośrodków wypoczynku i rozrywki, pośród których od razu rzucały się w oczy kolejki górskie i tory wyścigowe. W każdym ośrodku symulowano niebezpieczeństwa, żeby turystom nie stała się żadna krzywda. Członkowie Grupy Zakaźnej, jak sami siebie nazwali, postanowili trzymać się z daleka od najbardziej rojnych i gwarnych dzielnic miasta i wprowadzili się do hotelu w pobliżu Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego. Nazwa brzmiała niewinnie, ale ukrywał się pod nią ośrodek, w którym zapobiegano szerzeniu się chorób zakaźnych i walczono z nimi w przypadku wybuchów epidemii.

Wedge, Buźka i Donos, zwani nieoficjalnie Grupą Kmiotków, postanowili zamieszkać w Wolności Revos, schronisku nastawionym na obsługę gości podróżujących klasą turystyczną pasażerskich liniowców i wysyłanych na krótkie urlopy członków załóg wielkich okrętów. Pokoje były tu bardzo tanie, ale małe i pozbawione wielu elementarnych wygód. O obsłudze hotelowej można było tylko pomarzyć. Okna połowy pokoi, a wśród nich tych, w których zamieszkali piloci Widm, wychodziły jednak na sztuczną plażę urządzoną na brzegu pobliskiej rzeki.

Buźka przeprosił wszystkich na kilka minut i wrócił ze stosem wściekle kolorowych ubrań. Wręczył każdemu pojemnik z jego strojem.

Wedge wytrząsnął swój pojemnik. Znalazł w nim tunikę z krótkimi rękawami we wzór z pomarańczowych i żółtych tropikalnych owoców i krótkie spodnie w barwach błękitno-purpurowych.

- Zaraz zwymiotuję - powiedział. Buźka się uśmiechnął.

- Coś takiego stanowiłoby znakomitą ozdobę twojego przebrania, nie? - zapytał. - Doradzam, żebyś oszczędzał kapelusze. Bez niego trudno by ci było wyglądać jak pozbawiony rozumu i dobrego smaku rodowity Agamarianin.

- Jaka szkoda, że muszę się z tobą zgodzić - burknął Antilles.

- Zyg, zyg, komandorze - zadrwił Garik.

Donos spojrział ponuro na swoje przebranie: koszulę w wąskie poziome czerwone i zielone paski

i krótkie spodnie w pionowe szerokie pasy czarno-białe.

- Panie komandorze, czy mam pańską zgodę na uduszenie Bużki? - zapytał.

- Zgadzą się - oznajmił Antilles. - Ale zachowaj swój kapelusz, jak ci radził.

Garik wyjął z pojemnika swój strój. Okazało się, że przypadła mu jedwabna czarna koszula drukowana w rozmaite owady na tle połyskujących srebrzystych kółek i krótkie spodnie barwy pomarańczowej... bardziej jeszcze krzykliwej niż kolor kombinezonów pilotów Nowej Republiki. Ostateczną ozdobę miała stanowić wiązana na szyi czerwona chusta.

- Jak widzicie, najlepsze zachowałem dla siebie - powiedział Bużka. - A teraz, drodzy bracia, czas poszukać narzeczonych.

ROZDZIAŁ 22

- Coś podobnego! - odezwał się Antilles. - A sądziłem, że wy wszyscy, chłopaki z Imperialnej Marynarki, jesteście pilotami myśliwców T1E! Co do jednego!

Siedzieli na Promenadzie Słonecznych Owoców, która była właściwie ogromnym dziedzińcem, zadaszonym i przylegającym z dwóch stron do kwiatowych ogrodów. Stało tam obok siebie mnóstwo składanych leżaków, między którymi rozmieszczono w sporych odstępach większe i mniejsze muszle koncertowe dla muzyków. Było późne popołudnie i w wielu miejscach występowali grajkowie obojga płci, a nawet androidy pastwiące się nad rozmaitymi instrumentami perkusyjnymi, strunowymi albo klawiszowymi.

Trzej członkowie Grupy Kmiotków z Agamara siedzieli pośrodku towarzystwa składającego się z członków załogi „Jastrzębionietoperza”. Wielu imperialnych marynarzy piło napoje o niewielkiej zawartości alkoholu, jakby oszczędzali się przed nocnymi hulankami, kiedy to mieli nadzieję spożywać duże ilości naprawdę mocnych trunków. Niektórym wojskowemu towarzyszyli miejscowi osobnicy obojga płci, bo leżaki skonstruowano w taki sposób, żeby w każdym mogły siedzieć dwie przytulone do siebie osoby. Wedge, Buźka i Donos, krzykliwie ubrani i sami nie mniej krzykliwi, nie mieli jednak żadnego towarzystwa.

O ile Wedge mógł się zorientować, siedzący naprzeciwko niego mężczyzna zapewne bardzo dawno zaciągnął się do Imperialnej Marynarki, ale dosłużył się zaledwie stopnia podoficera. Był wysoki jak Kell, ale jeszcze bardziej barczysty i silniej umięśniony. Słyszając głupawą uwagę Wedge'a, wyrozumiale się uśmiechnął.

- Sam tylko pomyśl, Dod... - zaczął.

- Mam na imię Fod - przerwał Antilles. - On jest Dod, a tamten to Lod.

- Niech będzie Fod - zgodził się imperialny podoficer. - Nawet okręty wielkości gwiazdowego niszczyciela klasy Imperial mają najwyżej sześć eskadr myśliwców typu T1E. To tylko siedemdziesiąt dwie gwiazdne maszyny. Gdybyś chciał uwzględnić także rezerwowych członków załogi, to będzie zaledwie dziewięćdziesięciu albo stu pilotów, którzy pełnią służbę na pokładzie jednego z tych wielkich okrętów. Czy naprawdę uważasz, że da się latać gwiazdowym niszczycielem, mając do dyspozycji tylko obsługę mostka i stu pilotów?

- No cóż, nigdy się nad tym nie zastanawiałem - wyznał z rozbijającą szczerością Antilles.

Siedzący wokół niego członkowie załogi „Jastrzębionietoperza” wybuchnęli beztróskim śmiechem.

Rosły podoficer, który nazywał się Rondle, spojrział ze smutkiem na prawie opróżnioną szklanę.

Zauważył to Buźka. Wprawdzie starał się sprawiać wrażenie bardzo pijanego, ale jednym płynnym ruchem zerwał się z leżaka.

- Nie możemy... do tego... dopuścić - wybełkotał. - Hej, kelner! Następną kolejkę dla wszystkich!

Zachwiał się, osunął na leżak i pogrążył w stanie udawanego odrętwienia.

Personel „Jastrzębionietoperza” mógł tylko dziękować losowi za towarzystwo braci Nobrin.

Chłopcy z Agamara posłusznie stawiali wszystkim kolejkę po kolejce, jakby sobie nie uświadamiali, że imperialni marynarze nie szcędzą im docinków. Wedge zauważył, że niektórzy nawet pokazują palcami poznanym wcześniej przypadkowym sympatiom, jak wyglądają mieszkańcy słynącego z głupoty Agamara. Czuł się trochę jak zwierzę w klatce, obok której przechodzi procesja zwiedzających ogród zoologiczny gości.

Umilkł i udawał, że długo się zastanawia nad usłyszaną odpowiedzią.

- Czy to ma oznaczać, że kiedy przychodzi pora powrotu do domu, nie wszyscy wskakujecie do kabin myśliwców T1E i odlatujecie w przestworza? - zapytał w końcu.

Rondle zachichotał.

- Ja na przykład jestem tylko wojskowym instruktorem i nawet nie noszę broni - powiedział. - Ta z czerwoną twarzą nazywa się Partus i jest naszą nawigatorką. To ona mówi okrętowi, jak ma lecieć, żeby dotrzeć do celu. A ten po prawej to Dewback Kord, okrętowy mechanik. Więc kiedy nadchodzi pora powrotu, wszyscy wskakujemy na pokład wahadłowca i odlatujemy.

- Wahadłowca? Wahadłowca klasy Lambda? - zapytał z bezgranicznym zdumieniem Antilles. - Kiedyś już takim leciałem. Całkiem niedawno.

Rondle pokiwał machinalnie głową i uniósł, szklanekę, żeby android-kelner mógł napelnić ją na nowo.

- Wy także przylecieliście na pokładzie „Gwiazdy Dorana”? - nie dawał za wygraną Wedge. - Tak nazywał się ten, którym my przylecieliśmy.

Rondle zmierzył go zirytowanym spojrzeniem.

- Możliwe, że przylecieliście z Agamara na pokładzie jakiejś przeciekającej starej balii - zaczął. - Ale pomyśl tylko. Gdybyśmy mieli przylecieć tym samym wahadłowcem, jak moglibyśmy tu wylądować przed wami?

- No cóż, nie mam pojęcia - przyznał Wedge.

- Nasze wahadłowce nazywają się „Grzęda Jastrzębionietoperza” i „Czujość Jastrzębionietoperza” - dokończył podoficer.

- Aha... - Wedge udał, że pogrążył się w zadumie. - Hej! - wykrzyknął nagle. - Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Macie aż dwa wahadłowce i każdy nazywa się podobnie jak wasz wielki okręt!

Rondle z udręczoną miną przesłonił dłonią oczy.

- Jaka szkoda, że nie ma z nami Młynka - odezwał się Phanan. Wystukując kolejne polecenia na klawiaturze komputerowego terminala jednej z sali Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego, coraz bardziej się denerwował. Usiłował znaleźć informacje na temat organizacji szpitala.

Kell i Tyria siedzieli za jego plecami w wygodnym wyścielonym fotelu, tak szerokim, że bez trudu mogły się w nim pomieścić dwie osoby.

- Co się stało? - zainteresowała się w pewnej chwili Tyria. - Wygląda na to, że nie natknąłeś się na żaden system bezpieczeństwa.

- Nie, ale nie mogę wydać polecenia, żeby komputer udzielił mi informacji na temat przechowywanych w instytucie czynników biologicznych, bez obudzenia czujności systemów alarmowych. Idę o zakład, że Młynek uporałby się z tym bez trudu - odparł cyborg. - Co więcej, muszę znosić napływające zewsząd donośne chrapanie pacjentów leżących w innych salach, a to przeszkadza mi w pracy.

Ton jego głosu sugerował, że Phanan nie całkiem żartuje. Odkąd Tyria niespodziewanie wybrała Kella, nieustannie sprawiał wrażenie poirytowanego.

- Moglibyśmy się przejść i rozejrzeć po szpitalu - zaproponował Tainer.

- Już się rozglądaliście, kiedy badaliśmy instytut od zewnątrz przypomniał Phanan. - Chwileczkę.

Chyba mam. Ostatnie informacje... wybuchy epidemii... z podziałem na mechanizmy oddziaływania... Nie ma tu wyczerpującego wyjaśnienia, ale przynajmniej się dowiemy, co niedawno atakowało mieszkańców Storinala. A skoro atakowało, z pewnością znajduje się w skarbcach instytutu.

Tyria i Kell wstali z fotela i pochylili się nad nim z obu stron.

- Bothański czerwony rumień - przeczytał Phanan. - Hm... to za mało niezawodne. A gdyby zaraził się tym Młynek, nigdy byśmy go nie wyleczyli. Bandoniańska zaraza... to zbyt radykalne. Blastonekroza także, a w dodatku obrzydliwe. Na takiej ogromnej planecie nastawionej na obsługę turystów musi się spotykać wiele różnych chorób. Hej...

Skupił uwagę na jednej z informacji na ekranie terminala i polecił, żeby komputer zapoznał go ze szczegółami. Kell pochylił się jeszcze niżej.

- Co znalazłeś? - zapytał.

- Rozstrój Kanalizacyjny Bunkurda - odparł cyborg.

- Fuj! - odezwała się Tyria. - Brzmi paskudnie.

- Nie jest takie groźne, jak można by sądzić z nazwy - uspokoił ją Phanan. - Kilka wieków temu na Coruscant Korporacja Bunkurda wyhodowała bakterię, która najskuteczniej rozkładała ścieki na składniki podstawowe, żeby lepiej poddawały się przetworzeniu. Jeśli dobrze pamiętam, uzyskano mniej więcej dwudziestoprocentową poprawę w porównaniu z bakteriami wykorzystywanymi poprzednio w tym samym celu. Wierzcie mi, ci z Coruscant ucieszyli się, jakby ktoś rzucił im koło ratunkowe, okazało się jednak, że jeżeli te bakterie przedostaną się do systemu trawiennego człowieka, atakują wszystko, co się zjadło, i to zaraz po spożyciu. Przez to jedzenie nie dostarczało dość składników odżywczych, a zakażona osoba reagowała, jakby uległa ciężkiemu zatruciu. Można dokładnie określić, ile wynosi okres wylegania choroby. Dolegliwość poddaje się bez problemu standardowym lekom, więc nie istnieje niebezpieczeństwo utraty życia, może z wyjątkiem osób mieszkających na pustkowiu i pozbawionych odpowiedniego antidotum.

- Wygląda, że to nasza broń biologiczna - zdecydował Tainer. Teraz musimy już tylko zdobyć trochę bakterii.

- Zaznaczę to miejsce i zapamiętam, ale będę szukał dalej, bo może się okazać, że znajdziemy coś lepszego - odparł cyborg. - Co prawda to tutaj brzmi zachęcająco.

Okazało się, że Wyjec nie całkiem jest miejscowym klubem, w którym mieszkańcy Storinala starają się przyciągnąć uwagę czy nawet zdobyć uczucia turystów dysponujących niezbędnym kapitałem, żeby pomóc im odlecieć z planety. Prawdę mówiąc, lokal był zwyczajną spelunką. Panujący w nim półmrok miał ukrywać fakt, że podłóg i stołów nie czyszczono zbyt starannie. Co więcej, nie wszyscy szukający okazji do rozmowy tubylcy wyglądali na tyle schludnie i zachęcająco, jak im się wydawało.

Na ścianach wyświetlano bez przerwy hologramy z widokami najwspanialszych krajobrazów i miast Storinala, ale sądząc po stylu ubrań uwiecznionych na nich turystów, wizerunki zarejestrowano na długo, zanim większość Widm przyszła na świat.

Wyjec miał jednak jedną ważną zaletę. Na opanowanych przez Imperium planetach w rodzaju Storinala istoty innych ras były traktowane jak obywatele drugiej kategorii, o ile w ogóle mogły marzyć o swobodzie ruchów. Tymczasem właściciele spelunki nie czynili absolutnie żadnych różnic między ludźmi a osobnikami odmiennych ras. Liczyło się tylko to, ile zarobią kredytów.

Kiedy Wedge i Kell weszli do lokalu. Falynn i Prosiak siedzieli przy stoliku w głębi sali, w półmroku i kłębach kuchennych oparów. Falynn spojrzała na strój Antillesa i wybuchnęła śmiechem.

- To nie moja wina - odezwał się przepraszającym tonem dowódca. - To zasługa Bużki. - Położył kapelusz z szerokim rondem na blacie stołu i usiadł przy stoliku. - Zastosowaliście omyłkowo? - zapytał.

Prosiak kiwnął głową.

- Wszystko czyste - zameldował.

Nastawił na minimum siłę głosu mechanicznego urządzenia, żeby słuchacze ledwo odróżniali słowa wypowiedane w języku basie od głośniejszych pomruków gamorrekańskiej mowy.

- To miejsce potrzebuje czegoś więcej niż omyłkowo - odezwał się Kell. - Przydałoby mu się solidne piaskowanie. Zalecałbym także rozpylenie laserem na atomy wierzchniej warstwy grubości co najmniej pięciu milimetrów.

- Chodziło mi o to, czy upewniliście się, że nigdzie nie zainstalowano urządzeń podsłuchowych - wyjaśnił cierpliwie Antilles.

- Wiem, wiem - odparł beztrąsko Kell. - Tylko żartowałem. Wedge jeszcze raz powiódł spojrzeniem po sali, ale odkąd Falynn przestała się głośno śmiać, nikt nie zwracał na nich uwagi.

- W porządku - powiedział. - Grupa Kmiotków melduje, że miała sporo szczęścia. Po pierwsze, zdobyliśmy wskazówki na temat źródeł zaopatrzenia „Jastrzębionietoperza” i możemy je teraz przekazać Wywiadowi Nowej Republiki. Po drugie, najpierw zamierzaliśmy urządzić dla członków załogi „Jastrzębionietoperza” coś w rodzaju pożegnalnej ceremonii, w trakcie której można byłoby ich zarazić, ale dowiedzieliśmy się, że transportuje się ich tam i z powrotem za pomocą dwóch wahadłowców. Gdybyśmy umieścili zarazki na ich pokładach, prawdopodobnie udałoby się zarazić jedną trzecią załogi. Sądzę, że byłoby nam łatwiej, gdyby dało się rozpylić ten środek w powietrzu. Można byłoby wówczas wpuścić go do systemów wentylacyjnych.

- W powietrzu... - Kell zmarszczył brwi, skupił się i wyciągnął komputerowy notatnik. - Nie pamiętam, czy Phanan mówił, że zarazki tego RKB dają się rozpylić w powietrzu... Ale... tak, to możliwe.

Falynn się skrzywiła.

- Chodzi ci o Rozstrój Kanalizacyjny Bunkurda? - zapytała.

- Słyszałaś o tym? - zdziwił się Antilles. - Przechodziłam to - odparła ponuro pilotka z Tatooine.

- W tych dzielnicach Mos Eisley, w których w ogóle istniała kanalizacja, uzdatniano ścieki za pomocą systemu Bunkurda. Rury kanalizacyjne były bardzo stare, zawodne i nie zawsze szczelne. Zaraziłam się tym i cały tydzień byłam słaba niczym szczur womp.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- To znaczy, że Grupa Zakaźna będzie miała niełatwe zadanie odezwał się Antilles.

Kell kiwnął głową.

- Naprawdę uważam, że przydałby się nam Młynek - powiedział. Liczyłem na to, że będzie mi towarzyszył, kiedy wrócę do Scohara.

- To nie powinno stanowić problemu - stwierdził Wedge. - W każdej chwili możesz się dostać na lądowisko, prawda? Jeżeli jeszcze dzisiaj wrócisz na pokład wahadłowca, żeby coś sprawdzić albo naprawić, a potem zejdziesz po rampie w towarzystwie bothańskiego turysty...

- Zakładając, że obaj przedostaniemy się przez strefę bezpieczeństwa - zaproponował Tainer.

- Już Młynek wymyślił jakiś sposób - zapewnił Antilles. - To sprawa jego zawodowej dumy. - Odwrócił się do Falynn. - Grupa Autostopowiczów? - zapytał.

Pilotka z Tatoonie się wyprostowała.

- No cóż, dowiedziałam się, gdzie zaparkowano wahadłowce z pokładu „Jastrzębionietoperza” - powiedziała. - Bunkier dwadzieścia dwa alfa. Zaznaczyłam to miejsce, na wypadek gdyby Kell chciał wysadzić je w powietrze albo coś w tym rodzaju.

- Nie muszę wysadzać w powietrze wszystkiego, co widzę - zaprotestował Tainer. - Po prostu to lubię.

- A myśliwce T1E? - zainteresował się komandor.

- Stoją właściwie wszędzie wokół bunkra - odparła Falynn. Wiem jednak, w którym miejscu znajdziemy je na pewno, z silnikami gotowymi do startu. Władze kosmoportu trzymają w ciągłej gotowości w niewielkim bunkrze strażniczym cztery gały, a ich piloci pełnią służbę w sąsiednim pokoju. To nie są jednak takie same myśliwce T1E, jakie stosuje się do eskortowania nadlatujących statków. Uważam, że piloci tych maszyn mają stawiać czoło wszelkim możliwym zagrożeniom. Problem w tym, że strażniczy bunkier, w którym je trzymają, jest jednym z najlepiej strzeżonych obiektów w całym kosmoporcie.

- Jak dobrze strzeżonym? - zapytał Wedge.

- Bunkier ma przynajmniej dwie pary podwójnych drzwi, to znaczy tyle udało mi się zauważyć - odparła Sandskimmer. - Prawdopodobnie zabezpieczone są nie tylko od zewnątrz. Z pewnością systemy alarmowe mają także wewnątrz. Oddziela je coś w rodzaju komory albo śluzy. Może takich drzwi być więcej.

- W takim razie jak startują te myśliwce?

- Otwiera się w tym celu fragment dachu bunkra - wyjaśniła pilotka. - Na tyle duży, żeby mogły swobodnie wylecieć równocześnie dwie maszyny.

- A co z systemami bezpieczeństwa na samym dachu? Falynn wzruszyła ramionami.

- Jeszcze się tam nie wybrałam - wyjaśniła. - Chciałam poczekać na zapadnięcie zmroku.

- Zrób to jeszcze dzisiaj w nocy - polecił Antilles. - Przedtem jednak każ Donosowi, żeby wyciągnął snajperski karabin laserowy z przemytniczej kapsuły. Chcę, żeby znalazł miejsce, z którego mógłby cię osłaniać. Jeżeli przypadkiem uruchomisz jakiś alarm...

- Dziękuję.

- ...zapewni ci osłonę konieczną podczas ucieczki - dokończył komandor i umilkł, jakby się jeszcze nad czymś zastanawiał. - No dobrze - odezwał się w końcu. - Oto wstępny plan. Dzisiaj wieczorem Grupa Zakaźna i Młynek włamią się do Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego i zdobędą te środki biologiczne. W tym czasie Falynn i Donos przeprowadzą wstępne rozpoznanie systemów bezpieczeństwa strażniczego bunkra z myśliwcami T1E. Jeżeli wszystko potoczy się po naszej myśli, a rozpoznanie wykaże, że do bunkra da się włamać, resztę załatwimy jutrzejszej nocy.

A jutro... - zaczął liczyć na palcach, żeby się upewnić, czy uwzględnił wszystkich w swoim planie. - Janson, Kell, Tyria, Phanan, Prosiak i Młynek przedostaną się na pokłady wahadłowców „Jastrzębionietoperza” i rozpylą zdobyte zarazki. Janson zostanie dowódcą tej grupy. Przydałoby się także wymyślić jakiś pretekst, na wypadek, gdyby ktoś zauważył waszą obecność. Może zwykłe włamanie?

Kell kiwnął głową.

- Rozumiem - powiedział.

- Myn postara się znaleźć dobre miejsce na tyle wysoko, żeby mógł zapewnić osłonę obu grupom - ciągnął Antilles. - Atril, Falynn, Buźka i ja wdrzemy się do strażniczego bunkra i porwiemy wszystkie cztery myśliwce T1E.

Falynn sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Wszystkie cztery? - powtórzyła, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Tak - odparł Wedge. - Chyba że zagwarantujesz, że jeśli porwiemy tylko dwa, oba opuszczą bezpiecznie przestworza Storinala.

Pilotka z Tatooine pokręciła głową.

- Nie zajmuję się udzielaniem gwarancji - stwierdziła. - Jak się tam wdrzemy?

- Przez rozsuwane wrota w dachu - wyjaśnił komandor. - Kiedy będzie przez nie wylatywał jakiś myśliwiec T1E. Opanujemy go, gdy pilot będzie wracał.

- A jak się upewnimy, że imperialna maszyna wyleci wtedy, kiedy będziemy chcieli? - nie dawała za wygraną Sandskimmer.

Wedge się uśmiechnął.

- Połączę się z Patykiem i poproszę, żeby o określonej porze przeleciał nad kosmoportem i trochę sobie postrzelał - powiedział.

Kell pokiwał głową przesadnie energicznie, zupełnie jak rodowity Agamarianin. Przyłączyli się do niego Falynn i Prosiak.

- Przestańcie - burknął Antilles.

Wedge wyszedł ze spelunki pierwszy, a Kell kilka minut później. Chodziło o to, żeby jak najmniej osób widziało pilotów Widm razem. Kiedy drzwi Wyjca zamknęły się za ich plecami. Prosiak spojrzał na Falynn.

- Jesteś gotowa? - zapytał. Pilotka z Tatooine kiwnęła głową.

W następnej chwili muzyka nagle ucichła i oświetlił ich snop światła z punktowego reflektora. Falynn zaczęła wstawać i odruchowo sięgnęła po blaster, ale Gamorreanin chwycił ją za rękę i zmusił, żeby usiadła.

Usłyszeli wzmocniony przez aparaturę nagłaśniającą męski głos:

- Właściciel Wyjca pragnie złożyć serdeczne gratulacje panu i pani Wallowlot z okazji piątej rocznicy zawarcia związku małżeńskiego!

Bywalcy spelunki zareagowali kilkoma wiwatami i wybuchami głośnego śmiechu. Chwilę później do stolika obojga Widm podszedł android-kelner i postawił przed nimi szklaneczki z jakimś trunkiem. Mrużąc oczy, Falynn starała się dostrzec, kto stoi za reflektorem, i zorientowała się, że to Kell. Tainer wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, uniósł oba kciuki, zeskoczył z podwyższenia i skierował się do wyjścia.

Po kilku następnych sekundach ktoś wyłączył reflektor, a bywalcy Wyjca zajęli się znów napojami wyskokowymi i własnymi sprawami.

Falynn jednak nadal patrzyła z wściekłością na drzwi, przez które wyszedł Tainer.

- To nie było wcale zabawne - burknęła w końcu.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał Prosiak, nie zwiększając siły głosu mechanicznego urządzenia.

- No bo... bo... - zaczęła niepewnie Sandskimmer. - Mogłoby się wydać, kim naprawdę jesteśmy.

- Jesteśmy nikim - przypomniał Gamorreanin. - Za dwie minuty my też wyjdziemy z tego lokalu.

Ty zdejmiesz perukę, ja przebiorę się za strażnika i oboje staniemy się kimś zupełnie innym.

- Mimo to nadal uważam, że to nie było zabawne - mruknęła nie do końca przekonana pilotka.

- A ja uważam, że było - zaproponował Prosiak. - Chociaż naturalnie musimy mu się za to odwdziżyć. - Spojrzał na Falynn, ale pilotka wyglądała tak nieszczęśliwie, że musiał zadać pytanie: - Dlaczego cię to tak zabolalo?

- Bo ludzie będą sądzili, że naprawdę jestem... że jestem...

Urwała i nagle do niej dotarło. Nie podniosła głowy, żeby nie spojrzeć w oczy Prosiaka.

- Że jesteś żoną Gamorreanina? - domyślił się saBinring.

- Prawdę mówiąc, Prosiaku, nie o to mi chodziło - odparła w końcu pilotka.

- A mnie się wydaje, że jednak o to - odparł spokojnie Prosiak. Starał się, żeby jego głos brzmiał rzeczowo, na tyle, na ile jego translator potrafił oddawać wiernie wszystkie niuanse języka. - Chcę znać prawdę. Czy uznałabyś ten dowcip za zabawny, gdybyś przebywała w towarzystwie, powiedzmy, Bużki?

- Prosiaku...

- Proszę, odpowiedz.

Pilotka z Tatoonine głęboko odetchnęła.

- Przypuszczam, że tak - przyznała w końcu.

- Więc jedyną różnicą jest opinia ludzi, którzy mogliby pomyśleć, że wyszłaś za mąż za przedstawiciela innej rasy? I to nie daje ci spokoju?

- To nie tak...

- Że upadłaś tak nisko, aby poślubić Gamorreanina?

Pilotka skrzywiła się, a Prosiak zrozumiał, że właśnie tak brzmi odpowiedź na jego pytanie.

- Uraziłam cię - odezwała się po chwili przeproszającym tonem Sandskimmer.

- Ale nie w taki sposób, jak przypuszczasz - odparł Prosiak. - Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że twoja reakcja była spowodowana powszechną opinią o Gamorreanach, których uważa się za rasę istot... no, niedorozwiniętych umysłowo.

W końcu Falynn uniosła głowę i spojrzała w jego oczy! - Naprawdę nie wiem, co powiedzieć - wyznała. - Jest mi bardzo przykro.

- Na razie musi mi to wystarczyć. - Voort sięgnął po szklankę i wypił zawartość jednym haustem.

- Jesteś gotowa do wyjścia?

- Tak.

- Skoro jesteśmy młodym małżeństwem, może powinniśmy trzymać się za ręce?

Falynn uśmiechnęła się z niekłamaną ulgą.

- Zgoda - powiedziała.

Ponownie ubrana w czarny kombinezon osobistej strażniczki, kulila się w cieniu za burtą unieruchomionego śmigacza. W odległości czterdziestu metrów od niej majaczył w ciemności strażniczy bunkier z czterema myśliwcami typu T1E. Oddzielająca ją od bunkra wolna przestrzeń była wprawdzie kiepsko oświetlona, ale pozbawiona czegokolwiek, za czym mogłaby się ukryć. Biegając po niej nawet w czarnym stroju, byłaby widoczna jak na dłoni. Powinna się także liczyć z możliwością, że na każdym metrze kwadratowym przestrzeni wokół bunkra zainstalowano czujniki reagujące na nagłą zmianę siły nacisku. Cóż, musiała pokonać tę odległość, nawet gdyby miało to jej zająć cztery godziny i wymagało powolnego czołgania się po płycie lądowiska. Z pewnym zaskoczeniem uświadomiła sobie własną determinację. Nie zależało jej tylko na pomyślnym wykonaniu zadania. Chciała za wszelką cenę przestać być we wszystkim druga wykazywała niezwykły talent do pokonywania prostych systemów bezpieczeństwa, jak choćby tych przy pojazdach

naziemnych, ale wśród pilotów Eskadry Widm zajmowała pod tym względem zaledwie drugie miejsce. Byłaby najlepszą pilotką myśliwca T1E, gdyby nie przewyższał jej komandor Antilles... W dodatku jeżeli Atril naprawdę okaże się tak dobra za sterami gały, jak wszyscy uważali, Falynn mogła wkrótce spaść na trzecie miejsce. Spędziła dzieciństwo w Mos Eisley, próbując przeżyć dzięki temu, co wyszperała albo ukradła, a mimo to najlepszą zwiadowczynią Widm była Tyria. Nawet Donos nie chciał słuchać, gdy przekonywała go, że powinien żyć, dopóki nie usłyszał tego samego z ust Tyrii i pozostałych.

Nigdy i w niczym nie była najlepsza, ale może by się to zmieniło, gdyby dokonała jeszcze paru wyczynów, jakich dotąd nie udało się osiągnąć pozostałym Widmom... jak na przykład ciągnięcie myśliwców T1E pod kadłubem porwanego skiffa. Może wówczas wszyscy przestaliby ją lekceważyć i traktować jak osobę drugiej kategorii.

Kuliła się w ciemności pół godziny, ale w ciągu tego czasu pojawił się w pobliżu strażniczego bunkra z myśliwcami T1E tylko jeden lądowy śmigacz. Falynn zastanawiała się nawet, czy wskoczyć do jego kabiny i nie obezwładnić kierującego nim pilota, ale po krótkim namyśle zrezygnowała. Gdyby się na to zdecydowała, kierowca niewielkiego pojazdu od razu by poczuł, że śmigacz zakołysał się pod jej ciężarem.

Zaledwie kilka minut później z ciemności nocy wyłonił się masywny i ciężki pojazd repulsorowy wielkości kilkunastoosobowego pasażerskiego grawilotu. Kierowca prowadził go powoli i kierował się wyraźnie w stronę niewielkiego bunkra. Z wymalowanego na burcie napisu wynikało, że należy do firmy Artykuły Żywnościowe Tholana. W pewnej chwili Falynn zauważyła, że metalowa płyta z boku odsuwa się, a zamiast niej pojawia się oświetlony otwór.

Miała przed sobą coś w rodzaju latającej restauracji. Widywała takie już kiedyś, wprawdzie nie na Tatooine, ale na terenie Akademii Nowej Republiki. Pełniący całą dobę służbę strażnicy i piloci myśliwców T1E musieli przecież się gdzieś zaopatrywać... Kiedy srebrzysty wehikuł, przelatując obok niej, na chwilę przesłonił widok bunkra, sprężyła się i najszybciej jak umiała przebiegła niewielką odległość dzielącą ją od grawilotu. Wskoczyła na kanciastą rufę, z której nie wystawało nic, czegoś mogłaby się chwycić, z wyjątkiem zawiasów rufowej klapy. Zacisnęła na nich palce i poczuła, że jej stopy odrywają się od płyty lądowiska.

Pokonanie odległości do strażniczego bunkra powinno jej zająć nie więcej niż kilkanaście sekund, w dodatku nie będzie musiała chodzić po naszpikowanym czujnikami durbetonie.

Kiedy pilot repulsorowego wehikułu zaopatrzeniowego podleciał do bunkra, zwolnił, skręcił na sterburtę i ostatnie kilka metrów pokonał bokiem. Pewnie chciał tak ustawić grawilot, aby oświetlony otwór w boku kadłuba znalazł się dokładnie przed frontowymi drzwiami budowli. Falynn zaczęła się wspinać na dach pojazdu, ale jej buty kilkakrotnie ześlizgnęły się po rufowej powierzchni kadłuba. Zdołała osiągnąć cel, kiedy grawilot znieruchomiał na płycie lądowiska w odległości zaledwie metra od głównych drzwi. Dopiero wtedy przeskoczyła na dach bunkra i wylądowała na wypukłej powierzchni.

Na razie radziła sobie całkiem dobrze. A co będzie, jeśli na dachu zainstalowano czujniki nacisku? - zaniepokoiła się w pewnej chwili. Jeżeli chciała się tego dowiedzieć, musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać. Rozpłaszczyła się na ścianie i zamarła. Usłyszała syk i zrozumiała, że jedyne prowadzące na zewnątrz drzwi budowli właśnie się rozsunęły. Rozległ się szczeł i metalowe płyty ukryły się w ścianach. Z bunkra doleciał śmiech pełniących nocną służbę strażników. Po kilku sekundach Falynn usłyszała chlupot nalewanych płynów i brzęk rzucanych na metalowy kontuar

monet. W końcu drzwi budowli się zasunęły i otwór w burcie grawilotu zniknął. Pilot uruchomił repulsory i jego wehikuł zaczął się oddalać od bunkra.

Najważniejsze, że nikt nie wyszedł, aby sprawdzić, co spowodowało wzrost nacisku na dach. Doskonale.

Pilotka z Tatoonie wyciągnęła komunikator i pstryknęła włącznikiem mikrofonu. W odpowiedzi usłyszała dwa ciche trzaski. Jeszcze raz włączyła urządzenie, aby upewnić Donosa, że to nie było przypadkowe włączenie mikrofonu innego nadajnika.

Schowwała komunikator do kieszeni bluzy i ostrożnie, powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła się wspinać na dach bunkra. W pewnej chwili natknęła się na miejsce, w którym kończył się durbeton, a zaczynała podzielona na segmenty metalowa płyta. Ześlizgnęła się w lewo i zamarła pod dolną krawędzią ogromnych wrót umożliwiających pilotom myśliwców T1E start w przestworza. Pomyślała, że kiedy metalowe płyty zaczną się rozsuwać, nikt jej tam nie zauważy.

Pytanie tylko, czy w ogóle zaczną. Proszę, niech ogłoszą jakiś alarm, pomyślała, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Niech się nie okaże, że musiałam leżeć na tym dachu i czekać całą noc na próżno.

- Tyrio, spójrz w górę - odezwał się Młynek do mikrofonu zestawu nadawczo-odbiorczego.

Siedział przy biurku w wynajętym przez pilotów Eskadry Widm hotelowym pokoju w Scoharze i wpatrywał się w ekran monitora przenośnego terminala komputerowego. Podskakiwały na nim obrazy przesyłane przez kamerę ukrytą w czapce Tyrii. Obecnie był to widok wzniesionej z ociosanych kamieni tylnej ściany Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego. Po jego słowach obraz przesuwiał się pewien czas w dół i w końcu znieruchomiał. Młynek zobaczył markizę i lampkę awaryjnego oświetlenia, zainstalowaną na murze pozbawionym okna nad metalowymi drzwiami.

Phanan i Kell pochyłili się nad nim po obu stronach i także spojrzeli na ekran monitora. Każdy chciał obejść instytut z zewnątrz, żeby przekazywać do pokoju dowodzenia rejestrowane obrazy, ale Bothanin zdecydował, że obaj zbyt rzucaliby się w oczy. Phanan poruszał się jak automat, a Kell był za wysoki. Tymczasem Tyria, chociaż wysmarowała czymś ciemnym twarz i rozwichrzyła włosy tak mocno, że nawet pod czapką wyglądały dość niechlujnie, nie zwracała na siebie uwagi lepiej ubranych turystów, którzy mimo późnej pory spacerowali po ulicach Scohara.

Młynek poddał obraz na ekranie monitora kilku zabiegom. Najpierw go spolaryzował, potem wyświetlił negatyw i w końcu przedstawił znów w pierwotnej postaci.

- Z całą pewnością w markizie znajduje się zainstalowana kamera, podobnie jak we wszystkich poprzednich - powiedział. - Idź dalej. Wybrałem właściwy punkt, ale zanim tamtędy wejdziemy, musimy wziąć ze sobą trochę materiałów.

Z głośnika wydobył się stłumiony i trochę zniekształcony głos pilotki:

- Którędy się tam dostaniemy?

- Jedyńm miejscem, w którym nie ma zainstalowanej kamery - odparł Młynek. - Ani zamka uniemożliwiającego dostanie się z zewnątrz.

- Przez wylot kanału na śmieci i odpady - domyśliła się pilotka.

- Właśnie - potwierdził Bothanin.

Świdrujący w uszach zgrzyt sprawił, że Falynn otworzyła oczy. Jeszcze jeden irytujący alarm, pomyślała. Wyciągnęła rękę, żeby go uciszyć, ale poczuła pod palcami tylko zimny metal.

Dopiero wówczas oprzytomniała i uświadomiła sobie, że się zdrzemnęła. Rzuciła okiem na chronometr i stwierdziła, że upłynęły dwie godziny. Skowyt wydobywał się z prowadnic płyt

rozsuwanych wrót. Pilotka głęboko odetchnęła i napięła mięśnie.

Nagle jakiś mechanizm szarpnął płyty w przeciwnie strony i oczom Falynn ukazała się szczelina. Poszerzała się z każdą chwilą, w miarę jak obie części wrót oddalały się od siebie kapryśnymi skokami. Falynn spojrzała pogardliwie na sunącą w jej stronę krawędź płyty. Pomyślała, że gdyby ktoś lepiej konserwował serwomotory i smarował prowadnice, metalowe płyty przesuwałyby się ciszej, szybciej i bardziej równomiernie. Miała nadzieję, że stojące w hangarze myśliwce T1E są w lepszym stanie niż mechanizmy strażniczego bunkra.

W końcu metalowe płyty wślizgnęły się we właściwe miejsca i zamarły z donośnym szczękiem. Pilotka chwyciła za krawędź i podciągnęła się trochę, tylko na tyle, żeby móc wyjrzeć nad krawędzią płyty.

Zobaczyła w dole warsztat remontowy i fragment lądowiska. Na poplamionej smarami durbetonowej płycie stały wózki wypełnione najróżniejszymi narzędziami. Falynn zauważyła także cztery wymalowane niebieskie kręgi o średnicy mniej więcej ośmiu metrów każdy. Na tak oznaczonych miejscach stały myśliwce T1E. W kabinach dwóch imperialnych maszyn siedzieli piloci, a obok myśliwców stali dwaj mężczyźni. Sądząc z wyglądu, jeden był mechanikiem, a drugi dowódcą grupy pilotów. Kilka sekund później obaj szybko cofnęli się pod ścianę hangaru. Dopiero wówczas piloci myśliwców T1E uruchomili repulsory, a ich maszyny z basowym pomrukiem uniosły się w powietrze. Minęły Falynn, a kiedy osiągnęły wysokość kilkunastu metrów nad dachem bunkra, piloci włączyli bliźniacze silniki jonowe i obie gały z cichnym skowytym śmignęły w nocne niebo.

Sandskimmer pokręciła głową. Nie przybyła tu, by je obserwować. Zwróciła uwagę na pozostałe dwa myśliwce T1E i krzątających się w hangarze mężczyzn. Mechanicy zaczekali, aż imperialne maszyny roztopią się w ciemności nocy. Potem jeden podszedł do drzwi we wschodniej ścianie, a drugi do zainstalowanego na innej ścianie kontrolnego panelu, żeby przestawić dźwignię jakiegoś przełącznika.

Rozległ się znajomy zgrzyt. Metalowe płyty drgnęły i zaczęły się zamykać.

Falynn nie wypuściła krawędzi płyty i pozwoliła, żeby pociągnęła ją w górę bunkra. Cały czas starała się obserwować hangar w dole. Zauważyła, że jeden z mechaników podszedł do drzwi w południowej ścianie i dwukrotnie przesunął ręką, bardzo ostrożnie, na wysokości klamki nad głową. Drzwi rozsunęły się przed nim i mężczyzna zniknął.

W końcu szczelina między metalowymi płytami dachu zmalała do pięćdziesięciu centymetrów. Nie chcąc, żeby płyty zmiażdżyły jej palce, Falynn w końcu ją puściła. Liczyła na to, że zdoła się utrzymać na dachu tylko dzięki siłę tarcia kombinezonu o szorstką powierzchnię.

Przeliczyła się w rachubach. Kiedy metalowe płyty się zatrzasnęły, dach zadygotał i zaczęła się ześlizgiwać. Rozpaczliwie starała się czegoś chwycić, ale jej palce nie natrafiły na żaden występ.

Przetoczyła się po durbetonie i spadła z bunkra.

Od płyty lądowiska dzieliły ją bardzo długie metry.

ROZDZIAŁ 23

Kell, Tyria i Phanan czekali w cieniu metalowej rzeźby przedstawiającej w abstrakcyjnej formie taniec duchów z mitologicznej przeszłości Storinala. Przecznicę dalej ubrany w czarny kombinezon Młynek kulił się u stóp muru Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego, tuż obok wjazdu do kanału, którym usuwano z ośrodka śmieci i odpady.

- Czy on się zna na swojej robocie? - zaniepokoił się w pewnej chwili cyborg. - Nigdy nie widziałem rejestru jego osiągnięć. Zanim przyłączyłem się do Widm, ani razu o nim nie słyszałem.

Kell wzruszył ramionami, ale uświadomił sobie, że w ciemności i tak nikt tego nie zauważy.

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Ale okazał się wystarczająco dobry, żeby komandor Antilles przyjął go do swojej eskadry.

- No cóż, jeżeli jest równie dobrym włamywaczem komputerowym i specjalistą od przenikania na tereny nieprzyjacielskich baz, jak pilotem, jest w najlepszym razie przeciętnikiem. - Phanan prychnął pogardliwie. - Od razu poczuliście się pokrzepieni na duchu, kiedy wam to powiedziałem, prawda? Czy nie przytłacza was świadomość, że nasze życie jest w rękach miernego włamywacza komputerowego?

- Podejrzewam, że zrezygnowałeś z wykonywania zawodu lekarza, bo masz paskudny zwyczaj przyprawiania wszystkich o wyrzuty sumienia i pogarszania ich samopoczucia - odezwała się z wyrzutem Tyria.

- Proszę, proszę! - W głosie Phanana brzmiał nieszczerzy podziw. Jestem zdruzgotany. Po takiej reprimendzie stracę co najmniej siedemnaście godzin, zastanawiając się nad swoim życiem.

Nagle rozległ się cichy trzask i z odbiornika komunikatora dobiegł głos Młynka:

- Wjazd otwarty. Chodźcie.

Wejście okazało się wyjątkowo nieprzyjemne.

Wylot kanału na odpady znajdował się całe dwa metry nad chodnikiem. Otwierając klapę wjazdu, Bothanin uwolnił ze środka dziewięć czy dziesięć brył ściśniętych śmieci. Każda miała kształt sześcianu o boku metra i roztaczała fetor gnijących szczątków organicznych. Zanim Widma zdążyły do niego dołączyć, Młynek ustawił z tych kostek toporne schody umożliwiające dostęp do kanału.

Sam kanał cuchnął podobnie jak bryły, ale jeszcze mocniej. Dokuczliwy smród przyprawiał o mdłości i zawroty głowy. Piloci Widm wyciągnęli filtrujące maski, które przezorna Tyria spryskała obficie jakimiś perfumami przed wyruszeniem na wyprawę.

Phanan pierwszy zniknął w biegnącym stromo metalowym kanale, choć wcale nie dlatego, że był specjalistą od przenikania na tereny nieprzyjacielskich baz. Po prostu niósł spory pojemnik umożliwiający rozpylanie substancji, którą mógł pokrywać wewnętrzne ścianki kanału. Środek nie zabijał bakterii, wirusów ani niczego takiego, ale był silnym i szybko twardniejącym szczeliwem. Miał zapobiegać rozprzestrzenianiu się drobnoustrojów, jakie mogły przyczepić się do ścianek.

Zanim piloci Widm weszli do kanału na odpady i śmieci, odczekali z minutę, aż szczeliwo

stwardnieje. Kiedy znaleźli się w środku, ostatnia osoba zamknęła klapę wjazdu. Młynek przekręcił klamkę i pokazał pozostałym, jak ją otwierać. W tym czasie Phanan, nie przestając spryskiwać wnętrza kanału, wspinał się coraz wyżej.

W końcu piloci Widm dotarli do opancerzonej komory, która pełniła funkcję zgniatacza odpadów. Wiedzieli, że gdyby w niewłaściwej chwili ktoś wydał komputerowi budynku tylko jeden rozkaz, ściany zaczęłyby się zbliżać do siebie i ścisnęłyby ich niczym kostki śmieci. Na szczęście, nic takiego się nie stało. Przez wjazd w sklepieniu komory dostali się do większego pionowego szybu, którym zapewne przesyłano odpadki ze wszystkich pięter.

- Widzicie ten pył? - zapytał w pewnej chwili Phanan. - Większość przedmiotów trafiających do komory zgniatacza przechodzi przez spalarnię. To środek zapobiegawczy. Niebezpieczne odpadki opuszczają dzięki temu instytut w postaci miękkiego popiołu.

Wspinając się szybem, piloci Widm dotarli na jeszcze wyższy poziom, gdzie mieściła się niewielka jadalnia. Stał tu stół i sześć krzeseł, a w ścianę wbudowano automat do wydawania posiłków.

Wszyscy zgodzili się, że od tej pory na czele grupy powinna iść Tyria. Miała przystawać przed każdym portalem albo odmiennym rodzajem podłogi, żeby Młynek mógł się upewnić, czy nie zainstalowano tam czujników alarmowych. Bothanin szedł tuż za nią, a pochód zamykali Kell i Phanan.

Z jadalni można było wyjść na korytarz. W trzecim pomieszczeniu natknęli się na komputerowy terminal. Bothanin kazał wszystkim poczekać w niewielkim pomieszczeniu, aż się włamie do bazy danych instytutu.

Chociaż Phanan tak źle się wyrażał o jego umiejętnościach, Młynek uporał się z zadaniem w ciągu zaledwie kilku minut.

- Poziom A cztery - oznajmił z dumą. - Tym, którzy dotąd nie zwracali uwagi na zwyczaje mieszkańców Storinala, wyjaśniam, że to trzecie piętro nad powierzchnią gruntu. To tam prowadzi się wszystkie doświadczenia i trzyma obiekty, na jakich się ich dokonuje. System bezpieczeństwa ma trzy stopnie. Najslabiej strzeżony jest magazyn z doświadczalnymi zwierzętami, których nie uważa się za szczególnie niebezpieczne. W środkowym kręgu trzyma się zwierzęta groźniejsze, w rodzaju jadowitych gadów... - spojrzał wymownie na Phanana - ...i byłych lekarzy z Rudriga.

- To rzeczywiście jedno i to samo - mruknął cyborg.

- W wewnętrznym kręgu przechowuje się to, co nas najbardziej interesuje. Kellu, zapewne się ucieszysz, kiedy ci powiem, że zainstalowali tam sieć plazmowych ładunków wybuchowych. Eksplodują, jeżeli czujniki wykryją najlżejszy wyciek drobnoustrojów... Właśnie w taki sposób władze instytutu starają się chronić mieszkańców przed epidemiami.

- Czy kiedy się tam dostaniemy, możemy wywołać eksplozję tych bomb plazmowych? - zaniepokoił się Tainer.

- Jasne - odparł Bothanin. - Jeżeli pozwolę sobie na nieuwagę.

- Coś wspaniałego - mruknął Kell. Młynek wstał od terminala.

- Idziemy - zdecydował. - Nie ma to jak działanie pod osłoną nocy.

Wspięcie się po awaryjnych schodach na wyższy poziom nie sprawiło pilotom Widm większych trudności. Bardziej kłopotliwe okazało się natomiast pokonanie systemu bezpieczeństwa drzwi prowadzących z klatki schodowej do najslabiej chronionego zewnętrznego kręgu. Ale i tak uporanie się z tym problemem zajęło Młynkowi mniej więcej tyle samo czasu, ile pokonanie oporu zamka

klapy kanału na śmieci.

Magazyn z najmniej groźnymi zwierzętami zajmował większą część trzeciego piętra. Niektóre miejsca były całkiem nieźle oświetlone. To właśnie tam stały szeregi klatek z żywymi zwierzętami z najróżniejszych zakątków galaktyki. Kiedy stworzenia wyczuły obecność pilotów Widm w magazynie, zaczęły okazywać zaniepokojenie i wydawać dziwne odgłosy, ale pilnujący piętra strażnik tylko podszedł do nich i kilka razy syknął, żeby je uciszyć. Widma rozpląszczyły się na posadzce i wycofały w mroczne kąty magazynu.

Opierając się o stos plastikowych pudeł, Młynek ze zdumieniem usłyszał, że coś skrobie od środka. Zajrzał do pudła i zobaczył w nim niewielkie pojemniki z etykietkami głoszącymi: Storinalski szklisty szperacz. Z rysunku na etykietce wynikało, że to półprzeźroczysty stawonóg, który może poruszać się na dwóch tylnych łapach i chwycić łup, zupełnie jak istota człękokształtna, dwiema przednimi. Teraz jedno z tych stworzeń drapało w wewnętrzną powierzchnię pudła, żeby wydostać się z więzienia.

Po twarzy Młynka rozlał się szeroki uśmiech. Egzotyczny insekt z odległej planety... coś takiego z pewnością mogło mu się przydać. Bothanin rozejrzał się po ogromnym magazynie, żeby się upewnić, czy nikt go nie obserwuje, wyciągnął z torby z narzędziami nożyczki, przeciął plastikową taśmę i wsunął do torby jeden pojemnik z żywym mieszkańcem.

- Złapałam mniej więcej cztery godziny snu - odezwała się Falynn. - Dwie spędziłam, drzemiąc na dachu strażniczego bunkra, a dwie następne, kiedy leżałam nieprzytomna pod południową ścianą.

Janson gwizdnął.

- I nikt cię nie zauważył? - zdziwił się, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Przypuszczam, że nikt - odparła pilotka. - Jak widzisz, nie siedzę w więziennej celi.

Wzruszyła ramionami, ale po chwili skrzywiła się, jakby ten ruch sprawił jej ból.

Atril zgromiła ją spojrzeniem.

- Nie ruszaj się - rozkazała i wróciła do rozprowadzania środka przeciwbólowego po największym rozcięciu na czole pacjentki.

- Jak się stamtąd wydostałaś? - zapytał zastępca.

- Kiedy oprzytomniałam, do świtu brakowało wciąż jeszcze kilku godzin - ciągnęła Sandskimmer.

- Osobiste pojazdy pilotów i strażników stały zaparkowane jeden za drugim pod północną ścianą, więc domyśliłam się, że skoro cały czas mogą się tam kręcić członkowie garnizonu, nie rozmieszczono czujników reagujących na nacisk w tamtym miejscu, tylko na otwartym terenie wokół bunkra. Po prostu podeszłam, wybrałam największy śmigacz lądowy i włamałam się do przedziału bagażowego. Nakryłam się kocem i jakimiś pudłami i trochę odpoczęłam. W końcu właściciel pojazdu skończył służbę i odleciał. Unieruchomił śmigacz w pewnej chwili, żeby kupić sobie coś do jedzenia, a ja wyskoczyłam i uciekłam, żeby zjawić się przed wami w całej krasie.

Przepocone włosy przylgnęły do jej czoła, całego w skaleczeniach i otarciach. Falynn mogła być zadowolona, że okupiła upadek z dużej wysokości tylko niegroźnymi obrażeniami, siniakami i naciągniętymi mięśniami.

- Przekażę twoje informacje Antillesowi - obiecał Janson. - A teraz idź do siebie i się wyśpij.

Wstał i ruszył do drzwi. Atril także wstała.

- Środki przeciwbólowe powinny zacząć działać już niedługo ostrzegła. - Lepiej przyjmij przedtem pozycję horyzontalną. - Wzruszyła ramionami. - Przykro mi, ale nie mogę zrobić nic więcej. Żałuję, że nie ma z nami doktora Phanana.

- Nic nie szkodzi. Poradziłaś sobie doskonale - pochwaliła pilotka z Tatoonie.

Janson i Atril wyszli z jej pokoju, ale Donos ukląkł obok jej łóżka.

- Jesteś pewna, że dasz sobie sama radę? - zapytał.

- Zatlukę na śmierć następną osobę, która mi jeszcze raz zada to pytanie - obiecała Falynn, ale starała się nadać głosowi żartobliwe brzmienie i nie sprawiała wrażenia urażonej.

- Wystraszyłaś mnie śmiertelnie - ciągnął Korelianin. - Spadłaś z bunkra i długo się nie poruszałaś. Zanim połączyłaś się ze mną przez komunikator, mobilizowałem zespół, żeby cię stamtąd wydostać.

- Bardzo mi przykro. - Falynn pogłaskała go po policzku, ale poczuła całodniowy kłujący zarost i się roześmiała.

- Co cię tak rozbawiło? - zaniepokoił się Donos.

- Twoje wąsy - odparła pilotka. - Wyglądasz jak półgłówek.

- Oj, ta-a! - Myn trzykrotnie pokiwał głową jak rodowity Agamarianin, pocałował szybko Falynn, wstał i ruszył do drzwi. - Prześpij się, jak radził ci Janson. Na dzisiejszą noc zaplanowaliśmy coś ciekawego.

- Ktoś inny będzie musiał się wspiąć na dach tego bunkra. - Sandskimmer poczuła narastające zmęczenie. Wsparła się na łokciu i z przymusem uśmiechnęła. Nie chciała siadać, żeby nie nadwerężyć naciągniętych mięśni. W końcu westchnęła i znów się położyła. - Dobranoc - powiedziała.

Grupa Zakaźna powróciła ze Scohara zmęczona, ale triumfująca. Jej członkowie spotkali się z wąsatymi idiotami z Grupy Kmiotków w jednym z pokoiów schroniska, w którym się zatrzymali rzekomi Agamarianie.

- Bez problemu, jak przewidywałem - oznajmił Młynek. Klasnął w dłonie i zatarł je z wyraźnym zadowoleniem. - Moi towarzysze, natchnieni i uskrzydleni moją niewiarygodną wszechstronnością i kompetencją, spisali się zadowalająco, chociaż całkiem przeciętnie...

Kell spiorunował go spojrzeniem i Bothanin umilkł.

- Dostaliśmy się do środka i wyszliśmy z pożądanymi obiektami stwierdził Tainer. - Jedynym śladem, że w ogóle ktoś się tam włamywał, jest cienka warstwa rozpylonego szczeliwa na wewnętrznych ściankach kanału na śmieci. Udało mi się nawet ponownie uzbroić bombę plazmową.

Wedge usiadł prosto i odwrócił się w jego stronę.

- Co takiego? - zapytał.

- Mieli tam wytwarzające bardzo wysoką temperaturę ładunki plazmowe - wyjaśnił cierpliwie Kell. - Miały eksplodować, gdyby jakiegokolwiek bakterie wydostały się z pojemników i powstałoby zagrożenie, że mogą się wymknąć z instytutu. Bomba spopieliłaby w mgnieniu oka nie tylko sam kompleks medyczny, ale także kilka otaczających go dzielnic Scohara. Prawdopodobnie władze instytutu uważały, że to właściwy sposób zapobiegania szerzeniu się chorób. - Tainer wzruszył ramionami. - Idę o zakład, że utrzymywali ten system bezpieczeństwa w tajemnicy przed Scoharanami. Tak czy owak, najpierw rozbroiłem bombę, żeby Młynek mógł się mylić tyle razy, ile zechce...

- Ani razu do tego nie doszło - burknął urażony Bothanin.

- ...a później, kiedy byłem absolutnie pewien, że wszystko jest bezpieczne, znów ją uzbroiłem.

- A gdzie same zarazki? - zainteresował się Antilles.

Phanan uniósł dwa plastikowe pojemniki, każdy wielkości standardowego komunikatora.

- Czy te... pojemniki... są na pewno szczelne? - zaniepokoił się dowódca.

Lekarz kiwnął głową.

- Tak, ale na wszelki wypadek zaszczepię wszystkich pilotów Widm i członków załogi „Nocnego Gościa”, żeby uchronić nas i ich przed działaniem tych złośliwych drobnoustrojów - odparł Młynek. - Kell zamierza mi pomóc zainstalować te pojemniki w niewielkich ładunkach wybuchowych... Nic groźnego, po prostu przebije ścianki pojemników szpikulcem albo igłą. Musimy tylko wymyślić sposób, żeby znalazły się w systemach obiegu powietrza imperialnych wahadłowców.

- Doskonale. - Wedge odprężył się i rozsiadł wygodniej na krześle. - Więc możemy przystąpić do działania dzisiaj wieczorem. Im szybciej stąd odleciemy, tym krócej będziemy musieli nosić te paskudne wąsy.

Tyria uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie wspominając o błękitno-purpurowych krótkich spodniach - dodała.

- Nic o tym nie mów, pani podporucznik Sarkin. - Wedge naciągnął na oczy kapelusz z szerokim rondem. - Ani o niczym innym w tym rodzaju, w przeciwnym razie...

Powoli podjechali do bunkra dwadzieścia dwa alfa... tak powoli, żeby Prosiak mógł nadążyć za nimi. Ciężki śmigacz, umożliwiający dokonywanie wszelkich napraw i przepompowywanie paliwa, nie rozwijał wprawdzie dużej prędkości, ale mógł lecieć szybciej niż idący piechotą, zakuty w pancerz i uzbrojony po zęby Gamorreanin.

Dopiero kiedy znaleźli się pod samym bunkrem, zwrócili na siebie uwagę dwóch strażników stojących przed głównymi wrotami i jednego odzianego w skórzany kaftan Gamorreanina. Pilotujący śmigacz Kell upewnił się, czy blaster daje się łatwo wyciągać z kabury. Siedząca obok niego Tyria obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem i nie zdecydowała się sprawdzić, czy może szybko dobrać swojej broni. Za jej plecami, na dnie pojazdu, pośród węzów do przepompowywania paliwa i wysuwanych platform z aparaturą diagnostyczną, leżeli ukryci Janson, Phanan i Młynek. Też się chyba upewniali, czy okrywające ich koce i ochronne fartuchy zostały porządnie zamocowane... a zasobniki energetyczne blasterów są naładowane.

Nie zmieniając znużonego wyrazu twarzy, Kell unieruchomił śmigacz jakiś metr od miejsca, w którym strażnicy z pewnością wymierzyliby w niego blastery.

Podszedł do niego starszy stopniem wartownik.

- Rozkazy - warknął.

Kell wręczył mu sfalszowaną kartę danych.

- To nakaz wykonania pracy, nie rozkazy - mruknął urażonym tonem. - Nie przyjmujemy żadnych rozkazów. Nie jesteśmy funkcjonariuszami służby ochrony kosmoportu.

Odwrócił się do Tyrii i wyszczerzył zęby w uśmiechu tyleż buńczuczny, co irytujący.

- Te wahadłowce mają zostać poddane przeglądowi dopiero rano odezwał się strażnik. - Odlatują jutro po południu.

- Przecież to okres słabego ruchu - sprzeciwił się Tainer. Nie mijał się z prawdą, w przeciwnym razie pilotom Widm nie udałoby się znaleźć i przywłaszczyć sobie takiego śmigacza. Wybrali go spośród kilku innych, zaparkowanych i chwilowo nieużywanych. - Ci z Kontroli chcą, żebyśmy się trochę pospieszyli, zanim robota spiętrzy się nad ranem.

Strażnik zmierzył go nieprzyjemnym spojrzeniem i cofnął się, żeby wsunąć kartę danych do szczeliny czytnika wrót hangaru.

Nadeszła pora pierwszej próby. Pilotom Widm byłoby o wiele trudniej spreparować wiarygodny

nakaz wykonania przeglądu wahadłowców „Jastrzębionietoperza”. Zdobycie takiego zestawu wymagałoby uzyskania autoryzacji głównego komputera kosmoportu, a pokonanie jego systemów ochronnych i zabezpieczeń stanowiłoby dla każdego nie lada wyzwanie. Zaprojektowano je w taki sposób, żeby powstrzymać złośliwych włamywaczy komputerowych przed wydawaniem poleceń w rodzaju przekazywania cennych towarów do pirackich baz czy zmuszania towarowych transportowców do roztrzaskiwania się o płyty lądowisk.

Nie mając czasu na pokonywanie tych zabezpieczeń, Młynek musiał wymyślić inne rozwiązanie. Krótco po zapadnięciu ciemności wspiał się na dach hangaru i włamał do umieszczonej tam niewielkiej anteny nadawczo-odbiorczej. Zainstalował w torze przekazywania sygnałów mały moduł, który miał odebrać prośbę o autoryzację wysłaną ze sfalszowanej karty danych Tainera i po kilkunastosekundowej zwłóce wysłać potwierdzenie... naturalnie bez informowania o tym głównego komputera. Piloci Widm nie zamierzali demontować modułu, bo urządzenie było zupełnie nieszkodliwe. Nie mogło zareagować na następne prośby o autoryzację i umożliwiała nadawczo-odbiorczej antenie normalne działanie. Istniało znikome prawdopodobieństwo, że ktokolwiek wykryje je przed upływem terminu następnego przeglądu dwukierunkowego przekaźnika, a to mogło nastąpić za kilka dni, tygodni albo nawet miesięcy.

W końcu wartownik wyjął kartę danych z czytnika i zwrócił Kellowi.

- Możecie zabierać się do pracy - powiedział. - Oczywiście, pod nadzorem straży kosmoportu.

Tainer odgiął kciuk i wskazał czekającego cierpliwie Gamorreanina.

- Myślałem, że właśnie w tym celu przydzielono nam tego przystojniaka - powiedział.

- Co prawda, to prawda. - Strażnik machnął ręką na stojącego przed wrotami kolegę i chwilę później ciężkie wrota zaczęły się rozsuwać. Cały czas demonstrując znudzenie, Kell uruchomił śmigacz i wleciał do hangaru, a Prosiak ocknął się i wszedł do środka. Kiedy mijał stojącego przed wrotami Gamorreanina, strażnik zagadnął go w swojej mowie, a Voort odpowiedział mu kilkoma pomrukami.

Gdy wrota hangaru zamknęły się za ich plecami, Kell zawrócił i unieruchomił śmigacz na wysokości kabiny jednego z imperialnych wahadłowców. Wysunął ładownicze łapy i wyłączył repulsory. Dopiero wtedy mógł przystąpić do roboty. Przeszedł z kabiny do przedziału naprawczego, wysunął diagnostyczny moduł i zetknął go z kadłubem „Grzędy Jastrzębionietoperza”.

Reszta towarzyszy została w kryjówce. Spod koców i ochronnych fartuchów wydobył się głos Młynka:

- Wykryłem, że mają jeden optyczny skaner. Zainstalowali go gdzieś w północno-zachodnim kącie hangaru.

Kell zwalczył chęć odwrócenia głowy w tamtą stronę.

- Zdołasz go unieszkodliwić? - zapytał cicho.

- Stąd? - zachnął się Bothanin. - Nie bądź śmieszny. Zaczekaj chwilę. Jeśli się nie mylę...

- ...a to mi się nigdy nie zdarza - dokończyli chórem Kell i Tyria.

- Zamknijcie się - zgromił ich Bothanin. - Jeśli się nie mylę, skaner przekazuje informacje za pośrednictwem tej samej anteny nadawczo-odbiorczej... Tak! Dajcie mi chwilę i postójcie nieruchomo. Rejestruję kilka sekund transmisji... zapętlam... i zaszywam. Muszę teraz tylko przekazywać ją nieustannie do swojego modułu w antenie i polecić mu, żeby nie przekazywał dalej prawdziwego sygnału... Gotowe!

Młynek odrzucił koc i wyskoczył z kryjówki. Był spocony, ale triumfował.

Z innych kryjówek wyłonili się Janson i Phanan. Zastępca dowódcy Widm wskazał burtę „Grzędy Jastrzębionietoperza”.

- Dlaczego panel dostępu nie jest otwarty? - zapytał.

- Bo jeszcze nie mamy autoryzacji głównego komputera, zapomniałeś? - odparł Tainer. Znów odczuł lekkie zdziwienie, kiedy uświadomił sobie, że nie zareagował napięciem mięśni na nagłe pojawienie się Jansona. - Potrzebuję Młynka, żeby ominął to zabezpieczenie.

- Podobnie jak systemu bezpieczeństwa rampy wahadłowca - zauważył Janson.

Kell pokręcił głową.

- Kiedy tu lecieliśmy, przyszło mi na myśl, że możemy po prostu umieścić pojemniki z zarazkami we wlotach powietrza obu wahadłowców - powiedział. - Jestem pewien, że pierwsze kilka tysięcy metrów lotu będą korzystali z miejscowej atmosfery. Muszą napełnić nią pokładowe zbiorniki, aż zapanuje w nich właściwe ciśnienie. Dopiero wtedy przełączą na obieg zamknięty i zaczną oddychać zapuszkowanym powietrzem. - Uśmiechnął się do zastępcy. - Nawet nie trzeba będzie się włamywać.

Nagle Phanan przekrzywił głowę i zaczął nasłuchiwać.

- Zrozumieliśmy cię, Autostopowiczu. - Korzystając z wbudowanej aparatury, nie musiał się wsłuchiwać w świergot komunikatora ani włączać tego urządzenia. Zawsze słyszał przesyłane informacje. Znakomita wiadomość, Autostopowiczu. Grupa Zakaźna przerywa połączenie. - Spojrzał na pozostałych. - Patyk zaczął odliczać czas do startu z powierzchni tamtego księżycy - zameldował. - Jeżeli wszystko potoczy się po naszej myśli, dotrze tu i przeleci nad kosmoportem za niecałą godzinę.

- To nasz limit czasu - stwierdził Kell. - Nie zapominajcie, że naprawdę musimy dokonać przeglądu tych wahadłowców.

Grupa Autostopowiczów nie mogła liczyć na pomoc kolejnego przelatującego w pobliżu sprzedawcy żywności. Tym razem środka transportu potrzebowało czworo ludzi, którzy nie mieli zbyt dużo czasu i musieli wymyślić coś innego.

Na płytach lądowisk kosmoportu miasta Revos parkowało wiele rozmaitych wehikułów, ale chyba najwięcej towarowych śmigaczy. Wykorzystywano je do transportowania wszystkiego, począwszy od standardowych kanciastych kontenerów o ciężarze kilku ton, a skończywszy na stosach osobistych bagaży pasażerów. Wiele takich wehikułów po prostu zostawiano bez dozoru. Nietrudno było wybrać odpowiedni, uruchomić i przelecieć nim kilkaset metrów w ciemne miejsce pod ścianą niewykorzystywanego hangaru, piloci Widm wiedzieli jednak, że następna część zadania może okazać się bardzo niebezpieczna.

- Jak wam leci? - zapytał Wedge. On i Buźka stali na straży z gotowymi do strzału blasterami i cały czas rozglądali się po otoczeniu płyty lądowiska. Rzadko się odwracali, żeby zobaczyć, jak radzi sobie pilotka z Tatoonie.

- A jak myślisz? - burknęła Falynn. - Powoli!

W pewnej chwili Antilles usłyszał trzask przeskakującej iskry elektrycznej i wiązkę przekleństw.

- Sztuczka polega na tym - ciągnęła Sandskimmer - żeby zewrzeć obwody sterujące pracą hamulców bez niszczenia wszystkiego innego na tej samej płycie. Dopiero kiedy się z tym uporam, będę mogła się zająć przeprogramowaniem pojazdu. Śliska sprawa... Skok na końcu, zatarcie śladów i dane, jakie chcesz, żebym zostawiła... No cóż, wielka szkoda, że nie ma z nami Młynka.

Wedge uśmiechnął się z dezaprobatą. Gdyby Bothanin wiedział, jak bardzo przydałyby się w obecnej chwili jego specyficzne umiejętności, napuszyłby się jeszcze bardziej i stał naprawdę

nieznośny. Prawdę mówiąc, większość czasu zachowywał się okropnie.

- Zazwyczaj to ja zajmuję się programowaniem statku, a w szczególności nawigacją - odezwała się Atril. - Pozwólcie mi się włamać do tego programu. Dzięki temu zakończycie pracę wcześniej, niż gdybyście mieli zaczynać wszystko od początku.

- Proszę bardzo - odparła Falynn.

Nagle rozległ się świergot komunikatora Antillesa. Wedge przyłożył urządzenie do ucha i kilka sekund go nie odrywał.

- Dzięki, „Szóstko” - powiedział w końcu i odwrócił się do pozostałych. - Mamy pół godziny i z każdą minutą coraz mniej czasu.

- Mamy problem - odezwał się Phanan.

Kell umieścił na swoim miejscu klapę panelu bocznego „Czujności Jastrzębionietoperza”.

- Niezbyt wielki - oznajmił. - Już skończyliśmy.

Spływał potem i chociaż pracował zaledwie pół godziny, wyglądał na wyczerpanego. Uporał się z pracą, którą zazwyczaj wykonywało od dwóch do czterech wykwalifikowanych mechaników, poświęcając od trzydziestu minut do godziny na przegląd każdego wahadłowca. Kell musiał wykonać ją w ciągu połowy tego czasu, a do pomocy miał kilkoro chętnych, ale niedoświadczonych ochotników.

- „Dziewiątka” twierdzi, że do hangaru kieruje się jeszcze jeden śmigacz służący do dokonywania przeglądów i tankowania paliwa odezwał się w pewnej chwili Phanan.

Janson zaklął.

- Wynośmy się stąd - powiedział. - Postarajmy się wywieść ich w pole, a jeżeli się nie uda, wyrwiemy się stąd jak kiedyś Falynn w porwanym skiffie.

Kell już miał wskoczyć do kabiny śmigacza, ale coś przyciągnęło jego uwagę. Zauważył przytwierdzone rzemieniami z tyłu kadłuba trzy plastikowe pojemniki, których poprzednio tam nie widział. Każdy miał wielkość astromechanicznego robota typu R2.

- A to co? - zapytał.

Tyria wyszczerzyła zęby w beztroskim uśmiechu.

- Powód, dla którego tu przylecieliśmy - oznajmiła. - Już zapomniałeś? Mieliśmy coś stąd ukraść. To rozrywkowe holowideogramy, które przetransportowano tu i zostawiono, żeby załadować na pokłady imperialnych wahadłowców. Pomyślą, że wizytę w hangarze złożyli czarnorynkowi handlarze czy ktoś w tym rodzaju.

- Racja. Zapomniałem - przyznał Tainer.

- Będziemy mieli mnóstwo do oglądania.

Nagle spod koców dobiegł głos zirytowanego Jansona:

- Przestańcie się wdzięczyć do siebie i zabierzcie nas stąd!

Kell kierował właśnie śmigacz w stronę wrót hangaru, kiedy usłyszał dobiegające z drugiej strony odgłosy ożywionej dyskusji. Przez szczelinę pod wrotami słychać było urywki zdań:

- ...mówię ci, już przy nich pracują.

- ...nic podobnego, skoro dopiero przylecieliśmy.

Kell kiwnął głową Prosiakowi, który otwartą dłonią uderzył w przycisk na ścianie bunkra obok wrót hangaru. Ciężkie płyty zgrzytnęły i zaczęły się rozsuwać. Kiedy znieruchomiały, oczom wszystkich ukazały się dwa niemal identyczne śmigacze stojące naprzeciwko siebie w odległości zaledwie czterech metrów jeden od drugiego.

Dowódca strażników odwrócił się i pokazał nowo przybyłym mechanikom wehikuł Tainera.

- A widzicie? - zapytał. - Nie mówiłem? Pilot drugiego śmigacza wychylił się z kabiny.

- Hej, kim jesteście? - zapytał.

- Nazywam się Botkins - odparł Tainer. Zerknął na nazwisko wypisane odręcznie na ochronnych rękawicach leżących w kabinie. Zastępuję Laramonta.

- Laramont siedzi w kantine i czeka na początek swojej zmiany - wyjaśnił nieznajomy mężczyzna.

- Niech to diabli! - zaklął Kell. - A powiedziano mi, że zachorował. Ma zamiar dokonać przeglądu tych wahadłowców?

- Nie, ja chcę to zrobić.

- Możesz się nie trudzić - stwierdził Tainer. - Właśnie skończyłem.

- Posłuchaj, śmieciarzu - obruszył się mechanik. - Nie zamierzam dopuścić, żebyś pozbawił mnie zarobku za pracę dzisiejszej nocy.

Wygramolił się z kabiny swojego śmigacza. Był równie wysoki jak Kell i prawie tak samo mocno zbudowany, ale zwalisty i otyły. Kell zaczął, aż mężczyzna podejdzie do okna jego kabiny.

- Hej - powiedział. - Załatwmy to jak dżentelmeni. Wiesz, może nie poświęciłem tyle czasu, ile powinienem, hydraulicznym siłownikom.

Mechanik obrzucił go pochmurnym spojrzeniem.

- No i? - zapytał.

- Będiesz mógł powiedzieć, że nie wykonałem starannie swojej pracy - ciągnął Kell. - Przypiszesz sobie zasługę za cały przegląd, ale sprawdzisz tylko to, co ci się nie spodoba. Nie zgłosisz jednak formalnej skargi, żeby nie zapaskudzić mi opinii. Dzięki temu zapłacą ci za przepracowanie całej nocy, a ja będę mógł dalej pracować i liczyć, że zatrudnią mnie na stałe. Co ty na to?

Barczysty mechanik zaczął się zastanawiać nad jego propozycją.

- Nic z tego - burknął w końcu. - Oświadczę, że twoja robota jest do niczego... i właśnie tak przedstawię ją w swoim raporcie. I to zaraz.

Kell zerknął na Tyrię. Gdyby Centrala otrzymała taki raport, z pewnością operatorzy kosmoportu zaczęliby podejrzewać, że przeglądu wahadłowców dokonywały osoby nieupoważnione. Spojrzał na mechanika.

- No cóż - zaczął przesadnie spokojnym tonem. - Właśnie pozbawiłeś mnie pracy, kolego. Moja kariera w kosmoporcie miasta Revos dobiegła smutnego końca. Jeżeli zamierzasz się przyczynić do jej zakończenia, chyba powinienem dostać coś od ciebie.

Mechanik wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu.

- Niby co? - zapytał.

- Piętnaście centymetrów kwadratowych skóry, pół litra krwi i resztek twojej reputacji - odparł Tainer.

Otworzył z całej siły drzwi kabiny i zaskoczony mechanik potoczył się po durbetonie.

Kell przestąpił nad nim, odszedł na bok i udał, że się przeciąga. Spojrzał na dowódcę strażników.

- Chyba będę musiał złamać mu kilka kości, zanim zdołam go odwieść od tego zamiaru - oznajmił ponuro.

ROZDZIAŁ 24

Towarowy śmigacz zatoczył łuk na północ od strażniczego bunkra z myśliwcami typu T1E i skierował się w stronę niewysokiej budowli. Pilot nie przyspieszał; cały czas leciał z prędkością niewiele większą niż tempo marszu przeciętnego piechura.

Wedge, Atril, Falynn i Buźka zgromadzili się na dziobie i przygotowali na lekki wstrząs.

- Zapomniałem zapytać - odezwał się Wedge. - Czy któreś z was już kiedyś to robiło? Chodzi mi o ten skok na końcu.

Falynn się uśmiechnęła.

- Jasne - odparła. - Raz na Tatooine usiłowałam przeskoczyć w ten sposób kanion.

- I czym to się zakończyło?

- Złamaniem obojczyka.

- Chciałem się tylko dowiedzieć - mruknął Antilles.

Do tej pory czujniki bunkra z myśliwcami T1E powinny były poinformować strażników o nadlatującym pojeździe. Może nawet niektórzy wyszli przez południowe drzwi, żeby obejść bunkier i zobaczyć, co się dzieje. Piloci Widm musieli wykonać wszystko idealnie precyzyjnie.

Jeszcze trzydzieści metrów, dwadzieścia, dziesięć... i dziób śmigacza zderzył się lekko z durbetonową ścianą budowli. Wytrąceni z równowagi pasażerowie zachwiali się, ale nie upadli.

- Trzy, dwie, jedna... - zaczęła odliczać Falynn.

Nagle repulsorowe silniki śmigacza zaskowyczały, pracując pełną mocą, i wehikuł wyskoczył dodatkowe dwa metry w powietrze.

Kiedy piloci Widm wyczuli, że śmigacz osiągnął najwyższy poziom, odbili się, skoczyli i nieporadnie wylądowali na dachu bunkra. Atril potknęła się i zaczęła machać rękami. Straciła równowagę i byłaby się ześlizgnęła po wypukłości z powrotem do kabiny wehikułu, gdyby Wedge i Buźka nie chwycili jej za ręce i nie wciągnęli na dach budowli.

Z dołu napłynął odgłos kroków biegnących strażników. Widma rozplaszczyły się na dachu i zamarły.

- Hej, ty! - krzyknął ktoś. - Co sobie wyobrażasz?

- Chwileczkę - odezwał się drugi strażnik. - W kabinie nikogo nie ma!

- Sprawdź pod spodem - doradził pierwszy i wybuchnął głośnym śmiechem. - To ci dopiero byłaby zabawa, gdyby ktoś leżał zmiażdżony pod śmigaczem - powiedział.

- Sądziś, że to zabawne, bo nigdy ci się to nie przydarzyło, prawda? - W głosie drugiego mężczyzny brzmiała uraza.

- Co racja, to racja - odezwał się pierwszy strażnik. - Nigdy się nie przydarzyło i nigdy się nie przydarzy. Czujesz to? Zupełnie jakby się przegrzało łożysko silnika. - Głos mężczyzny zabrzmiał teraz oficjalnie. - Kontrolo Alfę Jeden, to tylko towarowy śmigacz. Bez załogi. Możliwe, że się zabłąkał. Za chwilę Jotay sprawdzi jego autopilota.

- Ja? - zachnął się drugi mężczyzna. - Ty.

Jotay ciężko westchnął.

Kilka minut nikt się nie odzywał.

- Wygląda na to, że jego obwód podporządkowania sprzężono z innym śmigaczem, który leciał w konwoju, ale zapomniano o skasowaniu zawartości pamięci pokładowego komputera - zameldował w końcu drugi strażnik. - Możliwe nawet, że wciąż jeszcze odbiera sygnały dowódcy konwoju.

- No cóż, skasuj ten program i odprowadź śmigacz na swoje miejsce - rozkazał pierwszy.

- Dlaczego ja? - zapytał Jotay.

- Przywilej starszeństwa, synu - odparł rozmówca. - Służę dłużej niż ty. Zatrudniono mnie trzy dni wcześniej.

Wedge usłyszał, że ktoś włączył silniki śmigacza, i pojazd zaczął się oddalać, ale pilotujący go strażnik nie przestawał zrzędzić. Chichocząc i mrucząc coś do siebie, drugi mężczyzna ruszył wzdłuż północnej ściany bunkra, z pewnością prosto do południowych drzwi.

Falynn także zachichotała.

- Próbując zaparkować śmigacz z uszkodzonymi hamulcami, Jotay będzie miał ubaw po same pachy - powiedziała.

Przeciwnik Kella wstał. Na jego nabiegłej krwią twarzy malował się grymas wściekłości.

- Zaraz nauczę cię rozumu - warknął.

- No cóż, możesz to zrobić albo przynajmniej spróbować - odparł Tainer.

Obrócił się, żeby uniknąć ataku mechanika. Odtrącił na bok wyciągniętą rękę mężczyzny i zakończył obrót, a kiedy tamten go mijał, z całej siły klepnął go otwartą dłonią w tył głowy. Mechanik zatoczył się, stracił równowagę i osunął się na kolana.

Kiedy wstawał, trzymał odczepiony od pasa hydroklucz. Nie było to używane do prac domowych niewielkie narzędzie, ale masywny metalowy przedmiot o długości dwóch trzecich ramienia dorosłego człowieka.

Kell zrezygnował z udawania zadziornego lekkoducha i przyjął prawidłową postawę pięściarza. Wysunął lewą stopę do przodu, uniósł ręce i powierzył ugiętym nogom ciężar ciała. Dotąd liczył na to, że przeciwnik nie użyje broni, ale chyba pomylił się w rachubach.

Mechanik rzucił się do ataku, ale coś w jego ruchach ostrzegło Kella, że przeciwnik zamierza zmienić taktykę walki. Tainer postanowił więc nie schodzić z linii ciosu i przygotował się na powstrzymanie albo zaatakowanie ciałem szarżującego mężczyzny. Okazało się jednak, że mechanik znieruchomiał krok przed nim i zamachnął się hydrokluczem jak maczugą. Trafiłby Kella z całej siły w klatkę piersiową, gdyby pilot wykonał taki sam unik, jak poprzednio.

Kell odchylił się, ale głowica hydroklucza zahaczyła o pierś i ześlizgnęła się po materiale kombinezonu. Mimo to siła ciosu wyparła z jego płuc powietrze. Tainer stracił równowagę i musiał się cofnąć. Wydawało mu się, że ma złamane co najmniej jedno żebro.

Pewny siebie mechanik uniósł hydroklucz do zadania następnego ciosu.

Tym razem Kell nie starał się powstrzymać przeciwnika. Mimo bólu w lewym boku obrócił się, żeby nadać większy impet ciosowi, który trafił mechanika w nadgarstek ręki z narzędziem. Pilot Widm poczuł i usłyszał chrupnięcie kości. Ciężki hydroklucz wypadł z bezwładnych palców mężczyzny, przeleciał w powietrzu metr czy dwa i z donośnym łoskotem odbił się od burty śmigacza Tainera.

Kell zadał lewą pięścią cios, który omal nie pozbawił przeciwnika głowy, obrócił się i kopnął go

z całej siły. Starał się, żeby wyglądało to możliwie nieporadnie, ale kiedy jego stopa zetknęła się ze szczęką mechanika, włożył w kopnięcie całą energię, jaka mu jeszcze pozostała. Mężczyzna stęknął i niczym wór kamieni zwałił się na durbetonową płytę.

Kell odwrócił się do dowódcy strażników.

- Sam się... o to prosił - wy dyszał. - Zaatakował mnie i zamierzał zabić. Możliwe, że moja kariera legła w gruzach, ale jego kariera także jest skończona. Połącz mnie z Centralą.

Nagle uświadomił sobie, że opuściły go wszystkie siły. Poczul się wyczerpany; z trudem oddychał.

Strażnik wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wykonać polecenie. Tyria nabrała powietrza i otworzyła usta, jakby chciała się sprzeciwić, ale uprzedził ją partner mechanika, który wyskoczył z kabiny swojego śmigacza jeszcze podczas walki.

- Zaczekaj - powiedział. - Proszę. Dowódca strażników się odwrócił.

- Dlaczego? - zapytał Tainer. Starał się uspokoić oddech, ale nadaremnie. Pomyślał, że to nic nie szkodzi, wręcz przeciwnie. Ułatwia mu udawanie wściekłości.

- To porządny gość, tylko trochę narwany - ciągnął młodszy mechanik. - Pozwólmy mu się z tym przespać - zaproponował. - Ja dokończę przeglądu wahadłowców, nikt o niczym nie zamelduje, ty zachowasz swoją pracę, on zachowa swoją pracę... Co ty na to, kolego?

Kell odetchnął kilka razy tak głęboko, jak się tylko dało, odwrócił się do Tyrii i posłał jej pytające spojrzenie.

Pilotka Widm wzruszyła ramionami. Kell widział, że martwi się o niego, ale nadała głosowi obojętne brzmienie.

- Możesz się zgodzić - powiedziała. - Będzie mniej pisania niepotrzebnych raportów.

- Mniej raportów - podchwycił dowódca strażników. W jego ustach zabrzmiało to jak wystarczające uzasadnienie.

Kell wzruszył ramionami i niechętnie pokiwał głową.

- Mniej raportów - powtórzył jak echo. - Brzmi rozsądnie. - Odwrócił się i podszedł do drzwi kabiny swojego śmigacza. - Wyświadczam mu przysługę, wiesz? - zapytał.

Starając się posadzić nieprzytomnego osiłka, kolega mechanika także wzruszył ramionami.

- Ta-a, jasne - powiedział. Absolutnie obojętnie.

Chwilę później śmigacz Grupy Zakażnej wystartował.

- Jak się czujesz? - zapytała Tyria, kiedy się oddalili na odpowiednią odległość.

- Chciałbym, żeby Phanan posklejał mnie tak szybko, jak to możliwe - odparł Kell - Ale to chyba nic poważnego... pod warunkiem, że nie będę się musiał schylać.

- No cóż, zyskałeś dla nas dużo czasu.

Tainer rzucił okiem na chronometr. Dajcie nam jeszcze tylko trzynaście minut, pomyślał. Później przestanie być ważne, ile raportów sporządzicie.

Atak Patyka nastąpił tak niespodziewanie, że zaskoczył nawet Widma, które określiły chwilę jego przylotu z dokładnością prawie co do sekundy.

Myśliwiec typu X-wing pojawił się nad kosmoporciem nagle niczym nurkujący jastrzębionietoperz. Silniki zawyły jak mityczny demon, a z laserowych działek pomknęły smugi śmiertelnie niebezpiecznego światła... O dziwo, wszystkie trafiły w wolne powierzchnie durbetonu. Mimo to krzątający się po lądowiskach ludzie rozbiegli się we wszystkie strony w poszukiwaniu kryjówek. Niektóre osoby, ogarnięte paniką, usiłowały się kryć nawet za cysternami z paliwem. Patrząc na to,

Wedge pokręcił głową.

Chwilę później nad kosmoportem rozległo się świdrujące w uszach zawrozczenie alarmowych syren ostrzegających przed atakiem z powietrza. Kiedy osoby pełniące służbę, a może komputery, zastosowały się do obowiązującego w takich wypadkach zaciemnienia, we wszystkich bunkrach zgasło oświetlenie. Patyk przeleciał nad płytą lądowiska, śmignął w górę, zawrócił i przystąpił do drugiego ataku. Tym razem postanowił obrać za cel towarowy śmigacz. Widocznie trafił w zasobnik energii, bo pojazd widowiskowo eksplodował, a wyrzucone siłą wybuchu torby i walizki zaścieliły krąg o promieniu pięćdziesięciu metrów.

Nagle Wedge usłyszał dobiegający z dołu stłumiony odgłos syreny alarmowej. Chwilę później rozległ się nieznośny skowyt serwowatorów i metalowe płyty wrót zaczęły się rozsuwać z dokuczliwym zgrzytem.

Dowódca Widm zerknął przez szczelinę w głąb bunkra, ale zobaczył tylko jasno świecące punkciki zielonych, czerwonych, żółtych i białych lampek kontrolnych... tysiące mrugających światełek świadczących o działaniu sprzętu komputerowego. Gdyby nie one, w hangarze z myśliwcami T1E panowałaby zupełna ciemność. Piloci i mechanicy musieli postępować zgodnie z procedurami zaciemnienia.

Spodziewał się, że będą ich przestrzegali. Liczył na to.

Przemieszczał się zgodnie z ruchem przesuwaną się skokami płyty. Kiedy znieruchomiała, wcisnął hak kotwiczki w miejsce, w którym jej krawędź stykała się z durbetonem. Przyczajona kilka metrów dalej Falynn zrobiła to samo.

Z mrozącym krew w żyłach skowytym, który Antillesowi kojarzył się zawsze z Imperium, piloci dwóch myśliwców T1E włączyli bliźniacze silniki jonowe. Nie troszcząc się o uruchamianie repulsorów i powolny przelot przez otwarte wrota bunkra, od razu śmignęli w przestworza i puścili się w pogoń za nieznanym napastnikiem.

Wedge chwycił mocniej sznur przywiązany do kotwiczki, odbił się i zaczął zjeżdżać w ciemność.

Zanim Patyk zdążył zawrócić i przelecieć trzeci raz nad kosmoportem, okrągła durbetonowa płyta, ukryta mniej więcej sześćdziesiąt metrów od „Narry”, uniosła się i odsunęła na bok. Mieściło się pod nią stanowisko planetarnej artylerii. Miało kształt kuli i wyglądało jak metalowy szkielet z fotelem artylerzysty i durastalową kopułą, z której wystawały cztery lufy sprzężonych działek laserowych. Konstrukcja uniosła się ku niebu na metalowej kolumnie na wysokość najpierw dziesięciu, a później piętnastu metrów. Zaczęła się obracać, żeby lufy działek mogły się skierować ku X-wingowi pilotowanemu przez Thakwaashanina.

Siedzący na fotelu pilota „Narry” Kell zaklął pod nosem i włączył zasilanie mikrofonu komunikatora.

- „Szóstka”, mamy tu naziemne stanowisko artylerii - powiedział. Obsługa przygotowuje się na twój powrót. Dowódca melduje, że wrota strażniczego hangaru się otwierają. Zapewne niedługo będziesz miał towarzystwo.

Zaczął przyciskać klawisze, żeby włączyć silniki i systemy uzbrojenia wahadłowca.

- Rozumiemy cię, „Piątko”. - X-wing Patyka zawrócił i skierował się na zachód.

- Jeżeli wystartujesz, będziemy musieli się stąd wynosić bez osłony naszych myśliwców T1E - ostrzegł Janson.

- A co innego proponujesz? - odciął się Tainer. - Żebyśmy siedzieli z założonymi rękami i przyglądali się, jak nieprzyjaciele rozpylają Patyka na atomy? - Wszyscy piloci Widm usłyszeli

skowyt silników myśliwców T1E wylatujących ze strażniczego bunkra. - Tamto działło uniosło się ponad korony najwyższych drzew, więc przynajmniej kilkanaście następnych kilometrów Patyk będzie cały czas w zasięgu strzału...

Janson pokręcił głową.

- Zaufaj swoim kolegom z eskadry, Kellu - powiedział.

Jakby na potwierdzenie jego słów, jaskrawa igła laserowego światła wyskoczyła z wierzchołka najwyższego budynku kosmoportu i trafiła w stanowisko planetarnej artylerii. Kell zobaczył, że laserowa błyskawica przepala na wylot najpierw fotel, a potem ciało artylerzysty. Mężczyzna osunął się, ale działko nadal się obracało i dopiero po kilku następnych sekundach lufy sprzężonych laserów przestały się kierować ku odlatującemu celowi.

- To Donos - mruknął Tainer. - Przykro mi. Zapomniałem.

Z otworu strażniczego bunkra wyleciały dwa myśliwce T1E. Ich piloci skierowali się na zachód i rzucili w pościg za Patykiem.

- Idę osłaniać odwrót Donosa - odezwała się Tyria. Janson kiwnął głową.

- Tylko uważaj na siebie - powiedział.

- Weź sobie do serca jego radę - dodał Tainer.

Płyty wrót bunkra zamknęły się z dźwięcznym łoskotem. Pełniący służbę dowódca załogi włączył oświetlenie.

- Sytuacja wróciła do normy - stwierdził.

Okazało się jednak, że w hangarze stoi para czarno ubranych komandosów. Mieli twarze osłonięte czarnymi maskami i mierzyli do mechaników z blasterowych pistoletów. Dwóch innych komandosów wchodziło przez drzwi łączące hangar z pomieszczeniem służbowym. Wyglądało na to, że dobrze znają gest nakazujący czujnikom rozsuniecie taflí drzwi.

- Niezupełnie do normy - sprostował jeden z komandosów. - Niech się nikt nie rusza.

Buźka wyciągnął pistolet i wszedł do ośrodka dowodzenia strażniczego bunkra. Atril podążała tuż za nim.

Kiedy wchodzili, pełniący służbę funkcjonariusz właśnie odwracał się od monitora i wyciągał blaster. Buźka strzelił do niego, nie mierząc, ale chybił. Strzał Atril okazał się celny... i koszmarnie skuteczny. Zanim mężczyzna zdołał unieść blaster do strzału, dostał w środek twarzy. Runął na wypolerowaną i wywoskowaną posadzkę, a jego włosy stanęły w ogniu.

Buźka wskazał pistoletem siwiejącą umundurowaną kobietę, która właśnie unosiła ręce na wysokość głowy.

- Zgaś to, zanim włączy się alarm przeciwpożarowy - rozkazał. Uświadomił sobie z irytacją, że jego głos się załamuje. Funkcjonariuszka usłuchała w milczeniu. Zdjęła z oparcia krzesła marynarkę i narzuciła ją na głowę zabitego mężczyzny, by zdławić płomień.

Buźka postarał się nadać głosowi bardziej władcze brzmienie.

- Chcę się dowiedzieć, jak brzmi standardowy kod wzywający do powrotu pilotów myśliwców T1E - powiedział.

Kiedy kobieta skończyła gasić płomień, wstała i znów uniosła ręce.

- Nie wiem - odparła cicho.

Buźka obejrzał się na stojącą za nim Atril.

- Zabij ją - rozkazał, ale kiedy zobaczył, że oczy pilotki się rozszerzają, ledwo zauważalnie pokręcił głową.

Siwowłosa funkcjonariuszka odchrząknęła.

- Sakira. S-a-k-i-r-a - przeliterowała i skrzywiła usta, jakby za chwilę miała się rozplakać. - To imię jego córki.

Buźka podszedł do głównego pulpitu. Na ekranie monitora zobaczył oddalającą się czerwoną plamkę pilotowanego przez Patyka X-winga i bardzo szybko zbliżające się do niej dwie niebieskie kropki myśliwców T1E. Wystukał na klawiaturze słowo SAKIRA i polecił je wysłać.

Niemal natychmiast z głośnika komunikatora rozległ się głos jednego z pilotów:

- Dowódca Słońc do bazy. Proszę potwierdzić ostatnią transmisję. Garik zachęcił wymownym ruchem pistoletu pozostałą przy życiu operatorkę bunkra, żeby podeszła do pulpitu. Siwowłosa kobieta usłuchała, choć poruszała się jak sparaliżowana. W pewnej chwili zadrżał jakiś mięsień na jej twarzy i kobieta nie posłużyła się komunikatorem.

- Jeżeli potwierdzą kod, domyśla się, że jest niewłaściwy - wyjaśniła ponuro.

Buźka westchnął i włączył mikrofon. Starał się mówić półgłosem i beznamiętnym tonem:

- Potwierdzam wezwanie do powrotu Sakira - powiedział.

- Bazo, zrozumieliśmy - odezwał się dowódca Słońc. - Wracamy do domu. Mieliśmy go, bazo. Skąd ta zmiana?

- Typowe rozkazy - uciął Garik. - Wracajcie.

- Rozkaz, bazo.

Buźka zauważył, że się spocił. Z pewnością pomógł mu fakt, że aparatura telekomunikacyjna zniekształciła jego głos, ale miał do czynienia ze sprzętem imperialnym, w którym wprowadzane zniekształcenia były mniej dokuczliwe niż w przypadku aparatury Nowej Republiki. Jeżeli imperialny pilot powziął jakiegokolwiek podejrzenia, mógł się już łączyć z kontrolą kosmoportu albo nawet z inną bazą myśliwców Storinala...

Widoczne na ekranie monitora niebieskie plamki dowodziły jednak, że piloci obu myśliwców T1E zataczają łuki i zawracają.

Buźka włączył mikrofon swojego komunikatora.

- „Szóstka”, rezygnuję z pościgu - zameldował. - Leć nisko nad powierzchnią i wracaj na poprzednie miejsce.

- „Ósemka”, zrozumieliśmy cię - usłyszał w odpowiedzi.

Atril zaprowadziła siwowłosą funkcjonariuszkę do hangaru, a Buźka rozsiadł się na fotelu przed głównym pulpitem kontrolnym bunkra. Najbliższe kilka minut wszyscy musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Nad kosmoportem poniosły się ponownie alarmowe sygnały. Oddział strażników dotarł w końcu do stanowiska artylerii. Posługując się zdalnym sterownikiem, dowódca usiłował obniżyć je do poziomu lądowiska. Kiedy się mu to udało, polecił ściągnąć szczątki artylerzysty z resztek fotela, na którym od razu usiadł inny żołnierz. Kell I pospiesznie wyłączył silniki i systemy uzbrojenia „Narry”, żeby nie I zwracać uwagi operatorów omiatających powierzchnię kosmoportu I sensorami.

Dodatkowe oddziały żołnierzy biegły po durbetonowej płycie w kierunku najwyższego budynku kosmoportu. Kell wiedział, że polują na I Donosa. Jeżeli strzelec wyborowy znalazł się na swojej robocie, powinien był chwilę po wykonaniu zadania spuścić się po linie z wierzchołka budowli. Tyria nie wiedziała, gdzie szukać Myna, a Korelianin I nie powinien się z nią skontaktować przez komunikator, bo mógłby odwrócić jej uwagę w najmniej odpowiedniej chwili.

W pewnej chwili po rampie zadudniły buty dwóch osób. Tyria i Donos wbiegli na pokład, prosto

na lufy gotowych do strzału pistoletów I w rękach Jansona i Kella.

- Wszystko w porządku - zameldowała zdyszana pilotka. Tainer schował blaster do kabury i podniósł rampę.

- Jakież wieści od Autostopowiczów? - zapytał.

Siedzący na fotelu drugiego pilota Janson pokręcił głową.

Myśliwce T1E zwolniły i zawisły nieruchomo nad otwartymi wrotami strażniczego bunkra. W tej samej chwili z głośnika komunikatora rozległ się czyjś głos:

- Kontrolo Alfy Jeden, tu Centrala. Dlaczego zaprzestaliście pościgu celu X-3085?

Buźka skrzywił się i włączył mikrofon.

- Centralo, z charakterystycznych cech ucieczki celu wynikało, że to może być zasadzka - powiedział. - Atak i odwrót zostały przeprowadzone w taki sposób, że nie mogło chodzić o nic innego. Doszedłem do przekonania, że chodzi o wciągnięcie naszych chłopców w walkę z silniejszym przeciwnikiem.

- Wydałeś im rozkaz powrotu z własnej inicjatywy, Alfo Jeden? zdziwił się operator Kontroli.

- Tak jest, proszę pana - odparł zwięźle Buźka.

- Interesująca decyzja, Alfo Jeden - stwierdził z przekąsem operator. - Chyba wiesz, że twój rozkaz zostanie starannie przeanalizowany?

- Tak jest, proszę pana - powtórzył Buźka. - Nadal uważam, że miałem rację.

- Bardzo dobrze. Twoi podwładni wrócili cali i zdrowi?

- Dwie gały całe i nieuszkodzone.

- Dwie co?

Buźka wyłączył mikrofon i zaklął pod nosem, ale po chwili znów go włączył.

- Uhm... gały, proszę pana - powiedział. - Tak nazywają je Rebelianci. Sądziłem, że to pana rozbawi.

- Alfo Jeden, podaj swój dzienny kod służbowy - zażądał operator.

Garik wyłączył mikrofon, wyszarpnął go z obudowy i włączył osobisty komunikator.

- Dowódcu, pokpiłem sprawę - zameldował. - Podejrzewam, że zanosi się na kłopoty.

Piloci dwóch myśliwców T1E łagodnie osiedli na płycie lądowiska strażniczego bunkra. Nie włączając oświetlenia kulistej kabiny swojej maszyny, Antilles czekał cierpliwie z włączonymi silnikami.

Imperialni piloci nie otworzyli jednak włazów kabin. Chwilę później w otworach dysz wylotowych ich silników pojawiło się światło i obie gały zaczęły się wznosić w powietrze.

- „Trójka”, ognia! - rozkazał Wedge.

Celowniczy komputer jego maszyny namierzył bakburtowy myśliwiec T1E, zaledwie nieprzyjacielski pilot zdążył wylecieć przez otwarte wrota w dachu hangaru. Antilles przycisnął guzik spustowy laserowych działek. Jego maszyna zadygotała, a zielone błyskawice strzałów trafiły odlatującą gałę w kadłub. Nieprzyjacielska maszyna wznosiła się jeszcze jakieś dwadzieścia czy trzydzieści metrów w niebo, ale później zwolniła i zaczęła opadać.

Siedząca w kabinie drugiego myśliwca T1E Falynn wystrzeliła dwukrotnie. Drugim strzałem trafiła swój cel w nasadę wspornika sterburtowego panelu z ogniwami słonecznymi. Nie zniszczyła go, ale nadwątlila, co wystarczyło, żeby przy kolejnym manewrze nieprzyjacielskiego pilota wspornik się oderwał. Myśliwiec T1E przechylił się na bok i wirując w locie, zniknął jej z oczu.

Tymczasem zestrzelona przez Antillesa gała wpadła do hangaru. Wedge instynktownie skulił się

w obawie, że płonące szczątki spadną na jego kabinę, ale roztrzaskały się o płytę lądowiska metr od jego, maszyny. Obsypały tylko jego myśliwiec na wpół stopionymi kawałkami metalu. Antilles znów poczuł silny wstrząs.

- „Szary Osiem”, „Szary Trzynaście”, chyba musicie radzić sobie I sami - powiedział. - Wasze środki transportu zostały rozpylone na atoli my - Potwierdzam - odparła Atril. - „Narro”, czy możecie podlecieć tu i nas zabrać?

Wedge usłyszał głos Tainera:

- Już po was lecimy.

- „Trójka ”, tu dowódca - odezwał się Antilles. - Zmywamy się. Pchnął drążek sterowniczy i z rykiem silników wystartował.

Rezerwowo artylerzysta planetarnego działa polecił mechanizmom kontrolnym, żeby obróciły wieżę i wymierzyły lufy laserowych działek w stronę myśliwców T1E startujących z bunkra Alfa Jeden. Chwilę później w słuchawkach jego hełmofonu rozległ się jednak głos operatora Centrali:

- Sześćdziesiąt metrów na zachód od ciebie przygotowuje się do startu wahadłowiec klasy Lambda. Sądzymy, że jego załoga należy do tej samej grupy. Weź go na cel i zlikwiduj.

Artylerzysta prawie namierzył pierwszy odlatujący myśliwiec T1E, ale ten, kto siedział za jego sterami, był naprawdę świetnym pilotem. Nieustannie zmieniał kierunek i pułap lotu, a w końcu zaczął lecieć nisko nad powierzchnią gruntu, lawirując między bunkrami i zaparkowanymi na płycie lądowiska transportowcami.

- Mam trochę roboty z czymś innym, Centralo - zameldował. Jesteście pewni, że wahadłowiec jest najważniejszym celem?

- Nie ryzykowałiby życia najlepszych ludzi, wysyłając ich po te myśliwce, idioto - burknął operator. - Rób, co powiedziałem.

Artylerzysta westchnął i zaczął obracać kopulastą wieżyczkę, żeby wziąć na cel wahadłowiec. Jego pilot, korzystając tylko z repulsorów, kierował się w stronę strażniczego bunkra.

W pewnej chwili wybiegły z niego dwie czarno ubrane osoby. Artylerzysta zauważył, że ładownicza rampa wahadłowca klasy Lambda zaczyna opadać.

Wymierzył w śródkręcie jednostki. Sekundę później usłyszał narastający skowyt nurkującego myśliwca T1E. Zerknął przez ramię i stwierdził, że pilot maszyny przygotowuje się do strzału...

Nie czekając, zeskoczył ze szczątków fotela i chociaż od płyty lądowiska dzieliło go piętnaście metrów, dał susa z platformy działa. W pół drogi ku powierzchni zauważył, że trafiona laserową błyskawicą kopułka widowiskowo eksploduje.

Zderzył się z twardym durbetonem i od razu stracił wszelkie zainteresowanie nieposłusznymi myśliwcami T1E, a nawet wahadłowcami.

W pościg za odlatującymi komandosami rzucili się piloci eskadry myśliwców typu T1E ze Scohara. Lecieli za nimi aż do przestworzy najbardziej oddalonej od słońca planety, za którą czekał „Nocny Gość”. Mimo to piloci Widm zostawili ich tak daleko z tyłu, że nie tylko zdążyli wrócić na pokład korwety, ale także obrać kurs na zewnątrz systemu i spokojnie zniknąć w nadprzestrzeni.

Zgromadzili się w świetlicy, żeby uczcić pomyślne zakończenie wyprawy. Dołączyła do nich Atril, która chyba wciąż jeszcze czuła się bardziej członkiem grupy komandosów niż jedną z załogi „Nocnego Gościa”.

- Wznoszę toast za wszystkich, którym udało się cało i zdrowo powrócić ze Storinala - odezwał się Kell. Wszyscy zaczęli klaskać i wiwatować. - Wprawdzie Falynn i ja trochę oberwaliśmy, ale

zawdzięczamy to głównie własnej nieuwadze.

- Co racja, to racja - przytaknęła pilotka z Tatooine.

W pewnej chwili Wedge zwrócił uwagę na Jansona. Jego zastępca sprawiał wrażenie zamyszonego.

- O co chodzi, Wes? - zapytał.

- Zastanawiam się, co dalej - odparł Janson. - Postawiliśmy sobie nowe zadanie, ale do pomyślnego wykonania jeszcze długa droga.

- Jakie zadanie? - zdziwił się Antilles.

- Porwaliśmy koreliańską korwetę i dwa myśliwce typu T1E - ciągnął zastępca. - To dobrze, ale wciąż za mało. Uważam, że powinniśmy porwać jeszcze przynajmniej po jednym egzemplarzu każdego typu jednostki spośród tych, jakimi dysponują dowódcy Imperialnej Marynarki czy lordowie.

Wedge się uśmiechnął.

- I nie spocząć, dopóki nie porwiemy pewnego gwiazdnego superniszczyciela o nazwie „Żelazna Pięść”? - zapytał.

- To stanowiłoby najwspanialsze ukoronowanie naszej kolekcji, nie uważasz? - odparł Janson.

ROZDZIAŁ 25

„Nocny Gość” i „Jastrzębionietoperz” znalazły się o określonej porze w umówionym miejscu - w systemie, którego pomarańczowe słońce nie potrafiło podtrzymać życia na żadnej spośród siedmiu planet. Kapitan „Jastrzębionietoperza”, Bock Nabył, ubolewał, że nie może się spotkać w cztery oczy z kapitanem Darillianem. Uniemożliwiła mu to paskudna zaraza, jaka zaczęła się szerzyć wśród członków jego załogi, w związku z czym musiał zarządzić ścisłą kwarantannę. Kapitan Darillian oznajmił, że doskonale go rozumie.

Pracując w próżniowych skafandrach, przedstawiciele obu załóg przetransportowali satelity szpiegowskie z głównej ładowni „Jastrzębionietoperza” do dolnej ładowni „Nocnego Gościa”. Potem obie jednostki poleciały każda w swoją stronę, a członkowie załóg nie mieli okazji się zobaczyć.

Następnego dnia „Nocny Gość” wyskoczył w systemie Todirium. Na niegościnniej trzeciej planecie mieszkali osadnicy trudniący się wydobywaniem rud żelaza i produkcją durastali. Komputerowy system korporacji górniczej koordynował pracę wszystkich kopalń i przetwórní na powierzchni planety i skutecznie opierał się próbom Młynka włamania do baz danych. Na szczęście, dyrektor korporacji w rozmowie z odgrywanym przez Bużkę kapitanem Darillianem zapytał, czy „Nocny Gość” nie zabrałby na pokład ładunku oczyszczonej durastali. Z baz danych pokładowego komputera koreliańskiej korwety wynikało jednak, że podczas wcześniejszych przystanków na planecie takich transportów nie zabierano. Bużka oznajmił więc dyrektorowi, że Zsinj wyśle po ładunek durastali specjalny transportowiec... ale nalegał, żeby na powierzchni planety mógł wylądować „porucznik Narol”. Zastępca kapitana miał dokonać oględzin gotowego do zabrania ładunku i upewnić się, czy spełnia wszystkie wymagania. Godzinę później Bużka wrócił na pokład „Nocnego Gościa” z dokładnymi informacjami, gdzie mieszczą się magazyny lorda Zsinja.

- To będzie standardowe zadanie. Rzucimy się na cel i go zniszczymy - oznajmił Wedge pilotom Widm. - Z jedną różnicą: zostaniemy zarejestrowani, a to dlatego, że sami rozmieścimy szpiegowskie satelity. Jeżeli mamy przekazywać informacje Zsinjowi, postarajmy się, żeby były jak najgorsze. Cubber, polakierujesz kadłuby wszystkich X-wingów w barwy Eskadry Łotrów.

Mechanik nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Jeżeli nie cierpię czegoś bardziej niż poprawiania źle wykonanej roboty... - zaczął.

- ...to poprawiania roboty dobrze wykonanej - dokończył Antilles. - Doskonale cię rozumiem.

Tym bardziej że czeka cię coś jeszcze gorszego. Natychmiast po zakończeniu akcji usuniesz z kadłubów myśliwców barwy Eskadry Łotrów i polakierujesz je ponownie na kolor Eskadry Widm. - Wedge wzruszył ramionami. - Jeżeli nie chcesz, mogę powierzyć twoje zadanie Młynkowi, a ty zastąpisz go za sterami X-winga podczas tej wyprawy.

- Serdeczne dzięki - mruknął szef mechaników. - Wolę pobawić się w lakiernika.

- Więc wyladujemy i odpowiednio ustawimy te satelity - podjął Wedge. - Prosiaku, ty i Młynek zajmiecie się obliczeniem współrzędnych najbardziej prawdopodobnego punktu przestworzy,

w którym eskadra X-wingów powinna wniknąć do systemu. Postarajcie się także określić współrzędne najodpowiedniejszej trajektorii kursu, jakim piloci mogliby zaatakować obrane cele. Rozmieścimy satelity wzdłuż tej trasy, żeby Zsinj i Trigit dostali możliwie najlepsze obrazy. Będziecie pracowali w próżniowych skafandrach, więc na wszelki wypadek Buźka i Phanan wskoczą do kabin swoich myśliwców i zapewnią wam osłonę. Phananie, możesz lecieć moim myśliwcem, pod warunkiem że będziesz na niego uważał.

- Postaram się nie porozlewać lomińskiego piwa po całej kabinie obiecał cyborg.

- Byłbym bardzo wdzięczny - mruknął Antilles. - Kiedy skończymy rozmieszczać satelity, sprowadzimy na pokład X-wingi, włączymy kamery i wyskoczymy z systemu. Następnego dnia przylecimy tam ponownie X-wingami i dokonamy ataku na naziemne cele, więc postarajcie się dzisiaj i jutro poćwiczyć zwracanie się do siebie kryptonimami pilotów Eskadry Łotrów. A ty, Buźko, kiedy będziesz rozmawiał ze mną, nie zapomnij raz czy dwa nazwać mnie Tychem. Podobnie jak piloci większości eskadr tęponosych myśliwców, będziemy zwracali się do siebie jawnym tekstem, a nie kryptonimami pilotów Eskadry Widm.

Buźka pokiwał głową.

- Kiedy zakończymy atak, wyskoczymy z systemu i dołączymy do „Nocnego Gościa” - ciągnął Wedge. - W teorii wygląda to bardzo prosto. Są pytania?

Żadnych nie było.

- Więc do roboty. Zaczniemy rozmieszczać szpiegowskie satelity za dwie godziny. Młynku, Prosiaku, do tej pory postarajcie się znaleźć dla nich najwłaściwsze miejsca w przestworzach.

Zauważył, że Bothanin pierwszy wyszedł z sali odpraw. Czyżby tak bardzo się spieszył, żeby zasiąść przed komputerem i zająć się wykonywaniem dodatkowego zadania?

Młynek dosłownie pobiegł na pokład trzeci i skręcił do szatni przylegającej do dziobowej świetlicy. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, a później wystukał kombinację cyfr umożliwiających otworzenie szafki. Wyjął niewielkie pudełko, które zabrał ze Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego. Mieszkaniec pojemnika zaczął od razu drapać w wewnętrzną ściankę.

Coraz bardziej zdenerwowany Bothanin pokonał kilkoma susami odległość od górnych drzwi dziobowej ładowni. Otworzył właz i ostrożnie zajrzał, żeby przekonać się, czy w pomieszczeniu nie przebywa żaden mechanik ani pilot.

Wyciągnął komputerowy notatnik, wpisał rozkaz i polecił go wysłać. W ciągu mniej więcej następnych pięciu minut zainstalowane w ładowni kamery miały przekazywać nieruchomy obraz pustego pomieszczenia.

Zbiegł po schodach na płytę lądowiska i wystukał jeszcze jedno polecenie. Kiedy rozkazał je wysłać, rozległ się cichy syk i otworzyła się owiewka kabiny jednego z X-wingów w środkowym rzędzie.

Tęponosa maszyna Buźki... Młynek się uśmiechnął. Zadał sobie niemało trudu, żeby zdobyć kody dostępu, hasła i rozkazy umożliwiające dostęp do kabin gwiazdnych myśliwców, osobistych szafek w szatni i kwater wszystkich pilotów Widm i członków załogi „Nocnego Gościa”. Mimo to uważał, że trud się opłacił. Stwarzał mu mnóstwo możliwości dobrej zabawy.

Podważył wieczko pudełka z egzotycznym insektem i obrócił pojemnik dnem do góry nad siedzeniem fotela pilota. Ze środka wyleciały okruchy trudnej do zidentyfikowania substancji, prawdopodobnie karmy. Chwilę później z pojemnika wysunęło się coś czarnego, ale nie był to insekt. Młynek złapał przedmiot, zanim spadł na fotel.

Był to niewielki, tani komputerowy notes, w rodzaju takich, których nie dawało się programować, a w pamięci można było zapisać tylko kilka informacji. Na ekranie pojawił się napis: STORINALSKI SZKLISTY SZPERACZ - ZASADY HODOWLI I KARMIENIA.

Młynek potrząsnął pojemnikiem i w końcu ze środka wypadł półprzeźroczysty insekt. Przebierając odnóżami, przycupnął na siedzeniu fotela. Spojrzał na Bothanina, jakby pragnął ocenić, czy nadaje się do jedzenia. Dopiero po kilku sekundach powoli się obrócił i zaczął zapoznawać z nowym otoczeniem.

Młynek wystukał na klawiaturze komputerowego notatnika jeszcze jedno polecenie i owiewka kabiny myśliwca Bużki się zamknęła. Na właściciela czekała niespodzianka. Bothanin miał nadzieję, że storinalski szklisty szperacz zaszyje się w kącie i zaczeka, aż pilot wskoczy do kabiny, a może nawet znajdzie się w przestworzach. Kiedy Bużka się zorientuje, że spaceruje po nim paskudny mały robal, pewnie wyda kilka ciekawych dźwięków.

Bużka i Phanan rozmieścili szpiegowskie satelity bez przeszkód, ale kiedy wrócili po wykonaniu zadania, Garik nie zameldował o znalezieniu w kabine egzotycznego stworzenia.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Młynek dyskretnie go obserwował. Szukał jakiegoś znaku, który pozwoliłby mu się domyślić, że pilot przypadkiem zmiażdżył insekta na siedzeniu fotela, ale na kombinezonie Bużki nie zauważył mokrej plamy ani zgniecionego egzoszkieletu.

Korzystając z następnej okazji, Bothanin zakradł się znów do dziobowej ładowni „Nocnego Gościa”, otworzył owiewkę kabiny tęponosego myśliwca Garika i kilka minut przeszukiwałabinę pilota. Nigdzie nie znalazł insekta. Przeszukał nawet niewielki przedział bagażowy X-winga, ale nadaremnie.

Ciężko westchnął. Taka okazja przepadła! Niewdzięczny robal. Młynek pomyślał, że następnym razem powinien wybrać stworzenie bardziej agresywne i hałaśliwe, na którego widok Bużkę ogarnie chęć katapultowania się w przestworza w trakcie wykonywania ważnego zadania.

W nocy obudził się, pewny, że słyszy chrobotanie o drzwi swojej kabiny.

W pierwszej chwili pomyślał, że to sen, potem jednak znów to usłyszał. Drap, drap, drap. Dźwięk brzmiał dokładnie tak samo, jak kiedy storinalski szklisty szperacz usiłował się wydostać z pojemnika.

Młynek wstał i podszedł na palcach do drzwi, ale dźwięk się nie powtórzył. Wyrzwał na korytarz, lecz nie zauważył niczego i nikogo, jeżeli nie liczyć Phana, który stał przed drzwiami swojej kabiny.

Bothanin ziewnął.

- Niczego nie słyszałeś? - zapytał.

Cyborg obrzucił go zdezorientowanym spojrzeniem.

- Zawsze wychodzisz na korytarz nago w środku nocy, żeby zadawać podobne pytania? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nic podobnego - odrzekł urażony Bothanin. - Naprawdę nie słyszałeś niczego podejrzanego przed kilkoma sekundami?

- No cóż, prawdę mówiąc, słyszałem - przyznał Phanan. - Jakiś chrobot, jakby po korytarzu przebiegł niewielki gryzoń.

Młynek zerknął podejrzliwie w prawo i w lewo, a później odwrócił się i starannie zamknął za sobą drzwi kabiny.

Jedenaścioro członków Eskadry Widm - wszyscy z wyjątkiem Tyrii, która musiała zwrócić X-

winga Phananowi - wyskoczyło z nadprzestrzeni w systemie Todirium, tak blisko samej planety z siedzibą korporacji górniczej, na ile pozwoliły jednostki napędu nadświatłowego. Wszyscy zanurkowali w górne warstwy atmosfery mniej więcej sto kilometrów przed magazynami Zsinja, po czym zmienili kurs z zachodniego na południowy i obniżyli pułap lotu, żeby zmylić czujność operatorów miejscowych sensorów.

Trzydzieści kilometrów przed celem natknęli się jednak na niewielką osadę. Obok jednej z chat stała człekokształtna istota w niebieskim roboczym kombinezonie. Kiedy z rykiem silników przelatowali nisko nad osadą, istota uniosła głowę i spojrzała na nich z bezgranicznym zdumieniem.

- Możemy przez to stracić element zaskoczenia - odezwał się Antilles. - Mieście oczy szeroko otwarte.

- Dwadzieścia kilometrów - oznajmił Janson.

Przelecieli nad kilkoma drogami, z których większość wyglądała jak krzyżujące się w dole polne ścieżyny. Niemal nie odcinały się od brunatnego tła krajobrazu.

- Dziesięć kilometrów - zameldował zastępca.

- Zmniejszyć prędkość - rozkazał Wedge i ograniczył dopływ energii do jednostek napędowych X-winga. - Zablokować płaty nośne w położeniu bojowym.

W końcu przelecieli nad polami uprawnymi z roślinnością niesamowitej niebieskozielonej barwy, jakiej Wedge jeszcze nigdy nie widział i nawet nie przypuszczał, że istnieje. Pola były poprzecinane nawadniającymi kanałami, a niektóre drogi sprawiały wrażenie brukowanych.

- Pięć kilometrów - stwierdził Janson.

W pewnej chwili Szlaban, astromechaniczny robot typu R5 tęponosego myśliwca Antillesa, ostrzegawczo zaświergotał na znak, że ktoś usiłuje ich namierzyć za pomocą promienia kierunkowych sensorów.

- Rozdzielić się na klucze - polecił dowódca. - Najpierw rozprawimy się z zagrożeniem, a dopiero później pomyślimy o wykonaniu głównego zadania.

Cztery pary X-wingów zmieniły kurs i zaczęły się oddalać od myśliwca Antillesa, obok którego pozostał tylko tymczasowy skrzydłowy, Donos. Lecieli pewien czas nowym, szerszym szykiem.

Chwilę później dostrzegli zagrożenie. Nad skrajem głównego osiedla planety unosiła się linia repulsorowych wehikułów... Były pękate i o połowę krótsze niż tęponose myśliwce, ale sterujące z rufowych sekcji blasterowe działka wyglądały na potężne i niebezpieczne. Wrażenie to potęgowały czerwone i żółte pasy wymalowane na korpusach.

- Ultralekkie - stwierdził Janson.

Wedge zmarszczył brwi. Ultralekkie Pojazdy Szturmowe, zwane w skrócie ULPS-ami, wciąż jeszcze były stosowane przez Nową Republikę - chociaż niechętnie - na zacofanych pod względem rozwoju technicznego planetach w rodzaju tej, którą chcieli zaatakować, Repulsory zazwyczaj spotykanych ULPS-ów nie dysponowały wystarczającą mocą, żeby unieść pojazdy ponad dachy domów, wszystko jednak wskazywało, że na pokładach tych wehikułów zainstalowano silniki o wiele potężniejsze.

- „Piątka” i „Szóstka”, zwrot w lewo - rozkazał Antilles. - „Jedenastka” i „Dwunastka”, w prawo. Przygotujcie się do wzięcia tych celów w krzyżowy ogień. Wszyscy inni, wykonywać uniki i kierować się w stronę głównego celu. Zachowajcie ostrożność. Te rufowe działka wyglądają naprawdę nieprzyjemnie.

Słuchając potwierdzeń pilotów, skręcił tak ostro, że bakburtowe skrzydła jego X-winga

skierowały się ku powierzchni gruntu. Kręcąc beczkę, leciał dalej w stronę głównego celu. Sensory informowały, że Donos trzyma się cały czas blisko ogona jego maszyny.

Z dziobowych działek ULPS-ów wyskoczyły błyskawice laserowych strzałów, ale dwa promienie, pochłonięte przez dziobowe pola ochronne, urwały się jakieś dwadzieścia metrów przed X-wingiem Antillesa.

Ułamek sekundy później dowódca Widm i jego skrzydłowy śmignęli nad linią obrońców. Stwierdzili, że rzeczywiście ULPS-y unoszą się na wysokości dziesięciu metrów dzięki ulepszonym repulsorom. Między wehikułami a pierwszymi domami znajdowały się stanowiska artylerii - niewielkie samobieżne wyrzutnie pocisków, zapewne pospiesznie zwrócone w kierunku, skąd nadlatywały myśliwce Widm. Artylerzyści przyglądali się przelatującym nad nimi maszynom z otwartymi ustami. Wyglądało na to, że zaskoczyła ich szybkość, z jaką tęponose myśliwce śmignęły z rykiem nad ich głowami.

Wedge cały czas obracał myśliwiec w locie. Kiedy przeleciał nad linią obrońców, do życia obudziły się blasterowe działka zainstalowane na rufach ULPS-ów. Niebo rozjaśniły błyskawice strzałów. Jeden artylerzysta okazał się na tyle dobrym strzelcem, że wystrzelona przez niego błyskawica musnęła rufowe pola ochronne X-winga Antillesa.

Nagle dowódca Widm usłyszał głos Prosiaka:

- „Piątka”, zalecam, żebyś...

- „Dwunastka”, żadnych uwag osobistych - przerwał mu ostro Wedge. Jeżeli zamierzali udawać pilotów Eskadry Łotrów, nie mógł pozwolić, żeby Gamorreanin służył komukolwiek radami, jak się zachować w danej sytuacji.

- Rozkaz, proszę pana - odparł skruszonym tonem Prosiak.

- Och, nie bądź taki zasadniczy, Tycho - odezwał się Buźka.

- To samo dotyczy i ciebie, „Ósemka” - burknął Wedge, ale kiedy wyłączył mikrofon komunikatora, uśmiechnął się do siebie. Garik wybrał chyba najbardziej odpowiednią chwilę, żeby popełnić rzekomy błąd i zwrócić się do dowódcy po imieniu.

- Rozkaz, proszę pana - odparł Buźka.

- Dowódco, tu „Jedenastka”. Bierzymy nieprzyjaciół w krzyżowy ogień.

Lecący za Antillesem i Donosem piloci obu grup X-wingów zaatakowali linię ULPS-ów i samobieżnych stanowisk artylerii z dwóch stron równocześnie. Błyskawice ich laserowych strzałów przecięły niebo niczym czerwone nożyce. Nieboskłon rozjarzył się na nowo, kiedy jedno z ruchomych stanowisk artylerii malowniczo eksplodowało.

Wedge zerknął na dalmierz i stwierdził, że do głównego celu pozostał zaledwie kilometr. Widział prosto na kursie brązowy magazyn, który zarejestrował Buźka podczas rzekomych oględzin gotowego do transportu ładunku durastali. Wziął budynek na cel i wystrzelił, gdy tylko kwadrat na ekranie monitora celowniczego komputera rozjarzył się czerwonym blaskiem.

Protonowa torpeda dotarła do celu szybciej, niż zdołałby śledzić ją spojrzeniem. Wleciała przez okno pierwszego piętra, a kiedy eksplodowała w środku, dach magazynu uniósł się w powietrze i przeistoczył w chmurę szczątków. Chwilę później w to samo miejsce trafiły torpedy lecących za nim pięciorga innych Widm. Kiedy Wedge zadarł dziób myśliwca i zawrócił, szczątki magazynu wyglądały jak kłęb dymu, z którego strzelały snopy jaskrawego światła. Chmura dymu rozprzestrzeniała się tak szybko, że chociaż zmienił kurs, nie zdołał jej ominąć.

Zobaczył czerwony blask i o kadłub X-winga zagrzechotały szczątki muru. Kiedy wyleciał

z chmury, dalej nabierał wysokości. Rzut oka na diagnostyczny pulpit powiedział mu, że gaśnica jednego z silników sygnalizuje uszkodzenie. Prawdopodobnie oznaczało to, że do środka dostał się jakiś odłamek, co w przyszłości mogło mu przysporzyć zmartwień.

- Wszystkie jednostki, meldować stan - rozkazał.

- „Dziewiątka” cały i zdrowy - usłyszał w odpowiedzi. - Ale ty masz kilka nowych wlotów powietrza, dowódco.

- Daj mi znać, jeżeli zobaczysz, że coś z nich wylatuje, „Dziewiątka” - odparł Antilles.

- Tycho, tu „Jedenastka” - odezwał się inny pilot. - Ich linia obronna przestała istnieć. Wygląda na to, że stanowiska artylerii popełniły bratobójstwo.

Wedge się skrzywił. Meldunek „Jedenastki” oznaczał, że kiedy eksplodowało jedno stanowisko, sąsiednie poszły w jego ślady. Te eksplozje spowodowały zniszczenie pozostałych, bo ustawiono je zbyt blisko obok siebie. obrońcy zastosowali niezbyt błyskotliwą taktykę walki. Prawdopodobnie obrali ją w pośpiechu zmuszeni szybkością ataku pilotów Widm.

- „Czwórka” melduje, że wszystko w porządku.

- Tu „Trójka”. Straciłem jedno działko laserowe, a płyty nośne mojego myśliwca stawiają jakby większy opór.

- Tu „Dwunastka”, jestem nietknięty. Dowódco, główny cel wygląda jak krater wulkanu.

Pozostali także złożyli meldunki. Wynikało z nich, że niektóre myśliwce zostały lekko uszkodzone, ale żaden pilot nie odniósł najłżejszej rany.

- Doskonała robota, Łotry - zakończył Antilles. - Wynośmy się z tego miejsca.

Falynn wyglądała, jakby zjadła coś kwaśnego. Oparła łokcie na blacie konferencyjnego stołu, wsparła głowę na dłoniach, i sprawiała wrażenie zirytowanej.

- Sądziłam, że nic mnie to nie obejdzie - powiedziała - ale jednak nie daje mi to spokoju.

Wedge doszedł do przekonania, że pilotka z Tatooine nie mówi po - ważnie.

- Chodzi ci o to, że zasługa za atak na Todirium przypadnie pilotom Eskadry Łotrów? - zapytał.

- Właśnie.

- No cóż, w oficjalnym raporcie przypisze się ją właściwym osobom - obiecał. - A treść raportu zostanie ujawniona zaraz po zakończeniu tej wyprawy.

- Ja też chciałbym zgłosić jedną skargę - odezwał się Kell. - Trafiłem samobieżne stanowisko artylerii w sam środek, ale kiedy zawróciłem, żeby przystąpić do drugiego ataku, wszystkie ULPS-y stały w ogniu.

Wedge zmierzył go sceptycznym spojrzeniem.

- To jeszcze nie powód, żeby składać skargę - powiedział.

- Ale ja jeszcze nikogo nie zestrzeliłem podczas walki w przestworzach! - odparł Tainer. - Trzy loty bojowe i ani jednego zestrzelenia!

Pozostali skwitowali jego uwagę wybuchem śmiechu. Nagle odezwał się melodyjny kurant komunikatora Buźki. Garik włączył urządzenie.

- Słucham? - zapytał.

- Lorianie, tu mostek - usłyszał w odpowiedzi. - Za pośrednictwem HoloNetu przyszła wiadomość przeznaczona dla kapitana Darilliana. Chce z tobą rozmawiać admirał Trigit.

- „Nocny Gość” przyłączy się do korbety „Dusiciel” i fregaty „Prowokator” - odezwał się admirał. - Będziecie stanowili wysuniętą linię naszego zaopatrzenia. Kiedy wyskoczymy z nadprzestrzeni w systemie Morobe, piloci twoich myśliwców T1E dołączą do pozostałych.

Zapewnią im eskortę i osłonę.

- Rozumiem - odparł Buźka. - A pańscy piloci myśliwców T1E będą stanowili główną siłę szturmową?

- Zgadza się. - Ukazywany w postaci hologramu admirał Trigit pochylił się i ciągnął bardziej poufałym tonem: - Chciałbym cię o coś zapytać. Czy mógłbyś zapoznać mnie ze szczegółami swoich, jakby to powiedzieć, niezarejestrowanych przygód, jakie przeżywałeś po każdym lądowaniu?

Buźka zdrętwiał. Czyżby admirał się domyślał...

To niemożliwe. Pewnie tylko się dowiedział czegoś na temat prywatnych negocjacji, jakie kapitan Darillian prowadził rzekomo z polecenia lorda Zsinja. Gdyby Trigit podejrzewał, kim są naprawdę członkowie załogi „Nocnego Gościa”, z pewnością nie zdradziłby Buźce planów ataku na Talasę.

Garik przełknął ślinę.

- Panie admirale... - zaczął niepewnie. - Nie może pan tego ode mnie wymagać.

- Mógłbym sprawić, żeby ci się to opłacało - odparł Trigit.

- Panie admirale, proszę pozwolić mi wytłumaczyć. - Garik starał się skupić, żeby jego słowa zabrzmiały jak najbardziej wiarygodnie. Po pierwsze, gdybym sprzedał panu swój honor, nie zdołałbym go nigdy odkupić. Po drugie, chociaż może narażam się na pański gniew, ale proszę zrozumieć, że mam zamiar dochowywać wierności lordowi, dopóki pozostanę na jego służbie. Ludzie widząc moje śmieszne nawyki, prawdopodobnie uważają mnie za człowieka słabego charakteru, ale zapewniam pana, że jestem uczciwym oficerem i nie mam zwyczaju łamać danego słowa. Nie zamierzam zawieść zaufania swojego mocodawcy ani teraz, ani w przyszłości. - Zmierzył Trigita najbardziej stanowczym spojrzeniem, na jakie mógł sobie pozwolić w obecnej sytuacji, i zrezygnował z okazywania przesadnej pewności siebie, jaką zazwyczaj demonstrował kapitan Darillian. - Możliwe, panie admirale - podjął po chwili - że w przyszłości przestanę służyć pod rozkazami Zsinja. Możliwe także, że uznam pana za nowego mocodawcę. Jeżeli tak się stanie, po tej rozmowie może pan nabrać pewności, że zawsze pozostanę lojalny względem pana.

Trigit się wyprostował. Nie sprawiał wrażenia rozgniewanego.

- Słuszna uwaga, kapitanie - powiedział.

- Dziękuję, panie admirale - odparł z ulgą Buźka. - Muszę dodać, że z przyjemnością służyłbym pod pańskimi rozkazami. Dopóki jednak nie służę...

- Dopóki nie służysz, nie pozwólmy sobie na nic. co mogłoby przynieść uszczerbek na twoim honorze. - Trigit obdarzył go nikłym uśmiechem. - Zdumiewasz mnie, Darillian.

- W przyszłości zamierzam to zrobić jeszcze nieraz, panie admirale.

- Bardzo dobrze. - Trigit łaskawie skinął Buźce głową. - Do zobaczenia w punkcie zbornym.

- Cieszę się na myśl o tym spotkaniu, panie admirale. Hologram Trigita zamigotał i zniknął.

Buźka obrócił fotel w stronę drzwi ośrodka łączności, gdzie stał w milczeniu Antilles.

- Mamy go - odezwał się dowódca.

Drap, drap, drap.

Młynek obudził się tak raptownie, jakby ktoś wylał na niego kubek zimnej wody. Znowu usłyszał ten sam dźwięk. Tym razem nie mógł się łudzić, że mu się przyśniło. Od czasu do czasu słyszał wyraźny chrobot.

Drap, drap, drap.

Otworzył drzwi na korytarz, ale nikogo ani niczego tam nie zauważył.

Drap, drap, drap.

Tym razem dźwięk wydobywał się z sufitu... Kilka sekund dochodził z jakiegoś punktu nad łóżkiem, spoza durastalowej płyty, ale zaraz znów się urwał.

Młynek zaczął przeszukiwać stos osobistych rzeczy i wyciągnął komputerowy notes, który wypadł z pojemnika storinalskiego szklatego szperacza. Zaczął czytać zawarte tam informacje: czym karmić stworzenie, ile godzin każdej standardowej doby powinno być trzymane w pomieszczeniu oświetlonym, a ile w ciemności, jaki zakres temperatury najbardziej lubi, jak odróżniać samca od samicy...

Ani słowa o tym, jak insekt mógłby się wydostać z kabiny X-winga i trafić do zupełnie obcej kwatery, żeby odszukać mężczyznę, który zabrał go z rodzinnej planety.

Bothanin sprzął komputerowy terminal z głównym komputerem pokładowym „Nocnego Gościa”. Nie liczył specjalnie na to, że w encyklopedii znajdzie jakiegokolwiek informacje na temat tego stworzenia, ale musiał się upewnić...

Niemal od razu natrafił na hasło Storinalski szklisty szperacz.

Poleciał wyświetlić informacje na ekranie monitora.

Z początku nie zobaczył nic, czego nie dowiedział się wcześniej z instruktażowego notesu. Dopiero po kilku sekundach natrafił na skomplikowany hologram przedstawiający widok organów wewnętrznych stworzenia. Umieszczone na obudowie monitora pokrętła umożliwiały obracanie wizerunku we wszystkie strony i oglądanie budowy organów w dowolnym powiększeniu.

Na samym dole ekranu widniał odnośnik do innego hasła. Młynek był tak zaskoczony, że przeczytał go na głos:

- Zobacz również: „Storinalski kryształowy szachraj”.

Postanowił tam zajrzeć i czując ogarniające go przerażenie, przeczytał, co następuje:

Storinalski kryształowy szachraj, często mylony z najbliższym spokrewnionym storinalskim szklistym szperaczem, jest stworzeniem o wiele rzadziej spotykanym i o wiele bardziej niebezpiecznym.

Młynek postanowił pominąć opis naturalnego środowiska insekta i czytał dalej:

Szczęki kryształowego szachraja wydzielają truciznę, która stanowi poważne zagrożenie zarówno dla rodzimych form storinalskiego życia, jak i dla ssaków z innych planet. Insekt żywi się stworzeniami, które polują na szklatego szperacza albo po prostu okazują mu zainteresowanie. Pragnąc zwabić niczego nieświadomego nieszczęśnika, szachraj naśladuje ruchy szperacza, upodabnia się do niego i czeka, aż ofiara schwyta rzekomo nieszkodliwego krewniaka. Dopiero wówczas zaczyna się zachowywać jak prawdziwy drapieżnik. Działa szybko i bezwzględnie. Bez trudu unika wszelkich ataków i bezlitośnie gryzie napastnika. W skład jego trucizny wchodzi silny środek paraliżujący, po którym ofiara staje się bezradna jak małe dziecko, dzięki czemu stworzenie dosłownie pożera ją żywcem.

Kryształowy szachraj jest szczególnie niebezpieczny dla wszelkich ssaków z powodu niezwykle rzadko spotykanej umiejętności zapamiętywania zapachów. Jeżeli zapozna się z wonią jakiegokolwiek ssaka, zapamięta go na resztę życia i będzie podążał za nim, ilekroć natknie się powtórnie na ten sam zapach. Znane są liczne przypadki, kiedy stworzenie korzystało z tej niebezpiecznej zdolności. Po spotkaniu na wolności z miłośnikiem przyrody podążało za nim i atakowało ofiarę w jej miejscu zamieszkania.

Trucizna tego insekta nie jest niebezpieczna dla zdrowego osobnika, ale życie ofiary

zaatakowanej przez kryształowego szachraja daje się uratować tylko pod warunkiem, że stworzenie nie zdażyło pochłonąć nieodwracalnej ilości masy ciała ofiary.

Nie. Młynek pokręcił głową. Z etykiетки na pojemniku wynikało, że znajduje się w nim szklisty szperacz. Przedstawiciele korporacji, którzy schwytali insekta, żeby dokonywać na nim doświadczeń, na pewno by się nie pomylili i zamiast niego nie umieścili w pojemniku kryształowego szachraja.

Wstrząśnięty do głębi Bothanin wyłączył komputerowy terminal i oświetlenie kabiny, po czym położył się do łóżka.

Drap, drap, drap.

Młynek znów włączył oświetlenie. Tym razem odgłos wydobywał się z przepierzenia obok łóżka.

Wstał i uważnie obejrzał ściankę działową. Czyżby miała szczeliny, przez które mogłoby się przecisnąć nieduże stworzenie?

Na pewno! W niektórych ściankach zainstalowano gniazda sieci elektrycznej. Musiały także istnieć niewielkie szpary w spawach łączących durastalowe płyty. A jeśli chodzi o źródła światła w suficie, z pewnością roilo się wokół nich od takich otworów. Mimo wszystko, „Nocny Gość” nie był nowym okrętem. W każdej kabinie istniało wiele szczelin, przez które mógł się przecisnąć niewielki insekt.

Młynek wyskoczył na korytarz i podbiegł do drzwi kabiny Phanana. Cyborg zareagował dopiero, kiedy Bothanin zapukał trzeci raz. Otworzył drzwi kabiny i spojrzał groźnie jedynym okiem.

- O co chodzi? - burknął, wyraźnie rozespany.

- Masz jeszcze ten pojemnik ze szczeliwem, którym posługiwaliśmy się na Storinalu? - zapytał Młynek.

- Widzę, że tym razem nie zapomniałeś owinać się ręcznikiem zauważył Phanana.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odparł Bothanin. - Masz ten pojemnik?

- Tak.

- Możesz mi go dać?

- Czyżby wydarzyło się coś, co zmusza cię do uszczelnienia jakiejś szpary w środku nocy?

- Właśnie. Phanana westchnął.

- No cóż - powiedział z rezygnacją. - Zaczekaj. Wrócił po minucie z pojemnikiem i wręczył go rozmówcy.

- Dzięki, Ton - odparł z wyraźną ulgą Młynek. - Jestem twoim dłużnikiem.

- Jesteś mi winien mniej więcej godzinę snu - poinformował cyborg.

- Kiedyś postoję zamiast ciebie na wachcie - obiecał Bothanin.

Wrócił do kabiny i następną godzinę spędził, metodycznie uszczelniając wszystkie, nawet najmniejsze szczeliny i otwory w suficie, ścianach i podłodze... naturalnie z wyjątkiem otworów wentylacyjnych. Umieścił w nich odizolowane kable sieci elektrycznej. Gdyby chciało się tamtędy przedostać jakiegokolwiek stworzenie, zostałoby porażone prądem elektrycznym. Pracując w pocie czoła, nasłuchiwał, ale ani razu nie usłyszał złowieszczonego skrobienia. Miał nadzieję, że robał sobie poszedł.

Kiedy skończył, wyłączył oświetlenie kabiny i rzucił się na łóżko.

Tym razem nie usłyszał żadnego dźwięku.

Zajęło mu to całą godzinę, ale w końcu zasnął.

Drap, drap, drap.

Z początku był zbyt rozespany, żeby uświadomić sobie zagrożenie. Prawdę mówiąc, był tak

nieprzytomny, że zapomniał, jak się nazywa. W końcu jednak przypomniał sobie jedno i drugie.

Drap, drap, drap.

Tym razem dźwięk brzmiał o wiele wyraźniej i głośniejsze, zupełnie jakby nic go nie tłumilo. Stworzenie musiało się znajdować w jego kabynie!

Młynek poczuł, że zalewa go fala lodowatej trwogi. Z pewnością kryształowy szachraj dostał się do jego kabiny, kiedy wybiegł na korytarz, żeby poprosić Phanana o pojemnik ze szczeliwem.

A obecnie był w niej uwięziony. Razem z nim. Nie mógłby się z niej wydostać, nawet gdyby bardzo chciał.

Tyle że raczej nie chce, pomyślał ogarnięty paniką Bothanin. Będzie chodził po nim, ugryzie go i zacznie się żywić jego sparaliżowanym ciałem...

Młynek jęknął i wyciągnął rękę, żeby włączyć nocną lampkę stojącą na blacie małego stołu.

Usłyszał cichy trzask, ale oświetlenie się nie włączyło.

Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu, ale nie zobaczył nawet zielonkawej poświaty, jaka zazwyczaj sączyła się z podświetlanego włącznika komputerowego terminala.

Oznaczało to awarię sieci elektrycznej doprowadzającej prąd do jego kabiny. Czyżby stworzenie przegryzło kabel, żeby zaatakować go pod osłoną ciemności? Niemożliwe. Przecież zostałyby porażone.

A może było tak sprytne... Nie. To wykluczone.

Może to wszystko mu się tylko przyśniło?

Drap, drap, drap.

Tym razem insekt hałasował pod jego łóżkiem!

Młynek wrzasnął i zeskoczył na podłogę. Po omacku przebiegł odległość dzielącą go od drzwi, ale zderzył się z płytą, zanim jeszcze sobie uświadomił, że się przed nią znalazł. Uderzył otwartą dłoń w przycisk otwierający drzwi, ale masywne tafle ani drgnęły.

Przyłożył dłoń do płyty blisko miejsca, w którym kryła się w ścianie. Napał i pchnął, starając się osiągnąć dzięki naciskowi palców i tarcia ten sam skutek, jaki zazwyczaj zapewniały serwowatory. W końcu zdołał rozsunąć ciężkie płyty... zaledwie na centymetr. Przez szczelinę zobaczył wycinek pustego korytarza.

Drap, drap, drap.

Tym razem dźwięk dobiegał z za jego pleców. Czyżby wciąż spod łóżka? A może krwiożerczy insekt, niepewnie stawiając półprzezroczyste kończyny na śliskiej podłodze, siedł ku niemu z ociekającymi jadem szczękami, gotowymi do zatopienia w jego ciele?

Młynek wsunął palce w szczelinę między płytami, napał z całej siły i w końcu rozsunął je do końca.

Zanim jednak wyskoczył na korytarz, z góry spadła na jego głowę skrzecząca, półprzezroczysta galareta.

Młynek wrzasnął. Chciał się cofnąć, ale potknął się i runął na plecy. Poczuł jeszcze, że tył jego głowy uderza o podłogę...

...i pogrążył się w mrocznym niebycie.

ROZDZIAŁ 26

- Wydaje mi się, że przeżył coś w rodzaju silnego wstrząsu. Może coś więcej powiedzą nam wyniki badań.

Sądząc z brzmienia głosu, słowa wypowiedział Phanan. Młynek widział słaby blask, sączący się przez zamknięte powieki. Ostrożnie je otworzył.

Zobaczył sufit podobny do tego, jaki miał w swojej kabinie, ale zorientował się, że leży na pryczy w izbie chorych „Nocnego Gościa”. Obrócił głowę i ujrzał stojącego obok drzwi Phana. Lekarz rozmawiał z Antillesem i Bużką, którzy stali obok otwartych drzwi, a także Kellem i Jansonem, którzy czekali na korytarzu. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zaniepokojonych.

Kell pierwszy zareagował na ruch jego głowy. Spojrzeli na niego także pozostali.

- Ach, nareszcie - odezwał się Phanan. - Jak to dobrze, że w końcu się obudził. Nie będę musiał niczego amputować.

Przerażony Młynek wsparł się na łokciu.

- Czego nie będziesz musiał amputować? - zapytał.

- No cóż, wygląda na to, że w najgorszym stanie znajduje się twoja głowa - odparł bez troski uśmiechnięty cyborg.

Bothanin pogładził się po twarzy, jakby zamierzał się upewnić, czy nie pozostały na niej szczątki robala.

- Nie żartuj - odezwał się z urazą. - Zostałem zaatakowany.

- Przez kogo? - zainteresował się Antilles.

- Storinalskiego kryształowego szachraja - wyjaśnił Młynek. - To taki robak. Podobny do szklatego szperacza, ale o wiele bardziej niebezpieczny.

Piloci Widm spojrzeli po sobie z powątpiewaniem. Młynek poczuł, że zaczyna go ogarniać irytacja.

- Możecie poczytać sobie o nim w encyklopedii pokładowego komputera - powiedział. - A jeżeli nie uśmierciłem tego potwora, krąży w tej chwili gdzieś po okręcie. Może się ukrył za jakimś przepierzeniem?

Phanan podszedł do terminala i zaczął wystukiwać polecenia. Przeglądał pewien czas różne katalogi, a w końcu wzruszył ramionami.

- Nie ma tu niczego na temat kryształowego szachraja - powiedział.

- To odnośnik do hasła o szklistym szperaczu - odpowiedział Bothanin.

- W encyklopedii nie ma żadnej informacji na temat szklatego szperacza - stwierdził cyborg.

Młynek niepewnie wstał z pryczy i podszedł do monitora. Spojrzał na ekran ponad ramieniem lekarza.

Phanan miał rację. W bazach danych pokładowego komputera nie zapisano ani jednej informacji na temat jakiegokolwiek formy życia ze Storinala.

- A może to był sen? - podsunął Phanan. - Prawdopodobnie wywołany długotrwałym napięciem.

Jeszcze tę noc powinieneś spędzić w izbie chorych, żebym mógł cię obserwować.

- Nic mi nie jest - warknął Bothanin.

- Posłuchaj go - odezwał się z naciskiem Wedge. - Młynku, twój wrzask poderwał na nogi połowę osób na pokładzie okrętu. Albo zgodzisz się wypełniać polecenia lekarza, albo uznam cię za niezdolnego do latania.

- Panie komandorze, ten robił to prawdziwy zabójca - odparł Młynek. - Gryzie ofiary i paraliżuje je, a kiedy nie mogą się poruszać, żywcem je pożera. Jeżeli nie zarządzi pan poszukiwań i go nie zabije, urządzi sobie ucztę z członków załogi „Nocnego Gościa”.

Wedge spojrział na Phanana, który pokręcił głową.

- Wydałem ci wyraźny rozkaz - powiedział Antilles. - Masz się przespać.

Zanim wyszedł, gestem dał znak pozostałym pilotom Widm, żeby mu towarzyszyli.

Janson podążył za nim, ale Bużka został w izbie chorych, żeby zamknąć drzwi za ich plecami.

- Bużko, co mam zrobić, żebyś mi uwierzył...

- Usiądź - rozkazał Garik władczy tonem. Młynek podszedł do pryczy i klapnął na materac.

- Proszę... - zaczął.

- Pozwól najpierw, że coś ci pokażę.

Garik wyjął z kieszeni kombinezonu byle jak sklecony niewielki mechanizm. Młynek rozpoznał standardowy głośnik, wymontowany zapewne z używanego przez Nową Republikę komunikatora, miniaturową baterię i kilka spiralnie skręconych cienkich kabli.

Bużka zetknął ze sobą odizolowane końcówki dwóch przewodów.

- Drap, drap, drap - wydobyło się z głośnika.

Młynek uświadomił sobie, że stoi, choć nie pamiętał, żeby wstawał. Niepewnie ruszył w stronę Garika.

- Ty... ty...

Phanan chwycił go za ramiona i zmusił, żeby znów usiadł. Bothanin z początku się opierał, ale w końcu spiorunował lekarza wściekłym spojrzeniem.

- O co tu, do diabła, chodzi? - zapytał.

- Czas zapłaty - oznajmił zwięźle Bużka. - Możesz zaprzeczyć, że to ty umieściłeś robala w kabinie mojego X-winga?

- Ja... co takiego? - zachnął się Młynek. - Jakiego robala? Nie mam pojęcia, o czym... - Zobaczył nieubłagany wyraz twarzy rozmówcy i postanowił zrezygnować z udawania. - No dobrze. To byłem ja - przyznał w końcu. - I co z tego?

- A to, że jesteś także autorem wszystkich poprzednich dowcipów odparł Garik. - Pamiętasz tego manekina w szafie Falynn? Przypomnij sobie także skaczące rury i druty w szafce na ubrania Kella. Przypomnij sobie mnóstwo innych dowcipów. A cały czas potępiałeś autorów takich żartów.

- Wcale nie byłem ich autorem - obruszył się Bothanin.

- Nikt inny nie mógłby tego zrobić bez zostawienia śladów w pamięci pokładowego komputera - stwierdził oskarżycielskim tonem Bużka. - Łamałeś wszelkie możliwe zabezpieczenia i czytałeś hasła, dzięki którym mogłeś tego dokonywać.

Młynek zacisnął zęby i nie odpowiedział. Bużka wzruszył ramionami.

- Jak powiedziałem, nadszedł czas zapłaty - dodał po chwili. - W ten sposób daję ci do zrozumienia, że mi się to nie podoba. Zamierzam cię zmusić do rezygnacji z takich żartów. To najmniejsza możliwa zapłata, jaką mogę sobie wyobrazić.

- Jak to zrobiliście? - odezwał się w końcu Młynek.

- Co konkretnie cię interesuje? - zapytał Buźka.

- Wszystko.

Garik wyszczerzył zęby w triumfującym uśmiechu.

- Zacznijmy od tego, jak szklisty szperacz wygramolił się spod mojego siedzenia i zaczął spacerować po mnie...

- Właśnie - podchwycił Bothanin. - Dlaczego wtedy nie zareagowałeś?

- W pierwszej chwili pomyślałem, że to robił Phanana - wyjaśnił Buźka.

Młynek odwrócił się do lekarza ze zdumioną miną. Cyborg wzruszył ramionami.

- Pamiętasz, kiedy wymykaliśmy się ze Scoharskiego Instytutu Ksenomedycznego? - zapytał. - Przechodziliśmy obok stosu pojemników z tymi insektami. Oklejająca je taśma była przecięta albo rozerwana, więc po prostu zabrałem jeden pojemnik z takim robalem. Zawsze interesowałem się insektami... od czasów, kiedy jako chłopiec nauczyłem się, że dziewczęta piszczą na ich widok. Zamknąłem tego robaka w klatce i trzymałem w kabinie. Buźka jest moim skrzydłowym i od czasu do czasu do mnie wpada. Wiedział, że zabrałem insekta z instytutu, więc nie był zdziwiony, kiedy zobaczył go w kabinie myśliwca.

- Jak już ci wspomniałem, z początku sądziłem, że to jego robił podjął Garik. - Ograniczyłem moc wyjściową pokładowego komunikatora, żeby nikt inny mnie nie usłyszał, i powiedziałem mu, co znalazłem w kabinie swojego myśliwca. Postanowiliśmy przemycić go do jego kwatery tak dyskretnie, żeby Wedge niczego nie zauważył. Okazało się jednak, że jego robił siedzi nadal w klatce, więc zrozumieliśmy, że autorem kawału musi być ktoś inny. Dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać, jakim cudem żartowniś zdołał otworzyć owiewkę kabiny mojego czteroskrzydłowca, nie zostawiając absolutnie żadnych śladów. Musiał to zrobić ktoś, kto znał kod dostępu... A kiedy wyeliminowałem Cubbera i Kella, na polu bitwy pozostał już tylko jeden wyjątkowo uzdolniony włamywacz komputerowy. Ty.

Młynek skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. - Tak to jest, kiedy się chce być zbyt dobrym - mruknął. - A co z tym odgłosem drapania?

Buźka poklepał kieszeń, w której trzymał mechanizm z głośnikiem.

- To wszystko zasługa Kella - przyznał. - On także miał po dziurki w nosie tych dowcipów. Zmajstrował wszystkie te urządzenia i zainstalował je w twojej kabinie. Dostał się do wentylacyjnego kanału i wpuścił w głąb szczelin między przegrodami kilka takich urządzeń, sterowanych przez komunikator. Dzięki temu mogliśmy stwarzać wrażenie, że robił spaceruje w różnych miejscach, a nawet za drzwiami twojej kabiny. Kell skonstruował także sensor, który informował nas, ilekroć wyłączasz oświetlenie. Zbudował miniaturowy mechanizm i zainstalował go w taki sposób, żeby spadł ci na głowę, kiedy będziesz wychodził z kabiny. Wyłączył dopływ energii do twojego pokoju, ale ponownie go włączył, kiedy wrzasnąłeś i rozciągnąłeś się jak długi.

Moim pomysłem było natomiast uzupełnienie encyklopedii zapisanej w pamięci pokładowego komputera o dodatkowe hasła - ciągnął Buźka. - Dokonałem tego, korzystając z dostępu do ośrodka łączności „Nocnego Gościa”. Gdybyś zadał sobie trud włamania się do bazy danych, bez trudu byś zauważył, że oba hasła trafiły do encyklopedii stosunkowo niedawno. Prawdziwe dane wyciągnąłem z pamięci instruktażowego notesu, jaki znajdował się w pojemniku z robalem Phanana. Ton przeświecił insekta promieniami skanera, żeby sporządzić wizerunek jego organów wewnętrznych. Obaj wymyśliliśmy cały tekst na temat kryształowego szachraja. W rzeczywistości takie stworzenie

nie istnieje.

Młynek westchnął.

- No cóż, może naprawdę tylko chcieliście wyrównać rachunki powiedział, ale zaraz łypnął wściekle na lekarza. - To jednak wcale nie oznacza, że wolno ci było szpikować mnie narkotykami i pozbawiać przytomności. Tym razem naprawdę przesadziłeś.

Cyborg się uśmiechnął, ale minę miał groźną.

- Niczego takiego nie zrobiłem - stwierdził.

- Więc kto, jeśli nie ty? - nie dawał za wygraną Bothanin.

- Nikt. A ściślej... w pewnym sensie ty sam, Młynku... Po prostu zemdlałeś.

- Niemożliwe. Phanan pokiwał głową.

- Dzielny pilot Eskadry Widm zemdlał jak małe dziecko. Dopiero teraz jestem skłonny uwierzyć, że twoja kariera żartownisia dobiegła nieodwołalnie końca... W przeciwnym razie powiem wszystkim, że zasłałeś, kiedy zaatakował cię niewinny robaczek. Idę o zakład, że byłby to ciekawy temat do rozmów wszystkich Bothanek służących w Siłach Zbrojnych Nowej Republiki.

- Ty... ty...

- Chcesz się założyć? - zapytał Phanan. - A może wolisz pogodzić się z porażką i obiecać, że coś takiego już się nie powtórzy? Co ty na to?

Młynek opadł na pryczę, wyraźnie przygnębiony.

- Macie moją obietnicę - powiedział.

- No cóż - mruknął cyborg. - Więc przypuszczam, że kiedy jutro rano się obudzisz, będę mógł cię uznać za zdolnego do latania. - Lekarz wstał i się przeciągnął. - A tymczasem w ciągu tych kilku godzin, jakie zostały do rana, zamierzam się zdrzemnąć.

- Mynock - mruknął Bothanin, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

- Przestań mamrotać pod nosem, Młynku - skarcił go Phanan. Takie pomrukiwanie wpływa niekorzystnie na stan twojego zdrowia psychicznego.

Szczerząc zęby w wyjątkowo irytujący sposób, lekarz zostawił go w izbie chorych i zgasił oświetlenie. Drap, drap, drap...

- Bużko! - wrzasnął Bothanin. - Wracaj natychmiast i zabierz stąd to małe paskudztwo!

Zamierzali zastosować najbardziej wymyślny podstęp w historii.

Kapitan Hrakness siedział na mostku „Nocnego Gościa” na fotelu dowódcy. Miał na sobie jeden z mundurów kapitana Darilliana i nawet ufarbował włosy na taki sam kolor. Gdyby operator któregoś innego okrętu floty admirała Trigita skierował na mostek koreliańskiej korwety promienie wizualnego skanera, powinien zobaczyć osobę wyglądającą jak Darillian... pasującą do holograficznego wizerunku, jakie przekazywał Bużka, ilekroć kontaktował się z innymi kapitanami.

Garik pozostał na swoim stanowisku w ośrodku łączności, gotów do odegrania roli Darilliana, gdyby trzeba było porozmawiać z kimś przez komunikator. Jego wizerunek był przekazywany także na ekran głównego monitora mostka korwety. Spoglądając od czasu do czasu na niego, kapitan Hrakness z narastającą irytacją usiłował naśladować jego gesty i ruchy.

Kiedy do wyskoczenia z nadprzestrzeni zostało dziesięć minut, piloci Eskadry Widm wspięli się do kabin gwiazdnych myśliwców i zajęli wykonywaniem procedur przedstartowych. Wedge, Falynn, Janson i Atril siedzieli w kulistych kabinach myśliwców T1E, a pozostali zajęli miejsca w kabinach X-wingów.

Wyskoczyli z nadprzestrzeni mniej więcej sto lat świetlnych przed Morobe, w innym systemie,

w którym rolę słońca pełnił biały karzeł.

„Nocny Gość” pojawił się ostatni. Kiedy powrócił do normalnych przestworzy, unosiły się przed nim: gwiazdny niszczyciel „Nieubłagany”, imperialna fregata eskortowa „Prowokator” i koreliańska korweta „Dusiciel”. „Prowokator” wisiał nieruchomo w sporej odległości przed dziobem gwiazdowego niszczyciela, a „Dusiciel” dość blisko po stronie bakburty i trochę za rufą „Prowokatora”. Nie czekając na potwierdzenie admirała Trigita, kapitan Hrakness zmienił kurs, żeby zająć podobną pozycję za rufą „Prowokatora”, ale po stronie jego sterburty.

Minutę później przed Bużką rozjarzył się hologram Trigita.

- Witam, kapitanie Darillian - odezwał się admirał. - Widzę, że od czasu naszej ostatniej rozmowy w cztery oczy twój profil uległ wyraźnej zmianie, jeżeli mogę tak powiedzieć.

Bużka obrócił głowę, żeby obiektyw holograficznej kamery mógł zarejestrować jego profil.

- Wydaje mi się, że cały czas wygląda dokładnie tak samo - powiedział. - Jak profil niezmiernie przystojnego dostojnika. A może miał pan na myśli profil „Nocnego Gościa”?

- Właśnie o to mi chodziło - przyznał skwapliwie Trigita. - Widzę, że zdobyłeś gdzieś wahadłowiec i dokonałeś kilku modyfikacji.

Bużka obrócił ponownie głowę w stronę obiektywu kamery i obdarzył rozmówcę konspiracyjnym uśmiechem.

- Wahadłowiec skonfiskowaliśmy pewnemu piratowi - wyjaśnił. A te kapsuły ratunkowe po obu stronach kadłuba to w rzeczywistości moje myśliwce typu T1E, panie admirale. Sam wpadłem na ten pomysł. Od tej pory wystrzelenie wszystkich czterech zajmuje mi zaledwie sekundę, a nie minutę, jak poprzednio. Jeżeli pan chce, wydam rozkaz mechanikom, żeby poszukali w schowku dokumentacji tych przeróbek. Mogę przesłać ją i panu, i kapitanowi „Dusiciela”.

- Bardzo chętnie - ożywił się admirał.

- A jeżeli już mowa o zmianach, czy coś się zmieniło w naszym zadaniu? - zapytał Bużka.

- Nie. - Trigita pokręcił głową. - Możemy skakać, kiedy tylko zajmiecie swoją pozycję.

- To potrwa najwyżej półtorej minuty - zapewnił Garik. - Zaczekamy na pański sygnał.

Holograficzny wizerunek Trigita zniknął.

Siły Zbrojne Nowej Republiki mogły wprawdzie zaatakować flotę admirała jeszcze w przestworzach tego systemu... ale skoro, przynajmniej w teorii, współrzędne punktu spotkania znali tylko kapitanowie jego okrętów, od razu by się wydało, że jeden z nich jest zdrajcą. Nie miałoby to wielkiego znaczenia, gdyby wszystkie okręty floty Trigita zostały zniszczone albo przechwycone przez flotę Nowej Republiki, ale gdyby chociaż jeden zdołał się wymknąć z pola walki, piloci Widm nie mogliby dłużej udawać zwolenników Imperium. Z drugiej strony, gdyby zaatakowali dopiero w systemie Morobe, ale coś potoczyło się nie po ich myśli, mogliby obarczyć całą winą podstępnych Rebeliantów.

Nagle Bużka usłyszał cichy trzask i do życia obudził się jego komunikator.

- Zajmuję pozycję - zameldował kapitan Hrakness.

Garik westchnął. Bardzo ubolewał, że nie może przebywać obecnie w kabinie swojego X-winga, ale gdyby Trigita postanowił znów z nim porozmawiać, musiał udawać kapitana Darilliana. Kolejny raz pożałował, że jest tak dobrym aktorem.

Kiedy załoga „Nocnego Gościa” otrzymała z pokładu „Dusiciela” dodatkowe instrukcje, Bużka zauważył, że na komunikacyjnym pulpicie zapłonęło kilka światełek. Chwilę później pomruk silników korwety uległ lekkiej, ale wyraźnej zmianie. Wszystkie cztery okręty miały odtąd lecieć

z taką samą prędkością i tym samym kursem.

Minutę później wskoczyli do nadprzestrzeni.

Pięć minut przed dotarciem „Nieubłaganego” do granicy przestworzy systemu Morobe przed admirałem Trigitem pojawiła się pani porucznik Gara Petothel. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego, bo zgodnie z wymogami protokołu, skoro pełniła służbę w zagłębieniu dla personelu mostka gwiazdowego niszczyciela, powinna była najpierw uprzedzić go przez komunikator albo posłużyć się pokładowym interkodem.

- Mamy poważny problem, panie admirale - oznajmiła bez żadnego wstępu.

- Czy to coś, z czym musimy się uporać przed atakiem? - zapytał Trigit.

- Jeżeli się nie mylę, ten atak może przyczynić się do naszej zguby - oznajmiła bezceremonialnie kobieta.

Admirał zamrugał.

- Mów, o co chodzi, byle szybko - rozkazał.

- Analizowałam dane przekazywane przez projekt „Morrt” - zaczęła pani porucznik. - Wynika z nich, że należąca do systemu Morobe Talasea jest prawdopodobnie planetą, na której wylądowali uciekinierzy z Folora.

- I co dalej? - przynaglił ją Trigit.

- Nikt nie skorelował danych przekazywanych z różnych gwiazdnych systemów z pasożytniczymi nadajnikami, które je przesłały, panie admirale - ciągnęła funkcjonariuszka. - Tymczasem, jeżeli poddać te dane obróbce statystycznej, można uzyskać bardzo ciekawe rezultaty. Osiemdziesiąt procent sygnałów wskazujących na Talaseę jako możliwe miejsce założenia nowej bazy rebelianckiej pochodzi z tych samych dwudziestu dwóch nadajników. Istnieje jedyne możliwe wyjaśnienie tego zadziwiającego zbiegu okoliczności. Pasożytnicze nadajniki musiały się przyczepiać do kadłubów gwiazdnych jednostek, które przeskakiwały tam i z powrotem między Talaseą a sąsiednimi systemami. A nawet kiedy przeskakiwały na kadłuby innych okrętów, miały do wyboru tylko takie, których kapitanowie postępowali tak samo.

Trigit nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy, ale poczuł lodowate ciarki wzdłuż kręgosłupa.

- Wygląda na to, że projekt „Morrt” osiągnął kres swojej użyteczności - stwierdził ponuro.

- Obawiam się, że tak, panie admirale - przyznała Petothel. Admirał odwrócił się do dowódcy „Nieubłaganego”.

- Panie kapitanie, proszę natychmiast wyskoczyć z nadprzestrzeni - rozkazał. - Natychmiast.

Kapitan, niepozorny mężczyzna z Coruscant, którego wygląd zadawał kłam inteligencji i kompetencji, nie tracił czasu na zadawanie głupich pytań. Obrócił głowę w stronę admirała, zauważył malującą się na jego twarzy powagę i kiwnął głową głównemu pilotowi.

Chwilę później widoczne przez dziobowe iluminatory nieskończenie długie, świetliste linie gwiazd przeistoczyły się w płonące jaskrawym blaskiem pojedyncze punkty. „Nieubłagany” wyskoczył z nadprzestrzeni wiele lat świetlnych przed systemem Morobe.

Kapitan gwiazdowego niszczyciela cicho odchrząknął.

- A co z pozostałymi okrętami naszej floty, panie admirale? - zapytał.

- Proszę polecić pełniącemu służbę oficerowi łącznościowcowi, żeby ogłosił alarm - odparł Trigit. - Powinien poinformować pozostałych kapitanów, że Talasea to pułapka. Mają natychmiast opuścić tam - ten system i powiadomić nas, kiedy się upewnią, że zdołali zgubić pościg. Nasz łącznościowiec ma przekazać tę wiadomość za pośrednictwem HoloNetu najszybciej, jak to

możliwe, i powtarzać ją dokładnie co dwadzieścia minut.

- Rozkaz, panie admirale.

Trigit rozsiadł się wygodniej na fotelu dowodzenia.

- Doskonała robota, Petothel - pochwalił ciepło. - Prawdopodobnie oszczędziłaś nam poważnych kłopotów.

Pani porucznik zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, odwróciła się bez słowa i pomaszerowała na swoje stanowisko w zagłębieniu mostka.

Admirał odprowadził ją spojrzeniem. Doszedł do wniosku, że jego podwładna jest kobietą niemal doskonałą. Była inteligentna, uzdolniona i urodziwa... a do tego zachowywała się z rezerwą, właśnie tak, jak lubił.

Może zgodziłaby się zostać jego osobistym oficerem łącznikowym, a kto wie, czy nie kochanką. Pomyślał, że gdyby miał z nią romans, nie musiałby się obawiać, że obdarzy go zbyt silnym uczuciem i wprowadzi zamęt w jego uporządkowane życie. Tak, to byłoby idealne rozwiązanie.

Uznał, że powinien się nad tym głębiej zastanowić.

Trzy pozostałe okręty jego floty wyskoczyły w systemie Morobe w parosekundowych odstępach. Talasea unosiła się w niewielkiej odległości przed ich dziobami, bo wracając do normalnych przestworzy, kapitanowie wykorzystali ciężar jej masy, a nie z góry określony odcinek czasu. Niemal natychmiast ze wszystkich okrętów zaczęły wylatywać myśliwce typu T1E: cztery spod kadłuba „Nocnego Gościa”, z miejsc, gdzie kiedyś znajdowały się kapsuły ratunkowe, cztery z dziobowej ładowni „Dusiciela” i dwadzieścia cztery z hangarów „Prowokatora”.

Za rufami okrętów floty Trigita nie pojawił się jednak „Nieubłagany”.

W pewnej chwili Bużka zauważył, że zapaliła się lampka wskaźnika HoloNetu, ale doszedł do wniosku, że z nową wiadomością powinien się zapoznać najpierw oficer łącznościowiec. Obawiał się, że gdyby odebrał ją osobiście kapitan Darillian, nadawca mógłby powziąć podejrzenia. Chwilę później z głośnika interkomu rozległ się głos Hraknessa:

- Uwaga, wszyscy członkowie załogi. Dowódca „Nieubłaganego” domyślił się, że to pułapka, i postanowił nie wskazywać do systemu Morobe. Pozostałe okręty mają zrobić zwrot, żeby wydostać się z cienia masy Talasei. Ostrzelamy ich, kiedy będą wykonywali manewr. Artylerzyści wszystkich dziobowych stanowisk sprzężonych baterii turbolaserów, przygotować się do ostrzelania silników i anten systemów telekomunikacyjnych „Prowokatora”. Operatorzy pojedynczych dział, bądźcie gotowi do otwarcia ognia do silników „Dusiciela”. Musimy ich powstrzymać do czasu pojawienia się Sił Zbrojnych Sojuszu. Nie namierzać, powtarzam, nie namierzać celów, dopóki nie wydam wyraźnego rozkazu. Nie możemy dopuścić, żeby kapitanowie włączyli generatory pól siłowych.

Zanim skończył mówić, Bużka poczuł, że „Nocny Gość” zmienia kurs i zawraca.

Przeprogramował komputer w taki sposób, żeby na jednej połowie ekranu głównego monitora był wyświetlany widok panoramy przestworzy przed dziobem okrętu, a na drugiej obraz przekazywany przez sensory. Na tle pola gwiazd zauważył zataczającą łuk korwetę, a nieco bliżej także zawracającą nieprzyjacielską fregatę, która powoli zaczynała wchodzić w zasięg dziobowych stanowisk artylerii „Nocnego Gościa”. Sensory pokazywały, że wszystkie trzy okręty zaczynają zwrot na bakburtę. Kapitanowie zamierzali zakończyć stuosiemdziesięciostopniowy zwrot w taki sposób, żeby obie korwety znajdowały się cały czas po bokach fregaty.

Bużka zaklął. Istniało spore prawdopodobieństwo, że zainstalowane na śródokręciu pojedyncze turbolasery „Nocnego Gościa” unieruchomią „Dusiciela” nawet z tak dużej odległości, ale trudno

było się spodziewać, żeby strzały z dziobowych baterii sprzężonych turbolaserów zdołały przebić pancierz osłaniający silniki o wiele potężniejszego „Prowokatora”. Wcisnął guzik pokładowego interkomu, żeby połączyć się z mostkiem.

- Panie kapitanie, tu Bużka - powiedział. - Zalecam, żeby natychmiast wypuścić atmosferę z dziobowej ładowni i otworzyć szeroko wrota, zanim zakończy pan manewr zawracania. Pozwoli nam to na oddanie do „Prowokatora” salwy czternastu, a może nawet szesnastu protonowych torped jeszcze podczas pierwszego ataku.

- Dzięki, Bużko - usłyszał w odpowiedzi. - Doskonały pomysł. Garik zerwał się z fotela i wypadł z ośrodka łączności. Ryzykując połamanie nóg, pędem zbiegł po schodach na niższy poziom. Pomyślał, że jeżeli się pospieszy, zdąży wpaść do dziobowej ładowni i wskoczyć do kabiny swojego X-winga, jeszcze zanim kapitan Hrakness wypuści stamtąd atmosferę...

Jednak kiedy uderzył otwartą dłoń w przycisk otwierający drzwi, płyty się przed nim nie rozsunęły. Płonąca nad drzwiami czerwona lampka dowodziła, że wrota ładowni już się otwierają. Wściekły Bużka grzmotnął pięścią w durastalową szarą taflę.

Kell czekał w ciemności na otwarcie wrót dziobowej ładowni. W końcu zobaczył wąski pionowy pasek usianych gwiazdami przestworzy. Obserwował, jak się poszerza, i wreszcie zauważył wyłaniającą się z lewej strony rufę „Prowokatora”. Zrozumiał, że „Nocny Gość” wykonuje trudny zwrot na bakburtę. Za nieprzyjacielską fregatą unosiła się nieprzyjacielska korweta, która robiła to samo.

- Przygotować się - powiedział.

Kapitan Hrakness oznajmił, że artylerzyści wszystkich dział dadzą ognia na jego rozkaz, ale musiał poczekać, aż piloci w dziobowej ładowni będą mieli czyste pole ostrzału.

Kell bardzo się starał, ale nie potrafił uspokoić oddechu. Chwytał powietrze coraz szybciej i z coraz większym trudem, tak głośno, że słyszał własne sapanie. Kiedy poprzedniego dnia przypuścili atak na Todirium, nie reagował aż tak silnie. Co prawda obrońcy Todirium byli kiepsko uzbrojeni, no i zaskoczeni szybkością ataku. W przeciwieństwie do nich ci nieprzyjaciele potrafią się odgryzać, pomyślał ponuro.

Pokręcił głową, starając się uciszyć nienawistny głos, którego nie słyszał nikt oprócz niego.

Bezskutecznie.

Wkrótce spojrzysz w lufy dział imperialnej fregaty. Zostaniesz rozpylony na atomy i taki będzie koniec Kella Tainera.

- Zamknij się! - powiedział.

- Coś mówiłeś, „Piątko”? - zaniepokoił się Donos.

- Nic, „Dziwiątko” - odparł Tainer.

Nieprzyjacielska fregata znajdowała się obecnie niemal dokładnie pośrodku szczeliny między wrotami dziobowej ładowni. Kell ścisnął z całej siły rękę na dźwigni sterowniczej, żeby zmusić do posłuszeństwa drżące palce.

- Przygotować się... przygotować się... wziąć na cel... namierzyć i ognia!

Włączył celowniczy komputer i nakierował kwadrat na rufę imperialnej fregaty. Niemal natychmiast kwadrat rozjarzył się czerwonym blaskiem, a komputer zaskowyczał na znak, że cel został dokładnie namierzony. Kell wystrzelił obie torpedy protonowe i obserwował, jak lecą w kierunku „Prowokatora”.

W tej samej sekundzie dwanaście innych śmiertelnych pocisków dołączyło do nich

i pomknęło ku temu samemu celowi. Rufa nieprzyjacielskiego okrętu liniowego rozjarzyła się oślepiającym blaskiem i zamieniła w kulę ognistych gazów.

- „Piątka” za burtą - zameldował Tainer i śmignął z dziobowej ładowni „Nocnego Gościa” niczym wyrzucony z katapulty. Przelatując przez kurtynę magnetycznego pola, zauważył, że z dziobowych baterii sprzężonych dział wyskoczyły błyskawice turbolaserowych strażów. Trafiły w silniki imperialnej fregaty i powiększyły zakres zniszczeń wyrządzonych przez torpedy.

- „Czwórka” za burtą - odezwał się Młynek.

Sensory dowodziły, że kapitan „Nocnego Gościa” zaczyna zmieniać kurs, żeby okręt leciał zwrócony do nieprzyjaciół burtą, a nie otworem dziobowej ładowni. Podobnie jak w przestworzach księżycy z Krwawym Gniazdem, podczas startu pilotów X-wingów korweta miała wyłączone generatory ochronnego pola... kapitan musiał więc wykonać ten manewr, żeby żaden nieprzyjacielski strzał nie trafił prosto w ładownię.

- „Szóstka” za burtą! - wrzasnął Patyk.

Oznaczało to, że w przestworza wyleciały wszystkie X-wingi ustawione w ładowni w środkowej kolumnie. Kell przełączył systemy uzbrojenia na lasery, sprzęgł wszystkie cztery działka i przesłał na ekran monitora obraz z wizualnych sensorów. Załoga „Prowokatora”, jeszcze chwilę wcześniej przyjmująca na pokład myśliwce typu T1E, obecnie znów wysyłała je do walki, co jeszcze bardziej powiększało panujący zamęt. Kierując się w stronę osłaniających imperialną fregatę gał, Kell zaczął je ostrzeliwać tak szybko, jak pozwalały mu drżące dłonie.

Siedzący w kabinie myśliwca T1E, Wedge unosił się blisko zaczepów ładowniczych, jakby zamierzał lądować.

Zaczekał, aż dziobowy sektor „Nocnego Gościa” rozjarzy się blaskiem wystrzelonych torped protonowych i błyskawic laserowych strażów.

- Szarzy, tworzyć szyk - rozkazał.

Przesłał energię do bliźniaczych silników jonowych i zatoczył łuk, który miał pozwolić wszystkim pilotom myśliwców typu T1E ominąć „Prowokatora” i obrać kurs na „Dusiciela”. Dał ognia z laserowych działek, kiedy dalmierz poinformował go, że do celu zostały zaledwie dwa kilometry.

Zauważył, że błyskawice strażów z pojedynczych turbolaserów na śródkręciu „Nocnego Gościa” dotarły do celu. Silniki nieprzyjacielskiej korwety kąpały się w energii, a izolacyjne osłony jarzyły się wiśniowym blaskiem. Wydobywająca się z górnego bakburtowego silnika oślepiająca fala ognia dowodziła, że pęknięciu albo rozerwaniu uległ rurociąg transportujący paliwo. Artylerzyści „Nocnego Gościa” ostrzeliwali obecnie rufę bliźniaczej korwety. Wedge wziął na cel jej silniki. Miał nadzieję, że Falynn pójdzie w jego ślady.

- „Szary Trzy”, „Szary Cztery”, zajmijcie się antenami systemów łączności telekomunikacyjnej - rozkazał. - Wiecie, gdzie się znajdują.

Nie musiał ich wskazywać. Wprawdzie ośrodki łączności mogły się znajdować w różnych miejscach na pokładach różnego typu korwet, ale większość anten systemów łączności i sensorów instalowano na ogół w tym samym miejscu... po stronie sterburty, na pokładzie drugim w rejonie śródkręcia. Atril i Janson zatoczyli łuki na sterburte, zawrócili i zaczęli posyłać w przeciwną stronę burtę nieprzyjacielskiej korwety serie zielonych błyskawic.

W końcu członkowie załogi „Dusiciela” ocknęli się z zaskoczenia i zaczęli odpowiadać ogniem. Artylerzyści dwóch pojedynczych dział i górnej wieżyczki sprzężonych turbolaserów wzięli na cel

„Nocnego Gościa”, a ku Antillesowi i pozostałym pilotom gał pomknęły błyskawice strzałów z pozostałych dział imperialnego okrętu.

Kiedy Buźka wchodził po schodach na pokład drugi, „Nocnym Gościem” szarpnęła potężna eksplozja. Stracił równowagę i niemilosiernie się obijając, stoczył po schodach na lądowisko poziomu trzeciego. Kiedy się upewnił, że nie ma połamanych żeber, niepewnie wstał i zaczął się znów wspinać.

Lampki na korytarzu wiodącym na mostek migotały, a w pomieszczeniu unosiły się kłęby dymu. Buźka pokuśtykał w stronę dziobu korwety. Korytarz od mostka oddzielały odporne na blasterowe strzały drzwi, ale masywne płyty były obecnie wygięte w jego stronę, a z żarzących się purpurowym blaskiem powierzchni odklejały się dymiące płyty lakieru. Drzwi syczały niczym gad przygotowujący się do ataku.

Garik przełknął ślinę i przycisnął włącznik mikrofonu komunikatora.

- Panie kapitanie Hrakness - zaczął. - Czy żyje ktoś z personelu mostka? Niech ktoś się odezwie!

Odpowiedziała mu głucha cisza.

W końcu Kell przeleciał obok „Prowokatora”. Przyciskając drżącymi palcami guzik spustowy, cały czas posyłał błyskawice laserowych strzałów, ale nie zdołał trafić żadnego myśliwca T1E z pierwszej linii obrony przeciwnika. Wystrzelił parę protonowych torped, lecz zobaczył, że eksplodują na ochronnych polach imperialnej fregaty. Skrzywił się i pomyślał, że zadanie będzie trudniejsze niż sobie wyobrażał.

- „Piątka”, tu „Siódemka” - usłyszał nagle głos Phanana.

- Słyszę cię, „Siódemka”.

- Straciliśmy mostek.

- Co takiego?

- Zostaliśmy trafieni bezpośrednim strzałem z rufowej baterii „Prowokatora”, „Piątko” - wyjaśnił cyborg. - Mostek nie istnieje.

Kell zaklął i zaczął zataczać łuk, żeby przygotować się do następnego ataku. Zauważył, że Patyk osłania cały czas ogon jego myśliwca.

- Czy ktoś jeszcze przebywał w dziobowej ładowni? - zapytał.

- Stał tam tylko X-wing Buźki, ale pilota nie było w kabinie - odparł „Siódemka”. - Wydaje mi się, że „Nocny Gość” dryfuje.

Rzeczywiście, koreliańska korweta nadal wykonywała zwrot na bakburtę, w wyniku którego otwarte wrota dziobowej ładowni miały się znaleźć poza zasięgiem strzałów nieprzyjaciela. Kell od razu zrozumiał, że jeżeli „Nocny Gość” nie zmieni kursu albo nie zastopuje, zatoczy pełny krąg i zwróci się znów dziobem w stronę imperialnych okrętów.

Włączył równocześnie pokładowy i osobisty komunikator.

- „Nocny Gościu”, tu „Widmo Pięć” - powiedział. - Czy ktoś mnie słyszy?

Wedge i Falynn przelecieli z rykiem silników obok „Dusiciela” i zawrócili. Zaledwie imperialna korweta znalazła się ponownie w zasięgu strzału, wzięli na cel jej dziób i dali ognia z laserowych działek.

Generatory dziobowych pól ochronnych były wyłączone, a wrota ładowni się otwierały, żeby mogły wylecieć z niej myśliwce T1E. Piloci Widm zauważyli, że zielone błyskawice ich strzałów wpadają w głąb gardzieli „Dusiciela”. Zanurkowali, jakby woleli stracić nieprzyjacielski okręt z oczu, niż nadal go ostrzeliwać albo obserwować skutki pierwszego ataku. Zdążyli tylko dostrzec, że

z czeluści ładowni wylatuje w ich kierunku jęzor ognia. Domyślili się, że coś eksplodowało... a może tylko jeden z pilotów imperialnych myśliwców T1E włączył bliźniacze silniki jonowe i przygotowywał się do startu.

W stronę Widm zwróciły się lufy turbolaserów dolnej wieżyczki „Dusiciela”. Artylerzyści zaczęli ich ostrzeliwać, ale niebawem ich działa znieruchomiały i umilkły. Wedge zauważył, że energia ostatniego strzału była o połowę mniejsza niż poprzednich.

Zerknął na wskazania sensorów. Znajdował się tak blisko, że od ochronnych pól imperialnej korwety powinno było się zapalić kilka światełek na jego pulpicie, ale widział tylko, że z dysz wylotowych silników nieprzyjacielskiego okrętu wydobywa się coraz jaśniejsza poświata. Zatoczył łuk, żeby jego komputer mógł namierzyć uszkodzony okręt, i przełączył komunikator na szerokie pasmo częstotliwości używanych przez siły zbrojne Imperium.

- „Dusicielu”, tu gwiazdny myśliwiec Nowej Republiki - powiedział. - Jesteście zdani na łaskę naszych laserów. Jeżeli w ciągu dziesięciu sekund się nie poddacie, przestrzelę na wylot wasz mostek i dla zabawy przelecę przez tę dziurę.

Już po chwili usłyszał stłumioną odpowiedź:

- „Dusiciel” do myśliwca Rebelii. Poddajemy się. Prosimy o przysłanie okrętu ratowniczego. Nasze silniki płoną. Proszę nie strzelać do naszych kapsuł ratunkowych.

Wedge zobaczył, że dwie kapsuły odłączyły się od śródkręcia skazanej na zagładę korwety i zaczęły powoli opadać w kierunku powierzchni Talasei.

- Zgadzą się, „Dusicielu” - powiedział.

Nagle z odbiornika jego komunikatora rozległ się głos Jansona:

- Wedge, „Nocny Gość” ma poważne kłopoty.

Pędząc ile sił w nogach, Buźka zbiegł na pokład czwarty i skierował się do opancerzonej rufowej ładowni, w której znajdował się awaryjny mostek. Drzwi otworzyły się na dźwięk jego głosu, ale nikogo nie zastał w mrocznym pomieszczeniu.

Opadł na fotel dowodzenia i włączył rezerwowy komunikator.

- Młynku! - wykrzyknął. - Żyjesz?

- Jestem cały i zdrowy - usłyszał w odpowiedzi.

- Dostałem się do awaryjnego mostka - wyjaśnił Garik. - Co mam zrobić, żeby pobudzić go do życia?

- Dlaczego wszyscy uważają, że tylko ja...

- Młynku! - przerwał niecierpliwie Buźka.

- Wystukaj na klawiaturze hasło „Anielska cierpliwość” - polecił Bothanin. - Zaczekaj, aż komputer zidentyfikuje twój głos i wypowiedz hasło: „Agamar włada galaktyką”.

Garik postąpił zgodnie z przekazanymi instrukcjami i awaryjny mostek rozjarzył się tysiącami światełek. Buźka zażądał przekazania władzy nad wszystkimi stanowiskami dowodzenia głównego mostka na swoją konsolę i natychmiast rozkazał, żeby okręt przestał wykonywać zwrot na bakburtę.

Widoczny na ekranie głównego monitora sensorów „Dusiciel” był oznaczony na zielono, co oznaczało, że imperialny okręt został unieszkodliwiony. Symbol „Prowokatora” płonął jednak nadal czerwonym blaskiem. Na ekranie było także widać sporo niebieskich plamek toczących pojedynki w przestworzach i jeszcze więcej innych, startujących z Talasei i jej księżyców.

Najpierw musiał się zająć tym, co najważniejsze. Uruchomił siłowniki wrót dziobowej ładowni i polecił je zamknąć, a potem przesłał pełną moc do generatorów dziobowych pól siłowych.

- Cubber? - odezwał się w końcu.

- Jestem.

- Wyślij ekipę na pokład drugi, do drzwi wiodących na główny mostek - rozkazał. - Wygląda na to, że długo nie wytrzymają. Sam mostek nie istnieje, a przez drzwi uchodzi atmosfera. Zaspawajcie je albo zróbcie coś, zanim wylecą w próżnię i połowa członków załogi straci życie.

- Już się robi.

W miarę jak się zapoznawał z napływającymi meldunkami, przełączał monitory i oglądał na ich ekranach informacje przekazywane do stanowiska mostka, z którego obecnie dowodził uszkodzonym okrętem. A sądziłem, że służba na mostku to takie łatwe zajęcie, pomyślał ponuro.

„Prowokator” zakończył zwrot i przygotowywał się do wyskoczenia z systemu. Korzystając z chwilowej beczynności załogi „Nocnego Gościa”, ostatni piloci myśliwców T1E lądowali w hangarze nieprzyjacielskiego okrętu liniowego.

- Widma, utwórzyc szyk - rozkazał Kell. - Atakując w pojedynkę, nie zdołamy pokonać ich ochronnych pól. Musimy posłać im salwę protonowych torped. Przekazuję wam dane celownicze. Poślijcie tym kursem po dwie torpedy. Na mój znak strzelają wszyscy z wyjątkiem „Siódemki” i „Dziewiątki”. Wy dwaj wystrzelicie swoje pociski dokładnie sekundę po pozostałych.

Zaczekał, aż usłyszy ich potwierdzenia, ale wyłączył komunikator dopiero, kiedy się upewnił, że wszyscy go zrozumieli. W końcu z górnej ładowni wylecieli także Prosiak i Tyria. Liczba X-wingów wzrosła do siedmiu, co oznaczało, że piloci Widm mogli wystrzelić salwę czternastu protonowych torped.

Skończył zataczać łuk i zajął pozycję na czele szyku X-wingów. Chwilę później miejsce obok niego zajął Patyk. Kell spróbował jeszcze raz połączyć się z korwetą.

- „Nocny Gościu”, zgłoś się - powiedział.

- Tu „Nocny Gość” - usłyszał w odpowiedzi.

- Bużka?

- Nie przejmuj się - odparł Garik. - Czego potrzebujesz?

- Danych sensorów na temat „Prowokatora” - odparł Tainer. Chodzi mi o to, w którym miejscu jego ochronne pola są najsłabsze.

- Zaczekaj sekundę. Hm...

- Bużko, pospiesz się! - Kell zauważył, że działa nieprzyjacielskiej fregaty zaczynają się kierować w stronę szyku X-wingów. Strzał z rufowej baterii laserowych dział „Prowokatora” nie trafił jego myśliwca, ale przeleciał na tyle blisko, że przeciążył i unicestwił dziobowe pola siłowe. Kell zaklął i przesłał do nich energię z pól rufowych, a pragnąc jeszcze lepiej osłonić dziób, zmniejszył ilość energii przekazywanej do jednostek napędowych.

- Jeżeli prawidłowo odczytuję wskazania sensorów, najsłabsze pola są na samej górze, tuż za anteną systemu telekomunikacyjnego krótkiego zasięgu - odezwał się w końcu Bużka. - Patrząc od strony dziobu w kierunku rufy.

Kell zwiększył pułap lotu i zauważył, że piloci Widm bezbłędnie powtarzają jego manewr. Zanurkował w kierunku wierzchu kadłuba nieprzyjacielskiej fregaty. Kwadrat celowniczy zapłonął czerwonym blaskiem, tylko fregatę zdążyły omieść promienie jego sensorów, ale Kell starannie skierował je na antenę.

- Uwaga, Widma - rozkazał. - Trzy... dwa... jeden... ognia!

Przyglądał się, jak z otworów wyrzutni X-wingów wyskakują czerwone smugi dziesięciu

protonowych torped. Pociski trafiły dokładnie tam, gdzie je wymierzono.

Jeszcze zanim zdążyła się rozproszyć kula wyrzuconych siłą eksplozji szczątków, w przestworza poszybowały cztery następne torpedy. Kell obserwował, jak ich smugi nikną w ognistej kuli, która nadal rozprzestrzeniała się we wszystkie strony. Piloci X-wingów zadarli dzioby maszyn i zawrócili.

- „Piątka”, tu „Ósemka” - zameldował Buźka. - Sensory pokazują zanik ochronnego pola i cztery wyrwy w kadłubie „Prowokatora”. Ja... chwileczkę, coś tu się nie zgadza. Mam na ekranie monitora dwa „Prowokatory”... - Na krótko zapadła głucha cisza. - „Piątka”, tu znów „Ósemka” - podjął w końcu Garik. - Nieprzyjacielska fregata rozłamała się na dwie części w rejonie śródkręcia. W przestworzach unoszą się teraz dwa kawałki. Zagrożenie z ich strony zmalało do zera. Jak mnie zrozumiałeś?

- Zrozumiałem cię, „Ósemka”, i dziękuję - odparł Kell. Spróbował otrzeć z czoła krople potu, które zaczynały napływać do jego oczu, ale wierzch jego dłoni natrafił tylko na osłonę hełmu. Uniósł ją i przetarł oczy.

Stwierdził jednak, że jego dłonie nadal się trzęsą.

ROZDZIAŁ 27

- Jakie to głupie z naszej strony - odezwał się generał Crespin. Ściągnęliśmy tu Eskadrę Łotrów, wszystkie myśliwce typu A-wing, „Fregatę Sztabową” i parę innych okrętów, a tymczasem do rozprawienia się z nieprzyjaciółmi wystarczyła Eskadra Widm i pokieraszowana koreliańska korweta.

Znajdowali się w jednej z wchodzących w skład bazy Talasea nadmuchiwanym kopuł, pełniących funkcję oficerskiej mesy. Piloci odpoczywali tutaj i rozmawiali, racząc się piwem i brandy, która smakowała jak paliwo gwiazdnych statków. Słowa generała były pełne sarkazmu, ale z tonu głosu przebijało ubolewanie.

- Gdyby do walki przyłączył się „Nieubłagany”, zginęlibyśmy bez pańskich okrętów - stwierdził Antilles. - Na naszą korzyść działał element zaskoczenia i kilka innych drobiazgów. Mimo to straciliśmy doskonałą załogę mostka.

Crespin pokiwał głową.

- Nie miałem zamiaru żartować - powiedział. - Świerzbiam tylko ręce, żeby chociaż częściowo odplacić Trigitowi za to, co wycierpieliśmy przez niego na Folorze.

- Jeszcze będzie pan miał okazję. - Wedge wypił kolejny łyk nieprzyjemnie pachnącego trunku. - Na samym początku walki zniszczyliśmy wszystkie anteny ich systemów łączności. Jesteśmy pewni, że nie zdołali się porozumieć z Trigitem. Kiedy będziemy gotowi do dalszej walki, „Nocny Gość” wróci do niego... a my opowiemy Zsinjowi, jak udało nam się przeżyć mimo niewiarygodnych przeciwności losu.

Zamierzam zrobić co się tylko da, żeby znaleźć się blisko Trigita albo Zsinja i wpakować wibroostrze w nerkę jednego czy drugiego. Crespin się uśmiechnął.

- Jeżeli będziesz miał okazję stoczenia z nimi prawdziwej walki... zaczął.

- ...obiecuję, że pierwszymi jednostkami, jakie wezwę na pomoc, będą pańscy piloci i Eskadra Łotrów, panie generale - dokończył Antilles.

Crespin rozejrzał się po mesie, jakby chciał się upewnić, czy nikt go nie słyszy. Pochylił się w stronę podwładnego.

- A przy okazji, Antilles, mam dla ciebie wiadomość o jednym z twoich pilotów, Buźce Loranie - dodał półgłosem.

- Tak?

- Niedługo dostaniesz nowe informacje na jego temat - ciągnął Crespin. - Przyznaję, że miałem z nim pewne problemy, ale śledzę także jego postępy, więc kiedy otrzymasz te informacje, pamiętaj, że nie miałem z nimi nic wspólnego... tak czy inaczej.

- Nie zapomnę, panie generale - obiecał Wedge.

Obrzucił przełożonego zdeorientowanym spojrzeniem, ale starszy mężczyzna wstał i wyszedł z kopuły.

Antilles rozejrzał się po pomieszczeniu. Stolik, przy którym trochę wcześniej podporucznicy Wes

Janson i Hobbie Klivan opowiadali sobie najnowsze historie, obecnie był pusty. Wedge postanowił, że później pogada z pilotami Eskadry Łotrów, żeby się dowiedzieć, co u nich słychać. Na razie musiał się przekonać, jak postępują prace przy naprawach „Nocnego Gościa”. Wyszedł z mesy i spojrzał w górę. Promienie słońca z trudem przebijały się przez zasnuętą mgłą powietrze.

Tymczasową bazę Nowej Republiki urządzono na okolonym wysokimi drzewami, porośniętym bluszczem polu. Stało na nim kilka nadmuchiwanym kopuł, pomiędzy którymi zaparkowano różne gwiazdne myśliwce, statki i okręty. Widać je było dość niewyraźnie z powodu gęstej mgły, jaka prawie zawsze spowijała powierzchnię planety.

Niemal dokładnie pośrodku pola spoczywały dwie korwety, „Nocny Gość” i „Dusiciel”. Oba okręty wyglądały na poważnie uszkodzone.

W miejscu trafionego bezpośrednim strzałem mostka „Nocnego Gościa” widniał czarny otwór o poszarpanych i poskręcanych krawędziach. Robotnicy dwoili się i troili, żeby zespawać płyty pancerza i zasłonić wyrwę pojedynczą płytą z transpastali. Wedge nalegał, żeby naprawy sprawiały wrażenie prowadzonych niestarannie i w pośpiechu, tak jakby załatwili to w ciągu zaledwie kilku godzin pozostali przy życiu członkowie załogi koreliańskiej fregaty.

Wrota dziobowej ładowni „Dusiciela” po prostu zniknęły. Prawdę mówiąc, zniknęła cała ładownia. Siła wewnętrznej eksplozji rozdarła górną połowę beczkowatego dziobu, który wyglądał obecnie niczym czaszka bez dolnej szczęki. Na kadłubie nieprzyjacielskiego okrętu widniało także wiele śladów po celnych strzałach.

„Prowokator” został całkowicie zniszczony. Wewnętrzne wybuchy i ucieczka atmosfery w próżnię pozbawiły życia tych członków załogi, którzy przeżyli eksplozję salwy protonowych torped. Jeszcze zanim dotarły do niego pierwsze ekipy ratunkowe Nowej Republiki, imperialny okręt wyglądał jak dryfujący w przestworzach grobowiec.

- Panie komandorze Antilles?

Wedge odwrócił się w stronę źródła znajomego chrapliwego głosu i zasalutował.

- Słucham, panie admirale? - powiedział.

Ackbar, któremu towarzyszył major Floty Nowej Republiki, podszedł do niego i odwzajemnił salut.

- Moi podwładni twierdzą, że osiągnął pan już gotowość do dalszej walki - zaczął. - Jest pan pewien, że należy tak szybko puszczać się w pogoń za admirałem Trigitem?

- Uważam, że im więcej czasu będzie miał na zastanowienie, tym większe prawdopodobieństwo, że domyśli się prawdy, panie admirale - odparł Antilles.

- Dobrze, a więc pozostawiam decyzję w pańskich rękach - odparł Ackbar. Pochylił się i dodał półgłosem: - Chciałem panu podziękować za ciepłe słowa po śmierci mojej siostrzenicy.

- Nie ma za co, panie admirale - zaczął Wedge. - Żałuję... - Urwał, kiedy uświadomił sobie, czego naprawdę powinien żałować. Żałuję, że nie zdołaliśmy ocalić życia pańskiej krewnej, pomyślał ponuro. Żałuję, że nie znalazłem odpowiednich słów, żeby pomóc członkom pańskiej rodziny ukoić ból po jej stracie. Żałuję, że banda cuchnących jak nora szczurów womp człekokształtnych bydlaków znalazła się w tamtym miejscu, żeby odebrać jej życie. Żałuję, że nie mogę oczyścić galaktyki z wszelkiego rodzaju spuścizny, jaką pozostawiło po sobie Imperium. Obrzucił admirała współczującym spojrzeniem. Bardzo mi przykro, panie admirale.

- Rozumiem, co pan czuje. - Ackbar powiódł spojrzeniem po osobach krzątających się między zaparkowanymi okrętami i w miejscach, w których technicy zaczynali demontować pierwsze kopuły.

- Ja ze swojej strony żałuję, że nie mogę znaleźć pilota, który zadał sobie tyle trudu, próbując ocalić jej życie. Chciałbym mu osobiście podziękować.

- Postaram się, żeby podporucznik Tainer stanął kiedyś na pańskiej drodze, panie admirale - obiecał Antilles.

Ackbar wyciągnął rękę do majora, który wręczył mu spore pudełko. Kalamarianin wziął je i podał Antillesowi.

- Docenienie niezwykłych wyczynów pilotów Eskadry Widm zajęło urzędnikom Nowej Republiki sporo czasu - zaczął. - Jeszcze tego ranka musiałem uzupełniać zawartość tego pudełka. Chyba najlepiej będzie, jeżeli osobiście rozdasz to swoim podwładnym.

Wedge otworzył pudełko i aż gwizdnął, kiedy zobaczył, co jest w środku.

Komandor Antilles polecił, żeby piloci Widm i pani porucznik Atril Tabanne ustawili się w szeregu w dziobowej świetlicy „Nocnego Gościa”. Widząc ich zasepione miny, domyślił się, że nikt nie myśli o świętowaniu zwycięstwa. Jedni sprawiali wrażenie przygnębionych, inni wyglądali na gotowych do odlotu w przestworza za sterami gwiazdnych myśliwców.

- W końcu nadeszła pora zapłaty za wasze grzechy, Widma - zaczął z udawaną powagą. - Na szczęście ci z Naczelnego Dowództwa nie zagubili moich raportów na temat waszych wyczynów i wszystko wskazuje, że nawet się z nimi zapoznali. Pani podporucznik Tyria Sarkin.

Młoda pilotka wyprężyła się jak struna, ale na jej twarzy nie odmalowało się żadne uczucie.

- Niewiele mam ci do zaoferowania, Sarkin - podjął Wedge. W hangarach „Fregaty Sztabowej” przyleciały przeznaczone dla nas dwa nowiutkie X-wingi, żebyśmy mogli nadal pozostawać w stanie pełnej gotowości bojowej. Jeżeli połączyć to z faktem, że w ciągu ostatnich tygodni zachowywałaś się wręcz wzorowo, cóż... przywracam cię do czynnej służby. Odtąd będziesz mogła latać własnym X-wingiem.

Młoda pilotka się rozpromieniła.

- To dla mnie bardzo wiele znaczy, panie komandorze - powiedziała.

Wedge przeszedł krok dalej.

- Podporucznik Garik Loran - powiedział.

Bużka sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale stanął na baczność.

- Odkąd osiągnęliśmy pełną gotowość bojową, wielokrotnie dowiodłeś, że jesteś nie tylko doskonałym pilotem, ale także wyjątkowo uzdolnionym dowódcą, zarówno pod względem planowania, jak i wykonywania różnych operacji - zaczął Wedge. - Mam przyjemność oznajmić, że Dowództwo Gwiazdnych Myśliwców Nowej Republiki awansuje cię do stopnia porucznika. Serdecznie gratuluję, Bużko.

Wręczył Garikowi nowe odznaki i zasalutował.

Zdumiony Bużka oddał salut.

- Dziękuję, panie komandorze - powiedział.

- Podporucznik Kell Tainer.

Kell wyprężył się, ale miał zakłopotaną minę.

- Ty także okazałeś się nie tylko znakomitym pilotem, ale także doskonałym taktykiem na polu walki, co pomogło w odniesieniu wielu zwycięstw całej grupie. Twoje niezwykle strategiczne pomysły nieraz zmuszały cię do rezygnacji z osobistych sukcesów, ale pozwoliły przeżyć innym pilotom i tym, których miałeś chronić. Z przyjemnością awansuję i ciebie do stopnia porucznika. - Wręczył pilotowi nowe odznaki i zasalutował. - Moje gratulacje, Kell.

Tainer odwzajemnił salut.

- Dziękuję, panie komandorze - powiedział.

Wedge ze zdumieniem zauważył, że pilot wygląda na równie zdenerwowanego i spiętego, jak wówczas, kiedy stawał oko w oko z Wesem Jansonem.

Postanowił nie zwracać na to uwagi i przeszedł dalej.

- Pani porucznik Atril Tabanne - powiedział.

Jedyna osoba spośród oficerów „Nocnego Gościa”, która przeżyła walkę w przestworzach Talasei, stanęła na baczność po jego słowach.

- Rzadko się zdarza, żeby oficer Dowództwa Gwiazdnych Myśliwców mógł pochwalić oficera Dowództwa Gwiazdnej Floty, a jeszcze rzadziej, żeby chciał to zrobić, zważywszy na rywalizację między naszymi służbami - zaczął Wedge. Zaczekał, aż wśród pilotów ucichnie śmiech, jaki wywołały jego słowa. - Działamy jednak w wyjątkowych okolicznościach - podjął. - Odkąd wstąpiłaś do marynarki, wykazywałaś się odwagą, lojalnością i poświęceniem. W pełni zasługujesz na ten awans i pozostaje mi tylko ubolewać, że otrzymujesz go tak szybko z powodu wyniszczającej wojny. Moje gratulacje, pani kapitan Tabanne, zarówno z okazji nowego stopnia, jak i objęcia przez ciebie dowództwa „Nocnego Gościa”.

Atril odwzajemniła salut i chyba zamierzała coś odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły w jej gardle.

- Na koniec zachowałem odznaczenie równie zasłużone, jak wszystkie te awanse - odezwał się Wedge. - Porucznik Tainer.

Kell znów przyjął postawę zasadniczą, ale minę miał jeszcze bardziej ponurą niż przed chwilą.

- Niedawno podjąłeś się niewykonalnego zadania - ocalenia życia pilotki, której myśliwiec uległ poważnym uszkodzeniom - ciągnął Antilles. - Nie wiem, czy wreszcie dotarło do ciebie, że nie jesteś winien jej śmierci. Kiedy Dowództwo Gwiazdnych Myśliwców zapoznało się z zarejestrowanymi nagraniami tego incydentu, stwierdziło, że wykazałeś się niezwykłą odwagą i godnym pozazdroszczenia opanowaniem sztuki pilotażu. Podejmując się tej próby, gorszy pilot roztrzaskałby maszynę o zbocze góry i straciłby życie. Z przyjemnością wręczam ci pierwsze odznaczenie, na jakie zasłużył pilot Eskadry Widm: Kalidorski Półksiężyc.

Z ust zgromadzonych pilotów wyrwał się okrzyk podziwu i zachwytu. Wszyscy otoczyli kręgiem Kella i Antillesa. Półksiężyc, wręczany za wyjątkową odwagę połączoną z doskonałą umiejętnością pilotażu, był prestiżowym odznaczeniem, wyjątkowo rzadko przyznawanym w Siłach Zbrojnych Nowej Republiki.

Tainer kilkakrotnie przełknął ślinę, ale nie uniósł głowy i nie spojrzał w oczy komandora. Wydawało się, że zbladł jeszcze bardziej.

- Kell, pochyl się - powiedział Wedge.

Pilot usłuchał. Antilles włożył na jego szyję ceremonialną jedwabną wstęgę i wypuścił z palców Półksiężyc. Odznaczenie przedstawiało kalidorskiego drapieżnego ptaka ze skrzydłami obejmującymi kosztowny klejnot bursztynowej barwy. Kiedy Kell się wyprostował, medal spoczął na jego piersi.

Wedge zasalutował.

- Gratulacje, Kell - powiedział.

Tainer machinalnie uniósł rękę i oddał salut, ale nie zdecydował się spojrzeć w oczy dowódcy eskadry.

- Dziękuję, panie komandorze - wychrypiał.

Antilles cofnął się i zwrócił do wszystkich podwładnych:

- Panie, panowie, za godzinę startujemy w przestworza - oznajmił. Wiem, że nie macie dużo czasu na świętowanie, ale wykorzystajcie go według własnego uznania. Pani także nie będzie miała dużo czasu, kapitan Tabanne. Przekonajmy się, na jakie dekoracyjne ozdoby zasłużą pozostali, kiedy staniemy na wypalonym wraku „Nieubłaganego”.

Odwrócił się i żegnany radosnymi okrzykami, wyszedł ze świetlicy. Janson podążył za nim.

- Wes, co właściwie, na imię Sithów, dolega Tainerowi? - zapytał Wedge, kiedy obaj znaleźli się na korytarzu.

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł Janson.

- Otrzymał dowód uznania za wyjątkową odwagę - ciągnął komandor. - Zrehabilitował się za pomyłkę ojca. Tego dnia, kiedy mnie odznaczono Kalidorskim Półksiężycem, czułem się tak, jakbym mógł latać bez włączonych silników i niszczyć myśliwce przechwytyjące T1E, tylko plując na nie. Tymczasem on wygląda jak przekreślony przez maszynkę do mięsa.

- Ja także go nie rozumiem - przyznał zastępca. - Proponuję, żeby go po prostu zastrzelić.

Wedge prychnął.

Kell znosił gratulacje, ściskanie dłoni i poklepywanie po plecach, dopóki mógł... i dopóki jeden z członków nowej załogi „Nocnego Gościa” nie przytoczył beczki lomińskiego piwa i nie rozdał kufli. Korzystając z tego, że uwagę pozostałych zaprzętały przygotowania do uczczenia uroczystej okazji, wycofał się najpierw dyskretnie na tył grupy, a później wymknął ze świetlicy i powrócił do kabiny.

Drżąc na całym ciele, usiadł na łóżku. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, nawet nie zwrócił na nie uwagi.

Chwilę później zamek cicho zapiszczał na znak, że akceptuje jego osobisty kod dostępu, i płyty drzwi się rozsunęły. Do kabiny weszła Tyria i zamknęła drzwi za sobą.

- Jak to zrobiłaś? - zapytał zdumiony Tainer.

- Wyciągnęłam komunikator i zapytałam Młynka - wyjaśniła pilotka.

- Niech go zaraza - mruknął Kell.

Młoda kobieta usiadła na krawędzi łóżka. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Kell, co się stało? - zapytała. Tainer głęboko odetchnął.

- Posłuchaj, chyba byłoby lepiej, gdybyś po prostu o mnie zapomniała... - zaczął.

Tyria przysiadła się bliżej, jakby zamierzała go uderzyć, ale tylko uniosła rękę, żeby przestał.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała. - Nie próbuj mi więcej wmawiać, że lepiej będzie, jeśli cię zostawię. Jeżeli to zrobisz jeszcze raz, postaram się, abyś pożałował, że w ogóle się urodziłeś. Nie opuszczę cię, więc wyjdzie na to, że twoje życzenia nigdy się nie spełniają. - Wbiła w niego twarde spojrzenie. - Czy uważasz, że od kiedy jesteśmy razem, przestaliśmy być przyjaciółmi?

- Nie, ale...

- Nie chcę słyszeć żadnego ale - ucięła młoda pilotka. - Kell, czy naprawdę chcesz, żebym przestała być twoją przyjaciółką? Nie uzależniaj swojej odpowiedzi od tego, co według ciebie będzie dobre dla mnie. Odpowiedz zgodnie z prawdą. Pstryknij włącznikiem Uczciwości.

Kell zakołysał się i przygarbił, jakby się poddawał.

- Pstryknąłem włącznikiem Uczciwości - powiedział. - Nie, wcale nie chcę.

Twarz Tyrii złagodniała.

- Więc powiedz mi, co się z tobą działo w świetlicy - poprosiła półgłosem. - Wyglądasz, jakby

komandor Antilles nazwał cię najgorszą szumowiną galaktyki.

- Bo jestem szumowiną galaktyki - odparł Kell. - Jestem, bo zgodziłem się przyjąć to... to... - Zerwał z szyi odznaczenie i rzucił w przeciwny kąt kabiny. - To kłamstwo.

Tyria spojrzała w stronę miejsca, gdzie upadło, i odwróciła się do Tainera.

- To dowód uznania za opanowanie sztuki pilotażu i odwagę - przypomniała. - Którą z tych zalet uważasz za kłamstwo?

- Jedną i drugą.

- Wydaje ci się, że nie jesteś dobrym pilotem?

- Gdybym rzeczywiście był taki dobry, Jesmin by nadal żyła.

- Szkoda, że nie mogę wlać chociaż trochę oleju do twojej głowy zdenerwowała się Tyria. - Jeżeli komandor Antilles uważa, że tamtego dnia dałeś dowód wyjątkowych umiejętności, kim jesteś, żeby mu się sprzeciwiać?

Kell odwrócił głowę i nie odpowiedział.

- Dlaczego uważasz, że nie zachowałeś się jak bohater? - ciągnęła pilotka. - Wydaje mi się, że to fałszywa skromność. Naprawdę nie rozumiesz, że tylko ktoś wyjątkowo odważny mógł zaryzykować życie, żeby ocalić Jesmin od pewnej śmierci? Starając się ją uratować, nie zawahałeś się kilkakrotnie zderzyć z jej opadającym myśliwcem. Za każdym razem ryzykowałeś, że roztrzaskasz swoją maszynę o zbocze góry, ale nie przejmowałeś się tym, chociaż połowa systemów twojego X-winga uległa zniszczeniu.

- Może to wszystko prawda - przyznał Tainer. - Może tamtego dnia rzeczywiście zachowałem się jak bohater, ale kiedy indziej... - Potarł oczy. - Tyrio, nie jestem w niczym lepszy niż mój ojciec. Ilekroć startuję w przestworza, paraliżuje mnie przerażenie. Za każdym razem większe. Obawiam się, że pewnego dnia, kiedy będziemy toczyli najzaciętszą walkę, przestanę udawać, że panuję nad sobą, i ukradkiem spróbuję się wymknąć z pola bitwy. Wówczas komandor Antilles albo Janson mnie zestrzelą i taki będzie koniec Kella Tainera. Może zresztą tylko mnie przechwycą, żeby postawić przed sądem wojennym. Coś takiego okryje wieczną hańbą nazwisko mojej rodziny... drugi raz w ciągu zaledwie dwóch pokoleń.

Tyria milczała. Kell spojrzał na nią kątem oka, ale nie zobaczył na jej twarzy żadnych emocji. Prawdopodobnie zastanawiała się nad tym, co powiedział, albo szukała najlepszych słów, żeby odpowiedzieć.

- Kiedy byłem dzieckiem - podjął po chwili - sądziłem, że wszystko, co mi mówiono, było kłamstwem. Czasami przypuszczałem, że ojciec był tajnym agentem, szpiegiem albo kimś w tym rodzaju; że w ostatniej chwili otrzymał rozkaz i musiał opuścić pole walki, żeby go wykonać. Nikt o tym nie wiedział, nikt go nie rozumiał i właśnie dlatego Janson go zestrzelił. Kiedy indziej sądziłem, że był pod wpływem halucynogennych narkotyków. Wyobrażałem sobie także, że w kabinie jego myśliwca leciał wówczas ktoś inny, a mój ojciec żyje, ale gdzieś się ukrywa. Dopiero o wiele później, kiedy zacząłem się uczyć pilotażu, natknąłem się na kilku pozostałych przy życiu członków eskadry Żółtych Asów Tierfona, którzy dyskutowali o przebiegu tamtej bitwy, nie wiedząc, czyim jestem synem. Niektórzy wyrażali się o ojcu z pogardą, inni mu współczuli, wszyscy jednak słyszeli jego głos przez komunikator. Nie mogłem mieć dłużej żadnych wątpliwości. To był on. Stracił panowanie nad sobą, pozostawił honor i dobre imię w smudze gazów wylotowych z silników myśliwca i dlatego musiał to przypłacić życiem. A ja odziedziczyłem wszystkie te cechy jego charakteru. - Kell wzruszył ramionami. - Nie chcę, żebyś z tego powodu zginęła. Nie chcę, żeby

przeze mnie stracił życie jakikolwiek inny pilot Eskadry Widm. Zamierzam złożyć podanie o zwolnienie ze służby.

Tyria długo się nie odzywała. Kiedy w końcu przerwała ciszę, w jej cichym głosie brzmiała powaga.

- Czy ufasz mi, Kell? - zapytała.

- Jasne.

- Powierzyłbyś mi swoje życie?

- Bez wahania.

- A powierzyłbyś mi coś większego niż życie?

- Co mianowicie?

- Chciałabym, abyś zaufał mi i uwierzył, że się mylisz, a ja mam rację.

- Co to, to nie - obruszył się Kell.

- Więc nie cenisz mojej opinii równie wysoko jak swojej? - zapytała z urazą pilotka. - Nie doceniasz mojej inteligencji, wnikliwości i intuicji?

- Jasne, że cenię - obruszył się Tainer. - Ale znam siebie lepiej niż ty. Tyria pokręciła głową.

- Wcale siebie nie znasz i właśnie na tym polega cały problem stwierdziła. - Odkąd cię poznałam, już dwukrotnie przyznałeś, że potrafiłeś bardzo długo i głęboko wierzyć w coś, co nie było prawdą. Byłeś pewny, że twój ojciec nie stchórzył i nie umknął z pola bitwy. Uważałeś porucznika Jansona za bezwzględneho zabójcę. Myliłeś się w jednej i w drugiej sprawie, ale miałeś odwagę się do tego przyznać. Miałeś także odwagę przyznać się, że wcześniej mnie nie kochałeś. Stwierdziłeś, że i w tym się pomyliłeś.

Kell nie odpowiedział.

- Chciałabym, żebyś wykazał się odwagą i zaufał mojej opinii bardziej niż swojej - ciągnęła Tyria. - Możliwe, że jakaś częśćka ciebie pragnie uciekać z pola każdej bitwy, ale zawsze wymyślasz jakiś sposób, żeby dotrzeć do końca. A to oznacza, że radzisz sobie całkiem nieźle. Z pewnością zgodzą się ze mną wszyscy, którzy odlecieli z bazy Folor na pokładzie „Borleias”. To właśnie dlatego czuję się bezpieczniejsza, kiedy latasz z nami.

Tainer nie odpowiedział.

- Kell, proszę cię, zaufaj mi.

Pilot ciężko westchnął i zamknął oczy, jakby nie mógł znieść jej stanowczego, ale przepelnionego miłością spojrzenia.

- Zgoda - odezwał się w końcu.

Wyskoczyli z nadprzestrzeni w systemie, w którym pierwotnie mieli się spotkać z admirałem Trigitem. Jak mogli się spodziewać, nie zastali tam „Nieubłaganego”, więc postanowili nawiązać łączność z lordem Zsinjem. Rzekomy kapitan Darillian zameldował o zasadzce Nowej Republiki i o „zdradzie” Trigita, który nie zapewnił im obiecane wsparcia. Nie zapomniał napomknąć, że musiał wykonać kilka błyskotliwych manewrów, dzięki którym udało mu się wymknąć z zasadzki, chociaż jego okręt został poważnie uszkodzony.

Następnym miejscem, do którego przeskoczyli, był system Obinipora, usytuowany jeszcze głębiej w obrębie Odległych Rubieży, ale nadal na głównym kierunku powolnej ekspansji Nowej Republiki. Obinipor był następną planetą, na której miał wylądować „Nocny Gość”. Niezależna kolonia mogła się poszczycić godnym pozazdroszczenia wyborem bogactw naturalnych, w rodzaju stosowanych do produkcji generatorów mocy rud metali i czynnych wulkanów, które służyły kolonistom jako

naturalne źródło energii. Z zapisanych w dzienniku pokładowym rozkazów wynikało, że - podobnie jak na planecie Viamarr - członkowie załogi „Nocnego Gościa” mieli przelecieć dwoma myśliwcami TIE nisko nad największym skupiskiem budynków administracyjnych miejscowej korporacji.

Zaledwie wskoczyli do normalnych przestworzy, wysłali zakodowaną transmisję na częstotliwości Nowej Republiki. Niemal od razu odebrali skompresowane i zaszyfrowane informacje od przebywających tam agentów Wywiadu.

Zanim jednak mieli czas rozpakować je i rozszyfrować, oficer łącznościowiec „Nocnego Gościa” otrzymał wiadomość za pośrednictwem HoloNetu.

Buźka rozsiadł się na fotelu w ośrodku łączności i przekazał na ekran głównego monitora swój nowy wizerunek. Dzięki dokonany przez Młynka modyfikacjom oprogramowania można było odnieść wrażenie, że siedzi na rezerwowym mostku okrętu na nieco mniej okazałym fotelu dowodzenia. Rzucił okiem na stojącego nieruchomo w drzwiach Antillesa.

- Idę o zakład, że to Zsinj - powiedział. Wedge pokręcił głową.

- To Trigit - stwierdził stanowczo. - Zsinj połączył się z nim, żeby wysłuchać jego wersji całej historii, zanim postanowi się z nami skontaktować.

- O dziesięć kredytów? - obstawał przy swoim Garik.

- Przyjmuję.

Buźka wzruszył ramionami i pstryknął włącznikiem komunikatora. Pojawił się przed nim hologram admirała Trigita. Buźka omal nie zerwał się z fotela.

- To ty! - wykrzyknął. - Nie do wiary, że miałeś odwagę i czelność skontaktować się ze mną po tej... tej zdradzie...

Trigit uniósł rękę.

- Bardzo proszę, kapitanie - przerwał spokojnie. - Kiedy się zorientowaliśmy, że to może być zasadzka, stanęliśmy przed koniecznością dokonania wyboru jednej spośród kilku taktyk, z których żadna nie mogła wszystkich zadowolić.

- Wszystkich zadowolić? - powtórzył coraz bardziej oburzony Buźka. - Admirale, wystawił pan nas na odstrzał jak bezbronne ptaki.

Gdybym nie przebywał wówczas w ośrodku łączności i nie odebrał pańskiego, zresztą całkiem zbędnego, ostrzeżenia o zasadzce, byłbym teraz równie martwy jak reszta personelu mostka mojego okrętu. Sam mostek wygląda jak wypalona dziura. Zastanawiam się, czy nie urządzić tam ogródka. - Buźka pozwolił, żeby sarkazm w jego głosie ustąpił miejsca rozgoryczeniu. - Muszę polegać na personelu rezerwowym, kiepsko wyszkolonych członkach załogi, przedwcześnie awansowanych oficerach... Cały czas trwania jego tyrady Trigit kiwał głową.

- Wiem, wiem - odezwał się w końcu. - Nie kwestionuję twojego prawa do narzekania. Powiedz jednak, co byś zrobił, gdybyś zamiast mnie dowodził „Nieubłaganym”?

- Podążyłbym za swoją flotą i przynajmniej spróbowałbym wyprowadzić ją z zasadzki jak najszybciej - odparł bez namysłu Garik.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Trigit. - A co, gdybyś miał inne rozkazy wydane przez lorda Zsinja? Polecenia, które mogły ograniczyć pole twojego manewru?

Buźka obrzucił go urażonym spojrzeniem.

- Naturalnie nie mam pojęcia, czy otrzymał pan od niego jakieś specjalne instrukcje - powiedział. - Nie jestem wtajemniczany w takie sprawy.

- Wierz mi, że naprawdę miałem takie rozkazy, i mogę cię o tym przekonać - odparł Trigit. -

Przygotuj się na odbiór nowej transmisji.

Buźka spojrzął na pulpit komunikatora. Czekał, aż zapłoną światelka, które by go poinformowały, że Trigit przesyła jakieś informacje... ale zamiast nich zmaterializował się przed nim jeszcze jeden hologram.

Wizerunek lorda Zsinja.

Buźka zeszywniał. Jeżeli naprawdę była to oddzielna transmisja a dowodził tego fakt, że hologram lorda pojawił się obok, a nie zamiast hologramu admirała - oznaczało to, że pokładowy komputer „Nocnego Gościa” musi obecnie uporać się z prawie dwukrotnie trudniejszym zadaniem niż poprzednio. Dwa połączenia za pośrednictwem HoloNetu z dwiema osobami oznaczały, że komputer musi wytwarzać i przysyłać równocześnie dwa wizerunki kapitana Darilliana. Buźka wiedział, że z takim problemem mogą mieć trudności zarówno pospiesznie zaprogramowane przez Młynka procesory graficzne, jak i naprędce skompilowany kod.

Gdyby niespodziewanie chociaż jeden wizerunek kapitana Darilliana zniknął albo zaczął się rozmywać...

Buźka przełknął ślinę i bardzo powoli usiadł z powrotem na fotelu.

- Lordzie... - zaczął.

Zsinj spojrzął na niego z uwagą.

- Witam cię, Zurelu - zaczął. - Wygląda na to, że admirał cię zirytował.

Buźka starał się siedzieć zupełnie nieruchomo. Pomyślał, że może system zdoła sprostać stawianym mu wymaganiom, jeżeli będzie musiał uaktualniać tylko jego rysy twarzy.

- Chyba każdy dowódca by się zdenerwował, gdyby przeszedł przez to co ja - powiedział.

Zsinj się uśmiechnął.

- Masz rację - przyznał. - Pamiętaj jednak, że masz także wiele powodów do zadowolenia.

Zapoznałem się z twoim raportem. Spisałeś się znakomicie. Najważniejsze, że zdołałeś ocalić okręt.

- Nie wiem, czy Rebelianci docenią, że podczas walki z nimi wykorzystałem wymyślony przez nich manewr, zwany Cięciem Ackbara - odparł chępliwie Buźka.

Rozpaczliwy manewr, wymyślony i pierwszy raz zastosowany w czasach Nowej Republiki przez admirała Ackbara, polegał na posłaniu własnej floty między linie nieprzyjaciół i zmuszenie ich do ostrzeliwania się nawzajem przy próbach zniszczenia lub obezwładnienia głównego celu. To właśnie na jego zastosowaniu opierała się większa część wymyślonej historii uzasadniającej wyknięcie się „Nocnego Gościa” z przestworzy Talasei.

- Za to ja to doceniam - zapewnił Zsinj. - Zastanów się także nad czymś. Skoro kapitan Joshi nie żyje, a Rebelianci zniszczyli „Prowokatora”, jak ci się wydaje, kto jest następnym w kolejce oficerem do objęcia dowództwa „Nieubłaganego”?

W pewnej chwili Buźka zauważył, że zgasty wszystkie światelka na jednym z pulpity komunikatora. Zastanawiał się, czy to awaria całego systemu, czy może oficer łącznościowiec celowo wyłączył zasilanie części obwodów rezerwowego mostka okrętu. Poczuł, że się poci, ale postarał się o tym nie myśleć.

Zwłaszcza w świetle pytania lorda Zsinja. Tylko dlaczego Trigit uśmiechał się, zamiast protestować, że lord zamierza pozbawić go dowództwa gwiazdowego niszczyciela?

Musiało to oznaczać, że Zsinj obiecał mu coś lepszego. Czyżby dowodzenie „Żelazną Pięścią”? A może lord chciał, żeby Trigit został jego osobistym kapitanem?

W końcu Buźka uznał, że dłużej nie powinien się namyślać.

- Prawdę mówiąc, wcześniej się nad tym nie zastanawiałem - powiedział.

- Nic dziwnego, skoro byłeś zajęty - odparł Zsinj. - Teraz także będziesz zbyt zajęty, żeby się zastanawiać, bo chcę, żebyś przyłączył się do Apwara i wyruszył z nim na jeszcze jedną wyprawę. Dokończ więc to, co teraz robisz, a ja podam ci zestaw współrzędnych punktu w przestworzach, w którym się spotkamy. Zrozumiałeś?

- Tak jest, lordzie.

- Dokonaliśmy analizy danych przesyłanych przez szpiegowskie satelity, które pozostawiłeś w przestworzach - odezwał się Trigit. - Czy wiesz, kto was śledzi?

- Nie.

- Eskadra Łotrów.

- Coś takiego! - Buźka się uśmiechnął. - Domyślam się, że to właśnie ich dotyczy ta sprawa, o której wspomniał lord? - zapytał.

Trigit pokiwał głową.

- Zamierzamy ich załatwić raz na zawsze, Darillian - powiedział. Unicestwimy ich jeszcze bardziej bezwzględnie niż poprzednio Eskadrę Szponów.

Buźka usłyszał zduszony pomruk, jaki napłynął z korytarza. Sithowa plwocina! - pomyślał. Czyżby stał tam Donos? Nie ośmielił się jednak odwrócić głowy, żeby to sprawdzić.

- Z rozkoszą przyłączę się do pana podczas tej wyprawy - powiedział.

Wszystko wskazywało, że Trigit nie usłyszał pomruku Donosa.

- To dobrze - stwierdził. - Lecę teraz zająć pozycję odległą o kilka lat świetlnych od Obinipora. Zakończ tam wszystkie swoje sprawy... bez względu na to, na czym polegają.

Zsinj się uśmiechnął.

- A później - ciągnął admirał - dokonaj skoku i przyłącz się do mnie, żebyśmy mogli ponownie wskoczyć do systemu i przyczaić się za największym satelitą planety. Kiedy pojawi się Eskadra Łotrów, żeby zaatakować planetę, bez trudu z nimi skończymy.

Buźka głęboko odetchnął.

- To dobry plan, panie admirale... - zaczął niepewnie - ...ale chyba trochę zbyt mało ambitny.

Trigit się uśmiechnął.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Będziemy dysponowali „Nieubłaganym” i „Nocnym Gościem”, pańskimi i moimi myśliwcami typu T1E - podjął Garik. - Mając taką siłę, możemy zniszczyć coś więcej niż tylko dwanaście gwiazdnych maszyn. Gdybyśmy mieli większy cel, dla którego Rebelianci ściągęliby więcej myśliwców, moglibyśmy unicestwić od razu kilka eskadr.

Trigit pokręcił głową.

- Nie komplikujmy sobie zadania - powiedział. - Zniszczenie Eskadry Łotrów wywrze o wiele większe wrażenie niż wyeliminowanie z dalszej walki dwunastu zwykłych gwiazdnych myśliwców i śmierć ich pilotów. Likwidując eskadrę, zniszczymy także jej reputację i legendę.

Lord Zsinj sprawiał jednak wrażenie zamyślonego.

- Jaki cel miałeś na myśli, Zurelu? - zapytał w końcu.

- Rebelianci są dosyć konsekwentni, jeżeli chodzi o przydzielanie sił i środków do wykonywania takich samych zadań - odparł Buźka. Jeżeli chcemy zniszczyć trzy eskadry zamiast jednej, powinniśmy wybrać cel, przy którym musieliby użyć trzydziestu sześciu gwiazdnych myśliwców. - Zwalczył chęć wzruszenia ramionami, chociaż czuł, że od siedzenia nieruchomo zaczynają drętwieć

mięśnie. - Ważny obiekt. Taki, żeby opłaciło im się podjąć ryzyko z uwagi na straty, jakie wówczas będą mogli panu zadać...

- Mój lordzie, nie wiemy nawet, w jaki sposób Rebelianci z Eskadry Łotrów śledzą „Nocnego Gościa” - przerwał mu Trigrit podniesionym tonem. - Nie możemy być pewni, że będą nadal podążali za Darillianem, jeżeli nagle korweta poleci nie tam, gdzie zaplanowano. Nie mamy żadnego dowodu, że wskoczyli za „Nocnym Gościem” do systemu Morobe.

Jego holograficzny wizerunek patrzył w górę i nieco w bok, jakby na coś, co znajdowało się nad głową Bużki, zamiast na hologram Zsinja. Garik domyślił się, że siedzący na mostku „Nieubłaganego”, Trigrit wpatruje się w wyświetlany tam wizerunek lorda.

Zsinj rozproszył jego obawy lekceważącym machnięciem ręki.

- Postaramy się, żeby kapitan „Nocnego Gościa” nie musiał mylić pogoni, jak wówczas, kiedy miał się spotkać z tobą w systemie Morobe - powiedział. - Dopilnujemy, aby korweta miała dość czasu, żeby zauważyli ją szpiedzy Rebeliantów. A gdyby nie dostrzegli jej od razu, spróbujemy jeszcze raz, aż nasze wysiłki zakończą się powodzeniem. Nie, Apwarze, podoba mi się ten plan. - Zsinj przeniósł spojrzenie na Garika. - Zurelu, zostań w systemie Obinipora, ale daj spokój Bonionowi. Później będziemy się martwić, jak nakłonić go do współpracy. Dam ci znać, gdzie urządzimy naszą zasadzkę.

- Tak jest...

Wizerunek Zsinja zamigotał i się rozplątał.

- ...mój lordzie - dokończył Bużka. Trigrit obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Będzie z ciebie doskonały kapitan gwiazdowego niszczyciela, Darillian - powiedział. - Pod warunkiem że wcześniej nie zabije cię ambicja.

Garik się uśmiechnął.

- Tak jest... - zaczął.

Hologram Trigrita zamrugał i zniknął.

- ...panie admirale - dokończył zupełnie niepotrzebnie Bużka. Odczekał chwilę i obrócił się w stronę drzwi ośrodka łączności. Stojący na progu Wedge patrzył na niego uważnie. Za jego plecami stał Donos z kamienną twarzą i promieniejący Janson. Bużka wzruszył ramionami.

- Trochę improwizowałem - przyznał niepewnie, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Nic nie szkodzi - odezwał się Antilles i dodał, naśladowując precyzyjną dykcję Trigrita: - Będzie z ciebie doskonały porucznik, Bużko. Pod warunkiem że wcześniej nie zabije cię twoja ambicja.

- Tak jest...

Wedge odwrócił się i zniknął na korytarzu.

- ...panie komandorze - dokończył Garik.

ROZDZIAŁ 28

- To będzie Ession - oznajmił Zsinj.

Bużka pokiwał głową z aprobatą, jakby naprawdę miał pojęcie, o czym mowa. Dopiero po kilku sekundach rozjarzył się ekran głównego monitora i zaczęły się na nim ukazywać słowa, po jednym naraz, tak szybko, jak nowy oficer łącznościowiec „Nocnego Gościa” je wypowiadał:

- ESSION, SYSTEM LUCAYA, CZWARTA PLANETA (SEKTOR WSPÓLNY). ZASIEDLONA CZTERY TYSIĄCE LAT TEMU. GŁÓWNY OŚRODEK PRZEMYSŁOWY. NIESTOWARZYSZONA. OSTATNIA WIZYTA „NOCNEGO GOŚCIA” MIAŁA MIEJSCE OSIEMNAŚCIE MIESIĘCY TEMU. ŻADNYCH INFORMACJI, Z KTÓRYCH BY WYNIKAŁO, ŻE ZSINJ NAWIĄZAŁ WÓWCZAS JAKIKOLWIEK KONTAKT.

- Rebelianci będą ją uważali za doskonały cel - odezwał się Bużka. Na wszelki wypadek postarał się nadać głosowi lekko ironiczne brzmienie, gdyby w rzeczywistości Zsinj nie zamierzał wybrać jej jako przynęty.

- Właśnie dlatego musisz dopilnować, żeby cel nie został poważnie zniszczony - odparł Zsinj. - To byłaby zbyt kosztowna strata.

- Z kim powinienem się skontaktować? - zapytał Garik.

Naturalnie z dyrektorem Raffinem... jeżeli chodzi o omówienie głównych zarysów operacji - oznajmił Zsinj. - Raffin jest jednak zbyt nerwowy, żeby brać udział w planowaniu szczegółów. W tej sprawie skontaktuj się z panią Paskalian, szefową jego służb bezpieczeństwa. Postawi na nogi siły obrony planety, a nawet dorzuci kilkanaście swoich myśliwców typu T1E, i to bez zrzędzeń i narzekań, co lubi robić jej zwierzchnik. Naprawdę sędzę, że powinna zająć jego miejsce. Najwyższy czas, żeby Raffin wreszcie odszedł na zasłużoną emeryturę.

- Czy mam tego dopilnować, kiedy tam wyląduję? - zainteresował się Bużka.

Zsinj się roześmiał.

- Chodziło mi o rzeczywiste przejście na emeryturę, Zurelu - sprostował. - Ma ustąpić ze stanowiska dyrektora i spędzić resztę życia na pisaniu pamiętników w wiejskiej rezydencji.

- Bardzo przepraszam - odparł Bużka, nawet nie usiłując sprawiać wrażenia skruszonego.

- Wiem, że starasz się być, jak zawsze, precyzyjny i skuteczny, ale nie musisz go likwidować - dodał Zsinj rozbawionym tonem, ale szybko spoważniał. Jego ręce zaczęły się poruszać poza polem widzenia obiektywu skierowanej na niego holograficznej kamery. - Przesyłam ci instrukcje. Postaraj się jakoś pogodzić z Apwarem.

- Już przeszła mi złość na niego, mój lordzie - zapewnił Garik. Niecierpliwie się, bo chciałbym zaatakować tych, którzy naprawdę na to zasługują.

- To dobrze - pochwalił Zsinj. - Do zobaczenia. Jego hologram się rozplynął.

Zanim Bużka zdążył wrócić na rezerwowy mostek, łącznościowiec uzyskał dostęp do baz danych Nowej Republiki i korzystając z HoloNetu, wyciągnął z nich potrzebne informacje. Postanowił zapoznać z nimi członków nowej załogi mostka „Nocnego Gościa” i pilotów Widm, którzy

zgrupowali się wokół niego.

- Firma nazywa się obecnie Lekki Transport Pakkerda - oznajmił oficer. - Przed śmiercią Imperatora była to filia Sienar Fleet Systems, w której konstruowano zwyczajne i przechwytyjące myśliwce typu T1E. Po śmierci Palpatine'a dyrektorzy Sienara sprzedali tę filię, w której teraz, jak wynika z reklam w HoloNecie, konstruuje się „pełną gamę lekkich wehikułów repulsorowych powszechnego użytku”.

Buźka prychnął z niesmakiem.

- Kto chce się założyć, że nadal montują tam gwiazdne myśliwce typu T1E? - zapytał.

Nie znalazł się nikt, kto chciałby podjąć wyzwanie.

- Jeżeli Zsinj uważa, że dyrekcja zakładów może skierować do walki z nami kilka eskadr gwiazdnych myśliwców, powinniśmy skorzystać z pomocy kogoś na powierzchni planety, kto mógłby temu zapobiec stwierdził Wedge. - Kogoś w rodzaju komandosów porucznika Page'a.

- Popieram ten pomysł - zgodził się Buźka.

- Właścicielem zakładów jest Oan Pakkerd - ciągnął oficer łączności. - Prawdopodobnie to jeszcze jeden pseudonim Zsinja. Głównym dyrektorem jest Vanter Raffin, a szefową jego służby bezpieczeństwa Hala Paskalian. Podejrzewam, że chodzi właśnie o tę firmę.

Wedge odłączył się od reszty grupy i podszedł do pani kapitan Tabanne.

- Zsinj polecił, żebyśmy zrezygnowali z zadania, jakie mieliśmy wykonać na powierzchni Obinipora, i skierowali się na planetę Ession... możliwie jak najszybciej i jakąś nieskomplikowaną, łatwą do śledzenia trasą. Poradzisz sobie z tym zadaniem?

Pani kapitan spojrzała na niego z mieszaniną pogardy i rozbawienia.

- Mam nadzieję, że to było retoryczne pytanie, panie komandorze - powiedziała.

- Mamy szyfry transmisyjne, które pozwolą nam przelecieć obok patrołowców obrony systemu Essiona - poinformował Antilles. - Powinniśmy wylądować na powierzchni największego księżycy i poczekać na przybycie „Nieubłaganego”, zanim zorganizujemy zasadzkę. - Uśmiechnął się ponuro. - Dopiero wówczas spuścimy na nich ciężki obuch młota.

Donos, który czytał widoczne na ekranie dane na temat Lekkiego Transportu Pakkerda, wyprostował się i odwrócił do Antillesa. Buźka zauważył ze zdumieniem, że w oczach pilota maluje się niezwykła powaga.

- Tym razem Trigita już się nie wymknie - oznajmił Korelianin. Nawet gdybym musiał latać X-wingiem tam i z powrotem korytarzami jego niszczyciela, żeby go dopaść.

Dwa dni później Donos musiał tylko spojrzeć przez iluminator, żeby dostrzec okręt mężczyzny, którego tak bardzo pragnął zabić.

„Nocny Gość” spoczywał na powierzchni największego satelity Essiona. Upstrzone mniejszymi i większymi kraterami po trafieniach asteroid srebrzystoszare skały pokrywała gruba warstwa pyłu.

Zaledwie kilkaset metrów dokładnie nad korwetą unosił się nieruchomo „Nieubłagany”. Załoga gwiazdnego niszczyciela klasy Imperial wykorzystywała w tym celu potężne repulsory.

Nieopodal miejsca, w którym spoczął „Nocny Gość”, na wierzchołku pobliskiej góry, widniała czasza dwukierunkowej anteny telekomunikacyjnej. Ustawiono ją tam na stałe, żeby przekazywać transmisje i sygnały sensorów między powierzchnią planety a jednostkami krążącymi po odległych orbitach. Kiedy Kell ją zobaczył, wpadł na pewien pomysł, a Buźka, cały czas odgrywając rolę kapitana Darilliana, przekonał Trigita o jego zaletach. Podkreślił, że antena pozwoli im się ukryć przed skanerami pilotów Eskadry Łotrów, a zarazem zaatakować ich natychmiast, kiedy pojawią się

w systemie.

- Wystarczy, jeżeli zmienimy tryb pracy anteny w taki sposób, żeby odbijała sygnały niczym uszkodzony transponder - wyjaśnił Garik. Wysyłane przez nią sygnały będą na tyle silne, aby zamaskować standardowe oznaki funkcjonowania jednostek napędowych obu naszych okrętów. Służby łączności planety mogą wysyłać rutynowe ubolewania z powodu tego problemu, razem z obietnicą, że niedługo się z nim uporają. Będziemy mogli czyhać tutaj, gotowi do startu w każdej chwili. Piloci Eskadry Łotrów nie dowiedzą się o naszej obecności... chyba że znajdą się tak blisko, że wykryją nas za pomocą wizualnych sensorów.

- A wówczas będzie za późno na ucieczkę - zgodził się z nim Trigit. - To doskonały plan.

Wcielili go w życie, nie zadając sobie więcej trudu niż było to konieczne, żeby przekonać o tym głównego dyrektora Lekkiego Transportu Pakkerda, Vantera Raffina. Krótkie negocjacje i późniejsze przekupienie funkcjonariusza planetarnego rządu sprawiły, że obu okrętom zapewniono elektroniczną ochronę maskującą.

Bużka rozpiął się ze znużoną miną w fotelu dowodzenia w ośrodku łączności. Od czasu do czasu admirał Trigit chciał z nim rozmawiać i Garik nie mógł nawet marzyć o opuszczeniu pomieszczenia.

W pewnej chwili z głośnika interkomu „Nocnego Gościa” wydobył się głos oficera dyżurnego:

- Wahadłowiec „Żółty Włóczęga” właśnie zgłosił operatorowi Kontroli Ruchu Powietrznego swoje pojawienie się w systemie Essiona.

Bużka wyprostował się na fotelu. Niewzbudzające niczyich podejrzeń pojawienie się „Żółtego Włóczęgi” było umówionym sygnałem, że dokładnie pół godziny później nastąpi atak sił zbrojnych Nowej Republiki.

Kilka minut potem oficer łącznościowiec oznajmił, że otrzymuje sygnał z pokładu „Nieubłaganego”. Bużka włączył odbiornik i spojrzał na hologram Trigita.

Admirał sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Darillian, jesteś pewny, że wybrałeś wystarczająco oczywisty szlak, aby mogli podążać nim piloci Eskadry Łotrów? - zapytał.

Bużka kiwnął głową.

- Nie mogłem dopuścić, żeby wydawał się zbyt oczywisty, panie admirale - wyjaśnił z powagą. - Gdybym postępował niezgodnie ze standardowymi procedurami, funkcjonariusze ich wywiadu mogliby nabrać podejrzeń. Doszliby do przekonania, że chcemy, aby za nami lecieli. Może nawet zaczęliby się zastanawiać, dlaczego. Mogliby dojść do wniosku, że zamierzamy wciągnąć ich w zasadzkę, więc nie mogłem na to pozwolić. Dopilnowałem, żeby „Nocny Gość” znalazł się w zasięgu planetarnych sensorów Obinipora, leciałem tym kursem najdłużej, jak mogłem bez wzbudzania niczyich podejrzeń, żeby obliczyć parametry następnego skoku, i starałem się wyskakiwać z nadprzestrzeni w kilku dużych zamieszkałych systemach, w których szpiedzy Rebeliantów nie mogliby nie zauważyć naszej obecności. Wiedzą, że tu przylecieliśmy, panie admirale.

- To prosta zasada: najlepiej ich śledzić - odezwał się Trigit. Bużka nie bardzo wiedział, o co admirałowi chodzi, więc po prostu kiwnął głową. Zerknął na ekran głównego monitora, ale nie pojawiła się na nim żadna odpowiedź. Admirał zmarszczył brwi.

- Najlepiej ich śledzić - powtórzył z naciskiem. Bużka się uśmiechnął.

- Bardzo przepraszam, panie admirale - powiedział. - Wciąż zastanawiam się nad szczegółami

planu walki. Prawdę mówiąc, rozmyślałem nad tym, że moje myśliwce typu T1E nie stanowią poważnej siły bojowej. Nie bardzo wzmocnią pańskie eskadry, więc może wyraziłby pan zgodę, żeby moi piloci mieli zaszczyt eskortować „Nieubłaganego” po rozpoczęciu bitwy?

- Nie zmieniaj tematu, Darillian - burknął Trigit. - Najlepiej ich śledzić.

W końcu na ekranie głównego monitora pojawił się potrzebny tekst. Buźka rzucił okiem na ekran i spróbował przybrać wygląd odprężonego.

- Najlepiej ich śledzić, jeżeli się leci przed nimi - powiedział. Dzięki temu ofiara się nie zorientuje, że to nie ona jest drapieżnikiem. Standardowa doktryna Imperialnego Wywiadu.

- Długo trwało, zanim przypomniałeś sobie powiedzenie, które znają na pamięć wszyscy byli funkcjonariusze wywiadu z Coruscant odezwał się admirał.

Buźka poczuł, że się poci. Miał nadzieję, że zaprogramowany przez Młynka translator obrazów nie zdradzi tego Trigitowi. Postarał się nadać głosowi ponure brzmienie.

- Czy pan wie, admirale, ile czasu upłynęło, odkąd byłem w domu? - zapytał.

- Dwa lata, siedem miesięcy... - Trigit zerknął w bok - ...i sześć dni. Dziękuję, panie poruczniku.

- Przeniósł spojrzenie na Garika. Jak mogłeś zapomnieć o czymś, czego z pewnością nie zapomniałby kapitan Zurel Darillian? - zapytał.

- Bo nie jestem kapitanem Darillianem - odparł prosto z mostu Buźka. Zauważył niebotyczne zdumienie na twarzy admirała. - A przynajmniej nie tym samym Darillianem, który opuścił dom dwa lata, siedem miesięcy i sześć dni temu. Wszystko się zmieniło, odkąd ostatnio tam byłem. - W miarę jak członkowie nowej załogi „Nocnego Gościa” starali się domyślać, jakie mogą być następne dociekliwe pytania admirała, po ekranie monitora zaczęły się przesuwać informacje na temat faktów z życia prawdziwego kapitana Darilliana. - Nie jestem tym samym Darillianem, którym byłem, zanim „Lusankya” odleciała z Coruscant, a moja żona zginęła w katastrofie, jaka towarzyszyła ucieczce gwiazdowego superniszczyciela. Z pewnością nie jestem skompresowanym zbiorem danych w pańskiej pamięci, które uważa pan cały czas za kapitana Darilliana.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie...

Buźka udał, że nie słyszy jego uwagi. Obrócił głowę w bok, żeby nie kierować spojrzenia na twarz Trigita, i postarał się nadać głosowi jeszcze bardziej posępne brzmienie.

- To prawdziwa ironia, nie sądzi pan, admirale? - zapytał. - Kobieta, którą uwielbiałem, przyczyniła się do śmierci innej kobiety, którą kochałem. Jasne, ktoś mógłby to uznać za zabawny zbieg okoliczności...

- Kobieta, którą... - powtórzył admirał. - Coś ty powiedział? W końcu Buźka pozwolił sobie spojrzeć na twarz rozmówcy.

- Kiedy Ysanna Isard przebiła się „Lusankya” z kryjówki pod powierzchnią Coruscant, jednym ze zniszczonych budynków był ten, w którym mieszkaliśmy z żoną - powiedział.

- Wiem o tym - burknął zniecierpliwiony Trigit. - Podobnie jak chyba wszyscy inni w galaktyce. Tę informację można znaleźć w imperialnych bazach danych. Chodzi mi o tę kobietę, którą uwielbiałeś.

Buźka mógł się odprężyć i nawet lekko uśmiechnąć. W końcu udało mu się nakłonić Trigita do rezygnacji z dalszego przesłuchania.

- Och, nie ma sensu ukrywać dłużej tej prawdy - powiedział. Nikomu to już nie zaszkodzi. Kochałem żonę, panie admirale, ale Ysanna Isard była dla mnie jak bogini.

- Chyba żartujesz.

- Czy kiedykolwiek ją pan widział? - zapytał Garik.

- Naturalnie. Kilka razy - odparł Trigit.

- Ja także - przyznał Buźka. - I za każdym razem byłem tak zaskoczony, że zapomniałem języka w gębie. Tak działała na mnie jej inteligencja, władza i przekonanie, że przeznaczenie okrywają niczym niewidzialna oponka. Zrezygnowałbym dla niej z wszystkiego... z rodziny, honoru, dowództwa i nazwiska. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Naturalnie, niczego takiego ode mnie nie wymagała podjął po chwili. - Byłem jak marny owad przed jej oczami. Sądzę, że wszystkich tak traktowała... może z wyjątkiem Imperatora. Na szczęście, mogłem przynajmniej snuć marzenia. - Odetchnął tak głęboko, że mało nie pękły szwy jego munduru, i skierował spojrzenie w przestrzeń. Bardzo chciał sprawiać wrażenie osoby pogrążonej w zadumie. - Weźmy choćby jej zapach - podjął po chwili. - Tak czysty, jakby Isard była równie bezkompromisowa i skrupulatna w sprawach higieny osobistej, jak we wszystkich innych dziedzinach życia... z cieniem woni perfum, w której wyczuwało się coś pikantnego i zarazem pozbawionego słodyczy...

Admirał pokiwał głową. Sprawiał wrażenie nie mniej zafascynowanego.

- To woń sandałowego drewna - odezwał się w końcu. - Nie znam żadnej innej kobiety, do której pasowałby taki zapach.

- Właśnie to chciałem powiedzieć - podchwycił skwapliwie Buźka, ponuro się uśmiechając. - A teraz obie ukochane kobiety nie żyją. Uważam, że to jeszcze jeden powód więcej, aby wymazać plamę Rebelii z oblicza tej galaktyki.

- Doskonale cię rozumiem - stwierdził uroczystym, kojącym tonem Trigit. - Naturalnie piloci twoich myśliwców T1E będą mogli eskortować „Nieubłaganego”. Zapewne chcesz się teraz zająć przygotowaniami, kapitanie?

- Dziękuję, panie admirale.

Hologram Trigita się rozplątał. Chwilę później z cichym trzaskiem do życia obudził się głośnik interkomu. Zamiast głosu rozmówcy dobiegły z niego oklaski i radosne okrzyki członków załogi.

Buźka uśmiechnął się - już jak Garik Loran, a nie jak kapitan Zurel Darillian.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedział. - Przedstawienia zaczynają się punktualnie o pełnej godzinie i trwają prawie całą godzinę dodał. - Moja specjalność to imperialni szaleńcy.

- Towarowy transportowiec „Czerwone Pióra” przelatuje przez pas systemu zewnętrznej obrony Essiona - zameldował oficer łącznościowiec „Nocnego Gościa”.

Pani kapitan Atril Tabanne kiwnęła głową.

- To nasz kontakt - oznajmiła. - Przekaż jego obraz na stanowiska i do kabin wszystkich gwiazdnych myśliwców. Aha, i prześlij go także na rezerwowy mostek. Chcę się przekonać, co to za jednostka.

Po chwili na ekranie głównego monitora ukazał się wizerunek niewiarygodnie poobijanego kontenerowca. Archaiczny statek kierował się w stronę jednego z orbitujących w przestworzach Essiona gwiazdnych magazynów.

Atril syknęła.

- Znam ten statek - powiedziała.

- To nie „Czerwone Pióra”. - W głosie Jansona brzmiała mieszanina zdumienia i podziwu. - To „Krwawe Gniazdo”.

Rzeczywiście, kierujący się w stronę Essiona kontenerowiec był tym samym żalonym transportowcem klasy Mark VI, który służył piratom z księżyca M2398-3 jako baza.

- Nie do wiary, że udało się im go uruchomić - odezwał się Wedge.

- Lepiej wskakujcie do kabin gwiazdnych myśliwców - powiedziała Atril. - Przedtem jednak muszę wam powiedzieć, że przyszło mi do głowy coś strasznego.

- A nie powinno - stwierdził Janson.

- Z ostatnio otrzymanych rozkazów wynika, że mamy wystartować z powierzchni księżyca, zaledwie piloci Widm znajdą się w przestworzach - ciągnęła pani kapitan. - Przekąźnikowa antena wysyła cały czas zakłócające sygnały, więc operatorzy „Nieubłaganego” nie powinni nas namierzyć.

Wedge kiwnął głową.

- Zgadza się - powiedział. -1 co z tego?

- A jeżeli okażą się na tyle sprytni, że kilka sekund po rozpoczęciu bitwy rozpylą antenę na atomy? - zapytała Atril. - Staniemy się wówczas łatwym celem.

- Nie zastanawiałem się nad tym - mruknął Antilles i pogrążył się w zadumie. - Mogłabys wykonać pewien manewr, który zmyli zarówno ich sensory, jak i wizualne systemy celownicze - odezwał się w końcu.

Wyjaśnił, na czym polega jego pomysł.

Atril spojrzała na głównego pilota, który pokręcił głową.

- Panie komandorze, nie jestem pewna, czy zdołamy zrobić coś tak skomplikowanego - zaczęła. - Nie mieliśmy dość czasu na zapoznanie się z tego typu okrętem..

- Daj spokój, Atril, przecież jesteś najbardziej doświadczoną pilotką koreliańskich okrętów, jaką mamy na pokładzie - obruszył się Wedge.

- Proszę wybaczyć, ale to nieprawda - sprzeciwiła się Tabanne. Na pokładzie korwety mamy kogoś o wiele bardziej doświadczonego niż ja, panie komandorze.

Ubrana w kombinezon pilota myśliwca typu T1E Falynn czekała obok klapy wjazdu ratunkowej kapsuły, żeby na dany sygnał wskoczyć do kabiny gały.

W pewnej chwili usłyszała tupot butów biegnącej osoby. Spodziewała się, że przebiegnie obok niej spieszący do wjazdu kabiny swojego myśliwca komandor Antilles, ale ze zdumieniem stwierdziła, że to Atril Tabanne, ubrana w czarny kombinezon imperialnego pilota.

- Pani kapitan? - zapytała Falynn. - Co się stało z komandorem? Atril znieruchomiała obok klapy wjazdu i zaczęła wkładać hełm pilota.

- Zamieniliśmy się - powiedziała. - Teraz ja jestem Szarą Jedyneką.

- Znów ktoś pokpił sprawę w ostatniej chwili? - domyśliła się pilotka z Tatooine.

- Wydaje mi się, że właśnie tego udało się nam uniknąć - odparła Atril.

Otworzyła klapę i zniknęła w otworze wjazdu. Falynn poszła w jej ślady.

Kell pstryknął włącznikiem mikrofonu komunikatora.

- Tu „Piątka” - oznajmił. - Cztery silniki gorące i zielone. Systemy uzbrojenia dysponują pełną mocą. Wszystkie pokładowe podzespoły funkcjonują prawidłowo.

Usłyszał podobne meldunki pozostałych pilotów Widm gnieźdzących się w dziobowej ładowni „Nocnego Gościa” w różnych miejscach metalowego szkieletu. Młynek, Patyk, Phanan, Donos i Tyria zgłosili gotowość do startu. Buźka miał się do nich przyłączyć jeszcze przed odlotem, gdyby mógł, albo wystartować później, gdyby musiał pozostać na swoim stanowisku dłużej, niż początkowo przypuszczano. Wedge, Falynn, Janson i Prosiak powinni właśnie wskakiwać do kabin czterech myśliwców T1E i przygotowywać się do rozpoczęcia zaskakującego ataku na gwiazdny niszczyciel.

Kell czuł, że oddycha coraz szybciej. Uświadomił sobie, że do startu pozostaje wciąż jeszcze

kilka minut. Spróbował uspokoić nerwy.

Spojrzał w dół. Na samym dole w sąsiednim rzędzie ujrzał Tyrię Sarkin. Młoda pilotka wykonywała gorączkowo ostatnie procedury przedstartowe. W pewnej chwili uniosła głowę, a kiedy zobaczyła przyglądającego się jej pilota, posłała mu całusa.

Kell uśmiechnął się z przymusem i odwrócił głowę. Stwierdził, że coraz bardziej się denerwuje.

Pani porucznik Gara Petothel, pełniąca służbę w niszy dla personelu mostka gwiazdowego niszczyciela, uniosła nagle głowę i zaczęła, aż spojrzy na nią dowódca okrętu.

- Przypuszczam, że ten stary kontenerowiec to ich środek transportu, panie admirale - powiedziała.

- Dlaczego tak uważasz? - zainteresował się Trigit.

- Kapitan melduje, że przyciąganie planety spowodowało uszkodzenia kadłuba - ciągnęła kobieta.

- Liczy się z możliwością utraty szczelności. Przypuszczam, że archaiczny statek rozpadnie się na kawałki... a kiedy eksploduje, z ładowni wysypią się eskadry X-wingów.

Trigit zachichotał.

- Całkiem niezła taktyka - przyznał. - Bez względu na to, czy ma pani rację, czy nie, będę musiał o tym pamiętać.

Pani porucznik uśmiechnęła się i odwróciła głowę.

- Stanowisko łączności, proszę przełączyć na głośnik wszystkie sygnały, jakie wysyła albo otrzymuje operator systemów telekomunikacyjnych tego kontenerowca - rozkazał Trigit. - Stanowisko sensorów, proszę przekazać na ekran obraz transportowca.

- Przełączam na głośnik, panie admirale.

- Rozkaz, panie admirale.

Niemal natychmiast z głównego głośnika mostka gwiazdowego niszczyciela rozległ się głos łącznościowca „Czerwonych Piór”:

- Zaprzeczam, Kontrolo Ruchu Powietrznego Essiona. Wzdłuż kilu naszego statku pojawiły się pierwsze pęknięcia. Z każdą chwilą się poszerzają. Z ładowni uchodzi atmosfera, co jeszcze bardziej pogarsza naszą sytuację. Nie zdołamy zapobiec katastrofie przed pojawieniem się waszych jednostek ratunkowych.

W głosie mężczyzny brzmiało ubolewanie.

- „Czerwone Pióra”, czy przypuszczacie, że do naszej atmosfery przedostaną się jakieś szczątki? - zaniepokoił się operator Kontroli Lotów.

- Obawiam się, że muszę potwierdzić, Ession - odezwał się łącznościowiec kontenerowca. - Zrobimy co w naszej mocy, żeby to ograniczyć. Za pięć minut wydam rozkaz autodestrukcji statku, ale przedtem uruchomię procedurę i wystrzelę kapsułę ratunkową.

- A co z masą waszego kadłuba i wszystkich kontenerów? - zapytał coraz bardziej zaniepokojony operator.

- Kadłub nie będzie stanowił żadnych problemów - uspokoił go łącznościowiec „Czerwonych Piór”. - Siła eksplozji rozerwie go na tak małe kawałki, że wszystkie spłoną jeszcze w górnych warstwach waszej atmosfery. Podobny los powinien spotkać kontenery. Przekazałem wam manifest okrętowy, więc wiecie, że nie transportuję kilkusettonowych sztab durastali. Możecie się obawiać najwyżej opadów naturalnego nawozu.

- Planetarne protokoły komunikacyjne nie pozwalają mi komentować tego oświadczenia, „Czerwone Pióra” - burknął operator.

Admirał Trigitt spojrzał w dół, na nawigatora.

- Proszę określić współrzędne ich dalszego kursu - polecił. - Proszę też o informację, gdzie się znajdują po upływie tych pięciu minut.

- Rozkaz, panie admirale. - Nawigator pochylił się nad kontrolnym pulpitem i mniej więcej minutę prowadził obliczenia. W końcu się wyprostował i spojrzał na Trigitta. - Kwadrat siedemnaście-trzydzieści - zameldował.

- Chodziło mi o to, jak daleko znajdują się od zakładów Lekki Transport Pakkerda - wyjaśnił admirał.

- Rozumiem. - Nawigator sprawiał wrażenie speszzonego. - W odległości od pięćdziesięciu do stu kilometrów od zakładów, na wysokości kilkuset kilometrów, panie admirale - odezwał się w końcu.

Trigitt rozsiadł się wygodnie na fotelu dowodzenia. Wyglądał na zadowolonego.

- Pani porucznik Petothel - powiedział. - Proszę przyznać sobie trzydniową przepustkę.

- Natychmiast, panie admirale - odparła kobieta.

- Piloci do myśliwców - rozkazał Trigitt.

Wszyscy wpatrywali się w napięciu w ekran głównego monitora „Nocnego Gościa” i ekrany wtórnych monitorów w pomieszczeniach wspólnych koreliańskiej korwety i w kabinach gwiazdnych myśliwców typu X-wing i T1E. Widoczny na nich archaiczny kontenerowiec „Czerwone Pióra” bezradnie koziółkował w przestworzach. Kiedy dotarł do najwyższych warstw atmosfery Essiona, jego kadłub zaczął się odkształcać.

W pewnej chwili odłączyła się od niego kapsuła ratunkowa i powoli opadała w stronę powierzchni planety.

Minutę później kontenerowcem wstrząsnęła siła pierwszej eksplozji. We wszystkie strony poszybowały fragmenty kadłuba. Wprawdzie frachtowiec nie przestał się obracać, ale z głównej ładowni wyleciały standardowe kontenery. Oglądane z dużej odległości, wyglądały jak miniaturowe prostopadłości, ale mogły pomieścić setki ton towarów czy surowców. Jedynie bystry obserwator mógłby zauważyć, że między nimi wirują mniejsze przedmioty o nieregularnych kształtach.

Wedge pstryknął włącznikiem pokładowego interkomu.

- Z ładowni kontenerowca wylatują Eskadry Łotrów, Zielonych i Niebieskich - oznajmił. Eskadra Zielonych składała się z bombowców typu Y-wing i była dowodzona przez generała Salma z planety Borleias, a Eskadra Niebieskich z myśliwców typu A-wing i była dowodzona przez generała Crespina. Między nimi koziółkowały X-wingi Eskadry Łotrów, co wskazywało, że podczas tej akcji Naczelne Dowództwo postanowiło posłużyć się różnymi typami gwiazdnych maszyn szturmowych. Kluczu Szarych, przygotujcie się na rozkaz z pokładu „Nieubłaganego”. Eskadro Widm, jesteście gotowi?

- G... gotowi, panie komandorze - zająknął się Kell.

- Nic ci nie jest, poruczniku Tainer? - zaniepokoił się Antilles.

- Nic a nic, panie komandorze - odparł Kell. - Tylko zaschło mi w gardle.

Wskutek tarcia o cząsteczki atmosfery kontenery, które pierwsze wyleciały z rozprutej ładowni skazanego na zagładę kontenerowca, zaczynały się jarzyć purpurowym blaskiem.

W pewnej chwili do Antillesa zwrócił się oficer łącznościowiec „Nocnego Gościa”:

- Otrzymaliśmy transmisję z „Nieubłaganego”, panie komandorze zameldował. - Mamy wysłać do walki wszystkie myśliwce typu T1E.

- Proszę potwierdzić odebranie rozkazu - odparł Wedge.

- Rozkaz, panie komandorze. Antilles włączył mikrofon interkomu.

- Klucz Szarych, startujcie - rozkazał.

Atril, Falynn i Janson oderwali się bez przygód od kadłuba koreliańskiej korwety. Prosiak trochę zwlekał, zupełnie jakby nie miał w tym wprawy, ale w końcu i on znalazł się w przestworzach. Leciał obecnie na samym końcu jako skrzydłowy Jansona i wszystko wskazywało, że całkiem nieźle radzi sobie z pilotowaniem myśliwca T1E.

Z dolnego hangaru unoszącego się nad nimi „Nieubłaganego” wylatywały imperialne gały, myśliwce przechwytyjące typu T1E i bombowce. Atril powiodła klucz Szarych w górę takim kursem, żeby się znaleźć daleko od strumienia wylatujących myśliwców. Ominęła sterburtową krawędź gwiazdowego niszczyciela, przeleciała nad kadłubem i zastopowała mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed i tyle samo powyżej dziobu ogromnego okrętu.

- Klucz Szarych zajął wyznaczone stanowisko-zameldowała i z radością zauważyła, że jej głos nie zadrżał.

Siedziała w kabine myśliwca uzbrojonego w lasery i czekała na okazję zniszczenia jednego z najpotężniejszych okrętów, jakie знаła galaktyka.

Wedge obserwował wskazania sensorów, które informowały go, że piloci siedemdziesięciu dwóch gwiazdnych myśliwców typu T1E szybko pokonują pół miliona kilometrów, jakie oddzielało planetę Ession od jej największego księżyca.

Tymczasem kolejne eksplozje, które wyglądały w oczach Antillesa raczej jak wybuchy starannie rozmieszczonych ładunków niż systemy autodestrukcji kontenerowca, rozerwały kadłub „Czerwonych Piór” na ogromne kawały, które, koziołkując w locie, płonęły w górnych warstwach atmosfery. Razem z nimi w kierunku powierzchni Essiona leciały także kontenery i mniejsze szczątki wraku statku.

Wszystkie jarzyły się silniejszym albo słabszym purpurowym blaskiem, ale tylko ktoś, kto obserwował je równie uważnie jak Wedge i dysponował równie skomplikowanym sprzętem, zauważyłby, że trzydzieści sześć przedmiotów świeci tylko z jednego końca... od strony rufy, i opada ku powierzchni w kontrolowany sposób, chociaż z tą samą prędkością, co płonące szczątki.

Piloci imperialnych myśliwców T1E znaleźli się w pobliżu miejsca pierwszej eksplozji kadłuba „Czerwonych Piór”. Wedge włączył mikrofon komunikatora.

- Bużko, wskakuj do kabiny - rozkazał. - Widma, przygotujcie się do wykonania „Splunięcia Lorana”.

Podszedł do fotela głównego pilota. Oficer przekazał mu stery i udał się do pomocniczej konsoli systemów uzbrojenia.

Wedge zaczekał, aż główny pilot usiądzie na fotelu operatora.

- Jesteś gotów zabawić się w wędkarza? - zapytał.

Młody mężczyzna strzelił palcami i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- To będzie największa rzecz, jaką kiedykolwiek wciągnąłem na pokład okrętu, panie komandorze - powiedział.

Bużka zbiegł po wąskich metalowych schodach do dziobowej ładowni i przeskakując po kilka stopni, znalazł się na płycie lądowiska. Pozostali piloci eskadry Widm patrzyli na niego z kabin swoich X-wingów.

Owiewka kabiny myśliwca Garika była otwarta, ale tylko częściowo, bo maszyna znajdowała się wciąż jeszcze w metalowym stojaku. Bużka wspinał się po szczeblach usłużnie pozostawionej przez

kogoś drabinki i wcisnął się do kabiny niczym wąż wślizgujący się do bezpiecznej kryjówki. Zanurkował w głąb i z trudem się obrócił. Usiadł na fotelu pilota, zamknął i uszczelnił owiewkę i uruchomił silniki.

- „Widmo Osiem” przygotowuje się do startu - zameldował. Wszystkie cztery silniki działają prawidłowo.

Z cienia pod skrzydłami myśliwca Patyka wyłonił się Cubber. Chwycił drabinę, zsalutował, odstawił ją na bok i pobiegł do wyjścia z ładowni.

Niemal natychmiast z głośników pokładowych komunikatorów zabrzmiał głos Antillesa:

- Przygotowuję dziobową ładownię, żebyście mogli wystartować w przestworza.

W ogromnym pomieszczeniu zgasły wszystkie światła i tylko z otwartych drzwi wyjściowych sączyła się słaba poświata, oświetlająca krawędzie płatów nośnych X-wingów. Zaledwie drzwi zdążyły się zamknąć za plecami Cubbera, w ładowni zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Nagle Buźka usłyszał skrzypnięcie owiewki swojego myśliwca i domyślił się, że z ładowni zaczyna uchodzić atmosfera.

- Widma, tu „Piątka” - odezwał się Kell. - Pamiętajcie, nie włączać celowniczych komputerów, dopóki nie wydam wyraźnego rozkazu. Podam wam współrzędne kursu, którym wystrzelicie protonowe torpedy.

Buźka w milczeniu kończył wykonywać procedury przedstartowe, w miarę jak na kontrolnych pulpitych zapalały się zielone światełka informujące o stanie pokładowych urządzeń i podzespołów.

- Widma, tu dowódca - ciągnął Wedge. - Życzę wam powodzenia. Bądźcie silni Mocą. Nawet ty, „Dziesiątko”. Do „Splunięcia Lorana” trzydzieści sekund... dwadzieścia pięć... dwadzieścia... piętnaście...

Przed dziobami X-wingów pojawiła się pionowa jasna szczelina. Kiedy zaczęła się poszerzać, oczom pilotów Widm ukazał się wycinek powierzchni księżyca. Buźka poczuł lekki wstrząs i zobaczył, że obraz się obniża. Po chwili w szczelinie ukazała się odległa o pół miliona kilometrów planeta Ession, a jeszcze później rufa unoszącego się nad „Nocnym Gościem” gwiazdowego niszczyciela. Z każdą chwilą, w miarę jak wrota dziobowej ładowni się rozsuwały, obraz stawał się coraz szerszy.

- ...dziesięć... pięć...

- Panie admirale, „Nocny Gość” rozpoczął nieoczekiwany manewr - zameldowała pani porucznik Gara Petothel. - Dziób okrętu unosi się w kierunku naszego niszczyciela. Wygląda na to, że kapitan zamierza odlecieć w stronę Essiona.

- Przeklęty pies gończy - mruknął Trigit. - Zadaj mu rutynowe pytanie o intencje i wydaj rozkaz, żeby został w pogotowiu.

- Tak jest, panie admirale.

- Ogłoś „Cios Szponów” - polecił Wedge oficerowi łącznościowcowi „Nocnego Gościa”. Dokładnie we właściwej chwili znów zbliżył usta do mikrofonu komunikatora. - ...zero! - dokończył.

Wstrzymał oddech.

Atril usłyszała słowa „Cios Szponów” i przystąpiła do wykonywania manewru.

Obróciła o sto osiemdziesiąt stopni swój myśliwiec T1E, jakby toczyła powietrzny pojedynek, ale ani o milimetr nie zmieniła swojej pozycji w przestworzach. Po chwili zobaczyła przed sobą kadłub „Nieubłaganego”. Unosił się obecnie nad nią, bo patrzyła na niego odwrócona do góry nogami.

Włączyła celowniczy komputer, skierowała sensory na odległy o półtora kilometra mostek i wystrzeliła.

Kell włączył celowniczy komputer, wziął na cel punkt na spodzie kadłuba „Nieubłaganego”, usytuowany mniej więcej pośrodku między słonecznym reaktorem jonizacyjnym a rufą, i podał pilotom Eskadry Widm namiar celu.

- Ognia, ognia, ognia! - wykrzyknął i przycisnął guzik spustowy protonowych torped.

Pełniący służbę w zagłębieniu dla załogi oficer obsługujący stanowisko sensorów odwrócił się i pragnąc zwrócić na siebie uwagę Trigita, zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami.

- Panie admirale, spód okrętu namierzyło kilka celowniczych komputerów nieprzyjacielskich systemów uzbrojenia...

Przerwał mu inny oficer mostka.

- Panie admirale, mostek został namierzony przez systemy celownicze laserowych działek...

Trigit nie wahał się ani chwili.

- Generatory ochronnych pól, pełna moc! - rozkazał.

Oficer pełniący służbę przy konsolce systemów uzbrojenia wyciągnął rękę w kierunku włącznika generatorów.

Nagle od strony głównego dziobowego iluminatora doleciał huk, jakby grzmotnęła go pięść rankora. Fototropowe osłony zdołały powstrzymać pierwsze błyskawice laserowych strzałów, ale przezroczyście tafle prawie zupełnie ściemniały. Sekundę później w mostek trafiła druga salwa.

Iluminator pękł i eksplodował. Do środka wpadły okruchy transpastali, lecz niemal natychmiast zmieniły kierunek lotu i wyleciały w przestworza razem z uchodzącą atmosferą.

ROZDZIAŁ 29

Powietrze wylatywało z mostka z szumem i świstem. Zanim uciekło całkowicie, rozległ się dźwięk alarmowego klaksonu, ledwo słyszalny z powodu huku szalejącej wichury.

Admirał Trigit odwrócił się i walcząc z huraganem, ruszył w kierunku bezpiecznej kabiny na zapleczu mostka. W pewnej chwili zauważył, że jeden ze stojących w jej drzwiach szturmowców, szarpnięty podmuchem, zatoczył się i wpadł do zagłębienia dla personelu mostka.

Zobaczył też, że odporne na strzały z blasterów drzwi bezpiecznej kabiny się zamykają. Rezygnując z zachowania resztek pozorów godności, zaczął się czołgać po płytach pokładu z szybkością, jakiej nie powstydziliby się o wiele młodszy mężczyzna. Wpadł do kabiny kilka sekund przed zatrzaśnięciem się ciężkich płyt i pozwolił, żeby inny szturmowiec pomógł mu wstać.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Większość osób personelu ośrodka łączności zdołała przeżyć, chociaż wszyscy mieli oczy szeroko otwarte z przerażenia. Chwilę później otworzyły się drzwi szybu turbowindy. Do kabiny wpadli Gara Petothel i kilkoro innych oficerów, którzy pełnili służbę w zagłębieniu dla personelu mostka. Sprawiali wrażenie nie mniej wstrząśniętych niż pozostali.

Trigit kiwnął głową w kierunku głównego oficera łącznościowca.

- Proszę polecić, żeby personel rezerwowego mostka przekazał funkcje głównego mostka na te pulpity. - Oficer odwrócił się i podszedł do konsoli, a płyty pokładu zadrżały lekko pod jego stopami. Czy generatory ochronnych pól zostały włączone?

- Zaraz sprawdzę, panie admirale. - Oficer polecił komputerowi wyświetlenie diagnostycznego schematu. Popatrzył na niego i się skrzywił. - Panie admirale, kiedy nieprzyjaciele zaczęli ostrzeliwać mostek, zniszczyli kopuły z generatorami ochronnych pól - zameldował.

Trigit syknął gniewnie.

- Wszyscy na stanowiska - rozkazał. - Zamierzam im udowodnić, że nie powinni byli zadzierać z silniejszymi.

- „Piątka” za burtą!

- „Czwórka” za burtą!

- „Szóstka” siedzi na ogonie twojego myśliwca!

Wedge słuchał meldunków pilotów Widm wylatujących z dziobowej ładowni „Nocnego Gościa” i modlił się w duchu, żeby wystartowali jak najszybciej. Kierował dziób koreliańskiej korwety coraz bardziej w górę, aż w końcu ustawił kadłub okrętu pionowo względem powierzchni księżyca. Poczuł drżenie kilu, kiedy repulsory musiały poradzić sobie z utrzymywaniem pozycji, do której nie zostały zaprojektowane. Wiedział, że na wykonanie tego manewru pozwoliła niewielka siła ciężkości księżyca, równa zaledwie czterem dziesiątym standardowego ciężenia.

- „Widmo Dziewięć” za burtą!

- „Dziesiątka” w przestworzach!

Wedge sięgnął pod spód konsoli i pstryknął dźwigienką umieszczonego tam przełącznika. Z zagłębienia w pulpicie uniósł się niewielki drążek sterowniczy, podobny do tego, jakim

posługiwali się piloci gwiazdnych myśliwców. „Nocny Gość” nie był przeznaczony do wykonywania tak precyzyjnych i skomplikowanych manewrów, podczas których powinno się korzystać z takiego drążka, ale koreliańscy inżynierowie wiedzieli, że czasami może to być konieczne. Wedge włączył zasilanie drążka i obrócił głowę w kierunku oficera łącznościowca.

- Generatory promienia ściągniętego gotowe? - zapytał.

- Gotowe, panie komandorze.

- Na zero - zdecydował Antilles. - Trzy, dwa, jeden, zero! Uderzył otwartą dłonią w przełącznik i przesłał pełną moc do jednostek napędowych „Nocnego Gościa”.

Korweta szarpnęła się, a przeciążone silniki zaskowyczały. Okręt uniósł się jeszcze kilka metrów nad powierzchnię księżyca i znieruchomiał, chociaż z dysz silników wydobywała się oślepiająco jasna poświata. Był obecnie związany z księżycem za pomocą niewidzialnego promienia ściągniętego.

Gazy wydechowe z dysz silników wzbijały nad powierzchnię chmurę księżycowego pyłu i małych kamieni. Kłębiła się coraz wyżej i wkrótce spowiła kadłub okrętu niczym nieprzenikliwy całun. Kilka sekund później Wedge stracił z oczu unoszącą się nad dziobem korwety sylwetkę gwiazdznego niszczyciela, widział ją jednak nadal na ekranach sensorów. Obraz był wprawdzie trochę zniekształcony, ale jednak czytelny dzięki wysyłanym z czas parabolicznych anten elektromagnetycznym sygnałom.

- Artylerzyści dziobowych stanowisk, strzelać bez rozkazu - polecił Antilles.

- „Narra” startuje w przestworza - zameldował siedzący w sterowni wahadłowca Cubber. Zamierzał trzymać się z daleka od pola bitwy, ale miał spieszyć na pomoc pilotom, gdyby któryś katapultował się w przestworza.

- „Widmo Siedem” za burtą - zameldował Phanan. - Panie komandorze, krztuszę się tym pyłem!

- „Widmo Osiem” właśnie startuje. „Ósemka” za burtą. Mostku, wyleciałem ostatni z dziobowej ładowni.

Nie przestając atakować pylonu dowodzenia na rufie gwiazdowego niszczyciela, „Szary Jeden” i „Szary Dwa” ostrzeliwały go na zmianę. W pewnej chwili Atril dostrzegła, że wielokrotnie trafiona komunikacyjna wieża imperialnego kolosa rozpada się na kawałki.

Dopiero wówczas pani porucznik Tabanne wzięła na cel niewinnie wyglądającą płytę pancerza kadłuba, która chroniła rezerwowe źródła zasilania, dostarczające energii pokładowym komputerom. Wątpiła, czy laserowe działka myśliwca T1E zdołają przeniknąć przez pancerz, ale gdyby ona i Falynn wielokrotnie trafiły w to samo miejsce, może...

Buźka zwiększył pułap lotu i skierował się w stronę ogromnej dziury wyrwanej w spodzie kadłuba „Nieubłaganego”. Między poszarpanymi metalowymi płytami przeskakiwały błękitne błyskawice elektrostatycznych wyładowań. Powodowały tak głośne trzaski w słuchawkach jego hełmu, że Buźka zaczął się obawiać o całość bębneków.

- „Siódemka”, to chyba dobre miejsce, żeby wpakować tam jeszcze kilka torped - powiedział.

- Zgadzę się z tobą, „Ósemka” - odparł Phanan. - Jestem twoim skrzydłowym.

Garik wziął wyrwę na cel i strzelił. Torpedy posłane przez niego i Phanaana błysnęły i zniknęły w stopniowo powiększającej się dziurze w spodzie kadłuba imperialnego niszczyciela. Kiedy eksplodowały, z mrocznej czeluści wystrzeliła ognista kula pełna płonących fragmentów kadłuba i kłębow dymu.

Z każdą chwilą na powierzchnię księżyca opadało coraz więcej szczątków. „Widmo Siedem” i

„Widmo Osiem” zmieniły kurs, żeby je wyminąć, i wykonały ostry zwrot, aby uniknąć trafienia przez błyskawice wystrzelone z luf wielkich dział okrętu.

- Wezwać do powrotu pilotów wszystkich eskadr maszyn T1E rozkazał Trigit.

Jego koordynator gwiazdnych myśliwców nie żył, wyspany w próżnię razem z pozostałymi członkami personelu głównego mostka. Pani porucznik Gara Petothel podeszła do wolnej konsoly i przekazała rozkaz admirała.

Podwładni Trigita byli zbyt dobrze wyszkoleni, żeby zaprotestować, chociaż wiedzieli, co to oznacza. Znajdujące się na powierzchni Essiona zakłady, w których produkowano myśliwce typu T1E, miały paść łatwym łupem rebelianckich pilotów. Tylko nieliczni pamiętali, że dyrektor zakładów dysponuje kilkunastoma gotowymi do walki myśliwcami T1E, których piloci mogliby zmniejszyć skuteczność ataku Rebeliantów.

Trigit wiedział jednak, że zakłady mają dla niego znaczenie tylko na dłuższą metę. W obecnej chwili musiał skupić całą uwagę, żeby nie stracić „Nieubłaganego”, a to oznaczało, że powinien rzucić do walki przeciwko zdradzieckiemu kapitanowi Darillianowi wszystkie siły, jakimi jeszcze dysponował.

Jeżeli to rzeczywiście był Darillian. Trigit zaklął pod nosem. Pozwolił, żeby ten człowiek go o tym przekonał, wykazując się wyjątkową znajomością Ysanny Isard. Tymczasem powinien był zaufać przeczuciu od chwili, kiedy nabrał pierwszych podejrzeń, że coś jest nie w porządku.

- Panie admirale, jak manewrować? - zapytał młodszy oficer, który zastąpił wyspanego w próżnię głównego pilota.

Trigit obdarzył go lodowatym uśmiechem.

- A widzi pan konieczność wykonywania jakiegokolwiek manewru? - zapytał. - Teraz, kiedy jesteśmy pozbawieni osłony ze wszystkich stron, pozostałe biorące udział w bitwie jednostki są szybsze niż my, a do tego mają większą zdolność manewrowania.

- Uhm, tak jest, panie admirale - odparł młodszy oficer.

Trigit odwrócił się do oficera obsługującego konsolę systemów broni.

- Uzbrojenie, czy „Nocny Gość” został zniszczony? - zapytał.

- Nie, panie admirale - odparł funkcjonariusz. - Wygląda na to, że mamy awarię sensorów.

- Posłuż się wzrokiem, idioto! - wybuchnął admirał. - Jest przecież całkiem blisko!

- Właśnie w tym cały problem, panie admirale - odparł skruszony oficer. - Nie widzimy go.

- No dobrze, poruczniku, spróbujemy przelecieć teraz trochę w bok odezwał się Antilles.

Porucznik przełknął ślinę i kiwnął głową.

Trącił lekko drążek w prawo. „Nocny Gość” szarpnął się, usiłując polecieć w nakazanym kierunku, ale zarazem zmagając się z promieniem ściągającym. Dopiero kiedy porucznik wyłączył na pół sekundy i ponownie włączył generator promienia, skoczył w bok niczym ranne zwierzę. Wedge przesłał dodatkową energię do repulsorów, żeby skompensować nieporadność manewru, ale korweta leciała jeszcze pewien czas w tamtą stronę, przy okazji wzniesając nową chmurę kamieni i księżycowego pyłu.

- Sądzi pan, że następnym razem uda się nam to wykonać bardziej płynnie? - zapytał Antilles.

- Tak jest, panie komandorze - zapewnił gorliwie porucznik. - Tym razem włączę także drugi generator promienia ściągającego. Początkowo nastawię go na minimalną moc i będę stopniowo przekazywał energię z jednego do drugiego.

- Bardzo dobrze. - Wedge odwrócił się do oficera odpowiedzialnego za systemy uzbrojenia. -

Panie poruczniku, proszę przekazać kontrolę jednego z dziobowych dział na moje stanowisko - rozkazał. Nie jestem tu tylko po to, żeby pilotować okręt.

Oficer wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Chwilę później przycisk spustowy pod kciukiem Antillesa rozjarzył się czerwonym blaskiem.

Kell i Patyk przelecieli przed dziobem „Nieubłaganego”, starając się często zmieniać kurs, żeby uniknąć namierzenia przez komputery celownicze stanowisk artylerii ogromnego okrętu. Zatoczyli łuk, przyspieszyli i skierowali się w stronę rufy, aby powtórzyć atak, jaki zakończyły kilka sekund wcześniej „Szary Jeden” i „Szary Dwa”. Pilotujące oba myśliwce typu T1E kobiety zawracały po zakończeniu drugiego ataku, o czym najlepiej świadczyły wyrwy pod pylonem mostka imperialnego niszczyciela.

- Oto nasz cel, „Szóstka” - odezwał się Tainer. - Wykonuj uniki, dopóki nie znajdziemy się w odległości pół kilometra, a później strzelaj i natychmiast zawracaj.

- Jesteśmy gotowi, „Piątka” - zapewnił go Thakwaashanin.

Starali się lecieć jak najbliżej kadłuba ogromnego okrętu, żeby obsługa żadnego stanowiska artylerii nie mogła ich widzieć dłużej niż ułamek sekundy.

Taki manewr wymagał doskonałego opanowania sztuki pilotażu. Przesuwający się w dole przed nimi kadłub „Nieubłaganego” wyglądał jak zręby metalowego zigguratu. Kiedy w końcu znaleźli się wystarczająco blisko pylonu z wieżą dowodzenia i zwiększyli pułap lotu, Kell wziął na cel jakiś punkt i wystrzelił. Jego protonowe torpedy trafiły dokładnie w chwili, kiedy Patyk przyciskał guzik spustowy swoich torped. Zanim piloci obu X-wingów zdążyli ocenić skalę wyrządzonych zniszczeń, raptownie skręcili w bok i zawrócili.

- „Widma Pięć” i „Sześć”, tu „Szary Dwa” - usłyszeli nagle głos Falynn. - Przystępujemy do następnego ataku. Wygląda na to, że udało się wam przedziurawić kadłub niszczyciela.

- Doprowadźcie to do końca, dobrze? - odezwał się Kell.

- Och, naturalnie. A później może jeszcze powinniśmy po was pozamiatać?

Wedge zaczekał, aż Donos i Tyria zawrócą, i dał ognia.

Pierwsza salwa wystrzelonych z dziobowej ładowni „Nocnego Gościa” protonowych torped - manewr, który nazwali „Splunięciem Lorana” - trafiła w gruby durastalowy pancierz chroniący potężną baterię ogniów gwiazdowego niszczyciela. Czternaście śmiertelnych pocisków eksplodowało na pozbawionym ochronnych pól kadłubie i przeniknęło do środka, ale go nie zniszczyło. Następne pociski tylko powiększały pojedyncze otwory.

Wedge wymierzył w spód kadłuba „Nieubłaganego” i ponownie dał ognia z obu działek równocześnie.

Nie zdołał zauważyć, jakie wyrządził zniszczenia. Podobnie jak operatorzy sensorów i członkowie załogi imperialnego okrętu, prawie niczego nie widział, nie mógł się też posłużyć wizualnymi sensorami. Inne sensory wykrywały jednak sylwetkę okrętu liniowego, dzięki czemu mógł kierować ogień w wybrane punkty.

W odpowiedzi na jego strzały artylerzyści gwiazdowego niszczyciela posłali potężne turbolaserowe błyskawice. Słupy spójnego światła prze - grzały i rozpyliły na atomy chmurę księżycowego pyłu, która otulała sterburtę koreliańskiej korwety. Ciemność przemieniła się w kolumnę oślepiająco jasnego blasku, a Wedge musiał walczyć ze sobą, żeby się nie skulić.

- Przerwać ogień - rozkazał. Domyślił się, że artylerzyści „Nieubłaganego” wzięli na cel źródło, z którego leciały ku nim błyskawice turbolaserowych strzałów. - Panie poruczniku, tym razem trochę

się cofniemy. Postaramy się, żeby nie mogli przewidzieć naszych manewrów i od czasu do czasu będziemy ich nadal ostrzeliwali. Żadnego ciągłego ognia. Czy wszyscy mnie zrozumieli?

Kiedy zgromadzeni na rezerwowym mostku „Nocnego Gościa” oficerowie potwierdzili, jeszcze raz lekko trącił rękojęść drążka sterowniczego. Dziób koreliańskiej korwety zakołysał się i cofnął, a kadłub lekko odchylił się od pionu. Pragnąc skompensować odchyłkę, Antilles jeszcze bardziej zwiększył dopływ energii do repulsorów. W końcu okręt zaczął przesuwając się do tyłu.

Tym razem o wiele łagodniej i bardziej płynnie. Najwyraźniej obsługujący generatory ściągającego promienia oficer nabierał wprawy.

- Dowódcu, tu „Czwórka” - zameldował w pewnej chwili Młynek. - Wasz ostatni strzał trafił tuż obok największej wyrwy w spodzie kadłuba. Jeżeli polecicie jeszcze kilka metrów do tyłu i w stronę sterburty, powinniście trafić dokładnie w samą wyrwę.

- „Czwórka”, nie możesz unosić się tam nieruchomo i pełnić obowiązków mojego obserwatora - sprzeciwił się Wedge.

- Nie unoszę się nieruchomo, panie komandorze - wyjaśnił Bothanin. - Tańczę. A poza tym, ci goście nie trafiliby z dwóch metrów w stojącego bokiem do nich bantha. Hej! Tym razem niewiele brakowało!

Wedge westchnął. Młynek zachowywał się, jakby zamierzał dać się zabić. Z drugiej strony, dokładna ocena celności strzałów i informacje o zasięgu zniszczeń ogniw paliwowych gwiazdowego niszczyciela znaczyły w obecnej chwili więcej niż jakiegokolwiek uszkodzenia, jakie mogłyby wyrządzić protonowe torpedy czy lasery X-winga Bothanina.

- Stanowisko sensorów, proszę nanieść punkty trafień moich strzałów na hologram sylwetki „Nieubłaganego” - rozkazał Wedge. - Musimy dokonać poprawek zgodnie ze wskazówkami Młynka.

- Musnął kciukiem płonący czerwonym blaskiem guzik spustowy. - Wznówić ostrzał.

- Panie admirale, zaczynają napływać raporty z zakładów przemysłowych - zameldowała w pewnej chwili pani porucznik Gara Petothel.

- Chwileczkę - odezwał się Trigit. - Jaki jest szacunkowy czas powrotu naszych myśliwców T1E?

- Jedna minuta.

- W porządku - odparł admirał, odwracając się do podwładnej. Możesz mówić dalej.

- Wyprodukowanym w zakładach Pakkerda myśliwcom typu T1E nie udało się wystartować.

- Co takiego?

- Wygląda na to, panie admirale, że Rebelianci mieli na powierzchni Essiona oddział komandosów, którzy zniszczyli wszystkie wyrzutnie - oznajmiła pani porucznik. - Ci z fabryki zgromadzili w hangarach dwie eskadry gwiazdnych myśliwców typu T1E, ale żadna nie zdołała przyłączyć się do walki... dzięki czemu piloci eskadry rebelianckich bombowców typu Y-wing roznieśli fabrykę na strzępy. Pozostałe dwie eskadry Rebeliantów ścigają pilotów naszych maszyn typu T1E.

Trigit syknął z irytacją.

- To niedobrze - powiedział. - Zsinj wpadnie w szal, kiedy się o tym dowie. Pani porucznik, jutro o tej porze „Nieubłagany” może się stać niezależną jednostką, a nie jednym z okrętów floty lorda.

- W porównaniu z niektórymi innymi możliwościami to całkiem pociągająca perspektywa, panie admirale - odparła kobieta.

- To prawda.

- „Piątka”, tu „Szóstka” - usłyszał Kell w pewnej chwili. - Nadlatują ku nam eskadry gwiazdnych maszyn.

Spojrzał na ekran monitora sensorów... i zdrętwiał. Czerwone punkciki nadlatywały od strony Essiona. Było ich tyle, że nie zdołałby wszystkich zliczyć.

- Masz rację, „Szóstka” - powiedział. - W takim razie spróbujmy, uhm...

Poczuł, że tężeją mięśnie jego barków. Starał się obrać kurs w stronę nieprzyjacielskich myśliwców T1E, ale dźwignia drążka sterowniczego stawiała dziwny opór jego palcom. Raz po raz szarpała się niczym narowiste zwierzę.

- „Piątka”, co się dzieje?

- Weźmy ich na cel... - zaczął Kell. Cały czas zmagał się z drążkiem sterowniczym, ale dźwignia się nie poddawała. W żaden sposób nie mógł zmusić dziobu swojego X-winga, żeby się zwrócił w stronę nadlatujących maszyn.

Ponownie spojrzał na ekran monitora sensorów. Musiały nadlatywać ku nim tysiące imperialnych myśliwców.

- Czekam, aż wykonasz zwrot, „Piątka” - odezwał się Patyk.

- Chyba mam awarię drążka sterowniczego, „Szóstka” - oznajmił w końcu Tainer. - Przekaż mi na ekran wizualny obraz mojego X-winga, dobrze?

- Masz kilka nowych dziur po trafieniach przez odłamki - poinformował Thakwaashanin. - Nie widzimy jednak niczego złego. Co mówi twoja diagnostyka?

- Nie mam pojęcia.

- „Piątka”?

- Zaatakujmy ich, „Szóstka” - zaproponował Kell, ale jego X-wing leciał nadal kursem, który miał mu pozwolić opuścić pole przyszłej walki.

Atril poczuła siłę uderzenia i zobaczyła, że krajobraz powierzchni księżycy i usiane punkcikami gwiazd przestworza zaczynają się obracać. Kątem oka dostrzegła, że na pulpicie diagnostycznym jej myśliwca rozjarzyły się dziesiątki czerwonych światełek.

- „Szary Dwa”, tu „Szary Jeden” - zameldowała. - Zostałam trafiona.

W następnej sekundzie z jej kontrolnego pulpitu trysnęły snopy iskier. Uświadomiło jej to, że nie może zrobić nic oprócz ściskania rękojeści sterowniczego drążka i modlenia się o ratunek.

- „Jedynka”, twoje sterburtowe skrzydło zniknęło! - powiedziała Falynn. - Powtarzam, zupełnie zniknęło. Katapultuj się w przestworza!

- Nie mam fotela, który by mi to umożliwił, „Dwójko”. - Atril poczuła, że ogarniają głęboka rozpacz, do której dołączyły się po chwili zawroty głowy. Domyśliła się, że awarii uległy także inercyjne kompensatory, które pozostawiły ją na łasce bezładnie koziółkującej maszyny. - Uważaj, żebym cię nie staranowała!

- Dowódcu, tu „Czwórka” - odezwał się Młynek. - Przenieście ostrzał pięć metrów bliżej rufy.

Spodiewając się reakcji ze strony personelu obsługującego potężne turbolasery gwiazdowego niszczyciela, Bothanin wykręcił beczkę i zanurkował. Chwilę później strzelił świecą w przestworza i zrobił zwrot przez sterburtowe skrzydła. Obserwował, jak z kłębiącej się w dole chmury pyłu strzela następna kolumna śmiertelniego światła. Tym razem promień wpadł prosto w otwór w dnie nieprzyjacielskiego okrętu i wypełnił go oślepiającym blaskiem. Z dziury zaczęły wylatywać tony płonących szczątków.

- Tym razem trafiliście dokładnie w cel! - zameldował. - Zapamiętajcie to miejsce i nie

przestawajcie go ostrzeliwać.

Kell zignorował natarczywe, irytujące pytania. Cały czas zmagał się z dźwignią drążka.

W końcu udało mu się zmusić ją do posłuszeństwa. Kiedy odzyskał panowanie nad maszyną, uniósł głowę. Zobaczył przed dziobem swojego myśliwca usiane tysiącami iskierek gwiazd wolne przestworza i powoli zaczął się odprężyć.

Na ekranie monitora sensorów widział obecnie już nie tysiące, ale miliony czerwonych punkcików nieprzyjacielskich maszyn. Wszystkie zbliżały się do „Nieubłaganego” i „Nocnego Gościa”. Znajdowały się jednak daleko za rufą jego X-winga... i w miarę jak leciał nadal w stronę otwartych przestworzy, z każdą chwilą zostawały coraz bardziej z tyłu.

Oddychał wolniej i spokojniej. Tak było lepiej. Nie było dobrze przebywać w kabynie gwiazdowego myśliwca, kiedy posłuszeństwa odmawiał drążek sterowniczy. Miał wielkie szczęście, że zdołał przeżyć za każdym razem, kiedy mu się to przytrafiało.

- Dowódcu, pilot „Narry” zdołał pochwycić „Szarego Jeden” za pomocą promienia ściągniętego - zameldował Janson.

- Cieszę się, że im się udało, „Szary Trzy” - odparł Antilles. - „Szary Dwa”, twój skrzydłowy znajduje się w tej chwili pod kilem „Nieubłaganego”. Przydałaby mu się pomoc.

- Już jestem obok niego - zameldowała Falynn. - Panie komandorze, widzę szansę wyrządzenia naprawdę poważnych szkód niszczycielowi. Proszę o pozwolenie wlecenia przez otwór, jaki wyrąbaliśmy w spodzie jego kadłuba.

- „Szary Dwa”, zabraniam. Powtarzam, zabraniam - odparł Wedge. Zbyt wiele lata tam odłamków i szczątków. W dodatku do hangarów „Nieubłaganego” wracają piloci eskadr maszyn T1E. Przygotuj się na ich powitanie.

- Wcale nie widzę tak wielu szczątków - zapewniła Falynn. - Większość stopiliście na żużel. Wydaje mi się, że w tej chwili trafiacie w wewnętrzne grodzie. Gdybym zdołała tam się dostać, mogłabym strzelać poziomo i zniszczyć takie urządzenia, jakich nie dacie rady osiągnąć swoimi strzałami.

- Nadal nie udzielam zezwolenia, „Szary Dwa” - odparł Wedge.

- Dowódcu, nie słyszę cię. Mój komunikator...

Z głośnika urządzenia zaczęły się wydobywać trzaski, świsty i zgrzyty.

Zdenerwowany Wedge gniewnie odchrząknął. Pilotka z Tatooine na pewno pocierała rękawicą o kratkę osłony mikrofonu. Sam tak robił wielokrotnie w ciągu swojej kariery.

- „Widmo Cztery”, postaraj się jej w tym przeszkodzić - polecił Antilles.

„Widmo Cztery” odpowiedział kakofonią trzasków, świstów i zgrzytów.

Astromechaniczny robot typu R2 myśliwca Kella zaskrzeczał i wyświetlił na ekranie monitora sensorów ostrzeżenie o nowym zagrożeniu. Ktoś namierzał pilota, żeby posłać protonową torpedę w rufę jego X-winga.

Kell przeczytał towarzyszącą ostrzeżeniu informację i zmarszczył brwi.

- „Widmo Sześć”, czy to ty? - zapytał.

- Tak, to my - odparł Patyk.

- Czy zamierzasz strzelać do mnie?

- Nie, „Piątko” - usłyszał w odpowiedzi. - Staramy się tylko zwrócić twoją uwagę. Usiłujemy zwrócić uwagę Kella Tainera, a nie jego złego umysłu.

Patyk mówił powoli i smutnym tonem, wyraźnie słyszalnym mimo zniekształcania dźwięków

przez komunikator.

- Czego chcesz ode mnie?

- Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że cię opuszczamy - ostrzegł Thakwaashanin. - Wracamy na pole bitwy.

- Nie rób tego - odparł Kell. - Za chwilę rozpęta się tam prawdziwe piekło.

- Do widzenia, Kell.

Tęponosy myśliwiec „Widma Sześć” zatoczył łuk, żeby zawrócić i skierować się ponownie w stronę „Nieubłaganego”.

Po odlocie przyjaciela Kell poczuł smutek jak po stracie kogoś najbliższego.

No cóż, dobrze chociaż, że Patyk nie rozpylił go na atomy.

Ale i tak wkrótce pojawi się ktoś, kto to zrobi.

Najprawdopodobniej Janson.

Janson siedział za sterami myśliwca T1E. Bez trudu mógł doścignąć jego X-winga. Kell sprawdził pulpit sensorów, ale nie zauważył żadnych oznak, że pilot jakikolwiek gwiazdowego myśliwca rzucił się za nim w pościg. Oddalił się od pola bitwy na tak dużą odległość, że mógł wskoczyć do nadprzestrzeni, zanim ktokolwiek by zauważył. Westchnął z ulgą.

Na razie mógł się czuć bezpieczny. Wiedział jednak, że pewnego dnia ktoś zacznie go ścigać.

Może to będzie Bużka. Albo Phanan. Albo Tyria...

Na myśl o niej poczuł się, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Co by zrobił, gdyby Tyria ścigała go i starała się go zestrzelić?

Jakie spustoszenia poczyniłoby to w jej psychice, gdyby wiedziała, że posłała na śmierć ukochaną osobę? Straciła wszystkich bliskich na Toprawie, a obecnie straciłaby także jego. I to z jego winy mogłaby odnieść psychiczne rany i cierpieć przez nie do końca życia...

Zupełnie jakby się wynurzał po długim nurkowaniu w głębinach oceanu. Uwolnił umysł od wszystkich złych myśli. Myślał tylko o Tyrii. Znajdował się wiele kilometrów od niej i z każdą sekundą dzieląca ich odległość stawała się coraz większa. Zauważył, że pierwsze nieprzyjacielskie maszyny docierają do pola przyszłej bitwy.

Zatoczył ciasny łuk, zawrócił i przekazał resztę rezerwowej energii do jednostek napędowych.

Falynn zwiększała stopniowo pułap lotu, aż w końcu przeleciała przez największy otwór, wyrwany przez serie śmiertcionośnych błyskawic w spodzie kadłuba „Nieubłaganego”. Miał na tyle dużą średnicę, że swobodnie mógł się tędy przedostać nie tylko jej myśliwiec T1E, ale nawet X-wing pilotowany przez osłaniającego ją Młynka. W pewnej chwili od dziobowego iluminatora myśliwca Falynn odbiły się spadające szczątki. Niektóre nadlatywały z boku i odbijały się z grzechotem od powierzchni bocznych paneli z ogniwami słonecznymi.

Pilotka wleciała ostrożnie w głąb otworu i zastopowała w zupełnej ciemności. Wiedziała, że gdzieś nad nią powinien się znajdować zestaw zasobników energetycznych, które pozwalały „Nieubłaganemu” latać w przestworzach. Gdyby go pozbawiła energii, potężny gwiazdny niszczyciel stałby się gigantyczną masą bezużytecznego złomu.

Wiedziała, że nikt dotąd tego nie zrobił. Nikt nie wleciał gwiazdowym myśliwcem w głąb kadłuba imperialnego niszczyciela i nie staranował go od wewnątrz ani nie ostrzelał. Falynn pomyślała, że jej pierwszej uda się dokonać takiej sztuki. W końcu zostanie numerem pierwszym. Po wsze czasy.

Powoli obróciła gałę tak, żeby lufy laserów zwróciły się w bok i w górę.

Przycisnęła guzik spustowy i wystrzeliła.

Kiedy pole walki osiągnęły siedemdziesiąt dwie maszyny typu T1E - cztery eskadry zwyczajnych myśliwców, jedna eskadra myśliwców przechwytyjących i jedna bombowców - imperialni piloci otworzyli ogień.

Bużka wykonał pętlę i zanurkował. Starał się unikać strzałów zarówno pilotów chmary nadlatujących maszyn typu T1E, jak i wciąż jeszcze nie do końca unieszkodliwionego gwiazdowego niszczyciela. Wyrównał lot na wysokości kilkuset metrów nad powierzchnią księżyca i zaczął zataczać kolejny łuk. W pewnej chwili zobaczył, że kwadrat na ekranie monitora celowniczego komputera rozjarzył się zielonym blaskiem, i wystrzelił. Jego strzał musnął górny iluminator szybko lecącego myśliwca przechwytyjącego, ale nieprzyjacielski pilot nie stracił panowania nad sterami. W następnej sekundzie Garik zauważył, że wystrzelone przez Phanana błyskawice laserowych strzałów przelatują nad imperialną maszyną i trafiają następnego myśliwca przechwytyjącego w kadłub u nasady wspornika skrzydła. Wspornik się złamał i oderwał od kadłuba. Pilot stracił kontrolę nad maszyną, a nieprzyjacielski myśliwiec, bezradnie wirując wokół osi, zaczął opadać ku powierzchni księżyca.

- Doskonały strzał, „Siódemko” - pochwalił.

Janson i Prosiak zanurkowali z rykiem silników w kierunku najbliższej eskadry myśliwców T1E. Atakując je z góry i od tyłu, otworzyli ogień, zanim nieprzyjacielscy piloci zdążyli pójść w rozsypkę i namierzyć indywidualne cele.

Pierwszy strzał Jansona trafił bakburtowy silnik namierzonej maszyny i imperialna gała przeistoczyła się w widowiskową kulę ognia. Pierwsze błyskawice Prosiaka chybiły lecący niżej cel, ale Gamorreanin nie przerywał ostrzału. Skierował laserowe smugi w górę i w lewo i przyciskał guzik spustowy, dopóki zielone błyskawice nie trafiły bakburtowego skrzydła imperialnego myśliwca. Pilot gały stracił panowanie nad sterami i następnego strzał Prosiaka przebił kulistą kabinę.

Janson przełączył komunikator na zakres częstotliwości używanych przez Imperium i usłyszał chór rozgorączkowanych głosów zdezorientowanych pilotów.

- „Dwunastka”, lećmy tam, gdzie jest ich najwięcej - zaproponował i przyspieszał dopóty, aż znalazł się w samym środku załamującego się szyku nieprzyjacielskich maszyn. Cięcie Ackbara w wykonaniu gwiazdowych myśliwców, pomyślał. Mogą teraz strzelać do nas, ile zechcą.

Imperialni piloci posłusznie spełnili jego życzenie.

Donos zgrzytnął zębami i zrezygnował z kolejnego ataku na „Nieubłaganego”... i z szansy zabicia mordercy pilotów Eskadry Szponów. Zatoczył łuk i skierował się w stronę nadlatujących maszyn typu T1E. Zauważył, że w stronę jego i Tyrii kierują się piloci całej eskadry gał.

- „Dziesiątka”, zaraz będziemy mieli kłopoty - ostrzegł. Tyria nie odpowiedziała. Strzelała.

W pewnej chwili Wedge zaobserwował, że między czerwonymi kropkami na ekranie monitora sensorów pojawiły się niebieskie plamki. Wyglądało to, jakby atakowano wrogów od tyłu.

Pstryknął włącznikiem mikrofonu komunikatora.

- Eskadro Niebieskich, czy to wy? - zapytał.

- Miło słyszeć, że wciąż jeszcze żyjesz, dowódco Widm - usłyszał w odpowiedzi precyzyjnie wypowiedziane ironiczne słowa generała Crespina. - Uznałem, że powinniśmy wam pokazać korzyści, jakie płyną z szybkości A-wingów.

- W tym przypadku nie mam nic przeciwko temu - odparł Wedge. - Pozwól, że przekażę wam dane charakterystyczne naszych sensorów. Cztery, poprawka, już tylko trzy myśliwce typu T1E są pilotowane przez moich podwładnych. Strzelajcie dopiero, kiedy się upewnicie, że to czerwoni, a nie

niebiescy.

- Potwierdzam.

Wedge dostrzegł kątem oka, że oficer łącznościowiec „Nocnego Gościa” podrywa się z fotela, żeby przypisać pilotom obu walczących formacji właściwe kolory. Skupił uwagę na wysyłaniu innego rodzaju sygnałów... serii turbolaserowych błyskawic, tym razem wymierzonych w baterie stanowisk artylerii „Nieubłaganego”.

W pewnej chwili, kiedy w odległości zaledwie czterdziestu metrów od burty „Nocnego Gościa” przeleciała kolumna zjonizowanych cząsteczek, zjeżyły się włosy na jego głowie, a ekrany wszystkich monitorów systemów uzbrojenia zamigotały.

Jeszcze jeden prawie celny strzał, pomyślał. Jeszcze jeden rachunek zapłacony kartą kredytową, na której zdeponował swoje szczęście.

A-wingi przemknęły właściwie bez przeszkód przez zaporę nieprzyjacielskich maszyn typu T1E. Piloci posyłali we wszystkie strony serie laserowych błyskawic, ale oddawane na chybił trafił strzały nie wyrządzały nikomu żadnej szkody w zamęcie bitwy. Wracając na pole walki, Kell zauważył w pewnej chwili zarówno na ekranie monitora sensorów, jak i przez dziobowy iluminator kabiny pilotów Eskadrę Niebieskich.

Przełączył systemy uzbrojenia na lasery, sprzągnął wszystkie cztery działka i zdołał namierzyć myśliwiec przechwytyjący typu T1E, lecący na samej granicy zasięgu skuteczności strzałów. Przycisnął guzik spustowy i zobaczył, że jego błyskawice oderwały górną połowę panelu z ogniwami słonecznymi. Pilot uszkodzonej maszyny nie stracił panowania nad sterami, ale zatoczył łuk i opuścił pole bitwy.

- Kto to? - usłyszał z głośnika pokładowego komunikatora. - „Piątka”, czy to ty?

- Tak jest, „Ósemko” - odparł Tainer. - Jak sobie tam radzicie?

- Jest paskudniej niż w zadku Hutta! - odparł Buźka. - Gdzie się dotąd podziewałeś?

- Dzisiaj są urodziny mojej siostry - odparł Kell. - Musiałem dostarczyć jej prezent. Trzymaj się.

Zaraz tam będę.

Skierował X-winga ku największemu skupisku nieprzyjacielskich maszyn i zanurkował. Strzelał tak szybko, jak tylko nadążały się ładować zasobniki energetyczne laserowych działek.

ROZDZIAŁ 30

- Panie admirale, „Nieubłagany” jest skazany na zagładę! Trigit zmierzył Garę Petothel lodowatym spojrzeniem.

- Teraz, kiedy nasi piloci roznoszą nieprzyjaciół na strzępy? - zapytał. - Nigdy w to nie uwierzę.

- Coś złego się dzieje z ogniwami energetycznymi - wyjaśniła pani porucznik. - Wszystkie są metodycznie niszczone, jedno po drugim. Do tej pory straciliśmy rezerwowe zasilanie najważniejszych komputerów. Za dziesięć minut, może wcześniej, posłuszeństwa odmówi także główne zasilanie, a to będzie oznaczało koniec „Nieubłaganego”, nawet jeżeli uda się nam zabić wszystkich rebelianckich pilotów.

Trigit precyzyjnie się obok niej i spojrzał na ekran monitora z raportem o uszkodzeniach.

Jego podwładna miała rację.

W pierwszej chwili poczuł się, jakby miał zasłabnąć. Wiele lat służył lojalnie najpierw Ysannie Isard, a później lordowi Zsinjowi, a obecnie wszystko wskazywało, że jego trud był daremny. Przeznaczenie sprawdzało stan rachunków, a jego konto okazywało się puste. Niedługo miał także stracić swój okręt. Swoją prawdziwą miłość.

- Czy poddajemy się, panie admirale? - zapytała kobieta. Wciąż jeszcze oszołomiony po przeżytych wstrząsach, Trigit pokręcił głową.

- Niech pani nie będzie śmieszna - powiedział. - Przegraliśmy... ale nie zamierzam oddawać rebelianckim szumowinom jeszcze jednego sprawnego niszczyciela, żeby mogli go naprawić i wykorzystać do swoich celów. „Nieubłagany” zabierze do grobu tylu nieprzyjaciół, ilu zdoła.

- Panie admirale... chce pan skazać na pewną śmierć ponad trzydzieści pięć tysięcy członków jego załogi?

- A ile tysięcy zginie, jeżeli Rebelianci naprawią ten okręt i wymierzą działa w Imperium? - odparł Trigit. - Proszę się zastanowić, pani porucznik. To prawda, staramy się zachować życie wszystkich, którzy od nas zależą... pod warunkiem że ich dalsza egzystencja przyczyni się do śmierci jeszcze większej liczby wrogów.

Kobieta odpowiedziała kamiennym milczeniem. Admirał podszedł bliżej i dodał półgłosem:

- Ale ci, którzy przedstawiają dla mnie największą wartość, zawsze mogą liczyć na ocalenie. Czy umie pani pilotować myśliwiec przechwytyjący typu T1E?

Niepewna, co ma oznaczać jego pytanie, pani porucznik pokręciła głową.

- Zawsze pragnęłam opanować tę sztukę, panie admirale, ale nigdy nie miałam takiej możliwości - wyznała. - Zamiast na pilotkę gwiazdnych maszyn, wyszkolono mnie na komandosa.

- Wielka szkoda - mruknął Trigit. - Mam gotowy do startu osobisty myśliwiec przechwytyjący. Wyposażono go w jednostkę napędu nadświetlnego, podobnie jak dwie inne maszyny, których piloci mają go eskortować. Zamierzałem zaproponować pani pilotowanie jednej z tych maszyn. Skoro to niemożliwe, proszę udać się do hangaru i skorzystać z wahadłowca. Dzięki temu ocali pani życie.

- Dziękuję, że pomyślał pan o mnie, panie admirale - odparła Gara. - Jest jednak pewien

problem... Rebelianci nie uznają lorda Zsinja ani pana za przedstawicieli legalnej władzy. Jeżeli mnie schwytają, nie potraktują jako funkcjonariuszki imperialnego wywiadu. Nie wymienią mnie za żadnego jeńca wojennego, osądzą jako zdrażczynię i najprawdopodobniej skazą na karę śmierci. - Na jej twarzy odmalował się smutek. - Nie dam im tej satysfakcji. Zostanę do końca na pokładzie „Nieubłaganego”, panie admirale.

- Jest pani odważną kobietą, pani porucznik. - Nie chcąc, żeby Gara zobaczyła współczucie w jego oczach, Trigit odwrócił się do niej plecami. - Uwaga! - powiedział głośniej. - Idę teraz na rezerwowy mostek i dopilnuję, żeby zwycięstwo nie wymknęło się nam z rąk. Proszę nie uprzedzać o tym nikogo z personelu mostka. Chcę zobaczyć, jak sobie radzą, kiedy niespodziewanie wpadnę do nich na inspekcję.

Jego podwładni pokiwali głowami.

Trigit obrzucił Garę Petothel ponurym spojrzeniem, kiwnął głową z szacunkiem pozostałym oficerom i zniknął w kabinie turbowindy.

Kell zwijał się jak w ukropie. Wykonywał uniki, nurkował i zawracał, żeby nie nadzieć się na laserową błyskawicę, jakich setki przecinało ciemność przestworzy. Piloci dziesiątków imperialnych maszyn chcieli go zabić, a on starał się im to uniemożliwić. Raz po raz strzelał, nie zwracając uwagi na wskazania sensorów. Nie interesował się, czy trafiał, czy też chybiał. Nie miał czasu na nic oprócz strzelania i wykonywania rozpaczliwych zwrotów.

Nagle przed dziobem jego X-winga pojawił się A-wing. Kell zatoczył tak ciasną pętlę, że przeciążył inercyjny kompensator, i przyspieszenie wcisnęło go w oparcie fotela pilota. Z wysiłkiem zbliżył usta do mikrofonu komunikatora:

- Czy to któryś z pilotów Eskadry Niebieskich? - zapytał.

- Tu „Niebieski Dziewięć” - usłyszał w odpowiedzi kobiecy głos. Osłaniam ogon twojego myśliwca, „Widmo Pięć”.

Wystrzelona przez pilotkę Nowej Republiki laserowa błyskawica przecięła przestworza w niewielkiej odległości za ogonem jego tęponosej maszyny i rozpyliła na atomy myśliwiec przechwytyjący T1E, którego pilot usiłował go zestrzelić.

- Wiecie, że piloci niektórych myśliwców T1E to nasi ludzie?

- Wiemy.

Kell zakończył pętlę i skierował swój myśliwiec w stronę największego gąszczu imperialnych maszyn typu T1E. Zanurkował i zaczął osłaniać ogon myśliwca „Niebieskiego Dziewięć”. Posługując się usterzeniem, skręcał raz po raz na bakburtę lub na sterburtę. Cały czas posyłał serie błyskawic laserowych strzałów wokół lecącego przed nim A-winga, którego pilotka przecierała dla niego wolną drogę.

Admirał Trigit niemal podbiegł do trzech myśliwców przechwytyjących, które stały samotnie w ogromnym hangarze dla maszyn typu T1E gwiazdneho niszczyciela. Wyciągnął komunikator i pstryknął włącznikiem mikrofonu.

- Wzywam główny komputer - powiedział. - Zidentyfikuj mój głos. Kod omega-jeden. Przygotuj się do wykonania procedury autodestrukcji.

- Jestem gotów do wykonania procedury autodestrukcji - oznajmił komputer.

- Apwar Trigit wydaje rozkaz autodestrukcji.

- Potwierdzam. Proszę o podanie czasu.

Pełniący służbę w hangarze mechanik otworzył właz kabiny osobistego myśliwca

przechwytyjącego admirała. Trigit wspiął się do kabiny.

- Pięć minut od tej chwili - powiedział. - Czas, start.

- Potwierdzam. Chronometr uruchomiony - odparł komputer. Proszę o podanie środków, jakimi mam się posłużyć.

- Pozostałe zasoby energetyczne, wszystkie zasobniki systemów uzbrojenia, wszystkie rezerwy paliwa - odparł Trigit.

- Potwierdzam. Procedura autodestrukcji uruchomiona.

Nagle przestworza za plecami Bużki rozbłyły.

Garik odwrócił się, żeby zidentyfikować źródło blasku. X-wing Phanana leciał wciąż za nim od strony sterburty, ale rufa maszyny stała w ogniu, a owiewka kabiny była w wielu miejscach osmalona. Najprawdopodobniej przyczynił się do tego pilot, który leciał myśliwcem przechwytyjącym T1E z jaskrawoczerwonymi poziomymi pasami wymalowanymi w górnej i dolnej części zewnętrznej płaszczyzny skrzydeł. Zataczał właśnie z rykiem silników krąg, żeby przystąpić do kolejnego ataku.

- „Siódemka”, katapultuj się... - zaczął Bużka.

Phanan nie czekał, aż przyjaciel skończy zdanie. Usłyszał i natychmiast śmignął w przestworza daleko w bok od uszkodzonego myśliwca. Sekundę później jego maszyna eksplodowała. Bużka usłyszał, że odłamki zabębniły po rufowym sektorze kadłuba jego X-winga.

Pstryknął włącznikiem mikrofonu pokładowego komunikatora.

- „Widmo Siedem” katapultował się w przestworza - zameldował. Powtarzam, katapultował się w przestworza. „Narro”, zdołacie go schwytać?

- Bez problemu, jeżeli nie wpadnie w chmurę wzbijanego przez „Nocnego Gościa” pyłu - odparł Cubber.

Nagle pilot jednego z myśliwców typu T1E zajął pozycję dokładnie za ogonem X-winga Bużki. Garik zauważył, że na pulpicie sensorów zapala się alarmowe światło na znak, że jego maszyna została namierzona. Skręcił raptownie w lewo i zanurkował w stronę skrywającej koreliańską korwetę ogromnej chmury pyłu, która z każdą minutą coraz bardziej się rozprzestrzeniała.

Mimo to sensory wskazywały, że sygnał namiaru się nie urwał. Dopiero po kilku następnych sekundach czerwona plamka systemów uzbrojenia jego prześladowcy rozmyła się i zniknęła.

- Kto to zrobił? - zapytał.

- Jesteś winien kolejkę czy dwie „Łotrowi Dwa”, synu - usłyszał w odpowiedzi.

- Kolejkę? - zapytał z ulgą Bużka. - Do diabła, kupię ci destylarnię!

W pewnej chwili na ekranie monitora sensorów pojawiło się dwanaście niebieskich plamek pilotów Eskadry Łotrów i nagle szansę zwycięstwa pilotów Widm w walce z liczniejszym przeciwnikiem przestały się wydawać takie nikłe.

Kipiąc z gniewu, pani porucznik Gara Petothel zarejestrowała dwie krótkie wiadomości na pulpicie konsoli swojego komunikatora, przywołała kabinę turbowindy i pojechała nią w górę.

Wysiadła na poziomie kwater oficerskich i skierowała się do swojej małej kabiny. Zabrała z niej zapieczętowany pakunek i udała się windą na poziom, na którym mieściła się kwatery admirała.

Obok drzwi luksusowej kabiny nie zobaczyła żadnego strażnika. Nie była tym zaskoczona. Trigit z pewnością zabrał zaufanych ochroniarzy, żeby eskortowali go podczas odlotu. Gara zbliżyła usta do kratki mikrofonu drzwi.

- Awaryjne otwieranie - powiedziała. - Zero, siedem, dziewięć, siedem, Petothel.

Płyty drzwi posłusznie się rozsunęły.

Kobieta weszła do kabiny admirała, zamknęła drzwi za sobą i pospiesznie zdjęła mundur, a potem także bieliznę. Niech Trigita uważa mnie za osobę zdolną do dobrowolnego poświęcenia, pomyślała. Niech żałuje romansu, którego zawsze pragnął, ale na który nigdy nie miał czasu. Niech sobie myśli, co chce. Za dziesięć minut straci życie.

Jak śmiał tak postąpić! Jak mógł! Trzydzieści siedem tysięcy mężczyzn i kobiet!

Gniewnym ruchem ściągnęła z głowy czarną perukę. Właśnie tego koloru i tej długości miała włosy, kiedy zgłosiła się do służby we Flocie Nowej Republiki, a później przyłączyła się do załogi „Nieubłaganego”, ale obecnie była blondynką, o włosach kręconych i o wiele krótszych. Rzuciła perukę na leżące na podłodze ubranie.

Jednym szarpnięciem odlepiła pieprzyk z policzka. Kiedyś miała w tamtym miejscu prawdziwe znamię, ale poprosiła lekarza z pokładu rebelianckiego okrętu, żeby je usunął, i zastąpiła je sztucznym, przyklejanym.

Sięgnęła po pakunek. Zawierał inne ubranie... jeżeli można je było tak określić. Najpierw wyjęła bieliznę uszytą ze zwiewnej lowetiańskiej pajęczotkaniny. Musiałaby zapłacić za nią równowartość sześciomiesięcznego żołdu... gdyby nie to, że ją ukradła.

Kiedy skończyła się ubierać, wyjęła z pakunku karty danych, które miały zapewnić jej nową tożsamość, a spod kart małą skrzynkę z przyborami do makijażu. Zamierzała zrobić z niej użytek dopiero wtedy, kiedy się znajdzie w kapsule ratunkowej.

Pod skrzynką z przyborami do makijażu kryła się pneumatyczna strzykawka wypełniona roztworem nielegalnego środka chemicznego. Gara sięgnęła po nią, ale zanim z niej skorzystała, chwilę się wahała. Posłużenie się nią było po prostu konieczne. Musiała jasno myśleć... i mimo oddziaływania narkotyku zakończyć to, po co zakradła się do kabiny admirała. Wstrzyknęła sobie zawartość i poczuła, że obca substancja zaczyna krążyć w jej żyłach.

Zanim poddała się wpływowi narkotyku, wypowiedziała głośno słowa innego kodu, trochę podobnego do tego, który umożliwił jej wejście do luksusowej kabiny.

Komputer zaakceptował hasło i część ściany odsunęła się na bok. Znajdował się za nią właz osobistej kapsuły ratunkowej Trigita. Ojej istnieniu nie powinna wiedzieć ani ona, ani żaden inny członek załogi „Nieubłaganego”.

Nie zwracając uwagi na wzmagające się zawroty głowy i uczucie unoszenia się w powietrzu, chwyciła karty danych z nową tożsamością i skrzynkę z przyborami do makijażu i nieporadnie wgramoliła się do kapsuły.

Gdyby Antillesowi nie przeszkadzała wznoszona przez jednostki napędowe „Nocnego Gościa” chmura pyłu, dowódca Widm z pewnością zauważyłby klucz trzech myśliwców przechwytyjących typu T1E, których piloci opuścili hangar gwiazdowego niszczyciela i zaczęli się szybko oddalać od kadłuba unieruchomionego okrętu.

Piloci Widm, Niebieskich i Łotrów, toczący walkę na śmierć i życie z liczniejszym przeciwnikiem, także nie zwrócili na nie uwagi. Skoro piloci tych myśliwców nie zdradzali chęci przyłączenia się do walki, nie stanowili zagrożenia, więc można było zająć się nimi trochę później.

Pani porucznik Gara Petothel włączyła mikrofon interkomu gwiazdowego niszczyciela.

- Uwaga, członkowie załogi - powiedziała wolno. - „Nieubłagany” traci energię i w ciągu niespełna pięciu minut roztrzaska się o powierzchnię księżyca. Opuścić okręt. Powtarzam, opuścić okręt. Natychmiast.

Wszyscy oficerowie, podoficerowie i marynarze spojrzeli po sobie ze zdumieniem i przerażeniem.

Tylko dowódca okrętu miał prawo wydać taki rozkaz, domyślali się jednak, że hierarchia dowodzenia mogła już przestać istnieć, skoro posłuszeństwa zaczynały odmawiać systemy uzbrojenia i urządzenia gwiazdowego niszczyciela.

Prawie wszyscy członkowie załogi pobiegli do kapsuł ratunkowych. Zostali tylko najbardziej lojalni albo szaleni, żeby nadal obsługiwać stanowiska artylerii „Nieubłaganego”.

Kell zakończył trzeci przelot przez gąszcz maszyn typu T1E. Tym razem leciał sam, bo „Niebieski Dziewięć” dołączył do swojego skrzydłowego, „Niebieskiego Dziesięć”. Zorientował się, że w przestworzach lata mniej myśliwców typu T1E niż poprzednio. Dużą zasługę mieli w tym piloci Eskadry Łotrów. Kell jeszcze nigdy nie widział tak świetnie skoordynowanych ataków. Nie spotkał się z taką kompetencją pilotów podczas pojedynków, jaką zademonstrowały Łotry, starając się konsekwentnie zmniejszać liczbę nieprzyjacielskich maszyn. Mimo to szansę były wciąż nierówne i Kell podejrzewał, że wcześniej czy później szczęście może go opuścić.

I opuściło. W pewnej chwili usłyszał głos Patyka:

- „Piątka”, zmywaj się stamtąd!

Skręcił raptownie na sterburtę, ale ze śmiertcionołą precyzją trafiły go strzały pilota nadlatującego z tyłu szarego myśliwca przechwytyjącego T1E o zewnętrznych płaszczyznach skrzydeł polakierowanych w czerwone wąskie pasy. Pierwsza laserowa błyskawica unicestwiła rufowe pola ochronne jego X-winga, dzięki czemu druga trafiła w kadłub tuż za gniazdem astromechanicznego robota typu R2.

Kell uświadomił sobie, że drążek sterowniczy jego myśliwca jest zablokowany. Wszystkie światełka na kontrolnych pulpitych zamigotały i zgasły. Z pewnością uszkodzeniu uległy obwody zasilające elektroniczne podzespoły. Zaklął pod nosem i stwierdził, że jego myśliwiec opada łagodnym łukiem ku powierzchni księżyca. Kątem oka zauważył, że pilot myśliwca przechwytyjącego T1E zakołysał maszyną w locie, po czym wzbił się w przestworza i skierował w stronę gro - mady A-wingów.

Otworzył pokrywę panelu po lewej stronie i wcisnął guzik zimnego startu. Bez skutku.

Orientował się, że do roztrzaskania o usianą kraterami powierzchnię gruntu zostało najwyżej trzydzieści sekund. Pół minuty, w ciągu której powinien pobudzić do życia swój tęponosy myśliwiec... zakładając, że jest to w ogóle możliwe.

Najgorsze, że nie mógł nic zrobić, aby przyspieszyć rozruch jednostek napędowych myśliwca. Z usunięciem uszkodzeń mógł się uporać tylko astromechaniczny robot typu R2, Trzynastka.

Przełączył systemy łączności na komunikator hełmu, ale ze słuchawek wydobywał się nadal syk zakłóceń zainstalowanej na powierzchni księżyca dwukierunkowej anteny przekaźnikowej. Mimo to zdołał usłyszeć zniekształcone głosy pilotów toczących gwiazdne pojedynki. Wyciągnął nogę i piętą lewej stopy wyszarpnął niewinnie wyglądający niewielki uchwyt wystający z boku kabiny X-winga.

- Trzynastko, słyszysz mnie? - zapytał. Astromechaniczny robot odpowiedział przeciągłym gwizdem.

- Dasz radę naprawić uszkodzenia? - zapytał Kell. - Zdołasz uruchomić myśliwiec?

Następny gwizd Trzynastki zakończył się żalospną nutą.

Z kadłuba wysunęła się krótka metalowa rękojeść. Kell zaczął ją rytmicznie naciskać lewą nogą. Wytwarzał dzięki temu prąd konieczny do awaryjnego wysunięcia łap ładowniczych.

- Jesteś pewien? - zapytał. - Nie zdołasz uruchomić nawet jednego silnika?

Astromechaniczny robot odpowiedział takim samym smutnym świergotem.

W pewnej chwili Kell usłyszał trzask i domyślił się, że łapy ładownicze są już wysunięte, nie dysponował jednak energią, którą mógłby przekazać do repulsorów. Wszystko wskazywało, że awarii uległo nawet źródło rezerwowego zasilania.

- A repulsory? - zapytał, wciąż jeszcze nie mogąc pogodzić się z porażką.

Kolejny raz usłyszał tę samą, złowróżbną odpowiedź.

- „Widmo Pięć” do „Narry” - powiedział. - Zdołasz mnie przechwycić? Powtarzam, „Widmo Pięć” opada na powierzchnię księżycy. Cubber, dasz radę mnie złapać?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Komunikator hełmu nie miał tak dużego zasięgu jak nadajnik gwiazdowego myśliwca. Dysponował zbyt małą mocą wyjściową, żeby sygnał mógł się przebić przez zakłócenia księżycowej anteny przekaźnikowej.

Kell zaczął liczyć upływające sekundy, cały czas obserwując zbliżającą się ku niemu powierzchnię księżycy. Na piersi czuł coraz większy ciężar. W pewnej chwili odwrócił się i spojrzał przez rufowy iluminator na Trzynastkę. Astromechaniczny robot typu R2 kierował na niego jedyny fotoreceptor.

- Muszę się katapultować, Trzynastko - powiedział. - Dziękuję za wszystko.

W odpowiedzi usłyszał pożegnalny świergot. Odwrócił głowę i szarpnął rękojęść dźwigni katapulty. Usłyszał huki eksplozji ładunków odstrzeliwujących owiewkę kabiny i huk odpalanych pod siedzeniem silniczków rakietowych. Siła eksplozji wcisnęła go w fotel pilota i sekundę później szybował w przestworzach. Pewien czas zadawał kłam niewielkiej sile przyciągania satelity. Czujnik w kombinezonie pilota wykrył nagły spadek ciśnienia atmosfery i włączył generator niezbyt silnego osobistego pola magnetycznego, które miało osłonić jego ciało przed oddziaływaniem próżni.

Przyglądał się, jak jego X-wing szybuje coraz szybciej na spotkanie z nieuniknionym przeznaczeniem.

Czuł się, jakby skazywał na śmierć innego pilota. Nigdy dotąd nie przypuszczał, do jakiego stopnia astromechaniczne roboty przypominają czasami żywe istoty. Prawdopodobnie nikt nie wiedział, jaką część swojego „charakteru” zawdzięczają oprogramowaniu, a jaką prawdziwej osobowości.

W końcu jego myśliwiec roztrzaskał się o przeciwległe zbocze dużego krateru. Nie eksplodował, ale w ułamku sekundy przemienił się w stertę złomu i szybujących w górę odłamków metalu.

Kell zauważył, że jest mu coraz zimniej. Widocznie tracił ciepło z powodu nieodpowiedniej izolacji termicznej cienkiego kombinezonu i niewielkiego natężenia osłaniającego go pola magnetycznego. Kilka długich minut, podczas których działały silniczki rakietowe, mógł jednak sycić oczy niewiarygodnym pięknem szybujących w przestworzach laserowych błyskawic. Szczególne wrażenie wywierały na nim rozkwitające niczym ogniste kwiaty kule eksplozji, wyraźnie widoczne na tle oszpeconego bliznami i szramami ogromnego kadłuba gwiazdowego niszczyciela.

- Sylwetka „Nieubłaganego” się powiększa, panie komandorze! - zameldował w pewnej chwili zaniepokojony oficer obsługujący stanowisko sensorów.

Wedge obrzucił go zdeorientowanym spojrzeniem.

- Znów? - zapytał.

- Opada na powierzchnię księżycy, panie komandorze.

- Sithowa plwocina! - zaklął Antilles. - Powiedz „Trójce” i „Czwórcę”, żeby się stamtąd

wynosili. - Przyciągnął ku sobie drążek sterowniczy i skompensował kolejne odchylenie od pionu kadłuba „Nocnego Gościa”. Gdyby tego nie zrobił, koreliańska korweta roztrzaskałaby się o powierzchnię gruntu. - Na mój sygnał wyłącz generator promienia ściągającego... Teraz!

Chwilę później „Nocny Gość” skoczył niczym rumak spięty ostrogą i zaczął powoli, lecz łagodnie przyspieszać. Antilles zmienił kurs na taki, który miał umożliwić okrętowi wydostanie się spod kadłuba skazanego na zagładę imperialnego niszczyciela.

- Wyłączyć wszystkie generatory ochronnych pól - rozkazał. Przekazać całą moc do jednostek napędowych.

- Rozkaz, panie komandorze!

Koreliańska korweta zaczęła nabierać prędkości. Podobnie jak opadający ku powierzchni księżycy kadłub „Nieubłaganego”.

Wystrzelona przez Młynka ostatnia protonowa torpeda rozpyliła na atomy kolejny fragment wyglądającej jak coraz większa jaskinia siłowni gwiazdowego niszczyciela.

Blask tej eksplozji uświadomił Falynn jeszcze jedną prawdę.

Okręt opadał! Pilotka z Tatooine obróciła swój myśliwiec typu T1E i włączyła silniki jonowe, ale zanim wyleciała z otworu, coś uderzyło od tyłu w kadłub pilotowanej przez nią gały. Jonowe silniki obudziły się do życia, lecz siła napędu tylko obróciła jej myśliwiec najpierw na sterburtę, potem na bakburtę i znów na sterburtę.

Falynn zakłęta, kiedy odgadła, co się stało. Sterburtowy panel z ogniwami słonecznymi zaczepił o coś sprężystego.

Zbliżyła usta do mikrofonu komunikatora.

- Młynku, wynoś się stamtąd - powiedziała.

- Bez ciebie? - zapytał Bothanin. - Nie ma mowy.

- Ty kretynie! Jak mam wylecieć, jeżeli ty się nie wyniesiesz? Zmiataj!

Obserwowała, jak obraca się widoczna kilkanaście metrów niżej sylwetka X-winga. Z dysz wylotowych silników wydobył się blask i tęponosa maszyna zaczęła opadać w kierunku wystrzępionych krawędzi otworu w kadłubie.

Zaczekała, aż Młynek przeleci przez otwór i ponownie przesłała pełną moc do bliźniaczych silników jonowych gały.

Jej myśliwiec typu T1E skręcił na sterburtę, zderzył się z jakąś grodzią i powrócił do poprzedniego położenia.

Tym razem jednak na dziobowym iluminatorze pojawiła się pajęczyna pęknięć.

Kiedy Młynek przelatywał przez otwór w kadłubie, jedno ze sterburtowych działek laserowych myśliwca zahaczyło o przegrodę. Tęponosa maszyna wyleciała, ale zaczęła niebezpiecznie koziółkować w przestworzach.

Bothanin dopiero po pewnym czasie odzyskał panowanie nad sterami.

Ułamek sekundy później dosięgła go jedna z turbolaserowych błyskawic, wciąż jeszcze posyłanych z baterii dział „Nieubłaganego” w ciemność przestworzy.

Kiedy słup światła zniknął, zabrał ze sobą także X-winga Młynka.

Janson zauważył, że „Widmo Cztery” zostało trafione przez wystrzeloną z działka gwiazdowego niszczyciela błyskawicę.

Śmignął świecą w przestworza i otworzył ogień. Jego pierwszy strzał odbił się od wieży turbolaserowego działka niszczyciela. Stanowisko zaczęło się obracać w jego stronę, a imperialni

artylerzyści wzięli go na cel.

Prosiak dał ognia z luf obu laserowych działek myśliwca T1E i para zielonych błyskawic prześwidrowała wieżę na wylot. Stanowisko artylerii znieruchomiało, a wszystkie jego światła zgasły.

Janson zaczął zataczać swoim myśliwcem ciasny, nieregularny krąg wokół otworu w spodzie kadłuba „Nieubłaganego”.

- „Szary Dwa”, tu „Szary Trzy” - powiedział. - Słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Wynoś się stamtąd! „Nieubłagany” opada na powierzchnię księżyca!

- Zahaczyłam o coś - odparła pilotka z Tatoonie.

- Spróbuj się odczepić! Lecę ci na pomoc!

- Nie zdołasz mi pomóc. Jeżeli zobaczę w otworze sylwetkę twojego myśliwca, otworzę ogień.

Nie żartuję.

- Niech to diabli, Falynn!

Nagle z otworu w spodzie kadłuba gwiazdowego niszczyciela wystrzeliły dwie laserowe błyskawice, które wypaliły w powierzchni księżyca dwa następne, idealnie okrągłe kraterki.

Janson zmełł w ustach jakieś przekleństwo i wyleciał spod kadłuba imperialnego kolosa. Prosiak bez słowa poszedł w jego ślady.

Od kadłuba opadającego „Nieubłaganego” odłączały się dziesiątki kapsuł ratunkowych. W pewnej chwili ktoś z pokładu zdecydował się ostatni raz posłużyć komunikatorem. Wszystko wskazywało, że jest to kobieta, ale jej zniekształcony głos brzmiał, jakby korzystała z pokładowego komunikatora rebelianckiego myśliwca:

- Uwaga, Siły Zbrojne Nowej Republiki. Pośród pilotów trzech myśliwców przechwytyjących typu T1E, którzy minutę temu wystartowali z głównego hangaru „Nieubłaganego”, znajduje się admirał Trigit. Jeżeli chcecie go schwycić, musicie lecieć za nim.

Gwiazdny niszczyciel opadał wdzięcznie i lekko jak ptasie piórko. Iluzję zwiększały jego ogromne rozmiary i niewielka siła przyciągania, wynosząca zaledwie cztery dziesiąte wartości standardowej. Niebiorący czynnego udziału w walce piloci Widm kierowali uwagę na otwór w spodzie kadłuba. Czekali, aż wyleci z niego ostatni myśliwiec T1E.

Nie wyleciał.

„Nocny Gość” wystrzelił spod kadłuba opadającego kolosa niczym zwilżona kostka mydła spod mokrej stopy. Kadłub imperialnego okrętu przeleciał zaledwie o kilkadziesiąt metrów od baterii jednostek napędowych na rufie korwety.

Pierwsza o powierzchnię księżyca grzmotnęła rufa „Nieubłaganego”. Była tak ciężka i masywna, że rozpadła się na kawałki. Kiedy raptownemu ściśnięciu uległa atmosfera w pomieszczeniach, przez burty i pokłady wystrzeliły na zewnątrz całe sekcje i grodzie najniższych poziomów gwiazdowego niszczyciela.

Jeszcze zanim o powierzchnię księżyca roztrzaskał się dziób okrętu, rufa eksplodowała, kiedy w ogniu stanęły potężne ogniwa paliwowe. Wieża dowodzenia „Nieubłaganego” skoczyła w górę niczym odrębna jednostka latająca, której kapitan usiłuje rozpaczliwie odlecieć w bezpieczne miejsce. Wznosiła się coraz wolniej, aż wreszcie i ona rozpadła się na kawałki i zniknęła w rozprzestrzeniającej się kuli ognia.

Tymczasem kadłub gwiazdowego niszczyciela przełamał się w rejonie śródkręcia. Zanim dziób

spoczął na upstrzonej kraterami powierzchni księżycy, obrócił się z gracją.

Z głośników komunikatorów myśliwców Widm wydobył się dziwny okrzyk. Wedge i Janson już kiedyś podobny słyszeli: na zarejestrowanej przez Donosa taśmie dokumentującej przebieg jego pierwszej i ostatniej wyprawy w charakterze dowódcy Eskadry Szponów. Korelianin wyrażał tak ból po śmierci podwładnych.

Wedge skierował „Nocnego Gościa” pionowo.

- Obrócić... - zaczął i urwał, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Młynek i Falynn zginęli w odstępie zaledwie sekund jedno od drugiego. - Obrócić wszystkie lufy dział na maszyny typu T1E. Uzbrojenie, przejąć kontrolę nad moim turbolaserem. Łączność, proszę nastawić nadajnik pokładowego komunikatora zarówno na kanał pilotów nieprzyjacielskich myśliwców, jak i naszych maszyn.

- Można mówić, panie komandorze - odezwał się oficer łącznościowiec.

- Uwaga, pozostali przy życiu członkowie załogi i piloci myśliwców z pokładu „Nieubłaganego”. Mówi komandor Wedge Antilles z Dowództwa Gwiezdných Myśliwców Nowej Republiki. Proponuję zrezygnować z dalszych działań zbrojnych.

Odpowiedź usłyszał niemal natychmiast:

- Antilles, czy żądasz od nas, żebyśmy się poddali?

- Zaprzeczam - odparł Wedge. - Proponuję coś innego. Obie strony zrezygnują z dalszej walki. Możecie lecieć, dokąd chcecie. Wygraliśmy tę rundę. Nikt niczego nie zyska, jeżeli będziemy nadal toczyli bitwę.

Nagle z głośnika komunikatora rozległ się głos wypowiadający słowa z bezlitosną precyzją:

- Panie kapitanie, proszę przyjąć propozycję komandora. Wedge zdrętwiał. Znał ten głos.

Chwilę potem głos zabrał ponownie kapitan „Nieubłaganego”:

- Jest pan tu tylko obserwatorem. Nie wydaje pan rozkazów... Sekundę później z głośnika dobiegł przeraźliwy wrzask.

- Sithowa plwocina! - zaklął Buźka. - Czyżby rozpylił na atomy swojego podwładnego?

Po sekundzie z odbiornika komunikatora rozległ się znów ten sam głos, precyzyjnie wypowiadający słowa:

- Bardzo przepraszam. Ktoś ośmielił się podawać w wątpliwość hierarchię dowodzenia. Panie komandorze, zgadzamy się na pańską propozycję. Wszyscy członkowie załogi i piloci z pokładu „Nieubłaganego”, zrezygnować z dalszej walki. Kierować się do punktu zbornego dwa-siedemdziesiąt.

- Wszystkie Siły Zbrojne Nowej Republiki, przerwać walkę - rozkazał Wedge. - Skupić się wokół „Nocnego Gościa”. Jeżeli uważacie, że wasze myśliwce mają dość energii i paliwa i są w dobrym stanie, możecie towarzyszyć uszkodzonym maszynom i kapsułom ratunkowym, aby przekazać raport o ich stanie.

Przejechał wskazującym palcem po gardle i oficer łącznościowiec korwety wyłączył szerokie pasmo częstotliwości używanych przez Siły Zbrojne Imperium.

Skierował na komandora szeroko otwarte oczy.

- Czyżby go pan znał? - zapytał.

- Można tak powiedzieć - przyznał Antilles. - To był baron Soontir Fel.

Oficer zbladł i przeniósł spojrzenie na pulpit konsoli systemów uzbrojenia.

Od śmierci Dartha Vadera baron Fel uchodził za najlepszego z żyjących imperialnych pilotów,

a jego elitarny Sto Osiemdziesiąty Pierwszy Pułk Imperialnych Gwiezdnych Myśliwców był najlepszą formacją, jaką Imperium mogło rzucić do walki przeciwko Siłom Zbrojnym Nowej Republiki.

Pytanie tylko, co robił jako obserwator na pokładzie okrętu admirała Trigita?

Wedge spojrział na ekran monitora sensorów i stwierdził, że większość barwnych plamek zastosowała się do rozkazów swoich przełożonych.

Nie usłuchało tylko pięć świetlistych punktów. Trzy czerwone oddalały się od księżycy Essiona niezmiennym kursem, który miał im umożliwić ucieczkę w przestworza. Za nimi podążały dwie niebieskie plamki. Sensory identyfikowały szybszą jako dowódcę Eskadry Niebieskich, a wolniejszą jako „Widmo Dziewięć”.

Skrzypek wciągnął Kella przez awaryjną służbę na pokład „Narry”.

- Miło widzieć cię pośród żywych, Tainer - powiedział. - Teraz, kiedy nauczyłem cię dobrych manier, wolałbym cię nie stracić.

Kell, drżąc na całym ciele, zignorował uwagę protokolarnego androida typu 3PO. Okutana w koc Atril sięgnęła po pled i narzuciła go na ramiona pilota. Okryty innym kocem Phanan leżał na jednej z pasażerskich kanap. Miał bladą twarz, ale na widok Kella z przymusem się uśmiechnął. Skrzypek podszedł i stanął obok pilota z Rudriga.

- Straciliśmy Młynka i Falynn - odezwała się Atril. Kell spojrział na nią i usiadł obok na kanapie.

- A Tyria? - zapytał.

- Jest cała i zdrowa - uspokoiła go pani kapitan Tabanne.

Kell się odprężył. Starał się uporządkować myśli i uczucia. Czuł ulgę, że Tyrii udało się przeżyć bitwę, a także smutek po stracie Falynn, Młynka i Trzynastki... i uniesienie na myśl, że stracił część siebie. Jakaś część jego osobowości umarła, ale wcale tego nie żałował.

- Kell?

- Ta-a, Cubber?

- Ci z „Nocnego Gościa” przesyłają ci gratulacje - odezwał się szef mechaników. - Podobno w trakcie tej walki zachowałeś się jak podczas pierwszego symulowanego zadania, z jakim musiałeś się uporać, kiedy przyłączyłeś się do Eskadry Widm.

Kell zamrugał, wyraźnie zdezorientowany.

- Czy to oznacza, że znów Patyk dostanie wszystkie moje punkty? - zapytał.

- Nie, głupku - odparł Cubber. - Jedno zadanie, pięć zestrzelonych maszyn, natychmiastowy as. Moje gratulacje.

- Aha.

Szef mechaników parsknął.

- Jeżeli nadal będziesz się tak zachowywał, chłopcze, nie uwierzę, że naprawdę zamierzasz zostać dobrym mechanikiem. - Odwrócił się w stronę urządzeń kontrolnych. - „Narra” startuje - zameldował. Musimy pozbierać jeszcze kilka pakunków.

- Dowódca do „Widma Dziewięć”.

Donos siedział na fotelu pilota sztywno wyprostowany. W całym ciele czuł dziwny chłód. Ścisnął rękę dźwigni drążka sterowniczego, jakby od tego miało zależeć jego życie.

- Dowódca do „Widma Dziewięć”. Korelianin odchrząknął.

- Tu „Dziewiątka” - wychrypiał.

- Melduj swój stan - rozkazał Antilles.

Falynn nie żyje. Nie mam żadnego stanu, pomyślał Donos.

- Wszystko w porządku - zameldował.

Machinalnie sprawdził wskazanie czujników stanu paliwa, zasobników energii systemów uzbrojenia i natężenia ochronnych pól swojego X-winga. Wszystkie wskaźniki jarzyły się zielonym blaskiem. Miał kilkanaście minut, w czasie których mógł nadal toczyć walkę w przestworzach.

Przed nim uciekało trzech wrogów, a ścigał ich jeszcze tylko jeden sprzymierzeniec.

Dopiero po kilku sekundach doszedł do przekonania, że komandorowi Antillesowi chodziło raczej o stan jego umysłu.

Kiedy dowiedział się o śmierci Falynn, znów omal nie oszalał. Na szczęście w porę zdążył się opanować. Domyślał się, że piloci Widm by mu na to nie pozwolili.

Najlepiej było lecieć dalej i zabić mężczyznę, który przyczynił się do jej śmierci... człowieka, który odpowiadał także za śmierć pilotów Eskadry Szponów.

- Ścigam trzech nieprzyjaciół, którzy nie należą do spacyfikowanych Sił Zbrojnych Imperium, panie komandorze - zameldował.

- Jeśli się poddadzą, będziesz musiał się z tym pogodzić - ostrzegł Wedge.

- Jeśli - burknął Korelianin. Umilkł i długo się nie odzywał. - Proszę poinstruować pilota lecącego przede mną A-winga, żeby nie niszczył maszyny Trigita. Sam się chcę tym zająć.

Nagle z odbiornika jego komunikatora wydobył się cichy trzask, a zaraz po nim rozległ się głos innego mężczyzny:

- Komandor Antilles nie ma prawa wydawać żadnych instrukcji ani rozkazów generałowi, „Widmo Dziewięć”.

- W takim razie bardzo proszę, panie generale, żeby nie znalazł się pan między admirałem Trigitem a wylotami laserowych działek mojego X-winga - odparł Korelianin.

- W innych okolicznościach uznałbym to za groźbę, synu - stwierdził Crespin. - Na razie proponuję tylko, żebyś się zamknął. Dowódca Niebieskich przerywa połączenie.

Donos umilkł. Nie dlatego, że przejął się konsekwencjami, jakie mogły mu grozić ze strony generała. Po prostu nie chciał tracić energii na dalszą sprzeczkę.

Nie odrywając spojrzenia od ekranu monitora sensorów, Korelianin zauważył, że generał Crespin zmniejsza odległość dzielącą go od klucza myśliwców przechwytyjących typu T1E. Leciąły wolniej niż zwykle maszyny tego typu. Prawdopodobnie osobiste myśliwce imperialnego admirała i zaufanych ochroniarzy wyposażono w jednostki napędu nadświatłowego, a może także w masywne generatory ochronnych pól siłowych, a ciężar tych urządzeń mógł spowalniać szybkość ucieczki. Nawet Donos, chociaż leciał X-wingiem, który cieszył się opinią mniej szybkiego niż standardowa maszyna przechwytyjąca typu T1E, stopniowo zmniejszał odległość dzielącą go od uciekinierów.

Za kilka minut admirał i jego dwaj ochroniarze mogli jednak znaleźć się na tyle daleko od grawitacyjnej studni Essiona, aby spróbować ucieczki do nadprzestrzeni. Korelianin pomyślał, że może generał okaże się na tyle sprytny, aby do tego nie dopuścić.

Kiedy odległość między A-wingiem a trójką nieprzyjacielskich maszyn zmalała do trzech kilometrów, na pulpicie konsoli komunikatora Donosa zapaliły się światelka.

- Dowódca Niebieskich do pilotów uciekających w przestworza myśliwców przechwytyjących - usłyszał Korelianin. - Mówi generał Edor Crespin. Daję wara szansę poddania się.

W odpowiedzi rozległ się czyjś oschły głos:

- Dziękuję, dowódco Niebieskich, ale przypominam, że mamy przewagę liczebną. Może lepiej

byłoby, gdybyście wrócili do domu?

Donos nie usłyszał odpowiedzi Crespina, co oznaczało, że obaj dowódcy uznali rozmowę za zakończoną.

Po kilku sekundach, kiedy odległość między pilotowanym przez generała A-wingiem a uciekinierami zmalała do dwóch kilometrów, Korelianin zauważył, że piloci myśliwców przechwytyjących zmieniają szyk. Lecący po stronie sterburty ochroniarz zwolnił i zajął pozycję za ogonem środkowej maszyny, a pilotujący bakburtowy myśliwiec strażnik zatoczył łuk i zawrócił w stronę ścigającego go myśliwca w kształcie ściętego klina.

Dlaczego? Donos odgadł, co się stało. Z pewnością generał namierzył myśliwiec Trigita, więc jeden z ochroniarzy musiał zająć pozycję między nim a laserami Crespina. Drugi zawrócił, żeby podjąć próbę zniszczenia A-winga... albo stracić życie podczas tej próby.

Donos zaczął się modlić o powodzenie generała.

- Gadżet, dasz radę jeszcze bardziej przyspieszyć? - zapytał. NIE.

Korelianin zaczął się kołysać w tył i w przód na fotelu pilota, jakby w ten sposób mógł wykrzesać z jednostek napędowych swojego myśliwca choć trochę większe przyspieszenie.

Nagle zauważył, że ostatnia czerwona plamka i ścigająca ją niebieska lecą kursem, który musi się zakończyć czołowym zderzeniem.

Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać nad sensem takiego manewru. Ciekawe, co zamierza generał Crespin, pomyślał. Czyżby chciał staranować myśliwiec imperialnego pilota-samobójcy, który był gotów oddać życie w obronie admirała, byle tylko zapewnić mu odrobinę więcej czasu?

Znajdowali się obecnie daleko od cienia masy Essiona i jego największego satelity. Prawdopodobnie po kilku następnych sekundach piloci dwóch lecących na czele myśliwców przechwytyjących T1E będą mogli wskoczyć do nadprzestrzeni i zniknąć.

Donos postarał się uspokoić. Generał nie jest idiotą, pomyślał. Z pewnością ma jakiś plan. Jeżeli zdołam się domyślić jaki, może odgadnę także, jak zamierza rozstrzygnąć walkę z Trigitem. Chyba chce go zmusić do zmiany wektora lotu... pytanie tylko, w którą stronę? Zaczął się zastanawiać, co by zrobił, gdyby siedział za sterami A-winga lecącego na spotkanie z nieprzyjacielską maszyną, podczas gdy dwaj inni, ważniejsi piloci myśliwców T1E kierują się trochę w bok.

Maszyny w kształcie ściętych klinów wyposażono w laserowe działka, których lufy można było kierować w górę, w dół i na boki, co zapewniało bardzo duże pole ostrzału. Donos nieraz słyszał, jak piloci niewielkich i bardzo szybkich maszyn chętnie się tą zaletą swoich myśliwców. Na miejscu Crespina leciałby nadal dotychczasowym kursem, ale obróciłby myśliwiec w locie o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i uniósł lufy działek, żeby w ich zasięgu znalazł się myśliwiec Trigita i eskortującego go drugiego ochroniarza.

Korelianin przełączył monitor, żeby oglądać na nim obraz przekazywany przez wizualne sensory, i zauważył, że rzeczywiście generał obrócił swój myśliwiec w locie... Prawdę mówiąc, obracał go dalej, żeby wąska sylwetka stanowiła jeszcze trudniejszy cel do namierzenia i trafienia. Wystrzeliwane przez nieprzyjacielskiego pilota błyskawice laserowych strzałów przelatowały obok maszyny generała, nie wyrządzając jej najmniejszej szkody. Crespin uniósł też lufy laserowych działek. Nawet gdyby chciał, nie mógłby się nimi posłużyć, żeby strzelić do atakującego go pilota, więc musiał się przygotowywać do ataku z ukosa na dwa pozostałe myśliwce T1E.

Donos powstrzymał się z trudem, żeby nie palnąć otwartą dłonią w osłonę hełmu. Zrozumiał. Będąc na miejscu Crespina, też tak by się zachował: leciałby nadal tym samym kursem tak długo, aby

w ostatnim możliwym ułamku sekundy śmignąć w górę lub w bok i uniknąć czołowego zderzenia. Po zmianie kursu wystrzeliły z wyrzutni A-winga rakiety udarowe. Lecący naprzeciwko niego ochroniarz, zdecydowany ocalić zwierzchnika za cenę własnego życia, raczej nie powinien wpaść na pomysł zmiany trajektorii lotu. Manewr Crespina pozwoliłby wyeliminować zagrożenie ze strony pilota-samobójcy, a zarazem umożliwić ostrzelanie dwóch pozostałych maszyn przechwytyjących.

Pozostawało mu już tylko odgadnąć, w jakim kierunku ich piloci zamierzali zmienić kurs. Na razie pilotowany przez Trigita myśliwiec leciał przodem, a ochroniarz trzymał się cały czas w niewielkiej odległości za nim. Crespin leciał trochę innym kursem z odchyłką na bakburtę. Kiedy Trigit się zorientuje, że został namierzony przez celowniczy komputer laserowych działek A-winga, na pewno zmieni kurs na sterburtę... bo tylko dzięki takiemu manewrowi pilotowany przez drugiego ochroniarza myśliwiec przechwytyjący T1E znajdzie się dokładnie między nim a torem lotu błyskawic laserowych strzałów.

Donos omal się nie uśmiechnął. Przełączył systemy uzbrojenia swojego X-winga na protonowe torpedy i korzystając z pomocy wizualnych sensorów, wziął na cel puste przestworza po stronie sterburty obu imperialnych maszyn. Dzielila go od nich jeszcze zbyt duża odległość, żeby mógł je namierzyć komputer celowniczy protonowych torped, ale oba cele znajdowały się w zasięgu ich rażenia. Gdyby wystrzelił pociski pod właściwym kątem i nastawił ich zapalniki, żeby kierowały się na źródło ciepła...i gdyby piloci obu myśliwców przechwytyjących T1E zmienili kurs i przelecieli przez miejsce ostrzału...

Uzbroił się w cierpliwość i czekał na dalszy rozwój sytuacji, ale nie przestawał się kołysać na fotelu pilota, jakby chciał nadać swojemu myśliwcowi jeszcze większe przyspieszenie. Falynn, czy mnie obserwujesz? pomyślał w pewnej chwili. Kiedy odległość między pilotem-samobójcą a maszyną generała zmalała do dwustu pięćdziesięciu metrów, Crespin raptownie zmienił wektor lotu, ale wystrzelone przez niego bliźniacze smugi światła leciały nadal tym samym kursem. Ułamek sekundy później pilotowany przez ochroniarza - samobójcę myśliwiec przechwytyjący T1E dotarł do miejsca niedoszłej katastrofy i przeistoczył się w oślepiającą kulę ognia. Jego pilot padł ofiarą zarówno pary rakiet udarowych, jak i błędnej taktyki. Dopiero wówczas Crespin przestał obracać swój myśliwiec w locie, przełączył systemy uzbrojenia i po sekundzie wymierzył lufy obu działek w dwie pozostałe imperialne maszyny.

Gdy tylko namierzył je komputer celowniczy laserów generała, Trigit i lecący za nim ochroniarz zmienili kurs. Na sterburtę. Donos przycisnął z całej siły guzik spustowy.

- Jedna za Falynn - powiedział do siebie. - Druga za pilotów Szponów.

Lasery myśliwca Crespina trafiły w silniki pilotowanej przez ochroniarza maszyny typu T1E. Donos zauważył, że strzeliły z nich jaskrawoczerwone płomienie. Po chwili nieprzyjacielski myśliwiec zniknął w oślepiająco jasnej kuli ognia.

Z głośnika komunikatora X-winga Donosa rozległ się cichy trzask, a chwilę później wydobył się głos Trigita:

- Crespin, chyba najwyższy czas, żebym zmie...

Pierwsza torpeda Donosa przeleciała przez rozcięcie w sterburtowym skrzydle i trafiła w miejsce, w którym wypukły dziobowy iluminator graniczy z kadłubem. Pilotowany przez Trigita myśliwiec przechwytyjący T1E eksplodował i rozbłysnął niczym miniatura supernowa. Wystrzelony przez Korelianina drugi pocisk zniknął w chmurze szczątków, ale nie pojawił się po drugiej stronie.

Z głośnika komunikatora X-winga zaczął się wydobywać tylko monotony szum, a na ekranie monitora sensorów pozostała już tylko samotna niebieska plamka.

Pilot A-winga zatoczył leniwy łuk i zawrócił w stronę Essiona.

- Jesteś znakomitym strzelcem, synu - odezwał się generał Crespin, kiedy zakończył manewr.

- A pan doskonałym pilotem, panie generale - odparł Donos. Trącił rękojeść drążka sterowniczego i powoli zawrócił.

Jego piersi ścisnął chłód, lodowaty jak objęcia otaczającej go próżni. Czuł w sercu pustkę, ilekroć myślał o przyszłości, ale cieszył się na myśl, że pomścił Eskadrę Szponów. Odtąd jedenaścioro doskonałych pilotów, jeden zawsze skory do pomocy astromechaniczny robot typu R2 i pilotka z Tatooine, która nie potrafiła docenić własnej wartości, mogą spoczywać w pokoju.

ROZDZIAŁ 31

Plaże i morza tej planety są niemal równie piękne jak krajobrazy Storinala, pomyślał Kell. Może nawet piękniejsze. Są bardziej... naturalne, kojące.

Planeta nazywała się Borleias. Kiedyś była tu siedziba biomedycznego laboratorium naukowo-badawczego imperialnego generała. Potem, w pierwszej fazie marszu na planetę tronową Imperatora, Borleias została opanowana przez Siły Zbrojne Nowej Republiki, a obecnie udzielała gościny ćwiczebnej bazie pilotów gwiazdnych myśliwców.

Po zakończeniu bitwy o tę planetę Nowa Republika nazwała na jej cześć transportowiec, który Kell i Patyk ocalili przed zniszczeniem na Folorze. Tainer doszedł do przekonania, może trochę bezpodstawnie, że planeta powita go z szeroko otwartymi ramionami.

I rzeczywiście czuł się mile widzianym gościem. Wylegiwał się leniwie na nadmuchiwanym materacu, na tyle dużym, aby zmieściło się na nim nie tylko jego potężne ciało, ale żeby zostało także sporo miejsca na leżącą obok niego Tyrię. Oboje mieli na sobie kostiumy kąpielowe, które z pewną dozą przesady można by nazwać skąpymi. Obok nich stały szklanki z powoli ogrzewającymi się w promieniach słońca niedopitymi trunkami, a także niewielka chłodziarka, z której mogli wyciągnąć następne, gdyby mieli ochotę.

Obok nich odpoczywali pozostali piloci Widm i członkowie załogi „Nocnego Gościa”. Leżeli na plaży, pluskali się w morskich falach, dosiadali turystycznych skuterów raketowych albo popijali różne napoje przy stołach ocienionych odbijającymi promienie słońca ogromnymi parasolami. Donos leżał na końcu długiego rzędu materaców i wyglądał na pogrążonego w zadumie. Najważniejsze jednak, że trzymał się blisko pozostałych pilotów Eskadry Widm. Nic nie wskazywało, żeby się chciał od nich dystansować.

Phanan leżał w wojskowym szpitalu planety Borleias. Wracał tam do sił po stracie śledziony, którą przedziurawił jakiś odłamek, kiedy pilot katapultował się w przestworza. Na widok Kella, który przyszedł go odwiedzić, zażartował, że miał za duże ciśnienie i musiał upuścić sobie trochę krwi, aby wróciło do normy.

Piloci Widm, koledzy i koleżanki Kella, jego przyjaciele. W ich oczach nie dostrzegał wyrzutów ani urazy. Większość wiedziała, że w przestworzach Essiona przeżył coś w rodzaju nerwowego załamania. Wiedzieli też, że zdołał je przezwyciężyć i wziął udział w najzaciętszej fazie bitwy. Zniszczył więcej nieprzyjacielskich maszyn, niż na niego przypadało, i ściągnął na siebie ogień jeszcze większej gromady nieprzyjaciół. Sensory „Nocnego Gościa” nie funkcjonowały z powodu celowo wywołanych zakłóceń księżycowej anteny przekaźnikowej, a także wzbijanej przez silniki chmury pyłu, więc nie zarejestrowały jego krótkotrwałej ucieczki od rzeczywistości. Nikt nie wspominał ani o tym, ani o nerwowym załamaniu Donosa. Po prostu nie wydarzyło się nic szczególnego.

Kell wiedział także, że już nigdy się nie zdarzy. Musiał tylko wyobrazić sobie, co stałoby się z ludźmi, których kochał, gdyby opuścił ich i zawiódł.

Spojrzał na leżącą obok niego Tyrię. Chciał powiedzieć coś zabawnego, ale młoda pilotka zasnęła z głową na jego ramieniu jak na poduszce.

Nagle padł na nich cień.

Kell uniósł głowę i zobaczył Ackbara.

Odruchowo zasalutował.

- Panie admirale? - zapytał.

- Proszę nie wstawać. - Ackbar podszedł bliżej i usiadł na sąsiednim nadmuchiwany materacu.

Odwrócił się w stronę morza i popatrzył na fale. Na ile Kell mógł się zorientować, na jego twarzy malowała się tęsknota. - Przykro mi, że nie zdążyłem porozmawiać z tobą na Talasei.

- Ja... unikałem pana, panie admirale - przyznał Tainer. Ackbar obrócił na niego jedno oko.

- Dlaczego? - zapytał.

- Wstydziłem się. - Kell pomyślał, że jeszcze przed tygodniem nie zdołałby się przemóc, aby to powiedzieć. Dziś jednak, chociaż z trudem, słowa przeszły przez jego gardło.

- Za to, że nie zdołałeś ocalić życia Jesmin? - domyślił się Ackbar.

- Tak jest, panie admirale - powiedział Tainer.

- Przyszedłem, żeby ci podziękować - ciągnął Ackbar. - Kiedy przeczytałem, co starałeś się dla niej zrobić... No cóż, to okrutne, że kochana osoba musiała zginąć tak daleko od bliskich jej sercu osób z klanu, ale przynajmniej wiemy, że znajdowała się wśród dobrych przyjaciół. Osób na tyle bliskich, żeby poważać się na taki wyczyn.

- To prawda, panie admirale. Wszyscy byliśmy jej przyjaciółmi. Ackbar jeszcze raz omiół tęsknym spojrzeniem morskie fale i wstał z materaca.

- Proszę wykorzystać okres urlopu jak najlepiej, panie poruczniku - poradził. - Niech pan wróci do służby silniejszy i bardziej ożywiony. Lord Zsinj wciąż jeszcze czai się gdzieś w przestworzach.

- Przygotowałem dla niego specjalne powitanie, panie admirale. Ackbar wydał chrapliwy dźwięk, który miał być chichotem, odwrócił się tyłem do morza i odszedł.

Na szczycie pobliskiego wzgórza czekał na niego Wedge w fotelu pilota śmigacza.

Admirał nieporadnie wgramolił się do kabiny.

- Wciąż jeszcze masz na sobie kompletne ubranie, komandorze zauważył. - Czy nie powinieneś się przebrać w kostium kąpielowy i podobnie jak twoi podwładni, rozkoszować się pogodą i morzem?

Antilles włączył silnik śmigacza, zawrócił i skierował maszynę w stronę płaskowyżu, na którym stały X-wingi i wahadłowce.

- Nie jestem z nimi tak blisko zaprzyjaźniony, jak z pilotami Eskadry Łotrów, panie admirale - powiedział. - Przypuszczam, że w moim towarzystwie mogliby się czuć skrępowani.

- Więc nie jesteś jednym z „równych gości”? - zapytał Ackbar. Wciąż jeszcze uważają, że jesteś równie groźny jak generał?

- O tak, panie admirale - przyznał Wedge. - Idę o zakład. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że zechce pan skorzystać z okazji i przyzna, iż piloci Eskadry Widm „udowodnili, że są coś warci”, jak kiedyś pan to określił.

- Twoje trzy miesiące jeszcze się nie skończyły, generale - przypomniał Ackbar. - Wciąż zagraża ci to samo niebezpieczeństwo, co poprzednio...

Wedge się uśmiechnął.

- Panie admirale, to historia mojego życia - powiedział.

O AUTORZE

Aaron Allston jest wielokrotnie nagradzanym projektantem gier i pisarzem. Napisał osiemnaście powieści fantastycznych i fantastycznonaukowych, a także wiele krótkich opowiadań. Oprócz tego jest autorem scenariuszy historii przygodowych, artykułów i recenzji zamieszczanych przez redakcje poświęconych grom komputerowym czasopism, jak na przykład „Adventurers Club”, „Computer Gaming World”, „Different Worlds”, „Fantasy Gamer” i innych. Kiedy był jego redaktorem, „Space Gamer Magazine” otrzymał nagrodę H.G. Wellsa dla najlepszego czasopisma w 1982 roku, a w 1990 roku, jako redaktor „The Savage Empire”, otrzymał nagrodę czasopisma „Game Player” przyznawaną za najlepszą komputerową grę fantastyczną roku. Urodzony w stanie Teksas, Allston otrzymał także przyznawaną przez „Original Awards” nominację do Przedsionka Sławy.

Mieszka w Roundrock w stanie Teksas i pracuje obecnie nad następną powieścią z cyklu X-wingi.

PODZIĘKOWANIA

Na szczególną wdzięczność zasługują:

Tom Dupree, Pat LoBrutto i Michael A. Stackpole - za stworzenie mi okazji;

Steven S. Long, Bob Quinlan i Luray Richmond, moje „sokole oczy „chroniące mnie przed popełnianiem najgorszych błędów;

Michael A. Stackpole, Kathy Tyers, Dave Woherton i Timothy Zahn, z których powieści mogłem czerpać szczegóły i natchnienie;

Shane Johnson, Paul Murphy, Peter Schweighofet; Bili Slaviscek, Bili Smith, Curtis Smith i Dan Wallace - za opracowanie nieocenionych materiałów źródłowych;

Sue Rostoni i Lucy Wilson - za to, że proces zatwierdzania tekstu stał się dla mnie prawdziwą przyjemnością;

Quel Richmond za to, że natchnął mnie, jak być równocześnie roslým, przystojnym i tchórzliwym oraz Dennis Loubet, Mark i Luray Richmond, moi współlokatorzy - za to, że nie wyrzucili mnie z pokoju na bruk, kiedy okazję po temu stworzyły im moja mania pisania i konieczność przestrzegania napiętych terminów.